

ZŁO PRZYBRAŁO LUDZKĄ POSTAĆ, MOŻESZ ZNALEŹĆ SIĘ W JEGO CIENIU...
MRO CZNY THRILLER PSYCHOLOGICZNY, KTÓREGO NIE DA SIĘ ZAPOMNIEĆ.

CODY McFADYEN

**CIENÍ
BESTII**

Z POZDROWIENIAMI Z PIEKŁA...



FILIA

CODY McFADYEN

**CIEN'
BESTII**

Przełożyła
Joanna Grabarek

FILIA

*Moim rodzicom – za zachęcanie mnie do pójścia
mniej uczęszczaną drogą.*

Mojej córce – za dar ojcostwa.

*Mojej żonie – za jej niewzruszoną wiarę,
nieskończoną inspirację i wieczną miłość.*

I

SNY I CIENIE

1

Mam jeden z tych snów. Są ich tylko trzy: dwa piękne, jeden zaś brutalny, ale wszystkie sprawiają, że budzę się rozedrgana i samotna.

Ten, który śnię dzisiejszej nocy, dotyczy mojego męża. Wszystko rozgrywa się mniej więcej w ten sposób:

Mogłabym powiedzieć, że pocałował mnie w szyję, i zostawić tę sprawę. Po prostu. Ale byłoby to kłamstwo w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa.

Bliższe prawdy jest stwierdzenie, że pragnęłam, aby pocałował mnie w szyję – całą rozpaloną sobą, każdą najmniejszą cząstką. A kiedy to zrobił, jego usta były niczym usta anioła, zesłane z nieba w odpowiedzi na moje żarliwe modły.

Miałam wtedy siedemnaście lat, podobnie jak on. Był to czas nienaznaczony ciemnością i nijakością. Istniała wtedy jedynie pasja, skrajności i światło, które płonęło tak jasno, że aż raniło duszę.

Nachylił się w mroku sali kinowej i (*o Boże*) zawahał się na krótką chwilę, a ja (*o Boże*) zadrżałam na skraju wytrzymałości, chociaż udawałam spokój, i *o Boże, o Boże, o Boże* pocałował mnie w szyję, a ja poczułam się jak w niebie i właśnie w tym momencie zrozumiałam, że zostanę z nim na zawsze.

Był moim jedynym. Większość ludzi, których znam, nigdy nie znajduje tej jedynej osoby. Czytają o tym albo krzywią się na samą myśl. Ale ja znalazłam mojego jedynego, kiedy miałam siedemnaście lat, i nigdy nie pozwoliłam mu odejść – nawet tego dnia, gdy leżał, umierając w moich ramionach. Nawet gdy śmierć wyszarpnęła mi go z serca. Nawet w tamtej chwili.

Wzywanie imienia Boga w dzisiejszych czasach oznacza cierpienie:

O *Boże*, o *Boże*, o *Boże*, tak strasznie za nim tęsknię.

Budzę się z cieniem tego pocałunku na mojej zaróżowionej nastoletniej skórze i zdaję sobie sprawę, że nie mam siedemnastu lat i że on przestał się starzeć. Śmierć zachowała go jako trzydziestopięciolatek. Dla mnie jednak zawsze ma siedemnaście lat, zawsze nachyla się ku mnie i muska ustami moją szyję w tym idealnym momencie.

Dotykam miejsca, w którym powinien spać, i nagle przeszywa mnie ból tak oślepiający, że rozedrgana modłę się o śmierć, o skrócenie tego cierpienia. Oczywiście nadal oddycham i wkrótce ból słabnie.

Tęsknię za wszystkim, co było z nim związane w moim życiu. Nie tylko za dobrymi rzeczami. Tęsknię równie mocno za jego wadami, jak za pozytywnymi cechami. Brakuje mi jego niecierpliwości, jego gniewu. Tęsknię za jego protekcyjnym spojrzeniem, którym obdarzał mnie czasem, gdy byłam na niego wściekła. Brakuje mi denerwowania się faktem, że zawsze zapominał zatankować samochód i zostawiał bak niemal pusty właśnie wtedy, gdy musiałam się gdzieś wybrać.

Często sobie myślę, że właśnie takie rzeczy nigdy nie przychodzą człowiekowi do głowy, kiedy zastanawia się, jak to będzie stracić ukochaną osobę – że tak naprawdę tęskni się nie tylko za kwiatami i pocałunkami, ale też za całością doświadczeń; za niepowodzeniami i drobnymi niegodziwościami w tym samym stopniu jak za objęciami ukochanej osoby w środku nocy. Tak bardzo chciałabym, żeby tu teraz był i żeby mogła go pocałować – albo zdradzić. Wszystko jedno, byleby tutaj był.

Ludzie, kiedy się wreszcie odważą, czasem pytają, jak to jest stracić ukochaną osobę. Odpowiadam, że to bardzo trudne, i na tym poprzestaję.

Mogłabym im powiedzieć, że to ukrzyżowanie serca, że większość dni po jego śmierci krzyczałam bez przerwy, nawet gdy przechodziłam przez miasto z zamkniętymi ustami, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Mogłabym im powiedzieć, że każdej nocy miewam sen o nim i co rano znów go tracę.

Tylko po co rujnować ludziom dzień? Dlatego mówię im, że to trudne. Taka odpowiedź zazwyczaj wydaje się ich satysfakcjonować.

To tylko jeden z moich snów i sprawia, że wstaję z łóżka roztrzęsiona.

Wpatruję się w pusty pokój, a potem zwracam się w stronę lustra.

Nauczyłam się nienawidzić luster. Niektórzy powiedzieliby, że to naturalne, że wszyscy tak robią – studiują siebie pod mikroskopem własnego odbicia i koncentrują się na niedoskonałościach. Piękne kobiety wypracowują sobie zmarszczki, martwiąc się obecnością właśnie tychże. Nastoletnie dziewczęta z pięknymi oczami i figurami do pozazdroszczenia płaczą, ponieważ ich włosy są nieodpowiedniego koloru albo, jak sądzą, ich nos jest zbyt duży. To cena spoglądania na siebie przez pryzmat opinii innych – jedno z przekleństw rasy ludzkiej. Jak najbardziej się z tym zgadzam.

Większość ludzi jednak nie widzi tego, co ja, kiedy spoglądam w lustro. Kiedy patrzę na siebie, dostrzegam to:

Mam poszarpaną bliznę, szerokości mniej więcej centymetra, która zaczyna się na linii włosów na środku czoła. Biegnie prosto w dół, a potem zakręca niemal idealnie pod kątem prostym w lewo, zajmując miejsce mojej lewej brwi. Przecina skroń i leniwym łukiem zbiega na policzek. Wystrzela w kierunku mojego nosa, wdrapuje się na jego grzbiet i nagle zakręca, przecinając po przekątnej lewe nozdrze i po raz ostatni zbiegając w dół, na moją szczękę i szyję, zatrzymując się na obojczyku.

Robi naprawdę niezłe wrażenie. Jeśli człowiek spojrzy na mój prawy profil, wszystko wydaje się normalne. Trzeba się we mnie wpatrzeć *en face*, żeby wszystko zobaczyć.

Każdy człowiek spogląda w lustro przynajmniej raz dziennie albo widzi swoje odbicie w oczach innych. Zazwyczaj wie, czego się spodziewać – co zobaczy, co zostanie dostrzeżone. Ja nie widzę już tego, czego się spodziewam. Moje odbicie jest podobizną obcej osoby, kryjącej się pod maską, której nie mogę zdjąć.

Kiedy stoję naga przed lustrem, tak jak teraz, widzę całą resztę. Mam coś, co można nazwać naszyjnikiem okrągłych blizn o średnicy cygara. Ciągną się od jednego obojczyka do drugiego. Kolejne pokrywają wzorami moje piersi, mostek i brzuch, kończąc się tuż nad włosami łonowymi.

Są średnicy cygara, ponieważ zrobiło je cygaro.

Pomijając blizny, wyglądam całkiem niezłe. Jestem niska, zaledwie metr czterdzieści siedem wzrostu. Nie jestem chuda, ale utrzymuję się w formie. Mój mąż nazywał to „bujną” figurą. Mówił, że oprócz mojego

umysłu, serca i duszy ożenił się ze mną ze względu na moje „jędrne cycki i tyłek w kształcie serca”. Mam długie, gęste czarne kręcone włosy, które zakrywają wyżej wspomniany tyłek.

To również we mnie kochał.

Ciężko jest mi przymknąć oko na moje blizny. Widziałam je setki razy, może nawet tysiące. I nadal, kiedy spoglądałam w lustro, to wszystko, co widzę.

Są pamiątką po człowieku, który zabił mojego męża i moją córkę – i który później został zabity przeze mnie.

Czuję potworną pustkę na samo wspomnienie tego wydarzenia. Jest ogromna, ciemna i całkowicie obojętna – jakbym nurkowała w znieczulającej galarecie.

Nic wielkiego. Jestem do tego przyzwyczajona.

Tak teraz wygląda moje życie.

Drzemię nie dłużej niż dziesięć minut i wiem, że tej nocy już więcej nie zasnę.

Pamiętam, jak kilka miesięcy temu obudziłam się wcześnie nad ranem, właśnie tak jak teraz. Gdzieś między wpół do czwartej i szóstą, kiedy człowiek po przebudzeniu czuje się jak jedyna żywa osoba na świecie. Jak zwykle miałam jeden z moich snów i wiedziałam, że już nie zmrużę oka.

Założyłam podkoszulek i spodnie od dresu, wsunęłam na nogi wysłużone adidasy i ruszyłam do wyjścia. Biegłam, biegłam i biegłam pośród ciemności nocy. Biegłam, dopóki moje ciało nie pokryło się śliskim potem, który przesiąknął przez ubranie i zaczął chlupotać w adidasach. A ja biegłam dalej. Nie oszczędzałam się i mój oddech stał się bardzo szybki. Płuca bolały mnie od chłodnego porannego powietrza, ale nie zatrzymałam się. Przyspieszyłam tylko, machając zawzięcie nogami i ramionami. Biegłam najszybciej, jak mogłam, nie zważając na nic.

Zatrzymałam się przed wejściem do jednego z licznych sklepików ogólnospożywczych, których pełno było w Valley, pochylona nad krawężnikiem, krztusząc się i wypluwając z siebie kwas żołądkowy. Kilka wczesnoporannych duchów spojrzało na mnie i czym prędzej odwróciło wzrok. Wyprostowałam się, wytarłam usta i weszłam

z impetem do sklepu.

– Potrzebuję papierosów – powiedziałam, nadal walcząc o oddech.

Właścicielem był starszy mężczyzna około pięćdziesiątki, który wyglądał na Hindusa.

– Jaki rodzaj?

Jego pytanie mnie zaskoczyło. Nie paliłam od lat. Spojrzałam na rzędy papierosów za jego plecami i mój wzrok padł na moje niegdyś ulubione Marlboro.

– Marlboro, czerwone.

Podał mi paczkę i wystukał cenę na kasie. Wtedy uświadomiłam sobie, że jestem ubrana w dres i nie mam pieniędzy. Zamiast się zmieszać oczywiście się rozgniewałam.

– Zapomniałam portmonetki – powiedziałam wyzywająco, wysuwając brodę do przodu, jakby prowokując go, żeby nie dał mi papierosów lub wyśmiał mnie w jakikolwiek sposób.

Mężczyzna przyglądał mi się przez chwilę. Zapadła „znacząca cisza”, jak określają to pisarze. Potem się rozluźnił.

– Biegła pani? – spytał.

– Owszem, biegłam. Byle dalej od mojego zmarłego męża. Lepsze to niż się zabić, co nie? Ha, ha!

Moje własne słowa wydały mi się śmieszne. Trochę za głośne, nieco zbyt zdławione. Zapewne byłam ciut szalona. Zamiast jednak obdarzyć mnie pełnym zakłopotania spojrzeniem, które tak pragnęłam u niego zobaczyć, jego oczy złagodniały – nie ze współczucia, lecz ze zrozumienia. Skinął głową i wyciągnął do mnie rękę z paczką papierosów.

– Moja żona umarła w Indiach. Tydzień przed naszym przyjazdem do Ameryki. Proszę wziąć papierosy. Zapłaci pani następnym razem.

Stałam tak przez chwilę, wpatrując się w niego. A potem chwyciłam papierosy i wybiegłam ze sklepu tak szybko, jak tylko mogłam, zanim łzy zaczęły toczyć się po moich policzkach. Ścisnęłam w dłoni paczkę papierosów i biegłam do domu, szlochając.

Ten sklep jest mi trochę nie po drodze, ale od tamtej chwili nigdy nie chodzę do innego, jeżeli chce mi się palić.

Siadam na łóżku i uśmiecham się lekko, znajdując paczkę papierosów na szafce nocnej. Zapalam jednego, wspominając właściciela sklepu. Część mnie zapewne kocha tego małego człowieczka, tak jak tylko

można pokochać obcego, który okazał ci wręcz doskonałą życzliwość w momencie, gdy najbardziej jej potrzebowałeś. To głęboka miłość, ściśnięcie serca i wiem, że chociaż nie znam nawet jego imienia, nie zapomnę o nim aż do śmierci.

Zaciągam się głęboko i przyglądam się papierosowi z jego idealną wiśniową końcówką, żarzącą się w ciemnościach mojej sypialni. Na tym właśnie polega pozorna niewinność przeklętych rzeczy. Nawet nie chodzi o nałóg nikotynowy, chociaż z pewnością sam w sobie jest wystarczająco zły. Chodzi o to, jak papieros czasem pasuje do pewnych miejsc i chwil. Jak wczesne poranki przy parującym kubku kawy. Albo samotne noce w domu wypełnionym duchami. Zdaję sobie sprawę, że powinnam rzucić palenie, zanim znów całkiem się nie uzależnię, ale wiem również, że nie zrezygnuję z papierosów. To wszystko, co teraz mi zostało – wspomnienie dobroci, mój komfort i źródło siły, skoncentrowane w jednym.

Wypuszczam dym z płuc i przyglądam się jego kłębkom i strzępkom, wirującym w powietrzu, unoszącym się przez chwilę i znikającym. Zupełnie jak życie. Życie to dym – i wszystko w tym temacie. Jeżeli sądzimy, że jest inaczej, to się oszukujemy. Wystarczy jeden porządny podmuch wiatru i nagle unosimy się i znikamy, pozostawiając po sobie jedynie nikły zapach naszego istnienia pod postacią wspomnień.

Nagle kaszlę, śmiejąc się z moich skojarzeń. Zaciągam się dymem, życie jest dymem i mam na imię Dym. Smoky. Smoky Barrett. To moje prawdziwe imię, nadane mi przez matkę, bo „brzmiało super”. Rechoczę w ciemnościach mojego pustego domu i myślę o tym (nie pierwszy już raz), jak szalenie brzmi śmiech, kiedy człowiek jest całkiem sam.

To kolejna rzecz, nad którą mogę się zastanawiać przez następne trzy lub cztery godziny. Nad szaleństwem, znaczy się. Jutro nadejdzie w końcu ten dzień.

Dzień, w którym postanowię, czy wrócić do pracy w FBI, czy też zostać w domu, włożyć lufę pistoletu do ust i palnąć sobie w łeb.

2

– Nadal miewasz te same trzy sny?

To właśnie jeden z powodów, dla których ufam przydzielonemu mi psychoterapeucie. Nie bawi się ze mną w żadne ściemnianie, gierki, podchody i ciuciubabki, tylko uderza od razu w samo sedno. I chociaż narzekam i walczę z jego próbami wyleczenia mnie, respektuję jego podejście do rzeczy.

Nazywa się Peter Hillstead i jest niemal zupełnym przeciwieństwem freudowskiego stereotypu psychoanalityka. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy, przystojną twarz modela i ciało, na którego widok oniemiałam z zachwytu podczas naszego pierwszego spotkania. Najbardziej jednak uderzające są jego oczy w kolorze elektrycznego błękitu, jakiego nigdy nie widziałam u brunetów.

Mimo że wygląda jak gwiazda ekranu, nie wyobrażam sobie, by podczas sesji z nim nastąpiło zjawisko przeniesienia. Kiedy jest się z nim w pokoju, nie myśli się o seksie. Myśli się o sobie. Peter to jeden z niewielu ludzi, którzy autentycznie przejmują się swoimi pacjentami i nie można w to zwątpić w trakcie spotkania z nim. Gdy mówi się coś do niego, nigdy nie ma się wrażenia, że Peter myślami jest gdzieś daleko. Koncentruje na tobie całą swoją uwagę. Sprawia, że człowiek czuje się jak jedyna istotna rzecz w jego małym gabinecie. To właśnie jest dla mnie dużo ważniejsze niż podkochiwanie się w przystojnym terapeutę. Kiedy jest się z nim, nie myśli się o nim jako o mężczyźnie, tylko jako o czymś znacznie ważniejszym: lustrze swojej duszy.

– Te same trzy – odpowiadam.

– Który przyśnił ci się ubiegłej nocy?

Poprawiam się na siedzeniu, nieco speszona. Wiem, że to zauważa,

i zastanawiam się, jak to zinterpretował. Zawsze próbuję wszystko ocenić, oszacować. Nie umiem przestać.

– Ten, w którym Matt mnie całuje.

Kiwa głową.

– Czy byłeś w stanie ponownie zasnąć?

– Nie. – Wpatruję się w niego, nic nie mówiąc, chociaż czeka na więcej. Dzisiaj nie jestem zbyt chętna do współpracy.

Doktor Hillstead spogląda na mnie, podpierając dłonią brodę. Wydaje się nad czymś zastanawiać. Jakby stał na rozstaju dróg, wiedząc, że jakiegokolwiek dokona wyboru, będzie on nieodwracalny. Mija niemal minuta, zanim odchyła się w fotelu i wzdycha, ściskając grzbiet nosa.

– Smoky, czy zdajesz sobie sprawę, że moi koledzy po fachu nie mają o mnie najlepszego mniemania?

Drgam zaskoczona samym pomysłem oraz faktem, że mi o tym powiedział.

– Emm, nie, nie wiedziałam.

Uśmiecha się.

– To prawda. Mam wiele kontrowersyjnych poglądów dotyczących mojej profesji. Przede wszystkim w moim odczuciu nie istnieją żadne naukowe rozwiązania problemów zrodzonych w umyśle.

Jak, do diabła, mam na coś takiego odpowiedzieć? Mój psychiatra twierdzi, że jego wybrana profesja nie pomaga w rozwiązywaniu problemów mentalnych? Nie wzbudza to zaufania.

– Rozumiem, dlaczego to może wywoływać niechęć – to najlepsza odpowiedź, jaką jestem w stanie wydusić z siebie w tak krótkim czasie.

– Nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że moja profesja nie dostarcza *żadnych* rozwiązań dla problemów mentalnych.

I to właśnie, jak sądzę, jest drugą przyczyną, dla której ufam swojemu psychoterapeucie. Jest nadzwyczaj inteligentny, czasem wydaje się niemal jasnowiedzem. Nie peszy mnie to jednak. Rozumiem tę cechę. Posiada ją każdy naprawdę uzdolniony detektyw: to umiejętność przewidywania, co pomyśli przesłuchiwana osoba w odpowiedzi na twoje słowa.

– Nie. Chcę po prostu powiedzieć, że nauka jest nauką. Jest ścisła, wymierna. Grawitacja oznacza, że jeśli coś upuścimy, to coś zawsze upadnie. Dwa plus dwa zawsze równa się cztery. Brak sprzeczności jest

esencją nauki.

Zastanawiam się nad tym i kiwam głową.

– Skoro zaś tak, czym zajmuje się moja profesja? – gestykuluje. – Jakie jest nasze podejście do problemów umysłu? Nienaukowe, a przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Nie dotarliśmy jeszcze do punktu, w którym dwa plus dwa równa się cztery. Gdyby tak było, umiałbym wyleczyć każdego pacjenta, który wszedłby przez te drzwi. Wiedziałbym, że w przypadku depresji należy zrobić A, B i C i że to zawsze zadziała. Istniałyby niezmiennie prawa i reguły. Wtedy to byłaby nauka ścisła. – Uśmiecha się cierpko i chyba z lekkim smutkiem. – Ale ja nie potrafię rozwiązać każdego przypadku, którym się zajmuję. Nawet połowy z nich. – Milknie na moment, a potem potrząsa głową. – To, co robię, moja profesja, nie jest nauką ścisłą. Jest kolekcją rozwiązań, które najwyżej można wypróbować. Większość z nich zadziałała już wcześniej i to więcej niż raz, a w związku z tym warto zastosować je jeszcze raz, na próbę. To wszystko. Wypowiedziałem się na ten temat publicznie i... dlatego nie cieszę się najlepszą opinią wśród moich kolegów po fachu.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział. Doktor Hillstead czeka.

– Chyba rozumiem dlaczego – odpowiadam. – W FBI w niektórych sprawach ważniejszy staje się wizerunek, a nie wyniki. Pewnie to samo dzieje się w przypadku tych psychiatrów, którzy pana nie lubią.

Uśmiecha się znowu ze zmęczeniem.

– Zawsze stuprocentowa pragmatyczka. Masz oczywiście rację, Smoky, a przynajmniej w sprawach, które nie dotyczą ciebie.

Kurczę się w środku na te słowa. To jedna z ulubionych technik doktora Hillsteda: wykorzystuje zwyczajną konwersację jako przykrywkę dla obnażających duszę wtrętów, które serwuje jakby nigdy nic w najmniej spodziewanym momencie. Czuję się, jakby w moim kierunku wystrzelił właśnie miniaturową rakietę Scud: masz wnikliwy umysł, Smoky, ale nie wykorzystujesz go do rozwiązywania swoich własnych problemów. Auć! Prawda boli.

– Niemniej jednak oto jestem, bez względu na to, co kto o mnie myśli. Kiedy chodzi o zajmowanie się przypadkami agentów FBI, jestem jednym z najbardziej zaufanych psychoanalityków firmy. Jak myślisz, dlaczego tak jest?

Spogląda na mnie z wyczekiwaniem. Wiem, że to wszystko do czegoś

prowadzi. Doktor Hillstead nigdy niczego nie mówi tak po prostu, dlatego zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Jeżeli miałabym zgadywać, to pewnie dlatego, że jest pan dobry. W moim zawodzie to liczy się bardziej niż świetny wygląd.

Znów ten lekki uśmiezek.

– To prawda. Osiągam dobre wyniki. Nie jest to coś, czym się chwalę dookoła. Nie gratuluję sobie również co dzień z tego powodu tuż przed zaśnięciem. Ale to prawda.

Powiedziane w prosty, pozbawiony arogancji sposób, właściwy każdemu znamienitemu profesjonalście. Rozumiem to. Skromność nikomu tu nie jest potrzebna. W sytuacji taktycznej, kiedy człowiek pyta się kogoś, czy umie dobrze posługiwać się bronią, liczy na szczerść. Jeśli ten ktoś jest kiepski, chcesz to wiedzieć i on również chce, żebyś to wiedział, ponieważ kula zabija kłamcę tak samo szybko jak uczciwego człowieka. Gdy przychodzi czas na akcję, człowiek musi znać prawdę na temat mocnych i słabych stron. Kiwam głową, a on kontynuuje.

– To właśnie liczy się w każdej organizacji militarnej: czy osiągasz wyniki. Sądzisz, że to dziwne, iż uważam FBI za organizację militarną?

– Nie. Prowadzimy wojnę.

– Czy wiesz, jaki jest zawsze podstawowy problem każdej organizacji militarnej?

Zaczynam się nudzić i niecierpliwić.

– Nie.

Spogląda na mnie z dezaprobatą.

– Pomyśl, zanim odpowiesz, Smoky. Proszę, nie lekceważ mnie.

Zganiona, posłusznie wypełniam polecenie. Kiedy odpowiadam, mówię bardzo powoli.

– Zgaduję, że... personel.

Doktor Hillstead celuje we mnie palcem.

– Trafiony zatopiony! A teraz powiedz dlaczego.

Odpowiedź pojawia mi się w głowie w ten sam sposób jak kiedyś, gdy prowadziłam sprawę i kiedy naprawdę myślałam.

– Z powodu tego, co widzimy.

– Tak. To część problemu. Ja nazywam to „obserwacja, uczynki, manko”. To, co widzisz, to, co robisz, i to, co tracisz – wylicza na palcach.

– Triumwirat. Pracując w organach ochrony prawa, stykamy się

z najgorszymi rzeczami, do jakich zdolne są istoty ludzkie. Robimy rzeczy, do których żaden człowiek nie powinien być zmuszany: od zajmowania się gnijącymi zwłokami do, w niektórych przypadkach, zabicia drugiego człowieka. Tracimy również różne rzeczy: od tych nieuchwytnych, jak niewinność czy optymizm, po coś realnego, jak partner lub... rodzina.

Patrzy na mnie nieodgadnionym wzrokiem.

– W takich momentach pojawia się ja. Jestem tutaj właśnie ze względu na tę kwestię. A jednocześnie ten sam problem uniemożliwia mi wykonywanie mojej pracy tak, jak powinna być wykonana.

Jestem zaintrygowana. Spoglądam na niego, sygnalizując, żeby kontynuował. Doktor Hillstead wzdycha. Jest to westchnięcie, w którym zawiera się jego własna „obserwacja, uczynki, manko”, i myślę o innych ludziach, którzy zasiadają tu, w tym fotelu naprzeciwko jego biurka. Zastanawiam się nad innymi cierpieniami, o których słucha i które zabiera ze sobą do domu po wyjściu z pracy.

Usiłuję to sobie wyobrazić, spoglądając na niego. Doktor Hillstead w domu. Znam podstawowe fakty, bo sprawdziłam pobieżnie jego dossier. Nigdy się nie ożenił, mieszka w jednopiętrowym pięciopokojowym domu w Pasadenie. Jeździ sportowym audi sedanem – nasz doktorek lubi szybkość, co wskazuje na pewne aspekty jego osobowości. Wszystko to jednak tylko suche fakty. Nic, co mogłoby mi powiedzieć, co dzieje się, kiedy wchodzi przez drzwi do swojego domu i zamyka je za sobą. Czy jest kawalerem, który je obiady z mikrofalówki? A może przyrządza sobie stek, popijając samotnie czerwone wino przy eleganckim stole i słuchając Vivaldiego? A może wraca do domu, rozbiera się do naga, zakłada szpilki na owłosione nogi i jakby nigdy nic zaczyna się krzątać po domu?

Na tę myśl robi mi się wesoło. Taki mały sekretny humor. Obecnie jestem wdzięczna za każdy powód do śmiechu. Potem jednak koncentruję się na tym, co doktor Hillstead chce mi przekazać.

– W zwykłym świecie ktoś, kto przeszedł przez to, co ty, nigdy nie wróciłby do normalności, Smoky. Gdybyś była przeciętną osobą pracującą w przeciętnym zawodzie, trzymałabyś się z dala od broni, morderców i martwych ludzi. Na zawsze. Tymczasem moje zadanie polega na tym, żeby w jakiś sposób spróbować ci pomóc przygotować się

na powrót do tego wszystkiego. Tego się po mnie oczekuje. Wysłania zranionych psyche z powrotem na wojnę. Może to melodramatyczne, ale prawdziwe.

Pochyla się do przodu i czuję, że zbliżamy się do finału, jakakolwiek jest ostateczna konkluzja, do której zmierza.

– Czy wiesz, dlaczego podejmuję się takiego zadania? Wiedząc, że być może znów narażam kogoś na sytuację, która wyrządziła mu szkodę? – Przerzywa na chwilę. – Dlatego, że jest to coś, czego chce dziewięćdziesiąt dziewięć procent moich pacjentów.

Ścisła palcami grzbiet nosa i potrząsa głową.

– Mężczyźni i kobiety, z którymi się spotykam, wszyscy poranieni emocjonalnie, pragną zostać uleczeni, naprawieni, żeby móc wrócić na wojnę. Prawda jest taka, że cokolwiek was napędza przez większość czasu, powrót do czynnej służby jest dokładnie tym, czego potrzebujecie, żeby poczuć się lepiej. Czy wiesz, co dzieje się z większością tych, którzy się na to nie decydują? Czasem udaje im się jakoś z tego wyjść. Wielu z nich wpada w alkoholizm, a niektórzy popełniają samobójstwo.

Spogląda na mnie, wymawiając te ostatnie słowa, i na chwilę wpadam w paranoję. Wydaje mi się, że doktor Hillstead potrafi mi czytać w myślach. Nie mam pojęcia, dokąd to wszystko zmierza. Czuję się wytrącona z równowagi, nieco roztrzęsiona i bardzo niepewna. Wszystko to razem i z osobna niesamowicie mnie wkurza. Na brak komfortu psychicznego reaguję jak typowy Irlandczyk (mam to po mamie) – złość się i obwiniam za wszystko inną osobę.

Doktor Hillstead wyciąga rękę ku lewej stronie biurka, chwyta grubą teczkę z dokumentami, której wcześniej nie zauważyłam, kładzie przed sobą i otwiera ją. Mrużę oczy i ze zdumieniem dostrzegam na okładce moje własne imię.

– To twoje akta personalne, Smoky. Mam je już od jakiegoś czasu i przeczytałem je kilkakrotnie. – Przerzuca kolejne strony, podsumowując zawarte na nich informacje. – Smoky Barrett, urodzona w 1968 roku. Kobieta. Stopień naukowy w dziedzinie kryminologii. Przyjęta do FBI w 1990 roku. Ukończyła szkolenie w Quantico z najlepszymi ocenami. Przydzielona do asystowania przy sprawie Czarnego Anioła w Wirginii w 1991 roku, w funkcji administracyjnej. – Spogląda na mnie. – Ale nie trzymałaś się w tym dochodzeniu z boku,

prawda?

Potrząsam głową, przypominając sobie tamte czasy. Rzeczywiście, nie dałam się posadzić na ławkę rezerwowych. Miałam dwadzieścia dwa lata, byłam kompletnym żółtodziobem, podekscytowanym możliwością pracy jako agent i tym, że stałam się częścią zespołu pracującego nad tak ważnym dochodzeniem, nawet jeśli sama tylko przerzucałam papiery. Podczas jednej z odpraw usłyszałam coś, co utkwiło mi w pamięci. Coś w zeznaniach jednego ze świadków bardzo mi nie pasowało. Położyłam się spać, nadal roztrząsając ten problem, i obudziłam się o czwartej nad ranem z objawieniem, które całe lata później miało stać się dla mnie czymś normalnym. Okazało się, że moja wnikliwość przyczyniła się do całkowitego zwrotu w rozwiązaniu sprawy. Chodziło o kierunek, w którym otwierało się okno. Drobnym, pozornie niewartym zapamiętania detalem, który stał się dla mnie przysłowiowym ziarnkiem grochu pod materacem i w rezultacie doprowadził do schwytania mordercy.

Wtedy nazwałam to zwykłym fartem i zbagatelizowałam mój wkład w śledztwo. Prawdziwe szczęście polegało jednak na tym, że człowiek prowadzący dochodzenie, agent specjalny Jones, był jednym z tych nietypowych szefów, którzy nie przypisują wszystkich zasług sobie i doceniają ludzi za ich zasługi. Nawet jeśli są niedoświadczonymi agentkami. Nadal byłam „nowa”, więc w nagrodę dostałam więcej papierkowej pracy, ale od tamtej chwili moja kariera nabrała rozpędu. Pod czujnym okiem Jonesa przysposobiłam się do pracy w NCAVC^[1], czyli w Centrum Analizy Przepływów Brutalnych – wydziale FBI, który zajmuje się zbrodniami najgorszymi z najgorszych.

– Przydzielona do NCAVC trzy lata później. To dość szybki awans, prawda?

– Zazwyczaj agenci przenoszeni do NCAVC mają dziesięć lat doświadczenia w pracy dla FBI. – Nie mówię tego po to, żeby się chwalić. To fakt.

Doktor czyta dalej:

– Kolejne rozwiązane sprawy, doskonałe oceny pracy. W 1996 roku zostałam koordynatorem oddziału NCAVC w Los Angeles. Miałam za zadanie stworzyć wydajną lokalną komórkę i naprawić stosunki z tutejszym wydziałem policji, naruszone przez twojego poprzednika.

Niektórzy mogliby to uznać za degradację, ale w rzeczywistości zostałaś wybrana do wykonania trudnego zadania. Wtedy naprawdę zaczęłaś błyszczeć.

Wracam myślami do tamtych czasów. „Błyszczenie” to idealne słowo. W 1996 roku wszystko zdawało się iść po mojej myśli. Urodziłam córkę pod koniec zeszłego roku. Przydzielono mnie do biura w LA, co było dla mnie ogromnym powodem do dumy. Między Mattem i mną wszystko układało się świetnie, naprawdę świetnie. Był to okres, w którym co rano budziłam się wypoczęta i podekscytowana.

Wtedy mogłam sięgnąć ręką w bok i znaleźć go obok mnie, tam, gdzie jego miejsce.

Tamte czasy były wszystkim, czym nie jest teraźniejszość. Czuję gniew na doktora Hillsteda za to, że mi o tym przypomniał i sprawił, że przez porównanie z przeszłością mój dzisiejszy dzień stał się jeszcze bardziej pusty i przygnębiający.

– Czy to ma do czegoś prowadzić?

Unosi dłoń.

– Jeszcze chwilę. Oddział w LA nie radził sobie najlepiej. Otrzymałaś wolną rękę w skompletowaniu nowego zespołu i wybrałaś trzech agentów z różnych biur w całych Stanach. W tamtym czasie uważano, że twój wybór był dość nietypowy, ale koniec końców udowodniłaś, że dobrze wybrałaś, prawda?

To akurat, jak sądzę, jest niedopowiedzeniem. Kiwam głową, nadal wkurzona.

– W rzeczywistości twój zespół jest jednym z najlepszych w historii FBI, prawda?

– Najlepsi – nie mogę się powstrzymać. Jestem dumna z moich ludzi i jeśli o nich chodzi, nie potrafię być skromna. Poza tym to prawda. Oddział NCAVC w Los Angeles, znany jako „węzeł koordynacyjny NCAVC”, a wewnętrznie jako „Centrala Śmierci”, zawsze robił, co trzeba. Koniec, kropka.

– Tak. – Przerzuca kilka stron. – Wiele rozwiązanych spraw, kolejne doskonałe oceny i komentarze. Nawet rozważano twoją kandydaturę na stanowisko dyrektora agencji jako pierwszej kobiety w historii. Niezwykłe.

Wszystko to prawda – i wszystko to nadal mnie wkurza, z nie do końca

zrozumiałego powodu. Po prostu czuję, że jestem coraz bardziej wściekła i jeśli tak dalej pójdzie, wpadnę w szał.

– Jeszcze jedna rzecz w twoich aktach rzuciła mi się w oczy. Uwagi na temat twoich zdolności strzeleckich.

Spogląda na mnie, a ja czuję się niemile zaskoczona, chociaż nie wiem dlaczego. Coś się we mnie budzi i rozpoznaję to jako strach. Zaciskam dłonie na podłokietnikach fotela.

– Tu jest napisane, że w strzelaniu z broni ręcznej plasujesz się wśród czołowych dwudziestu procent strzelców na całym świecie. Czy to prawda, Smoky?

Wpatruję się w mojego psychoanalityka, czując, jak cała drętwieję. Mój gniew powoli zanika.

Ja i broń. Wszystko, co powiedział doktor Hillstead, jest prawdą. Mogę wziąć do ręki pistolet i strzelić z niego z podobną łatwością, jak inni jeżdżą na rowerze lub chwytają szklanek wody. To dla mnie odruch i zawsze tak było. W naciskaniu spustu nie ma nic z geniuszu. Nie miałam ojca, który pragnął mieć syna i dlatego nauczył mnie strzelać. W rzeczywistości mój tata nie lubił broni. Po prostu było to coś, co zawsze potrafiłam.

Pamiętam, że kiedy byłam ośmiolatką, mój tata miał przyjaciela służącego w Wietnamie w Zielonych Beretach. Ten to dopiero miał świra na punkcie broni. Mieszkał na zaniedbanym osiedlu domków jednorodzinnych w nędznej dzielnicy San Fernando Valley i pasowało to do niego, bo był wrakiem człowieka. Mimo to do dziś pamiętam jego oczy: bystre, lśniące młodością. Błyszczące.

Miał na imię Dave i kiedyś udało mu się wyciągnąć mojego tatę na strzelnicę w dość nieprzyjemnej okolicy w hrabstwie San Bernardino. Tata zabrał mnie wtedy ze sobą, być może z nadzieją, że dzięki temu uda się skrócić czas tej wycieczki do minimum. Dave przekonał tatę, żeby opróżnił kilka magazynków, a ja stałam obok, przyglądając się, w ochronnych słuchawkach, które były za wielkie na moją dziecienną głowę. Obserwowałam ich obu, gdy celowali z broni, i byłam nią zafascynowana. Przyciągała mnie.

– Mogę spróbować? – pisałam.

– To chyba nie najlepszy pomysł, kochanie – odparł tata.

– Och, daj spokój, Rick. Przyniosę jej małą dwudziestkę dwójkę.

Pozwól jej trochę postrzelać.

– Proszę cię, tatku. – Obdarzyłam ojca najlepszym błagalnym spojrzeniem, na jakie było mnie stać. Już wtedy wiedziałam, że pod jego wpływem tata zawsze nagnie się do mojej woli. Popatrzył na mnie, wyraźnie zmagając się sam ze sobą, a potem westchnął.

– No dobrze, ale tylko kilka rund.

Dave przyniósł mi dwudziestkę dwójkę – malutki pistolecik, który pasował do mojej dłoni. Znaleźli też dla mnie jakiś stołek. Dave załadował broń i włożył mi ją w dłonie, stając za moimi plecami. Tata przyglądał się temu wszystkiemu z niepokojem.

– Widzisz tę tarczę, o tam? – spytał. Pokiwałam głową. – Najpierw zdecyduj, gdzie chcesz trafić. Nie spiesz się. Kiedy pociągniesz za spust, zrób to powoli. Nie szarp za niego, bo przez to zejdziesz z celu. Gotowa?

Myślę, że coś odpowiedziałam, ale tak naprawdę ledwie go słyszałam. Miałam w ręku broń i coś we mnie kliknęło. Coś właściwego. Coś, co pasowało do całej reszty mnie. Spojrzałam w dal na tarczę w kształcie ludzkiej sylwetki. Nie wydawała się daleko, zupełnie nie. Była blisko, w zasięgu ręki. Wycelowałam w nią pistolet, odetchnęłam i pociągnęłam za spust.

Byłam zaskoczona i podniecona szarpnięciem małej broni w moich dziecinnych dłoniach.

– A niech mnie! – zapał Dave z zachwytem.

Zmrużyłam oczy, popatrzyłam w kierunku tarczy i zobaczyłam małą dziurkę w samym środku głowy, dokładnie tam, gdzie celowałam.

– Urodzony z ciebie snajper, młoda damo – powiedział. – Spróbuj jeszcze kilka razy.

„Kilka razy” zmieniło się w półtorej godziny strzelania. W ponad dziewięćdziesięciu procentach przypadków trafiałam dokładnie tam, gdzie celowałam. Pod koniec sesji wiedziałam, że będę używała pistoletu do końca życia – i że będę w tym dobra.

Mój tata wspierał to moje hobby przez kolejne lata, pomimo swojej niechęci do broni palnej. Podejrzewam, że wyczuwał, iż stanowi to część mnie, coś, od czego nie będzie w stanie trzymać mnie z daleka.

Prawda? Jestem przerażająco dobra. Nie chwale się tym i nie popisuję publicznie, ale prywatnie? Jestem Annie Oakley^[2]. Potrafię zgasić jednym strzałem świeczkę i zrobić dziurę w dwudziestopięciocentówce

podrzuconej w powietrze. Pewnego razu na strzelnicy położyłam piłeczkę pingpongową na wierzchu tej samej dłoni, którą zawsze sięgałam po broń. Piłeczka leżała sobie spokojnie, a potem moja dłoń sfrunęła w dół, żeby wyciągnąć pistolet. Zdążyłam go podnieść i przestrzelić piłeczkę, zanim spadła na ziemię. Głupi trik, ale dla mnie bardzo satysfakcjonujący.

Wszystko to przebiega mi przez głowę, podczas gdy doktor Hillstead mnie obserwuje.

– To prawda – odpowiadam.

Zamyka akta, składa dłonie i spogląda na mnie.

– Jesteś niezwykłą agentką, z pewnością jedną z najlepszych kobiet w służbie czynnej w historii Biura. Ścigasz najgorszych zbrodniarzy. Sześć miesięcy temu człowiek, którego poszukiwałaś, Joseph Sands, namierzył cię, zabił ci na twoich oczach męża, zgwałcił cię, a potem torturował, na koniec mordując twoją córkę. Wysiłkiem, który można nazwać jedynie nadludzkim, udało ci się odwrócić sytuację i odebrać mu życie.

Czuję się cała odrętwiała. Nie wiem, do czego to wszystko prowadzi, i nic mnie to nie obchodzi.

– A oto ja, przedstawiciel profesji, w której dwa plus dwa nie zawsze równa się cztery i rzeczy nie zawsze spadają na ziemię, kiedy się je upuści. Siedzę tutaj i próbuję ci pomóc wrócić do tego wszystkiego.

Spojrzenie, jakim mnie obdarza, jest tak pełne szczerego współczucia, że muszę odwrócić wzrok. Jego emocje mnie parzą.

– Pracuję w zawodzie od długiego czasu, Smoky. Spotykamy się też już dość długo. Nauczyłem się słuchać pewnych swoich emocji; w swym zawodzie zapewne nazwałabyś je przeczuciami. Oto co moje przeczucia mają do powiedzenia na temat twojej sytuacji. Myślę, że stoisz przed wyborem, czy wrócić do pracy, czy się zabić.

Spoglądam na niego gwałtownie, zszokowana, niechcący przyznając, że to prawda. Odrętwienie spływa ze mnie z bezgłośnym wrzaskiem i pojmuję, że doktor Hillstead mnie podszedł – z ogromną finezją. Krążył wokół tematu, gadał, wypytywał mnie, utrzymywał w nieświadomości, wytrącił z równowagi i wreszcie zadał ostateczny cios – bez wahania, prosto w serce. I podziałało.

– Nie mogę ci pomóc, jeżeli naprawdę nie wyłożysz kawy na ławę,

Smoky. Bez ściemniania.

Znów ten pełen współczucia wzrok, jak dla mnie zbyt prawdziwy, szczerzy i dobroduszny w tej chwili. Jego oczy są niczym dwie dłonie wyciągające się w kierunku moich ramion i potrząsające mną mocno. Czuję piekące łzy w oczach, ale kiedy na niego spoglądam, w moim wzroku płonie gniew. Doktor Hillstead chce mnie złamać, tak jak ja złamałam wielu kryminalistów w wielu pokojach przesłuchań. Pieprzyć to!

Doktor Hillstead wydaje się wyczuwać moje nastawienie i uśmiecha się do mnie łagodnie.

– W porządku, Smoky, nie ma sprawy. Jeszcze tylko jedna rzecz.

Otwiera szufladę w biurku i wyciąga z niej plastikową torbę na dowody rzeczowe. Najpierw nie jestem w stanie dostrzec, co się w niej znajduje, ale kiedy już to widzę, czuję, jak jednocześnie przechodzi mnie zimny dreszcz i oblewają poty.

To mój pistolet. Ten, który nosiłam przy boku przez wiele lat. Ten, za pomocą którego zastrzeliłam Josepha Sandsa.

Nie mogę oderwać od niego wzroku. Znam tę broń jak własną twarz. Glock, śmiertelnie niebezpieczny, czarny. Wiem, ile waży, jak układa się w dłoni – pamiętam nawet jego zapach. Leży teraz w plastikowej torebce, a jego widok napełnia mnie nieopisanym przerażeniem.

Doktor Hillstead otwiera torbę, wyciąga z niej broń i kładzie na biurku przed nami. Spogląda na mnie znowu, ale tym razem twardo, bez krztyny współczucia. Skończyły się żarty. Zaczynam rozumieć, że to, co uważałam za jego ostateczny cios, było tylko przygrywką. Z przyczyn, których nie pojmuję, ale on najwyraźniej tak, to właśnie ma mnie złamać. Moja własna broń.

– Ile razy miałaś w ręku ten pistolet, Smoky? Tysiąc? Dziesięć tysięcy?

Oblizuję suche jak pieprz wargi. Nie odpowiadam. Nie umiem oderwać wzroku od glocka.

– Weź go, tu i teraz, a ja zarekomenduję cię jako gotową do powrotu do aktywnej służby, jeśli oczywiście tego chcesz.

Nie potrafię odpowiedzieć ani nie potrafię oderwać wzroku od pistoletu. Zdaję sobie sprawę, że znajduję się w gabinecie doktora Hillsteada, który siedzi naprzeciwko mnie, ale całe otoczenie wydaje się zawęzać do jednego świata: mnie i mojej broni. Dźwięki przestają do

mnie docierać, a w głowie mam dziwną, nieruchomą, milczącą pustkę. Słyszę tylko łomotanie mojego serca – szybkie, gwałtowne.

Znów oblizuję usta. Po prostu sięgnij i weź go do ręki, mówię sobie. Tak jak powiedział, robiłaś to dziesięć tysięcy razy. Ten pistolet jest przedłużeniem twojej dłoni. Chwytnie go jest odruchem bezwarunkowym, jak oddychanie lub mruganie powiekami.

Glock leży wciąż na biurku, a moje zeszywniałe dłonie pozostają zaciśnięte na podłokietnikach fotela.

– Dalej. Weź go do ręki. – Jego głos staje się twardy. Nie brutalny, lecz nieustępliwy.

Udaje mi się oderwać jedną dłoń od oparcia fotela i przesuwam ją do przodu z całą siłą woli, na jaką mnie stać. Ręka nie reaguje i część mnie, ta bardzo mała część, która pozostała chłodna, analityczna, nie może uwierzyć w to, co się dzieje. Od kiedy to czynność, która była odruchem, stała się nagle najtrudniejszą rzeczą do wykonania?

Jestem świadoma potu spływającego strumieniami po moim czole. Cała drzę i pole widzenia powoli zaczyna mi się zawężać. Mam trudności z oddychaniem i czuję wzbierającą we mnie panikę – klaustrofobiczne, wypełniające, duszące uczucie. Moje ramię dygocze niczym drzewo szarpane wichurą. Mięśnie kurczą się co rusz spazmatycznie niczym kłębowisko węży. Moja dłoń powoli zbliża się do broni, aż wreszcie zawisa nad nią. Teraz dygoczę jeszcze bardziej, na całym ciele, i pocę się wszystkimi porami skóry.

Zrywam się z fotela, przewracając go do tyłu, i krzyczę.

Krzyczę i biję się dłońmi po głowie. Czuję, że z piersi zaczyna mi się dobywać szloch, i wiem, że doktor Hillstead dopiął swego. Złamał mnie, otworzył, wypruł ze mnie flaki. Fakt, że uczynił to, aby mi pomóc, nie przynosi ulgi, zupełnie nie. W tej chwili wszystko jest bólem, bólem, bólem.

Odsuwam się od biurka w kierunku ściany z lewej strony i osuwam się po niej w dół. Słyszę swój własny jęk, coś w rodzaju żałosnego zawodzenia. To naprawdę okropny dźwięk. Rani mnie jak zawsze. Słyszałam go zbyt wiele razy. To odgłos, jaki wydaje człowiek, który przeżył, gdy tylko zdaje sobie sprawę, że on wciąż żyje, chociaż wszystko, co kochał, zginęło. Słyszałam go z ust matek, mężów, przyjaciół, którzy identyfikowali ciała w kostnicy i gdy słyszeli z moich ust wieści o śmierci

najbliższych.

Zastanawiam się, dlaczego nie czuję się zażenowana, ale nie ma we mnie miejsca na wstyd. Ból wypełnił mnie całkowicie.

Doktor Hillstead podchodzi bliżej. Nie przytula mnie ani nie dotyka. To niewłaściwe zachowanie dla psychoterapeuty. Czuję go jednak. Jest przykucniętą rozmazaną sylwetką tuż przede mną, a moja nienawiść do niego właśnie osiągnęła perfekcję.

– Mów do mnie, Smoky. Powiedz mi, co się dzieje.

W jego głosie słyszę tak szczerą życzliwość, że wzbudza to we mnie nową falę cierpienia. Udaje mi się coś powiedzieć, łamiącym się głosem, przerywanym szlochami.

– Nie potrafię tak żyć, nie potrafię tak żyć bez Matta, bez Alexy, bez miłości, bez życia, wszystko zniknęło, wszystko zniknęło i...

Moje usta układają się w kształt kółka. Czuję to. Spoglądam na sufit, chwytam się za włosy i udaje mi się wyrwać dwie pełne garście, zanim tracę przytomność.

[1] Ang. National Center for the Analysis of Violent Crime (przyp. tłum.).

[2] Amerykańska kobieta strzelec wyborowy, która przez ponad 16 lat występowała w rewii Buffalo Billa *Wild West Show*. W czasie I wojny światowej organizowała pokazy strzeleckie i szkolenia dla żołnierzy (przyp. tłum.).

3

To dziwne, że demon potrafi przemawiać takim głosem. Stoi nade mną, wysoki na trzy metry. Ma oczy z agatu i głowę pokrytą zgrzytającymi zębami i krzyczącymi ustami. Oblepiające go łuski są czarne i wyglądają jak zrobione z czegoś spalonego. Ale jego głos jest nosowy, niemal z południowym akcentem.

– Uwielbiam pożerać dusze – mówi gawędziarskim tonem. – Nie ma to jak pochłonąć coś przeznaczonego do życia w niebie.

Jestem naga, przywiązana do łóżka srebrnymi łańcuchami, cienkimi, lecz niemożliwymi do przerwania. Czuję się jak Śpiąca Królowa, która przez przypadek znalazła się w historii rodem z H.P. Lovecrafta. Budzi mnie do życia liźnięcie rozdwojonego języka, a nie delikatny pocałunek bohatera. Nie mogę wydobyć z siebie głosu. Usta mam zakneblowane jedwabną chustą.

Demon stoi u stóp łóżka, spoglądając na mnie i mówiąc. Wydaje się jednocześnie swobodny i zaborczy. Wpatruje się we mnie z dumą, z jaką myśliwy przygląda się ustrzelonej sarnie, którą przywiązał na dachu swojego wozu.

Demon macha ząbkowanym żołnierskim nożem, który trzyma w ręku. Broń wydaje się dziwnie drobna w jego ogromnej szponiastej dłoni.

– Ale ja lubię moje dusze dobrze podsmażone i przyprawione na ostro! Twojej czegoś brakuje... może odrobiny agonii i szczypty bólu?

Jego oczy stają się puste, a z kłów spływa mu czarna ślina, wyglądająca jak ropa. Ścieka po brodzie prosto na ogromną łuskowatą pierś. Demon nie zdaje sobie z tego sprawy i to jest przerażające. Nagle uśmiecha się chytrze, pokazując garnitur ostrych zębów, i grozi mi żartobliwie szponiastym palcem.

– Mam tu też kogoś innego, kochanie. Moja słodka, słodka Smoky.

Odsuwa się na bok, odsłaniając mego księcia, tego, którego pocałunek powinien mnie przebudzić. Mojego Matta. Mężczyznę, którego znałam od siedemnastego roku życia. Człowieka, którego znałam tak dobrze, jak tylko można kogoś znać. Jest nagi, przywiązany do krzesła, pobity, długo, mocno, okropnie. To rodzaj bicia zaprojektowany tak, aby wyrządzić jak największą krzywdę bez spowodowania śmierci. Rodzaj bicia, które wydaje się trwać wiecznie, które zabija wszelką nadzieję, utrzymując ciało przy życiu. Matt ma spuchnięte jedno oko, złamany nos i wybite kilka zębów, po których puste miejsca wycierają zza zmasakrowanych warg. Jego dolna szczęka jest potrzaskana, bezkształtna. Sands dobrał się do Matta za pomocą swojego noża. Widzę na jego piersi i brzuchu długie nacięcia. I krew. Tyle krwi, wszędzie. Krew ciekąca z ust Matta, pieniąca się, gdy oddycha. Krew, którą demon rozmazał na brzuchu Matta, grając w kółko i krzyżyk. Widzę, że kółka wygrały.

Otwarte oko Matta spogląda na mnie i perfekcja rozpacz, którą w nim dostrzegam, wypełnia mój umysł przeraźliwym wyciem – potwornym, unicestwiającym duszę dźwiękiem z głębi serca, z samego środka mnie. Głos czystego horroru. Huraganowy skrzek na tyle potężny, że potrafi zniszczyć cały świat. Wypełnia mnie gniew tak kompletny, tak intensywny i wszechogarniający, że niszczy wszelką świadomą myśl z siłą bomby atomowej. To wściekłość obłędu, kompletna ciemność podziemnej groty. Zaćmienie duszy.

Skrzeczę przez knebel jak zwierzę, tak głośno, że moje gardło powinno krwawić, a uszy eksplodować od wibracji. Rzucam się w łańcuchach tak gwałtownie, że przecinają moją skórę. Oczy wychodzą mi na wierzch, jakby chciały wyskoczyć z oczodołów. Gdybym była psem, pieniałabym się teraz na pysku. Pragnę tylko jednego: zerwać łańcuchy i zabić demona gołymi rękami. Chcę go rozedrzeć na strzępy tak, żeby nie można go było rozpoznać. Chcę rozwalić go na atomy, które go stworzyły, i zetrzeć demona w pył.

Ale moje więzy są zbyt mocne. Nie dają się przerwać ani nawet poluzować. Przez cały czas demon przygląda mi się z fascynacją, opierając jedną rękę na głowie Matta w koszmarnej parodii ojcowskiego gestu.

Rechocze, potrząsa monstrualną głową, a jego liczne usta jęczą w proteście. Znowu przemawia głosem, który zupełnie nie pasuje do jego postaci.

– Proszę bardzo! Gotujemy i polewamy, podpiekamy i podsmażamy. – Mruga. – Nie ma to jak odrobina desperacji, żeby wydobyć smak bohaterskiej duszy... – Przerzywa, a potem poważnieje na chwilę. Jego głos wypełnia się swego rodzaju perwersyjnym żalem. – Nie wiń siebie za to wszystko, Smoky. Nawet bohater nie może zawsze wygrywać.

Kieruję wzrok na Matta i spojrzenie jego oka wystarcza, żebym zapragnęła umrzeć. Nie patrzy na mnie ze strachem, bólem czy przerażeniem. Spogląda na mnie z miłością. Na krótką chwilę udaje mi się wypchnąć demona poza granice świata tej sypialni i jesteśmy tu tylko my dwoje, patrząc na siebie.

Jednym z darów długiego małżeństwa jest zdolność przekazywania sobie wszystkiego – od lekkiego niezadowolenia do sedna życia – w jednym spojrzeniu. To coś, co człowiek buduje, splatając swoją duszę z duszą małżonka, oczywiście jeśli chce tej wspólnoty dusz. Matt spogląda na mnie właśnie w ten sposób, mówiąc mi trzy rzeczy zawarte w tym jednym, pięknym oku: przepraszam, kocham cię i... żegnaj.

Czuję się, jakbym obserwowała koniec świata. Nie płomień i ogień, lecz zimne, wszechobecne cienie. Ciemność, która będzie trwać wiecznie.

Demon wydaje się również to wyczuwać. Rechocze znowu i wykonuje mały taniec, wymachując ogonem i ociekając ropą na całym ciele.

– Ach, *amore*. Jakie to słodkie. Wisienka na czubku mojego deserku ze Smoky: śmierć miłości.

Drzwi do pokoju otwierają się i zamykają. Nie widzę, żeby ktoś wszedł... Dostrzegam za to małą ocienioną sylwetkę na granicy zasięgu wzroku. Coś w tej sylwetce wypełnia mnie rozpaczą.

Matt zamyka oko i znowu czuję gniew. Szarpnię krępujące mnie łańcuchy.

Nóż opada, słyszę mokry, tnący, rozcinający dźwięk i Matt wyje przez rozbite usta, a ja wrzeszczę poprzez knebel. Książę z Bajki umiera, Książę z Bajki umiera...

Budzę się z krzykiem.

Leżę na kanapie w gabinecie doktora Hillsteda, który klęczy koło mnie, dotykając mnie nie dłońmi, lecz słowami.

– Ciiii, Smoky. Wszystko w porządku, to tylko sen. Jesteś tutaj, jesteś bezpieczna.

Dygocę cała i jestem mokra od potu. Na moich policzkach wysychają łzy.

– Dobrze się czujesz? – pyta. – Wróciłaś?

Nie mogę na niego patrzeć. Powoli siadam.

– Dlaczego to zrobiłeś? – szepczę. Skończyłam z udawaniem przed moim terapeutą, że jestem silna. Rozbił mnie, wycisnął i teraz trzyma moje wciąż bijące serce w swoich dłoniach.

Nie odpowiada od razu. Wstaje, chwytając krzesło i przysuwa je w pobliże kanapy. Siada na nim i chociaż nadal nie mogę na niego patrzeć, czuję na sobie jego wzrok. Jest niczym ptak uderzający skrzydłami o szybę – nieśmiały, lecz nieustępliwy.

– Zrobiłem to, ponieważ... musiałem. – Milknie na chwilę. – Smoky, pracuję z FBI i innymi organami ochrony prawa już przez niemal dziesięć lat. Wszyscy jesteście stworzeni z niezwykle odpornego materiału. Widziałem w tym gabinecie najlepsze przejawy człowieczeństwa. Poświęcenie. Odwagę. Honor. Poczucie obowiązku. Oczywiście zdarzyło się też trochę zła czy korupcji, ale to wyjątek, nie reguła. Przeważnie zaś widzę siłę. Niesamowitą siłę. Siłę charakteru, moc ducha. – Przerzywa i wzrusza ramionami. – W mojej profesji nie powinniśmy rozmawiać o duszy. Nie powinniśmy właściwie w nią wierzyć. Dobro i zło? To szeroka koncepcja, a nie wąskie definicje. – Spogląda na mnie ponuro. – Ale to nie są tylko pojęcia, prawda?

Nadal wpatruję się w swoje dłonie.

– Ty i twoi koledzy po fachu traktujecie swoją siłę jak talizman. Zachowujecie się, jakby płynęła z niewyczerpanego źródła. Jak Samson i jego włosy. Zdajecie się sądzić, że jeśli się złamiecie i naprawdę przede mną otworzycie, stracie swoją moc i nigdy jej już nie odzyskacie. – Milknie, tym razem na dłużej. Czuję się pusta, osamotniona. – Robię to już od jakiegoś czasu, Smoky, a ty jesteś jedną z najsilniejszych osób, jakie znam. Mogę z niemal całkowitą pewnością powiedzieć, że żaden z moich byłych pacjentów nie byłby w stanie znieść tego, co wycierpiał i przez co nadal cierpisz. Absolutnie żaden z nich.

Udaje mi się wreszcie na niego spojrzeć. Zastanawiam się, czy sobie ze mnie nie żartuje. Silna? Nie czuję się silna. Czuję się słaba. Nie jestem

nawet w stanie wziąć do ręki własnej broni. Spoglądałam na niego, a on na mnie, tym nieruchomym wzrokiem, który natychmiast, z szokiem, rozpoznaję. Patrzyłam w ten sam sposób na pełne krwi miejsca przestępstwa, na rozczłonkowane zwłoki. Jestem w stanie spoglądać na te horrory bez zmrużenia powieką. Doktor Hillstead obserwuje mnie w podobny sposób i pojmuję, że to jego dar: potrafi spojrzeć na potworność duszy i nie odwrócić wzroku. Jestem jego sceną zbrodni i nigdy nie odwróci się ode mnie z obrzydzeniem czy odrazą.

– Zdaję sobie jednak sprawę, że jesteś u kresu wytrzymałości, Smoky – odzywa się znowu. – A to oznacza, że mogę zrobić jedną z dwóch rzeczy: przyglądać się, jak się załamujesz i umierasz, lub zmusić cię, żebyś się przede mną otworzyła i pozwoliła mi sobie pomóc. Wybieram to drugie.

Czuję prawdę wyzierającą z jego słów, ich szczerość. Obserwowałam setki łączących kryminalistów. Moim skromnym zdaniem potrafię wyczuć kłamstwo, nie przerywając sobie snu. Doktor Hillstead mówi prawdę. Chce mi pomóc.

– Teraz przyszedł czas na twój ruch. Możesz wstać i wyjść stąd, albo możemy pociągnąć to dalej. – Uśmiecha się do mnie, zmęczony. – Jestem w stanie ci pomóc, Smoky. Naprawdę. Nie mogę odwrócić biegu historii. Nie mogę ci obiecać, że nie będziesz czuła tego bólu do końca życia, ale potrafię ci pomóc. Jeżeli mi pozwolisz.

Wpatruję się w mojego psychoterapeutę i czuję walkę rozgrywającą się wewnątrz mnie. Doktor Hillstead ma rację. Jestem żeńską wersją Samsona, a on męską Dalilą, z tym wyjątkiem, że przekonuje mnie, iż tym razem obcięcie włosów nie będzie mnie bolało. Prosi mnie, abym mu zaufała w sposób, w jaki nie ufam nikomu. Poza sobą samą.

I...? – pyta we mnie cichy głosik. W odpowiedzi zamykam oczy. No tak. I poza Mattem.

– W porządku, doktorze Hillstead. Wygrał pan. Spróbuję.

Wiem, że wybrałam dobrze w chwili, gdy wypowiedziałam te słowa, bo przestaję się trząść.

Zastanawiam się, czy to, co powiedział, jest prawdą. Chodzi o moją siłę. Czy mam jej wystarczająco, żeby żyć?

Stoję przed wejściem do oddziału FBI w Los Angeles, na Wilshire. Spoglądam na budynek, usiłując coś poczuć na jego widok.

Nic.

Nie jest to miejsce, do którego w tej chwili przynależę. Czuję, jak mnie ocenia, spogląda na mnie, krzywiąc twarz z betonu, stali i szkła. Zastanawiam się, czy tak postrzegają to miejsce cywile. Jako coś imponującego i być może głodnego?

Dostrzegam swoje odbicie w szklanych drzwiach frontowych i krzywię się gdzieś w głębi siebie. Zamierzałam założyć garsonkę, ale wydało mi się to nieco zbyt dużym zobowiązaniem do odniesienia sukcesu. Dresy z kolei – nieco za małym. W ramach niezdecydowania postanowiłam założyć dzinsy, koszulę na guziki i buty na płaskim obcasie. Pomalowałam się też delikatnie. Teraz to wszystko wydaje mi się zupełnie nie na miejscu i mam ochotę uciec, pobiec daleko stąd.

Emocje przetaczają się przeze mnie niczym fale sztormu, pieniające się i załamujące z hukiem. Strach, obawa, gniew, nadzieja.

Doktor Hillstead zakończył naszą sesję z jednym poleceniem: Zobacz się ze swoimi ludźmi.

– To nie jest dla ciebie wyłącznie praca, Smoky. To coś, co zdefiniowało twoje życie, co stało się częścią ciebie, tego, kim jesteś. Czym jesteś. Zgodzisz się ze mną?

– Tak, to prawda.

– A ludzie, z którymi pracujesz... niektórzy z nich są twoimi przyjaciółmi?

Wzruszyłam ramionami.

– Dwoje z nich to moi najlepsi przyjaciele. Usiłowali się ze mną

skontaktować, pomóc, ale...

Doktor Hillstead uniósł pytająco brwi, chociaż znał odpowiedź na to pytanie.

– Ale nie widziałaś się z nimi od czasu wyjścia ze szpitala.

Przyszli mnie odwiedzić, kiedy nadal byłam cała owinięta bandażami niczym mumia. Zastanawiałam się wtedy, dlaczego wciąż żyję, i pragnęłam, żeby to nie była prawda. Usiłowali zostać, lecz poprosiłam, by sobie poszli. Potem telefonowali do mnie wiele razy, ale pozwoliłam rozmowom przełączać się na pocztę głosową i nigdy nie oddzwaniałam.

– Nie chciałam wtedy nikogo widzieć. A potem... – Zawiesiłam głos.

– A potem co? – ponaglił mnie.

Westchnęłam i wskazałam na moją twarz.

– Nie chciałam, żeby mnie taką zobaczyli. Nie zniosłabym współczucia w ich oczach. Za bardzo by mnie to bolało.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę i doktor Hillstead powiedział, że pierwszym krokiem, abym ponownie mogła chwycić do ręki mój pistolet, jest spotkanie się twarzą w twarz z moimi przyjaciółmi.

Więc jestem tutaj.

Zaciskam zęby, przywołuję ten mój irlandzki upór i wchodzę przez drzwi.

Zamykają się za mną po cichu i przez moment jestem uwięziona między marmurową posadzką i wysokim sufitem. Czuję się odsłonięta niczym królik w szczerym polu.

Przechodzę przez bramkę wykrywaczy metalu i pokazuję moją odznakę. Strażnik pełniący służbę jest czujny, ma twarde, wnikliwe spojrzenie. Jego oczy rozbłyskują lekko na widok moich szram.

– Przyszłam zobaczyć się z ludźmi z Centrali Śmierci oraz z zastępcą dyrektora – wyjaśniam, z jakiegoś powodu czując, że muszę mu wszystko powiedzieć.

Strażnik obdarza mnie uprzejmym uśmiechem, który mówi, że mało go to obchodzi. Mam wrażenie, że jeszcze bardziej się wygłupiłam i obnażyłam. Ruszam w kierunku lobby z windami, przeklinając samą siebie pod nosem.

Ląduję w windzie z kimś, kogo nie znam i kto wprawia mnie w jeszcze większe zakłopotanie (o ile to możliwe), nieumiejętnie ukrywając ukośne spojrzenia rzucone na moją twarz. Staram się to ignorować i kiedy

docieramy do mojego piętra, wychodzę z windy może nieco szybciej niż zwykle. Serce tłucze mi się gwałtownie w piersi.

– Weź się w garść, Barrett – warczę do siebie. – Czego się spodziewałaś, skoro wyglądasz jak dzwonnik z Notre Dame? Pozbieraj się wreszcie.

Rozmowa z samą sobą zazwyczaj działa i ta chwila nie jest wyjątkiem. Czuję się lepiej. Ruszam w głąb korytarza i docieram do drzwi, za którymi mieści się moje biuro. Znów wyczuwam, jak wzrasta we mnie strach, wypierając nonszalancję, do jakiej się zmusiłam. Dostrzegam podobieństwa, tak myślę. Przechodziłam przez próg tego pokoju bez zastanowienia więcej razy, niż potrafię zliczyć. Częściej, niż miałam w ręku broń. Czuję jednak podobny strach, tylko w nieco bardziej minorowej tonacji.

Zdaję sobie sprawę, że za tymi drzwiami znajduje się życie, które zostawiłam za sobą. Ludzie, którzy są jego częścią. Czy mnie zaakceptują? A może dostrzegą jedynie złamaną duszę w masce potwora, przywitają się ze mną wylewnie, a potem odeślą mnie do domu? Czy poczuję dziesiątki par oczu wypalających mi dziury w plecach?

Potrafię sobie wyobrazić ten scenariusz z wyrazistością, która mnie przeraża. Czuję panikę. Spoglądam nerwowo na korytarz. Drzwi windy nadal są otwarte. Wystarczy, żebym odwróciła się na pięcie i pobiegła. Pobiegła i nie przestała biec. Biec, biec i biec, i biec, i biec, aż moje czółenka wypełnią się potem. Kupić paczkę marlboro, wrócić do domu i palić, rechocząc w ciemności. Płakać bez powodu, wpatrywać się w swoje blizny i zastanawiać się nad życzliwością obcych. Ten scenariusz wydaje mi się tak atrakcyjny, że aż przechodzi mnie dreszcz. Chcę zapalić papierosa. Pragnę bezpieczeństwa mojej samotności i bólu. Chcę zostać sama, żeby móc powoli tracić rozum i...

...a potem słyszę Matta.

Śmieje się.

To ten jego cichy śmiech, który tak zawsze kochałam, chłodny powiew dobroci i zrozumienia. *No taaaaaak, kochanie... usiłujesz prysnąć przed niebezpieczeństwem. Cała ty.* To był jeden z jego darów – zdolność besztania kogoś bez jednoczesnego wyśmiewania go.

– Może teraz taka jestem – mruczę. Chcę, żeby zabrzmiało to wyzywająco, ale drżąca broda i wilgotne od potu dłonie utrudniają mi

zadanie.

Czuję, jak Matt się uśmiecha – delikatnie, triumfująco i niezupełnie realnie.

Cholera!

– Dobra, dobra, już dobra – mruczę do ducha, chwytając za klamkę.

Wypycham Matta ze swoich myśli i otwieram drzwi.

5

Wpatruję się we wnętrze pokoju, nie wchodząc do niego. Ogarnia mnie czyste, obezwładniające, wywołujące mdłości przerażenie. Przychodzi mi do głowy, że to właśnie jest sednem wszystkiego, czego najbardziej nienawidzę w moim życiu, od kiedy zdarzyła się „wielka zła rzecz”. Nieustająca niepewność. Jedną z cech, które zawsze u siebie lubiłam, było moje zdecydowanie. Wydawało się to takie proste – postanowić coś i wykonać to. A teraz ciągle słyszę w głowie: *a co jeśli, co jeśli, co jeśli, nie tak, nie może, idź, zatrzymaj się, co jeśli, co jeśli, co jeśli...* a w tle tego wszystkiego jeszcze to: *boję się...*

Boże, jak ja się boję. Przez cały czas. Budzę się w strachu, chodzę w strachu, kładę się spać w strachu. Jestem ofiarą. Nienawidzę tego, nie mogę od tego uciec i tęsknię za tą wrodzoną pewnością własnej nienaruszalności, która była częścią mnie. Wiem również, że bez względu na to, jak dobrze zaleczą się moje rany, owa pewność siebie nigdy nie powróci. Nigdy.

– Weź się w garść, Barrett – mówię.

To kolejna rzecz, którą teraz robię: snuję się bez celu, nigdy nigdzie nie docierając.

– Więc to zmień – mruczę do siebie.

Ach tak, i jeszcze to, że gadam do siebie.

– Jesteś napławdę zwałjowanym kłóliczkiem, Bałlett – szepczę.

Jeden głęboki oddech i przekraczam próg.

Biuro nie jest zbyt duże. Takie, by pomieścić naszą czwórkę, biurka, komputery, mały pokój konferencyjny, telefony i korkowe tablice, upstrzone zdjęciami przedstawiającymi śmierć. Pomieszczenie wygląda tak samo jak wtedy, gdy byłam tu ostatnim razem, sześć miesięcy temu.

Ja jednak czuję, jakbym znalazła się co najmniej na Księżycu.

A potem ich widzę. Callie i Alana, siedzących plecami do mnie, pogrążonych w rozmowie, wskazujących sobie coś na jednej z tablic. James też tu jest, z typową dla siebie zimną intensywnością skoncentrowany na aktach, które leżą przed nim otwarte na biurku. To Alan odwraca się i widzi mnie jako pierwszy. Jego oczy robią się okrągłe jak spodki. Otwiera usta, a ja szykuję się na spojrzenie pełne obrzydzenia.

Alan śmieje się głośno.

– Smoky!

Jego głos jest przepełniony radością i w tym momencie czuję, że jestem ocalona.

6

– O cholera, kochaneczko! Nie będziesz się musiała więcej przebierać na Halloween. – To Callie. To, co mówi, jest szokujące, prostackie i bezduszne. I wypełnia mnie niewymuszoną radością. Gdyby powiedziała lub zrobiła cokolwiek innego, najprawdopodobniej wybuchnąłabym płaczem.

Callie jest wysokim, chudym, długonogim rudzielcem. Wygląda jak supermodelka. Jest jedną z tych pięknych osób, w których wpatrywanie się zbyt długo kończy się tak jak wpatrywanie się w słońce. Ma pod czterdziestkę i stopień magistra medycyny sądowej ze specjalizacją w kryminologii. Jest genialna i kompletnie pozbawiona ogłady. Większość ludzi uważa ją za onieśmielającą. Wielu z nich, po pierwszym rumieńcu zażenowania, decyduje, że Callie jest osobą nieczułą, może nawet okrutną. Nie mogłoby to być dalsze od prawdy. Callie jest lojalna aż do przesady, a jej prawości i charakteru nie złamałyby nawet najgorsze tortury. Jest szczerą, prawdomówną, brutalną w swoich obserwacjach i z zasady nie bawi się w żadne gierki, polityczne, PR-owe czy jakiegokolwiek inne. Bez wahania zasłoniłaby własnym ciałem przed kulą każdego, kogo uważa za przyjaciela.

Jedną z najbardziej niezwykłych cech Callie jest ta, którą najłatwiej przegapić – jej prostota. Twarz, którą pokazuje światu, jest jedyną, którą posiada. Nie wierzy w coś takiego jak wysokie mniemanie o sobie samej i nie ma cierpliwości do ludzi tego pokroju. Prawdopodobnie to właśnie najbardziej dezorientuje tych, którzy surowo ją oceniają: jeżeli człowiek nie jest w stanie znieść jej niewybrednych żartów, nie będzie jej to spędzało snu z powiek. Rozchmurz się albo zostań z tyłu, ponieważ – jak to lubi powtarzać – „jeżeli nie potrafisz się śmiać z samego siebie, na nic

mi się nie przydasz”.

To Callie znalazła mnie po rozgrywce z Josephem Sandsem – naga, krwawiącą, wrzeszczącą i całą umazaną rzygowinami. Callie jak zwykle była ubrana jak spod igły, ale bez najmniejszego wahania chwyciła mnie w ramiona i trzymała mnie mocno, czekając na karetkę. Jedną z ostatnich rzeczy, które pamiętałam, zanim straciłam przytomność, był widok cudnej, szytej na miarę garsonki Callie zrujnowanej moją krwią i łzami.

– Callie... – gani ją Alan, po cichu, poważnie, bez zbędnej gadaniny. Jak to Alan.

Alan jest wielkim, wzbudzającym strach Afroamerykaninem. Jest nie tyle duży, co gargantuiczny, jak góra na dwóch nogach. Jego skrzywiona mina niejedną raz sprawiała, że podejrzany siedzący w pokoju przesłuchań moczył się w gacie. Ironia oczywiście polega na tym, że Alan jest jednym z najmiłszych, najłagodniejszych ludzi, jakich znam. Ma niezwykłą cierpliwość, którą zawsze podziwiałam i której usiłowałam dorównać, i zawsze wstrzykuje ją w dochodzenia. Nigdy się nie męczy lub niecierpliwi przeglądaniem dowodów i sprawdzaniem nawet najmniejszych drobiazgów. Kiedy ściga mordercę, nic nie jest w stanie go zanudzić, a jego oko do szczegółów pozwoliło zakończyć wiele spraw. Alan jest z nas najstarszy, już po czterdziestce, i zanim przyłączył się do naszego zespołu w FBI, przez dziesięć lat pracował jako detektyw w wydziale zabójstw w Los Angeles.

– Co ty tu robisz? – odzywa się nowy głos. Gdyby niezadowolenie było instrumentem, ta wypowiedź byłaby symfonią.

Słowa zostają wypowiedziane bez zbytecznych wstępów lub przeprosin – są bezpośrednie jak Callie, ale pozbawione jej humoru. To James. Za jego plecami nazywamy go Damienem, na cześć bohatera filmu *Omen* – syna Szatana. Najmłodszy z nas wszystkich, zaledwie dwudziestoosmioletni James jest jednym z bodaj najbardziej irytujących i niesympatycznych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Drażni, doprowadza do granicy cierpliwości i potrafi naprawdę wkurzyć. Jeżeli kiedykolwiek trzeba kogoś porządnie zdenerwować, James jest paliwem, które należy dolać w takiej sytuacji do ognia.

Jednocześnie James jest genialny. Całkowicie, totalnie, wstrząsająco, niewiarygodnie genialny. Skończył liceum w wieku piętnastu lat

z najwyższymi ocenami ze wszystkich przedmiotów. Zabiegały o niego uniwersytety, które w jakikolwiek sposób liczą się w naszym kraju. James wybrał college z najlepszą katedrą kryminologii i w ciągu czterech lat dochrapał się doktoratu. Następnie podjął pracę w FBI, co od początku było jego celem.

Kiedy miał dwanaście lat, stracił siostrę przez seryjnego zabójcę, który lubił lampy lutownicze i krzyk młodych kobiet. W dniu, w którym pochował swoją siostrę, James postanowił, że będzie pracował w naszym biurze.

James jest niczym zamknięta księga bez okładki. Wydaje się żyć tylko w jednym celu – żeby robić to, co robimy. Nigdy nie żartuje, nigdy się nie uśmiecha, nigdy nie robi niczego niepotrzebnego. Nie dzieli się z nikim swoim prywatnym życiem ani czymkolwiek, co mogłoby nawet marginalnie odsłonić jego pasje, upodobania czy gusta. Nie mam pojęcia, jaką lubi muzykę i filmy – i czy w ogóle jakieś ogląda.

Byłoby zbyt łatwo i przejrzyście myśleć o nim jako o wydajnym i powodowanym logiką człowieku. O nie – w Jamesie tkwi wrogość, która wydobywa się z niego w krótkich zrywach. Jego dezaprobata potrafi być zajadła, a jego bezmyślność jest wręcz legendarna. Nie mogę powiedzieć, że James syci się wyprowadzaniem z równowagi innych ludzi. Zamiast tego powiem, że Jamesa po prostu nijak to nie obchodzi. Myślę, że jest zawsze wściekły na świat, w którym mogą istnieć osobnicy tacy jak ten, który zabił jego siostrę. Mimo wszystko dawno temu przestałam mu wybaczać jego zachowanie wyłącznie ze względu na niego samego. Zbyt wielki z niego dupek.

Ale jest genialny i jego geniusz oślepią swym blaskiem ludzi wokół niego niczym na stałe włączony flesz. Poza tym James dzieli ze mną zdolność, która nas do siebie zbliża, tworzy między nami swego rodzaju pępowinę. Zupełnie jakbym miała złego brata bliźniaka. James potrafi przeniknąć do umysłu mordercy. Potrafi wślizgnąć się w najdalsze zakamarki jego umysłu, w jego najmroczniejsze zakątki. Umie dostrzec cienie i zrozumieć zło. Ja też to potrafię i często kończyliśmy blisko, współpracując nad poszczególnymi częściami śledztwa, w bardzo intymnym sensie tego słowa. Przez cały ten czas dogadywaliśmy się niczym dwa bliźniacze umysły – wszystko szło gładko, bez przerywania, idealnie. We wszystkich innych chwilach przebywanie w jego

towarzystwie było równie przyjemne jak wyrywanie zębów.

– Mnie też jest miło cię widzieć – odpowiadam.

– Hej, dupku – warczy groźnie Alan.

James zakłada ręce na piersi i obdarza Alana zimnym, niewzruszonym spojrzeniem. Jest to cecha, której nie mogę w nim nie podziwiać. Choć ma tylko metr siedemdziesiąt wzrostu i waży niecałe sześćdziesiąt kilo, prawie nie można go zastraszyć. Niczego się nie boi.

– Tylko zadałem pytanie – odpowiada.

– A może napijesz się wody z kubła, w którym powinieneś stulić mordę?

Kładę dłoń na ramieniu Alana.

– Nie przejmuj się.

Obaj wpatrują się w siebie gniewnie jeszcze przez chwilę. To Alan rezygnuje jako pierwszy, z ciężkim westchnieniem. James przygląda mi się długo, taksując, a potem wraca do przerwanej lektury dokumentów.

– Przepraszam. – Alan potrząsa głową.

Uśmiecham się. Jak mam mu wytłumaczyć, że nawet ten sposób bycia Damiana w tej chwili wydaje mi się *dobrą rzeczą*? Chodzi o niezmienną pewnych rzeczy. James nadal mnie wkurza i jest to swego rodzaju komfortowa sytuacja.

Postanawiam zmienić temat.

– Co nowego słyszeć?

Przechodzę przez całe biuro, przyglądając się biurkom i tablicom. Podczas mojej nieobecności Callie szefowała zespołowi i teraz to ona postanawia odpowiedzieć na moje pytanie.

– Nic się specjalnego nie działo, kochaneczko. – Callie nazywa wszystkich „kochaneczkami”. Legenda głosi, że otrzymała nawet pisemną reprimendę za zwracanie się w ten sposób do dyrektora. Oczywiście to tylko afektacja przyswojona w celu rozrywki. W Callie nie ma nic z południowca. Ta jej emfaza strasznie denerwuje niektórych ludzi. Dla mnie to po prostu Callie. – Żadnego seryjnego, dwa porwania. Pracowaliśmy ostatnio nad niewyjaśnionymi sprawami z archiwum. – Uśmiecha się. – Chyba wszystkie bandziory poszły na urlop razem z tobą.

– Jak wam poszło z porwaniami? – Urowadzenie dzieci to część naszej codzienności, chociaż wszyscy porządni funkcjonariusze organów

ochrony prawa wzdrygają się przed tego typu sprawami. Rzadko bowiem chodzi o pieniądze – przeważnie o seks, cierpienie i śmierć.

– Jedna ofiara odzyskana żywa, druga martwa.

Wpatruję się w tablice, tak naprawdę ich nie widząc.

– Przynajmniej w obu przypadkach odzyskaliście porwanych – mruczę pod nosem. Nader często to się nie udaje. Ktokolwiek myśli, że brak wiadomości to dobry znak, nigdy nie był rodzicem porwanego dziecka. W takim przypadku brak wieści jest niczym rak – nie zabija od razu, tylko powoli, lecz nieuchronnie pustoszy dusze. Znałam rodziców, którzy odwiedzali mnie z nadzieją, że będę miała jakieś informacje na temat ich dzieci – informacje, które nie istniały. Obserwowałam, jak ze spotkania na spotkanie robią się bardziej wychudzeni i zgorzkniali. Widziałam, jak nadzieja umiera w ich oczach, a na ich głowach pojawiają się siwe włosy. W takich przypadkach odnalezienie ciała ich dziecka byłoby błogosławieństwem, ponieważ pozwoliłoby im przynajmniej odbyć żałobę.

Spoglądam na Callie.

– I jak ci się podoba bycie szefem?

Obdarza mnie opatentowanym przez siebie, pozornie wyniosłym uśmiechem.

– Znasz mnie, kochaneczko. Urodziłam się, żeby być królową, a teraz mam wreszcie koronę.

Alan prycha na te słowa i rechocze głośno.

– Nie zwracaj uwagi na tego wieśniaka, moja droga – mówi Callie z lekceważeniem.

Chichoczę – i jest to dobry śmiech. Prawdziwy – taki, który człowieka zupełnie zaskakuje, jak powinien każdy śmiech. Tylko że ten przeciąga się nieco bardziej, niż powinien, a ja nagle z przerażeniem czuję, że do oczu napływają mi łzy.

– O cholera – mamroczę, ocierając twarz. – Przepraszam za to. – Spoglądam na nich i uśmiecham się słabo. – Naprawdę cieszę się, że was widzę. Bardziej niż zdajecie sobie sprawę.

Alan, człowiek-góra, podchodzi do mnie i bez ostrzeżenia obejmuje mnie swoimi masywnymi ramionami. Opieram się tylko przez chwilę, a potem odwzajemniam uścisk i opieram głowę na jego piersi.

– Wiemy to, Smoky – mówi. – Wiemy.

Puszcza mnie i natychmiast Callie odpycha go na bok.

– Wystarczy tych pieszczot – kwituje ostro i spogląda na mnie. – Pozwól, że zabiorę cię na lunch. I nawet nie próbuj odmawiać.

Znowu czuję napływające łzy i potrafię tylko skinąć głową. Callie chwyta torebkę, łapie mnie za ramię i szybko wyprowadza z biura.

– Wracam za godzinę – rzuca jeszcze przez ramię, wypycha mnie za drzwi i zamyka je za nami. Łzy zaczynają toczyć się swobodnie po moich policzkach.

Callie ściska mnie lekko.

– Wiedziałam, że nie chciałabyś się rozryczeć przy Damienie, kochaneczko.

Śmieję się przez łzy i tylko kiwam głową, przyjmując zaoferowaną mi chusteczkę. Pozwalam, aby jej siła prowadziła mnie w tej chwili słabości.

Siedzimy w środku restauracji Subway. Przyglądam się z fascynacją, jak Callie wypełnia swój wyraźnie bezdenne żołądek trzydziestocentymetrową kanapką z klopsikami. Zawsze zastanawiałam się, jak ona to robi. Potrafi wpakować w siebie więcej jedzenia niż zawodnik wspomagający w futbolu amerykańskim, a mimo to nigdy nie przybywa jej ani grama. Uśmiecham się, myśląc, że może to dzięki tym jej jedenastokilometrowym „przebieżkom”, każdego poranka, siedem dni w tygodniu. Callie głośno oblizuje palce, cmokając z takim entuzjazmem, że aż dwie siedzące w pobliżu starsze panie spoglądają na nas z dezaprobatą. Usatysfakcjonowana, wzdycha i rozpiiera się wygodnie na krześle, sącząc swój mountain dew przez słomkę. Nagle uderza mnie, że to właśnie cała istota Callie. Ona nie przygląda się mijającemu życiu, lecz je pożera. Połyka je bez przeżuwania i zawsze wraca po więcej. Uśmiecham się do siebie, a Callie marszczy czoło i grozi mi palcem.

– Wiesz, zabrałam cię na lunch, bo chciałam ci powiedzieć, jak bardzo jestem na ciebie wkurzona, kochaneczko. Nie odpowiadasz na moje telefony ani nawet na maile. To nie do przyjęcia, Smoky. Nie obchodzi mnie, jak bardzo masz w tej chwili popieprzone w głowie.

– Wiem, Callie, i naprawdę cię przepraszam. Mówię szczerze, bardzo, bardzo mi przykro.

Wpatruje się we mnie intensywnie przez dłuższą chwilę. Widziałam, jak obdarza takim spojrzeniem kilku kryminalistów, i czuję, że na nie zasługuję. W końcu jednak wszystko mija i Callie uśmiecha się do mnie promiennie, machając ręką.

– Przeprosiny przyjęte. A teraz najważniejsze pytanie: jak się czujesz? Tak poważnie. Tylko nie wciskaj mi kitu.

Uciekam wzrokiem w bok, wpatruję się w moją kanapkę, aż wreszcie spoglądam z powrotem na Callie.

– Przed dzisiejszym dniem? Fatalnie. Naprawdę źle. Co noc śnią mi się koszmary. Mam depresję i jest tylko coraz gorzej zamiast się poprawiać.

– Myślałaś o popełnieniu samobójstwa, prawda?

Czuję znów drgnięcie zaskoczenia, chociaż nie tak intensywne jak przy doktorze Hillsteadzie. W tej chwili jestem dużo bardziej zawstydzona. Callie i ja zawsze byłyśmy blisko i nasza przyjaźń jest pełna uczucia, wypowiedzianego czy nie. Jest to jednak miłość oparta na sile, a nie na wyplakiwaniu się sobie w rękaw. Boję się, że jeśli Callie poczuje się zmuszona, by mi współczuć, owo cenne uczucie zniknie lub zblednie. Niemniej jednak odpowiadam jej:

– Tak, myślałam o tym.

Kiwa głową, a potem milknie, wpatrując się w coś lub w kogoś w oddali. Mam uczucie *déjà vu*; Callie wygląda jak doktor Hillstead, kiedy stoi na rozstaju dróg i musi podjąć decyzję, w którą z nich skręcić.

– Smoky, to nie jest oznaka słabości, kochaneczko – mówi wreszcie. – Słabością byłoby pociągnięcie za spust. Płacz, koszmary, depresja, myśli samobójcze... to wszystko wcale nie czyni cię słabeuszem. Po prostu oznacza, że cierpisz, a wszyscy mogą cierpieć, nawet Superman.

Wpatruję się w nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Kompletnie brakuje mi słów. Callie nigdy nie robiła takich rzeczy i naprawdę zaskoczyła mnie swoją wypowiedzią. Uśmiecha się do mnie łagodnie.

– Wiesz, że musisz to zwalczyć, Smoky. Nie tylko dla siebie samej, ale też dla mnie. – Upija nieco drinka. – Ty i ja jesteśmy do siebie podobne. Zawsze byłyśmy wspaniałe, wszystko układało się po naszej myśli. Jesteśmy dobre w tym, co robimy... do diabła, zawsze potrafiłyśmy zrobić dobrze wszystko, co postanowiłyśmy, nie sądzisz?

Kiwam głową, oniemiała.

– Powiem ci coś, kochaneczko. Coś filozoficznego. Zapisz to sobie w kalendarzyku, bo nie jestem osobą, która wywnętrza się publicznie. – Odstawia szklankę z napojem. – Wielu ludzi maluje ten sam wyświechtany obrazek: rodzimy się niewinni i z jasnym spojrzeniem, ale życie nas wyczerpuje. Nic nie jest już tak wspaniałe jak kiedyś, i tak dalej, i tak dalej. Zawsze uważałam, że to sranie w banię. Nie każdy człowiek rodzi się niewinny i postrzega świat oczami Normana

Rockwella^[3], prawda? Zapytaj jakiegokolwiek dzieciaka z Watts^[4]. Moim zdaniem nie chodzi o zrozumienie, że życie jest do dupy, tylko o wiedzę, że potrafi ranić. Czy to ma dla ciebie jakiś sens?

– Tak. – Jestem zafascynowana.

– Większość ludzi zostaje zraniona dość wcześnie. Ty i ja miałyśmy szczęście. Ogromne szczęście. W naszej pracy wciąż widzimy cierpienie, ale do tej pory tak naprawdę nas ono nie dotykało. Spójrz na siebie: znalazłaś miłość swojego życia, miałaś śliczne dziecko i do tego jeszcze byłaś fantastyczną agentką federalną, kobietą w męskim zawodzie, pnącą się w górę niczym prawdziwa gwiazda. A ja? Też nie poszło mi najgorzej. – Potrząsa głową. – Udało mi się zachować jako taką skromność, ale fakt faktem, że miałam kilku fajnych facetów i mam to szczęście, że Bozia obdarzyła mnie pięknym ciałem i umysłem. Poza tym jestem dobra w tym, co robię dla FBI. Naprawdę dobra.

– Jesteś – zgadzam się.

– Sama widzisz, kochaneczko. Tak naprawdę żadna z nas nigdy nie doświadczyła prawdziwej tragedii. Pod tym względem byłyśmy do siebie podobne. A potem nagle kule przestały się od ciebie magicznie odbijać. – Potrząsa głową. – A kiedy to się stało, ja nie potrafiłam być już dłużej nieustraszona. Bałam się, naprawdę się bałam, po raz pierwszy w życiu. Od tamtej pory nie przestałam się bać. Bo ty jesteś ode mnie lepsza, Smoky. Zawsze byłaś. I skoro tobie mogło przydarzyć się coś takiego, to z całą pewnością mi też. – Odchyła się na krześle i kładzie dłonie płasko na stole. – Koniec przemowy.

Znam Callie już od dłuższego czasu i zawsze wiedziałam, że kryje w sobie niezgłębione pokłady mądrości, które – odsłaniane bardzo rzadko i tylko na mgnienie oka – stanowiły według mnie część jej uroku i siły. Teraz jednak zasłona odchyliła się na moment. To zupełnie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy pozwalasz się komuś zobaczyć nago. To cała istota zaufania i czuję się tak zaszczycona gestem Callie, że miękną mi kolana. Sięgam nad stołem i chwytam ją za rękę.

– Postaram się, Callie. To wszystko, co mogę obiecać, ale na to daję ci moje słowo.

Ścisną moją dłoń, a potem odsuwa ją. Zasłona znów się zasunęła.

– W takim razie pospiesz się, dobra? Lubię być arogancka i nietykalna i winię ciebie za chwilowy brak powyższych cech.

Uśmiecham się, spoglądając na moją przyjaciółkę. Doktor Hillstead powiedział mi wcześniej, że jestem silna, ale dla mnie to Callie jest pod tym względem moją osobistą bohaterką – moją wyszczekaną świętą patronką od braku szacunku. Potrząsam głową.

– Wrócę za chwilę – mówię. – Muszę skorzystać z toalety.

– Nie zapomnij opuścić kłapy od sedesu – rzuca za mną.

Widzę to, gdy wychodzę z łazienki – i ten widok sprawia, że się zatrzymuję.

Callie nie zdaje sobie jeszcze sprawy z mojej obecności. Jest skoncentrowana na czymś, co trzyma w dłoni. Przesuwam się w bok, tak że drzwi blokują jej mój widok. Wpatruję się w nią uważnie.

Callie wygląda na smutną – nie, nie smutną, lecz zrozpaczoną i osamotnioną.

Widziałam Callie pełną pogardy, łagodną, rozgniewaną, zajadłą, dowcipną – widziałam jej wiele twarzy, ale nigdy nie widziałam jej smutnej. Nie w ten sposób. Jakoś wiem, że nie ma to nic wspólnego ze mną.

Cokolwiek trzyma w dłoni, to sprawia, że moja bohaterka jest niemal pogrążona w żalobie i ten widok mną wstrząsa.

Jestem również pewna, że to sprawa prywatna. Callie na pewno wolałaby nie wiedzieć, że widziałam ją w takim stanie. Może pokazuje światu tylko jedną twarz, ale uważnie wybiera, które jej aspekty będą widoczne. Z całą pewnością nie zdecydowałaby się pokazać mi *tego*, cokolwiek to jest. Wracam do łazienki. Ku mojemu zaskoczeniu zastaję tam jedną ze starszych pań, myjącą dłonie. Spogląda na mnie w lustrze. Wpatruję się w jej oczy, obgryzając paznokieć kciuka w zamyśleniu. Wreszcie podejmuję decyzję.

– Proszę pani, czy mogłabym prosić panią o przysługę?

– O co chodzi, moja droga? – odpowiada bez wahania.

– Moja przyjaciółka siedzi na zewnątrz...

– Niekulturalna i z obrzydliwymi nawykami podczas jedzenia?

Auć!

– Tak, proszę pani.

– I co w związku z nią?

Waham się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że jest teraz zaprzątnięta czymś bardzo prywatnym. Ponieważ ja jestem tutaj, a ona siedzi sama i...

– Nie chcesz jej zaskoczyć w takim momencie, tak?

Natychmiastowe i doskonałe zrozumienie sytuacji sprawia, że milknę i wpatruję się w kobietę. Stereotypy, myślę. Są takie bezużyteczne. Widziałam w niej sztywną, krytykancką wiedźmę, a teraz dostrzegam dobre, łagodne oczy, mądrość i wypracowane do perfekcji zrozumienie absurdów.

– Tak, proszę pani – odpowiadam cicho. – Ona... cóż, ona zawsze będzie się zachowywać prostacko, ale ma największe serce, jakie znam.

Spojrzenie kobiety łagodnieje, a jej uśmiech jest wręcz przepiękny.

– Wielu wielkich ludzi jadało rękoma, moja droga. Zostaw to mnie. Zaczekaj tu pół minuty, a potem możesz wyjść.

– Dziękuję – mówię szczerze i kobieta to wie.

Wychodzi z łazienki bez słowa. Czekam nieco dłużej niż pół minuty i podążam za nią. Wyglądam za róg i unoszę brwi ze zdumienia. Kobieta stoi obok naszego stolika i grozi Callie palcem. Podchodzę do nich.

– Niektórzy ludzie mają ochotę na cichy lunch – mówi kobieta. Ton reprimendy jest jej bronią i używa jej z profesjonalizmem olimpijczyka. Jest to rodzaj tonu, który przeważnie zawstydzą, a nie napełnia gniewem. Moja mama była mistrzynią w jego używaniu.

Callie patrzy chmurnie na kobietę i widzę, że zbiera się na burzę z piorunami. Podchodzę do nich czym prędzej. Kobieta wyświadcza mi przysługę i wolę, żeby nie skończyło się to jej śmiercią.

– Callie – mówię, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Powinniśmy już iść.

Krzywi się jeszcze bardziej, nie spuszczać wzroku z kobiety, która wygląda na równie onieśmiałą, co pies śpiący brzuchem do góry na słońcu.

– Callie – powtarzam z nieco większym naciskiem. Spogląda na mnie, kiwa głową, wstaje i zakłada okulary przeciwsłoneczne wyniosłym teatralnym gestem, który napełnia mnie podziwem. 9, 9, 10, myślę. Niemal idealny wynik. Pojedynek olimpijski królowych śniegu jest w tym roku bardzo zażarty; tłum wrzeszczy z zachwytem...

– Nie mogę się doczekać, żeby stąd wyjść – oświadcza Callie z pogardą. Chwyta torebkę i pochyla głowę w kierunku kobiety. – Żegnam – jej głos

mówi: „*obys zdechła*”.

Pospiesznie wyprowadzam ją z restauracji. Oglądam się jeszcze szybko przez ramię. Kobieta obdarza mnie swoim ślicznym uśmiechem.

Życzliwość obcych znowu daje o sobie znać w ten gorzko-słodki sposób.

Powrót samochodem do kwatery FBI z Callie gotującą się ze złości jest interesujący. Kiwam głową i wymrukuje odpowiedzi we właściwych momentach, kiedy ona mamrocze coś na temat „starych nietoperzyc”, „pomarszczonych, zasuszonych ludzi” i „elitarystycznych mumii”. Moje własne myśli wypełnia smutne spojrzenie, tak obce na twarzy mojej przyjaciółki.

Wreszcie wjeżdżamy na parking i zatrzymujemy się obok mojego wozu.

Uznaję, że na dzisiaj wystarczy. Zastępcę dyrektora FBI odwiedzę innym razem.

– Dzięki, Callie. Powiedz Alanowi, że niedługo znowu wpadnę, choćby tylko po to, żeby się przywitać.

Grozi mi palcem.

– Powiem mu, kochaneczko, ale nie waż się więcej ignorować moich telefonów. Tamtej nocy nie straciłaś wszystkich, którzy cię kochają, i masz przyjaciół również poza pracą. Nie zapominaj o tym.

Odjeżdża z piskiem opon, zanim mam szansę odpowiedzieć. Typowa Callie – zawsze musi mieć ostatnie słowo. Robi mi się cieplej na sercu na myśl, że tak mnie potraktowała.

Wsiadam do samochodu i zdaję sobie sprawę, że zeszłej nocy miałam rację. Dzisiaj był ten dzień. A ja nie zamierzałam wrócić do domu, żeby strzelić sobie w łeb.

Zresztą jak mogłabym to zrobić? Nie potrafiłam nawet wziąć do ręki własnej broni.

[3] Amerykański malarz i ilustrator, znany jako autor okładek dla „Saturday Evening Post”. Jeden z ulubionych ilustratorów Ameryki, przedstawiający amerykańską kulturę w bardzo idealistyczny, sentymentalny sposób (przyp. tłum.).

[4] Dzielnica w Los Angeles, jedna z najniebezpieczniejszych w mieście (przyp. tłum.).

Przeżywam kolejną okropną noc z czymś w rodzaju listy największych przebojów wśród koszmarów sennych. Jest tu Joseph Sands w swoim przebraniu demona i Matt, uśmiechający się do mnie ustami pełnymi krwi. Obraz przemienia się w Callie w restauracji Subway, unoszącą smutny wzrok znad kartki papieru, wyciągającą pistolet i strzelającą w głowę starszej pani przy sąsiednim stoliku. Po wszystkim moja przyjaciółka wraca do siorbania napoju przez słomkę, ale jej usta są zbyt czerwone i zbyt pełne. Dostrzega, że się jej przyglądam, i mruga do mnie, wyglądając jak trup zamykający jedno oko.

Budzę się roztrzęsiona i dociera do mnie dzwonek telefonu. Spoglądam na zegarek: jest piąta nad ranem. Kto może do mnie dzwonić o tej porze? Nie miałam żadnych porannych telefonów od czasu, gdy poszłam na urlop.

Nadal czuję resztki snu wypełniające mój umysł, lecz odpycham koszmarne obrazy i uspokajam się, żeby przestać się trząść, zanim odbiorę telefon.

– Halo?

Po drugiej stronie panuje cisza, a potem słyszę głos Callie:

– Hej, kochaneczko. Przepraszam, że cię budzę, ale... mamy coś, co cię dotyczy.

– Słucham? Co się stało?

Nie odpowiada przez dobrą minutę i zaczynam się już wkurzać. Nadal czuję przeszywające mnie dreszcze.

– Do cholery, Callie, powiedz mi wreszcie!

Wzdycha.

– Pamiętasz Annie King?

– Czy ją pamiętam? – mówię z niedowierzaniem. – Oczywiście, że ją pamiętam. Jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Przeprowadziła się do San Francisco jakieś dziesięć lat temu. Nadal rozmawiamy ze sobą przez telefon mniej więcej raz na pół roku. Jestem matką chrzestną jej córki, więc tak, pamiętam ją. Dlaczego?

Callie milknie znowu.

– Cholera – słyszę jej szept, stłumiony, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. – Nie wiedziałam, że była twoją przyjaciółką. Myślałam, że to po prostu jakaś twoja znajoma.

Czuję, jak ogarnia mnie lodowate przerażenie. Przerażenie i zrozumienie. Wiem, co się stało, a przynajmniej tak sędzę. Muszę jednak usłyszeć to z ust Callie, zanim w to uwierzę.

– Powiedz mi.

Długie zrezygnowane westchnięcie, a potem:

– Annie King nie żyje, Smoky. Została zamordowana w swoim mieszkaniu. Córka żyje, ale jest pogrążona w katatonii.

Dłoń zdrętwiała mi z szoku i czuję, że słuchawka za chwilę wyślizgnie mi się z niej na podłogę.

– Gdzie teraz jesteś, Callie? – mój głos wydaje mi się strasznie słabutki.

– W biurze. Szykujemy się do podróży na miejsce zbrodni. Prywatny odrzutowiec zabiera nas za półtorej godziny.

Mimo szoku wyczuwam dziwne napięcie u Callie. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze czegoś mi nie powiedziała.

– O co chodzi, Callie? Co przede mną ukrywasz?

Waha się, a potem wzdycha.

– Morderca zostawił dla ciebie wiadomość, kochaneczko.

Siedzę przez chwilę w milczeniu, pozwalając jej słowom wsiąknąć w mój umysł.

– Spotkamy się w biurze – mówię i rozłączam się, zanim zdoła coś odpowiedzieć.

Przesuwam się na brzeg łóżka i chowam twarz w dłoniach. Usiłuję się rozplakać, ale moje oczy są całkiem suche. Z jakiegoś powodu przez to ból jest jeszcze większy.

Kiedy pojawiaam się w biurze, jest dopiero szósta. Wczesne poranki są

najlepszą porą na podróż samochodem po LA. Tylko wtedy autostrady nie są zatłoczone. Większość ludzi podróżujących o tej porze jedzie załatwiać szemrane interesy albo już zdążyła to zrobić. Znam dobrze te wczesne poranki. Wiele razy jechałam we mgle i szarości świtu na miejsce krwawych morderstw. Tak jak w tej chwili. Przez całą drogę do biura myślę wyłącznie o Annie.

Poznałyśmy się w liceum, kiedy obie miałyśmy po piętnaście lat. Annie właśnie kończyła swoją karierę cheerleaderki, a ja byłam lekkomyślną chłopczycą, która paliła trawkę i lubiła nadmierną prędkość. W hierarchii licealnej nasze ścieżki nigdy nie powinny się przeciąć, ale przeznaczenie miało swoją własną wizję – a przynajmniej ja zawsze uważałam to za przeznaczenie.

Tak się złożyło, że pewnego dnia w środku lekcji matematyki dostałam okresu. Podniosłam rękę do góry, chwyciłam torebkę, wypadłam z klasy i pobiegłam do łazienki. Płonęłam ze wstydu i miałam nadzieję, że nie będzie tam nikogo innego. Zaczęłam miesiączkować zaledwie osiem miesięcy wcześniej i cała ta sprawa nadal była dla mnie potwornie żenująca.

Zajrzałam do środka i z ulgą dostrzegłam, że w łazience nikogo nie ma. Schowałam się w jednej z kabin i właśnie zamierzałam zająć się moim problemem, kiedy dobiegło mnie pociąganie nosem, sprawiając, że zastygłam z podpaską w dłoni. I znów ten sam odgłos, który tym razem przeszedł płynnie w szloch. Ktoś płakał, dwie kabiny dalej.

Zawsze przyciągało mnie czyjeś cierpienie. Gdy byłam mała, myślałam nawet o tym, by zostać weterynarzem. Kiedykolwiek natykałam się na zranionego ptaka, psa, kota czy inne chodzące lub pełzające żywe stworzenie, zabierałam je do domu. W większości przypadków nieszczęsnym istotom nie udawało się przeżyć, ale czasem tak – i te nieliczne zwycięstwa sprawiały, że kontynuowałam swoją krucjatę. Rodzice na początku uważali, że to słodkie, ale po entej wycieczce do weterynarza „słodkie” stało się wkurzające. Mimo to nigdy nie próbowali mnie zniechęcać do moich wysiłków godnych Matki Teresy.

Gdy dorosłam, zrozumiałam, że moja wrodzona troska rozciąga się również na ludzi. Kiedy ktoś był prześladowany, to chociaż nie wtrącałam się w rozwiązywanie samej sprawy i nie ratowałam ich przed walką, nie mogłam się powstrzymać przed sprawdzeniem po wszystkim,

jak się mają. Zawsze miałam w plecaku małą apteczkę i w ósmej oraz dziewiątej klasie rozdawałam sporo bandaży. Co dziwniejsze, zupełnie nie byłam zawstydzona tą osobliwą cechą mojego charakteru: chociaż konieczność wyjścia z lekcji, żeby poradzić sobie z menstruacją, żenowała mnie bezgranicznie, zupełnie nie obchodziły mnie docinki i przezwiska w stylu „siostra Smoky”. Wiem, że właśnie ta cecha przywiodła mnie ostatecznie do pracy w FBI. Była to decyzja o podążaniu za źródłem cierpienia, czyli kryminalistami, którzy lubili zadawać ból. Wiem również, że to, czego byłam świadkiem w ciągu kolejnych lat mojej pracy, zmieniło moje nastawienie do sprawy. Stałam się dużo ostrożniejsza w tym, o kogo się martwić. Musiałam. Moją apteczką byłam teraz ja sama oraz mój zespół, zaś bandaże zmieniły się w kajdanki i celę więzienną.

Wracając do tamtej chwili – kiedy zdałam sobie sprawę, że w łazience wraz ze mną przebywa jakaś zapłakana istota, szybko rozprawiłam się z podpaską, zapominając całkowicie o wstydzie. Wciągnęłam dzinsy na tyłek i wybiegłam z kabiny, zatrzymując się przed drzwiami, zza których dobiegało chlupanie.

– Ekhm... halo, wszystko w porządku?

Łkanie ustało, chociaż nadal słyszałam pociąganie nosem.

– Idź sobie. Zostaw mnie w spokoju.

Stałam przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się, co robić.

– Jesteś ranna?

– Nie! Po prostu zostaw mnie w spokoju.

Zdałam sobie sprawy, że nie ma żadnej nagłej potrzeby opatrywania ran cielesnych, i postanowiłam zastosować się do życzeń nieznanym osobie, kiedy nagle coś mnie powstrzymało. Przeznaczenie.

Pochyliłam się ostrożnie ku drzwiom kabiny.

– Posłuchaj... czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nikt nie może mi pomóc – odezwał się ponury głos. Nastąpiła cisza, a po niej znów przejmujące łkanie. Nikt nie potrafi płakać tak dramatycznie, jak piętnastoletnia młoda kobieta. Nikt. Piętnastolatki robią to całym sercem, nie tłumią niczego, zupełnie jakby ich egzystencja miała się za chwilę skończyć.

– Daj spokój, nie jest chyba aż tak źle.

Usłyszałam szuranie, a potem drzwi do kabiny otworzyły się z hukiem.

W środku stała bardzo ładna blondynka z zapuchniętą od płaczu buzią. Rozpoznałam ją natychmiast i pożałowałam, że nie posłuchałam jej za pierwszym razem, kiedy powiedziała, żebym ją zostawiła w spokoju. Annie King. Była cheerleaderką – jedną z tych dziewczyn, no wiecie, snobistycznych, idealnych, które wykorzystują swoją urodę i nieskazitelne ciała, by rządzić królestwem szkoły średniej. Nie mogłam nic poradzić na to, co w tamtej chwili pomyślałam. Miałam ją zaszufadkowaną i ocenioną w ten sam sposób, w jaki sama nienawidziłam być szufadkowana. Annie King była wściekła.

– Co ty o tym możesz wiedzieć? – Furia w jej głosie była wymierzona we mnie. Bez oporów, bez umiaru. Wpatrywałam się w nią, czując się niezręcznie, zbyt osłupiała i oniemiała, żeby odpowiedzieć gniewem. Nagle Annie skrzywiła się i cała jej złość wyparowała tak nagle, jak się pojawiła. Po jej policzkach spłynęły łzy. – Pokazał wszystkim moje majtki. Dlaczego zrobił coś takiego po tym wszystkim, co mi powiedział?

– He? Kto... o co chodzi z tymi majtkami?

Czasem, nawet już w liceum, łatwiej jest zwierzyć się komuś obcemu. Annie opowiedziała mi więc wszystko, stojąc ze mną w szkolnej łazience. Przez niemal sześć miesięcy chodziła z rozgrywającym naszej drużyny futbolowej, Davidem Raybornem. Był przystojny, mądry i wydawało się mu naprawdę na niej zależeć. Już od kilku miesięcy zaczął nalegać, żeby w końcu „to zrobili”, ale Annie opierała się jego sugestiom. David był jednak tak szczery w swoich uczuciach wobec niej, że kilka dni temu wreszcie uległa. Był delikatny, czuły. Po wszystkim wziął ją w ramiona i zapytał, czy mógłby zatrzymać jej majteczki na pamiątkę tej chwili. Powiedział, że będzie to taki ich mały sekret, coś, co będą wiedzieli tylko oni dwoje. Było to trochę nieprzyzwoite, ale jednocześnie fajne i nawet odrobinę romantyczne. Z perspektywy czasu, patrząc na to okiem dorosłego człowieka, oczywiście to było głupie, ale wtedy, w wieku piętnastu lat...

– A dzisiaj schodzę sobie z boiska po ćwiczeniach i wszyscy tam stoją. Chłopcy z drużyny. David jest między nimi i wszyscy wytykają mnie palcami, gwizdzą i robią wstretne miny. A potem David to zrobił. – Znów skrzywiła się płaczliwie, a ja skuliłam się w duchu, wiedząc, co zaraz usłyszę. – Wyciągnął je i pokazał wszystkim. Moje majtki. Jak trofeum. A później uśmiechnął się do mnie, mrugnął porozumiewawczo

i powiedział, że to najlepszy dodatek do jego kolekcji.

Po czym biedna cheerleaderka rozplakała się znowu, tym razem na całego. Kolana ugięły się pod nią i opadła na mnie, szlochając, jakby serce jej pękło i nigdy więcej miało się nie udać go zaleczyć. Zawahałam się przez chwilę (ale niezbyt długą), a następnie objęłam ją i trzymałam mocno, kiedy płakała. Przytulałam tą obcą mi osobę i szeptałam jej we włosy, że wszystko będzie dobrze.

Po kilku minutach płacz przeszedł w pociąganie nosem, a po chwili ustało też i to. Annie odsunęła się ode mnie i otarła twarz. Nie potrafiła mi spojrzeć w oczy i zdałam sobie sprawę, że jest nieco zażenowana.

– Wiesz co? Mam pomysł – powiedziałam, podejmując nagłą, niewytłumaczalną i może pochopną decyzję, która jednak wydawała mi się wtedy bardzo słuszna. – Chodźmy stąd. Urwiemy się na resztę dnia.

– Chcesz iść na wagary? – Spojrzała na mnie podejrzliwie.

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się.

– Tak. Tylko na jeden dzień. Myślę, że sobie na to zasłużyłaś, nie sądzisz?

Zawsze myślałam, że jej decyzja była równie nagła, jak moja propozycja. Koniec końców w tamtej chwili nie wiedziała nawet, jak się nazywam. Uśmiechnęła się do mnie lekko.

– Okej – odrzekła.

I tak się poznałyśmy. Tego dnia Annie wypaliła swojego pierwszego jointa (to ja wprowadziłam ją w świat marychy), a po tygodniu zrezygnowała z bycia cheerleaderką. Chciałabym móc powiedzieć, że zemściłyśmy się na Davidzie Raybornie, ale tak się nie stało. Pomimo reputacji dupka dziewczyny nadal się w nim zakochiwały i David kontynuował kolekcjonowanie majtek w ramach trofeum. Stał się gwiazdą wśród rozgrywających i tak było przez całe studia. Udało mu się nawet załapać jako zawodnik rezerwowy na kilka sezonów w drużynie NFL. Można by rzec, że to doskonały dowód na brak sprawiedliwości na tym świecie, lecz równie dobrze można stwierdzić, że dzięki Davidowi rozkwitła moja przyjaźń z Annie – coś tak pięknego i cennego, że byłam w stanie niemal wybaczyć mu to, co zrobił.

Związałyśmy się prawie na poziomie molekularnym, tak jak to potrafią jedynie żołnierze na wojnie i nastolatki. Spędzałyśmy razem większość wolnego czasu poza szkołą. Annie namówiła mnie do zrezygnowania

z palenia trawki – a ja posłuchałam jej rady, zwłaszcza że zaczęłam mieć coraz gorsze stopnie. Ja z kolei pomogłam jej znów zacząć umawiać się na randki. Annie pocieszała mnie, kiedy Buster – pies, którego miałam od piątego roku życia – musiał zostać uśpiony. Ja byłam przy niej, gdy umarła jej babcia. Razem uczyłyśmy się prowadzić samochód i przez cały czas wpadałyśmy w tarapaty i wyciągałyśmy się z nich nawzajem, dorastając, zmieniając się w kobiety.

Nasza znajomość była jedną z najbardziej intymnych, jaką ludzie potrafią nawiązać: była to przyjaźń ciągnąca się od dzieciństwa po dorosłość. Doświadczenia i wspomnienia, które się z niej wynosi, pozostają z człowiekiem na całe życie, aż do grobowej deski.

To, co zdarzyło się później, dzieje się nader często. Skończyłyśmy liceum i do tego czasu byłam już z Mattem. Annie poznała faceta i postanowiła objechać z nim całe Stany przed rozpoczęciem studiów. Ja nie czekałam i poszłam prosto na UCLA^[5]. Zrobiłyśmy to, co wszyscy – przysięgłyśmy sobie utrzymywać kontakt kilka razy w tygodniu, na zawsze – a potem zajęłyśmy się własnym życiem i nie rozmawiałyśmy ze sobą przez prawie rok.

Któregoś dnia wychodziłam właśnie z zajęć i... zobaczyłam Annie. Wyglądała pięknie, swobodnie i poczułam jednocześnie radość, ból i tęsknotę grające we mnie niczym struny w gitarze Gibsona.

– Jak leci, studentko? – spytała, spoglądając na mnie błyszczącym wzrokiem.

Nie odpowiedziałam, ale przytuliłam ją bardzo mocno i długo.

Poszłyśmy na lunch i Annie opowiedziała mi o swoich przygodach. Przemierzyła wszystkie pięćdziesiąt stanów prawie bez pieniędzy. Widziała i robiła wiele rzeczy, uprawiała seks tak często i w tak różnych miejscach, że starczy jej opowieści na całe życie. Pod koniec uśmiechnęła się do mnie i położyła dłoń na stoliku.

– Zobacz – powiedziała.

Na jej palcu dostrzegłam pierścionek zaręczynowy. Pisnęłam z zachwytu, tak jak powinnam, roześmiałyśmy się i zaczęłyśmy rozmawiać o przyszłości i o jej planach weselnych. Było zupełnie jak za czasów licealnych.

Zostałam jej druzną, a ona moją. Przeprowadziła się do San Francisco z Robertem, podczas gdy ja i Matt zostaliśmy w LA. Życia trochę się nam

rozjechały, ale co pół roku lub osiem miesięcy zawsze udawało się nam znaleźć czas, żeby do siebie zatelefonować. A wtedy, gdy zaczynałyśmy rozmawiać, znów powracałyśmy do tamtego dnia, kiedy poszłyśmy razem na wagar, wolne, szczęśliwe i młode.

Robert był dziwakiem i w końcu porzucił Annie. Kilka lat później sprawdziłam go w bazie danych z nadzieją, że miał mnóstwo problemów i był nieszczęśliwy w życiu. Zamiast tego dowiedziałam się, że zginął w wypadku samochodowym. Nadal nie wiem, dlaczego Annie mi tego nie powiedziała.

Kiedy zaczęłam pracować w FBI – tak naprawdę pracować – przerwa między naszymi kolejnymi rozmowami przedłużyła się do roku, a potem do półtora roku. Zgodziłam się być matką chrzestną córki Annie, lecz ze wstydem przyznaję, że widziałam się z jej dzieckiem tylko raz, a ona nigdy nie poznała mojego. Cóż mogę powiedzieć? Życie toczyło się dalej swoim własnym torem, jak zwykle.

Niektórzy mogą mnie za to źle oceniać, ale nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że bez względu na to, czy rozmawiałyśmy co sześć miesięcy, czy co dwa lata, za każdym razem było tak, jakbyśmy widziały się zaledwie wczoraj.

Mniej więcej trzy lata temu umarł ojciec Annie. Pojechałam do niej natychmiast i zostałam na cały tydzień, pomagając, a przynajmniej starając się pomóc. Annie była już starsza, całkiem wyczerpana i zboląa. Pamiętam, że uderzyła mnie ironia losu: jej cierpienie i wiek sprawiły, że wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Wieczorem po pogrzebie, kiedy położyła do łóżka swoją córkę, usiadłyśmy na podłodze w jej sypialni i Annie rozplakała się, a ja trzymałam ją w objęciach i szeptałam uspokajające słowa w jej włosy.

Nie odezwała się do mnie, gdy umarł Matt, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To było dziwactwo Annie: nienawidziła wiadomości, czy to prasowych, czy telewizyjnych, a ja nigdy nie zadzwoniłam do niej z informacją, co się wydarzyło. Nadal nie wiem dlaczego.

Rozmyślałam o Annie w drodze do kwatery FBI, analizując moją reakcję na wieść o jej śmierci. Czułam się smutna, wręcz zdruzgotana, lecz to, co się stało, nie wydawało mi się emocjonalnie aż tak istotne, jak powinno.

Już na parkingu zdałam sobie sprawę, że utraciłam całą swoją

młodość. Miłość mojego młodzieńczego życia i przyjaciółka z młodości – oboje odeszli. Może utrata Matta i Alexy to było zbyt wiele. Może właśnie dlatego nie czułam się aż tak pogrążona w smutku z powodu Annie, jak powinnam być.

A może nie miałam już w sobie więcej miejsca na cierpienie?

– Co ty tu, do diabła, robisz, Smoky?

To agent specjalny Jones, mój dawny przełożony. Teraz jest zastępcą dyrektora naszego oddziału FBI. Jestem zaskoczona, spotykając go tutaj. Nie dlatego, że nie jest zbyt oddany swojej pracy lub że niechętnie powraca w teren. Po prostu zwyczajnie *nie musi* tutaj być, nie wspominając o tym, że Jones zawsze ma co robić. Cóż takiego pilnego jest w tej sprawie?

– Callie do mnie zadzwoniła, sir. Powiedziała mi o Annie King i wspomniała, że morderca zostawił dla mnie wiadomość. Jadę tam z nimi.

Jones potrząsa głową.

– Absolutnie nie ma, kurwa, takiej możliwości. Pomijając fakt, że to twoja przyjaciółka, co oznacza, że powinnaś się trzymać od tej sprawy z daleka, nie dostałaś jeszcze pozwolenia na powrót do pracy.

Callie usiłuje podsłuchiwać i Jones to zauważa. Wskazuje ręką na swój samochód i zapala papierosa, kiedy ruszamy w jego kierunku. Wszyscy stoją przed wejściem do budynku FBI, szykując się do drogi na prywatne lotnisko Van Nuys. Jones zaciąga się głęboko, a ja przyglądam się mu z zazdrością. Zapomniałam zabrać swoich.

– Mogę dostać jednego, sir?

Unosi brwi ze zdziwieniem.

– Myślałem, że rzuciłaś palenie?

– I znowu zaczęłam.

Wzrusza ramionami i podaje mi paczkę. Wyciągam papierosa, a on przystawia zapalniczkę. Biorę przyjemny, długi wdech. Mniem.

– Posłuchaj, Smoky, wiesz, jak to idzie. Pracowałaś tu wystarczająco długo. Twój terapeuta trzyma wszystkie wasze rozmowy w tajemnicy, ale raz na miesiąc dostarcza nam raport z ogólnym podsumowaniem twojego aktualnego stanu.

Kiwam głową. Wiem, że to prawda, i nie odbieram tego jako

naruszenia prywatności. Nie chodzi o to, ani o prawa człowieka, tylko o to, czy można mi znów powierzyć reprezentowanie FBI. I noszenie broni.

– Dostałem raport wczoraj. Mówi, że jeszcze daleka droga przed tobą i nie jesteś gotowa, by wrócić do pracy. Kropka. A teraz pojawiaasz się tu o szóstej rano i chcesz pojechać z nami na miejsce zabójstwa twojej przyjaciółki? – Potrząsa gwałtownie głową. – Jak już mówiłem: absolutnie nie ma, kurwa, takiej możliwości.

Zaciągam się papierosem, ważąc go w palcach. Przyglądam się mojemu przełożonemu i zastanawiam się, co mu powiedzieć. Zaczynam rozumieć, dlaczego tu jest. Ze względu na mnie. Ponieważ morderca napisał do mnie list. Dlatego, że się martwi.

– Sir, proszę mnie wysłuchać. Annie King była moją przyjaciółką. Jej córka nadal żyje i jest tam sama, bez rodziny, bo jej tata zginął przed laty. Ja jestem jej matką chrzestną. Polecę tam tak czy siak. Proszę jedynie o to, żebym mogła się zabrać z agentami na miejsce.

Jones wciąga dym w złą dziurkę i krztusi się, wypluwając z siebie słowa wraz ze śliną.

– P-p-proszę cię! Niezła próba! Wydaje ci się, że z kim ty rozmawiasz, do kurwy nędzy? Co, agentko Barrett? – Celuje we mnie palcem. – Znam cię jak zły szeląg, Smoky. Przestań wciskać mi ten kit. Twoja przyjaciółka nie żyje i oczywiście bardzo mi przykro z tego powodu, ale problem w tym, że chcesz tam pojechać i załapać się na dochodzenie. Taka jest prawda. A ja nie mogę na to pozwolić. Po pierwsze, jesteś zaangażowana emocjonalnie w sprawę, a już samo to na wstępie wyklucza cię ze śledztwa. Podręcznikowy argument. Po drugie, prawdopodobnie masz myśli samobójcze i nie mogę ci pozwolić oglądać miejsca zbrodni w takim stanie psychicznym.

Szczęka mi opada.

– Jezu Chryste! – wykrzykuję z gniewem i wstydem jednocześnie. – Co to, mam jakąś plaketkę na szyi z napisem „Myślałam o zabiciu się”?

Jego wzrok łagodnieje.

– Nie, nie masz żadnej plaketki. Po prostu wszyscy wiemy, że myślelibyśmy o tym samym, gdyby ktokolwiek z nas doświadczył nawet połowy z tego, przez co przeszłaś. – Rzuca niedopałek na chodnik i nie patrzy na mnie, kiedy zaczyna mówić dalej: – Ja też raz myślałem o tym,

żeby palnąć sobie w łeb.

I znów, jak podczas lunchu z Callie, brakuje mi słów. Jones widzi moje zaskoczenie i kiwa głową.

– To prawda. Jakies dwadzieścia pięć lat temu, kiedy jeszcze pracowałem w LAPD^[6], straciłem partnera. Zginął, ponieważ podjąłem złą decyzję. Poprowadziłem nas do budynku bez żadnych posiłków i zrobiło się goręcej, niż byliśmy w stanie znieść. Mój partner zapłacił za to najwyższą cenę. Miał rodzinę, był ukochanym mężem i ojcem trójki dzieci. Zginął przeze mnie i przez niemal osiem miesięcy rozmyślałem nad wyrównaniem tego niesprawiedliwego rachunku. – Spogląda na mnie i w jego oczach nie ma ani krzty litości. – Nie masz tego wypisanego na czole, Smoky. Po prostu w twojej sytuacji większość z nas pewnie już dawno by ze sobą skończyła.

To właśnie cały zastępca dyrektora Jones. Żadnego owijania w bawełnę i krążenia wokół tematu. Pasuje to do niego. Zawsze wiadomo, na czym się z nim stoi. Zawsze.

Nie potrafię mu spojrzeć w oczy. Rzucam na ziemię na wpół wypalonego papierosa i rozdeptuję go butem, jednocześnie zastanawiając się uważnie nad właściwym doбором słów.

– Sir, rozumiem i doceniam to, co pan powiedział. I oczywiście ma pan rację niemal we wszystkim, z wyjątkiem jednego. – Spoglądam na niego, bo wiem, że kiedy wypowiem kolejne słowa, będzie chciał mi popatrzeć w oczy i ocenić ich prawdziwość. – Myślałam o tym. Często. Ale wczoraj? Wczoraj po raz pierwszy poczułam pewność, że tego nie zrobię. Wie pan, co się zmieniło? – Wskazuję na mój zespół, czekający na schodach prowadzących do budynku. – Przyszłam odwiedzić moich ludzi, po raz pierwszy od czasu, gdy to się stało. Przyszłam, zobaczyłam się z nimi, a oni nadal tu byli i zaakceptowali mnie. No, może jeszcze nie do końca wiadomo, co z Jamesem, ale grunt, że nie użalali się nade mną ani nie traktowali mnie jak kalekę. Daję panu słowo, że całkiem minęły mi myśli samobójcze, a wszystko dlatego, że z powrotem znalazłam się w naszym biurze.

Słucha mnie, ale widzę, że jeszcze go nie przekonałam. Cóż, przynajmniej przykułam jego uwagę.

– Oczywiście, że nie jestem jeszcze gotowa, by przejąć dowodzenie nad węzłem koordynacyjnym NCAVC. Jestem pewna jak cholera, że nie

powinnam się znaleźć w żadnej taktycznej sytuacji. Proszę tylko o to, żeby pozwolił mi pan umoczyć palec w wodzie. Niech mnie pan tam puści. Upewnię się, że Bonnie ma należyłą opiekę, a przy okazji będę mogła podzielić się swoją opinią. Tylko troszeczkę, proszę. Callie nadal jest szefową zespołu. Nie będę uzbrojona i jeśli uznam, że to dla mnie za wiele, obiecuję, że natychmiast usunę się w cień.

Jones wsuwa dłonie do kieszeni płaszcza i przewierca mnie długim, ostrym spojrzeniem. Przygląda mi się badawczo, ważąc wszystkie rozwiązania, każde ryzyko. Kiedy odwraca wzrok i wzdycha, wiem, że go przekonałam.

– Jestem pewien, że tego pożałuję, ale w porządku. Umawiamy się tak: pojedziesz z nami, zabierzesz dzieciaka, rozejrzysz się po miejscu zbrodni. Możesz dorzucić swoje trzy grosze podczas burzy mózgów zespołu, ale pamiętaj, że to nie ty dowodzisz. I gdy tylko poczujesz się choćby odrobinę niepewnie, wypierdalasz stamtąd bez gadania. Mówię poważnie, Smoky. Nie zrozum mnie źle: chcę, żebyś wróciła do pracy, ale musisz wrócić cała i zdrowa, a to oznacza, że niekoniecznie potrzebuję cię już teraz. Rozumiemy się?

Kiwam energicznie głową, jak dziecko albo nowy rekrut. Tak jest, sir, tak jest, sir, tak jest! Jadę na miejsce przestępstwa razem z moim zespołem i czuję, że to bardzo ważne zwycięstwo. Jones unosi rękę i przywołuje Callie, a potem przekazuje jej to, co mi powiedział.

– Zrozumiałaś? – pyta twardo.

– Tak jest, sir, zrozumiałam.

Spogląda na mnie po raz ostatni.

– Spóźnicie się na samolot. Wynocha na lotnisko.

Odchodzę z Callie, zanim zastępca dyrektora ma szansę zmienić zdanie.

– Chciałabym się dowiedzieć, jak ci się to udało, kochaneczko – mruczy do mnie Callie. – Pamiętaj, jeśli o mnie chodzi, to nadal jest twoje show, chyba że zadecydujesz inaczej.

Nie odpowiadam. Jestem zbyt zajęta zastanawianiem się, czy nie popełniłam potwornego błędu, wracając do pracy w terenie.

- [5] University of California Los Angeles, Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles (przyp. tłum.).
- [6] Los Angeles Police Department – Departament Policji w Los Angeles (przyp. tłum.).

9

– Kiedy to dorobiliśmy się prywatnego odrzutowca? – pytam.

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci o tych dwojgu uprowadzonych dzieciach, z których jedno odnaleźliśmy żywe? – mówi Callie.

Potakuję.

– Ojcem dziewczynki, która wyszła cało z opresji, jest Don Plummer. Ma swoją własną małą firmę lotniczą. Sprzedają samoloty, prowadzą szkołę latania i takie tam. Zaoferował, że odda FBI odrzutowiec *pro bono*, ale oczywiście musieliśmy odrzucić tę ofertę. On jednak sam z siebie napisał do dyrektora i zaproponował, że w takim razie może nam udostępnić odrzutowiec, kiedy tylko będziemy potrzebować i za minimalną stawkę. – Wzrusza ramionami i zatacza krąg ramieniem. – Dlatego jeśli musimy się gdzieś szybko dostać...

Razem z nami leci jeszcze jeden dodatek do zespołu – jakiś dzieciak, który w ogóle nie pasuje do wizerunku agenta federalnego. Wygląda mi bardziej na kolesia, który nosi kolczyk w jednym uchu i żuje gumę. Mrużę oczy i dostrzegam dziurkę w lewym uchu chłopaka. No proszę! Może nosi kolczyk poza pracą? Przedstawiono mi go jako wypożyczonego specjalistę od przestępstw komputerowych. Siedzi nieco na uboczu i wygląda na rozczochranego i półprzytomnego. Typowy outsider.

Rozglądam się.

– Gdzie jest Alan? – pytam.

– Tutaj – dobiega mnie odpowiedź, a raczej gardłowe warknięcie z przodu samolotu. To wszystko.

Spoglądam na Callie, unosząc pytająco brwi. Wzrusza ramionami.

– Coś go trapi. Kiedy przyjechaliśmy, wyglądał na porządnie wkurzonego. – Patrzy w stronę Alana i potrząsa głową. – Na razie

zostawiłabym go w spokoju, kochaneczko.

Zerkam w kierunku cienia, w którym kryje się Alan, i bardzo chcę coś zrobić, ale Callie ma rację. Poza tym muszę dowiedzieć się wszystkich szczegółów sprawy.

– Wprowadź mnie we wszystko – odzywam się, akceptując sytuację. – Co mamy? – mówiąc to, spoglądam na Jamesa. Wpatruje się we mnie wrogo. Wyczuwam jego dezaprobatę.

– Nie powinnaś tu być – oświadcza.

Zakładam ramiona na piersi.

– No cóż, ale jestem.

– To naruszenie procedury. Jesteś obciążeniem dla tego śledztwa. – Potrząsa głową. – Pewnie nie dostałaś jeszcze przepustki od psychologa, co?

Callie milczy, za co jestem jej wdzięczna. To kluczowy moment, który muszę sama rozwiązać.

– Zastępcą dyrektora Jones dał mi zezwolenie. – Patrzą na niego gniewnie. – Chryste, James! Annie King była moją przyjaciółką.

Celuje we mnie palcem.

– Kolejny powód, dla którego nie powinnaś tu być. Jesteś zbyt zaangażowana emocjonalnie w sprawę i wszystko spieprzysz.

Część mnie uświadamia sobie, że gdyby przysłuchiwał się temu ktoś z zewnątrz, byłby zdumiony. Nie mógłby uwierzyć w to, co mówi James. Ja jestem do tego przyzwyczajona, w pewnym stopniu. To właśnie cały James. Taki jest i tak się zachowuje. Poza tym pracuje dla mnie. Czuję, że coś się we mnie budzi – dawny chłód, który zawsze wykorzystywałam, radząc sobie z Jamesem. Chwytam się tego uczucia i pozwalam się mu przesączyć do moich oczu.

– Jestem tu i nigdzie się stąd nie ruszę. Wbij to sobie do głowy i podaj mi wszystkie szczegóły sprawy. I przestań, kurwa, podskakiwać.

Przerywa na chwilę i przygląda mi się uważnie. Widzę, że w końcu się uspokaja. Potrząsa jeszcze raz głową z dezaprobatą, ale wiem, że na razie się poddał.

– W porządku, lecz chcę pisemne potwierdzenie deklaracji, że moim zdaniem to oczywiste naruszenie regulaminu FBI.

– Zanotowałam. – Mój głos ocieka sarkazmem, którego ostrze tępi się w zetknięciu z obojętnością Jamesa.

– Doskonale. – Widzę, że jego wzrok koncentruje się nieco. James nie ma przed sobą żadnych dokumentów, ale jego komputerowy mózg układa teraz wszystkie fakty przed jego oczami. – Jej ciało odnaleziono wczoraj. Przypuszcza się, że została zabita trzy dni wcześniej.

Podskakuję nieznacznie na te wieści.

– Trzy dni?

– Tak.

– W jaki sposób znaleziono jej ciało? Gdzie?

– Gliniarze z San Francisco dostali e-mail, a w nim załącznik z kilkoma zdjęciami. Jej zdjęciami. Pojechali, żeby zbadać sprawę, i znaleźli ciało oraz dziecko.

Serce zaczyna walić mi mocno w piersi i czuję, jak kwas w żołądku lekko bulgocze, a w gardle więźnie mi kwaśne beknięcie.

– Chcesz mi powiedzieć, że jej córka spędziła ponad trzy dni ze swoją martwą matką? – mówię bardzo głośno. Nie krzyczę, ale prawie. James spogląda na mnie ze spokojem wypisanym na twarzy. On tylko relacjonuje fakty.

– Gorzej. Morderca przywiązał dziecko do zwłok jej matki. Twarzą w twarz. Leżała tak przez cały ten czas.

Czuję, jak krew uderza mi do głowy i robi mi się słabo. Bąbel powietrza wreszcie wydostaje się z mojego przełyku, cichy, ale obrzydliwy. Wyczuwam jego kwaśny smak w ustach. Przykładam dłoń do czoła.

– Gdzie w tej chwili jest Bonnie?

– W jednym z miejscowych szpitali, pod strażą. Jest w katatonii. Nie powiedziała ani słowa od chwili, gdy ją znaleziono.

Zapada cisza, którą przerywa Callie.

– Jest tego jeszcze więcej, kochaneczko. Musimy ci powiedzieć pewne rzeczy, zanim wylądujemy, inaczej możesz się poczuć niezręcznie.

Obawiam się tego, co nadchodzi. Boję się tak bardzo, jak zasypiania w nocy. Zbieram się jednak w sobie i potrząsam sobą mocno. Mam nadzieję, że nikt nie zauważył tej wewnętrznej walki.

– Powiedz mi wszystko po kolei.

– Trzy rzeczy. Powiem, jak leci. Po pierwsze, Annie King zostawiła ci dziecko, Smoky. Morderca znalazł jej testament i zostawił go obok ciała, żebyśmy się na niego natknęli. Jesteś prawną opiekunką dziecka. Po drugie, twoja przyjaciółka prowadziła internetową stronę erotyczną, na

której sama była gwiazdą. Po trzecie, e-mail mordercy do glin zawierał list zaadresowany do ciebie.

Opada mi szczęka i czuję się, jakby ktoś mnie pobił; jakby zamiast słów Callie użyła kija golfowego i przyłożyła mi nim na odlew. W głowie mi się kręci. Poprzez cały ten szok dostrzegam w sobie bardzo egoistyczną emocję, która mnie zawstydza, ale której chwytam się niczym tonący brzytwy. To strach przed załamaniem się na oczach mojego zespołu. Obawa przed tym, jak to będzie wyglądało w ich oczach – a szczególnie Jamesa. Egoistyczna pobudka, wiem, lecz rozpoznaję ją jako narzędzie, za pomocą którego mogę odzyskać kontrolę nad sobą.

Mocuję się z szokiem i smutkiem, które walczą we mnie o dominację. Wreszcie udaje mi się odepchnąć obie emocje na tyle, że jestem w stanie się odezwać. Zaskakuje mnie brzmienie mojego głosu: jest beznamiętny i opanowany.

– Niech się temu przyjrzę po kolei. Co do pierwszej sprawy, zajmę się tym sama. Punkt drugi: powiadasz, że Annie była kimś w rodzaju... internetowej prostytutki?

– Nie, proszę pani – wcina się czyjś głos. – To niezupełnie prawda.

Głos należy do Pana Kolczyka – dzieciaka z działu przestępstw komputerowych. Spoglądam na niego.

– Jak się nazywasz?

– Leo. Leo Carnes. Zostałem przydzielony do sprawy z powodu e-maila, a także ze względu na to, z czego utrzymywała się pani przyjaciółka.

Studiuję go uważnie, a on nie ucieka przed moim wzrokiem. Jest dość przystojnym chłopakiem, prawdopodobnie dwudziestocztero- lub dwudziestopięcioletnim. Ma ciemne włosy i pełne spokoju oczy.

– Czyli czego? Powiedziałaś, że to niekoniecznie prawda, więc wyjaśnij nam to.

Chłopak przesiada się kilka foteli bliżej: zaproszony do wewnętrznego kręgu, natychmiast korzysta ze sposobności. Wszyscy chcą gdzieś przynależeć.

– To dość długie wyjaśnienie.

– Mamy czas. Zaczynaj.

Kiwa głową, a w jego oczach pojawia się coś, co rozpoznaję jako podniecenie. Komputery to jego pasja.

– Żeby to pojąć, musicie przede wszystkim zrozumieć, że pornografia

w Internecie jest całkowicie odmienną subkulturą od tej „rzeczywistej”, w prawdziwym świecie. – Rozsiada się wygodnie w fotelu, zrelaksowany, gotowy do wykładu na temat, który doskonale zna. To jego pięć minut w światłach reflektorów, a ja jestem skłonna mu je dać. Dzięki temu mam czas na uspokojenie myśli i żołądka. Mogę też pomyśleć o czymś więcej niż o biednej Bonnie wpatrującej się w martwą twarz matki przez trzy dni.

– Mów dalej.

– Poczynając od roku 1978, zaczęły powstawać tak zwane BBS-y^[7], czyli Elektroniczne Systemy Rozpowszechniania. Właściwie pełna nazwa to Skomputeryzowane Elektroniczne Systemy Rozpowszechniania. Były to pierwsze prywatne, publicznie dostępne serwery. Jeżeli człowiek posiadał modem i komputer, mógł wysyłać do innych wiadomości, udostępniać pliki i tym podobne. Oczywiście w tamtych czasach większość użytkowników stanowili naukowcy albo pasjonaci komputerowi. Wspominam o tym jednak głównie dlatego, że BBS-y stały się również miejscem do publikowania zdjęć pornograficznych. Można się było nimi dzielić, sprzedawać je, czy co tam się chciało. W tym momencie nie mówimy o czymś, co można by porównać do Dzikiego Zachodu. To całkowicie nowy, nieznaną ląd. Żadnej kontroli, żadnych regulacji, nic. Oczywiście to bardzo istotne dla wielbicieli pornografii, ponieważ...

– Były za darmo i były prywatne – wciąga się James.

Leo uśmiecha się i kiwa głową.

– Dokładnie! Nie trzeba się już było przekradać tylnym wejściem do sex-shopu i ukrywać zakupy w papierowej torbie. Można było zamknąć się w swojej sypialni i ściągać zdjęcia pornograficzne bez obawy, że ktoś cię nakryje. To była WIELKA sprawa. BBS-y były jedynymi publicznymi serwerami, zakładano je praktycznie wszędzie i natychmiast pojawiała się na nich pornografia. Obecnie, w związku z ewolucją Internetu, BBS-y są właściwie w zaniku. Powstały bowiem strony WWW, przeglądarki, domeny internetowe i tym podobne rzeczy. BBS-y zawsze były używane przede wszystkim do publikowania. Pliki można było obejrzeć dopiero po ich ściągnięciu na własny komputer. Teraz mamy strony WWW, gdzie wszystko można zobaczyć tak szybko, jak tylko człowiek zdoła się połączyć z daną witryną. Co w takim razie stało się z pornografią? –

Uśmiecha się. – Otóż wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, kilku sprytnych biznesmenów, ludzi, którzy mieli już sporo kasy, zaczęło rozwijać strony internetowe dla dorosłych. Niektórzy mieli doświadczenie w przemyśle audiotekstowym...

– To znaczy? – przerywam mu.

– Przepraszam. Chodzi o seks telefoniczny. Ci goście zgarniali już wielką kasę na seksie przez telefon, kiedy poznali Internet i dostrzegli jego potencjał dla przemysłu pornograficznego. Prywatny, płacony od sesji, dostępny na żądanie materiał do walenia konia dla przeciętnego faceta. Zainwestowali trochę forsy w wykupienie już istniejącej pornografii, czyli obrazków zeskanowanych przez setki tysięcy ludzi i opublikowanych na stronach WWW. Teraz, żeby je obejrzeć, trzeba było okazać kartę kredytową. I wtedy właśnie wszystko się w pornografii zmieniło.

Callie marszczy czoło.

– Co masz przez to na myśli?

– Już do tego dochodzę. Widzicie, do tej pory pornografia była dość interaktywna. Jeżeli na przykład człowiek sprzedawał filmy, był po szyję zanurzony w tym biznesie. Innymi słowy, bywał na planach zdjęciowych, widział ludzi uprawiających seks, znał wszystkich zaangażowanych w to, a może nawet sam stawał przed kamerą. Zawsze była to bardzo mała, zwarta, zaufana grupka ludzi. W erze stron WWW pojawił się nowy gatunek biznesmenów. Między nimi a ludźmi, którzy produkowali pornografię, wytworzyła się jakby dodatkowa warstwa. Ci goście mieli pieniądze i płacili pornografom za ich zdjęcia. Następnie publikowali je na stronie internetowej i kazali sobie płacić za ich oglądanie. Widzicie różnicę? Ci ludzie nie byli pornografami, nie w klasycznym sensie. Byli biznesmenami, z planem marketingowym, firmą, biurami, pracownikami i wszystkim, co trzeba. Nie byli postrzegani jako plugawe gadziny, szlam ludzkiej cywilizacji. I to się opłaciło. Niektóre z tych pierwszych firm zarabiają obecnie od osiemdziesięciu do stu milionów rocznie.

– Wow – mówi Callie. Leo kiwa głową.

– Owszem, wow. Dla nas to może nie jest takie ważne, ale jeśli rzeczywiście człowiek zagłębi się w historię pornografii, była to istotna zmiana paradygmatu. Szczerze? Większość ludzi produkujących

pornografię w latach osiemdziesiątych dorastała w poprzednim dziesięcioleciu. Mówimy tu o tonie narkotyków, swobodzie seksualnej i tym podobnych komunałach. Ale ci nowi goście od Internetu? Większość z nich nie angażowała się w wymianę żon ani we wciąganie koki, podczas gdy jakaś panienka robiła im loda. Nic z tych rzeczy. Większość z nich nigdy w życiu nie postawiła stopy na planie zdjęciowym filmu porno. To byli ludzie w garniturach, zarabiający ciężkie miliony na najnowszej technologii. Sprawili, że pornografia stała się poważnym przemysłem. Oczywiście na tyle, na ile mogła.

– Powiedziałeś, że wydarzyły się dwie rzeczy. Jaka jest ta druga?

– Podczas gdy ci biznesmeni tworzyli swoje imperia, odbywała się kolejna „dorosła rewolucja”, tyle że na bardziej podstawowym poziomie. Zamiast kreować strony internetowe z kolekcją zdjęć i filmów profesjonalnych gwiazd porno, kobiety lub pary zaczęły zakładać witryny koncentrujące się na nich samych i ich rzeczywistych seksualnych eskapadach. Nie byli to ludzie, którzy usiłowali się wzbogacić na produkcji pornografii. Robili to dla zabawy. Podniecał ich ekshibicjonizm. Nazywa się to „amatorskie porno”.

Callie wywraca oczami.

– Nie rozmawiasz z naiwniakami wychowanymi w lesie, kochaneczku. Myślę, że większość z nas wie, co to amatorskie porno. „Dziewczyna z sąsiedztwa”, swingersi i takie tam pierdoły.

– Jasne, przepraszam. Przełączyłem się na tryb wykładowy. Najważniejsze jest to, że zapotrzebowanie na tego typu pornografię okazało się równie wysokie, jak na profesjonalną. Było tak ogromne, że większość owych kobiet lub par nie mogła sobie pozwolić na kontynuowanie swojego przedsięwzięcia za darmo, w ramach hobby. Koszty utrzymania witryn internetowych odwiedzanych przez tak wielu ludzi stały się wręcz zaporowe, dlatego oni również zaczęli pobierać opłaty. Ci, którzy wpadli na to najwcześniej, dorobili się milionów. I najważniejsza rzecz, którą musicie zrozumieć: nie byli to ludzie z przemysłu pornograficznego i nie znali nikogo z tej branży. Nie pojawiali się w magazynach lub w filmach sprzedawanych wyłącznie w sklepach dla dorosłych. Byli to ludzie, którymi powodowały nie pieniądze, ale radość z tego, co robili. I niezależnie od opinii, czy jest to zdrowy sposób na życie, prawdą jest, że stworzyli całkowicie nową grupę

demograficzną w obrębie przemysłu pornograficznego. Mamusie i tatusiowie, członkowie PTA^[8], prowadzący sekretne życie i *przy okazji* zarabiający kupę kasy, prezentując się całemu światu. – Spogląda na mnie. – I właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że to niezupełnie prawda. Widziałem stronę pani przyjaciółki. Kręciła porno w wersji *soft*, czyli żadnego seksu. Owszem, masturbowała się, używała gadżetów erotycznych i... tym podobne rzeczy. Pobierała opłaty za możliwość oglądania jej i chociaż niekoniecznie to popieram, jednak pani przyjaciółka nie była prostytutką. – Zastanawia się przez chwilę nad właściwym doborem słów. – To znaczy... nie wiem, czy to pani pomoże, jak się tak nad tym zastanowić, ale...

Uśmiecham się do niego zmęczona i zamykam oczy.

– To dość sporo informacji do przyswojenia, Leo. Nie jestem pewna, jak się w związku z tym wszystkim czuję, ale owszem, to mi pomogło.

Kręci mi się w głowie, wiruje, wiruje, wiruje. Myślę o Annie pozującej nago za pieniądze. Zastanawiam się nad tajemnicami, które skrywają przed światem ludzie. Annie zawsze była piękna i nieco szalona. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby miała różne sekrety erotyczne, ale to – to wytrąca mnie z równowagi, częściowo dlatego, że nie potrafię zrozumieć własnych mieszanych uczuć.

W moich myślach odżywa wspomnienie, nagłe i nieproszone. Matt i ja mieliśmy wtedy po dwadzieścia sześć lat i seks tamtego roku można było określić jedynie jako spektakularny. „Ochrzciliśmy” absolutnie wszystkie kąty w naszym domu, wypróbowaliśmy wszelkie znane pozycje. Moja kolekcja seksownej bielizny powiększała się w postępie geometrycznym. A najlepszy z tego był fakt, że wcale się nie wysilaliśmy. Nie staraliśmy się urozmaicać naszego życia erotycznego. Wszystko działo się spontanicznie. Byliśmy sobą pijani i wprost pożeraliśmy się z zapamiętałym napaleniem.

Zawsze byłem bardziej odważna seksualnie z nas dwojga. Matt był bardziej konserwatywny i cichy, ale jak to mówią: cicha woda brzegi rwie. Podążał za mną w nieznanne, ciemne obszary bez najmniejszego wahania. Potrafił wyć na całe gardło do księżyca razem ze mną. To jedna z tych rzeczy, które tak w nim kochałam. Był cudownym, łagodnym człowiekiem, lecz gdy tego potrzebowałam, potrafił przełączyć bieg i zmienić się w kogoś mrocznego, brutalnego i odrobinę

niebezpiecznego. Zawsze był moim bohaterem, ale... kiedy pragnęłam małej dawki czarnego charakteru, potrafił mi zapewnić również to.

Byliśmy współczesną parą. Od czasu do czasu oglądaliśmy razem niegrzeczne filmy i to ja niekiedy nakłaniałam go do odwiedzania stron internetowych dla dorosłych. Zawsze pod jego loginem, bo miałam obsesję na punkcie Wielkiego Brata – w końcu to ja *byłam* Wielkim Bratem. Nie mogłam ryzykować, że zszargam dobre imię FBI, dlatego to Matt logował się do Internetu, żebyśmy mogli obejrzeć wszystkie te sprośne zdjęcia. Drażniłam się z nim w związku z tym i przezywałam go zbrojeńcem.

Mieliśmy też kamerę cyfrową. Pewnej nocy, tamtego roku, kiedy Matt był na zakupach, poczułam nieodparte pragnienie. Rozebrałam się i zrobiłam sobie kilka zdjęć od szyi w dół. Z mocno bijącym sercem, chichocząc jak wariatka, wysłałam te fotki na stronę kolekcjonującą podobne rzeczy. Zanim Matt wrócił do domu, byłam już z powrotem ubrana i skromna.

Minął tydzień i zdążyłam zapomnieć o całej sprawie, po uszy zatopiona w śledztwie. Nic innego poza Mattem, jedzeniem, spaniem i seksem mnie nie obchodziło. Wróciłam do domu późno, wykończona, i powlekłam się do sypialni. Znalazłam w niej Matta leżącego na łóżku z dłońmi pod głową i dziwnie mi się przyglądającego.

– Masz mi coś do powiedzenia? – spytał.

Zatrzymałam się, zdziwiona, usiłując przypomnieć sobie, czy rzeczywiście było coś do powiedzenia.

– Nie mam pojęcia. A dlaczego pytasz?

– Chodź ze mną. – Wstał z łóżka, przeszedł obok mnie i ruszył w stronę naszego domowego gabinetu. Podążyłam za nim, zdumiona. Matt usiadł przy biurku, na którym stał nasz komputer, i poruszył myszką, żeby obudzić ekran.

To, co zobaczyłam, wywołało głęboki rumieniec na mojej twarzy. Miałam wrażenie, że zaraz spłonę. Była to strona internetowa, na której widniały zdjęcia zrobione przeze mnie tydzień temu. Tak po prostu, widoczne dla całego świata. Matt odwrócił się w moim kierunku z nikłym uśmiechem na twarzy.

– Odpisali na twój e-mail. Okazało się, że *uwielbiają* twoje zdjęcia.

Zająknęłam się i zaczerwieniłam jeszcze bardziej – i jeszcze, kiedy

poczułam, że podnieca mnie ta sytuacja.

– Nie powinnaś powtarzać tej akcji, Smoky. Nawet jeśli nie widać twojej twarzy, nie jest to najmądrzejsze posunięcie. Bądźmy szczerzy, to głupota. Gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, wyrzuciliby cię z pracy w mgnieniu oka.

Wpatrywałam się w niego z płonącymi policzkami. Pokiwałam głową.

– Tak... to znaczy, masz rację, oczywiście. Nie zrobię już tego, ale...

Uniósł brwi do góry w sposób, który zawsze uważałam za cholernie seksowny.

– Ale teraz... chodźmy się pieprzyć.

Zaczęliśmy zdzierać z siebie ubrania i skończyło się na wyciu do księżycy. Ostatnia rzecz, którą mi powiedział przed zaśnięciem, wydała mi się wtedy bardzo zabawna i typowa dla Matta. Teraz na jej wspomnienie czuję bolesne ukłucie w sercu. Pamiętam, jak uśmiechnął się szeroko, z na wpół przymkniętymi powiekami.

– Co? – spytałam.

– Nie takie FBI straszne, jak je malują, czyż nie?

Zaczęłam chichotać, a potem on. I znów się kochaliśmy, aż wreszcie zasnęliśmy wtuleni w siebie w pozycji „na łyżeczkę”.

Nie osądzam niewinnych eksploracji, na które decydują się dorośli ludzie, bez względu na to, jaką opinię oficjalnie ma na ten temat FBI. Często widzę, jak kończy się życie, i trudno jest w takich okolicznościach podniecać się z powodu kogoś, kto pokazał światu cycki. To jednak zupełnie co innego niż prowadzenie strony internetowej i pobieranie opłat od ludzi, którzy chcą oglądać, jak zajmuję się tym, co mam między nogami. Zastanawiam się, czy Annie miała z tego coś więcej niż tylko pieniądze. Znając ją, chodziło nie tylko o kasę. Moja przyjaciółka zawsze była wolnym duchem, żeńskim odpowiednikiem Ikara, wzlatującego trochę za blisko słońca.

Otrząsam się z tych rozważań. Przez chwilę rozmyślałam nad tym, czy czas się dla mnie nie zatrzymał. Może stanę się jednym z tych znerwicowanych ludzi, którzy urywają wypowiedź w samym środku i zaczynają się gapić w przestrzeń. Widzę, że James przygląda mi się uważnie. Z jakiegoś powodu wyobrażam sobie, że to on – ze wszystkich ludzi na świecie – dowiaduje się o moich nagich zdjęciach w Internecie. Natychmiast czuję nieprzyjemne wibrowanie irracjonalnej paranoi.

Boże! Gdyby to się stało, naprawdę bym ze sobą wtedy skończyła.

– Wydaje się, że znasz się na rzeczy, Leo. Będziemy cię potrzebować do rozgryzienia sprawy pod kątem komputerów, więc mam nadzieję, że jesteś supergeekiem.

– Najbardziej superowym geekiem pod słońcem. – Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Przejdźmy do listu od mordercy.

Callie sięga do swojej torby na ramię i wyciąga teczkę, a z niej wydruk, który mi wręcza.

– Czytałeś to? – pytam Jamesa.

– Tak. – Waha się. – Jest... interesujący.

Kiwam głową, spoglądając mu w oczy, i czuję nic porozumienia. Jak w dobrze naoliwionym łożysku – tutaj nasze ścieżki się łączą i James chce się dowiedzieć, co sobie myślę na ten temat, bez względu na to, co sam czuje lub może powiedzieć.

Koncentruję się na słowach, które czytam. Muszę wnikać w umysł zabójcy, a list to słowa, nad którymi dużo się zastanawiał. Dla nas ten dokument jest bezcenny. Będzie mógł nam powiedzieć bardzo wiele o tej bestii, jeśli tylko zdołamy odcyfrować jego przekaz.

Do Agentki Specjalnej Smoky J. Barrett

Chciałbym móc opatrzeć ten list klauzulą poufności, ale wiem, jak mało szacunku do prywatności wykazuje Twoje FBI, kiedy w grę wchodzi śledztwo. Każde drzwi zostają otwarte, zasłony odsłonięte, a cienie przegonione.

Chciałbym przede wszystkim przeprosić za tak duży odstęp czasowy pomiędzy zabiciem Twojej przyjaciółki i poinformowaniem policji o jej śmierci. Nic nie można było na to poradzić. Potrzebowałem czasu, aby uruchomić pewne procesy. Postaram się być z Tobą szczerą, agentko Barrett, i dotyczy to również niniejszego listu. Chociaż czas, jakiego potrzebowałem, był głównym czynnikiem, przyznam, że myśl o małej Bonnie, leżącej twarzą w twarz z trupem swojej matki przez te trzy dni, wpatrującej się w jej martwe oczy i czującej smród rozkładu, była dla mnie dziwnie podniecająca.

Sądziś, że ta mała kiedykolwiek się z tego wygrzebie? A może uważasz, że to wydarzenie będzie ją prześladowało aż do dnia jej śmierci? Może zresztą ów dzień nastąpi w miarę szybko, za sprawą jej własnych działań, gdy będzie próbowała raz na zawsze odegnać od siebie koszmary za pomocą ostrej brzytwy lub środków nasennych? Czas to pokaże, ale same rozmyślenia o tym są nadzwyczaj interesujące.

Kontynuując politykę szczerości: nie tknąłem tego dziecka. Cierpienie innych ludzi sprawia

mi przyjemność – owszem, jestem bardzo szampowym seryjnym mordercą. Nie wzbraniam się również moralnie przed fizycznym gwałceniem dzieci, lecz nie ma to dla mnie żadnego uroku. Dziewczynka pozostała nietknięta, przynajmniej pod względem fizycznym. Zniewolenie jej umysłu usatysfakcjonowało mnie znacznie bardziej.

Ponieważ nie należysz do tego rodzaju ludzi, którzy potrafią odwrócić się od śmierci, opowiem Ci o ostatnich chwilach Twojej przyjaciółki, Annie King. Nie odeszła z tego świata szybko i bardzo, bardzo cierpiała. Błagała, żebym darował jej życie, co wydało mi się równie zabawne, jak podniecające. Zastanawiam się, jakie cechy ze Swojej listy zakreślił w związku z próbą scharakteryzowania mnie, agentko Barrett?

Pozwól, że Ci pomogę.

Nie byłem ofiarą przemocy fizycznej lub seksualnej jako dziecko. Nie moczyłem się w nocy i nie znęcałem się nad małymi zwierzętami. Jestem czymś dużo bardziej czystym, pierwotnym. Jestem spuścizną. Robię to, co robię, ponieważ pochodzę z linii rodu tego PIERWSZEGO.

To naprawdę moje powołanie. Urodziłem się, żeby robić to, co robię. Jesteś gotowa na kolejną informację, agentko Barrett? Podejdiesz do niej z drwiną, ale oto ona: pochodzę w prostej linii od Kuby Rozpruwacza.

Tak. Powiedziałem to. Zapewne kręcisz głową z niedowierzaniem, czytając te słowa. Przypisałaś mnie do grupy innych wariatów, uznałaś za nieszczęsną duszę, która słyszy głosy i podąża za rozkazami od Boga.

Wkrótce wyprostujemy to jakże błędne przekonanie. W tej chwili jednak pozostawmy sprawę w tym punkcie: Twoja przyjaciółka Annie King była dziwką. Współczesną kurwą superautostrady informacyjnej. Zasługiwała na to, żeby umrzeć, wrzeszcząc z bólu. Dziwki są nowotworem tego świata, a ona nie stanowiła wyjątku.

Była pierwsza. Nie będzie ostatnia.

Podążam śladami mojego przodka. Podobnie jak on nigdy nie zostanie złapany i tak jak w jego przypadku moje dzieło przejdzie do historii. Czy zechcesz odegrać rolę mojego inspektora Abberline'a[9]?

Mam nadzieję, że tak. Szczerą nadzieję.

Zacznijmy pościg w następujący sposób: bądź w swoim biurze dwudziestego dnia tego miesiąca. Ktoś dostarczy Ci paczkę, która uwiarygodni moje oświadczenie. Chociaż wiem, że mi nie uwierzysz, daję Ci moje słowo, że owa przesyłka nie będzie zawierała żadnych pułapek ani bomby.

Odwiedź małą Bonnie. Być może będziecie mogły się wzajemnie budzić krzykiem z koszmarów w środku nocy, teraz, kiedy zostałaś jej mamusią.

Pamiętaj – nie ma żadnych głosów ani nakazów od Boga.

Wszystko, czego muszę słuchać, żeby wiedzieć, kim jestem, to bicie własnego serca.

Z piekła,

Kuba Jr.

Milczę przez chwilę po skończeniu lektury.

– Co za list – mówię w końcu.

– To tylko kolejny wariat. – Głos Callie ocieka pogardą.

Ściągam usta.

– Nie sądzę. Myślę, że tym razem to coś więcej. – Potrząsam głową i spoglądam na Jamesa. – Porozmawiamy o tym później. Muszę się najpierw chwilę zastanowić.

– Dobrze. – Kiwa głową. – Ja też chcę wpierw zobaczyć miejsce zbrodni, zanim wyciągnę jakieś wnioski.

Znów to zrozumienie. Myślę dokładnie o tym samym. Musimy się znaleźć tam, gdzie wszystko się wydarzyło. Stanąc w miejscu zabójstwa, wciągnąć jego zapach w nozdrza.

– Skoro już przy tym jesteśmy, kto się tym zajmuje ze strony policji San Francisco? – pytam.

– Twoja stara znajoma, Jennifer Chang – odzywa się dudniący głos z przodu samolotu. Alan mnie zaskakuje. – Rozmawiałem z nią zeszłej nocy. Nie wie, że przyjedziesz tam z nami.

– Chang. To dobrze. Jest jedną z najlepszych. – Detektyw Jennifer Chang poznałam podczas wspólnego śledztwa sześć lat temu. Była mniej więcej w moim wieku, kompetentna jak cholera i miała zgryźliwe, ironiczne poczucie humoru, które lubiłam. – Jak daleko się posunęli? Zaczęli już analizować miejsce przestępstwa?

– Tak. – Alan podchodzi i siada bliżej naszej grupki. – Technicy z kryminalistyki natychmiast się tym zajęli, a Chang odgrywała małego dyktatora. Rozmawiałem z nią znów o północy. Zdążyła już obfotografować wszystko, odstawiła ciało do patologa, a technicy z laboratorium kryminalistycznego zrobili dokładne oględziny sceny zbrodni. Włókna, odciski, wszystko. Ta kobieta jest tyranem.

– Dokładnie taką ją pamiętam. Co z komputerem?

– Poza zdjęciem odcisków nie tykali go. – Wskazuje kciukiem na Leo. – Powiedzieli im, że ten tutaj się wszystkim zajmie.

Spoglądam na Leo i kiwam głową.

– Jaki masz plan?

– Bardzo prosty. Sprawdzę pobieżnie komputer, poszukam ewentualnych pułapek, które mogły zostać ustawione z myślą o wyczyszczeniu twardego dysku, i tym podobne. Przejrzę też zawartość pod kątem oczywistości. Będę jednak musiał zabrać komputer

z powrotem do biura, żeby porządnie nad nim popracować.

– Dobrze. Chcę, żebyś dokładnie go zbadał, Leo. Potrzebuję wszystkich usuniętych plików, włączając w to e-maile, zdjęcia i wszystko, absolutnie wszystko, cokolwiek może nam pomóc w śledztwie. Morderca znalazł ją przez Internet, a to czyni komputer jego podstawową bronią.

Leo zaciera ręce.

– Niech no się tylko dobiore do tej maszyny.

– Alan, zajmiesz się tym, co zwykle. Zgromadzisz kopie wszystkiego, co w tej chwili ma na ten temat SFPD^[10]. Raporty, badania, wszystko. A potem podasz mi swoje prognozy.

– Nie ma problemu.

Kieruję wzrok na Callie.

– Ty zajmiesz się laboratorium kryminalistycznym. Ci z San Francisco są nieźli, ale ty jesteś lepsza. Postaraj się przy tym być miła, lecz jeśli będziesz musiała kogoś odepchnąć na bok... – Wzruszam ramionami.

Callie uśmiecha się do mnie.

– Moja specjalność.

– James, póki co, zajmij się patologiem. Naciskaj na niego. Potrzebujemy wyników autopsji jeszcze dzisiaj. Potem pojedziemy razem na miejsce i przebadamy scenę zbrodni.

Wrogość wprost w nim kipi, ale nie mówi ani słowa, tylko kiwa głową.

Milknę na chwilę, przebiegając wszystko w myślach i upewniając się, że niczego nie pominęłam. Chyba nie, tak mi się przynajmniej wydaje.

– To wszystko? – pyta Alan.

Patrzę na niego, zaskoczona gniewem w jego głosie. Nie mam pojęcia, skąd się bierze.

– Tak sędzę.

– To dobrze. – Wstaje i wraca na swoje miejsce z przodu samolotu. Wszyscy odprowadzamy go wzrokiem pełnym zastanowienia.

– Co za cholera go ugryzła? – mówi Callie.

– Dokładnie. Ale zrzęda – wtrąca się Leo.

Callie i ja spoglądamy na niego jednocześnie z nieskrywaną wrogością. Leo przenosi wzrok to na jedną z nas, to na drugą.

– O co chodzi? – pyta niepewnie.

– To tak jak w tym powiedzeniu, dziecko. – Callie celuje palcem w jego pierś. – „Nie bij mojego przyjaciela. Tylko ja mogę to robić”. Rozumiesz?

Obserwuję Leo, gdy przybiera obojętną, pokerową minę.

– Jasne. Chcesz przez to powiedzieć, że ja nie jestem twoim przyjacielem, ruda?

Callie przekrzywia lekko głowę i z jej spojrzenia znika nieco wrogości.

– Nie, kochaneczku, nie to chciałam powiedzieć. To nie jest żadna klika i nie znajdujemy się w liceum, dlatego powinieneś przestać się zachowywać jak żaloszny prześladowany głupek. – Pochyliła się w jego kierunku. – Chcę przez to powiedzieć, że kocham tego faceta. Ocalił mi kiedyś życie. A tobie nie wolno mówić o nim w ten sam sposób co mnie. Jeszcze nie. Rozumiesz teraz, cukiereczku?

Leo również tłumi nieco swą wrogość, lecz nie jest jeszcze gotowy do wycofania się.

– Jasne, okej, rozumiem, ale nie nazywaj mnie dzieckiem.

Callie zerka na mnie i wyszczerza się w uśmiechu.

– Wiesz, Smoky, może on jednak do nas pasuje. – Spogląda na Leo. – Jeżeli cenisz swoje życie, nigdy więcej nie nazywaj mnie rudą, Kolczyku.

– Idę porozmawiać z Alanem. – Jestem rozproszona i to przekomarzanie nie śmieszy mnie tak, jak powinno. Ruszam w stronę przodu samolotu, zostawiając Leo i Callie ich przyjacielskim docinkom. Część mnie, która nie zapomniała o tym, jak być przywódcą, dostrzega, że to, co robi w tej chwili Callie, jest pożyteczne dla Leo, a więc i dla reszty zespołu. Akceptuje go na swój własny sposób. I cieszę się z tego. Czasami, gdy zespół pracuje razem zbyt długo, robi się nieprzemakalny, niemal ksenofobiczny. Nie jest to zdrowe i z zadowoleniem widzę, że moja grupa nie podążyła jeszcze tą ścieżką. A przynajmniej Callie tego nie zrobiła. James wygląda przez okno, zamknięty w sobie, chłodny i odcięty od reszty. Typowy James. Nic w tym nowego.

Podchodzę do rzędu foteli, w którym siedzi Alan. Wpatruje się w swoje stopy, a napięcie, jakie z niego emanuje, jest wręcz zabójcze.

– Mogę się przysiąc? – pytam.

Macha dłonią w odpowiedzi, nie patrząc na mnie.

– Jak chcesz.

Siadam i przyglądam mu się przez chwilę. Odwraca głowę i wpatruje się w okno. Decyduję się na bezpośrednie podejście.

– Co jest grane?

Spogląda na mnie, a ja niemal odskakuję, widząc gniew w jego oczach.

– Co to ma być? Chcesz pokazać, że potrafisz pogadać z „brachem”? „Co jest grane”?

Siedzę całkiem oniemiała. Czekam z nadzieją, że to minie, ale Alan nadal wpatruje się we mnie z wściekłością, która zdaje się tylko nabierać mocy.

– No więc? – pyta.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło, Alan – odpowiadam cicho, spokojnie. – To dość oczywiste dla wszystkich, że się czymś denerwujesz. Ja... po prostu chciałam cię zapytać.

Nadal mierzy mnie gniewnym wzrokiem przez dłuższą chwilę, ale tym razem płomień wściekłości gaśnie – tylko trochę. Patrzy na swoje dłonie.

– Elaina jest chora.

Rozdziawiam usta, owładnięta niepokojem – instynktownym, płynącym wprost z trzewi. Elaina jest żoną Alana i znam ją tak długo, jak jego samego. To śliczna Latynoska, piękna zarówno na ciele, jak i na duszy. Przyszła odwiedzić mnie w szpitalu: była jedynym moim gościem w tamtym miejscu. Szczerze mówiąc, nie dała mi wyboru. Wtargnęła do mojego pokoju, odsunęła na bok pielęgniarkę, podeszła do łóżka, przysiadła na jego brzegu i poskromiła moje ręce, a potem wzięła mnie w ramiona. Wszystko to bez jednego słowa. Stopniałam w jej objęciach i płakałam, dopóki nie zabrakło mi łez. Ten moment zawsze będzie moim najwyrazistszym wspomnieniem tej kobiety: cały świat rozmazany przez łzy i Elaina – ciepła, silna, miękka, gładząca moje włosy i pocieszająca mnie cicho mieszanką angielskiego i hiszpańskiego. Elaina była moją *przyjaciółką*, z rodzaju tych rzadkich, tych na zawsze.

– Słucham? Co chcesz przez to powiedzieć?

W moim głosie być może słychać prawdziwy strach, ponieważ gniew Alana nagle znika. W jego oczach nie widzę już ognia, tylko ból.

– Rak odbytnicy, drugi stopień. Lekarze usunęli guza, ale rozlał się. Część komórek rakowych przedostała się do organizmu jeszcze przed operacją.

– A co to dokładnie oznacza?

– To właśnie najbardziej popierdolona rzecz. Może to nie oznaczać absolutnie nic. Być może komórki, które wydostały się z guza, nie są niebezpieczne. A może są i krążą po jej ciele, gotowe, żeby rozsiać się w całym organizmie. Lekarze nie mają żadnej pewności. – Ból w jego

oczach jest coraz wyraźniejszy. – Dowiedzieliśmy się, bo Elaina miała okropne bóle. Myśleliśmy, że może to wyrostek. W szpitalu wzięli ją od razu na salę operacyjną, znaleźli guza i go wycięli. A potem wiesz, co powiedział mi lekarz? Że to czwarty stopień i że Elaina najprawdopodobniej umrze.

Spoglądam na jego dłonie. Trzęsą się.

– Nie mogłem jej tego powiedzieć. Dopiero odzyskiwała siły po operacji, sama wiesz. Nie chciałem, żeby się martwiła, wołałem, by zamiast tego skoncentrowała się na tym, aby wydobrzeć. Przez cały tydzień chodziłem z tą myślą, że Elaina umrze, i za każdym razem, gdy na nią spojrzałem, myślałem tylko o tym. A ona nie miała bladego pojęcia. – Śmieje się ponuro. – Kiedy wróciliśmy na kontrolę, lekarz miał dla nas dobre wieści. Stopień drugi, a nie czwarty. Siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent szans przeżycia kolejnych pięciu lat. Siedzi cały w uśmiechach, a Elaina zaczyna płakać, bo właśnie dowiedziała się, że jej rak nie był aż tak zaawansowany, jak myśleliśmy, a ona o niczym nie wiedziała aż do tej chwili. Nie wiedziała, że to dobre wieści.

– Och, Alan...

– Będzie miała chemioterapię, może też radioterapię. Nadal gromadzimy informacje na ten temat, żeby podjąć właściwą decyzję. – Znowu wpatruje się w swoje wielkie dłonie. – Myślałem, że ją stracę, Smoky. Nawet teraz, kiedy fakty mówią mi, że wszystko najprawdopodobniej będzie dobrze, nie jestem pewien. Wiem tylko, jak bym się czuł, gdyby poszło źle. Miałem cały tydzień, żeby się o tym przekonać, i nie potrafię odegnąć od siebie tego uczucia. – Spogląda na mnie, a w jego oczach znowu pojawia się gniew. – Poczulem, że naprawdę mógłbym ją stracić, i co robię? Siedzę w samolocie, w drodze do kolejnego trupa, a ona jest w domu. Śpi. – Wygląda przez okno. – Może zresztą już wstała. Tak czy siak, nie ma mnie przy niej.

Patrzę na niego wstrząśnięta.

– Chryste, Alan! Dlaczego nie weźmiesz urlopu? Powinieneś być z Elainą, nie z nami. Poradzimy sobie bez ciebie.

Odwraca głowę i przygląda mi się, a ból, który widzę w jego oczach, zapiera mi dech w piersi i sprawia, że serce niemal przestaje mi bić.

– Nie rozumiesz? Nie jestem wściekły dlatego, że tu jestem. Wkurzam się, ponieważ nie ma powodu, dla którego miałoby mnie tu nie być. Albo

wszystko będzie dobrze, albo nie. I nie ma najmniejszego cholernego znaczenia, co robię. – Unosi dłonie i rozkłada je. Dwie wielkie rękawice łapacza. – Potrafię zabić tymi rękami. Potrafię nimi strzelać. Potrafię z ich pomocą kochać się z moją żoną i nawlec igłę. Są silne i sprawne. Ale nie potrafię sięgnąć nimi i wyciągnąć jej raka. Nie potrafię pomóc Elainie. I tego właśnie nie mogę, kurwa, znieść.

Kładzie dłonie na udach i wpatruje się w nie tym swoim bezsilnym spojrzeniem. Ja również na nie spoglądam, usiłując znaleźć właściwe słowa dla mojego przyjaciela. Czuję jego strach – i mój. Myślę o Matcie.

– Bezsilność jest czymś, co rozumiem, Alan.

Patrzy na mnie rozemocjonowany.

– Wiem, Smoky, ale... nie odbierz tego źle... ale to nie napawa mnie pewnością. – Krzywi się. – Cholera. Przepraszam. Zabrzmiało zupełnie nie tak.

Potrząsam głową.

– Nie przejmuj się tym. Nie chodzi o to, co mi się przydarzyło. Chodzi o to, co dzieje się teraz z tobą i Elainą. Nie możesz mi powiedzieć, co tak naprawdę czujesz, jednocześnie próbując uszanować moje własne uczucia.

– Pewnie nie. – Wypuszcza powietrze z płuc ze świstem. – Kurwa, Smoky, co ja teraz zrobię?

– Ja... – Odchylam się na fotelu i przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią. Co Alan teraz zrobi? Spoglądam mu w oczy. – Będziesz ją kochał i zrobisz wszystko, co w twojej mocy. Pozwolisz swoim przyjaciołom ci pomóc, jeśli będziesz tego potrzebował. I jeszcze jedna, bardzo ważna rzecz. Będziesz pamiętał, że może wszystko będzie dobrze. Że los niekoniecznie rozdał ci złe karty.

Uśmiecha się do mnie krzywo.

– Coś w rodzaju szklanki w połowie pełnej, tak?

– Właśnie tak, do cholery! – odpowiadam ostro. – Chodzi o Elainę! Szklanka w połowie pełna to jedyny sposób spojrzenia na sprawę, który można zaakceptować.

Wygląda przez okno, potem przenosi wzrok na swoje dłonie i wreszcie na mnie. Łagodność, którą zawsze tak ceniłam w moim przyjacielu, znów pojawia się w jego spojrzeniu.

– Dzięki, Smoky. Naprawdę.

– Nie powiem, że nie ma problemu, bo to nie byłoby śmieszne.

– Zatrzymajmy to dla siebie, przynajmniej na razie, dobrze?

– Umowa stoi. Lepiej się czujesz?

Ściąga usta i kiwa głową.

– Tak, tak, lepiej. – Patrzy na mnie badawczo. – A ty? Wszystko w porządku? Nie rozmawialiśmy poważnie, od kiedy... – Wzrusza ramionami.

– Nie to, że nie próbowałaś. I tak, póki co, wszystko ze mną w porządku.

– To dobrze.

Spoglądamy na siebie przez chwilę, bez słowa, ze zrozumieniem. Wstaję i ściskam jeszcze jego ramię, a potem wracam na swoje miejsce.

Najpierw Callie, a teraz Alan. Problemy, cierpienie i tajemnice. Czuję ukłucie winy. Byłam tak bardzo zajęta moją własną agonią przez te ostatnie sześć miesięcy, że ani razu nie pomyślałam o tym, iż życie moich przyjaciół może być dalekie od ideału, pełne ich własnych obaw, bólu i udręki. Czuję się zawstydzona.

– Wszystko gra, kochaneczko? – pyta Callie, kiedy siadam obok niej.

– Wszystko gra.

Przygląda mi się przez moment z typową dla siebie intensywnością. Nie sądzę, żebym ją przekonała, ale póki co odpuszcza.

– No dobrze, kochaneczko. Skoro już omawiamy przydział zadań, co *ty* będziesz robiła?

Jej pytanie sprowadza mnie z powrotem do głównego celu naszej podróży i wywołuje u mnie dreszcz.

– Po pierwsze, zamierzam porozmawiać z Jenny. Zabiorę ją na kawę czy coś w ten deseń. – Zerkam na Jamesa. – Jest dobra i widziała scenę zbrodni na świeżo. Chcę od niej usłyszeć, jakie miała pierwsze wrażenie.

James kiwa głową.

– A potem zamierzam zobaczyć się z najlepszym świadkiem, jakiego mamy w tej sprawie.

Nikt mnie nie pyta, o kogo mi chodzi, i zdaję sobie sprawę, że wszyscy poczuli ulgę, wiedząc, iż ja się tym zajmę. Mówię bowiem o Bonnie.

[7] Ang. Bulletin Board System (przyp. tłum.).

[8] Ang. Parent-Teacher Association, Stowarzyszenie Rodziców i Nauczycieli (przyp. tłum.).

[9] Frederick Abberline był jednym ze śledczych z okresu poszukiwania Kuby Rozpruwacza. Jako jeden z nielicznych, nie ograniczał się do ogólnie przyjętych tez na temat mordercy, ale rozważał wszystkie możliwości. Jako pierwszy wysunął również tezę, że Kuba Rozpruwacz może być kobietą (przyp. tłum.).

[10] San Francisco Police Department – Departament Policji w San Francisco (przyp. tłum.).

Wchodzimy do budynku SFPD, pytamy o Jennifer Chang i zostajemy skierowani do jej biura. Widzi nasze nadejście i z przyjemnością dostrzegam, że jej oczy rozjaśniają się na mój widok. Podchodzi do nas, ciągnąc za sobą jakiegoś detektywa, którego nie rozpoznaję.

– Smoky! Nie wiedziałam, że przyjedziesz.

– To była decyzja podjęta w ostatnim momencie.

Jennifer zatrzymuje się przy mnie i lustruje mnie dokładnie od stóp do głów. W przeciwieństwie do innych nie stara się ukrywać zainteresowania moimi bliznami. Przygląda się im uważnie i otwarcie.

– Nie jest tak źle – zauważa. – Dobrze się zagoiły. A co z tymi wewnętrznymi?

– Nadal bolą, ale też się goją.

– To dobrze. A to... przejmujecie sprawę czy co? – Jenny od razu przechodzi do rzeczy. Muszę załatwić tę kwestię we właściwy sposób, ponieważ owszem, zamierzamy to zrobić, lecz nie chcę, by Jenny lub inni detektywi z policji San Francisco żywili z tego powodu urazę.

– Tak, ale tylko ze względu na ten list do mnie. Wiesz, jakie są zasady. E-mail jest bezpośrednią groźbą w stosunku do agenta federalnego, więc automatycznie sprawa nabiera wagi ogólnokrajowej. – Wzruszam ramionami. – To nie oznacza, że policja San Francisco nie potrafi wykonać swojej roboty.

Zastanawia się przez chwilę.

– No cóż. Zawsze byliście wobec mnie w porządku.

Idziemy za nią do jej gabinetu. To mały pokoik z dwoma biurkami, ale i tak jestem zaskoczona.

– Dorobiłaś się własnego biura, Jenny. Imponujące.

– Najlepszy odsetek rozwiązanych spraw przez trzy lata z rzędu. Kapitan spytał mnie, co chcę w nagrodę, więc powiedziałam, że własny gabinet. No i dał mi go. – Uśmiecha się szeroko. – Musiał w związku z tym wyrzucić stąd dwóch weteranów. Przez jakiś czas stałam się przez to niezbyt popularna, ale wcale mnie to nie wzrusza. – Wskazuje na swojego partnera. – Przepraszam, powinnam was od razu przedstawić. To Charlie De Biasse, mój partner. Charlie, to federalni.

Mężczyzna pochyła głowę. De Biasse to dość oczywiste włoskie nazwisko i Charlie wygląda na Włocha, chociaż być może nie czystej krwi. Ma spokojną, miłą twarz, do której zupełnie nie pasują jego oczy. Są bystre, uważne, wnikliwe.

– Miło mi poznać.

– Wzajemnie.

– No dobra – mówi Jenny. – Jaki jest plan gry?

Callie streszcza jej listę poszczególnych zadań, które zamierzamy wykonać. Jenny kiwa głową z aprobatą.

– Brzmi nieźle. Skopiuję wszystko, co mamy do tej pory, i przekażę wam. Charlie, czy możesz zadzwonić do laboratorium i uprzedzić ich?

– Uhm.

– Kto ma klucze do mieszkania ofiary? – pytam.

Jenny chwyta kopertę leżącą na biurku i wręcza ją Leo.

– Są tutaj. Nie przejmuj się, że zatrzasz ślady. Skończyliśmy już zbieranie dowodów. Adres jest na kopercie. Porozmawiajcie z sierżantem Bixbym w recepcji. Podrzuci was na miejsce.

Leo patrzy na mnie, unosząc brwi pytająco. Kiwam głową i wysyłam go w drogę. Spoglądam na Jenny.

– Możemy się gdzieś wybrać? Chciałabym porozmawiać z tobą na temat twoich wrażeń co do miejsca przestępstwa.

– Jasne. Możemy pójść na kawę. Charlie wszystko tu załatwi, prawda, Charlie?

– Uhm.

– Będę bardzo wdzięczna.

– Czy wasz patolog jest dobry? – pyta James. Ponieważ to on, oczywiście nie zabrzmiało to jak niewinne pytanie, lecz bardziej jak wyzwanie. Jenny patrzy na niego groźnie.

– Według Quantico, owszem, jest świetna. A co, słyszałeś coś innego?

James macha na nią dłonią lekceważąco.

– Powiedz mi tylko, jak się mam z nią skontaktować. Oszczędź sobie sarkazmu.

Brwi Jenny podjeżdżają do góry, a jej spojrzenie zasnuwa się chmurami. Spogląda na mnie i gniew malujący się na mojej twarzy chyba ją uspokaja.

– Porozmawiaj z Charliem – mówi ostrym i nieprzyjemnym tonem, który nie robi na Jamesie żadnego wrażenia. Odwraca się od niej, nie zaszczycając jej kolejnym spojrzeniem.

Dotykam lekko jej łokcia.

– Chodźmy stąd.

Jenny jeszcze raz spogląda z niechęcią na Jamesa, a potem kiwa głową. Ruszamy w kierunku wyjścia z komisariatu.

– Czy on zawsze jest takim fiutem? – pyta, kiedy schodzimy po schodach.

– O tak. To słowo zostało stworzone z myślą o nim.

Kawiarnię znajdujemy przy najbliższej przecznicy. San Francisco ma ich tak wiele jak Seattle. To jeden z rodzinnych biznesów, a nie sieciówka, i panuje tu przyjazna atmosfera prostoty. Zamawiam mokkę, a Jenny herbatę. Siadamy przy stoliku obok okna i przez chwilę oddajemy się rozmowie o niczym, popijając napoje z kubków. Mokka jest wyśmienita – na tyle, że potrafię się nią naprawdę cieszyć mimo otaczającej mnie zewsząd śmierci.

Spoglądam przez okno na ulice miasta. San Francisco zawsze mnie intrygowało. To Nowy Jork zachodniego wybrzeża: kosmopolityczny, z wpływami europejskimi. Ma swój własny charakter i urok. Zazwyczaj potrafię rozpoznać ludzi z San Francisco po ich ubiorze. To jedno z nielicznych miejsc na zachodnim wybrzeżu, gdzie widuje się wełniane trencze i czapki, berety i skórzane rękawiczki. Stylowe. Dzisiaj jest akurat ładny dzień; San Francisco potrafi być dość chłodne, ale dziś słońce wyjrzało zza chmur i temperatura utrzymuje się w granicach dwudziestu jeden stopni Celsjusza. Jak na tutejsze warunki to prawdziwy upał.

Jenny odstawia kubek z herbatą i przesuwa palcem po jego brzegu. Wydaje się zamyślona.

– Zaskoczył mnie twój widok tutaj, tym bardziej że, jak się okazuje, nie szefujesz swojemu zespołowi.

Patrzę na nią znad mojego kubka.

– Taka była umowa. Annie King była moją przyjaciółką, Jenny. Muszę się trzymać na uboczu tej sprawy, a przynajmniej oficjalnie. Nie jestem gotowa, żeby wrócić do prowadzenia węzła NCAVC. Jeszcze nie.

Jej spojrzenie niczego nie ujawnia, lecz nie widzę w nim również oceny.

– Nie jesteś gotowa twoim zdaniem, czy w opinii Biura?

– Moim zdaniem.

– W takim razie... nie obraź się, Smoky, ale jeśli to prawda, w jaki sposób udało ci się dostać pozwolenie na przyjazd tutaj? Nie sądzę, żeby mój kapitan zezwolił mi na to samo w podobnej sytuacji.

Wyjaśniam jej wszystko, co dotyczy zmian, które poczułam w sobie dzięki odnowieniu kontaktu z moim zespołem.

– Wygląda na to, że w tej chwili to dla mnie najlepsza terapia. Przypuszczam, że zastępca dyrektora również tak myśli.

Jenny milczy przez chwilę.

– Smoky, ty i ja jesteśmy przyjaciółkami. Nie wysyłamy sobie kartek na Boże Narodzenie ani nie odwiedzamy się w Święto Dziękczynienia. Nie jesteśmy przyjaciółkami *tego typu*, ale jednak nadal jesteśmy przyjaciółkami, prawda?

– Jasne, oczywiście.

– W takim razie muszę cię zapytać jako przyjaciółka: będziesz w stanie poradzić sobie z tą sprawą? Pociągnąć ją do samego końca? Znasz mnie i wiesz, że dużo widziałam w życiu, ale ta sprawa z córką Annie King...

– Drży bezwiednie. – Będę miała przez to koszmary. To, co zrobił twojej przyjaciółce, też nie było zbyt przyjemne. No i właśnie: ofiara była twoją przyjaciółką. Rozumiem, że testowanie szerokich wód może być dla ciebie zdrowe, lecz naprawdę sądzisz, że powinnaś zacząć terapię od właśnie tego dochodzenia?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Jestem pokiereszowana psychicznie, Jenny. Powiedzmy to sobie bez ogródek. Zapewne moje angażowanie się w tę sprawę nie ma na pozór żadnego sensu, ale... – Zastanawiam się przez chwilę. – Jest tak: wiesz, co robiłam od śmierci Matta i Alexy? Nic. Nie w tym sensie, że sobie wypoczywałam. Naprawdę nic. Siedzę całymi dniami w jednym miejscu, gapiąc się

w nagą ścianę. Kładę się spać, mam koszmary, budzę się i wpatruję w przypadkowe przedmioty, dopóki znów nie zasnę. Och, i czasami stoję przed lustrem, przyglądam się sobie całymi godzinami, dotykając palcami moich blizn. – Czuję w oczach szczypiące łzy i cieszę się, że to łzy gniewu, a nie słabości. – Wszystko, co ci mogę powiedzieć, to, że takie życie jest jeszcze okropniejsze niż to, co zobaczę, angażując się w śledztwo w sprawie śmierci Annie. Tak sądzę. Wiem, że to brzmi bardzo egoistycznie, ale taka jest prawda. – Brakuje mi słów. Czuję się jak zegar, który trzeba znów nakręcić. Jenny popija herbatę, a wokół nas niczego nieświadome miasto tętni życiem.

– To dość logiczne. No dobra, chcesz usłyszeć moje przemyślenia o scenie zbrodni? – To wszystko, co mówi. Nie zbywa mnie, tylko akceptuje na swój własny sposób. Mówi mi, że rozumie, więc przejdźmy do meritum. Jestem jej za to wdzięczna.

– Tak, proszę.

– Zadzwoił do mnie wczoraj.

– Masz na myśli: do ciebie osobiście? – przerywam.

– Uhm. Powiedział, że chce ze mną rozmawiać. Głos był zniekształcony. Powiedział mi, żebym sprawdziła e-mail. Może bym go zignorowała, ale wspomniał o tobie.

– W jaki sposób zniekształcony?

– Stłumiony, niewyraźny, jakby przykrył słuchawkę chusteczką.

– Jakież zauważalne cechy fleksyjne? Nietypowe użycie slangu? Ślad jakiegokolwiek akcentu?

Jenny spogląda na mnie z rozbawieniem.

– Zamierzasz przesłuchiwać mnie jak jednego ze świadków, Smoky?

– Jesteś świadkiem, a przynajmniej dla mnie. Jako jedyna rozmawiałaś z mordercą i widziałaś scenę zbrodni na świeżo. Więc, owszem.

– W porządku. – Widzę, że zastanawia się przez chwilę nad moim pytaniem. – Muszę odpowiedzieć „nie”. W rzeczywistości było zupełnie odwrotnie. Całkowity brak modulacji i akcentu. Jego głos był kompletnie neutralny.

– Pamiętasz dokładnie jego słowa? – Wiem, że odpowiedź na to pytanie jest twierdząca. Jennifer ma niesamowitą pamięć, równie przerażającą, co moje umiejętności w posługiwaniu się bronią ręczną. Wszyscy

adwokaci się jej boją.

– Tak. Zapytał: „Czy rozmawiam z detektyw Chang?”. Odpowiedziałam, że owszem. „Otrzymała pani e-mail”, powiedział, ale się nie roześmiał. To jedna z rzeczy, które zwróciły moją uwagę. Nie bawił się w żadne melodramaty, tylko oznajmił fakt. Spytałam, kto mówi, a on odparł: „Ktoś umarł. Smoky Barrett zna tę osobę. Dostała pani e-mail”, a potem się rozłączył.

– Nic więcej?

– To wszystko.

– Hmm. Czy wiemy, skąd dzwonił?

– Z budki telefonicznej w Los Angeles.

Słyszając to, nastawiam uszu.

– Los Angeles? – Zastanawiam się nad tym. – Może dlatego potrzebował trzech dni. Czyli albo podróżuje po kraju, albo pochodzi z LA.

– Albo się z nami drażni. Jeżeli jest z LA, to zgaduję, że przyjechał tutaj specjalnie dla Annie. – Mówi to z wyraźnym skrepowaniem i napięciem na twarzy. Wiem dlaczego.

– Oznaczałoby to, że to ja jestem osobą, której uwagę chciał zwrócić. – Zaakceptowałam już tę możliwość, a raczej prawdopodobieństwo. Nie zdążyłam się jednak z nim jeszcze oswoić emocjonalnie. Chodziło o fakt, że Annie zginęła nie tylko z powodu tego, co robiła, ale też dlatego, że była moją przyjaciółką.

– No tak, ale to wszystko tylko domysły. W każdym razie po rozmowie poszłam sprawdzić e-mail...

– Skąd go wysłał? – przerywam jej.

Spogląda na mnie z wahaniem.

– Z komputera twojej przyjaciółki, Smoky. Użył jej adresu.

Wywołuje to we mnie falę niespodziewanego gniewu. Wiem, że morderca zrobił to nie tylko dla zatarcia śladów, ale także po to, aby pokazać, że to, co należało do Annie, było teraz jego własnością. Odpycham na bok moje uczucia.

– Mów dalej.

– W e-mailu podał nazwisko Annie King i jej adres. Nic więcej. Dodał też cztery załączniki. Trzy z nich były zdjęciami twojej przyjaciółki, czwartym zaś list do ciebie. W tym momencie zaczęliśmy traktować

sprawę bardzo poważnie. W dzisiejszych czasach na zdjęciach można podrobić absolutnie wszystko, ale traktuje się to podobnie jak zagrożenie bombowe: zarządza się ewakuację na wszelki wypadek. Dlatego ja i mój partner zebraliśmy kilku mundurowych i udaliśmy się pod wskazany adres. – Upija nieco herbaty. – Drzwi nie były zamknięte, więc po kilkukrotnym zapukaniu wyciągnęliśmy broń i weszliśmy do środka. Twoja przyjaciółka i jej córka były w sypialni, na łóżku. Annie miała tam komputer. – Potrząsa głową na to wspomnienie. – To była okropna scena, Smoky. Widziałas pewnie więcej niż ja. Te wszystkie metodyczne, umyślne zabójstwa, ale sądzę, że też byś tak to odebrała. Rozciął ją całą wzdłuż, wypatroszył i zapakował wewnątrzności do torby. Poderżnął jej gardło. Ale najgorsza była dziewczynka.

– Bonnie.

– Dokładnie. Została przywiązana twarzą w twarz z matką. Nic niezwykłego. Po prostu położył ją na brzuchu zmarłej i owinął sznur wokół nich obu, dopóki mała nie mogła się poruszyć. Leżała tak przez trzy dni, Smoky. Przywiązana do swojej własnej martwej matki. Wiesz, co się dzieje z ciałem w ciągu trzech dni. Klimatyzacja nie była włączona, a ten skurwiel zostawił uchylone okno. W pokoju były muchy.

Wiem. To, co opisuje Jenny, jest wprost niewyobrażalne.

– Dzieciak ma tylko dziesięć lat, smród zaczyna się robić coraz gorszy, wszędzie krążą muchy. Odwróciła głowę tak, że jej policzek opierał się na twarzy matki. – Jenny krzywi się, a ja czuję lekki posmak przerażenia, które odczuwała w tamtej chwili. Jestem wdzięczna, tak bardzo wdzięczna, że mnie tam wtedy nie było. – Milczała. Nie powiedziała ani słowa, kiedy weszliśmy do pokoju ani kiedy ją rozwiązywaliśmy. Była bezwładna i wpatrywała się tępo w przestrzeń. Nie odpowiadała na pytania. Była odwodniona. Natychmiast wezwaliśmy pogotowie ratunkowe i odesłaliśmy ją do szpitala z oficerem policji. Fizycznie wszystko jest z nią w porządku. Postawiłam przed jej drzwiami strażnika, tak na wszelki wypadek. Jest w prywatnym pokoju. To tak przy okazji.

– Dzięki. Naprawdę to doceniam.

Jenny macha niedbale ręką i upija trochę herbaty. Ze zdziwieniem dostrzegam lekkie drżenie jej dłoni. Wspomnienie tej sceny musiało nią porządnie wstrząsnąć, chociaż jest niezłą twardzielką.

– Od tamtego czasu nie odezwała się ani słowem. Sądzisz, że kiedyś sobie z tym poradzi? Czy ktokolwiek by potrafił?

– Nie wiem. Zawsze zaskakuje mnie to, z czym potrafią poradzić sobie ludzie, ale nie mam pojęcia.

Spogląda na mnie z namysłem.

– Pewnie masz rację. – Milknie na chwilę. – Kiedy odprowadziliśmy ją do karetki, zamknęłam drzwi na klucz. Zadzwoiłam do laboratorium kryminalistycznego i skopałam im tyłki. Może byłam trochę za ostra, ale czułam się taka... wkurwiona. To nie jest odpowiednie słowo na to, co tak naprawdę czułam.

– Rozumiem.

– Kiedy oni robili oględziny i zabezpieczali scenę zbrodni, zadzwoniłam do Alana i oto jesteśmy. Nie mam nic więcej. Jesteśmy na samym początku, Smoky. Zbieranie dowodów, ot co. Nie miałam czasu zwolnić i zastanowić się nad tym wszystkim.

– Cofnijmy się nieco. Pozwól, że przeprowadzę cię przez wszystko jak świadka.

– Nie ma sprawy.

– Zrobimy to metodą wywiadu poznawczego.

– Okej.

Wywiad poznawczy.

Wspomnienia i zeznania świadków są jednym z wiecznych problemów. Ludzie widzą zbyt mało albo nie pamiętają tego, co zobaczyli, ze względu na traumę i emocje. Potrafią pamiętać rzeczy, które tak naprawdę się nie wydarzyły. Technika wywiadu poznawczego jest używana od dawna i chociaż ma specyficzną metodologię, jej zastosowanie nadal jest swego rodzaju sztuką. Ja jestem w tym niezła. Callie jest lepsza, a Alan to prawdziwy mistrz.

Podstawową koncepcją wywiadu poznawczego jest wiedza, iż wielokrotne przeprowadzanie świadka przez całe wydarzenie w chronologicznym porządku zasadniczo nie prowadzi do wyostrenia pamięci. Wykorzystuje się więc trzy techniki. Pierwszą jest odwołanie do kontekstu. Zamiast zaczynać od punktu wyjściowego danego wydarzenia, zabiera się świadków do chwil je poprzedzających. Jaki był ich dzień? Jak się czuli? Nad jakimi problemami/radosnymi chwilami/banałami się zastanawiali? Wszystko po to, aby przypomnieli

sobie normalny bieg wydarzeń przed tym nietypowym, którego szczegóły chcemy poznać. Teoretycznie ma to umieścić główny incydent w pewnym kontekście; osadzenie we wspomnieniach sprzed tego momentu ma pomóc świadkom przypomnieć sobie więcej szczegółów o interesującym nas epizodzie. Drugą techniką jest zmienianie sekwencji wspomnień. I znów zamiast chronologicznie zaczyna się od końca wydarzenia i cofa się krok po kroku do jego początku. Albo rozpoczyna się w środku incydentu. Dzięki temu świadkowie mogą niejako „rozejrzeć” się po swoich wspomnieniach i je zweryfikować. Ostatnią techniką dobrego wywiadu poznawczego jest zmiana perspektywy. *Hmm, zastanawiam się, jak to wszystko mogło wyglądać dla osoby stojącej przy drzwiach?* Pozwala to świadkom spojrzeć na wydarzenie pod innym kątem. Często doprowadza to do uwolnienia większej liczby faktów, dotychczas zablokowanych we wspomnieniach.

W przypadku kogoś takiego jak Jenny – wytrenowanego detektywa z doskonałą pamięcią – wywiad poznawczy może być niesłychanie skuteczny.

– Jest późne popołudnie – zaczynam. – Siedzisz w swoim biurze i...?

Jennifer spogląda w sufit, przypominając sobie.

– Rozmawiam z Charliem. Rozważamy sprawę, nad którą pracujemy od jakiegoś czasu. Szesnastoletnia prostytutka pobita na śmierć i porzucona w bocznej uliczce w dzielnicy Tenderloin.

– Aha. I co mówisz?

Jej oczy smutnieją.

– To on mówi. Że ludzi gównem obchodzi martwa kurwa, nawet jeśli ma tylko szesnaście lat. Jest wściekły i smutny, i daje upust swojej frustracji. Charlie nie radzi sobie zbyt dobrze z martwymi dziećmi.

– Jak ty się czułaś, słuchając go?

Wzrusza ramionami i wzdycha.

– Mniej więcej tak samo. Byłam wściekła. Smutna. Nie wywnętrzałam się tak jak on, ale rozumiałam go. Pamiętam, że spojrzałam na biurko, słuchając jego narzekania, i zauważyłam, że z teczki z dokumentami dotyczącymi śledztwa wystaje jedno ze zdjęć. Fotografia z miejsca, gdzie ją znaleźliśmy. Dostrzegłam część jej nogi, od kolana w dół. Wyglądała na nogę nieboszczyka. Poczułam się taka zmęczona.

– Mów dalej.

– Charlie w końcu się wygadał. Skończył bluzgać i przez sekundę siedział w milczeniu. Potem spojrział na mnie, uśmiechnął się do mnie tym swoim krzywym uśmiechem i powiedział, że mnie przeprasza. Odparłam, że nie ma sprawy. – Wzrusza ramionami. – On też wysłuchiwał w przeszłości mojego marudzenia. To jedna z tych rzeczy, które robią dla siebie partnerzy.

– Co wtedy czułaś wobec niego?

– Bliskość. Nie seksualną czy miłosną, nic z tych rzeczy. Nigdy czegoś takiego nie było między nami. Po prostu bliskość. Wiedziałam, że zawsze będzie przy mnie i *vice versa*. Byłam szczęśliwa, że mam takiego dobrego partnera. Chciałam mu właśnie o tym powiedzieć, kiedy dostaliśmy informację o telefonie.

– Od sprawcy?

– Tak. Pamiętam, że czułam się jakby... zdezorientowana, gdy zaczął do mnie mówić.

– W jakim sensie zdezorientowana?

– Cóż, życie było... normalne. Siedziałam sobie z Charliem i ktoś powiedział, że jest do mnie telefon. Powiedziałam „dzięki” i odebrałam. Wszystko to były zwykłe okoliczności. Czynności, które wykonywałam tysiące razy. Normalne. I nagle przestały takie być. Z czegoś zwykłego rozmowa nagle zmieniła się w konwersację z czystym złem, ot tak. – Pstryknęła palcami. W jej oczach widzę zakłopotanie.

To kolejny powód, dla którego postanowiłam przeprowadzić wywiad poznawczy z Jenny. Największy problem z pamięcią świadków to trauma wywołana przez incydent. Silne emocje potrafią zaciemnić wspomnienia. Ludzie spoza organów ochrony prawa nie rozumieją, że my również doświadczamy wstrząsów i urazów psychicznych. Uduszone dzieci, poćwiartowane matki, zgwałceni mali chłopcy. Rozmowy telefoniczne z mordercą. Wszystkie te doświadczenia są wstrząsające i wypełnione emocjami, niezależnie od tego, jak dobrze tłumionymi. Wszystkie są traumatyczne.

– Rozumiem. Myślę, że mamy już kontekst, Jenny – mówię cichym, spokojnym, równomiernym głosem. Jenny pozwala mi na umieszczenie jej „wtedy” i chcę, żeby trzymała się jak najbliżej tamtych chwil. – Idźmy dalej. Opowiedz mi wszystko od momentu, kiedy przekroczyłaś próg mieszkania Annie.

Mruży oczy, przyglądając się czemuś, czego nie widzę.

– Drzwi do mieszkania są białe. Pamiętam, że pomyślałam, iż to najbielsze drzwi, jakie widziałam. Coś w tym widoku sprawiło, że poczułam się pusta. Cyniczna.

– Dlaczego?

Spogląda na mnie wzrokiem wiekowej osoby.

– Ponieważ wiedziałam, że to kłamstwo. Cała ta biel. Kompletny pic na wodę. Czułam to instynktownie. Cokolwiek znajdowało się za tymi drzwiami, nie było białe, o nie. Wiedziałam, że będzie mroczne, zepsute i ohydne.

Czuję chłód w żołądku, coś w rodzaju déjà vu „z drugiej ręki”. Przechodziłam nieraz przez to, co w tej chwili opisuje Jenny.

– Mów dalej.

– Pukamy i wołamy ją po imieniu i nazwisku. Nic. Jest cicho. – Marszczy brwi. – Wiesz, co jeszcze było dziwne?

– Co?

– Nikt z sąsiadów nie wyjrzał zza swoich drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje. Stukaliśmy jak typowe gliny: głośno, mocno. Waliliśmy w drzwi, ale nikt się nie zainteresował. Nie sądzę, żeby Annie naprawdę znała swoich sąsiadów. A może po prostu nie była z nimi w bliskich relacjach? – Wzdycha. – W każdym razie... Charlie spogląda na mnie, a ja na niego, potem oboje zerkamy na mundurowych i wszyscy wyciągamy broń. – Przygryza wargę. – To moje złe przeczucie było naprawdę silne. Kłębek strachu skaczący jak piłeczka kauczukowa w moim żołądku. Widziałam, że inni też tak reagują, wyczuwają jego zapach. Pot i drżenie od zastrzyku adrenaliny. Płytkie, szybkie oddechy.

– Bałaś się? – pytam.

Nie odpowiada przez chwilę.

– Tak, bałam się. Tego, co tam znajdziemy. – Krzywi się. – Chcesz wiedzieć coś dziwnego? Zawsze boję się przed dotarciem na miejsce przestępstwa. Pracuję w wydziale zabójstw od ponad dziesięciu lat i widziałam niejedno, ale nadal za każdym razem boję się jak cholera.

– Mów dalej.

– Spróbowałam otworzyć drzwi za pomocą klamki i udało się ją przekręcić bez problemu. Spojrzałam jeszcze raz na wszystkich i otworzyłam szeroko drzwi. Wszyscy trzymaliśmy broń w pogotowiu.

– Jak myślisz, co było pierwszą rzeczą, którą zauważył Charlie? – zmieniam perspektywę.

– Zapach. To musiało być to. Czuliśmy ten zapach. Było ciemno, wszystkie światła wyłączone, poza jednym, w jej sypialni. – Wzdryga się, a ja zdaję sobie sprawę, że jest tego nieświadoma. – Z miejsca, w którym staliśmy, było widać drzwi do jej pokoju, w głębi korytarza, niemal w linii prostej z drzwiami wejściowymi. W całym mieszkaniu panowała prawie idealna ciemność, tylko drzwi do jej sypialni były jakby... obrysowane światłem. – Przesuwa dłonią po włosach. – Przypomniały mi się stare dziecięce strachy w stylu „potwór w szafie”. Za tymi drzwiami było coś, skrobało w nie, chciało się zza nich wydostać. Coś potwornego.

– Opowiedz mi o zapachu.

Krzywi się.

– Perfumy i krew. Tak tam pachniało. Woń perfum była mocniejsza, ale przenikał przez nią zapach krwi, gęsty, metaliczny. Subtelny, ale... w pewnym sensie irytujący. Niepokojący. Jak coś widzianego kątem oka.

Zapisuję to.

– Co było potem?

– Zrobiliśmy to, co zwykle. Wywołaliśmy mieszkańców, później sprawdziliśmy duży pokój i kuchnię. Użyliśmy latarek, ponieważ nie chciałam, żeby ktokolwiek czegokolwiek dotykał.

– To dobrze. – Kiwam głową zachęcająco.

– Potem zrobiliśmy to, co wydawało się nam sensowne. Ruszyliśmy w kierunku drzwi sypialni. – Przerywa i spogląda na mnie. – Powiedziałam Charliemu, żeby przed wejściem założył rękawiczki, Smoky.

Daje mi w ten sposób do zrozumienia, że wiedziała. Czowała, że za drzwiami wydarzyło się morderstwo. Zdawała sobie sprawę, że będzie musiała zająć się zebraniem dowodów, a nie ludźmi, którzy przeżyli.

– Pamiętam, jak wpatrzyłam się w klamkę. Nie chciałam jej przekręcić. Nie chciałam zaglądać do środka. Nie chciałam wypuszczać bestii.

– Mów dalej.

– To Charlie przekręcił klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Mieliśmy trochę problemu z ich otwarciem, ponieważ pod drzwiami był wepchnięty ręcznik.

– Ręcznik?

– Nasączony perfumami. Morderca położył go tam, żeby odór zwłok twojej przyjaciółki nie wydostał się na zewnątrz. Nie chciał, aby została znaleziona, zanim on będzie gotowy.

I tak po prostu część mnie nagle chce to wszystko przerwać, wstać, wyjść za drzwi kawiarni, wskoczyć do samolotu i wrócić do domu. To uczucie mnie zalewa, niemal przejmuje nade mną kontrolę. Zwalczam je.

– A potem? – pytam.

Jenny milczy, wpatrując się w przestrzeń. Widzi zbyt wiele. Kiedy zaczyna znów mówić, jej głos jest płaski, bezbarwny.

– To uderza nas wszystkich jednocześnie. Myślę, że morderca tego właśnie chciał. Łóżko jest przesunięte, żeby stało w prostej linii od drzwi. Tak, by po wejściu do pokoju można było zobaczyć i poczuć wszystko naraz. – Potrząsa głową. – Pamiętam, że pomyślałam o tych białych, niesamowicie białych drzwiach wejściowych. Poczułam taką pieprzoną *gorycz*. Za dużo było tego wszystkiego, żeby to ogarnąć. Myślę, że staliśmy tam przynajmniej z minutę. Po prostu patrząc. To Charlie zorientował się pierwszy, że Bonnie nadal żyje. – Przerzywa i wpatruje się w scenę, którą ma przed oczami. Czekam. – Pamiętam, że mrugnęła. Leżała z policzkiem przytkniętym do twarzy swojej martwej matki. Sama wyglądała na nieżywą. A potem nagle mrugnęła. Charlie zaczął przeklinać i – przygryza wargę – trochę się popłakał. Ale to zostaje między nami i mundurowymi, którzy z nami byli, dobra?

– Nie martw się.

– To było pierwsze i, mam nadzieję, ostatnie partactwo. Charlie po prostu wbiegł do pokoju i rozwiązał Bonnie. Zadeptał scenę. – Jej głos jest jednocześnie pusty i pełen zażenowania. – Nie mógł przestać przeklinać. Rzucił mięsem po włosku. Brzmi to naprawdę ładnie. Dziwne, nie?

– Tak – odpowiadam cicho, ostrożnie. Jenny jest całkowicie pogrążona w tamtej chwili i nie chcę jej wyrywać ze wspomnień.

– Bonnie była bezwładna i nie reagowała na nic. Przelatywała przez ręce. Charlie rozwiązał ją i wyniósł z mieszkania. Tak po prostu, zanim zdążyłam się zastanowić albo coś powiedzieć. Był zdesperowany. Rozumiałam go. – Krzywi się boleśnie. – Wysłałam mundurowych, żeby zadzwonili po pogotowie, po laboratorium kryminalistyki i po koronera.

I takie tam. Sama zostałam z twoją przyjaciółką. W tym pokoju wypełnionym zapachem śmierci, perfum i krwi. Byłam tak smutna i zagniewana, że prawie się nie porzygałam. Wpatrywałam się w Annie King. – Znow się wzdryga. Jej pięść zaciska się i rozluźnia raz po raz. – Czy zauważyłaś to kiedyś, przebywając w pobliżu zwłok, Smoky? Tę ciszę i bezruch? Nic żywego nie potrafiłoby imitować takiej... martwoty. Milczący, zastygły w bezruchu, nikogo nie ma w domu. W tym momencie zawsze się wyłączam. – Spogląda na mnie i wzrusza ramionami. – Wiesz, jak to działa.

Kiwam głową. Wiem. Człowiek pokonuje początkowy szok, a potem odcina się od swojej emocjonalnej części, żeby wykonać, co do niego należy, bez szlochania, wymiotów czy natychmiastowej utraty zdrowych zmysłów. Musi być w stanie spojrzeć na horror klinicznym wzrokiem. To całkowicie nienaturalne.

– To w pewnym sensie zabawne, jak się na to patrzy z perspektywy czasu. Zupełnie jakbym słyszała w głowie swój własny głos, dziwnie automatycznie jednostajny. – Zaczyna udawać robota: – *Biała kobieta, mniej więcej trzydziestopięcioletnia, naga, przywiązana do łóżka. Ślady nacięć od szyi do kolan, prawdopodobnie wykonanych nożem. Wiele cięć wygląda na długie i płytkie, sugerując możliwość tortur. Korpus – jej głos załamuje się na chwilę – korpus rozcięty wzdłuż i wypatroszony z narządów wewnętrznych. Twarz ofiary jest wykrzywiona, jakby krzyczała, umierając. Kości ramion i nóg najprawdopodobniej są połamane. Zabójstwo wygląda na umyślne, przeprowadzone powoli. Upozowanie ciała sugeruje uprzednie planowanie, a nie zbrodnię w afekcie.*

– Sama mogę coś na ten temat powiedzieć – komentuję. – Jakie jest twoje wrażenie co do sprawcy na podstawie obserwacji miejsca zdarzenia w tamtej chwili?

Jenny milczy przez dłuższy czas. Czekam, obserwując ją, gdy wygląda przez okno. Wreszcie przenosi spojrzenie na mnie.

– Jej agonia była jego orgazmem, Smoky. To był najlepszy seks, jakiego doświadczył w życiu.

Jej słowa wstrząsają mną. Są mroczne, zimne i potworne.

Ale tego między innymi szukałam. To chciałam usłyszeć. Poza tym brzmia wiarygodnie. Czuję się pusta, wydrążona, lecz jednocześnie

zaczynam węszyć trop mordercy. Pachnie perfumami i krwią, obramowanymi światłem drzwiami skrytymi w cieniu. Pachnie jak śmiech zmieszany z krzykiem, jak kłamstwa przebrane za prawdę. Jak rozkład i upodlenie widziane kątem oka.

Jest dokładny i delectuje się swoim czynem.

– Dzięki, Jenny. – Czuję się pusta, brudna i wypełniona cieniami, ale jednocześnie coś się zaczyna we mnie budzić. Smoczyca. Obawiałam się, że już dawno umarła, odeszła, amputowana przez Josepha Sandsa. Jeszcze nie otworzyła całkiem oczu, ale znów ją czuję, po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Jenny drży lekko.

– Nieźle poszło. Naprawdę mnie tam zaprowadziłaś.

– Nie wymagało to zbyt wielkich umiejętności z mojej strony. Jesteś wymarzonym świadkiem. – Moja odpowiedź brzmi apatycznie. Czuję się okropnie zmęczona.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, zamyślane i poruszone.

Moja mokka już nie smakuje tak wspaniale, a Jenny przestała się interesować swoją herbatą. Śmierć i horror tak właśnie działają – wysysają radość z każdej chwili życia. To jedna z rzeczy, z którą człowiek zawsze musi się borykać w naszej pracy. Poczucie winy tych, którzy przeżyli. Świętowanie życia, jakkolwiek dyskretne i mimowolne, gdy jednocześnie rozmawia się o pełnym bólu i krzyku końcu czyjejs egzystencji, wydaje się niemal świętokradztwem.

Wzdycham.

– Możesz mnie zabrać do Bonnie?

Płacimy za napoje i wychodzimy. Przez całą drogę przeraża mnie myśl o spojrzeniu w te niewidzące oczy. Czuję krew i perfumy, perfumy i krew. Zapach desperacji.

Nienawidzę szpitali. Cieszę się, że są, kiedy ich potrzebujemy, ale z pobytu w nich mam tylko jedno dobre wspomnienie: narodziny mojej córki. Oprócz tego wizyta w szpitalu zawsze wiązała się z tym, że byłam ranna, albo ktoś inny był ranny lub umierający. Dzisiejszy dzień nie stanowi wyjątku. Znalazłyśmy się w szpitalu, ponieważ musimy zobaczyć się z młodą dziewczyną, która przez trzy dni leżała przywiązana do swojej martwej matki.

Moje własne wspomnienia z ostatniego pobytu w szpitalu są surrealistyczne. Był to czas intensywnego bólu fizycznego i niekończącego się pragnienia śmierci. Czas bezsenności przez wiele długich dni, zanim zwyczajnie straciłam przytomność z wyczerpania. Czas wpatrywania się w sufit w ciemności, gdy monitory szumiały, a pielęgniarki na korytarzach szurały miękko szpitalnym obuwiem. Wszystko to wydawało się przeraźliwie głośne w wypchanej watą ciszy. Był to czas wsłuchiwania się w swoją duszę, której głos brzmiał niczym puste syczenie, jakie słyszy się po przyłożeniu do ucha morskiej muszli.

Czuję zapach szpitala i wzdrygam się gdzieś w głębi.

– To tutaj – mówi Jenny.

Policjant przed drzwiami jest czujny. Prosi mnie o legitymację, choć przecież jestem z Jenny. Aprobuję to.

– Miała jakichś innych gości? – pyta Jenny.

– Nie. – Potrząsa głową. – Było dość spokojnie.

– Nie pozwól nikomu wchodzić, dopóki nie wyjdziemy, Jim. Nie obchodzi mnie, kto będzie chciał się tu dostać. Rozumiesz?

– Tak jest, pani detektyw.

Policjant siada z powrotem na krześle i rozkłada gazetę. Wchodzimy do

pokoju.

W momencie gdy drzwi się za nami zamykają i dostrzegam nieruchomą sylwetkę Bonnie, zaczyna mi się kręcić w głowie. Dziewczynka nie śpi, ma otwarte oczy, które nie poruszają się jednak ani trochę na dźwięk naszego wejścia. Bonnie jest drobna, krucha i wydaje się jeszcze mniejsza nie tylko z powodu zbyt wielkiego łóżka szpitalnego, ale też ze względu na okoliczności. Jestem zaskoczona, jak bardzo przypomina Annie. Ma takie same blond włosy i zadarty nos oraz kobaltowo-niebieskie oczy. Za kilka lat stanie się niemal bliźniaczo podobna do dziewczyny, którą przytulałam w toalecie licealnej całe wieki temu. Zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Wypuszczam powietrze z płuc i podchodzę do Bonnie.

Monitoruję ją tylko w minimalnym stopniu. Jenny wyjaśniła mi po drodze, że szczegółowe oględziny nie wykazały gwałtu ani żadnych innych obrażeń fizycznych. W głębi duszy jestem za to wdzięczna, ale jednocześnie wiem, jak głęboko sięgają rany psychiczne Bonnie. Są niczym studnie pełne krwi i żaden lekarz nie może ich zszyć. To rany umysłu.

– Bonnie? – mówię cicho, wyważonym głosem. Pamiętam, że kiedyś gdzieś przeczytałam o tym, jak rozmawiać z ludźmi w śpiączce; o tym, że wszystko słyszą i że mówienie do nich pomaga. Myślę, że to zbliżony przypadek. – Jestem Smoky. Przyjaźniłyśmy się z twoją mamą przez bardzo długi czas. Jestem twoją matką chrzestną.

Żadnej odpowiedzi. Tylko te oczy, wpatrzone w sufit. Widzące coś innego. A może nic. Podchodzę do brzegu łóżka. Waham się przez chwilę, a potem chwytam jej małą dłoń. Znow mam zawroty głowy, pod wpływem dotyku jej miękkiej skóry. To jest dłoń dziecka – jeszcze nie w pełni wyrosnięta, symbol tego, co pragniemy chronić, kochać i pielęgnować. Trzymałam dłoń mojej córki w ten sam sposób wiele razy i nagle otwiera się we mnie pustka, którą wypełnia mała rączka Bonnie. Zaczynam mówić do dziewczynki, niepewna słów, dopóki nie wydobędą się z moich ust. Jenny stoi za mną w milczeniu. Jestem ledwie świadoma jej obecności. Moje słowa brzmią cicho i szczerze w moich uszach, jakby ktoś odmawiał modlitwę.

– Kochanie, przyszłam ci powiedzieć, że jestem tu, aby odnaleźć człowieka, który zrobił to wszystko tobie i twojej mamie. Na tym polega

moja praca. Pamiętaj, wiem, jak bardzo jest ci teraz źle. Jak bardzo cierpisz w środku. Może nawet jak bardzo pragniesz umrzeć. – Po policzku ścieka mi łza. – Sześć miesięcy temu bardzo zły człowiek zabił mojego męża i córeczkę. Skrzywdził mnie i przez bardzo długi czas chciałam robić dokładnie to, co ty robisz teraz. Chciałam schować się w sobie i zniknąć. – Przerrywam na chwilę, oddycham z drzeniem i ściskam rękę Bonnie. – Chcę ci tylko powiedzieć, że rozumiem. Możesz tam zostać tak długo, jak potrzebujesz. A kiedy będziesz gotowa, żeby się wynurzyć, nie będziesz sama. Ja się tobą zajmę. – Płaczę już teraz niepowstrzymanie, ale nic mnie to nie obchodzi. – Kochałam twoją mamę, skarbie. Bardzo ją kochałam i żałuję, że nie spędziłyśmy ze sobą więcej czasu. Żałuję, że nie widywałam cię częściej. – Uśmiecham się krzywo przez łzy. – Szkoda, że ty i Alexa się nie poznałyście. Myślę, że byś ją polubiła.

Robi mi się coraz słabiej, a łzy nie chcą przestać płynąć. Żałoba taka właśnie czasem jest: jak woda. Znajduje jakąkolwiek szczelinę i przeciska się przez nią, aż wreszcie eksploduje, niepowstrzymana. Przed oczami pojawiają mi się obrazy Alexy, Annie. Migają, zmieniając wnętrze mojej głowy w jakieś szalone stroboskopowe disco. Zostaje mi jedynie chwila, żeby zorientować się, co zaraz nastąpi. Tracę przytomność.

A potem zapada ciemność.

To mój drugi sen, ten piękny.

Jestem w szpitalu, w samym środku porodu, i poważnie rozważam zabicie Matta za to, że postawił mnie w tej sytuacji. Czuję się, jakby ktoś rozerwał mnie na pół, jestem cała spocona, stękam jak świnia, a wszystko to w przerwach między wrzaskami z powodu bólu.

Przez moje ciało przesuwają się istota ludzka, usiłując wydostać się na zewnątrz. Nie ma w tym nic poetyckiego. Czuję się, jakbym miała wysrać z siebie kulę do kręgli. Zapomniałam o całym teoretycznym cudzie posiadania dziecka. Chcę tylko, żeby ta rzecz ze mnie wylazła. Kocham ją, nienawidzę i kocham, a wszystko to odzwierciedlają moje wrzaski i przekleństwa.

Mój doktor przemawia do mnie spokojnie, a ja mam ochotę walnąć go w tę jego głupią idiotyczną łysą pałę.

– Okej, Smoky, widzę główkę dziecka! Jeszcze kilka pchnięć i cała wyjdzie. Dalej, trzymaj się.

– Pierdol się! – wrzeszczę, a potem prę. Doktor Chalmers nie zaszczyca mnie nawet spojrzaniem. Odbiera porody już od wielu, wielu lat.

– Świetnie sobie radzisz, kochanie – mówi Matt. Trzymam go za rękę i część mnie ma perwersyjną nadzieję, że mój uścisk skruszy mu kości na pył.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? – warczę. Siła skurczu odrzuca moją głowę do tyłu i zaczynam przeklinać jak nigdy przedtem. Z moich ust wylewają się bluźniercze, okropne słowa, które zawstydzilyby nawet starego harleyowca. Czuję zapach krwi i bąków, które puszczam, pracę. Nie ma w tym żadnego piękna, myślę sobie. Chcę was wszystkich zabić! A potem ból i parcie wzrastają, chociaż myślałam, że to niemożliwe. Czuję, jakby moja głowa miała się za chwilę obrócić wokół szyi o 360 stopni. Klnę z absolutnym zapamiętaniem.

– Jeszcze jeden raz, Smoky – mówi doktor Chalmers pomiędzy moich nóg, nadal spokojny w samym środku zawieruchy.

Rozlega się tryskający, cmokający odgłos, czuję ból, nacisk, a potem – ona jest na zewnątrz. Moja córka wy dostała się na świat i pierwsze słowa, które usłyszała, to przekleństwa. Zapada cisza, słyszę odgłosy cięcia, a potem coś, co odsuwa cały ból i gniew i krew. Coś, co sprawia, że czas się zatrzymuje. Słyszę płacz mojej córki. Wydaje się tak samo wkurwiona jak ja jeszcze minutę temu i jest to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam – najwspanialsza muzyka, niewyobrażalny cud. Jestem oszołomiona i mam wrażenie, że serce powinno zatrzymać się w mojej piersi. Słyszę ten dźwięk, spoglądam na mojego męża i zaczynam szlochać.

– Zdrowa dziewczynka – mówi doktor Chalmers i prostuje się, kiedy położne wycierają i owijają Alexę w kocyk. Wygląda na spoconego, zmęczonego i szczęśliwego. Kocham tego człowieka, którego przed chwilą chciałam pobić. Był częścią mojego cudu i jestem mu wdzięczna, chociaż nie potrafię przestać płakać, by wyrazić to słowami.

Alexa urodziła się tuż po północy wśród krwi, bólu i przekleństw i było to coś, co zdarza się tylko kilka razy w życiu – moment perfekcji.

Umarła również po północy, zabrana z powrotem na łono ciemności, z którego już nigdy się nie odrodzi.

Ocknęłam się, dysząc, dygocząc i płacząc. Nadal jestem w szpitalu. Jenny stoi nade mną, wyraźnie zszokowana.

– Smoky, dobrze się czujesz?

Moje usta wydają się lepkie, policzki ściągają się boleśnie od soli pochodzącej z moich łez. Jestem przerażona. Spoglądam na drzwi do szpitalnego pokoju, a Jenny potrząsa głową.

– Nikt tutaj nie wchodził, choć gdybyś się tak szybko nie ocknęła, na pewno bym kogoś wezwała.

Nabieram powietrza w płuca – długimi, łapczywymi wdechami typowymi dla chwil po ataku paniki.

– Dziękuję. – Siadam na podłodze i ukrywam twarz w dłoniach. – Przepraszam, Jenny. Nie wiedziałam, że to się stanie.

Jenny milczy. Jej maska twardzielki znika na chwilę. Wygląda na smutną, chociaż nie uważa się nade mną.

– Nie przejmuj się – mówi tylko.

Siedzę tak, połykając powietrze, aż wreszcie mój oddech się uspokaja. A potem dostrzegam coś jeszcze i zupełnie jak w moim śnie ból nagle znika.

Bonnie odwróciła głowę i patrzy teraz na mnie. Po jej policzku spływa pojedyncza łza. Wstaję, podchodzę do jej łóżka i chwytam jej dłoń.

– Hej, kochanie – szepczę.

Nie mówi nic i ja też milknę. Wpatrujemy się w siebie bez słowa, pozwalając łzom toczyć się po naszych policzkach. Po to właśnie są. To przejaw krwawiącej duszy.

Mieszkańcy San Francisco jeżdżą w podobny sposób jak nowojorczyki – nie idą na żadne ustępstwa. W tej chwili ulice są dość zatłoczone i Jenny koncentruje się na zażartych negocjacjach z pozostałymi pojazdami. Wracamy do komisariatu przy akompaniamencie trąbienia i serii przekleństw. Zatykam sobie ucho palcem, żebym mogła lepiej słyszeć Callie, z którą rozmawiam przez telefon.

– Jak idzie w laboratorium kryminalistycznym?

– Są dobrzy, kochaneczko. Bardzo dobrzy. Sprawdzam w najdrobniejszych szczegółach to, co mają, ale wygląda na to, że z punktu widzenia ekspertyzy kryminalistycznej wzięli pod uwagę absolutnie wszystko.

– Rozumiem, że niczego nie znaleźli?

– Sprawca był bardzo ostrożny.

– Tak. – Czuję czające się przygnębienie, lecz odpycham je od siebie. – Sprawdziłaś, jak z innymi? Jakież wiadomości od Damiena?

– Nie miałam jeszcze czasu.

– Jesteśmy już prawie przy komisariacie. Rób dalej to, co robisz. Ja sprawdzę, gdzie są pozostali.

Callie milczy przez chwilę.

– Jak się czuje dziecko, Smoky?

Jak się czuje dziecko? Chciałabym umieć odpowiedzieć na to pytanie. Ale nie umiem i nie chcę w tej chwili o tym rozmawiać.

– Jest w złym stanie. – Rozłączam się, zanim zdąży odpowiedzieć, i wpatruję się w miasto za oknem samochodu. San Francisco to labirynt stromych wzgórz, jednokierunkowych ulic, agresywnych kierowców i tramwajów. Ma w sobie swego rodzaju mgliste piękno, które zawsze

podziwiałam. Jest osobliwością jedyną w swoim rodzaju – mieszaniną kultur, kolebką dekadencji, dążącą zbyt szybko ku własnej śmierci lub sukcesowi. W tej chwili jednak nie ma dla mnie żadnego nietypowego uroku. To kolejne miejsce, w którym zdarzają się morderstwa. Taki właśnie jest problem z morderstwem. Może się wydarzyć na biegunie północnym lub na równiku. Mogą je popełnić mężczyźni, kobiety, dzieci lub dorośli. Ich ofiary mogą być świętymi lub grzesznikami. Morderstwo jest wszędzie i jest go wiele. Wypełnia mnie teraz ciemność – żadnej bieli albo odcieni szarości, tylko smolista czerń.

Dojeżdżamy na posterunek i Jenny wyprowadza nas z szalejącej rzeki ulicznego ruchu na spokojniejsze wody policyjnego parkingu. W San Francisco niełatwo jest znaleźć miejsce do parkowania – nie zazdroszczę jednak żadnemu głupcowi, który uznałby, że może zająć jedno z tych miejsc tutaj.

Ruszamy do bocznego wejścia i dalej, długim korytarzem do środka. Alan siedzi z Charliem w biurze Jenny. Obaj są zaczytani w jakichś dokumentach.

– Hej – mówi Alan. Przygląda mi się uważnie, oceniając mój stan. Udaję, że tego nie widzę.

– Jakies nowiny od pozostałych?

– Nikt ze mną nie rozmawiał.

– Znalazłeś coś?

Potrząsa głową.

– Jak dotąd nic. Chciałbym zrzucić winę na brak umiejętności tutejszych glin, ale nie mogę. Detektyw Chang trzyma wszystko żelazną ręką. – Pstryka palcami i uśmiecha się do Charliego. – Och, tak, przepraszam. Ona i jej wierny pomocnik, oczywiście.

– Pierdol się. – Charlie nie raczy nawet unieść wzroku znad dokumentów.

– Szukajcie dalej. Ja zadzwonię do Jamesa i Leo.

Alan podnosi kciuk i wraca do czytania. Mój telefon zaczyna dzwonić.

– Barrett.

– Gdzie, do diabła, jest detektyw Chang? – słyszę cierpki głos Jamesa.

– Co się dzieje, James?

– Patolog nie chce zacząć sekcji, dopóki twoja mała przyjaciółka się tu nie pojawi. Niech zabiera dupę i zaraz tu przychodzi. – Rozłącza się,

zanim jestem w stanie coś powiedzieć. Dupek.

– James potrzebuje cię w kostnicy – mówię do Jenny. – Nie zaczną bez ciebie.

– Rozumiem, że fiutek się wkurzył? – Uśmiecha się lekko.

– Bardzo.

– To dobrze. – Szczyrzy zęby w uśmiechu. – Już idę.

Wychodzi. Czas, żeby skontaktować się z naszym nowicjuszem, Leo. Wybieram numer, zastanawiając się jednocześnie – i zupełnie bez związku ze sprawą – jaki rodzaj kolczyków nosi w uchu, kiedy jest poza pracą. Leo odbiera dopiero po pięciu czy sześciu dzwonekach, a kiedy wreszcie to robi, brzmienie jego głosu wywołuje u mnie niepokój.

– C-C-C-Carnes...

– Leo? Mówi Smoky.

– Wi-wi-wi-wideo...

– Zwolnij, Leo. Odetchnij głęboko i powiedz mi, co się dzieje.

Kiedy znów się odzywa, mówi szeptem. Jego słowa wypełniają moją głowę białym szumem.

– Wi-wi-wideo mo-mo-mo-morderstwa. Potworne...

Alan spogląda na mnie z niepokojem. Widzi, że coś się stało.

Wreszcie wydobywam z siebie głos.

– Zostań na miejscu, Leo. Nigdzie się nie ruszaj. Zaraz u ciebie będziemy.

Pamiętam tę okolicę z mojej poprzedniej wizyty u Annie, po śmierci jej ojca. Mieszkała w wysokim apartamentowcu – w stylu nowojorskim, gdzie wszystkie mieszkania były bardziej jak tamtejsze lokale własnościowe, pełne jadalni i wpuszczonych w podłogę wanien.

– Ładne miejsce, ładna okolica – zauważa Alan, wyglądając za okno samochodu.

– Jej tata nie był najbiedniejszy i zapisał jej wszystko w testamencie.

Rozglądam się po tym czystym, bezpiecznym terenie. Chociaż San Francisco nie posiada tak naprawdę podmiejskich dzielnic, niektóre z nich można zdecydowanie uznać za „ładne okolice”. Odcinają człowieka od miejskiego hałasu i pozwalają mu mieszkać na tyle wysoko, żeby z okien można było podziwiać całą zatokę i drugi brzeg. Niektóre dzielnice są stare, z wiktoriańskimi kamienicami, inne zaś to nowe osiedla, takie jak to tutaj.

I znów uderza mnie ta myśl: nie ma na tym świecie miejsca wolnego od groźby morderstwa. Po prostu nie ma. Fakt, że w takiej lokalizacji prawdopodobieństwo morderstwa jest niższe niż w slumsach, koniec końców nie uchroni nikogo przed ostatecznością, czyli przed śmiercią.

Alan dzwoni do Leo, kiedy wysiadamy z samochodu.

– Jesteśmy przed budynkiem, synu. Trzymaj się, zaraz u ciebie będziemy.

Wchodzimy do lobby. Recepcjonista obserwuje nas, gdy wbiegamy do windy, ale nic nie mówi. W milczeniu jedziemy na czwarte piętro.

Nie rozmawialiśmy przez całą drogę tutaj i nadal nie mamy na to ochoty. To najgorsza część naszej pracy: widok rzeczywistego aktu zbrodni. Analizowanie dowodów rzeczowych lub próba zajrzenia do

umysłu zabójcy to jedna kwestia. Widok martwej ofiary, zapach krwi w pokoju – to zupełnie co innego. Jak to kiedyś powiedział Alan: „Jest różnica między myśleniem o gównie i jego zjadaniem”.

Charlie milczy ponuro. Może przypomina sobie zeszłą noc, kiedy otworzył drzwi i zobaczył Bonnie.

Docieramy na czwarte piętro i wychodzimy z windy. Idziemy w dół korytarza i skręcamy. Leo jest na zewnątrz. Siedzi oparty o ścianę i trzyma głowę w dłoniach.

– Ja się tym zajmę – mruczy cicho Alan.

Kiwam głową i obserwujemy go, jak podchodzi do Leo, przykłęka przy nim i opiera ogromną dłoń na ramieniu młodego człowieka. Wiem z doświadczenia, że mimo rozmiarów dotyk ręki Alana jest bardzo delikatny.

– Jak się czujesz, dzieciaku?

Leo spogląda na niego. Ma pobladłą, białą jak prześcieradło twarz, lśniąca od potu. Nawet nie próbuje się uśmiechnąć.

– Przepraszam, Alan. Nie dałem rady. Zobaczyłem to, a potem zwymiotowałem i nie mogłem tam zostać... – Jego apatyczne słowa powoli zamierają.

– Posłuchaj, synu. – Wielki mężczyzna przemawia cichym głosem, który jednak wymaga uwagi. Czekamy z Charliem. Bardzo chcemy wejść do środka i zrobić to, co do nas należy, ale oboje współczujemy Leo, bo wiemy, przez co teraz przechodzi. To najważniejszy moment dla ludzi w naszej profesji. Chrzest krwi. Chwila, w której człowiek spogląda w dół przepaści po raz pierwszy. Kiedy dowiaduje się, że licho naprawdę istnieje i rzeczywiście przez cały ten czas czaiło się pod łóżkiem. Gdy staje twarzą w twarz z prawdziwym złem. Wiemy, że albo Leo sobie z tym poradzi, albo poszuka innej pracy. – Uważasz, że coś jest z tobą nie tak, bo odleciałeś po tym, co zobaczyłeś? – pyta Alan.

Leo kiwa głową zawstydzony.

– Cóż, jesteś w błędzie. Problem w tym, że naoglądałeś się za dużo filmów i naczytałeś książek. Jedno i drugie daje ludziom idiotycznie nieprawdziwe wyobrażenie o tym, co znaczy być twardzielem, jak powinien reagować gliniarz, kiedy widzi martwych ludzi, przemoc i tym podobne. Uważasz, że powinieneś mieć na końcu języka jakieś inteligentne krótkie komentarze, kanapkę z szynką w dłoni i w ogóle nie

powinno cię to wszystko ruszać?

– Chyba tak.

– A jeśli ci się nie uda, to oznacza, że jesteś mięczakiem i zostaniesz zawstydzony publicznie przed starymi wyjadaczami? Cholera, może uważasz, że skoro się wyrzygałeś, to nie nadajesz się do tego rodzaju pracy? – Alan odwraca się i spogląda na nas. – Ile scen zbrodni przerobiłeś, zanim przestałeś zwracać, Charlie?

– Trzy. Nie, cztery.

Leo unosi głowę na te słowa.

– A ty, Smoky?

– Na pewno więcej niż jedną.

Alan znów zerka na Leo.

– Ja zaliczyłem cztery. Nawet Callie rzygała, chociaż oczywiście nie przyzna się do tego, ponieważ jest królową i w ogóle. – Patrzy na chłopaka, mrużąc oczy. – Synu, nie ma w tym życiu niczego, co mogłoby cię przygotować na pierwszy tego typu widok. Absolutnie niczego. Nie ma znaczenia, ile zdjęć oglądałeś i ile akt przerobiłeś. Prawdziwy trup to zupełnie inna gra.

Leo zerka na Alana i rozpoznaje w jego wzroku szacunek graniczący z czcią. Tak patrzy student na swojego mentora.

– Dzięki.

– Nie ma problemu.

Obaj wstają.

– Gotów na streszczenie sprawy, agencie Carnes? – pytam, nadając mojemu głosowi nieco surowy ton. Leo tego potrzebuje.

– Tak, proszę pani.

Nabrał już trochę koloru i wygląda na odrobinę bardziej zdeterminowanego. Dla mnie jednak jest przede wszystkim młody. Leo Carnes jest dzieckiem, które poznało, co to morderstwo i przez to dorośnie dużo wcześniej, niż powinno. Witam w klubie.

– Zatem słucham.

Zaczyna spokojnym, miarowym głosem:

– Po przyjeździe tu przeprowadziłem wstępne testy, weryfikując brak pułapek i wirusów. Następnie zrobiłem to, co zawsze robi się na samym początku: sprawdziłem, które pliki były ostatnio modyfikowane. Okazało się, że najświeższy jest plik tekstowy pod nazwą *przeczytajmniefbi*.

– Naprawdę?

– Tak. Otworzyłem plik, w którym widniało jedno zdanie: *Sprawdź kieszeń niebieskiej kurtki*. Nie zauważyłem nigdzie niebieskiej kurtki, ale potem zajrzałem do szafy. W lewej kieszeni niebieskiej kurtki ofiary znalazłem płytę kompaktową.

– I postanowiłeś obejrzeć, co na niej jest. Nie ma sprawy. Ja też bym tak postąpiła.

– Podczas nagrywania CD można nadać mu tytuł – ciągnie zachełony.

– Kiedy zobaczyłem nazwę tego dysku, bardzo się zainteresowałem. – Przełyka głośno. – Jest zatytułowany *Śmierć Annie*.

Charlie krzywi się niemiłosiernie.

– Skurwysyn. Jenny się wkurzy, że to przeoczyliśmy.

– Mów dalej – proszę Leo.

– Sprawdziłem, jakie pliki znajdują się na dysku. Był tylko jeden. Wideo wysokiej jakości i rozdzielczości. Wypełnia cały kompakt. – Znów przełyka ślinę i nieco blednie. – Kliknąłem na ten plik, co spowodowało uruchomienie odtwarzacza i automatyczne puszczenie nagrania. To było... – Potrząsa głową, usiłując się opanować. – Przepraszam. Morderca zakodował i wyprodukował ten film. Nie dokumentuje on pełnego przebiegu zbrodni, bo to prawdopodobnie byłoby za duże na CD, w sensie wielkości pliku... to bardziej coś w rodzaju... montażu.

– Montażu morderstwa Annie – dopowiadam za niego. Wiem, że Leo nie chce sam wypowiedzieć tych słów.

– Tak. Jest... *nie do opisanía*. Nie chciałem oglądać, ale nie mogłem się powstrzymać. Wtedy zacząłem wymiotować, a potem pani zadzwoniła. Wszedłem z mieszkania i czekałem tutaj do waszego przyjazdu.

– Chyba nie zwymiotowałeś w sypialni, co? – pyta Charlie.

– Zdążyłem dobiec do łazienki.

Alan klepie go po plecach wielką dłonią łapacza. Gdyby Leo miał sztuczną szczękę, z pewnością wyfrunęłaby teraz z jego ust.

– Widzisz? Masz to, czego trzeba, Leo. Zachowałeś przytomność umysłu przed opróżnieniem żołądka. Znakomicie.

Leo uśmiecha się do niego nieśmiało.

– Chodźmy obejrzeć ten film – mówię. – Leo, nie musisz z nami iść, jeśli nie chcesz. Naprawdę.

Spogląda na mnie znacząco. W jego wzroku dostrzegam mieszaninę

dojrzałej mądrości i rozmysłu. Nagle zdaję sobie sprawę, że wiem, o czym teraz myśli. O tym, że Annie była moją przyjaciółką. Że jeśli ja zamierzam tam wejść i obejrzeć ten film, to każdy powinien być w stanie to zrobić. Niemal słyszę jego myśli, a jego zdeterminowany twardy wzrok jedynie utwierdza mnie w przekonaniu. Kręci stanowczo głową.

– Nie, proszę pani. Komputery to moja praca. Zamierzam ją wykonać do końca.

Wyrażam szacunek dla jego siły tak, jak zwykle w takich okolicznościach – nie robiąc z tego wielkiej sprawy.

– W porządku. Zabierz nas do środka.

Leo otwiera drzwi i wszyscy wchodzimy do mieszkania. Wygląda niemal tak samo, jak je zapamiętałam. Są tu trzy sypialnie, dwie łazienki, duży salon i wielka kuchnia. Najbardziej uderza mnie obecność Annie we wszystkich szczegółach. Jest widoczna w dekoracjach, w samej istocie tego miejsca. Niebieski zawsze był jej ulubionym kolorem i dostrzegam go wszędzie dookoła: niebieskie zasłony, wazon, fotografia z przewagą błękitnego nieba. Wszystko do siebie pasuje, ale nie w ten irytujący, obsesyjny sposób, w jaki ludzie zawsze starają się „dorównać sąsiadom”. Mieszkanie Annie to studium stonowanego piękna. Tchnie spokojem.

Annie zawsze miała ten dar: zdolność ozdabiania różnych miejsc bez specjalnego wysiłku. Wszystko – od ubrań, które nosiła, po zegarek na jej nadgarstku – zawsze było stylowe, ale nie aroganckie czy pozbawione gustu. Instynktownie dobierała wszystko tak, aby zachować elegancję bez ostentacji – i zawsze uważałam tę umiejętność za odzwierciedlenie jej wewnętrznego piękna. Nie wybierała rzeczy pod kątem tego, jak inni je będą postrzegać. Wybierała je, ponieważ do niej przemawiały. Ponieważ pasowały, były właściwe. Jej mieszkanie było odzwierciedleniem tego wszystkiego; pokryte warstewką duchowego kurzu z serca Annie.

Ale jest tu jeszcze coś.

– Czujesz ten zapach? – pyta Alan. – Co to jest?

– Perfumy i krew – mamroczę.

– Komputer jest tutaj – mówi Leo i prowadzi nas do sypialni.

Harmonia wystroju wnętrza tutaj umiera. To miejsce, w którym *Bestia* wykonała swoje dzieło. Świadome przeciwieństwo instynktownego

piękna Annie. W tym pokoju ktoś postarał się o dysonans, o zniszczenie pogodnego spokoju, o unicestwienie czegoś niezwykłego.

Dywan jest przesiąknięty krwią i czuję ostry, podgniły fetor rozkładu zmieszany z zapachem perfum Annie. To dwa przeciwieństwa: jeden jest zapachem życia, drugi odorem śmierci. Mały stolik jest przewrócony, lampka nocna rozbita. Ściany zostały porysowane ostrym narzędziem i wszystko wygląda na poszarpane i nie na swoim miejscu. Zabójca zgwałcił to pomieszczenie swą obecnością.

Leo siada przed komputerem. Ja rozmyślam o Annie.

– Zaczynaj – wydaję mu polecenie.

Leo błędnie, ale naprowadza kursor na ikonę pliku i klika dwukrotnie. Odtwarzacz wypełnia cały ekran i rozpoczyna się film. Serce niemal przestaje mi bić, kiedy widzę Annie.

Jest naga od stóp do głów i przykuta kajdankami do łóżka. Czuję gorycz żółci podchodzącej mi do gardła, gdy przypominam sobie o moim spotkaniu z Josephem Sandsem. Odpycham od siebie te wspomnienia.

Morderca jest ubrany na czarno i ma kaptur zakrywający twarz.

– Co to, wystroił się jak jakiś pieprzony ninja? – mamrocze Alan i potrząsa głową z obrzydzeniem. – Chryste, to wszystko jest dla niego jakimś jebanym żartem.

Mój dar łowcy włącza się automatycznie. Morderca zdaje się mieć około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Jest w dobrej kondycji, coś między muskularną a żylastą budową ciała. Z odsłoniętych kawałków skóry wokół oczu mogę wnioskować, że jest białej rasy.

Czekam, aż zacznie coś mówić. Technologia rozpoznawania głosu jest w dzisiejszych czasach bardzo zaawansowana i może to być dla nas przełomowa informacja. Ale morderca tylko znika z kadru i słyszę ciche szuranie, jakby z czymś się mocował. Kiedy powraca przed kamerę, spogląda prosto w obiektyw i sądząc po zmarszczkach okalających jego oczy, uśmiecha się pod maską. Unosi dłoń i zaczyna odliczać, używając palców: 1, 2, 1-2-3-4...

W pokoju na filmie rozbrzmiewa muzyka, zagłuszając wszystkie inne hałasy. Szybko orientuję się, co to za melodia, i zbiera mi się na wymioty. Ale tylko zbiera.

– Jezu Chryste – szepcze Charlie. – Czy to Rolling Stonesi?

– Uhm. *Gimme Shelter* – mówi Alan głosem lodowatym z gniewu. – To

wszystko beczka śmiechu dla tego chorego skurwiela! Nastawił sobie trochę *nastrojowej* muzyczki^[11].

Muzyka jest bardzo głośna. Kiedy piosenka nabiera rozpędu, morderca zaczyna tańczyć. W jednej dłoni ma nóż i tańczy dla Annie i do kamery. Jego ruchy są szalone, zwariowane, ale porusza się do rytmu. Niepoczytalność w rytm muzyki.

– „*gwaaaałt, morderstwo...*”

To właśnie dlatego wybrał ten utwór. To jego przekaz. Odzwierciedla moje wcześniejsze odczucia: to, co robi, jest zawsze gdzieś blisko nas. Zamykam oczy, gdy widzę, że Annie również zdała sobie z tego sprawę. Dostrzegam to w jej wzroku: przerażenie zmieszane z brakiem nadziei.

Morderca przestaje tańczyć, chociaż nadal podryguje w takt muzyki. Jego ruchy wydają się niemal podświadome, jak u kogoś, kto tupie nogą w rytm melodii, nie zdając sobie z tego sprawy. Stoi przy łóżku, wpatrzony w Annie. Wygląda jak zahipnotyzowany. Annie szamocze się. Nie słyszę jej poprzez muzykę, ale widzę, że coś krzyczy mimo knebla w ustach. Morderca spogląda jeszcze raz w stronę kamery, a potem pochyla się nad Annie z nożem.

Reszta filmu jest dokładnie taka, jak opisał to Leo. Montaż. Obrazki dokumentujące kolejne stadia torturowania Annie, gwałt, horror. Morderca używa noża i nie spieszy się przy tym. Lubi powolne i długie cięcia. Dotyka ją wszędzie swoim ostrzem. Podskakuję, kiedy na ekranie rozbłyskują kolejne nowe obrazy – to spazm całego ciała, jakby ktoś podłączył mnie do samochodowego akumulatora. Błysk, szok, drgnięcie, Annie poddawana torturom. Błysk, szok, drgnięcie, Annie gwałcona. Błysk, szok, drgnięcie, morderca tnie, tnie, dobry Boże, nie przestaje ciąć. Czy Annie są pełne agonii, przerażenia, aż wreszcie robią się puste i zaczynają wpatrywać się niewidzącym spojrzeniem w nicość. Nadal żyje, ale już jej nie ma na tej ziemi. Morderca jest rozradowany, triumfujący. Wykonuje taniec deszczu, ale jego deszczem jest krew. Przyglądam się, jak umiera moja przyjaciółka – powoli, okropnie, bez krztyny godności. Kiedy morderca kończy swoje dzieło, Annie nie żyje – jest tylko wypatroszoną zimną rybą. Oglądanie jej śmierci – tej dziewczyny, którą pocieszałam jako dziecko, tej kobiety, z którą dorastałam i którą kochałam – sprawia, że czuję się tak, jakbym znów znalazła się w łóżku i przyglądała się wrzeszczącemu Mattowi.

Od czasu śmierci Annie nie płakałam tak naprawdę. Teraz szlocham i myślę, że robiłam to przez cały ten morderczy seans.

Bezgłośnie łzy spływają mi po policzkach, z żalu po śmierci jedynej osoby poza Mattem, która знаła mnie w pełni. Zostałam sama na tym świecie. Nie mam korzeni i jest to nieznośne uczucie.

Annie, myślę, zupełnie sobie na to nie zasłużyłaś.

Nie ocieram łez. Nie wstydzę się ich. Mają sens.

Wideo dobiega końca i wszyscy milczą.

– Odtwórz je jeszcze raz – mówię.

Jeszcze raz – ponieważ w moim wnętrzu drzemie smoczyca, która zaczyna się budzić. A ja pragnę, żeby obudziła się rozgniewana.

[11] Słowa tej piosenki traktują między innymi o tym, że „wojna, gwałt i morderstwo są tylko o wystrzał stąd” (przyp. tłum.).

– Zaraz, żebyśmy to dobrze zrozumieli – mówi Alan. – Gość nie tylko sfilmował wszystko, ale jeszcze do tego spędził trochę czasu nad edycją wideo?

Leo potakuje.

– Uhm. Ale nie na tym komputerze. Twardy dysk nie jest wystarczająco pojemny, a poza tym nie ma tu żadnego edytora. Prawdopodobnie przyniósł ze sobą jakiś mocny laptop.

Alan gwizdże.

– Zimny z niego drań, Smoky. To oznacza, że siedział tu i przerabiał wideo, podczas gdy twoja przyjaciółka leżała martwa, a Bonnie widziała to wszystko, albo gorzej.

Nikt nie skomentował moich łez. Czuję się pusta, ale odrętwienie minęło.

– Zimny, zorganizowany, kompetentny, uzdolniony technicznie. I niewątpliwie prawdziwy.

– Co przez to rozumiesz? – spytał Leo.

Spoglądam na niego.

– Przekroczył granicę człowieczeństwa i nigdy zza niej już nie wróci. Sycił się tym, co robił. To go uskrzydliło, poczuł dzięki temu, że żyje. Nie poprzestanie na jednym razie. Nikt by nie przestał, gdyby tak się poczuł.

Leo zerka na mnie, wstrząśnięty tą koncepcją.

– I co teraz?

– Teraz wszyscy stąd wyjdziecie i wpuścicie tu Jamesa.

Słyszę chłód we własnym głosie. No, no, myślę sobie. Zaczyna się. Nadal to w sobie mam. I co wy na to?

Charlie i Leo wyglądają na skonfundowanych, ale Alan rozumie.

Uśmiecha się smutno.

– Smoky i James potrzebują trochę przestrzeni. My w międzyczasie mamy tysiąc rzeczy do zrobienia. Chcesz, żebym przejął za Jamesa kontakt z patologiem? – Patrzy na mnie.

– Uhm – mówię nieobecny głosem. Ledwie rejestruję ich odejście. Mój umysł jest ogromną otwartą przestrzenią. Wpatruję się gdzieś daleko, w nieskończoność.

Nadciąga mroczny pociąg.

Słyszę go w oddali, *tak-to-to, tak-to-to, tak-to-to*. Wypluwa z siebie dym i cały jest zbudowany z zębów i żaru i cieni.

Poznałam mroczny pociąg (jak to nazywam) podczas prowadzenia pierwszego dochodzenia. Trudno to opisać. Pociąg życia bieży po szynach normalności i rzeczywistości. Jedzie w nim większość ludzkości, od urodzenia po zgon. Wypełnia go śmiech, łzy, trudności i triumfy. Jego pasażerowie nie są idealni, ale starają się, jak mogą.

Mroczny pociąg jest inny.

Mroczny pociąg bieży po szynach zrobionych z chroboczących, zmiażdżonych rzeczy. W tym pociągu jadą ludzie tacy jak Kuba Rozpruwacz Junior. To pociąg napędzany morderstwem, seksem i krzykami. Jest wielkim, czarnym, żywiącym się krwią węzem na kołach. Jeżeli człowiek wyskoczy z pociągu życia i pobiegnie przez las, odnajdzie mroczny pociąg. Można iść wzdłuż jego torów, biec obok, gdy będzie cię mijał, i dostrzec przez moment żalną zawartość wagonów. Można wskoczyć do pociągu, przemierzyć wypełnione trupami przedziały, przedrzeć się przez szepty i kości, aż wreszcie dotrze się do konduktora. Konduktor to bestia, którą ścigasz i która ma wiele wcieleń. Może być niskim łysym czterdziestolatkiem. Może być wysokim młodym blondynem. Czasami, rzadko, może być kobietą. W mrocznym pociągu widzisz konduktora takim, jakim jest w rzeczywistości, pod przykrywką uśmiechów i trzyczęściowych garniturów. Wpatrujesz się w ciemność i w tym momencie, jeżeli się nie wzdrygniesz, zrozumiesz.

Zabójcy, których ścigam, nie są cisi i uśmiechnięci w środku. Każda komórka ich ciała wrzeszczy, bez końca, po wieczność. Zabójcy, których ścigam, mają wielkie oczy, paplają coś bez ładu i składu, są umazani krwią i źli do szpiku kości. To potwory, które masturbują się, pochłaniając łapczywie ludzkie mięso, które jęczą z rozkoszy, nacierając

się mózgami i odchodami. Ich dusze nie wędrują: one pełzają, drgają spazmatycznie, prześlizgują się przez cienie jak węże.

Mroczny pociąg jest po prostu miejscem, w którym w myślach zdejmuję maskę z twarzy mordercy. Gdzie spoglądam na niego i nie odwracam się od widoku, nie wycofuję się, szukając wytłumaczenia czy wymówek, lecz zamiast tego akceptuję jego rzeczywisty widok. Owszem, jego oczy są pełne czerwi. Owszem, pije łzy zamordowanych dzieci. Owszem, widzę tu tylko morderstwo.

– Interesujące – zauważył doktor Hillstead podczas jednej z naszych sesji po tym, jak wyjaśniłam mu koncepcję mrocznego pociągu. – Przypuszczam, że moim głównym zmartwieniem i pytaniem byłoby to: kiedy już wsiądziesz do pociągu, Smoky, co powstrzyma cię przed pozostaniem w nim na zawsze? Co sprawia, że sama nie stajesz się konduktorem?

Musiałam się uśmiechnąć.

– Jeżeli to widzisz, naprawdę widzisz, nie istnieje takie niebezpieczeństwo. Dostrzegasz, że nie jesteś taki jak konduktor. Nawet odrobinę. – Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego. – Jeżeli rzeczywiście ściągniesz maskę konduktorowi, zobaczysz i zrozumiesz, że to obcy. Jest aberracją, innym gatunkiem.

Przytaknął ze zrozumieniem i odwzajemnił mój uśmiech, ale widziałam po jego spojrzeniu, że nie jest przekonany.

Nie powiedziałam mu, że największym problemem nie jest przemiana w konduktora. Prawdziwym problemem jest znalezienie sposobu, żeby *przestać* go widzieć – jego prawdziwe oblicze w niezamaskowanej postaci. Czasem zabierało to wiele miesięcy – długich miesięcy pełnych koszmarów i zimnych potów oblewających cię nad ranem. To, co było najtrudniejsze dla Matta, to milczenie. Zamknięte drzwi, za które nie miał wstępu i nie mógł się do mnie przyłączyć.

Taka jest cena przejażdżki mrocznym pociągiem. Część twojej duszy staje się samotnią, której inni nigdy nie będą posiadali i do której nikt nie może wejść. Mały skrawek ciebie staje się na zawsze osamotniony.

Stojąc tu, w miejscu śmierci Annie, czuję zbliżający się mroczny pociąg. Kiedy nadjeżdża, bez względu na to, czy tylko mu się przyglądam, czy przemierzam jego wagony, nie mogę mieć nikogo w pobliżu. Staję się odległa, zimna i... nieprzyjemna. Wyjątkiem jest inny pustelnik – ktoś,

kto jak ja rozumie mroczny pociąg.

James rozumie. Ma mnóstwo nieprzyjemnych wad, potrafi być strasznym dupkiem, ale posiada ten sam dar. Potrafi zobaczyć konduktora, potrafi podążyć śladem szyn mrocznego pociągu.

Odzierając mroczny pociąg z metafor, jest to po prostu miejsce wyostrzonego postrzegania, stworzone poprzez chwilową empatię wobec zła.

To bardzo nieprzyjemny proces.

Rozglądam się po pokoju, pozwalając jego atmosferze przesiąknąć mnie. Czuję go, czuję zapach mordercy. Muszę go posmakować, usłyszeć. Zamiast go odpychać, muszę go do siebie przyciągnąć. Jak kochanka.

Tego właśnie nigdy nie powiedziałam doktorowi Hillsteadowi i nie sądzę, żebym kiedykolwiek to zrobiła. Ta intymność jest nie tylko zatrważająca, ale również uzależniająca. Ekscytująca. Morderca poluje na wszystko. Ja poluję tylko na niego. Podejrzewam jednak, że mój apetyt na krew jest równie mocny i niepowstrzymany.

Był tutaj, więc i ja muszę tutaj być. Muszę go znaleźć i wtulić się w jego cienie i czerwie i krzyki.

Pierwszą rzeczą, którą wyczuwam, jest zawsze to samo – i tym razem nie jest inaczej. Chodzi o podniecenie mordercy wywołane naruszeniem osobistych granic drugiego człowieka. Ludzie oddzielają się, tworzą wokół siebie przestrzeń, którą nazywają swoją własną, i zgadzają się wzajemnie ją respektować. To bardzo podstawowa, niemal prymitywna cecha. Twój dom należy do ciebie. Kiedy zamykasz za sobą drzwi, znajdujesz się w prywatnej przestrzeni, gdzie nie musisz już nosić maski, którą pokazujesz światu. Inni ludzie mogą wejść do środka tylko wtedy, jeśli zostaną zaproszeni. Wszyscy przestrzegają tej zasady, ponieważ sami chcą tego samego.

Pierwszą rzeczą, którą robią potwory – pierwszą rzeczą, która ich podnieca, jest przekroczenie owej granicy. Zajrzenie do środka przez twoje okna. Bestie śledzą cię przez cały dzień, obserwują. Może nawet wchodzi do twojego domu, kiedy ciebie tam nie ma, zaglądają do prywatnych miejsc, ocierają się o twoje osobiste rzeczy. Zakłócają twoją prywatność.

Niszczenie innych jest ich afrodyzjakiem.

Pamiętam przesłuchanie jednej z bestii, którą pochwyciłam. Jego

ofiarami były młode dziewczęta, niektóre pięcioletnie, inne sześćioletnie, ale nie starsze. Widziałam ich zdjęcia przed zbrodnią – kokardy we włosach i promienne uśmiechy. Widziałam też zdjęcia po – zgwałcone, torturowane i zamordowane. Małe martwe ciała krzyczące przez całą wieczność. Kończyłam już przesłuchanie i zamierzałam właśnie ruszyć w kierunku wyjścia, kiedy przyszło mi do głowy pytanie. Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

– Dlaczego one? – spytałam. – Dlaczego młode dziewczęta.

Uśmiechnął się do mnie wielkim, szerokim, halloweenowym uśmiechem. Jego oczy były dwoma lśniącoymi, pustymi studniami.

– Ponieważ była to najgorsza rzecz, jaką zdołałem wymyślić, kochanie. Im gorsza, tym lepsza. – Obliznął usta, zamknął te swoje puste oczy i potrząsnął głową w dziwnej zadumie. – Te najmłodsze... BOŻE... zło tego wszystkiego było tak cholernie *słodkie!*

To wściekłość napędza ową potrzebę. Nie zwyczajne wkurzenie, ale pełny, rozszalały, spopielający żarem gniew. Stały, ryczący płomień, który nigdy nie umiera. Czuję go tutaj. Niezależnie od jego opanowania i uważnego planowania, koniec końców zniszczył życie w ataku szaleństwa. Pozbawiony kontroli.

Ten szal zazwyczaj rodzi się na skutek skrajnego sadyzmu, jakiego potwory doświadczają w czasie dzieciństwa. Bicie, tortury, sodomia, gwałt. Większość bestii zostaje stworzona przez „rodziców Frankensteina”. Skrzywieni ludzie kreują dzieci na swój obraz. Katują ich małe dusze na śmierć i wysyłają ich w świat, żeby czynili to innym.

Nic z tego nie robi praktycznej różnicy – nie w kontekście tego, czym się zajmuję. Potwory są bez wyjątku niereformowalne. Nie ma znaczenia, dlaczego pies rzuca się na ciebie z zębami. To, że cię gryzie i że jego zęby są ostre, staje się wyznacznikiem jego dalszego losu.

Żyję uzbrojona w całą tę wiedzę, to zrozumienie. Jest niczym niechciany towarzysz, który nigdy mnie nie odstępkuje. Potwory stają się moim cieniem i czasem wydaje mi się, że słyszę za plecami ich chichot.

– Jak to na ciebie wpływa na dłuższą metę? – spytał mnie doktor Hillstead. – Czy są tego jakieś stałe emocjonalne konsekwencje?

– Cóż... oczywiście. – Z trudem znajduję właściwe słowa. – Nie jest to depresja lub cynizm. Nie chodzi o to, że człowiek nie potrafi być szczęśliwy. To... – Pstrykam palcami, spoglądając na niego. – To jak

zmiana klimatu duszy. – Krzywię się, gdy tylko słowa wychodzą z moich ust. – Co za głupie poetyckie bzdury.

– Przestań – upomina mnie. – Nie ma niczego głupiego w znalezieniu odpowiednich słów na opisanie czegoś. To się nazywa klarowność. Dokończ swoją myśl.

– Hmm... to tak jak klimat obszarów położonych w pobliżu oceanu jest determinowany przez jego bliskość. Zdarzają się jakieś dziwne zawirowania w pogodzie, ale generalnie nie ma zbyt wielkich przeobrażeń, ponieważ ocean jest ogromny i nigdy się nie zmienia. – Spojrzałam na niego, a on w odpowiedzi pokiwał głową. – To właśnie coś w tym stylu. Zawsze odczuwasz tę bliskość czegoś ogromnego, mrocznego i potwornego. Nigdy nie znika, zawsze jest gdzieś w pobliżu. W każdej minucie każdego dnia. – Wzruszam ramionami. – Wpływa na klimat twojej duszy. Zawsze i na zawsze.

Popatrzył na mnie ze smutkiem.

– A jaki jest ten klimat?

– Bardzo deszczowy. Nadal potrafi być piękna pogoda, słoneczne dni, ale dominują szarości, cienie i chmury. I zawsze może zacząć padać. Ta bliskość zawsze jest wyczuwalna.

Rozglądam się po sypialni Annie i słyszę w głowie jej krzyki. Myślę, że właśnie rozpadał się deszcz. Annie była słońcem, morderca jest chmurami. A w takim razie czym jestem ja? Więcej poetyckich bzdur.

– Księżyc – szepczę do siebie. Jestem światłem w ciemności.

– Hej.

Dźwięk głosu wyrywa mnie z zamyślenia. James stoi w progu, zaglądając do środka. Widzę, jak jego wzrok przesuwają się po pokoju, rejestruje zakrwawiony dywan, łóżko, przewrócony stolik. Jego nozdrza falują.

– Co to jest? – mamrocze.

– Perfumy. Morderca nasączył ręcznik perfumami i wepchnął go pod drzwi, żeby zapach rozkładającego się ciała Annie nie wydostał się stąd za szybko.

– Zyskał trochę czasu.

– Owszem.

James unosi teczkę z dokumentami.

– Dostałem to od Alana. Raport i zdjęcia z miejsca przestępstwa.

– Dobrze. Musisz zobaczyć film.

Kiedy zaczynamy naszą sesję, zawsze tak jest: rozmawiamy urywanymi zdaniami, jakbyśmy strzelali z automatycznej broni. Stajemy się zawodnikami sztafety, przekazujemy sobie pałeczkę raz po raz, raz po raz.

– Pokaż mi.

Siadamy więc i oglądam wideo po raz kolejny. Obserwuję, jak Rozpruwacz Junior wyprawia taneczne harce, obserwuję, jak Annie wrzeszczy z bólu i bardzo powoli umiera. Tym razem tego nie czuję. Zupełnie jakby mnie to nie obeszło – prawie. Jestem odcięta, nieobecna, obserwuję mroczny pociąg spod zmrużonych powiek. Przed oczami pojawia mi się obraz martwej Annie na polu trawy. Deszcz wypełnia jej otwarte usta i ścieka po poszarżałych policzkach.

James milczy.

– Dlaczego nam to zostawił?

Wzruszam ramionami.

– Jeszcze do tego nie doszłam. Zacznijmy od początku.

Otwiera teczkę.

– Ciało zostało odkryte wczoraj około godziny dziewiętnastej. Czas zgonu jest przybliżony, ale na podstawie zaawansowania rozkładu tkanek, temperatury organów wewnętrznych i tym podobnych czynników koroner twierdzi, że Annie King umarła trzy dni wcześniej między dziewiątą a dziesiątą wieczorem.

Zastanawiam się nad tym.

– Zakładam, że torturowanie i gwałcenie jej zajęło mu kilka godzin. To oznacza, że pojawił się tu około osiemnastej. Nie wszedł zatem, kiedy obie spały. W takim razie jak się dostał do środka?

James zagląda do notatek.

– Nie ma śladów włamania. Albo ofiara wpuściła go do środka, albo sam wszedł. – Marszczy brwi. – Pewny siebie skurwysyn. Zaplanował to na wczesny wieczór, kiedy wszyscy jeszcze są dość aktywni. Zadufany w sobie.

– Ale jak wszedł do środka? – Spoglądamy po sobie z zastanowieniem.

Uciekaj deszczu, uciekaj...

– Zacznijmy od dużego pokoju – mówi James.

Deszcz kul z automatu. *Trata-tata-ta.*

Wychodzimy z sypialni, przemierzamy korytarz i stajemy przy wyjściu. James rozgląda się. Jego wzrok zatrzymuje się na czymś. Zastyga.

– Zaczekaj. – Rusza z powrotem do sypialni Annie i wraca ze zdjęciem.
– W taki sposób. – Wręcza mi je.

Na fotografii widnieje wejście do mieszkania, zaraz za drzwiami. Widzę to, co chciał, żebym dostrzegła: trzy koperty leżące na dywanie. Kiwam głową.

– Po prostu zapukał. Annie otwiera, on wpada do środka, Annie upuszcza korespondencję trzymaną w dłoni. Wszystko odbyło się nagle i szybko.

– Było jednak dość wcześnie wieczorem. Jakim cudem powstrzymał ją od krzyku i prób zaalarmowania sąsiadów?

Zabieram mu teczkę i zaczynam przeglądać zdjęcia. Wskazuję na jedno z nich, przedstawiające stół jadalny.

– Tutaj. – Na stole leży podręcznik do matematyki dla szóstej klasy. Patrzymy w kierunku stołu. – Mniej niż trzy metry stąd. Bonnie siedziała przy stole, kiedy Annie otworzyła drzwi.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

– Kontrolował dzieciaka, a zatem również matkę. – Gwiżdże cicho. – Nieźle. To oznacza, że wszedł od razu do środka. Bez wahania.

– Jak burza. Nie dał jej w ogóle czasu. Przepchnął się do wewnątrz, zatrzasnął drzwi, od razu podszedł do Bonnie, prawdopodobnie przyłożył jej broń do gardła...

– ...i powiedział matce, że jeśli zacznie krzyczeć, dzieciak umrze.

– Uhm.

– Bardzo zdecydowany.

Uciekaj deszczu, uciekaj...

James ściąga usta w zamyśleniu.

– Kolejne pytanie: jak szybko zabrał się do roboty?

I dopiero tutaj naprawdę wszystko się zaczyna, myślę. W tej chwili już nie przyglądamy się mrocznemu pociągowi, tylko do niego wsiadamy.

– To cała seria pytań. – Zaczynam wyliczać na palcach: – Jak szybko zabrał się za Annie? Czy powiedział jej, co zamierza zrobić i co zrobił z Bonnie w międzyczasie? Związał ją czy kazał jej na wszystko patrzeć?

Oboje spoglądamy na drzwi wejściowe, zastanawiając się. Widzę to oczami wyobraźni. Czuję mordercę. Wiem, że James robi to samo.

W przedpokoju jest cicho i bestia jest podekscytowana. Serce wali głośno w jego piersi, kiedy czeka, żeby Annie otworzyła drzwi. Jedną rękę trzyma w pogotowiu, by w razie czego zapukać jeszcze raz, w drugiej trzyma... co? Nóż?

Tak.

Zamierza jej wcisnąć historyjkę, którą przeciwiczył już wiele razy. Coś nieskomplikowanego, jak... jest sąsiadem z dołu i ma do niej pytanie. Coś, co brzmi naturalnie.

Annie nie uchyla drzwi, tylko otwiera je szerzej. Jest wczesny wieczór, miasto jeszcze nie śpi. Annie jest w domu, wewnątrz bezpiecznego, chronionego apartamentowca. Wszystkie światła się palą i nie ma powodu, żeby się bać.

Morderca wchodzi do środka, zanim Annie jest w stanie zareagować. Nie sposób go powstrzymać. Przepycha się do środka, przewracając Annie. Zamyka za sobą drzwi, podbiega do Bonnie, przyciąga ją do siebie i przytyka nóż do jej gardła.

– Wydadz z siebie dźwięk, a twoja córka umrze.

Annie tłumi instynktowny krzyk, który rósł jej w gardle. Jest całkowicie zszokowana. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko, żeby pojęła, co się tu rozgrywa. Nadal szuka jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia. Może jest nieświadomą bohaterką „Ukrytej kamery”? Może któryś z jej przyjaciół postanowił spłatać jej figla? Może... szalone pomysły, ale szaleństwo jest lepsze niż prawda.

Bonnie wpatruje się w nią oczami pełnymi przerażenia.

W końcu Annie musiała zaakceptować fakt, że to nie żart. Obcy człowiek trzymał nóż na gardle jej córki. To działo się NAPRAWDĘ.

– Czego chcesz? – tak brzmiało jej pierwsze pytanie. Miała nadzieję, że będzie się mogła targować z tym obcym człowiekiem. Że chciał czegoś innego, mniej ostatecznego niż morderstwo. Może był włamywaczem albo gwałtcielem, proszę, och błagam, myślała, nie pozwól mu być pedofilem.

Przypominam sobie coś.

– Miała małe skaleczenie na szyi – mówię.

– Co?

– Bonnie. Miała małe skaleczenie we wgłębieniu szyi. – Dotykam mojego. – Tutaj. Zauważyłam w szpitalu.

James zastanawia się nad tym. Jego twarz pochmurnieje.

– Zrobił to nożem.

Nie możemy oczywiście być tego pewni, ale czujemy, że ta interpretacja jest właściwa.

Obcy przesuwając nóż i kaleczy jego czubkiem wgłębienie szyi Bonnie. Nic wielkiego, tyle, by utoczyć pojedynczą kroplę krwi, usłyszeć jedno przerażone westchnięcie. Wystarczająco, aby pokazać, że mówi całkiem poważnie, żeby serce podeszło Annie do gardła i zaczęło łomotać w rozpaczliwym tempie.

– *Rób, co ci każę – mówi – albo twoja córka umrze powolną śmiercią.*

I w tym momencie nastąpił koniec. Bonnie była jego argumentem przetargowym, a Annie stała się własnością mordercy.

– *Zrobię, co chcesz, tylko jej nie krzywdź.*

Morderca czuje zapach strachu Annie i to go podnieca. Czuje swoją erekcję.

– Myślę, że Bonnie była przy tym, jak gwałcił i torturował Annie. Myślę, że zmusił ją do przyglądania się wszystkiemu – mówię.

– Dlaczego? – James podnosi gwałtownie głowę.

– Z kilku powodów. Głównie dlatego, że zostawił Bonnie przy życiu. Po co? Miał przez to dodatkową osobę, którą musiał kontrolować. Łatwiej by mu było, gdyby ją po prostu zabił. Ale to Annie była ofiarą, na którą polował. Podniecają go tortury, lubi strach, przerażenie. Obecność Bonnie i to, że Annie miała świadomość, iż jej córka tu jest i widzi wszystko, co się dzieje... to doprowadziłoby ją do szaleństwa. Mordercy by się to spodobało.

James rozważa moje słowa.

– Zgadza się. Jest jeszcze drugi powód.

– Jaki?

Spogląda mi w oczy.

– Ty. Na ciebie też poluje, Smoky. Krzywda zadana Bonnie to głębsza, boleśniejsza rana.

Wpatruję się w niego zaskoczona.

Ma rację.

Tak-to-to, tak-to-to, tak-to-to, tak-to-to, mroczny pociąg zaczyna się rozpędzać.

– *Rób, co ci każę, albo zrobię krzywdę twojej mamie – mówi do Bonnie. Wykorzystuje wzajemną miłość matki i córki jako rodzaj pastucha*

elektrycznego, pędząc je obie jak bydło do sypialni.

– Przenosi je do sypialni. – Ruszam korytarzem, a James podąża za mną. Wchodzimy do pokoju. – Zamyka drzwi. – Sięgam za siebie i robię to samo. Wyobrażam sobie Annie, przyglądającą się temu i niezdającą sobie sprawy, że już nigdy nie zobaczy tych drzwi otwartych.

James wpatruje się w łóżko, zamyślony, wyobrażający sobie, co się tu wydarzyło.

– Nadal ma dwie osoby do kontrolowania – mówi. – Raczej nie obawia się Bonnie, ale nie może się jeszcze odprężyć. Musi najpierw unieruchomić Annie.

– Na filmie Annie była przypięta kajdankami do łóżka.

– Prawda. Więc każe się jej przypiąć samej. Jeden nadgarstek, to wszystko, czego potrzebuje.

– Weź to – mówi do Annie, wyciągając z torby parę kajdanek i rzucając je w jej kierunku...

Nie. To nie tak. Przewijamy do początku.

Trzyma nóż na szyi Bonnie. Spogląda na Annie. Lustruje ją od stóp do głów wzrokiem władcy, właściciela, tak, żeby na pewno to zrozumiała.

– Rozbierz się – mówi. – Rozbierz się dla mnie.

Annie waha się, więc morderca porusza ostrzem noża, naciskając na szyję Bonnie.

– Rozbieraj się.

Annie robi to, płacząc, a Bonnie wszystkiemu się przygląda. Zostawia na sobie stanik i majtki. Ostatnia próba buntu.

– Wszystko! – warczy i znów porusza nożem.

Annie wykonuje polecenie, płacząc jeszcze głośniej...

Nie. Znów przewijamy.

Annie wykonuje polecenie, tłumiąc łzy. Musi być silna dla swojej córki. Zdejmuje stanik i majtki, spoglądając w oczy Bonnie. Patrz na moją twarz, prosi w myślach. Patrz na moją twarz, nie na resztę. Nie na niego.

Teraz morderca wyciąga kajdanki z torby, którą ze sobą przyniósł.

– Przykuj jeden nadgarstek do łóżka – poleca Annie. – Zrób to!

Annie spełnia rozkaz. Kiedy morderca słyszy kliknięcie zapadki, sięga do torby i wyciąga dwie kolejne pary kajdanek. Skuwa nimi drobne nadgarstki i kostki u nóg Bonnie. Dziewczynka dygoce. Morderca ignoruje jej szloch i zakłada jej knebel. Bonnie spogląda na matkę

ślugałnie, jej wzrok mówi: „Zróó coó, żeby przestał!“. Annie płacze, rozpaczliwie.

Morderca nadal jest ostrożny. Nie pozwala sobie jeszcze na relaks. Podchodzi do Annie i przykuwa jej drugi nadgarstek do łóżka. A potem robi to samo z jej nogami. Na końcu ją knebluje.

Teraz. Teraz może się odprężyć. Jego ofiara jest unieruchomiona. Nie może uciec. Nie ucieknie.

Nie uciekła, myślę.

Teraz morderca może się zacząć sycić tą chwilą.

Bez pośpiechu zajmuje się zaaranżowaniem pokoju. Przesuwa łóżko w zaplanowane miejsce, ustawia kamerę pod idealnym kątem. Robi wszystko w określony sposób. Jest w tym istotna dla niego symetria. Takich rzeczy nie można robić w pośpiechu. Ominięcie jednego etapu odbiera piękno całemu aktowi, a akt jest wszystkim. Jego powietrzem i wodą.

– Łóżko – mówi James.

– Słucham? – Spoglądam na nie z zastanowieniem.

James wstaje i podchodzi do stóp łóżka Annie. Ma ono rozmiar królewski, z ramą zbudowaną z gładkich, zaokrąglonych desek. Jest mocna.

– Jak je przeniósł? – Podchodzi do zagłówka i lustruje dywan. – Ślady przesuwania. Wygląda na to, że ciągnął je ku sobie. – Podchodzi z powrotem do stóp łóżka. – Musiał je chwycić gdzieś tutaj i zacząć się cofać. Potrzebował punktu zaczepienia... – James klęka. – Myślę, że złapał ramę od spodu i uniósł. – Wstaje, podchodzi do brzegu łóżka, układa się na plecach na podłodze i wsuwa się pod spód aż do ramion. Widzę światło latarki, a potem James wysuwa się spod łóżka i wstaje z uśmiechem. – Nie widzę pudru do zdejmowania odcisków.

Patrzymy na siebie i niemal czujemy, jak każde z nas ściska kciuki na szczęście.

Ludzie popełniają błąd, sądząc, że lateksowe rękawiczki zapobiegają pozostawieniu odcisków palców. W większości przypadków to prawda, ale nie zawsze. Ten rodzaj rękawiczek został oryginalnie stworzony z myślą o chirurgach, aby mieli sterylną barierę między dłońmi i pacjentem podczas operacji. Takie rękawiczki muszą oczywiście przylegać dokładnie do skóry, by chirurgi

byli w stanie używać narzędzi bez uszczerbku na precyzji i wyczuciu. Są więc cienkie i obcisłe, a to może sprawić, że lateks przylega do zagłębień i rozwidleń skóry na opuszkach palców i samej dłoni. Jeżeli – i jest to wyłącznie prawdopodobieństwo, nikłe, ale jednak – ktoś noszący takie rękawiczki dotknie wystarczająco miękkiej powierzchni, może pozostawić użyteczny odcisk. Łóżko Annie ma drewnianą ramę i możliwe, że używane przez nią środki czyszczące pozostawiły po sobie osad, na którym mogły się zachować linie papilarne mordercy, nawet jeśli używał rękawiczek.

Strzał w ciemno, ale możliwy.

– Dobra robota – mówię.

– Dzięki.

Świetnie naoliwione łożysko, myślę. Miejsce przestępstwa to jedyne miejsce, w którym James zachowuje się przyzwoicie.

Scena jest przygotowana. Morderca przesunął łóżko... dokładnie tyle, ile trzeba. Kamera jest ustawiona... tak jak trzeba. Morderca sprawdza wszystko po raz ostatni, upewniając się, że wykonał plan perfekcyjnie. Zrobił to. Teraz poświęca Annie całą uwagę, spoglądając na nią z góry.

To pierwszy raz, kiedy Annie naprawdę to widzi. Przedtem morderca był rozkojarzony, zajęty aranżowaniem swojego teatryku. Annie nadal miała nadzieję. Teraz spogląda na nią i Annie rozumie. Zagląda w oczy, w których nie widać horyzontu. Są bez dna, czarne i wypełnione wiecznym głodem.

Morderca wie, że Annie to dostrzega, zaczyna rozumieć. Rozpala go to, jak zawsze. Zgasił nadzieję w kolejnej istocie ludzkiej.

Czuje się dzięki temu jak bóg.

Docieramy z Jamesem do tego samego punktu w czasie. Znaleźliśmy się w tym samym miejscu. Widzimy mordercę, Annie, a kątem oka dostrzegamy również Bonnie. Czujemy zapach rozpachy. Mroczny pociąg nabiera szybkości, a my siedzimy w nim ze skasowanymi biletami.

– A teraz obejrzyjmy wideo jeszcze raz – mówi James.

Klikam dwukrotnie w ikonę filmu i zaczynamy analizować kolejne sceny montażu. Morderca tańczy, morderca kroi, morderca gwałci.

Czysta przemoc jego czynów sprawia, że krew rozbryzguje się wszędzie. Bestia wdycha jej zapach, smakuje ją, czuje jej lepka gładkość przez ubranie. W którymś momencie odwraca się i spogląda na dziecko. Twarz

Bonnie jest biała, a jej ciało dygoce, jakby dostała ataku padaczki. Ten widok dostarcza bestii niemal nieznośnej, prawie orgastycznej symfonii smakowitych ekstremów. Drży z emocji i doznań. Nie jest po prostu zły. Jest mistrzem gwałtu. Pieprzy na śmierć. Muzyka i krew, flaki i wrzaski i przerażenie. Świat zaczyna się trząść, a on jest epicentrum. Wspina się ku szczytowi i wreszcie pozwala, żeby nadeszło – ten moment, w którym wszystko eksploduje oślepiającym białym światłem, gdzie cały rozsądek i człowieczeństwo znika.

Na ten jeden krótki moment – i tylko wtedy – głód i potrzeba mordercy odchodzą w nicość. To mała chwila spełnienia i ulgi.

Nóż opada i pojawia się więcej krwi. Krew, wilgoć, więcej krwi. Morderca wspina się, wspina, coraz wyżej, staje na palcach na samym szczycie góry, wyciągając się cały tak daleko, jak tylko może, sięgając palcem wzwyż – nie po to, aby dotknąć twarzy Boga, nie po to, aby stać się czymś WIĘCEJ, lecz po to, by stać się niczym, zupełnie niczym. Odrzuca głowę do tyłu, a jego ciało drży w orgazmie silniejszym, niż jest w stanie znieść.

A potem jest już po wszystkim i gniew, który zawsze trwa, powraca.

Coś nerwowo trzepocze w mojej głowie.

– Zatrzymaj film – mówię, a następnie przewijam wideo i odtwarzam je jeszcze raz. I znów to trzepotanie. Marszczę brwi, sfrustrowana.

– Coś jest nie tak, ale nie mogę pojąć co.

– Możemy obejrzeć to kadr po kadrze? – pyta James.

Przez chwilę bawimy się ustawieniami programu, aż wreszcie trafiamy na takie, które pozwala nam odtworzyć film nie kadr po kadrze, ale przynajmniej w zwolnionym tempie.

– Gdzieś tutaj – mruczę.

Oboje pochylamy się, wpatrując się uważnie w ekran. Film zbliża się już do końca. Morderca stoi obok łóżka Annie. Potem widzę niepozorny błysk i znów stoi przy łóżku Annie, ale coś się zmieniło.

James dostrzega to pierwszy.

– Gdzie jest obraz?

Odtwarzamy nagranie jeszcze raz. Morderca stoi przy łóżku, a za nim, na ścianie znajduje się obraz z wazą pełną słoneczników. Potem ten błysk i chociaż morderca nadal stoi przy łóżku, obraz zniknął.

– Co jest, do diabła? – Oglądam się za siebie i patrzę na ścianę, na

której wisiał ów obraz. Dostrzegam go. Jest oparty o brzeg przewróconego stolika.

– Dlaczego zdjął go ze ściany? – pyta James. Kieruje to pytanie do siebie, nie do mnie.

Znów przeglądamy ten fragment filmu. Stoi, obraz, błysk, stoi – brak obrazu. I jeszcze raz, i jeszcze. Stoi, błysk, obraz, brak obrazu, obraz, brak obrazu...

Zrozumienie zalewa mnie iście sztormową, ryczącą wściekle falą. Rozdziawiam usta i robi mi się słabo.

– Jezu Chryste! – wykrzykuję, strasząc Jamesa.

– Co?

Przewijam wideo.

– Przyjrzyj się jeszcze raz. Tym razem zobacz, gdzie jest górny brzeg ramy od obrazu, a potem odnajdź ten sam punkt na ścianie, kiedy obraz zniknie.

Film leci, mijamy błysk. James marszczy brwi.

– Nie... – Przerzywa i jego oczy rozszerzają się nagle. – Czy to prawda? – pyta z niedowierzaniem. Oglądamy nagranie ponownie.

Nie ma wątpliwości. Oboje wpatrujemy się w siebie. Wszystko się zmieniło.

Wiemy, dlaczego obraz został zdjęty ze ściany: ponieważ był punktem odniesienia. Dla wysokości.

Mężczyzna stojący nad Annie, gdy obraz nadal wisiał na ścianie, był dobre pięć centymetrów wyższy niż mężczyzna stojący nad Annie po zdjęciu obrazu ze ściany.

Dotarliśmy do maszynowni mrocznego pociągu i kompletnie zaskoczyło nas to, co tam zastaliśmy.

Nie jednego konduktora.

Dwóch.

– Masz rację – mówi Leo, spoglądając na mnie i Jamesa ze zdumieniem.

Właśnie skończył analizować wideo.

– Ten błysk to kiepsko wykonane łączenie.

Callie, Jenny i Charlie stoją stłoczeni wokół monitora. Opisaliśmy im sekwencję wydarzeń tak, jak je widzieliśmy, na koniec spuszczaając tę bombę.

Jenny zerka na mnie.

– Wow.

– Spotkaliście się już kiedyś z czymś takim? – pyta Charlie. – Dwóch morderców pracujących razem?

Kiwam głową.

– Raz, ale to był inny układ. Zespół damsko-męski, gdzie mężczyzna dominował. Dwóch mężczyzn zabijających razem to bardzo nietypowy przypadek. To, co robią, jest dla nich sprawą osobistą, intymną. Większość nie lubi się dzielić tą chwilą.

Wszyscy milczą przez moment, zastanawiając się nad tym. Callie przerywa ciszę.

– Powinam sprawdzić te odciski palców, kochaneczko.

– Powinam o tym pomyśleć – mówi Jenny.

– Tak, powinnaś – komentuje zimno James. Znów jest sobą.

Jenny rzuca mu gniewne spojrzenie, ale on ignoruje ją i odwraca się, obserwując Callie, która rozpakowuje właśnie oświetlacz kryminalistyczny UV z całym oporządzeniem. Urządzenie to wykorzystuje skoncentrowaną wiązkę światła ultrafioletowego i obrazowanie refleksyjne do wykrywania odcisków linii papilarnych.

Oświetlacz emituje silną, wąską wiązkę światła w spektrum nadfioletu, która odbija się równomiernie od płaskich powierzchni. Kiedy natrafi na niedoskonałość, taką jak zagłębienia i wzory wirowe odcisków palców, również się od nich odbija. Dzięki temu wszelkie załamania w płaskiej powierzchni zaczynają być dobrze widoczne. Za pomocą specjalnej kamery można następnie zrobić zdjęcie tych niedoskonałości, które później stają się przydatne w procesie identyfikacji daktyloskopijnej.

W zestawie znajduje się specjalny wyświetlacz typu HMD^[12], który jednocześnie chroni oczy przed promieniowaniem ultrafioletowym, emiter UV i przenośna kamera o wysokiej rozdzielczości. Zastosowanie oświetlacza nie zawsze daje wyniki, ale ma tę przewagę, że użycie go nie zmienia w żaden sposób badanej powierzchni. Proszki, klej cyjanoakrylowy – kiedy raz się nałoży te substancje, nie można ich potem zdjąć. Światło zostawia wszystko dokładnie tak, jak przed badaniem.

– Wszystko gotowe – mówi Callie. Wygląda niczym postać z filmów science fiction. – Wyłączcie światło.

Charlie pstryka przełącznikiem i przyglądamy się, jak Callie kładzie się na plecach i wsuwa pod łóżko. Dostrzegamy niebieskawy poblask światła, gdy przesuwają latarkę po powierzchni ramy. Przerwa, jakieś szuranie, a potem kilka pstryknięć. I jeszcze kilka. Wreszcie emiter UV gaśnie, Callie wysuwa się spod łóżka i wstaje. Charlie włącza z powrotem światło.

Callie uśmiecha się od ucha do ucha.

– Trzy dobre odciski palców z lewej ręki, dwa z prawej. Ładne i wyraźne, kochaneczko.

Po raz pierwszy od chwili, gdy Callie zadzwoniła do mnie z informacją o śmierci Annie, czuję coś oprócz gniewu, smutku i chłodu. Czuję się podekscytowana.

– Mamy cię – mówię, uśmiechając się do niej promiennie.

Jenny potrząsa głową.

– Jesteście naprawdę totalnie niemożliwi, Smoky.

Po prostu jedziemy mrocznym pociągami, Jenny, myślę sobie. Pozwalamy mu zawieźć się ku pomyłkom morderców.

– Pytanie – odzywa się Alan. – Jakim cudem nikt nie narzekał na muzykę? Podkreścili głośność dość sporo.

– Mogę ci na to odpowiedzieć, kochaneczku – oferuje Callie. – Bądź cicho i słuchaj.

Robimy to wszyscy i natychmiast to słyszymy. Łupanie głośnego basu zmieszane ze stłumionym bukietem wysokich tonów, dochodzące z różnych miejsc pod i nad nami.

Callie wzrusza ramionami.

– Mieszkają tu młodzi ludzie i pary. Niektórzy z nich lubią głośną muzykę.

Alan kiwa głową.

– Kupuję to. Punkt numer dwa. – Zakreśla ręką koło, wskazując na pokój. – Mordercy byli nieporządni. Naprawdę brudni. Niemożliwe, że wyszli stąd cali umazani krwią. Musieli się najpierw umyć. Łazienka wygląda na czyścusięnką, więc myślę sobie, że umyli się, a potem dokładnie wszystko wyszorowali. – Spogląda na Jenny. – Czy wasi technicy sprawdzili odpływy?

– Zaraz się dowiem. – W tym momencie jej telefon zaczyna dzwonić. – Chang – odbiera go i spogląda na mnie. – Naprawdę? Rozumiem. Przekażę jej.

– Co tym razem? – pytam.

– Dzwonił mój człowiek ze szpitala. Powiedział, że Bonnie przemówiła. Powiedziała tylko jedno zdanie, ale pomyślał, że będziesz chciała to wiedzieć.

– Co?

– Powiedziała: „Chcę Smoky”.

[12] Ang. Head-mounted Display, czyli wyświetlacz LCD zakładany na głowę (przyp. tłum.).

Jenny przywiozła mnie do szpitala bardzo szybko; nie dbała o ograniczenia prędkości i użyła syreny policyjnej, żeby przejeżdżać na czerwonym świetle. Żadna z nas nie odezwała się ani słowem podczas podróży.

Stoję teraz przy łóżku Bonnie, patrząc jej w oczy, i znów wstrząsa mną jej podobieństwo do matki. To niemal mylące; przed chwilą oglądałam śmierć Annie, a mimo to spogląda na mnie teraz, żywa w oczach swojej córki.

Uśmiecham się do niej.

– Powiedzieli, że chciałaś mnie zobaczyć, kochanie.

Kiwa głową, ale się nie odzywa. Zdaję sobie sprawę, że nie usłyszę już żadnych słów z ust Bonnie. Nie teraz. Szklistość spojrzenia wywołana szokiem zniknęła z jej oczu, ale pojawiło się w nich coś innego – zagnieździło się tam i zaczęło zapuszczać korzenie. Coś odległego, przepełnionego brakiem nadziei, coś ciężkiego.

– Muszę ci najpierw zadać dwa pytania, kochanie. Mogę?

Zerka na mnie niepewnie, podejrzliwie i ze strachem, ale kiwa głową.

– Było dwóch złych ludzi, prawda?

Strach. Jej warga drży. Ale kiwa głową.

Tak.

– Dobrze, kochanie. Jeszcze jedno pytanie i już więcej nie będziemy dzisiaj rozmawiać na ten temat. Widziałaś twarz któregoś z nich?

Zamyka oczy. Przełyka głośno. Otwiera oczy i potrząsa głową.

Nie.

Wzdycham w głębi duszy. Nie jestem zaskoczona, ale mimo wszystko mnie to frustruje. Rozprawię się z tym później. Chwytam dłoń Bonnie.

– Przepraszam, kochanie. Chciałaś mnie zobaczyć. Nie musisz mi tłumaczyć, o co chodzi, jeśli nadal nie możesz mówić, ale czy zdołasz mi to pokazać?

Bonnie wciąż się we mnie wpatruje, jakby szukała czegoś w moim wzroku – jakiejś otuchy, zapewnienia. Po jej minie nie jestem w stanie powiedzieć, czy je tam odnalazła. Ale kiwa głową.

A potem sięga po moją rękę i ściska ją. Czekam na dalszy ciąg, lecz to wszystko, co Bonnie robi. I nagle rozumiem.

– Chcesz pójść ze mną?

Znów kiwa głową.

W odpowiedzi mój mózg generuje milion myśli naraz. O tym, że nie jestem w stanie zająć się samą sobą, a co dopiero nią. O tym, że prowadzę śledztwo, więc kto będzie się nią opiekował? Myślę o tym, ale nie ma to tak naprawdę znaczenia. Uśmiecham się tylko do Bonnie i ściskam jej rączkę.

– Muszę najpierw pozałatwiać różne rzeczy, ale kiedy będę już gotowa na wyjazd z San Francisco, przyjdę po ciebie.

Bonnie nadal wpatruje się w moje oczy. Wreszcie chyba odnajduje to, czego szukała. Ściska moją dłoń, a potem ją puszcza, odwraca głowę, układając się na poduszce, i zamyka oczy. Stoję tak jeszcze przez chwilę, spoglądając na nią.

Wychodzę z jej pokoju, wiedząc, że coś się zmieniło w moim życiu. Zastanawiam się, czy to dobrze, czy źle, i zdaję sobie sprawę, że teraz to zupełnie nie ma znaczenia. Nie chodzi o dobro, zło lub obojętność. Chodzi o przeżycie. To właśnie na tym poziomie w tej chwili funkcjonujemy, Bonnie i ja.

Wracamy na komisariat. Samochód wypełniony jest ciszą.

– I co, zamierzasz ją zabrać? – Jenny w końcu przerywa milczenie.

– Ma tylko mnie. Może ona też jest wszystkim, co ja mam.

Jenny zastanawia się nad moimi słowami i na jej ustach pojawia się nikły uśmiech.

– To dobrze, Smoky. Naprawdę dobrze. Lepiej, żeby dzieciak w jej wieku nie trafił do opieki społecznej. Jest za duża. Nikt jej nie adoptuje.

Spoglądam na nią i wyczuwam ukryte znaczenie – podtekst

towarzyszący jej słowom. Marszczę brwi. Jenny obserwuje mnie spięta, ale zaraz potem rozluźnia się i wzdycha.

– Byłam sierotą. Moi rodzice umarli, gdy miałam cztery lata. Wychowywała mnie opieka społeczna. Nikt nie był wtedy zainteresowany adopcją chińskiego dzieciaka.

Jestem wstrząśnięta i zaskoczona.

– Nie miałam pojęcia.

– Nie jest to coś, czym człowiek chętnie by się dzielił. – Wzrusza ramionami. – No wiesz, „Hej, nazywam się Jenny Chang i byłam sierotą”. Nie mówię o tym zbyt często. – Patrzy na mnie, podkreślając, że ta chwila nie należy do wyjątków. – Powiem ci tylko tyle, że spełniłaś dobry uczynek. Zrobiłaś coś pięknego.

Zastanawiam się nad jej słowami i wiem, że to prawda.

– Po prostu czuję, że to właściwa droga. Annie powierzyła mi opiekę nad nią, a przynajmniej tak słyszałam. Nie widziałam jeszcze testamentu. Czy to prawda, że morderca zostawił go obok ciała Annie?

– Tak. Jest w aktach.

– Czytałaś go?

– Uhm. – Przerywa znowu z zamyśleniem. – Annie zostawiła wszystko pod twoją kontrolą, Smoky. Córka jest rzeczywistą spadkobierczynią, ale ty jesteś mianowanym wykonawcą testamentu i powiernikiem. Musiała uważać cię za naprawdę bliską przyjaciółkę.

Jej słowa wywołują we mnie ukłucie bólu.

– Była moją najlepszą przyjaciółką od czasów liceum.

Jenny milczy przez kilka chwil. Kiedy odzywa się znowu, nie mówi wiele, ale jej słowa są wypełnione wszystkim, co chce, żebym wiedziała.

– Pieprzyć to wszystko.

Dokładnie. Pieprzyć to, pieprzyć cały świat, niesprawiedliwość, to, co ci się przydarzyło, śmierć twojej córki i w ogóle to, że dzieci są zabijane. Pieprzyć to wszystko, dopóki nie zdechnie, dopóki nie zasypie się tego ziemią, dopóki nie obróci się w proch, który zniknie na zawsze. To właśnie chce powiedzieć Jenny.

Odpowiadam w podobnym tonie.

– Dzięki.

– Chcesz pełną wersję czy skondensowaną? – Alan otwiera teczkę z raportem z autopsji.

– Skondensowaną poproszę.

– Zaczniemy od podstaw. Morderca lub mordercy zgwałcili ją zarówno przed, jak i po śmierci. Pociął lub pocięli ją ostrym narzędziem, zanim umarła. Większość ran nie była śmiertelna.

Tortury. Kiwam głową, żeby mówił dalej.

– Przyczyną śmierci jest wykrwawienie. Annie wykrwawiła się z powodu rozciętej tętnicy szyjnej. – Zerka do dokumentów. – Kiedy już była martwa i gdy mordercy skończyli swoje zabawy z jej ciałem, otworzyli ją, wyjęli narządy wewnętrzne i umieścili je w plastikowych torebkach strunowych, które umieścili przy ciele. Jest wszystko oprócz wątroby. – Spogląda na mnie.

– Zapewne zabrali ją ze sobą. – James przerywa milczenie, które nastąpiło po słowach Alana. – Albo ją zjedli.

Ukrywam zimny dreszcz. Jestem pewna, że James ma rację.

– Badanie ran wskazuje, że zostały zadane skalpelem. To pasuje. Patolog twierdzi, że usunięcie narządów wewnętrznych zostało przeprowadzone ze znanstwem. Nie chodzi tylko o samą operację, ale i o wiedzę, gdzie znajdowały się poszczególne narządy i jak usunąć je bez uszkodzenia. Mordercy nie tylko odseparowali jelito cienkie od grubego, lecz również podzielili je na poszczególne funkcjonalne odcinki. Trzy dla jelita cienkiego, cztery dla grubego.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Czy morderca... przepraszam, *mordercy*... postąpili podobnie

z jakimś innym narządem?

Alan sprawdza w raporcie i potrząsa głową.

– Nie. – Zerka na mnie. – Popisywali się.

– To dobrze – odpowiadam ponuro.

Leo patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Jak to może być dobre?

Alan spogląda na niego.

– To dobrze, ponieważ łapiemy tych ludzi dlatego, że popełniają pomyłki – wyręcza mnie w odpowiedzi. – Jeżeli się popisują, to oznacza, że sam akt im nie wystarcza. Chcą również naszej uwagi. To oznacza, że nie będą tak ostrożni, jak mogliby być. Albo jak powinni. Prawdopodobnie popełnią jakieś błędy.

– Mówiąc wprost, moje dziecko – wtrąca Callie – są większymi wariatami, niż ustawa przewiduje, a to zwiększa szanse na ich potknięcie się.

– Załapałem – odpowiada Leo, chociaż nadal wygląda na nieco poruszonego. Rozumiem go. Uznanie dysekcji ludzkich organów przeprowadzonych przez dwóch psychopatów za jasny punkt śledztwa jest trudne do przyjęcia. Leo pewnie zastanawia się, czy w ogóle chce zrozumieć ten tok myślenia.

– Kiedy usunęli narządy, pozostawili jamę brzuszną otwartą i przywiązali Bonnie do ciała matki – ciągnie Alan. Zamyka teczkę. – Nie znaleziono spermy, ale są ślady lateksu w pochwie.

Użyli prezerwatyw, żeby nie zostawić swojego DNA.

– Nic więcej. Żadnych włosów ani odcisków linii papilarnych na ciele. To wszystko.

– Co w takim razie jeszcze nam zostało?

James wzrusza ramionami.

– Spojrzenie na resztę całego obrazka. Nie było żadnych ran wskazujących na wahanie. Mordercy byli bardzo pewni tego, co robią, kiedy przyszło do rozcięcia ofiary. Jeden z nich mógł mieć formalny trening medyczny. Myślę, że to prawdopodobne.

– Albo po prostu mieli dużo praktyki – mruczy Callie.

– Co jeszcze wiemy? – Spoglądam na wszystkich. Alan wyciąga oficjalny notes i długopis. To część naszej rutyny. Alan szykuje się do zapisania wszelkich znaczących przemyśleń i pytań.

– Wiemy, że obaj są białymi mężczyznami – mówi Callie. – Jeden z nich ma około metra osiemdziesięciu wzrostu, drugi mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć. Obaj są w formie.

– Są ostrożni – przejmuję pałeczkę Alan. – Rozumieją podstawowe zasady przenoszenia śladów i postępują przezornie, żeby tego uniknąć. Żadnych włosów, naskórka ani spermy.

– Ale nie są tak sprytni, jak sądzą – zauważam. – Mamy odciski palców na ramie łóżka. Poza tym domyśliliśmy się, że jest ich dwóch.

– Cóż, to właśnie jest problem – mówi Alan kpiarsko. – Gdyby w pełni rozumieli zasady wymiany, zrozumieliby, że zawsze do niej dochodzi, w ten czy inny sposób.

Alan odnosi się do „zasady Locarda”. Locard jest uważany za ojca współczesnej kryminalistyki i wszyscy znamy na pamięć opracowaną przez niego teorię wzajemnej wymiany: *Każdy nawet najmniejszy kontakt dwóch obiektów prowadzi do wzajemnej wymiany substancji pomiędzy nimi. Ilość owego materiału może być duża lub znikoma i trudna do wykrycia; niemniej jednak wymiana zawsze zachodzi i do obowiązków osób prowadzących śledztwo należy zgromadzenie całej owej substancji, jakkolwiek mała byłaby jej ilość, tym samym dowodząc wymiany.*

Nasi mordercy byli ostrożni. Wskazuje na to nieobecność spermy; ujawnia poziom ich kontroli. Wraz z nadejściem ery powieści kryminalnych, programów telewizyjnych oraz HIV gwałciciele coraz częściej zaczęli stosować kondomy. To jednak wciąż dość niezwykle. W gwałcie chodzi o seksualną dominację i naruszenie czyjejs nietykalności. Gwałciciel upaja się intensywnością wrażeń, jakich dostarcza mu taka sytuacja. Prezerwatywa jest przeszkodą w intensywnym odczuwaniu i w naruszaniu nietykalności. Kuba Junior i jego koleżka użyli ich, ułatwiając Alanowi wyciągnięcie wniosku.

– Wiemy, że nie są doskonali – mówi James. – Mają dużą słabość do popisywania się i chęć droczenia się z nami. Oczywiście stanowi to dla nich większe ryzyko i stwarza możliwość, że w którymś momencie coś spieprzą.

– Rozumiem. Co jeszcze?

– Przynajmniej jeden z nich jest technicznie uzdolniony – odzywa się Leo. – To znaczy, w dzisiejszych czasach nie trzeba mieć dyplomu

uniwersyteckiego, żeby zmontować film na komputerze. Jednak sposób, w jaki to zrobili, wskazuje na pewien poziom edukacji. Przeciętny użytkownik komputera nie znałby wszystkich trików od pierwszego podejścia.

– Sądźmy też, że mieszkają w LA, prawda? – dopowiada Callie.

Wzruszam ramionami.

– Tak zakładamy, ale to coś, co podejrzewamy, a nie coś, co wiemy. Znamy typ ich ofiar. Powiedzieli nam, że zamierzają zająć się kobietami takimi jak Annie. – Spoglądam na Leo. – Jak ją nazwali w liście?

– „*Współczesną kurwą superautostrady informacyjnej*”.

– No dobrze, co z tym? O jakiej liczbie mówimy?

Leo krzywi się, słysząc to pytanie.

– O tysiącach, jeśli wziąć pod uwagę całe Stany. Może nawet tylko samą Kalifornię. Ale to nie jedyny problem. Pomyśl o tym w ten sposób: każda dziewczyna mająca swą stronę internetową jest potencjalnie niezależnym przedsiębiorcą. Niektóre są pod patronatem jednej firmy, *wiele* z nich jest dokładnie jak twoja przyjaciółka, Smoky. Same projektują, zarządzają i obsługują swoje witryny. To jednoosobowy biznes, z pojedynczym pracownikiem. W różnych miejscach można znaleźć listy tego typu stron internetowych, ale nie skupia ich żadne konkretne konsorcjum.

To brzmi jak złe wieści. Coś przychodzi mi do głowy.

– W porządku, ale co, jeśli spojrzymy na to z tej strony: zamiast szukać wszystkich pracujących w tym biznesie, poszukajmy miejsc, gdzie mordercy mogli znaleźć Annie. Mówiłeś, że istnieją listy tego typu witryn?

Leo kiwa głową.

– Jest mało prawdopodobne, aby Annie znajdowała się na wszystkich z nich. Możemy odszukać te, na których występuje, i w ten sposób ograniczyć listę potencjalnych ofiar do innych kobiet figurujących w owych rejestrach.

Leo kręci głową.

– To nie takie proste. Co, jeżeli znaleźli ją w przeglądarce? A jeśli tak, to jakiego słowa lub frazy użyli? Poza tym większość operatorów witryn zazwyczaj tworzy swoje własne strony docelowe^[13]. Są to darmowe mikrostrony zawierające próbki zdjęć i link do docelowego portalu. Coś

w rodzaju reklamy: „sprawdź nasz materiał i jeśli ci się spodoba, odwiedź nasz sklep”. Mordercy mogli znaleźć Annie w ten sposób.

– Nie wspominając o tym, że mogli ją odnaleźć poprzez ciebie, Smoky – mówi Callie niepewnie. Spoglądam na nią i kiwam głową na znak zgody, a potem wzdycham ze zniechęceniem.

– W takim razie analiza stron internetowych do niczego nas nie doprowadzi?

– Niekoniecznie – mówi Leo. – Zdecydowanie sprawdziłbym jej listę subskrybentów. Ludzi, którzy zapłacili za wstęp na stronę tylko dla członków.

Nastawiam uszu z nadzieją. Alan kiwa głową.

– Tak, tak – dodaje. – W ten sam sposób dorwali tych przestępców od dziecięcej pornografii, prawda?

Leo uśmiecha się do niego.

– Owszem. Istnieje wiele praw i przeoczeń, jeśli chodzi o przetwarzanie kart kredytowych. Zazwyczaj zbiera się szczegółowe informacje na temat transakcji. Najlepsze jednak jest to, że większość procesorów ma wbudowaną funkcję sprawdzania adresu. Adres podany podczas zapisu na stronę musi być zgodny z adresem właściciela karty, który bank ma w swoich danych.

– Czy wiemy, ilu płatnych użytkowników miała Annie?

– Jeszcze nie, ale to nietrudne do ustalenia. Będziemy potrzebowali nakazu sądowego, lecz większość tych firm jest dość skora do współpracy. Nie spodziewam się żadnych problemów.

– Chcę, żebyś się tym zajął po powrocie – mówię. – Alan może ci pomóc w sprawie zdobycia nakazu. Sporządź listę i zacznij ją analizować. Chcę również, żeby jej komputer został dokładnie przebadany. Szukaj wszystkiego, *czegokolwiek*, co mogłoby stanowić wskazówkę dla nas. Może Annie zauważyła coś dziwnego, niepokojącego i zanotowała to sobie...

– Rozumiem. Poza tym sprawdzę jej pocztę elektroniczną. W zależności od dostawcy powinni nadal mieć kopie wszystkich najnowszych e-mailów, które jeszcze nie zostały ściągnięte na jej komputer.

– To dobrze.

– Jest jeszcze coś – odzywa się Jenny. – Mordercy bardzo się postarali, żebyśmy uznali, że był to tylko jeden człowiek.

– Może mieli nadzieję, że nas jakoś zmylą? – odpowiadam. – Nie mam pojęcia. Jeszcze tego nie rozumiem. – Potrząsam głową. – Tak czy owak, mamy kilka rzeczy na początek. Odciski palców. – Spoglądam na Callie. – Na jakim etapie z tym jesteście?

– Kiedy już skończymy, zamierzam wprowadzić zdjęcia do AFIS-u^[14] i poprosić chłopaków z LA o przeszukanie bazy danych. AFIS potrafi przeskanować milion zarejestrowanych odcisków na minutę, więc zajmie to najwyżej kilka godzin.

Ten fakt ekscytuje nas wszystkich bardziej niż cokolwiek innego. Wszystko może się okazać bardzo proste. AFIS, czyli Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej, jest niesamowitym narzędziem detektywistycznym. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy naszego mordercę, i to szybko.

– Zabierzmy się do tego od razu.

– Co ustaliliście z Jamesem w sprawie morderców, Smoky? – pyta Callie.

– No właśnie, powiedzcie nam – mruży Alan. Oboje wpatrują się we mnie wyczekująco.

Wiedziałam, że o to pytają; zawsze to robią. Jechałam mrocznym pociągami, widziałam bestie, a przynajmniej jedną z nich. Callie i Alan chcą wiedzieć, co to było.

– Wszystko, co powiem, jest oparte wyłącznie na przeczuciach i przypuszczeniach – zaczynam.

Alan macha lekceważąco dłonią.

– Tak, tak, wiemy. Zawsze ta sama śpiewka, oficjalne dementi. Po prostu nam powiedz i tyle.

Uśmiecham się do niego i odchylam na krześle, spoglądając w sufit. Zamykam oczy i gromadzę wszystkie informacje, wtulam się w nie, wdycham ich zapach.

– Są swego rodzaju amalgamatem. Nie potrafię ich jeszcze odseparować. Są... sprytni. Bardzo sprytni. To nie para oszustów. Myślę, że przynajmniej jeden z nich ma wyższe wykształcenie. – Zerkam na Jamesa. – Bardzo możliwe, że chodzi o studia medyczne. – James kiwa głową potwierdzająco. – Są rozważni, wszystko planują z dużą precyzją. Poświęcają wiele godzin na studiowanie kryminalistyki, aby się upewnić, że nie zostawią po sobie żadnego śladu. To bardzo, bardzo

istotna cecha naszych morderców. Kuba Rozpruwacz był jednym z najsłynniejszych seryjnych morderców wszech czasów. Dlaczego? Z jednego powodu: *nigdy go nie schwytano*. Nasi mordercy idą w jego ślady pod tym i innymi względami, powielając jego metody. Rozpruwacz drażnił się z gliniarzami, więc oni drocą się z nami. Ofiarami Rozpruwacza były prostytutki, więc i oni obierają sobie za cel kobiety, które w ich mniemaniu są współczesnymi reprezentantkami najstarszego zawodu świata. Na pewno istnieje jeszcze wiele podobieństw.

– Narcyzm jest jednym z ich problemów – wtrąca James.

– Uhm. – Kiwam głową.

Charlie marszczy czoło.

– Co masz na myśli?

– Spójrz na to w ten sposób: kiedy prowadzisz samochód, czy musisz o tym myśleć przez cały czas? – pytam.

– Nie. Po prostu prowadzę samochód.

– Dokładnie. Ale dla Rozpruwacza Juniora i jego koleżki prowadzenie nie wystarcza. Muszą podziwiać, *jak doskonale* prowadzą samochód. Jak idealne i pełne artyzmu jest wykonanie przez nich owej czynności. To ten rodzaj narcyzmu, gdy ludzie podziwiają to, co robią, w momencie, w którym to robią... – Wzruszam ramionami. – Jeżeli jesteś zajęty obserwowaniem samego siebie, gdy prowadzisz samochód, nie obserwujesz drogi z należytą uwagą.

– Stąd odciski palców na łóżku – mówi James. – To nie jest drobna pomyłka. Nie mówimy tu o włosach albo włóknach z ubrania, tylko o pięciu wyraźnych odciskach linii papilarnych. Mordercy byli zbyt zajęci podziwianiem swojego sprytu.

– Mamy was – odzywa się Charlie.

– Wiecie co? Kiedy określiłam ich jako amalgamat, nie miałam do końca racji. – Ściągam usta w zastanowieniu. – Kuba Junior na pewno istnieje jako osobna jednostka. To coś zbyt istotnego, żeby się tym dzielić. – Spoglądam na Jamesa. – Zgodzisz się ze mną?

– Uhm.

– W takim razie co z tym drugim? – pyta Alan.

– Nie jestem pewna. Może to student? – Potrząsam głową. – Nie widzę tego zbyt wyraźnie. Jeszcze nie. Sądzę jednak, że Kuba Junior,

którymkolwiek z nich dwóch jest, dominuje w tej parze.

– To zgodne z analizą „tandemów” z wszystkich starych spraw – mówi Callie.

– Tak. Zatem są sprytni, precyzyjni i narcystyczni. To, co sprawia, że są bardzo niebezpieczni, to ich pełne zaangażowanie. Nie mają problemu z podjęciem decydujących kroków. To dla nas niedobrze, ponieważ oznacza, że nie komplikują swoich działań *za bardzo*. Wszystko jest proste i logiczne. Stukamy do drzwi, wchodzimy siłą do środka, zamykamy drzwi, przejmujemy kontrolę. A, B, C, D. To raczej nie jest naturalna cecha czy zdolność. Możliwe, że jeden z nich miał coś wspólnego z wojskiem lub organami ochrony prawa. Zdobył umiejętności, za pomocą których wytrenowali to, jak bez wahania podporządkować sobie innego człowieka.

– Ich apetyty na gwałt i morderstwo są autentyczne – stwierdza James.

– Czy to nie pewnik? – pyta Jenny.

Potrząsam głową.

– Nie. Czasem ludzie usiłują ukryć zwykłe morderstwo, pozorując seryjne zabójstwa. To, co nasi mordercy zrobili Annie, i sposób, w jaki to zrobili... to było rzeczywiste. Są autentyczni.

– Mają podwójną wiktymologię – dodaje James.

Callie marszczy brwi i wzdycha.

– Masz na myśli, że ich ofiarami są nie tylko kobiety, które obrali sobie za cel, ale również my?

James kiwa głową.

– Dokładnie. W tym przypadku dobór ofiar był specyficzny i podyktowany logiką. Annie King spełnia według morderców oba warunki. Prowadziła stronę internetową dla dorosłych i była przyjaciółką kogoś z naszego zespołu. Bardzo się postarali, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę, Smoky.

– No to się doczekali. – Przez chwilę siedzę w milczeniu, przelatując wszystko w myślach. – To chyba całość informacji. Nie zapominajmy o najważniejszej rzeczy, którą wiemy o tych bestiach.

– A mianowicie? – pyta Leo.

– Że zamierzają zrobić to znowu. I nie przestaną, dopóki ich nie złapiemy.

[13] *Feeding site, landing page, microsite* – strona docelowa/produktowa. Pierwsza strona internetowa, na którą trafia odwiedzający pozyskany wskutek podejmowanych przez daną firmę działań reklamowo-akwizycyjnych. Strona docelowa może być stroną samodzielną lub elementem większej witryny (przyp. tłum.).

[14] Ang. Automated Fingerprint Identification System (przyp. tłum.).

W czasie gdy wszyscy inni zajmowali się powierzonymi im zadaniami, poprosiłam Jenny, żeby podwiozła mnie do szpitala, bo chciałam sprawdzić, jak się czuje Bonnie.

Kiedy pojawiajemy się przy drzwiach do jej pokoju, policjant stojący na straży trzyma w dłoni brązową kopertę.

– To do pani, agentko Barrett.

Natychmiast domyślam się, że coś jest nie w porządku. Nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego ktokolwiek miałby zostawiać tutaj listy do mnie. Wyrywam kopertę z jego dłoni i spoglądam na nią. Wielkie drukowane litery wypisane czarnym tuszem głoszą: DLA AGENTKI SPECJALNEJ BARRETT.

Jenny spogląda na policjanta wściekle.

– Chryste Panie, Jim! Gdzie ty masz głowę?! – Domyśliła się już. Jim jest nieco wolniejszy w dedukcji. Wiem dokładnie, kiedy to wreszcie do niego dociera, bo szarzeje na twarzy.

– Ooo... cholera.

Muszę mu oddać sprawiedliwość, że jego pierwszą reakcją jest zerwanie się z krzesła i otworzenie drzwi do pokoju Bonnie, z bronią w ręku. Ja jestem tuż za nim i czuję niewysłowioną ulgę, widząc dziewczynkę bezpiecznie śpiącą w łóżku. Gestem nakazuję policjantowi, by się wycofał. Kiedy wszyscy jesteśmy już na zewnątrz, werbalizuje nasze domysły.

– To prawdopodobnie od mordercy, prawda?

– Tak, Jim – odpowiadam. – Prawdopodobnie tak. – Nie mam siły na zjadliwość. Mój głos emanuje zmęczeniem. Jenny jednak nie ma takiego problemu. Dźga go palcem w pierś z taką siłą, że chłopak krzywi się

z bólu.

– Spieprzyłeś sprawę! I bardzo mnie to wkurwia, bo wiem, że jesteś dobrym gliną. Wiesz, skąd to wiem, że jesteś dobrym gliną? Ponieważ zażądałam specjalnie oddelegowania cię do pełnienia tego obowiązku i wiedziałam, że będziesz czymś więcej niż tylko manekinem z odznaką!
– Piekli się potwornie, jest bardziej niż wściekła. Jim bierze to na klatę, bez śladu urazy czy prób usprawiedliwienia się.

– Ma pani rację, detektywie Chang. Nie mam niczego na swoją obronę. Kopertę przyniosła pielęgniarka z recepcji. Zobaczyłem nazwisko agentki Barrett, ale nie skojarzyłem, co to może być. Wróciłem do czytania gazety. – Widać, że gryzie go poczucie winy i niemal mi go żal. Niemał. – Do diabła! Pozwoliłem sobie na uspienie czujności i wpadłem w rutynę! Błąd żółtodzioba! Cholera jasna! Niech to diabli wezmą!...

Jenny też chyba trochę współczuje policjantowi, który właśnie dokonuje samobiczowania. Jej kolejne słowa są troszkę bardziej ugodowe.

– Jesteś dobrym gliniarzem, Jim. Znam cię. Zapamiętasz tę obsuwę do końca życia, bo powinieneś, ale nie pozwoliś, żeby coś podobnego znów się zdarzyło. – Wzdycha ciężko. – Poza tym nie zawiodłeś w spełnianiu swojego podstawowego obowiązku. Pilnowałeś bezpieczeństwa dziecka.

– Dziękuję, pani porucznik, ale to wcale mnie nie pociesza.

– Jak dawno dostałeś tę kopertę?

Zastanawia się przez sekundę nad odpowiedzią.

– Powiedziałbym, że... około półtorej godziny temu. Przyniosła mi ją pielęgniarka z recepcji i powiedziała, że dostarczył ją jakiś facet. Pomyślała więc, że mogę pani przekazać ten list.

– Idź do niej i zdobądź wszystkie informacje: jak dostarczono kopertę, kto, wszystko.

– Tak jest, proszę pani.

Jim oddala się, a ja zerkam na kopertę.

– Zajrzyjmy do środka.

Otwieram ją. Wewnątrz znajduje się plik spiętych ze sobą kartek. Na samym wierzchu widzę napis: *Witam, agentko Barrett!* To na razie wystarczy. Spoglądam na Jenny.

– To od niego. Od nich.

– Cholera jasna!

Ręce mam lekko wilgotne od potu. Wiem, że muszę przeczytać to, co jest w środku, ale obawiam się kolejnych rewelacji spisanych przez mordercę. Wzdycham, wyciągając z kieszeni kurtki nieodłączną parę lateksowych rękawiczek, którą zawsze noszę podczas śledztwa. Zakładam je, otwieram jeszcze raz kopertę i wyciągam plik kartek. List jest na samym wierzchu.

Witam, agentko Barrett!

Do tej pory wyobrażam sobie, że jesteś już w wirze dochodzenia wraz z całym zespołem. Podobało Ci się wideo, które Ci zostawiłem? Pomyślałem, że dobór muzyki był szczególnie trafiony.

Jak się miewa mała Bonnie? Czy wrzeszczy i płacze, czy też zwyczajnie milczy? Od czasu do czasu się nad tym zastanawiam. Proszę ją ode mnie pozdrowić.

Większość moich myśli jest oczywiście poświęcona Tobie. Jak przebiega rekonwalescencja, agentko Barrett? Nadal sypiasz nago? Nadal trzymasz paczkę papierosów na stoliku nocnym po lewej stronie łóżka? Odwiedziłem Cię i muszę powiedzieć, że bardzo głośno mówisz przez sen.

– Jasna cholera – szepcze Jenny.

Wręczam jej papiery.

– Potrzymaj to na chwilę.

Odbiera ode mnie plik kartek, a ja biegnę do najbliższego śmietnika, do którego zwracam całą zawartość żołądka. Mordercy byli w moim domu! Przyglądali się, jak śpię! Czuję zimny dreszcz przerażenia i mdlące uczucie pogwałcenia prywatności. A potem gniew. Histeria staje się tłem moich pozostałych emocji. W głowie mam tylko jedną myśl: To mogłoby się zdarzyć ponownie! Rozdygotana, walę pięścią w pokrywkę kubła na śmieci. Wycieram usta wierzchem dłoni i wracam do Jenny.

– W porządku?

– Nie, ale skończmy czytać.

Jenny wręcza mi z powrotem list. Plik papierów trzęsie się w mojej dłoni, kiedy kontynuujemy przerwana lekturę.

Matthew i Alexa – jaka szkoda. Ty, samotna na tym statku widmie, jakim jest Twój dom, wpatrująca się w swoje oszpecenia w lustrze. To takie smutne.

Myślę, że z bliźniami jesteś dużo piękniejsza, chociaż wiem, że w to nie wierzysz. Powiem Ci coś pomocnego, agentko Barrett – tylko ten jeden raz. Bliźny nie są piętnem wstydu, lecz

odznaczeniem tych, którzy przeżywają.

Być może zastanawiasz się, dlaczego zaoferowałem Ci pomocną dłoń. To z poczucia sprawiedliwości i potrzeby uczynienia naszej gry ekscytującą. Wielu ludzi na tym świecie mogłoby mnie ścigać, ale Ty... myślę, że Ty potrafisz to robić najlepiej.

Upewnienie się, że wróciłaś do gry, kosztowało mnie sporo wysiłku. Została jeszcze tylko jedna rzecz, ostatnia rana do zaszycia.

Myśliwy potrzebuje broni, agentko Barrett, a Ty nie jesteś w stanie dotknąć Swojej. Musimy to naprawić, aby przywrócić równowagę w naszej grze. W załączniku kilka informacji, które w moim przekonaniu stanowią istotę trudności, przez jakie przechodzisz. Kiedy je przeczytasz, mogą pozostawić po sobie kolejną bliznę, ale nie zapominaj o tym, że blizna jest lepsza od niezaleczonej, otwartej rany.

Z piekła,
Kuba Jr.

Przerzucam stronę i po kilku sekundach orientuję się, co zawiera. Wszystko wokół mnie zamiera i zwalnia. Widzę, że Jenny coś do mnie mówi, ale nie słyszę co.

Jest mi zimno, coraz zimniej. Szczękam zębami, zaczynam się trząść i świat powoli przechyla się na bok. Moje serce bije coraz szybciej i szybciej, dźwięki dochodzą do mnie chaotycznie, pulsująco, niczym grzmoty. Wciąż jest mi strasznie zimno.

– Smoky! Chryste... wezwijcie lekarza!

Słyszę ją, ale szczękam zębami tak mocno, że nie jestem w stanie się odezwać. Widzę podchodzącego do mnie lekarza. Dotyka mojego czoła i zagląda mi w oczy.

– Doznała pełnego wstrząsu – mówi. – Połóżcie ją na ziemi z uniesionymi nogami. Siostro!

– Smoky! – Jenny pochyla się nade mną. – Powiedz coś.

Bardzo bym chciała, Jenny, ale zastygłam – i świat, i słońce też. Wszystko dookoła jest śmiercią – martwe lub umierające.

Bo Bestia miała rację. Czytam notatkę i nagle, tak po prostu, pamiętam.

To raport balistyczny. Zakreślony fragment głosi: *testy balistyczne dowodzą bezsprzecznie, że pocisk wydobyty z ciała Alexy Barrett został wystrzelony z broni agentki Barrett...*

To ja zabiłam moją córkę.

Słyszę dźwięk, który mnie zdumiewa i zastanawia, dopóki nie zdaję

sobie sprawy, że wydostaje się z moich ust. To wrzask z rodzaju tych, które zaczynają się bardzo nisko, gardłowo, a potem pną się coraz wyżej, oktawa za oktawą, aż wydają się wibrować na tak wysokiej częstotliwości, że mogłyby roztrzaskać szkło. Zawisają na tym dźwięku niczym vibrato śpiewaczki operowej i zdaje się, że trwają tak całą wieczność.

Wszystko pochłania czerń. Dzięki Bogu.

Budzę się w szpitalnym łóżku, widząc pochylającą się nade mną Callie. Nikogo więcej nie ma w pokoju. Kiedy spoglądam na nią, domyślam się dlaczego.

– Wiedziałaś, prawda?

– Tak, kochaneczko. Wiedziałam.

Odwracam twarz w drugą stronę. Nie czułam się tak apatyczna i wycieńczona od czasu, gdy ocknęłam się w szpitalu po tamtej nocy z Sandsem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Nie wiem, czy w moim głosie słyszeć jakikolwiek gniew, ale nic mnie to nie obchodzi.

– Doktor Hillstead mnie o to prosił. Nie sądził, że jesteś już na to gotowa, a ja się z nim zgodziłam. Nadal tak uważam.

– Doprawdy? Uważasz, że wiesz o mnie wszystko? – mówię ostro. Gniew pojawił się nagle, gorący i jadowity.

Callie nie reaguje.

– Wiem to, że nadal żyjesz. Nie wsadziłaś sobie spluwy do ust i nie pociągnęłaś za spust. Nie żałuję swojej decyzji, kochaneczko. Co wcale nie znaczy, że mnie ona nie zabolala, Smoky – dodaje szeptem. – Kochałam Alexę. Wiesz, że to prawda.

Odwracam gwałtownie głowę i spoglądam na nią. Gniew nagle gdzieś odpływa, tak po prostu.

– Nie winię cię. Ani jego. Poza tym może mimo wszystko miał rację.

– Dlaczego tak mówisz, kochaneczko?

Wzruszam ramionami. Jestem zmęczona, tak bardzo zmęczona.

– Ponieważ teraz już wszystko pamiętam i nadal nie chcę umrzeć. – Kulę się w sobie na chwilę, kiedy przeszywa mnie ból. – Czuję się przez

to jak zdrajczynie, Callie. Bo jeśli wciąż chcę żyć, to znaczy, że niewystarczająco ich kochałam.

Patrzę na nią i widzę, że wstrząsnęły nią moje słowa. Moja Callie, moja niefrasobliwa Królowa Piekła na Obcasach wygląda, jakby ktoś uderzył ją pięścią w twarz. A może w serce.

– Cóż – mówi po długiej chwili – to nieprawda. To, że nadal chcesz żyć po ich śmierci, Smoky, nie oznacza, że ich nie kochałaś, tylko to, że oni umarli, a ty nie.

Zapamiętuję sobie tę głęboką uwagę na przyszłość; czuję jej wartość.

– Zabawne, nie sądzisz? Zawsze byłam w stanie trafić z broni w dowolnie obrany cel. To dla mnie coś naturalnego. Pamiętam, że mierzyłam w jego głowę i nagle okazał się tak cholernie szybki. Nigdy nie widziałam nikogo poruszającego się w takim tempie. Wyciągnął Alexę z łóżka i zrobił sobie z niej tarczę. Patrzyła mi prosto w oczy, dostając kulkę za niego. – Krzywię się. – Wiesz, wyglądał niemal na zaskoczonego. Po tym, co zrobił, mimo wszystko miał taką minę, jakby przez moment pomyślał, że posunął się za daleko. A potem go zastrzeliłam.

– Pamiętasz tę chwilę, Smoky?

Marszczę brwi.

– Co masz przez to na myśli?

Callie uśmiecha się smutno.

– Nie zastrzeliłaś go tak zwyczajnie, kochaneczko. Wpakowałaś w niego cztery magazynki i zamierzałaś znowu przeładować, kiedy cię powstrzymałam.

I nagle, tak po prostu, przenoszę się w tamtą chwilę i pamiętam.

Zgwałcił mnie i pociął. Matt nie żył. Unosiłam się na falach bólu, surfowałam między brakiem przytomności i pełną świadomością. Wszystko wydawało się lekko nierealne, zupełnie jakbym była naćpana – coś w rodzaju tej dziwnej ospałości, którą czuje się po przeciągnięciu popołudniowej drzemki o pół godziny za długo.

Czułam potrzebę pośpiechu, ale wytłumioną, jakby zza miękkiej gazy. Żeby dotrzeć do tego uczucia, musiałam przedostać się przez morze syropu.

Sands pochylił się nade mną, przysuwając twarz do mojej. Czułam jego nienaturalnie gorący oddech na moim policzku. Coś lepkiego na mojej

piersi – zdałam sobie sprawę, że to jego ślina. Wzdrygnęłam się cała. Długi, oślizgły wąż.

– A teraz rozwiążę ci ręce i nogi, słodka Smoky – wyszeptał mi do ucha.

– Chcę, żebyś dotknęła mojej twarzy, zanim umrzesz.

Spoglądałam na niego, a potem gałki oczne wywracają mi się do tyłu. Umyka mi czas. Odzyskuję przytomność i czuję, jak Sands rozwiązuje mi ręce. Surfuję głębiej w ciemność i znów się z niej wynurzam, kiedy on zajmuje się moimi stopami. Cowabunga^[15]. Ze światła w cienie, z cieni w światło.

Znów przytomnieję i Sands leży obok mnie, na łyżeczkę. Jest nagi i czuję twardość jego członka. Lewą ręką chwycił mnie za włosy i odchylił moją głowę do tyłu. Prawą objął mnie w pasie. Czuję, że trzyma w niej nóż. I znów ten oddech, kwaśny i gorący.

– Już czas na ciebie, słodka Smoky – szepcze. – Wiem, że jesteś zmęczona. Musisz jeszcze zrobić tylko jedno, zanim będziesz mogła zasnąć. – Jego oddech przyspiesza, a jego członek twardnieje jeszcze bardziej, napierając na moje biodro. – Dotknij mojej twarzy.

Ma rację. Jestem zmęczona. Cholernie zmęczona. Chcę podryfować w ciemność, chcę, żeby to wszystko się skończyło, raz na zawsze. Czuję, jak moja dłoń powoli unosi się w górę, żeby wykonać jego ostatnie polecenie – i wtedy to się dzieje.

– MAMUSIUUUU! – słyszę krzyk Alexy, histeryczny wrzask ociekający bezgranicznym przerażeniem.

Zupełnie jakby ktoś uderzył mnie z całej siły w twarz, tak mocno, że aż zagrzechotały mi kości.

– Powiedział nam, że Alexa nie żyje, Callie – szepczę, powracając ze wspomnień do szpitalnego pokoju. – Powiedział, że zabił ją najpierw. Kiedy usłyszałam jej krzyk, zdałam sobie sprawę, że mnie okłamał, i wiedziałam... WIEDZIAŁAM, że za chwilę zabierze się za nią! – Zaciskam pięść, przypominając sobie tamtą chwilę. Cała drzę z gniewu i przerażenia. Wszystko odtwarza się w mojej głowie jeszcze raz.

Poczułam się, jakby ktoś zdetonował bombę w moim ciele. Nie to, że nagle się ocknęłam – ja eksplodowałam. Smoczyca wypełzła z mojego brzucha i ryknęła – i nie przestała ryczeć.

Rozkwaśliłam Sandsowi twarz. Czulałam, jak jego nos łamie się pod nasadą mojej dłoni. Jęknął, a ja zerwałam się z łóżka i ruszyłam

w stronę szafki nocnej, w której trzymałam pistolet. Ale Sands był niczym zwierzę – zdziczały i potwornie szybki. Nie wahał się. Stoczył się z łóżka na podłogę i rzucił się do wyjścia z sypialni. Słyszałam jego kroki dudniące po klepkach w przedpokoju, kiedy biegł w kierunku Alexy.

Zaczęłam wrzeszczeć. Miałam wrażenie, że płonę. Wszystko było rozpalone do białości, adrenalina doprowadzała moją krew i wnętrzności do wrzenia. Intensywność tego uczucia była potwornie bolesna. Czas się zmienił – nie zwolnił, wręcz przeciwnie. Przyspieszył. Był szybszy niż myśl.

Miałam w ręku broń i biegłam korytarzem – nie, ja się *teleportowałam*, zbliżając się do pokoju Alexy nie krokami, ale błyskiem. Byłam szybka, cholernie szybka, bo zauważyłam Sandsa jeszcze w progu jej pokoju. A potem ja też się tam znalazłam i zobaczyłam ją. Leżała na łóżku i najwyraźniej udało się jej poluzować knebel. Grzeczna dziewczynka, tak sobie pomyślałam.

– MAMUSIU! – wrzasnęła ponownie, z szeroko otwartymi oczami i zaczerwienionymi policzkami, mokrymi od łez. A ja – teraz to ja stałam się zwierzęciem, bez wahania unosząc broń i celując w głowę Sandsa...

A potem nastąpił koszmar. Potworny, makabryczny koszmar, który nigdy się nie kończy. Piekło na ziemi.

A potem mój krzyk. Wrzeszczałam, krzyczałam, wyłam. Krzyk, ten krzyk, który nigdy się nie kończy. Piekło na ziemi. Strzelałam do Sandsa raz po raz i znowu, zdeterminowana, że wpakuję w niego wszystkie kule z magazynka, a potem...

– O Chryste, Callie. – Łzy napływają mi do oczu. – Chryste, Boże drogi, tak mi przykro.

Ujmuje moją dłoń i potrząsa głową, tylko raz.

– Nie przejmuj się tym, Smoky. – Ścisła mnie za rękę, mocno, gwałtownie, niemal boleśnie. – Naprawdę. Nie byłaś wtedy sobą.

Pamiętam, że usłyszałam Callie, jak wbiega przez drzwi wejściowe do domu, a potem zobaczyłam ją w pokoju, z odbezpieczoną bronią. Pamiętam, jak przesuwiała się w moim kierunku z przesadną ostrożnością, nakazując mi odłożyć broń. Pamiętam, jak wrzeszczałam na nią, gdy się do mnie zbliżała. Wiem, że chciała odebrać mi pistolet, i czułam, że nie mogę jej na to pozwolić. Bo przecież musiałam jeszcze przyłożyć go do głowy i się zabić, umrzeć. Zasługiwałam na śmierć za to,

że zabiłam moje dziecko. Dlatego zrobiłam jedyną rzecz, która wydała mi się wtedy logiczna. Wycelowałam broń w Callie i strzeliłam.

Całe szczęście, że komora była pusta. Z perspektywy czasu pamiętam, że Callie nawet nie zwolniła. Po prostu szła w moim kierunku, aż dotarła na tyle blisko, żeby móc mi odebrać pistolet, który odrzuciła na bok. Potem nie pamiętam prawie nic.

– Mogłam cię zabić – szepczę.

– Eeee tam. – Uśmiecha się, nadal trochę smutno, ale widzę cię łobuzerskiej Callie. – Celowałaś w moją nogę.

– Callie – karcę ją łagodnie. – Pamiętam. – Nie celowałam w nogę, tylko w jej serce.

Pochyliła się ku mnie i zagląda mi w oczy.

– Smoky, ufam ci bardziej niż komukolwiek na tym świecie. I to się nie zmieniło. Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. Poza tym, że nigdy więcej nie będę z tobą o tym rozmawiać.

Zamykam oczy.

– Kto jeszcze wie?

Milczenie.

– Ja. Zespół. Zastępca dyrektora Jones. Doktor Hillstead. I to wszystko. Jones nie pozwolił, żeby kto inny się dowiedział.

Problem w tym, że *oni* się dowiedzieli.

Widzę, że Callie chce powiedzieć coś jeszcze.

– Co się dzieje?

– Cóż... myślę, że powinnaś wiedzieć: doktor Hillstead jest jedyną osobą, która wie o twojej reakcji na dzisiejsze odkrycie. Oczywiście poza Jenny i reszty zespołu.

– Nie powiedziałaś Jonesowi?

Potrzęsa głową.

– Nie.

– Dlaczego?

Callie puszcza moją dłoń. Wydaje się zakłopotana, co jest dla niej bardzo nietypowe. Wstaje i zaczyna spacerować po pokoju.

– Obawiam się... wszyscy się obawiamy, że jeśli mu powiemy, to będzie koniec. Jones postanowi, że nigdy nie będziesz mogła wrócić do pracy. Nigdy. Wiem, że koniec końców sama możesz tak postanowić, ale chcieliśmy zostawić tobie tę decyzję.

– Wszyscy się na to zgodzili?

Spogląda na mnie z wahaniem.

– Wszyscy poza Jamesem, który powiedział, że najpierw chce porozmawiać z tobą.

Zamykam oczy. W tej chwili James jest ostatnią osobą, z którą mam ochotę rozmawiać. Absolutnie ostatnią.

Wzdycham.

– W porządku. Przyślij go tutaj. Nie wiem jeszcze, co zamierzam, Callie. Wiem tylko tyle, że chcę wrócić do domu. Chcę zabrać Bonnie i wrócić do domu, a potem się nad tym zastanowić. Muszę sobie wszystko poukładać w głowie, raz a dobrze, inaczej koniec ze mną. Wy tymczasem możecie sprawdzić wyniki wyszukiwania w AFIS-ie i całą resztę. Muszę wrócić do domu.

Callie wbija wzrok w podłogę, a następnie spogląda na mnie.

– Rozumiem. Zacznę wszystko organizować.

Podchodzi do drzwi, zatrzymuje się i odwraca do mnie.

– Powinnaś się zastanowić nad jedną sprawą, kochaneczko. Znasz się na broni lepiej niż ktokolwiek. Może kiedy wycelowałaś we mnie pistolet, pociągnęłaś za spust tylko dlatego, że wiedziałaś, iż komora jest pusta. – Puszczą do mnie oczko, a potem otwiera drzwi i wychodzi.

– Może – szepczę do samej siebie.

Ale nie sądzę.

Myślę, że pociągnęłam za spust, ponieważ w tamtej chwili chciałam, żeby cały świat umarł.

[15] Zawołanie wymyślone dla jednej z postaci serialu telewizyjnego dla dzieci z lat 1947–1954, przyswojone przez surferów, którzy używali go jako okrzyk aprobaty dla wspaniałej fali (przyp. tłum.).

James wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi, po czym siada na krześle obok łóżka. Milczy, a ja nie potrafię go rozszyfrować. Nie to, że kiedyś umiałam.

– Callie powiedziała, że chciałeś ze mną porozmawiać, zanim zdecydujesz, czy mnie wsypać przed zastępcą dyrektora Jonesem.

Nie odpowiada od razu. Siedzi, przyglądając mi się. Doprowadza mnie to do rozpacz.

– No więc?

Ściąga usta.

– W przeciwieństwie do tego, co prawdopodobnie myślisz, nie mam problemu z twoim powrotem do aktywnej służby w pełnym wymiarze godzin, Smoky. Nie. Jesteś dobra w tym, co robisz, a ja chcę jedynie kompetencji.

– Więc?

– Mam problem z tym, że utknęłaś gdzieś w połowie drogi. – Wskazuje na mnie, leżącą na łóżku szpitalnym. – Tak jak to. To sprawia, że jesteś niebezpieczna, ponieważ nie można na tobie polegać.

– Nie no, błagam. Pierdol się.

Ignoruje mnie.

– To prawda. Zastanów się nad tym. Kiedy byliśmy razem w mieszkaniu Annie King, dostrzegłem dawną Smoky. Kompetentną. Wszyscy ją widzieli. Callie i Alan zaczęli znów zdawać się na twoje osady, polegać na tobie. Razem znaleźliśmy dowody, które inaczej zostałyby nieodkryte. Ale wystarczył jeden list i zemdlałaś.

– To trochę bardziej skomplikowane, James.

Wzrusza ramionami.

– Nie w najważniejszej sprawie. Albo wróciłaś w stu procentach, albo w ogóle. Bo jeśli zamierzasz zostać na takim etapie, jesteś dla nas obciążeniem. A to prowadzi nas do tego, na co *ja* jestem w stanie przystać.

– Co takiego?

– Albo wrócisz do pracy poukładana, albo trzymaj się, kurwa, z daleka. Jeżeli będziesz usiłowała pracować, nadal zmagając się ze swoimi problemami, zamierzam iść prosto do zastępcy dyrektora Jonesa i będę tak długo to robił, aż wreszcie mnie wysłucha i wyśle cię na zieloną trawkę.

Gniew rozpala mnie do białości.

– Jesteś aroganckim fiutem.

Jamesa nic nie wzrusza.

– Tak to będzie, Smoky. Ufam ci. Jeżeli dasz mi słowo, wiem, że go dotrzymasz. Tego właśnie chcę. Wróć do pracy, kiedy wyzdrowiejesz, albo w ogóle się nie fatyguj. To nie podlega negocjacom.

Wpatruję się w niego, ale nie widzę ani litości, ani krytyki.

Zdaję sobie sprawę, że James naprawdę nie prosi o wiele. To, co powiedział, jest rozsądne, ale i tak go nienawidzę.

– Daję ci moje słowo. A teraz wypieprzaj stąd.

James wstaje i wychodzi, nie oglądając się.

Wyruszyliśmy w podróż powrotną wczesnym rankiem. W samolocie panowała cisza. Bonnie siedziała obok, trzymając mnie za rękę i gapiąc się w przestrzeń. Callie odezwała się tylko raz, informując mnie, że dwaj agenci będą pilnowali mojego domu, dopóki nie postanowię inaczej. Nie sądziłam, żeby morderca znów mnie odwiedził, teraz, gdy się wygadał, ale cieszyłam się z możliwości ochrony. Callie powiedziała mi również, że AFIS nie znalazł żadnych pasujących odcisków. Cóż za szczęśliwy dzionek.

Gotuję się w środku, skrzywdzona i zdezorientowana, od czasu do czasu czując wybuch paniki. To nie emocje mnie przytłaczają, lecz rzeczywistość. Rzeczywistość Bonnie. Spoglądam na nią i czuję się jeszcze bardziej niepewnie, kiedy odwraca głowę w moim kierunku i obdarza mnie szczerym, porozumiewawczym spojrzeniem. Przygląda mi się przez chwilę, a potem powraca do wpatrywania się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

Zaciskam pięść i zamykam oczy. Małe fajerwerki paniki co rusz buzują we mnie i wybuchają z trzaskiem.

Macierzyństwo mnie przeraża – dlatego, że właśnie o tym tutaj mówimy. Proste i logiczne. Zostałam jej tylko ja i mamy przed sobą wiele, wiele mil do przemierzenia. Będzie to podróż wypełniona dniami szkolnymi, gwiazdkowymi porankami, szczepionkami, zmuszaniem do zjedzenia warzyw na obiad, nauki jazdy samochodem, bycia w domu przed dwudziestą drugą i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie banały, małe, duże i cudowne, które wiążą się z przejęciem odpowiedzialności za życie innego człowieka.

Kiedys miałam na to opracowany cały system. Problem w tym, że

nazywał się rodzicielstwem, a nie macierzyństwem. Miałam wtedy Matta. Rozmawialiśmy na ten temat, dzieliliśmy się pomysłami, kłóciliśmy się o to, co jest najlepsze dla Alexy, kochaliśmy ją we dwoje. Większą część egzystencji rodziców wypełnia ciągle, bliskie pewności uczucie, że wszystko robi się nie tak. Dobrze jest wtedy mieć kogoś, na kogo można zwalić część winy.

Bonnie ma mnie. Tylko mnie. Popieprzoną, połamaną osobę, ciągnącą za sobą cały pociąg bagażowy doświadczeń. Ona też wlecze za sobą cały pociąg koszmarów i przyszłość... no właśnie, jaką przyszłość? Czy kiedykolwiek jeszcze się odezwie? Czy znajdzie sobie przyjaciół? Chłopaka? Czy będzie szczęśliwa?

Czuję rosnącą panikę, kiedy uświadamiam sobie, że nie wiem absolutnie nic o tej dziewczynce. Nie mam pojęcia, czy jest dobrą uczennicą, jakie lubi programy telewizyjne, co zazwyczaj jada na śniadanie. Nie wiem nic.

Przerażenie rośnie we mnie coraz bardziej i łapię się na tym, że gadam coś do siebie gorączkowo w myślach. Mam ochotę otworzyć drzwi i wyskoczyć z samolotu, wrzeszcząc, rechocząc, płacząc i...

I znów słyszę głos Matta w mojej głowie. Łagodny, niski i kojący.

Ciiii, kochanie. Uspokój się. Wszystko po kolei. Najważniejsze już zrobiłaś.

Niby co takiego? – skomlę do niego w myślach.

Czuję jego uśmiech. *Przygarnęłaś ją. Jest twoja. Cokolwiek się teraz zdarzy, niezależnie od tego, jak będzie trudno, przygarnęłaś ją i nigdy tego nie zmienisz. To jest Pierwsza Zasada Mamy. A ty się do niej zastosowałaś w stu procentach. Reszta jakoś się ułoży.*

Serce ściska mi się boleśnie i tłumię jęk.

Pierwsza Zasada Mamy...

Alexa miała swoje problemy; nie była idealnym dzieckiem. Czasem potrzebowała częstych zapewnień, że ją kochamy. W takich momentach mówiłam jej zawsze tę samą rzecz. Tuliłam ją w ramionach, wtulając twarz w jej włosy, i szeptałam do niej:

– Wiesz, jaka jest Pierwsza Zasada Mamy, kochanie?

Wiedziała, ale zawsze odpowiadała w ten sam sposób.

– Jaka, mamusiu? Jaka jest Pierwsza Zasada Mamy?

– To, że jesteś moja i nigdy się to nie zmieni. Bez względu na wszystko,

nieważne, co się dzieje, nawet gdy...

– ...wiatr przestanie wiać, słońce przestanie świecić, a gwiazdy przestaną błyszczeć na niebie – kończyła za mnie, dopełniając rytuału.

To wszystko, co musiałam zrobić, żeby Alexa się odprężyła i upewniła.

Serce przestaje mnie boleć.

Pierwsza Zasada Mamy.

Mogę zacząć od niej.

Fajerwerki paniki w mojej duszy ustają.

Na razie.

Wysiadamy z samolotu. Oddalam się bez słowa, ciągnąc za sobą Bonnie.

Agenci wyznaczeni do ochrony jadą za nami do domu. Powietrze jest chłodne i wszystko zasnuwa lekka mgła. Autostrada dopiero zaczyna się zapełniać i ruch uliczny nie nabrał jeszcze w pełni rozpędu – zupełnie jak ospałe mrówki, które czekają na słońce, żeby je ogrzało.

Przez całą drogę obie milczymy. Bonnie nie odzywa się, jak zwykle, a ja z kolei jestem zbyt zajęta rozmyślaniami, odczuwaniem i obawianiem się.

Bardzo dużo myślę o Alexie. Zdałam sobie sprawę, że aż do wczoraj niewiele o niej myślałam od czasu jej śmierci.

Była czymś... *mglistym*. Zamazaną twarzą w oddali. Teraz już wiem, że to ona jest niezidentyfikowanym cieniem postaci w moim śnie o Sandsie. List od Kuby Juniora i wspomnienia przywiodły ją gwałtownie na pierwszy plan.

Teraz Alexa jawi się w moich myślach niczym żywa, oślepiająca do bólu piękność. Wspomnienia o niej są niczym zbyt głośna symfonia, od której słuchania bolą uszy, ale jednocześnie człowiek nie chce przestać.

To symfonia macierzyństwa, opowiadająca o absolutnie bezgranicznej miłości, takiej, w której zapomina się o sobie samym, o miłości, która niemal wypełnia całe twoje jestestwo. To historia żarliwego uczucia, które mogłoby przyćmić słońce swoim blaskiem. To bezbrzeżna nadzieja i rozdzierająca, szalona radość.

Mój Boże, jak ja ją kochałam. Tak bardzo, bardzo mocno. Bardziej niż siebie samą, bardziej niż Matta.

Wiem już, dlaczego jej twarz wydawała mi się zawsze taka zamazana we wspomnieniach – ponieważ świat bez niej jest *nie do zniesienia*.

Ale mimo to jestem. I jakoś go znoszę. Świadomość tego otwiera we mnie głęboką ranę, która nigdy się nie zasklepi.

I cieszę się z tego.

Chcę, żeby mnie bolała. Przez całe życie.

Dwadzieścia minut później docieramy do domu. Agenci nic nie mówią, tylko kiwiają głowami, w ten sposób dając mi znać, że wszystkim się zajmą.

– Zaczekaj tu chwilę, kochanie – mówię do Bonnie.

Podchodzę do samochodu ochrony. Szyba po stronie kierowcy opuszcza się i uśmiecham się, rozpoznając jednego z agentów. Dick Keenan. Był trenerem w Quantico, kiedy uczyłam się w akademii. Gdy zbliżył się do pięćdziesiątki, postanowił, że chce zakończyć karierę, pracując „na ulicach”. Jest porządnym człowiekiem, agentem federalnym starej daty, z fryzurą na jeża i tak dalej. Oprócz tego uwielbia robić żarty i jest strzelcem wyborowym.

– Jak ci się udało załapać na tę robotę, Dick?

– Zastępca dyrektora Jones. – Uśmiecha się.

Kiwam głową. Oczywiście.

– Kogo tam masz ze sobą?

Drugi agent jest młodszy, dużo młodszy ode mnie. Świeży, nadal podekscytowany perspektywą pracy w FBI. Cieszy się, że przez kilka dni będzie siedział w samochodzie, nic nie robiąc.

– Hannibal Shantz – mówi, wystawiając rękę za okno, żeby uścisnąć mi dłoń.

– Hannibal, tak? – Uśmiecham się szeroko.

Wzrusza ramionami. Widzę, że to jeden z tych pogodnie usposobionych ludzi. Nie można im łatwo zaleźć za skórę i trudno ich nie lubić.

– Wiesz wszystko, co trzeba, Dick?

Kiwa głową, nieco spięty.

– Ty. Dziewczynka. I tak, wiem, dlaczego przyjechała, żeby z tobą zamieszkać.

– To dobrze. Chcę być z tobą absolutnie szczerą: Bonnie jest najważniejszą osobą do ochrony. Rozumiemy się? Jeżeli staniecie przed wyborem, kogo powinniście ochraniać, chcę, żebyście zostali z nią.

– Zrozumiano.

– Dzięki. Miło było cię poznać, Hannibal.

Odchodzę, pokrzepiona. Widzę czekającą na mnie Bonnie, stojącą przed domem.

W samochodzie miałam trochę czasu, żeby zastanowić się nad tym, dlaczego pozostałam w tym domu. Był to akt nieprzejednania, a teraz być może również przejaw głupoty. Zdałam sobie sprawę, że to leży w mojej naturze. To jest mój dom. Gdyby przyszło mi z niego zrezygnować, w głębi duszy wiem, że nigdy bym się już nie pozbyła.

Zjawi się tygrys[\[16\]](#), to prawda, ale i tak nie zamierzam się wycofać.

Jesteśmy w kuchni i mój następny ruch podyktowany jest instynktem.

– Jesteś głodna, kochanie? – pytam Bonnie.

Spogląda na mnie i kiwa głową.

Ja też kiwam, zadowolona. Pierwsza Zasada Mamy: Kochaj. Druga Zasada Mamy: Nakarm swoje dzieci.

– Zobaczmy, co tu mamy.

Podąża za mną w kierunku lodówki i zagląda mi przez ramię. Dobrze, myślę sobie. Dzieci powinny się uczyć, jak zdobywać jedzenie. Natychmiast też muszę stłumić chęć historycznego śmiechu. W lodówce stoi niemal pusty słoik z masłem orzechowym i przeterminowane mleko, które prawdopodobnie już dawno skisło.

– Przykro mi, skarbie. Wygląda na to, że musimy pojechać po zakupy.

– Pocieram oczy i wzdycham w głębi duszy. Boże, jestem taka zmęczona, ale taka już jest rzeczywistość rodzica. Nawet nie zasada, lecz prawo naturalne. Dzieci są twoje i ty jesteś za nie odpowiedzialny. Więc jeśli jesteś zmęczony, to trudno, bo dziecko samo nie pojedzie samochodem do sklepu, nie wspominając o tym, że nie ma pieniędzy.

Do diabła z tym. Spoglądam na Bonnie i uśmiecham się.

– Chodź. Musimy się dobrze zaopatrzyć.

Obrzuca mnie jednym z tych szczerych, głębokich spojrzeń, a potem uśmiecha się i lekko kiwa głową.

– No dobra. – Chwytam portmonetkę i kluczyki. – Komu w drogę, temu czas.

Powiedziałam Keenanowi i Shantzowi, żeby pilnowali domu. W razie czego byłam w stanie sama się obronić, a wolałam mieć pewność, że po

powrocie nikt nie będzie na nas czekał w środku.

Przechodzimy pomiędzy kolejnymi rzędami półek w supermarkecie sieci Ralphs. Współczesny odpowiednik plądrowania okolicy w poszukiwaniu jedzenia.

– Prowadź, kochanie – mówię do Bonnie. – Nie wiem, co lubisz, więc musisz mi pokazać.

Popycham wózek i podążam za małą, która w milczeniu wędruje między rzędami, rozglądając się uważnie. Za każdym razem, kiedy na coś pokazuje, ściągam to z półki i przyglądam się temu, układając listę w podświadomości. Słyszę w głowie głośny, basowy głos: *MAKARON Z SEREM*, ogłasza. *SPAGHETTI Z SOSEM MIĘSNYM – ABSOLUTNIE ŻADNYCH GRZYBÓW, POD KARĄ ŚMIERCI. CHEETOS – KONIECZNIE OSTRE*. Przykazania kulinarne. Ważne wskazówki od Bonnie.

Czuję się, jakby coś zakurzonego i pordzewiałego wreszcie się we mnie poruszyło, zaczęło się rozpędzać, powoli, bardzo powoli. Miłość, schronienie, makaron z serem. Wszystko wydaje się naturalne i dokładnie takie, jak powinno być.

To jak z jazdą na rowerze, złotko, słyszę szept Matta.

– Może – mruczę w odpowiedzi.

Jestem tak zajęta rozmową z samą sobą, że nie zauważam, iż Bonnie się zatrzymała, i niemal najeżdżam na nią wózkiem. Uśmiecham się do niej słabo.

– Przepraszam, kochanie. To już wszystko?

Uśmiecha się i kiwa głową. Zrobione.

– W takim razie wracajmy do domu i zabierajmy się do jedzenia.

Nie chodzi o jazdę na rowerze. Zdaję sobie sprawę, że to droga, po której jadę owym rowerem, się zmieniła. Miłość, schronienie, makaron z serem – nie ma sprawy. Ale oprócz tego jest tu jeszcze dziecko, które się nie odzywa, i świeżo upieczona mama, która jest przerażona, gada sama do siebie i jest trochę zwariowana.

Rozmawiam przez telefon z żoną Alana i jednocześnie przyglądam się, jak Bonnie pochłania makaron z serem z absolutnym oddaniem i zapałem. Dzieci są szalenie pragmatyczne, jeśli chodzi o pożywienie.

Wiem, że wszystko się wali i pali, ale hej, przecież trzeba coś zjeść, nie?

– Naprawdę jestem ci wdzięczna, Elaina. Alan powiedział mi, co się dzieje, i normalnie bym cię nie prosiła, ale...

– Proszę cię, przestań, Smoky – przerywa mi z łagodnym upomnieniem w głosie. Przypomina mi się Matt. – Potrzebujesz czasu, żeby wszystko sobie poukładać, a ta mała dziewczynka musi mieć do kogo się przytulić, kiedy ciebie nie będzie w domu. Do czasu, gdy wszystko sobie ułożysz. – Nie odpowiadam, bo w gardle urosła mi nagle gula. Elaina chyba to wyczuwa, co zresztą jest dla niej typowe. – *A na pewno* sobie wszystko ułożysz, Smoky. Dobrze ją wychowasz. – Przerywa. – Byłaś wspaniałą mamą dla Alexy i będziesz równie dobrą dla Bonnie.

Na te słowa ogarnia mnie mieszanina żalu, wdzięczności i przygnębienia. Chrząkam i udaje mi się wykrztusić chrapliwe:

– Dzięki.

– Nie ma problemu. Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy.

Nie wymaga ode mnie odpowiedzi. Rozłącza się. Elaina zawsze umiała się wczuwać w sytuację innych ludzi. Zgodziła się zająć Bonnie, jeżeli kiedykolwiek będę potrzebowała opiekunki. Bez wahania, bez zbędnych pytań.

Nie jesteś sama, złotko, szepcze Matt.

– Może – mruczę w odpowiedzi. – Może nie.

Dzwonek komórki zaskakuje mnie i wyrywa z rozmowy z duchem. Odbieram.

– Hej, kochaneczko – mówi Callie. – Mam nowe wiadomości i chciałam ci je przekazać.

Czuję ucisk w sercu. Co tym razem?

– Mów.

– Gabinet doktora Hillsteda był na podsłuchu.

– Hę? – Marszczę brwi.

– Wszystko, co Kuba Junior napisał w liście do ciebie... nie zastanawiałaś się, skąd to wiedział?

Milczę. Jestem zaskoczona i wystraszona. Nie. Zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście się nad tym nie zastanawiałam.

– Dobry Boże, Callie. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Chryste! – Nogi się pode mną uginają. – Jak to w ogóle możliwe?

– Nie twoja wina. W całym tym zamieszaniu mnie też to umknęło. Możesz podziękować Jamesowi, że na to wpadł. – Przerywa. – Boże święty, czy ja właśnie użyłam w tym samym zdaniu słów „podziękować” i „James”? – Słyszę w głośniczku, jak udaje, że się wzdryga.

– Szczegóły, Callie. – Moje słowa brzmią ostro, niecierpliwie. Nie jestem w tej chwili zainteresowana dowcipami i jestem zbyt zmęczona, żeby za to przeproszać.

– Morderca zainstalował dwie pluskwy w gabinecie doktora Hillsteda. Funkcjonalne, chociaż nie najwyższej klasy. – W ten sposób daje mi do zrozumienia, że nie są to charakterystyczne urządzenia, a zatem najprawdopodobniej nie da się ustalić ich pochodzenia lub nabywcy. – Obie były zdalnie aktywowane. Przekazywały dane bezprzewodowo do miniaturowego rejestratora umieszczonego w schowku dla obsługi budynku. Wszystko, co musiał wiedzieć morderca, to dni i godziny twoich spotkań z doktorem Hillsteadem, kochaneczko. Mógł aktywować pluskwy i później zabrać nagrania.

Uczucie pogwałcenia mojej prywatności przeszywa mnie niczym potężny wstrząs elektryczny. Podśluchiwał mnie? Słyszał wszystko, co mówiłam o Matcie i Alexie? Słuchał, kiedy okazywałam *słabość*? Jestem tak wściekła, że zaraz zemdleję albo zwymiotuję.

I nagle wszystko mija. Nie czuję się pogwałcona ani wściekła, tylko wyczerpana i strasznie samotna. Nastąpił pełny odpływ, moja plaża jest sucha, opuszczona.

– Muszę kończyć, Callie – mamroczę.

– Wszystko w porządku, kochaneczko?

– Dzięki za informacje, Callie, ale teraz muszę już kończyć.

Rozłączam się i dumam nad poczuciem wewnętrznej pustki. Jest na swój sposób niezwykle. Doskonałe.

– Cóż, przynajmniej będziemy mieli Paryż – mruczę do siebie i czuję rodzący się w moim gardle chichot.

Zdaję sobie sprawę, że Bonnie skończyła już jeść i przygląda mi się uważnie. Zaskakuje mnie to i wstrząsa mną do głębi.

Chryste, myślę. Dociera do mnie, że wreszcie i raz na zawsze muszę sobie to wbić do głowy. Nie jestem sama. Bonnie tu jest i widzi mnie.

Moje dni siedzenia w ciemności, wpatrywania się w przestrzeń i rozmawiania ze sobą samą muszą się skończyć.

Nikt nie potrzebuje mamy-wariatki.

Siedzimy na łóżku w mojej sypialni i spoglądamy na siebie.

– Jak ci się podoba, kochanie. Może być?

Bonnie rozgląda się, przesuwa dłonią po pościeli, a potem uśmiecha się i kiwa głową. Odpowiadam jej również uśmiechem.

– Doskonale. Pomyślałam, że może chciałabyś spać tutaj ze mną, ale oczywiście zrozumieć, jeśli nie chcesz.

Chwyta mnie za rękę i potrząsa głową niczym figurka Bobbleheada[17]. Zdecydowanie chce spać ze mną.

– W porządku. Muszę z tobą porozmawiać o kilku rzeczach, Bonnie. Mogę?

Kiwa głową.

Niektórym może się nie podobać takie podejście – branie się do rzeczy od razu. Ja akurat się z tym nie zgadzam. Kieruję się instynktem, który podpowiada mi, że powinnam być szczerą wobec tego dziecka.

– Po pierwsze, czasem... właściwie prawie zawsze mam koszmary senne. Niekiedy naprawdę mnie przerażają i budzę się z krzykiem. Mam nadzieję, że kiedy będziesz tu spała obok mnie, nic takiego się nie wydarzy, ale niestety to poza moją kontrolą. Jeżeli się to stanie, nie chcę, żebyś się wystraszyła.

Wpatruje się w moje oczy, a potem jej wzrok przenosi się na fotografię stojącą na szafce nocnej. Jestem na niej ja, Matt i Alexa, uśmiechnięci, nieświadomi, że w niedalekiej przyszłości czeka na nas śmierć. Bonnie przygląda się przez chwilę zdjęciu, a następnie spogląda znowu na mnie i unosi brwi.

Pojmuję dopiero po dłuższej chwili.

– Tak. Koszmary dotyczą tego, co się z nimi stało.

Bonnie zamyka oczy, unosi dłoń i klepie się po piersi. Potem otwiera oczy i patrzy na mnie.

– Ty też, co? W porządku, kochanie. Może w takim razie zawrzemy umowę: żadna z nas nie będzie się bała, jeżeli ta druga obudzi się w środku nocy z krzykiem.

Bonnie uśmiecha się na te słowa, a ja przez chwilę mam wrażenie, że cała ta sytuacja jest nierealna. W końcu nie rozmawiam z tą dziesięciolatką o ciuchach, muzyce albo dniu spędzonym w parku, tylko

zawieram z nią umowę dotyczącą wrzeszczenia w nocy.

– Następna rzecz... jest dla mnie nieco trudniejsza. Nadal zastanawiam się, czy powinnam wrócić do pracy. Mój zawód polega na łapaniu złych ludzi, którzy robią rzeczy takie jak to, co stało się twojej mamie. Myślę, że jeśli nadal będę to robić, stanę się zbyt smutna. Rozumiesz?

Kiwa poważnie głową. O tak, zdecydowanie rozumie.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji. Jeżeli nie wrócę do pracy, wtedy obie możemy zastanowić się, co dalej. Jeżeli wrócę... cóż, nie będę cię mogła mieć przy sobie przez cały czas. Ktoś inny będzie musiał się tobą opiekować, podczas gdy ja będę w pracy. Mogę ci jednak obiecać jedną rzecz: jeśli okaże się to konieczne, znajdę kogoś, kogo polubisz. W porządku?

Ostrożne kiwnięcie głową. Zaczynam coraz lepiej się w tym orientować. *Tak, ale z zastrzeżeniami*, mówi jej kiwnięcie.

– I wreszcie ostatnia sprawa, skarbie, ale chyba najważniejsza, więc proszę cię, posłuchaj mnie uważnie, dobrze? – Chwytam ją za rękę i patrzę jej w oczy, mówiąc kolejne słowa. – Jeżeli chcesz ze mną zostać, to zostaniesz. Nie porzucę cię. Nigdy. Obiecuję ci to.

Na jej twarzy po raz pierwszy od chwili, gdy znalazłam ją w szpitalnym łóżku, pojawiają się emocje. Krzywi się z żałości, a po jej policzkach spływają łzy. Biorę ją w objęcia i tulę do siebie, kołyszając się lekko, kiedy Bonnie płacze bezgłośnie. Tulę ją do siebie i szepczę w jej włosy, myśląc o Annie, o Alexie i o Pierwszej Zasadzie Mamy.

Po dłuższej chwili mała przestaje płakać, ale nadal się do mnie tuli, z głową na mojej piersi. Wreszcie przestaje pociągać nosem, odsuwa się i wyciera twarz dłońmi. Odchyła głowę i spogląda na mnie. Naprawdę spogląda. Widzę, jak jej wzrok prześlizguje się po moich bliznach. Drgam lekko, gdy przykłada dłoń do mojej twarzy. Z ogromną delikatnością przesuwając palcem po szramach, zaczynając od tych na czole, a potem na policzku. W jej oczach pojawiają się łzy. Przykłada dłoń do mojego policzka, a później znów padamy sobie w objęcia. Tym razem to ona mnie przytula.

Dziwne, ale nie chce mi się wcale płakać. Doznaję przelotnego uczucia spokoju, komfortu. Ta część mojej duszy, która dziś w szpitalu zamarzła, zaczyna się teraz ogrzewać, topnieć.

Odsuwam się od Bonnie i uśmiecham szeroko.

– Ale z nas para, co?

Jej uśmiech w odpowiedzi jest szczerzy. Wiem, że to tylko chwila. Wiem, że żal uderzy w nią wkrótce niepowstrzymaną falą, ale i tak dobrze jest zobaczyć jej uśmiech.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam o decyzji, czy wrócić do pracy? Muszę dzisiaj coś zrobić. Chcesz ze mną pojechać?

Kiwa głową. O tak. Uśmiecham się do niej i chwytam ją lekko pod brodę.

– W takim razie chodźmy.

Docieram do strzelnicy w dolinie San Fernando. Przyglądam się gmachowi, usiłując nieco się uspokoić, zanim wysiądę z samochodu. Budynek jest funkcjonalny – pokryty łuszczącą się farbą, z oknami, których prawdopodobnie nikt nigdy nie mył. Zupełnie jak broń, myślę. Pistolet może być cały podrapany i poobijany, stracić swój blask, jednak tak naprawdę ważne jest tylko to, czy nadal jest w stanie wystrzelić pocisk. Ten stary spracowany budynek jest taki sam. Odwiedzało go wielu naprawdę poważnych strzelców – i nie mam tu na myśli entuzjastów, lecz mężczyzn (i kobiety), którzy całe swoje życie spędzili, używając broni, żeby zabijać ludzi lub utrzymywać porządek.

Ludzi jak ja. Spoglądam na Bonnie i uśmiecham się do niej krzywo.

– Gotowa?

Kiwa głową.

– W takim razie chodźmy.

Znam właściciela strzelnicy – byłego snajpera z korpusu piechoty morskiej. Jego oczy wydają się ciepłe na zewnątrz, ale w głębi są całkowicie zimne.

– Smoky! Dawno cię nie widziałem! – wykrzykuje, widząc mnie.

Uśmiecham się i wskazuję na moje blizny.

– Miałam trochę pecha, Jazz.

Dostrzega Bonnie i uśmiecha się do niej. Mała nie odwzajemnia przywitania.

– A kto to taki?

– To jest Bonnie.

Jazz zawsze był dobry w rozszyfrowywaniu ludzi. Wie, że z Bonnie coś jest nie w porządku, i nie sili się na żadne „Hej, maleńka, jak się masz”. Po prostu kiwa głową i spogląda na mnie, kładąc dłonie płasko na ladzie.

– Czego potrzebujesz dzisiaj?

– Tego glocka – wskazuję na broń. – Tylko jeden magazynek i ochraniacze dla nas obu.

– Jasne, jasne. – Wyjmuje pistolet ze skrzynki i kładzie go na ladzie, a obok pełny magazynek. Chwyta dwie pary ochraniaczy na uszy, wiszących na ścianie.

Dłonie zaczynają mi się pocić.

– Ekhm... możesz coś dla mnie zrobić, Jazz? Zabierz to na strzelnicę i załaduj.

Unosi brwi i spogląda na mnie pytająco. Czuję, że się rumienię ze wstydu.

– Proszę cię, Jazz. – Gdy w końcu się odzywam, mój głos wydaje się słabiutki. – To jest test. Jeżeli tam wejść i nie będę w stanie wziąć tego glocka do ręki, prawdopodobnie nigdy więcej nie wystrzelę z żadnej broni. Nie chcę go dotykać przed czasem.

Widzę jego oczy, ciepłe i chłodne zarazem. Ciepło wygrywa.

– Nie ma sprawy, Smoky. Daj mi tylko chwilkę.

– Dziękuję. Naprawdę bardzo dziękuję. – Chwytam ochraniacze i przyklękam przed Bonnie. – Musimy je nosić cały czas, kochanie. Kiedy się strzela z broni, panuje okropny hałas i bez tego rozbolełyby cię uszy.

Bonnie kiwa głową i wyciąga dłoń. Wręczam jej ochraniacze. Zakłada je, a ja robię to samo.

– Chodźcie ze mną. – Jazz gestem zaprasza nas do środka.

Przechodzimy przez drzwi i znajdujemy się na strzelnicy. Od razu czuję ten zapach. Woń dymu i metalu. Nie da się jej z niczym innym porównać. Z ulgą dostrzegam, że nikogo więcej tu nie ma.

Tłumaczę Bonnie, że musi stanąć za mną, pod ścianą. Jazz obserwuje mnie, wkładając magazynek do broni. Odkłada glocka na małą drewnianą półeczkę. Jego oczy są chłodne, ale potem uśmiecha się i rusza z powrotem do recepcji. Wie, że chcę zostać sama.

Spoglądam na Bonnie i uśmiecham się do niej. Mała nie rewanżuje się. Wpatruje się we mnie z napięciem. Rozumie, że muszę zrobić coś bardzo ważnego, i traktuje tę sprawę z należytą powagą.

Biorę tarczę w kształcie sylwetki ludzkiej i przyczepiam ją do specjalnego uchwyty. Wciskam guzik i przyglądam się, jak tarcza oddala się ode mnie, coraz bardziej i bardziej, aż w końcu wydaje się rozmiaru karty do gry.

Serce wali mi mocno w piersi. Dygoczę z zimna i jednocześnie się pocę.

Spoglądam na glocka.

Gładkie czarne narzędzie śmierci. Niektórzy protestują przeciwko jego używaniu, inni uważają go za piękną rzecz. Dla mnie zawsze stanowił przedłużenie mojej ręki – dopóki mnie nie zdradził.

Mam przed sobą model 34, z lufą o długości stu trzydziestu pięciu milimetrów, o masie z pełnym magazynkiem wynoszącej trochę ponad dziewięćset gramów. Zasilany jest pociskami 9 × 19 milimetrów. W magazynku mieści się ich siedemnaście. Siła oporu spustu, niezmodyfikowana, to dobre dwa kilogramy. Wiem to wszystko, znam tę mechaniczną charakterystykę jak własny wzrost i wagę. Pytanie tylko, czy zdołamy się pogodzić, ten czarny ptak i ja.

Przesuwam dłoń w jego kierunku. Pocę się coraz bardziej i czuję zawroty głowy. Zaciskam zęby i zmuszam się do kontynuowania ruchu. Widzę oczy Alexy i jej usta ułożone w kształt litery „O”, gdy pocisk z mojego pistoletu trafia ją w pierś i uciska na zawsze. Scena ta rozgrywa się raz po raz w moich myślach, jak film ustawiony na ciągłe odtwarzanie. Huk i śmierć, huk i śmierć, huk i śmierć, i koniec świata.

– NIECH CIĘ DIABLI, NIECH CIĘ DIABLI, NIECH CIĘ DIABLI! – Nie wiem, czy krzyczę na Boga, na Josepha Sandsa, na siebie, czy na broń.

Chwytam glocka jednym płynnym ruchem i strzelam. Czarny metalowy obiekt podskakuje w mojej dłoni: *bum-bum-bum-bum!*

A potem słyszę klikanie pustej komory i wystrzelanego magazynka. Trzęsę się cała i płaczę, ale glock nadal tu jest. A ja nie zemdlałam.

Witaj znowu, wydaje mi się, że słyszę szept broni.

Drżącą dłonią wduszam przycisk przywołujący tarczę do stanowiska strzelniczego. To, co widzę, kiedy się pojawia, wypełnia mnie swego rodzaju euforią, lekko podbarwioną smutkiem. Dziesięć strzałów w głowę, siedem w serce. Trafiłam dokładnie tam, gdzie chciałam, za każdym razem. Tak jak zwykle.

Spoglądam na tarczę, a potem na glocka i czuję znowu tę radość

i jednocześnie smutek. Wiem, że strzelanie już nigdy nie będzie dla mnie czystą przyjemnością jak kiedyś. Zbyt wiele spowodowało śmierci wokół mnie. Zbyt wiele żalu, który nigdy mnie nie opuści.

Ale to nie szkodzi. Teraz wiem to, czego musiałam się dowiedzieć. Potrafię wziąć do ręki broń. Przyjemność nie jest tu istotna.

Wyciągam magazynek, chwytam tarczę i odwracam się do Bonnie. Mała patrzy wielkimi oczami na tarczę, a następnie na mnie. I uśmiecha się. Mierzwię jej włosy i razem wychodzimy ze strzelnicy z powrotem do recepcji. Jazz siedzi na stołku, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i nikłym uśmiechem na twarzy. Jego oczy są ciepłe, nie widać w nich ani krztyny chłodu.

– Wiedziałem, Smoky. Masz to we krwi, moja droga. We krwi.

Spoglądam na niego przez chwilę w milczeniu, po czym kiwam głową. Ma rację.

Moja dłoń i broń. Znow jesteśmy małżeństwem i chociaż może jest to burzliwy związek, zdaję sobie sprawę, że brakowało mi mojego partnera. Jest częścią mnie. Oczywiście pistolet również przestał być młodzikiem. Postarzał się i dorobił się kilku blizn.

Tak to się musiało skończyć, skoro wybrał mnie na swoją oblubienicę.

[16] Tytuł jednego z krótkich opowiadań Stephena Kinga. Historia o dzieciach uwięzionych w szkole i tygrysie, który pojawia się w toalecie. Mądry bohater wycofuje się na czas z łazienki, a niedowiarki, jak jego kolega oraz nauczycielka, zostają pożarci przez bestię (przyp. tłum.).

[17] Figurki przedstawiające zazwyczaj znane postaci z nieproporcjonalnie dużymi głowami, które kiwają się przy najmniejszym poruszeniu (przyp. tłum.).

II

SNY I KONSEKWENCJE

Bonnie budzi się w środku nocy z krzykiem.

Nie jest to krzyk dziecka, lecz wycie kogoś zamkniętego w jednym z kręgów piekła. Czym prędzej włączam lampkę nocną stojącą na szafce przy łóżku i ze zdumieniem dostrzegam, że oczy małej nadal są zamknięte. Ja zawsze się budzę, kiedy zaczynam krzyczeć. Bonnie robi to, nie przerywając snu. Jest uwięziona w swoim koszmarze, zdolna wykrzyczeć swój strach, ale nie potrafi się z niego wyrwać.

Chwytam ją i potrząsam mocno. Wycie zamiera, jej oczy otwierają się szeroko. Znowu milknie, ale nadal słyszę jej krzyk w głowie. Trzęsie się cała, więc przyciągam ją do siebie. Nic nie mówię, tylko głaszczę ją po włosach. Bonnie wczepia się we mnie kurczowo. Wkrótce przestaje wreszcie dygotać i po chwili zapada w sen.

Ostrożnie wyplątuje się z jej objęć. Wygląda teraz tak spokojnie. Zasypiam, przyglądając się jej, i po raz pierwszy od sześciu miesięcy śnię o Alexie.

– Hej, mamusiu – mówi do mnie z uśmiechem.

– Jak się masz, kurza dupciu? – Pierwszy raz, kiedy to powiedziałam, śmiała się tak bardzo, że aż rozboleła ją głowa, co skończyło się płaczem. Od tamtej pory zawsze tak na nią mówiłam.

Patrzy na mnie tym swoim poważnym wzrokiem, jednocześnie pasującym i niepasującym do niej. Niepasującym, ponieważ była zbyt młoda na takie spojrzenie. Pasującym, ponieważ była to typowa Alexa. Łagodne brązowe oczy spoglądają na mnie z twarzy stanowiącej mieszankę cech nas obojga, ze ślicznymi dołeczkami w policzkach – jej własną cechą – które nadają jej wygląd

chochlika. Matt zawsze sobie żartował, że nasz listonosz też ma dołeczki w policzkach i może doszło tu do jakiejś *dostawy specjalnej*, ha, ha, ha.

– Martwię się o ciebie, mamusiu.

– Dlaczego, dziecinko?

Jej oczy smutnieją, za bardzo jak na jej wiek i zdecydowanie za bardzo jak na te śliczne dołeczki.

– Bo tak strasznie za mną tęsknisz.

Patrzę na Bonnie, a potem znów na Alexę.

– A co z nią, kochanie? Nie jest ci przykro z jej powodu?

Budzę się, zanim odpowiada. Oczy mam suche, ale serce ściska mi się boleśnie w piersi i trudno mi oddychać. Po kilku chwilach wszystko mija. Odwracam głowę. Bonnie ma zamknięte oczy i spokojną twarz.

Zasypiam, znów się jej przyglądając, lecz tym razem o niczym nie śnię.

Jest poranek. Spoglądam na siebie w lustrze, obserwowana przez Bonnie. Założyłam swój najlepszy czarny kostium. Matt nazywał go „kostiumem zabójcy”. Nadal wygląda nieźle.

Od miesięcy ignorowałam swoje włosy. Jeżeli w ogóle zwracałam na nie uwagę, to tylko po to, żeby zasłonić nimi moje blizny. Kiedyś nosiłam je swobodnie rozpuszczone. Teraz z pomocą Bonnie zebrałam je w bardzo ciasny kucyk. Zamiast ukrywać blizny przed światem zamierzam je wszystkim pokazać.

To zabawne, myślę, patrząc sobie w oczy. Naprawdę wcale nie wygląda to źle. Może i oszpeca, może wywołuje szok, ale... generalnie rzecz biorąc, wcale nie wyglądam jak jakiś potwór. Zastanawiam się, dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej – dlaczego aż do tej pory moje blizny wydawały mi się dużo szpetniejsze. Z pewnością dlatego, że nosiłam w sobie zbyt wiele szpetoty.

Podobam się sobie. Wyglądam na twardzielkę – onieśmielająco. Pasuje to do mojej obecnej wizji życia. Odwracam się od lustra.

– Co o tym sądzisz? Dobrze wyglądam?

Kiwnięcie głową i uśmiech.

– W takim razie zbierajmy się, kochanie. Czeka nas dzisiaj kilka wycieczek.

Bonnie bierze mnie za rękę i wychodzimy z domu.

Pierwszy przystanek to gabinet doktora Hillsteda. Uprzedziłam go przez telefon o wizycie, więc czeka już na mnie. Kiedy wchodzimy do środka, przekonuję Bonnie, żeby została z Imeldą, sekretarką doktora Hillsteda. To Latynoska z bardzo rzeczowym podejściem do ludzi i Bonnie zdaje się dobrze reagować na jej mieszankę ciepła i oschłości. Rozumiem ją. Obie jesteśmy poranione i obie nienawidzimy litości. Chcemy po prostu być traktowane normalnie.

Wchodzę do gabinetu. Doktor Hillstead podchodzi, żeby się przywitać. Wygląda na załamane.

– Smoky, chcę żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Nigdy nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób.

Wzruszam ramionami.

– Tak, wiem. No cóż... był w moim domu, obserwował mnie śpiącą. Pewnie ma mnie na oku od dłuższego czasu. To nie jest coś, co można sobie zaplanować.

Wydaje się zaskoczony.

– Morderca był w... twoim domu?

– Uhm. – Nie zamierzam wdawać się w rozważania na temat użycia liczby pojedynczej. Fakt, że mamy do czynienia z parą morderców, pozostaje wiadomy jedynie mojemu zespołowi. To nasz as w rękawie.

Doktor Hillstead przesuwa dłonią po włosach. Sprawia wrażenie wstrząśniętego.

– To naprawdę niepokojące, Smoky. Często spotykam się z opowieściami z drugiej ręki o podobnych wydarzeniach, ale po raz pierwszy doświadczam tego niejako personalnie.

– Czasem tak się w życiu układa.

Być może to mój spokojny ton przyciąga jego uwagę. Po raz pierwszy od chwili, gdy pojawiłam się w jego gabinecie, naprawdę na mnie spogląda. Dostrzega zmianę i to wydaje się na powrót budzić w nim uzdrowiciela.

– Może usiądziesz?

Zajmuję jeden ze skórzanych foteli zwróconych w stronę jego biurka.

Doktor Hillstead patrzy na mnie w zamyśleniu.

– Jesteś na mnie zła za to, że zataiłem przed tobą raport balistyczny?

Potrząsam głową.

– Nie. To znaczy... byłam. Rozumiem jednak, co usiłował pan zrobić,

i myślę, że miał pan rację.

– Nie chciałem ci mówić, dopóki nie będziesz gotowa poradzić sobie z tym faktem.

Uśmiecham się do niego słabo.

– Nie wiem, czy byłam, ale zdecydowanie stanęłam na wysokości zadania.

Kiwa głową.

– Tak. Widzę w tobie zmianę. Opowiedz mi o niej.

– Nie ma co opowiadać. – Wzruszam ramionami. – Bardzo mną to wstrząsnęło. Przez chwilę nie wierzyłam w raport. Potem jednak przypomniało mi się wszystko; jak zastrzeliłam Alexę i jak usiłowałam zastrzelić Callie. Zupełnie jakby ból, który nosiłam w sobie przez ostatnie sześć miesięcy, nagle uderzył mnie z pełną mocą. Wszystko zważyło się na mnie naraz. Straciłam przytomność.

– Wiem to od Callie.

– Co dziwniejsze, kiedy się ocknęłam, wcale nie chciałam umrzeć. Poczułam się przez to winna, jakbym była złym człowiekiem. Ale to prawda. Nie chciałam umrzeć.

– To dobrze, Smoky – komentuje cicho.

– I nie tylko to. Miał pan rację co do mojego zespołu. Są praktycznie moją rodziną. I wszyscy mają przesrane w życiu. Żona Alana ma raka. W życiu Callie dzieje się coś niedobrego, o czym nie chce z nikim rozmawiać. Zdałam sobie sprawę, że nie mogę tak po prostu tego zignorować. Kocham ich. Muszę im pomóc, jeśli będą mnie potrzebowali. Rozumie pan?

Kiwa głową.

– Owszem. Przyznam, że na to właśnie liczyłem. To znaczy nie na poważne problemy członków twojego zespołu. Chodzi o to, że żyłaś w próżni i miałem nadzieję, że ponowny kontakt z nimi przypomni ci o jednym powodzie, dla którego twoim zdaniem warto żyć.

– A mianowicie?

– O poczuciu obowiązku. To cię napędza, Smoky. Czujesz się odpowiedzialna za swoich ludzi. I masz zobowiązania względem ofiar.

Jestem zaskoczona tym pomysłem, ponieważ zdaję sobie sprawę, że doktor Hillstead ma stuprocentową rację. Może nigdy w pełni nie wyzdrowieję. Może do końca życia będę budziła się z krzykiem w środku

nocy. Tak długo jednak, jak będę potrzebna moim przyjaciołom i jak długo potwory będą siały śmierć, muszę zostać na tym padole łez. Nie mam wyjścia.

– Podziałało – mówię.

– Cieszę się. – Uśmiecha się łagodnie.

– No cóż. – Wzdycham. – W drodze powrotnej z San Francisco miałam dużo czasu na rozmyślania. Wiedziałam, że jest jedna rzecz, którą muszę spróbować zrobić. Jeżeli by mi się nie udało, oznaczałoby to, że jestem skończona. Pozostałoby mi wtedy jedynie złożyć rezygnację.

– Co to za rzecz? – pyta, chociaż myślę, że wie. Po prostu chce, żebym sama to powiedziała.

– Pojechałam na strzelnicę. Wypożyczyłam glocka i postanowiłam sprawdzić, czy nadal potrafię go używać. Czy w ogóle uda mi się go wziąć do ręki bez utraty przytomności.

– I?

– Wszystko było w należyтым porządku, jakby nic się nie zmieniło.

Składa palce rąk w daszek i patrzy na mnie.

– Jest jeszcze coś, prawda? Twoja aura jest zupełnie inna.

Spoglądam w oczy temu mężczyźnie, który usiłował mi pomóc przez ostatnie miesiące. Uświadamiam sobie, że jego umiejętności wspierania ludzi są niczym cudowny taniec – mieszanina chaosu i precyzji. To wycucie, kiedy się wycofać, kiedy wykonać manewr mylący, a kiedy zaatakować. Praca nad integracją umysłu. Ja osobiście wolę ścigać seryjnych morderców.

– Nie jestem już ofiarą, panie doktorze. Nie umiem tego wytłumaczyć prościej. To nie jest coś, co wymaga kwiecistych opisów. Zwykła prawda, jest jak jest. – Odchyłam się w fotelu. – Miał pan z tym wiele wspólnego i chciałam panu za to podziękować. Gdyby nie pan, mogłabym już nie żyć.

Uśmiecha się i potrząsa głową.

– Nie, Smoky. Nie sądzę. Cieszę się, że twoim zdaniem ci pomogłem, ale fakt faktem: jesteś jedną z tych osób, które chcą przetrwać bez względu na wszystko. Moim zdaniem, gdyby przyszło co do czego, nie zabiłabyś się.

Może. A może nie, myślę.

– I co teraz? Chcesz mi powiedzieć, że już mnie więcej nie

potrzebujesz? – To szczerze pytanie. Nie sędzę, żeby doktor Hillstead wiedział, jak brzmi właściwa odpowiedź.

– Nie. Tego nie powiedziałam. – Uśmiecham się. – To zabawne. Gdyby rok temu zasugerowałby mi pan wizytę u psychoterapeuty, zapewne skomentowałabym to w nieprzyjemny sposób i poczuła się lepsza od ludzi, którzy potrzebują tego typu pomocy. – Potrząsam głową. – Teraz to się zmieniło. Nadal czeka mnie jeszcze długa droga. Śmierć mojej przyjaciółki... – Spoglądam na niego. – Wie pan, że jej córka ze mną mieszka?

Kiwa głową poważnie.

– Callie opowiedziała mi, co się wydarzyło. Cieszę się, że zabrałaś ze sobą tę dziewczynkę. Prawdopodobnie czuje się w tej chwili bardzo osamotniona.

– Nie odzywa się, tylko kiwa głową. Zeszłej nocy krzyczała we śnie.

Doktor Hillstead krzywi się boleśnie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie umiałby się cieszyć cierpieniem dziecka.

– Podejrzewam, że proces zdrowienia będzie w jej przypadku bardzo długi, Smoky. Może nie wymówić ani słowa przez całe lata. W tej chwili najlepsze jest dokładnie to, co robisz: bycie przy niej. Nie staraj się podejmować rozmowy na temat tego, co się wydarzyło. To dziecko nie jest jeszcze gotowe na taką konwersację. Pewnie nie będzie jeszcze przez długie miesiące.

– Naprawdę? – Patrzę na niego ponuro. Jego oczy są pełne dobroci.

– Tak. Posłuchaj, to dziecko potrzebuje przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa i twojej obecności. Musi wiedzieć, że życie toczy się dalej. Jej wiara w podstawowe prawdy dziecka: obecność rodziców w jej życiu, bezpieczeństwo własnego domu, została zburzona w bardzo osobisty, wręcz potworny sposób. Minie trochę czasu, zanim uda się komukolwiek odbudować to zaufanie. – Przygląda mi się uważnie. – Powinnaś to wiedzieć.

Przełykam głośno i kiwam głową.

– Powiedziałbym: bądź cierpliwa. Obserwuj ją i bądź przy niej, wspieraj ją. Myślę, że gdy będzie gotowa na pierwszą rozmowę, dowiesz się tego. Kiedy przyjdzie na to czas... – Wydaje się wahać, ale tylko przez chwilę. – Kiedy przyjdzie na to czas, daj mi znać. Z przyjemnością polecę specjalistę dla niej.

– Dzięki. – Przychodzi mi do głowy coś jeszcze. – A co ze szkołą?

– Powinnaś z tym poczekać. Podstawową sprawą jest jej zdrowie psychiczne. – Krzywi się. – Trudno powiedzieć, co się wydarzy na tym froncie. Słyszałaś ten jakże prawdziwy frazes: dzieci są niezwykle odporne. Może wkrótce się jej poprawi i będzie gotowa na skomplikowane interakcje, jakie zapewnia środowisko szkolne. – Wzrusza ramionami. – A może będzie wymagała edukacji domowej aż do matury. To jednak moim zdaniem najmniejsze z twoich zmartwień. Prawda jest taka, że musisz zrobić coś, żeby wyzdrowiała. Jeżeli będę ci w stanie pomóc, zrobię to.

Ogarnia mnie swego rodzaju ulga. Mam wyznaczoną drogę i nie musiałam podejmować decyzji całkiem sama.

– Dziękuję. Naprawdę.

– A co z tobą? Jak podjęcie się opieki nad tą dziewczynką wpływa na twoją psychikę?

– Czuję się winna. Szczęśliwa. Czuję się winna, że jestem szczęśliwa. Jestem szczęśliwa, że czuję się winna.

– Dlaczego aż tyle sprzeczności? – pyta cicho.

Nie twierdzi, że sprzeczność sama w sobie jest zła. Chce wiedzieć *dłaczego*.

Pocieram dłonią czoło.

– Myślę, że pytanie „dlaczego nie?” byłoby prawdopodobnie bardziej na miejscu. Jestem przerażona. Tęsknię za Alexą. Boję się, że coś schrzanię. Do wyboru, do koloru.

Nachyla się ku mnie, skoncentrowany. Wychwycił coś i nie zamierza zostawić tego w spokoju.

– Uprość to, Smoky. Zdaję sobie sprawę, że jest wiele czynników, które wpływają na twoje uczucia, wiele powodów do przeróżnych emocji, ale sprowadź to do czegoś, co będziesz mogła nazwać.

I nagle, tak po prostu, zaczynam rozumieć.

– Chodzi o to, że ona jednocześnie *jest* i *nie jest* Alexą.

I to jest właśnie *to*, w całej swojej prostocie. Bonnie jest moją drugą szansą na bycie matką, na wychowanie Alexy, na wychowanie córki. Ale oczywiście nie jest Alexą, ponieważ Alexa nie żyje.

Nie każda prawda wydaje się z pozoru dobra. Niektóre fakty są bolesne, inne są zaledwie początkiem wspinaczki na strome wzgórze –

syzyfowej pracy. Ta konkretna sprawa, że czuję się pusta – niczym dzwon śpiewający na środku bezwietrznego pola.

Jeżeli uda mi się poradzić sobie z tą prawdą, wiem, że wszystko się zmieni. Tylko że będzie to bardzo ciężka robota, ogromnie bolesna.

– No tak – udaje mi się wykrztusić chropowatym głosem. Prostuję się w fotelu i odpycham od siebie ból. – Dobra, nie mam teraz na to czasu. – Brzmi to może zbyt obcesowo, ale trudno. Potrzebuję teraz gniewu, muszę być twarda.

Doktor Hillstead nie wydaje się urażony.

– Rozumiem. Tylko pamiętaj, żeby w którymś momencie go znaleźć.

Kiwam głową.

Uśmiecha się.

– W takim razie, wracając do mojego początkowego pytania: co zamierzasz teraz zrobić?

– Teraz – gdy wypowiadam pierwsze słowo, w moje serce i głos wkrada się chłód – zamierzam wrócić do pracy i znaleźć człowieka, który zabił Annie.

Doktor Hillstead przygląda mi się uważnie przez długi, długi czas. Jego spojrzenie przeszywa mnie niczym wiązka lasera, ocenia, decyduje, czy powinien się zgodzić z moją decyzją. Jego ostateczny wniosek staje się bardzo jasny, kiedy sięga do szuflady biurka i wyciąga z niej mojego glocka, nadal zamkniętego w torbie dowodowej.

– Podejrzywałem, że usłyszę od ciebie coś takiego, więc miałem go przygotowanego. – Przechyliła głowę. – To z tego powodu mnie odwiedziłaś, prawda?

– Nie – uśmiecham się – ale to jeden z nich. – Chwytam pistolet i wkładam do torebki. Wstaję i ściskam dłoń doktora Hillsteada. – Poza tym chciałam jeszcze, żeby zobaczył mnie pan w lepszym stanie.

Przytrzymuje moją dłoń nieco dłużej, niż by wypadało. Czuję dobroć tego człowieka, widzę ją w jego oczach.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jeśli będziesz potrzebowała z kimś porozmawiać. W każdej chwili.

O dziwo, w moich oczach pojawiają się łzy. Myślałam, że już z tym skończyłam. Może to i dobrze? Nigdy nie chciałam pozostać niewzruszona wobec życzliwości – czy to ze strony obcych, czy przyjaciół.

– To jest budynek, w którym pracuję, kochanie.

Bonnie trzyma mnie za rękę i spogląda na mnie pytająco.

– Tak, zamierzam wrócić do pracy. Muszę o tym najpierw powiedzieć mojemu szefowi.

Mała ściska moją dłoń. Wydaje się aprobować moją decyzję.

Pierwszym przystankiem są kwatery węzła koordynacyjnego NCAVC. Kiedy wchodzimy do środka, są tam tylko Callie i James.

– Hej – mówi Callie niepewnie. James patrzy na mnie w milczeniu.

– Callie, muszę się spotkać z zastępcą dyrektora Jonesem. Możesz popilnować Bonnie? Nie będę u niego długo.

Callie przygląda mi się uważnie przez chwilę, a potem zerka na Bonnie i uśmiecha się.

– Co ty na to, kochaneczko? Zostaniesz ze mną?

Bonnie ocenia ją w milczeniu, co Callie znosi z czułą łagodnością. Wreszcie mała kiwa głową, uwalnia moją dłoń i zamiast tego chwyta za rękę Callie.

– Zaraz wracam. – Wychodzę, wiedząc, że Callie i James zastanawiają się, co jest grane. Nie szkodzi. Dowiedzą się wkrótce.

Wspinam się na ostatnie piętro, gdzie znajduje się gabinet Jonesa. Jego recepcjonistka, Shirley, wita mnie profesjonalnym uśmiechem.

– Cześć, Smoky.

– Cześć, Shirley. Zastępca dyrektora u siebie?

– Niech sprawdzę. – Podnosi słuchawkę i wciska interkom. Doskonale wie, że Jones jest w gabinecie. Miała na myśli sprawdzenie, czy zechce się ze mną zobaczyć. Nie biorę tego do siebie. Myślę, że Shirley zachowałaby się dokładnie tak samo nawet wobec samego prezydenta

Stanów Zjednoczonych. – Sir? Agentka Barrett czeka w recepcji. Aha, aha. Tak. – Odkłada słuchawkę. – Możesz wejść.

Kiedy ruszam w kierunku drzwi gabinetu, łapie mnie za rękaw i uśmiecha się z lekka łobuzersko.

– Witaj w domu. Och, proszę, nie udawaj zaskoczenia. Byle głupek domyśliłby się, o co chodzi. Dobrze wyglądasz, Smoky. Naprawdę dobrze.

– Powinnaś pracować dla mnie, Shirley. Jesteś bardzo bystra.

– O nie, dziękuję. – Chichocze. – To byłoby zbyt nudne. Obecne zajęcie jest dużo bardziej niebezpieczne.

Szczerzę zęby w uśmiechu i wchodzę do gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Zastępca dyrektora Jones siedzi za biurkiem. Lustruje mnie uważnie i chyba zauważa coś, co mu się podoba, ponieważ kiwa z zadowoleniem głową.

– Siadaj. – Odchyła się w fotelu. – Jakies dziesięć minut temu zadzwonił do mnie doktor Hillstead. Dał ci oficjalne pozwolenie na powrót do służby czynnej. O tym chciałaś ze mną porozmawiać?

– Tak. Jestem gotowa do pracy. Mam jednak warunek: chcę prowadzić sprawę Annie.

Potrząsa głową.

– Nie wiem, Smoky. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Wzruszam ramionami.

– W takim razie rezygnuję. Pójdę do sektora prywatnego i odszukam morderców w ten sposób.

Jones wygląda, jakby z wysiłkiem powstrzymywał się przed rozdziawieniem ust. Jest zdecydowanie wkurzony – na poziomie wulkanu albo bomby wodorowej.

– Stawiasz mi ultimatum?

– Tak, sir.

Wpatruje się we mnie z wściekłością i zaskoczeniem walczącymi w jego wzroku o dominację. Obie emocje jednak nagle znikają. Jones potrząsa głową i jeden kącik jego ust unosi się nieznacznie w górę w nikłym uśmiechu.

– Twarda z ciebie zawodniczka, Barrett. W porządku. Wracasz do pracy i to twoje dochodzenie. Informuj mnie na bieżąco.

To wszystko. Odsyła mnie, każe mi wracać do roboty. Wstaję z zamiarem wyjścia.

– Smoky?

Odwracam się i spoglądam na niego.

– Dorwij tych skurwieli.

W Centrali Śmierci czekają na mnie Callie i James. Wiedzą, że coś się dzieje. Zdaję sobie sprawę, że to krytyczny moment dla nich i dla całego zespołu – chwila, w której życie może się na zawsze zmienić. Powinnam im powiedzieć wszystko zaraz po przybyciu tutaj, ale nie byłam pewna, nie na sto procent, że Jones pozwoli mi prowadzić sprawę Annie. A naprawdę byłam gotowa odejść, gdyby się nie zgodził.

– Podrzucę Bonnie do Elainy, Callie.

Callie unosi brwi pytająco. James obserwuje mnie badawczo.

– Dotrzymałam słowa. Wróciłam.

Kiwa głową, tylko raz. Nie zadaje zbędnych pytań. Na twarzy Callie maluje się ulga i radość. Cieszę się z tego widoku, ale jednocześnie mnie on smuci. Zastanawiam się, czy Callie uważa, że wszystko wróci do normy, tak jak przedtem, jak za starych dobrych czasów. Ja osobiście mam nadzieję, że nie. Owszem, wszystko znowu zacznie się dobrze układać. Praca z moim zespołem będzie satysfakcjonująca, jak zwykle.

Ale myślę, że staliśmy się starsi, twardsi. Niczym niezwyciężona drużyna, która wreszcie przegrała pierwszy pojedynek, zrozumieliśmy, że nie jesteśmy kuloodporni i też możemy cierpieć. A nawet umrzeć.

Ja sama również bardzo się zmieniłam. Czy reszta zespołu to zauważy? A jeśli tak, czy będą z tego powodu szczęśliwi, czy nie? Powiedziałam prawdę doktorowi Hillsteadowi: skończyłam z odgrywaniem ofiary, ale to nie oznacza, że jestem tą samą Smoky Barrett, którą byłam przedtem.

Doznałam tego olśnienia na strzelnicy – zupełnie jakbym usłyszała głos Boga, w którego notabene nie wierzę. Zrozumiałam, że już nigdy nikogo nie pokocham. Matt był miłością mojego życia, a teraz odszedł. Nikt nigdy go nie zastąpi. To nie żaden fatalizm ani przejaw depresji. To pewność, która przyniosła mi swego rodzaju ukojenie. Będę kochała Bonnie. Będę kochała moją drużynę.

Poza tym jedyną miłością mojego życia, definiującą całą resztę mojej egzystencji, będzie polowanie.

Trzymałam glocka w dłoniach i właśnie wtedy, dokładnie w tamtym momencie zrozumiałam, że nie jestem ofiarą. Już nie. Zamiast tego

stałam się bronią.

Na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Spoglądam na Bonnie przed wyjściem z samochodu.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

Patrzy na mnie tym swoim przedwcześnie dojrzałym wzrokiem. Kiwa głową.

– To dobrze. – Mierzwię jej włosy. – Elaina jest moją bardzo, bardzo dobrą przyjaciółką i żoną Alana. Pamiętasz Alana? Poznałaś go w samolocie.

Kiwnięcie głową.

– Myślę, że polubisz Elaineę, ale jeśli uznasz, że nie chcesz tu być, po prostu daj mi znać i wymyślimy coś innego.

Zadzierą głowę i przygląda mi się. Zdaje się rozważać prawdę moich słów. Uśmiecha się i kiwa głową.

– To świetnie. – Promienieję.

Zerkam w lusterko wsteczne. Keenan i Shantz siedzą w samochodzie zaparkowanym przed domem, zawsze obecni. Wiedzą, że zamierzam zostawić Bonnie u Elaine, więc będą pilnować jej posesji. Dzięki temu czuję się prawie komfortowo. Prawie.

– Chodźmy, skarbie.

Wysiadamy i podchodzimy do drzwi wejściowych. Naciskamy dzwonek i po chwili otwiera nam Alan. Wygląda dużo lepiej niż w samolocie, chociaż nadal jest zmęczony.

– Hej, Smoky. Hej, Bonnie.

Mała spogląda na niego badawczo, zagląda mu w oczy. Łagodny olbrzym – istne wcielenie cierpliwości – znosi to ze spokojem. Wreszcie uśmiecha się do niego, co w jej przypadku jest równoznaczne z uniesieniem kciuka w górę.

Alan odpowiada jej uśmiechem.

– Wejdźcie. Elaina jest w kuchni.

Już wewnątrz widzimy głowę Elainy wychylającą się zza rogu. Jej oczy rozświetlają się na mój widok i serce ściska mi się ze wzruszenia. To właśnie cała Elaina – promienieje dobrocią.

– Smoky! – wykrzykuje, podbiegając do mnie. Pozwalam się jej objąć i sama mocno ją przytulam.

Odsuwa się na odległość ramion i przyglądamy się sobie. Elaina nie jest tak niska jak ja, ale przy wzroście stu pięćdziesięciu siedmiu centymetrów i tak jest krasnałem w porównaniu z Alanem. Jest również niesamowicie piękna, chociaż nie w sposób, który oszałamia człowieka, tak jak w przypadku Callie. Uroda Elainy jest połączeniem cech fizycznych i osobowości. To jedna z tych kobiet, których dobroć i wnikliwość rzeźbią jej całą prezencję, sprawiając, że człowiek pragnie przebywać w jej pobliżu. Alan podsumował to kiedyś jednym zdaniem: „Elaina jest Matką”.

– Hej, jak się masz? – pytam z uśmiechem.

W jej wzroku pojawia się jakiś cień, ale szybko znika. Całuje mnie w policzek.

– W tej chwili dużo lepiej, Smoky. Tęskniliśmy za tobą.

– Ja też – mówię. – To znaczy ja też stęskniłam się za wami.

Elaina patrzy na mnie uważnie i kiwa głową.

– Dużo lepiej – stwierdza. Wiem, że ma na myśli mnie samą. Spogląda na Bonnie i przykuca, zrównując się z nią. – A ty pewnie jesteś Bonnie, prawda?

Bonnie przypatruje się Elainie i jest to chwila zawieszona w czasie. Elaina czeka cierpliwie, promieniując miłością w ten milczący, podświadomy, tak typowy dla niej sposób. To żywioł, moc, którą posiadają ludzie tacy jak ona. Coś, co potrafi pokonać mury, którymi ból otacza serce. Bonnie zastyga. Cała drży, a jej twarz dziwnie się kurczy i drga. Dopiero po dłuższej chwili zaczynam rozumieć, co się dzieje, i uderza mnie to niczym piorun. To cierpienie i tęsknota, głęboka, mroczna i smutna. Miłość Elainy jest potężną siłą – pierwotnym żywiołem. Nie można się jej przeciwstawić. Miłość Elainy nie bierze jeńców. Wbiła się głęboko w serce Bonnie niczym nóż słonecznego blasku, obnażając ukryty ból. Wszystko w jednej chwili. Tak po prostu.

Obserwuję Bonnie, która przegrywa wewnętrzną walkę. Widzę, jak krzywi się wbrew sobie, i śledzę ciche łzy, które zaczynają jej spływać po policzkach.

Elaina wyciąga ramiona i Bonnie chowa się w nich. Elaina przytula ją mocno, gładzi ją po włosach i pociesza mieszaniną hiszpańskiego i angielskiego, którą tak dobrze pamiętam.

Jestem całkiem zaskoczona. W gardle nagle wyrasta mi wielka gęła, a do oczu napływają łzy. Powstrzymuję je z wysiłkiem. Spoglądam na Alana, który również zmaga się z nadmiarem wzruszeń. Powody są te same dla nas obojga. Nie chodzi tylko o cierpienie Bonnie. Chodzi o życzliwość Elainy i natychmiastowe zrozumienie małej zranionej dziewczynki, że ramiona tej kobiety są bezpiecznym miejscem schronienia.

To właśnie Elaina. Jest Matką.

Ta jedna chwila zdaje się trwać wiecznie.

Bonnie odsuwa się wreszcie i ociera twarz z łez.

– Już lepiej? – pyta Elaina.

Bonnie patrzy na nią i w odpowiedzi obdarza ją zmęczonym uśmiechem. Widać, że jest wyczerpana. Wyplakała przed chwilą kawałek swojej duszy.

Elaina gładzi ją po policzku.

– Chce ci się spać, słoneczko?

Bonnie kiwa głową i mruga oczami. Zasypia na stojąco. Elaina bez słowa bierze ją w ramiona. Bonnie opiera głowę na jej piersi i tak po prostu odpływa w sen.

To coś magicznego. Elaina wyssała z małej ból i wreszcie Bonnie mogła zasnąć spokojnie. Ja też po wizycie Elainy w szpitalu spałam jak dziecko. To była moja pierwsza przespana noc od wieków.

Widok Bonnie, ufnej, śpiącej w ramionach Elainy, niemile mnie zaskakuje. Nienawidzę tej swojej zaborczości, ale nie potrafię pozbyć się obaw. Co, jeśli Bonnie zbliży się do tej cudownej kobiety i ją także stracę? Sama myśl o tym przeraża mnie w najbardziej matczyzny sposób na świecie.

Elaina mruży oczy, przyglądając mi się uważnie, a potem uśmiecha się.

– Nigdzie się nie wybieram, Smoky. – Jak zwykle pełna współczucia.

Czuję się zawstydzona, ale ona tylko uśmiecha się i zmieszanie nagle mija. – Myślę, że sobie tutaj poradzimy, a wy dwoje możecie wracać do pracy.

– Dzięki – mamroczę, nadal zmagając się z gulą w gardle.

– Jeśli chcesz mi naprawdę podziękować, przyjdź dzisiaj wieczorem na obiad, Smoky. – Podchodzi do mnie i dotyka mojej twarzy, po stronie z bliznami. – Lepiej – mówi. – Zdecydowanie lepiej – powtarza mocnym głosem.

Całuje Alana i odchodzi, unosząc ze sobą tę swoją pierwotną miłość i dobroć. Elaina zmienia wszystko, czego dotyka, po prostu będąc sobą.

Wychodzimy z Alanem z domu i zatrzymujemy się na chwilę na ganku. Jestem wzruszona, otepiała i rozedrgana.

Alan przerywa ciszę uczynkiem, nie słowami. Unosi swoje ogromne dłonie i ukrywa w nich twarz w nagłym, rozpaczliwym geście. Jego łzy są ciche, podobnie jak łzy Bonnie – i równie bolesne, gdy się na nie patrzy. Łagodny olbrzym cały się trzęsie. Wiem, że to przede wszystkim łzy strachu. Rozumiem to. Bycie mężem Elainy to jak bycie mężem słońca. Alan boi się ją stracić. Boi się życia w ciemności, już do końca świata. Mogłabym mu powiedzieć, że życie toczy się dalej i takie tam frazesy.

Ale dobrze wiem, jak to jest.

Dlatego tylko kładę dłoń na jego ramieniu i pozwalam mu płakać. Nie jestem Elainą, lecz wiem, że Alan nigdy nie okaże jej swojego bólu i zmartwienia jej sytuacją. Robię więc, co mogę. Z doświadczenia wiem, że chociaż to nie wystarczy, i tak jest lepsze niż nic.

Wkrótce burza mija, niemal tak szybko, jak nadeszła.

Oczy Alana szybko wysychają, co wcale mnie nie dziwi. Tacy właśnie jesteśmy, myślę ze smutkiem.

Może czasem chcielibyśmy się załamać, ale nigdy nie posuwamy się tak daleko.

Wszyscy są wyraźnie wyczerpani. Wyglądają jak ludzie, którzy spieszyli się przed wyjściem do pracy: włosy uczesane, ale niedbale; ogoleni, ale niezbyt gładko. Oczywiście nie dotyczy to Callie – ona zawsze jest piękna i wygląda nieskazitelnie.

– Jak się czuje Bonnie? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Trudno powiedzieć. W tej chwili wszystko wydaje się okej, ale... –
Znów wzruszam ramionami.

Nikt nie komentuje. Bonnie może z tego wyjść albo i nie. Od którejkolwiek strony do tego podejść, i tak będzie do dupy.

Słyszymy głośnie *bim-bam*.

– Co to jest, do cholery? – pytam zaskoczona.

– To zawiadomienie o nowym e-mailu, kochaneczko – wyjaśnia Callie.

– Mam program, który sprawdza moją pocztę automatycznie co pół godziny i informuje mnie o nowych wiadomościach.

Spoglądam na Callie skonsternowana.

– Naprawdę? – Wydaje mi się to dość dziwaczne. Wszyscy jednak chyba rozumieją i tolerują tę sytuację. Mam wrażenie, że właśnie zaprezentowałam się wszystkim jako osoba zapóźniona technologicznie.

Callie podchodzi do laptopa na swoim biurku i klika w klawiaturę. Marszczy brwi i spogląda na mnie.

– Dostałam e-mail od psychologa – mówi.

Uczucie bezwładu panujące w biurze błyskawicznie znika. Zelektryzowani, tłoczmy się wokół komputera Callie. Na ekranie widać otwartą skrzynkę pocztową z najnowszym e-mailem na samej górze listy wiadomości. List jest zatytułowany: *Wiadomość z piekła*, a nadawcą jest

Wiesz kto. Callie klika dwa razy, żeby otworzyć ją w osobnym oknie, które wypełnia ekran.

Witam, agentko Thorne! I oczywiście agentko Barrett – bo jestem pewien, że czytacie ten e-mail razem.

Zapewne wróciliście już wszyscy do swojego gniazda i niewątpliwie planujecie pościg za mną. Muszę przyznać, że czuję się podekscytowany przyszłością. Polowanie się rozpoczęło i nie mógłbym prosić o lepszy zestaw przeciwników.

Mam do Ciebie specyficzną prośbę, agentko Thorne, ale zanim przejdziemy do tematu, pozwól sobie na dygresję. Ufam, że mi to wybaczysz.

Jestem pewien, że wszyscy zastanawiacie się, dlaczego prowokuję Was tak wprost. Być może macie do pomocy zastęp kryminologów, którzy specjalizują się w profilowaniu psychologicznym przestępców. Może analizują właśnie kierujące mną motywy, usiłując zrozumieć znaczenie moich kroków.

– Jeszcze czego – mruczy Callie.

Nie jest to z jej strony czczy komentarz. Mordercy odsłaniają przed nami coś bardzo istotnego – coś, co ich napędza. Myśl o tym, że zainwestowaliśmy czas i środki, by ich zrozumieć, schlebia ich próżności. Podnieca ich.

Odpowiedź jednak nie jest skomplikowana, podobnie jak ja sam. Moje powody nie są tajemnicą, nie skrywają się w mrocznych głębiach. Wręcz przeciwnie – lśnią chłodną prostotą skalpela. Są sterylne i bardzo przejrzyste.

Rzuciłem Wam wyzwanie, ponieważ zasługujecie na mnie. Ścigacie myśliwych i jestem pewien, że wiele lat spędziliście na poklepywaniu się po plecach, wzajemnych gratulacjach z powodu Waszych umiejętności, dzięki którym ci, co zabijają, trafiają do klatek, na które – w Waszym mniemaniu – zasługują.

Dlatego właśnie Wy zasługujecie na mnie. Bo jeśli ci, których już doścignęliście, są cieniami, ja jestem ciemnością. Oni są szakalami, ja – lwem. Sądzicie, że jesteście uzdolnieni? W takim razie ruszajcie w pościg za mną, agenci. Ruszajcie na polowanie.

Pragnę godnych przeciwników, agentko Barrett. Przeczytaj uważnie listy ode mnie. Złap w nozdrza mój zapach, woń czegoś śmiertelnie niebezpiecznego. W najbliższych dniach będziesz potrzebowała każdego skrawka informacji.

Naucz się żyć ze świadomością, że jesteś obiektem ataków. Nie rozumiesz jeszcze, co mam na myśli, ale wkrótce się dowiesz. Naucz się tego na pamięć, niech Ci to wejdzie w krew. A potem wykorzystaj to jako motywację do ścigania mnie. Bo ja mogę Ci obiecać, że tak długo, jak pozwolisz mi na okaleczanie i niszczenie, Twoje życie będzie zagrożone.

Przeszywa mnie mimowolny dreszcz.

A teraz wróćmy do Ciebie, agentko Thorne. Zindywidualizujemy nieco sprawę, dobrze? Chociaż to agentce Barrett rzucam wyzwanie do bezpośredniego starcia, zdaję sobie sprawę, że jakkolwiek atak na nią jest jednocześnie atakiem na Was wszystkich. Ponieważ zaś mamy cały dzień, zanim moja przesyłka dotrze w Wasze gorliwe ręce, wykorzystajmy ten czas mądrze.

Agentka Barrett straciła swoją najlepszą przyjaciółkę. Zobaczmy, czy możemy sprawić, że każdy z Was straci coś równie ważnego.

W mojej głowie odzywają się dzwonki alarmowe. Nie znam jeszcze mojego obecnego celu tak dobrze jak innych zabójców, których ścigałam. Moje kości jeszcze nim nie przesiąkły, ale jestem pewna jednej rzeczy, która sprawia, że ostatnie zdanie całkowicie mnie zmroziło: ci mordercy nie blefują.

Poniżej znajduje się link do strony internetowej dla Ciebie, agentko Thorne. Zajrzyj tam i jeżeli będziesz wystarczająco wnikliwa, wszystko stanie się jasne. Myślę, że docenisz ironię.

Z piekła,
Kuba Jr.

Pod tekstem znajduje się link wbudowany w polecenie „*Kliknij tutaj*”.

– I co robimy? – pyta Callie.

– Klikaj. – Kiwam głową.

Callie wypełnia polecenie i na ekranie wyskakuje okno przeglądarki. Czekamy, aż załaduje się strona, z którą łączy się serwer. Tło jest białe. W pewnym momencie pojawia się czerwone logo głoszące *CZERWONA RÓŻA*. Pod spodem, mniejszymi literami jest napisane: *AMATORKA Z NATURALNIE RUDYMI WŁOSAMI*.

Wreszcie pojawia się reszta grafiki i mrugam gwałtownie na jej widok. Alan marszczy brwi.

– Co jest, do diabła?... Czy to...?

Zdjęcie na ekranie przedstawia wysoką, rudowłosą piękność w wieku około dwudziestu lat, ubraną wyłącznie w czerwone stringi. Dziewczyna wpatruje się prosto w kamerę, uśmiechając się przy tym uwodzicielsko. Widzimy więc wyraźnie jej twarz. Spoglądam na Callie. Jest biała jak kreda, bez kropli krwi, a oczy ma wypełnione bezbrzeżnym strachem.

– Callie? – W głosie Alana słyhać niepokój. Rusza w jej kierunku. Callie zaczyna odsuwać się od komputera, aż wreszcie wpada na ścianę. Przytyka do ust dłoń zaciśniętą w pięść. Jej oczy są wielkie jak spodki. Cała dygocze. Alan wyciąga do niej rękę.

I wtedy Callie wybucha – zupełnie jakby w środku pogodnego dnia nagle zerwała się wichura. Strach znika z jej oczu, zastąpiony gniewem tak intensywnym, że nieświadomie kulę się w sobie. Callie patrzy na Leo z grymasem wściekłości. Chłopak odskakuje, wyraźnie przerażony. Kiedy przemawia, jej głos jest rykiem.

– *Znajdź jej pieprzony adres! Natychmiast! Szybko, szybko, szybko, szybko!*

Leo wpatruje się w Callie przez ułamek sekundy, po czym zabiera się do roboty, siadając przy najbliższym terminalu. Callie pochyła się nad biurkiem i chwyta jego brzeg tak mocno, że aż bieleją jej kostki. Powietrze w pokoju jest naelektryzowane. Mam wrażenie, że za chwilę zaczną sypać się iskry.

James postanawia stawić czoło gniewowi Callie.

– Callie – zaczyna cicho. – Kim ona jest?

Spogląda na niego, a w jej oczach lśnią błyskawice.

– To moja córka.

A potem krzyczy straszliwie i przewraca biurko. Laptop i pozostałe rzeczy na blacie fruną w powietrze.

Stoimy wstrząśnięci, z rozdziawionymi ustami – nie z powodu zniszczeń, ale z powodu tego, co usłyszeliśmy.

– *Ten gnój już nie żyje! Już, kurwa, nie żyje! Jest trupem, jest pierdolonym trupem!* – Patrzy na mnie. – *Słyszysz mnie, Smoky?* – niemal wyje z bólu.

Powraca wspomnienie chwili sprzed kilku miesięcy, kiedy mierzyłam z pistoletu w pierś Callie, strzelając do niej mimo pustego magazynka. Owszem, słyszę ją.

– Zdobądź ten adres, Leo. – Nie spuszczam wzroku z Callie. – I to szybko.

Siedzę po stronie pasażera w samochodzie Callie i modłę się, żebyśmy przeżyli drogę do hrabstwa Ventura. Callie prowadzi wóz szosą numer 101 niczym wariatka, prawie przekraczając barierę dźwięku. Mam tylko nadzieję, że pozostali są gdzieś za nami. Leo znalazł adres należący do zarejestrowanego właściciela domeny internetowej „Czerwona Róża” i Callie wybiegła z biura, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Mogłam jedynie pognać w ślad za nią.

Spoglądam na nią. Jest wcieleniem przerażenia i grozy.

– Mów do mnie, Callie. – Chwytam się mocniej oparcia wbudowanego w drzwi.

– Zajrzyj do mojego portfela – burczy. – Jest w torebce.

Wyjmuję jej portmonetkę i otwieram ją. Natychmiast domyślam się, co Callie chciała mi pokazać: małe czarno-białe zdjęcie dziecka, z rodzaju tych, jakie robią w szpitalach. Widnieje na nim noworodek, z zamkniętymi oczami i głową nadal nieco wydłużoną od przeciskania się przez kanał rodny.

– Miałam piętnaście lat – mówi Callie ze ściśniętym gardłem, wchodząc w ostry zakręt z piskiem opon. – Byłam głupią, naiwną nastolatką. Przespałam się z Billym Hamiltonem, ponieważ zdołał mnie oczarować i tak cudownie pachniał. Czy to nie zabawne, kochaneczko? – dodaje z goryczą. – To właśnie pamiętam, jeśli chodzi o Billy’ego. Cudownie pachniał. Jak słońce i deszcz wymieszane razem.

Nic nie mówię. Nie potrzeba żadnej odpowiedzi.

– Zaszłam z nim w ciążę i zrobił się z tego największy skandal w historii rodziny Thorne’ów. Hamiltonów zresztą też. Mój tata niemal mnie wydziedziczył. Mama poszła do kościoła i została tam na kilka dni.

Aborcja absolutnie nie wchodziła w rachubę. Byliśmy dobrą katolicką rodziną. – Jej słowa są ostre, pełne sarkazmu i bólu. – Wreszcie nasi ojcowie spotkali się i obmyślili plan. Tak to się właśnie odbywało w elitarnych regionach Connecticut. Billy miał przed sobą przyszłość. Ja też mogłam ją mieć, chociaż oczywiście teraz byłam już zbrukana. – Zaciska mocniej palce na kierownicy. – Postanowili, że skończę ten rok nauki w domu, po cichu urodzę dziecko, a potem odda się je do adopcji. Konieczność nauczania domowego wyjaśni się za pomocą zmyślonej historyjki, że przechodzę leczenie z powodu ciężkich alergii, co wymaga kilku miesięcy izolacji. Tak postanowili i dokładnie tak się stało. Zaplanowali to idealnie. Urodziłam dziecko w lecie i po wakacjach byłam gotowa na powrót do szkoły, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. I prawie tak było. Jakby nic się nie stało. – Kolejny ostry zakręt pokonany z piskiem opon. – Nie wolno mi było wychodzić z domu, a Billy’emu kazano trzymać gębę na kłódkę pod groźbą śmierci. – Wzrusza ramionami. – Nie był złym człowiekiem. Utrzymał tajemnicę do końca i już nigdy potem nie potraktował mnie niewłaściwie. Cała ta sprawa w pewien sposób... rozplynęła się w powietrzu. – Kiwa głową w kierunku zdjęcia spoczywającego w mojej dłoni. – Ale chociaż byłam naiwna i głupia, wiedziałam, że nie mogę udawać, iż to tylko sen. Jedna z położnych zrobiła zdjęcie mojej córce. Zmuszałam się do oglądania go przynajmniej raz w miesiącu. I podjęłam pewne decyzje. – Mówi ciszej, szczerze. Wyobrażam ją sobie, jak siedzi sama w pokoju, składając obietnicę w głębi duszy. – Postanowiłam już nigdy nie być naiwna i głupia. Skończyłam z katolicyzmem. Nigdy więcej nikt nie miał podejmować za mnie ważnych życiowych decyzji.

– Chryste, Callie... – Nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

Potrząsa szybko głową.

– Nigdy nie próbowałam jej odnaleźć, Smoky. Uważałam, że byłoby to nie w porządku. Owszem, wiedziałam, że została adoptowana. Uznałam jednak, że muszę jej pozwolić żyć własnym życiem. – Śmieje się boleśnie. Brzmi to niczym ostrze noża tnące metal. – Ale wygląda na to, że stare mądrości ludowe są prawdą, kochaneczko. Nigdy nie przestajesz być rodzicem, nawet jeżeli oddasz komuś swoje dziecko. Moja córka prowadzi internetową stronę pornograficzną i prawdopodobnie już nie żyje, dlatego że jestem jej mamą. Życie jest beznadziejne, nie sądzisz?

Trzęsą jej się ręce. Spoglądam jeszcze raz na fotografię. Callie – wygadana, obcesowa, lekceważąca, pełna niezachwianej pewności siebie. Ile razy w roku wyciągała to zdjęcie z portfela, patrzyła na nie i czuła smutek, jaki widziałam na jej twarzy wtedy, w Subwayu?

Wyglądam przez okno. Śmigają za nim mijane wzgórza i kolejne znaki zjazdów z autostrady. Jest przepiękny dzień, okraszony złotym blaskiem słońca na bezchmurnym, wręcz idealnym niebie. Taką właśnie jasność i pogodę wyobrażają sobie ludzie, słysząc słowo „Kalifornia”.

Chrzanić piękne niebo i słoneczny blask. Mam ochotę wrzasnąć, ponieważ rzeczywistość co rusz wbija we mnie szpile: Matt, Alexa, Annie, Elaina... a teraz Callie. Zamiast dać upust frustracji, staram się nadać moc moim słowom.

– Posłuchaj mnie, Callie. Twoja córka może nadal żyć. Mordercy chcieli się z tobą podroczyć.

Nie odpowiada. Spogląda tylko na mnie przez chwilę, a jej oczy są pełne rozpacz. Przyspiesza.

Dzięki temu, że Callie prowadziła samochód jak kierowca rajdowy, docieramy do Moorpark po około trzydziestu minutach od wyjazdu z biura. Jest to małe, lecz rozwijające się miasto w pobliżu Simi Valley i Thousand Oaks, zamieszkiwane przez mieszkankę średniej i wyższej warstwy mieszczaństwa. Znajdujemy się w samym środku przedmieścia. Podjeżdżamy pod dom – piętrowy, pomalowany na biało z niebieskim wykończeniem. Wszędzie jest cicho i spokojnie. Sąsiad z naprzeciwka kosi trawę. Banalność tego obrazka jest wręcz nierealna.

Callie wyskakuje z samochodu z bronią w pogotowiu – rudowłosa maszyna śmierci napędzana strachem.

– Kurwa – mamroczę i wysiadam, żeby za nią pobiec. To wszystko jest nie tak.

Spoglądam na ulicę z nadzieją, że dostrzegę samochód Alana lub Jamesa, ale wszędzie jest pusto i cicho. Podążam za Callie do drzwi białego domu. Sąsiad, który przycinał trawę, wyłączył kosiarkę i obserwuje nas zdumiony. Jego oczy są wielkie jak spodki.

Callie wali w drzwi bez wahania.

– FBI! – wrzeszczy. – Otwierać!

Odpowiada jej cisza, a później słyszymy odgłos zbliżających się kroków.

Zerkam na Callie. Jej oczy są szeroko rozwarte, nozdrza falują, a palce zaciskają się na broni jeszcze mocniej.

– Kto tam? – dobiega nas kobiecy głos.

– FBI. – Palec Callie spoczywa tuż przy dźwigni odbezpieczającej broń.

– Proszę otworzyć.

Wyobrażam sobie wahanie osoby po drugiej stronie. Czuję je. Potem klamka przekręca się, drzwi się otwierają i...

Patrzę na córkę Callie – żywą, lecz bardzo przestraszoną widokiem pistoletów w naszych dłoniach.

Kobieta trzyma na rękach dziecko.

Jesteśmy w środku. Callie siedzi w dużym pokoju, z twarzą ukrytą w dłoniach. Ja stoję w kuchni, rozmawiając przez komórkę z Alanem.

– Nic się nie stało. Tylko drażnił się z Callie.

– Jesteśmy z Jamesem jakieś dziesięć minut od was. Chcesz, żebyśmy przyjechali?

Spoglądam w stronę dużego pokoju, na Callie i jej córkę. Atmosfera w pomieszczeniu jest napięta, wypełniona strachem i wyczerpaniem po zastrzyku adrenaliny.

– Niiieeee... myślę, że im mniej tu będzie osób, tym lepiej. Wracajcie do biura. Zadzwońię do was.

– Rozumiem. – Rozłącza się.

Oddycham głęboko i wchodzę w sam środek emocjonalnego cyklonu. Córka Callie, Marilyn Gale, jest roztrzęsiona i wściekła. Spaceruje po pokoju, poklepując dziecko po plecach. Zatrzymuje się, rusza znowu i tak bez przerwy. Klepie dziecko po plecach bardziej dla własnego komfortu niż żeby uspokoić malucha.

Mój Boże, Marilyn wygląda jak Callie, chociaż sama jeszcze tego nie dostrzegła. Jest trochę niższa, nieco bardziej krągła i ma odrobinę łagodniejsze rysy, ale jej rude włosy są bardzo charakterystyczne, a poza tym jej twarz i figura mają te same cechy i odznaczają się pięknem typowym dla modelki. Tylko oczy są inne – domyślam się, że to prezent od Billy’ego Hamiltona. Najbardziej upodabnia ją do Callie jej gniew. Jest wkurzona, wręcz przesadnie, tak jak tylko można się zdenerwować, kiedy ktoś cię nagle przestraszy.

– Może w końcu dowiem się, o co tu chodzi? – mówi podniesionym, piskliwym tonem. – Dlaczego dwie agentki FBI pojawiają się przed

moim domem z bronią gotową do użycia?

Callie nie odpowiada. Nadal siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach. Wygląda na wyczerpaną.

Chyba to ja będę musiała porozmawiać z Marilyn.

– Może zechce pani usiąść, pani Gale? Wyjaśnię pani wszystko, ale najważniejsze, żeby spróbowała się pani uspokoić.

Kobieta zatrzymuje się i spogląda na mnie. Samo to sprawia, że niemal wierzę, iż genetyka rzeczywiście wpływa na osobowość. Widzę w jej oczach stalowe spojrzenie Callie.

– Dobrze, usiądę, ale niech mnie pani nie prosi o uspokojenie się.

Uśmiecham się do niej słabo. Marilyn siada. Callie nie zmienia pozycji.

– Jestem agentka specjalna Smoky Barrett, pani Gale, i...

– Panno, nie pani – przerywa. – Barrett? To panią zaatakował ten facet sześć miesięcy temu? To pani straciła rodzinę?

Kurczę się w sobie, lecz kiwam głową.

– Tak, proszę pani.

Ta informacja zdaje się w jakiś sposób ją uspokajać. Nadal nie jest zbyt szczęśliwa, ale teraz jej gniew jest podbarwiony współczuciem. Huragan powoli zamiera. Widać już tylko małe błyskawice na obrzeżu.

– Przykro mi – mówi. Wydaje się dopiero teraz zauważać moje blizny. Przygląda się im uważnie, ale bez obrzydzenia. Patrzy mi w oczy i dostrzegam w nich coś, co mnie zdumiewa. Nie litość, lecz szacunek.

– Dziękuję – odpowiadam. Oddycham głęboko. – Prowadzę oddział specjalny FBI w Los Angeles, który zajmuje się szczególnie okrutnymi zbrodniami. Seryjnymi morderstwami. Ścigamy mężczyznę, który zabił już jedną kobietę, a przynajmniej o niej jednej wiemy. Wysłał e-mail do agentki Thorne, sugerując, że pani może być jego kolejną ofiarą.

Marilyn blednie i przyciska dziecko do piersi.

– Co takiego? Ja? Dlaczego?

Callie podnosi głowę i prawie jej nie rozpoznaję. Jest wymizerowana na twarzy i bardzo blada.

– Bierze sobie na cel kobiety, które prowadzą własne strony pornograficzne w Internecie. Wysłał nam link do pani witryny.

Na twarzy Marilyn pojawia się zaskoczenie. Nie, to nie tylko zaskoczenie, ale przede wszystkim autentyczny i dogłębny szok.

– Słucham? Ale... ja *nie mam* żadnej witryny, a już na pewno strony

internetowej. Na litość boską! Jestem na studiach... to znaczy chwilowo na urlopie macierzyńskim. To drugi dom moich rodziców. Pozwolili mi tutaj zostać przez jakiś czas.

Milczenie. Callie wpatruje się w nią, oceniając konsternację kobiety. Zaczyna rozumieć, podobnie jak ja, że takiego zaskoczenia nie można udawać. Marilyn mówi prawdę.

Callie zamyka oczy i na jej twarzy pojawia się swego rodzaju ulga zmieszana z odrobiną smutku. Rozumiem ją. Cieszy się, że jej córka nie zajmuje się pornografią, ale teraz wie, że w takim razie istnieje tylko jeden powód, dla którego Rozpruwacz Junior zwrócił uwagę na Marilyn. To ulga, od której robi się miękko w nogach, połączona z rozdzierającym duszę poczuciem winy. Mój ulubiony smak.

– Jesteście pewne, że to o mnie mówił ten... ten człowiek?

– Tak, jesteśmy – odpowiada cicho Callie.

– Ale ja nie prowadzę żadnej strony pornograficznej!

– Ma inne powody. – Callie patrzy na nią. – Czy była pani adoptowana, panno Gale?

Marilyn marszczy czoło.

– Owszem, byłam. Dlaczego pani... – Przerywa, spoglądając na Callie – naprawdę spoglądając, po raz pierwszy od naszego przybycia. Jej oczy robią się okrągłe, rozdziawia usta i niemal słyszę, jak w myślach porównuje wszystkie charakterystyczne dla nich cechy. Dostrzegam w jej oczach nagle zrozumienie. – Ty... ty jesteś...

Callie uśmiecha się gorzko.

– Tak.

Marilyn siedzi nieruchomo, całkowicie wstrząśnięta. Na jej twarzy pojawia się cała tęcza emocji: zdumienie, zachwyt, żal, gniew. Żadna z nich nie zostaje na dłużej.

– Ja... ja nie wiem, co... – Wstaje nagle, przyciskając do piersi dziecko.

– Położę je spać. Zaraz wrócę. – Odwraca się i wchodzi na piętro.

Callie odchyła się na oparcie siedzenia i zamyka oczy. Wygląda, jakby potrzebowała zyliona lat snu.

– Dobrze poszło, kochaneczko.

Spoglądam na jej umęczoną, znękaną twarz. Co mam jej powiedzieć?

– Przynajmniej żyje, Callie.

Ta prosta prawda wydaje się do niej trafiać. To tak jak głęboka uwaga,

którą podzieliła się ze mną w szpitalu. Callie otwiera oczy i patrzy na mnie.

– Co za słoneczna optymistka z ciebie – mówi z uśmiechem. Wiem, że nadal jest zdenerwowana, ale zdaje mi się, że czuje się lepiej.

Słyszymy kroki na schodach i wkrótce w pokoju pojawia się Marilyn, która najwyraźniej zdołała się przez ten czas jako tako opanować. Wydaje się teraz ostrożna, zatroskana i chyba trochę zaintrygowana.

Zdumiewa mnie szybkość, z jaką udało się jej odzyskać równowagę, ale przypominam sobie, kto jest jej matką.

– Czy mogę zaproponować coś do picia? Wodę? Kawę?

– Kawę poproszę – mówię.

– Dla mnie wodę – odpowiada Callie. – Chwilowo nie potrzebuję kolejnej porcji stymulantów.

Marilyn uśmiecha się ledwo widocznie.

– Już przynoszę.

Znika w kuchni i wkrótce zjawia się z tacką. Wręcza mi kawę i wskazuje na śmietankę i cukier. Podaje Callie wodę i sama bierze kubek z kawą. Siada, podwijając nogi pod siebie. Trzyma kubek obiema dłońmi, przyglądając się uważnie Callie.

Teraz, gdy pierwszy szok minął, dostrzegam inteligencję w jej oczach. I siłę – chociaż nie taką samą jak siła Callie, nie aż tak brutalną. Pod tym względem Marilyn stanowi mieszankę Elainy i Callie. Mama i stal.

– Więc jesteś moją mamą – mówi, przechodząc prosto do sedna. Zupełnie jak Callie.

– Nie.

Marilyn marszczy brwi.

– Ale... Myślałam, że powiedziałaś...

Callie ucisza ją, unosząc dłoń.

– Twoja mama cię wychowała. Ja jestem kobietą, która cię oddała.

Krzywię się, słysząc w jej głosie ból i odrobinę nienawiści do samej siebie. Czoło Marilyn się wygładza.

– W porządku. Więc jesteś moją matką biologiczną.

– Przyznaję się do winy.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści osiem.

Marilyn kiwa głową, przeprowadzając obliczenia w pamięci.

– Więc miałaś piętnaście lat, kiedy mnie urodziłaś. – Upija łyk kawy. – To dość młody wiek.

Callie nie odpowiada. Marilyn spogląda na nią, ale w jej wzroku nie ma gniewu, jedynie zaciekawienie. Chciałabym, żeby Callie to dostrzegła.

– Opowiedz mi o tym.

Callie ucieka wzrokiem w bok. Upija trochę wody i spogląda z powrotem na Marilyn. Staram się siedzieć cicho, jakby mnie tu w ogóle nie było. To zabawne, myślę. Pojawiamy się tu z bronią gotową do strzału i historyjką o seryjnym mordercy, ale Marilyn najbardziej chce się dowiedzieć czegoś o swojej matce. Zdumiewa mnie to i zastanawiam się, czy mówi to coś dobrego, czy idiotycznego o nas jako istotach ludzkich.

Callie zaczyna opowiadać, najpierw powoli, potem się rozpędza. Przedstawia córce historię o czarującym Billym Hamiltonie i apodyktycznych Thorne'ach.

Marilyn słucha, nie przerywając. Popija tylko kawę. Po skończeniu historii milczy przez dłuższy czas. W końcu gwizdże cicho.

– Wow. To do dupy.

Uśmiecham się szeroko. Znow wyłazi z niej Callie – mistrzyni niedomówień.

Callie milczy. Wygląda jak ktoś, kto czeka na wyrok.

Marilyn macha niedbale dłonią.

– Ale to w gruncie rzeczy nie twoja wina – mówi. – Owszem, cała sytuacja była beznadziejna, lecz miałaś wtedy tylko piętnaście lat. Nie winię cię – stwierdza bardzo rzeczowo. Callie spogląda w dół na stolik kawowy.

Marilyn zagląda jej w oczy.

– Nie, naprawdę. Nie winię cię. Posłuchaj, adoptowali mnie cudowni ludzie. Kochają mnie, a ja ich. Miałam wspaniałe życie. Może to nasze spotkanie powinno być bardziej doniosłe... i jest, nie zrozum mnie źle... ale musisz wiedzieć, że nie spędziłam dwudziestu trzech lat, czując się zdradzona albo żywiąc do ciebie nienawiść. – Wzrusza ramionami. – Życie nigdy nie jest proste. Z tego, co widzę, miałaś znacznie gorzej niż ja. – Milknie na chwilę. – Myślałam czasem o tobie – mówi ostrożnie. – Zastanawiałam się. I muszę przyznać, że prawda jest lepsza niż to, co

sobie wyobrażałam. To swego rodzaju ulga.

– Co masz przez to na myśli? – pyta Callie.

Marilyn uśmiecha się szeroko.

– Mogłaś być narkomanką. Mogłaś mnie oddać, bo mnie nie cierpiałaś. Mogłaś nie żyć. Wierz mi, obecna sytuacja jest dużo łatwiejsza do przyjęcia.

Jej słowa mają niemal magiczny wpływ na Callie. Obserwuję, jak na jej policzki powraca kolor, a oczy znów zaczynają lśnić. Prostuje się nieco.

– Dziękuję, że to powiedziałaś. – Przerywa i wbija wzrok w swoje uda.

– I przepraszam. – Wydaje się tak zboląa, że aż mam ochotę ją przytulić.

Oczy Marilyn lśnią.

– Przestań się tym zadręczać – karci ją łagodnie. – Teraz przynajmniej wszystko ma sens.

– Co to znaczy? – Callie marszczy brwi.

– Cóż, spójrz na mnie. Zauważyłaś dziecko? I to, że jestem panną, a nie panią Gale?

Callie unosi brwi.

– Masz na myśli...

Marilyn kiwa głową.

– Owszem. Ja też miałam swojego Billy'ego Hamiltona. – Wzrusza ramionami. – Ale nic nie szkodzi. Jego już nie ma, a ja mam Stevena. To bardziej niż uczciwa wymiana. Moi rodzice nas wspierają i zamierzają pomóc mi skończyć studia. – Uśmiecha się. – Lubię moje życie. Jest naprawdę dobre. – Pochyla się i zagląda Callie w oczy. – Musisz zapamiętać, że to, co zrobiłaś, niczego nie zrujnowało, okej?

Callie wzdycha. Stuka palcami po udzie, rozgląda się po pokoju. Upija nieco wody. Rozważa to, co usłyszała.

– A niech to diabli. – Uśmiecha się. – To dziwne uczucie, kiedy ktoś tak łatwo ci odpuszcza. – Waha się przez chwilę i sięga po torebkę. – Chcesz coś zobaczyć? – Wyciąga fotografię dziecka, którą widziałam w samochodzie. Podaje ją córce.

Marilyn przygląda się zdjęciu uważnie.

– To ja?

– Zaraz po urodzeniu.

– Rany, ale byłam brzydka. – Spogląda na Callie. – Nosilaś to zdjęcie ze sobą od tamtej chwili?

– Zawsze.

Marilyn oddaje fotografię Callie. Patrzy na nią życzliwie, łagodnie.

– Kurczę, normalnie jak w jakimś programie telewizyjnym na żywo, nie? – mówi. Stuprocentowa Callie.

Zapada pełna zaskoczenia cisza, a potem wybuchamy gremialnym śmiechem.

Wszystko będzie dobrze.

Jesteśmy na górze, przy komputerze Marilyn. Oglądamy stronę Czerwonej Róży.

– Chciałabym, żeby to było moje zdjęcie – mówi. – Uwierzcie mi jednak, nie jest. – Uśmiecha się do Callie. – Moje cycki nie są takie duże, a poza tym mam rozstępy na brzuchu.

– To zwykły fotomontaż – odzywa się Callie. – Twoja twarz nałożona na ciało Panny Topless. – Przesuwa dłonią po włosach. – Zrobił to, żeby mnie rozdrażnić. Nawet zarejestrował domenę na ciebie. W ten sposób zdobyliśmy twój adres... doprowadził mnie do ciebie.

Marilyn odwraca się od komputera.

– Czy coś mi grozi... Czy coś grozi Stevenowi?

Callie nie odpowiada od razu. Rozważa słowa.

– To możliwe. Nie jestem pewna. Nie pasujesz do jego profilu, ale...

– Seryjni mordercy są nieprzewidywalni.

– Tak.

Marilyn kiwa głową, zamyślona. Dziwię się, że nie jest bardziej wystraszona.

– To niemal wystarczający powód do zmiany mojego przedmiotu kierunkowego.

– Jaki jest twój przedmiot kierunkowy? – pyta Callie.

– Kryminologia.

Callie rozdziawia usta. Ja też.

– Żartujesz!

– Nie. Dziwne, co nie? – Uśmiecha się krzywo. – Zbieg okoliczności? – pyta półgłosem. – Nie sądzę!

Callie uśmiecha się lekko.

– „Rzeczywiście, dziwne dni”.

– „Najbardziej osobliwe, mamo!” – wtrąca żartobliwie Marilyn, nie przepuszczając aluzji do tekstu piosenki Johna Lennona^[18]. Obie wybuchają śmiechem.

– Nie będę ryzykować. – Callie poważnieje. – Załatwię ci ochronę policyjną, dopóki nie zamkniemy śledztwa.

Marilyn kiwa głową, akceptując to. Jest matką i nie zamierza odrzucić tej oferty.

– Sądysz, że się wam uda?

Callie obdarza ją ponurym uśmiechem, wypełnionym wszelkiego rodzaju obietnicami dla Kuby Juniora.

– Jesteśmy dobrzy, Marilyn. – Wskazuje na mnie. – A ona jest najlepsza. Bez wyjątku.

Marilyn spogląda na mnie, wpatrując się w moje blizny.

– Czy to prawda, agentko Barrett?

– Dorwiemy go – mówię. Postanawiam pozostawić sprawę na tym. Pewność siebie bez dodatku własnych wątpliwości. – Zazwyczaj się nam udaje. Ci ludzie niemal zawsze się podkładają. On też się potknie i dzięki temu go złapiemy.

Marilyn przenosi wzrok z Callie na mnie. Wydaje się akceptować moją odpowiedź.

– Co teraz? – pyta.

– Teraz agentka Thorne zadzwoni na lokalną komendę policji i zorganizuje dwudziestoczterogodzinny patrol przy twoim domu – odpowiadam. – Ja skontaktuję się z resztą zespołu i opowiem im, co się wydarzyło. Pewnie wychodzą ze skóry, nie wiedząc, co jest grane.

Każda z nas wykonuje telefon. Ulga w głosie Alana jest niemal namacalna. Callie nie napotyka żadnych oporów w rozmowie z miejscową policją.

– Są w drodze – oznajmia.

Nie chcę tego mówić, ale muszę.

– Kiedy tu przyjadą, będziemy musiały zrobić to samo. Ruszyć w drogę. Callie waha się, a potem kiwa głową.

– Wiem. – Spogląda na Marilyn i przygryza dolną wargę. – Marilyn... czy mogę... – Śmieje się i potrząsa głową. – To wszystko jest takie surrealistyczne, takie dziwaczne, kochaneczko. Ale... czy możemy się

jeszcze kiedyś spotkać?

Marilyn uśmiecha się natychmiast.

– Oczywiście, że tak, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – pyta Callie.

– Powiesz mi, jak masz na imię. Nie mogę bez końca nazywać cię „agentką Thorne”.

Siedzimy w samochodzie. Callie jeszcze nie włączyła silnika. Patrzy na dom swojej córki. Nie potrafię rozszyfrować jej miny ani zgadnąć, o czym myśli. Zadaję więc oczywiste pytanie.

– Jak się czujesz?

Nadal wpatruje się w biały dom, a potem wreszcie spogląda na mnie. Jest zmęczona i pełna zadumy.

– Chyba... chyba dobrze, kochaneczko. Nie mówię ci tego, żebyś się nie martwiła. Poszło lepiej, niż mogłam sobie wyobrazić. Lepiej, niż mogłam mieć na to nadzieję. Ale przez to wszystko zaczynam się zastanawiać.

– Nad czym?

– Co oni mieli na myśli, mówiąc, że coś stracę. Powiedzieli, że każde z nas coś straci. Ale ja zareagowałam zawczasu. Sądzisz, że tak to sobie zaplanowali?

Zastanawiam się nad jej słowami.

– Nie – odpowiadam. – Nie sądzę. Myślę, że byli przekonani, iż Marilyn cię nie zaakceptuje. A poza tym zapewne uznali, że wszystko to zupełnie wytrąci cię z równowagi.

Callie ściąga usta.

– Nie jestem pewna. Z tym pierwszym się zgadzam, ale nie sądzę, aby spodziewali się, że w związku z tymi wydarzeniami nie będę się nadawała do pracy. Myślę, że zakładali coś wręcz przeciwnego. Zaczynam wyczuwać tę sprawę, kochaneczko. Nie chcą zostać złapani, ale chcą być ścigani. I pragną, żebyśmy dali z siebie wszystko. – Zerka na mnie groźnie. – I wiesz co? Podziałało. Nie przestanę, dopóki ich nie dorwiemy. I to właśnie było ich głównym celem w tej całej rozgrywce. Rozumiesz? Chcieli dać mi do zrozumienia, że Marilyn nigdy nie będzie bezpieczna, dopóki ich nie złapiemy.

To, co mówi, brzmi logicznie. Callie ma swoje chwile objawienia, głębokiego zrozumienia – podobnie jak ja. To jedna z cech, która

sprawia, że jest dobra w tym, co robi. Odpowiadam w jedyny sposób, jaki wydaje mi się w tym momencie sensowny.

– W takim razie dorwijmy ich.

[18] Chodzi o utwór pt. *Nobody Told Me* (przyp. tłum.).

Powrót zajmuje nam całą wieczność. Kiedy wyruszamy spod domu Marilyn, jest już wczesne popołudnie i początek godzin szczytu w południowej Kalifornii. Gdy przybywamy do biura, wszyscy zrywają się na równe nogi, spoglądając na nas z wyczekiwaniem.

– Nie pytajcie, kochaneczkowie. – Callie unosi dłoń. – W tej chwili nie ma o czym opowiadać.

Dzwoni jej telefon. Odwraca się, żeby go odebrać.

Zasłona z powrotem się zasunęła. Odczuwam ulgę i widzę, że nie jestem w tym osamotniona. Każde z nas rzuciłoby się jej na pomoc bez wahania, ale widok bezradnej Callie jest bardzo niepokojący. Zastanawiam się, czy to właśnie nie z tego powodu znów się w sobie zamknęła. Nie dla siebie, lecz dla nas.

Alan przerywa milczenie.

– Zacząłem znowu przeglądać akta sprawy Annie – mówi. – Coś mnie niepokoi, ale jeszcze nie wiem, co dokładnie.

Kiwam głową, lecz jestem rozproszona. A może po prostu zmęczona? Spoglądam na zegarek i ze zdumieniem widzę, że jest już prawie wieczór.

Oczywiście limitacja naszego harmonogramu jest wyłącznie teoretyczna. Stawka w tej grze jest zbyt wysoka. Zawsze uważałam, że w strefie walki dzieje się bardzo podobnie: kiedy w powietrzu świszczą kule, człowiek odpowiada ogniem bez względu na porę dnia. A jeśli nadarza się okazja, żeby przypuścić szturm na wroga, atakuje się niezależnie od tego, czy jest czwarta nad ranem, czy czwarta po południu. Drugim podobieństwem jest to, że zawsze wykorzystuje się chwile ciszy, możliwość wypoczynku, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy

wróg uderzy znowu.

To jeden z takich momentów, podejmuję więc decyzję jak każdy dobry generał.

– Wszyscy mają teraz wrócić do domu – mówię. – Jutro możemy mieć zwariowany dzień. A raczej bardziej zwariowany niż dzisiaj. Powinniście wypocząć.

James podchodzi do mnie.

– Będę w pracy dopiero w porze lunchu – oznajmia cicho. – Jutro jest ten dzień.

Zajmuje mi chwilę, żeby zrozumieć, o czym mówi.

– Och! – krzywię się. – Przepraszam, James. Zapomniałam. Proszę, przekaz moje najlepsze życzenia mamie.

Odwraca się i wychodzi bez słowa.

– Ja też zapomniałam, kochaneczko – mruczy Callie. – Pewnie dlatego, że dzięki temu Damien zyskuje ludzkie oblicze.

– O czym zapomniałyście? – pyta Leo.

– Jutro przypada kolejna rocznica śmierci siostry Jamesa – wyjaśniam.

– Została zamordowana. Zawsze odwiedzają jej grób.

– Och – krzywi się Leo. – Kurwa mać! – Zaskakuje mnie żarliwa gwałtowność jego słów.

Leo macha ręką.

– Przepraszam. Po prostu... to całe gówno zaczyna mnie naprawdę brać.

– Witaj w klubie, kochaneczku – mówi Callie wcale nie obcesowo.

– No tak. – Oddycha głęboko i przeczesuje palcami włosy. – Do zobaczenia jutro.

Wychodzi, machając zdawkowo. Callie patrzy za nim w zamyśleniu.

– Pierwsze śledztwo jest zawsze trudne. A to już szczególnie.

– Wiem, ale nic mu nie będzie.

– Też tak sądzę, kochaneczko. Na początku nie byłam pewna, czy sobie poradzi, ale nasz mały Leo robi się coraz lepszy. – Spogląda na mnie. – Co zamierzasz robić dziś wieczorem?

– Przyjść do nas na obiad, ot co – burczy Alan, wpatrując się we mnie. – Elaina nalega.

– Nie wiem...

– Powinnaś pójść, Smoky. Dobrze ci to zrobi – oświadcza Callie i patrzy

na mnie znacząco. – Bonnie też. – Podchodzi do swojego biurka i chwytając torebkę. – Poza tym ja również zamierzam zrobić to samo.

– Idziesz na obiad do Alana?

– Nie, głupolu. Przed chwilą dzwoniła moja córka. – Milknie. – Dziwnie to brzmi, prawda? W każdym razie... jestem zaproszona na obiad do niej i mojego, brrrrr, wypłuj to słowo, wnuka.

– To cudownie, Callie! – Uśmiecham się do niej promiennie. – A może powinnam raczej powiedzieć „babciu”?

– Jeśli chcesz pozostać moją przyjaciółką, to lepiej nie – odpowiada lekko. Rusza w kierunku wyjścia, zatrzymuje się i spogląda na mnie jeszcze raz. – Idź na obiad. Zrób coś normalnego wraz z innymi ludźmi.

– No więc? – pyta Alan. – Przychodzisz, czy będę miał przez ciebie przerąbane u Elainy?

– Och, na litość boską. W porządku.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Super. Do zobaczenia na miejscu.

Alan i Callie wychodzą i zostaję sama w biurze. Planuję zastosować się do porady Callie. Przekonał mnie tak naprawdę jej komentarz o Bonnie. Rzeczywiście, coś takiego dobrze by jej zrobiło. Na pewno będzie to lepsze niż powrót prosto do mojego – jak to powiedziała Bestia? – do *statku widma*, który nazywam domem.

Najpierw chcę jednak jeszcze trochę tu posiedzieć. Ostatnio wszystko zaczęło się dziać koszmarnie szybko – fizycznie, mentalnie i duchowo. Jestem jednocześnie pobudzona do działania i wyczerpana. Podsumowuję kilka ostatnich dni. Miałam myśli samobójcze, ale teraz chcę żyć. Straciłam najlepszą przyjaciółkę na świecie. Przeprosiłam się z jeszcze starszym przyjacielem – moim pistoletem. Nagle zyskałam niemą córkę, która może nigdy się z tego nie wygrzebać. Przypomniałam sobie, że zabiłam własne dziecko. Dowiedziałam się, że Callie ma nie tylko córkę, ale także wnuka. Odkryłam, że Elaina – kobieta, którą szczerze kocham – ma raka i może z tego nie wyjść. Zapoznałam się z przemysłem pornograficznym bardziej, niż kiedykolwiek bym tego pragnęła.

Tak. Kule rzeczywiście świstały mi nad uchem.

Chwilowo jednak ogień ustał i zapanowała cisza. Czas, żeby ją wykorzystać jak dobrego żołnierza. Wstaję i wychodzę z biura, zamykając

drzwi na klucz. Ruszam do windy.

W drodze na dół zdaję sobie sprawę, że moja cisza jest inna niż cisza przeciętnej osoby. To okazja do wypoczynku, oczywiście, ale jednocześnie jest pełna napięcia i wyczekiwania, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy znów rozpocznie się ostrzał.

Czy Kuba Junior i jego koleżka robią w tej chwili to samo? Odpoczywają przed kolejnym morderstwem?

Kiedy Alan otwiera drzwi, natychmiast robię się czujna. Wygląda na zdenerwowanego, wręcz wściekłego, jakby jednocześnie walczył ze łzami i chęcią zabicia kogoś.

– Ten *skurwysyn* – syczy.

– Co się stało? – Przeciskam się obok niego i wchodzę do środka zaniepokojona. – Wszystko dobrze z Elainą? A Bonnie?

– Nikomu nic się nie stało, ale ten fiut... – Przez chwilę stoi w milczeniu, zaciskając pięści. Gdyby nie był moim przyjacielem, przestraszyłabym się go. Szybko podchodzi do stolika w korytarzu, bierze stamtąd brązową urzędową kopertę rozmiaru A4 i wręcza mi ją.

Jest zaadresowana: *do Elainy Washington, R.I.P.*^[19]. Przeszywa mnie zimny dreszcz.

– Zajrzyj do środka – burczy Alan.

Otwieram kopertę. W środku znajduję wydrukowany list oraz kilka przypiętych do niego kartek. Spoglądam na nie i natychmiast pojmuję.

– Cholera, Alan...

– Jej pieprzona karta pacjenta – mówi, przemierzając nerwowo korytarz. – Wszystko o guzie, notatki lekarza. – Wyrywa plik dokumentów z moich rąk i przerzuca kilka stron. – Popatrz tylko, co podkreślił, specjalnie dla niej!

Zabieram mu dokumenty i czytam wskazany fragment.

Pani Washington ma drugie stadium nowotworu, graniczące ze stadium trzecim. Perspektywy są dobre, ale należy się upewnić, że pacjentka w pełni rozumie, iż wejście w stadium trzecie jest nadal możliwe, chociaż dość nieprawdopodobne.

– Przeczytaj ten jego pieprzony list!

Spoglądam na znajomy zwrot grzecznościowy na początku korespondencji.

Witam, Pani Washington!

Nie mogę się nazwać przyjacielem Pani męża. Łączy nas raczej... znajomość zawodowa. Pomyślałem, że zechce Pani dowiedzieć się prawdy na temat Pani obecnej sytuacji.

Czy zna Pani procent przeżywalności dla stadium trzeciego, droga Elaino? Cytuję: „Stadium III: przerzuty w węzłach chłonnych w regionie okrężnicy, wskaźnik pięcioletniego przeżycia wynosi 35–60%”.

Mój Boże! Gdybym był hazardzistą, obawiam się, że nie postawiłbym na Panią!

Życzę szczęścia – będę śledził postępy Pani choroby!

Z piekła,

Kuba Jr.

– Czy to prawda, Alan?

– Nie. Nie w taki sposób, w jaki to ujął – warczy. – Zadzwońłem do lekarza. Powiedział, że gdyby miał powody do niepokoju, powiedziałby nam to. Niczego przed nami nie ukrywał. Cholera jasna, napisał tę notatkę tylko po to, żeby pamiętać, o czym ma z nami porozmawiać podczas następnej wizyty.

– Ale Elaina zobaczyła ten zapis bez żadnego wytłumaczenia?

Widzę odpowiedź w boleści wyzierającej z jego oczu.

Odwracam się od niego na chwilę i przykładam dłoń do czoła. Płonie we mnie niemal oślepiający gniew. Ze wszystkich ludzi, których mógł skrzywdzić, poza Bonnie, Elaina zasłużyła sobie na to najmniej. Pamiętam dzisiejszy poranek, sposób, w jaki sama jej obecność przebiła się przez mury ochronne Bonnie. Pamiętam, jak to było ze mną, w szpitalu. Pragnę zabić Kubę Juniora.

Wciąż wdziera się w nasze życia, w najbardziej prywatne zakamarki naszej egzystencji. Założył podsłuch w gabinecie Hillsteada, żeby móc mnie zaatakować. A teraz co? Włamał się do szpitala, by zdobyć historię choroby Elainy?

Co jeszcze wie?

Spoglądam na Alana.

– Jak się czuje Elaina?

Siada nagle na stołku, zupełnie zagubiony.

– Najpierw się przestraszyła, a potem zaczęła płakać.

– Gdzie teraz jest?

– Na górze, w sypialni z Bonnie. – Patrzy na mnie umęczonym

wzrokiem. – Mała nie chce jej zostawić. – Ukrywa twarz w dłoniach. – Do diabła, Smoky... Dlaczego ona?

Wzdycham, podchodzę do niego i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Dlatego, że w ten sposób mogli zranić cię najbardziej, Alan.

Podnosi gwałtownie głowę, a w jego oczach płonie wściekłość.

– Tak bardzo chcę dorwać tych skurwieli!

– Wiem. – I to jeszcze jak. – Posłuchaj, Alan. Wiem, że to pewnie nie pomoże, ale nie sędzę, żeby Elaine groziło fizyczne niebezpieczeństwo ze strony Kuby Juniora i jego koleżki. A przynajmniej nie teraz. Myślę, że mają w tym wszystkim inny cel.

– Dlaczego tak uważasz?

Potrząsam głową, wspominając to, co powiedziała mi wcześniej Callie.

– To ich kolejne zagranie. Oni *chcą*, żebyśmy ich ścigali. I pragną, żebyśmy byli w jak najlepszej formie. Żeby każde z nas miało w tym osobisty cel.

Pochmurnieje.

– Cóż, muszę przyznać, że to działa.

Kiwam głową.

– I to jak.

Odchyła się do tyłu i wzdycha głęboko, ze smutkiem. Spogląda na mnie błagalnie.

– Możesz pójść i zobaczyć, jak ona się czuje?

– Jasne, że tak. – Dotykam jego ramienia.

Potwornie się tego boję, ale oczywiście mogę to zrobić.

Pukam do drzwi sypialni, otwieram je i zaglądam do środka. Elaine leży na boku, odwrócona tyłem do mnie. Bonnie siedzi obok niej, głaszcząc ją po włosach. Patrzy na mnie, kiedy wchodzę do pokoju. Zatrzymuję się na widok jej oczu pełnych furii. Patrzymy na siebie przez chwilę, po czym kiwam głową ze zrozumieniem. Skrzywdzili Elaine. Bonnie jest wściekła.

Obchodzę łóżko i przysiadam na jego brzegu. Powracają wspomnienia pobytu w szpitalu. Elaine ma otwarte oczy i wpatruje się w przestrzeń. Jej twarz jest spuchnięta od płaczu.

– Hej – zaczynam.

Spogląda na mnie, a potem wraca do wpatrywania się w pustkę.

Bonnie nadal gładzi jej włosy.

– Wiesz, co zasmuca mnie najbardziej, Smoky? – przerywa ciszę Elaina.

– Nie. Powiedz mi.

– To, że nigdy nie mieliśmy z Alanem dzieci. Próbowaliśmy tyle razy, ale jakoś nigdy się nam nie udało. A teraz jestem za stara i muszę się zmagać z rakiem. – Zamyka oczy i zaraz je otwiera. – A ten człowiek pozwala sobie na wchodzenie z butami w nasze życie. Śmieje się z nas. Wzbudza we mnie strach.

– Dokładnie do tego zmierza.

– Wiem. I osiągnął swój cel. – Milczy przez chwilę. – Byłabym dobrą mamą, nie sądzisz, Smoky?

Krzywię się, przerażona głębią bólu Elainy. To Bonnie odpowiada na jej pytanie. Stuka Elainę po ramieniu, a kiedy ta zerka na małą, upewnia się, że skupiła jej całą uwagę i kiwa głową.

Tak, mówi. Byłabyś wspaniałą mamą.

Spojrzenie Elainy łagodnieje. Wyciąga dłoń i dotyka twarzy Bonnie.

– Dziękuję ci, słoneczko. – Spogląda na mnie w milczeniu. – Dlaczego on to robi, Smoky?

Dlaczego to zrobił, dlaczego to robi, dlaczego to się stało? Dlaczego moja córka, mój syn, mój mąż, moja żona? Niekończące się pytania ofiar.

– Krótko mówiąc, ten człowiek lubi zadawać ból, Elaino. To jego prosta motywacja. Z drugiej strony wie, że w ten sposób przerazi również Alana. A to sprawia, że czuje się potężny i bardzo mu się to podoba.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie ma tak naprawdę dobrej odpowiedzi na to wieczne pytanie. Dlaczego ja? Jestem dobrą matką/siostrą/, dobrym ojcem/bratem/synem. Nie wychylam się, robię, co mogę. Jasne, czasem kłamię, ale częściej mówię prawdę i kocham moich bliskich najlepiej, jak potrafię. Staram się czynić więcej dobra niż zła i jestem szczęśliwszy, gdy widzę więcej uśmiechów niż łez. Nie jestem bohaterem. Nie znajdę się w książkach historycznych. Ale jestem tutaj i coś znaczę. Więc dlaczego ja?

Nie potrafię odpowiedzieć wszystkim tym pytającym, co naprawdę sobie myślę. Dlaczego wy? Dlatego że oddychacie, że chodzicie i że zło istnieje. Dlatego że kosmiczne kości zostały rzucone i niestety padło na was. Bóg albo zapomniał o was tego dnia, albo stanowiło to część jego

wielkiego planu. Wybierzcie, co wolicie. Prawda jest taka, że złe rzeczy dzieją się na całym świecie, każdego dnia i dzisiaj po prostu przyszła kolej na was.

Niektórzy mogliby to nazwać cynizmem albo pesymizmem. Dla mnie to coś, co trzyma mnie przy zdrowych zmysłach. Inaczej mogłabym zacząć myśleć, że źli ludzie mają przewagę. Wolę jednak myśleć: *Nie. Żadnej przewagi. Zwykłym faktem jest to, że zło walczy z dobrem i dzisiaj dobro miało zły dzień.* To przynosi akceptację drugiej strony owego argumentu, że następnego dnia to dla odmiany złu może się nie poszczęścić. I to nazywamy nadzieją.

Oczywiście nic z tego nie pomogłoby ludziom, którzy zadają mi te pytania, więc raczę ich jakąś pomniejszą prawdą, tak jak teraz, w przypadku Elainy. Czasem pomaga to ukoić ich ból, ale nie zawsze. Zazwyczaj nie pomaga, ponieważ niestety tak to już jest, że jeśli człowiek musi zadać to pytanie, to raczej nie zależy mu na odpowiedzi.

Elaina zastanawia się nad moimi słowami. Kiedy znów na mnie spogląda, widzę na jej twarzy obcą emocję – gniew.

– Złap tego człowieka, Smoky. Słyszysz mnie?

Przełykam głośno.

– Tak.

– To dobrze. Wiem, że ci się uda. – Siada na łóżku. – A teraz czy możesz coś dla mnie zrobić?

– Cokolwiek zechcesz – odpowiadam całkowicie szczerze. Gdyby poprosiła mnie o gwiazdkę z nieba, zrobiłabym wszystko, by ją dla niej zdobyć.

– Powiedz Alanowi, żeby do mnie przyszedł. Znam go. Pewnie siedzi na dole i się obwinia. Powiedz mu, żeby się z tego otrząsnął. Potrzebuję go.

Wstrząśnięta, ale silniejsza niż przedtem. I znów przekonuję się o czymś, co wiedziałam od dawna: kocham tę kobietę.

– Dobrze. – Zerkam na Bonnie. – Chodźmy, kochanie.

Mała potrząsa głową. Nie. Poklepuje dłonią ramię Elainy, a potem chwyta je mocno, zaborczo. Marszczy czoło.

– Kochanie, myślę, że powinniśmy dziś wieczorem zostawić Elaine i Alana samych.

Znów potrząsa głową, bardziej zdecydowanie. Nic z tego, kolego.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby została, jeśli ci to nie przeszkadza. Bonnie jest cudowna.

Spoglądam zaskoczona na Elaineę.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna. – Wyciąga rękę i gładzi małą po włosach.

– Cóż... w porządku.

Poza tym, myślę, tylko cudem udałooby mi się ją teraz odciągnąć od Elainy.

– W takim razie ja już pójdę, Bonnie. Wrócę, żeby się z tobą zobaczyć nad ranem, kochanie.

Kiwa głową.

Ruszam w kierunku drzwi i odwracam się, słysząc jej lekkie kroki za plecami. Bonnie zeskokczyła z łóżka i patrzy na mnie. Chwyta mnie za ramię i pociąga w dół, tak że moja twarz znajduje się na jej poziomie. Jej oczy są pełne niepokoju.

– Co się dzieje, kochanie?

Klepie się po piersi, a potem poklepuje mnie. I znowu, natarczywie. I jeszcze raz, z niepokojem wypisanym na twarzy. A potem nagle rozumiem i nagle twarz mi płonie, a oczy szczypią od łez. Jestem z *tobą*, mówi Bonnie. Chcę tu zostać tylko po to, żeby pomóc Elaine. Ale jestem z *tobą*. Bonnie chce mieć pewność, że zrozumiałam. Tak, Elainea jest Matką, ale ja jestem z tobą.

Nic nie mówię, tylko kiwam w odpowiedzi głową i przytulam Bonnie przed wyjściem z sypialni.

Na dole Alan stoi przy oknie, wpatrując się w nadciągający zmierzch.

– Wszystko będzie dobrze z Elaineą, Alan. Prosiła mnie, żebym ci powiedziała, że masz przestać się obwiniać i że cię potrzebuje. Aha, i trafiła się wam Bonnie na noc. Odmówiła pozostawienia Elainy samej.

Ożywa na te słowa.

– Naprawdę?

– Uhm. Jest bardzo opiekuńcza. – Dźgam go palcem w pierś. – Wiesz dobrze, że rozumiem twoje uczucia, Alan. Współczuję ci, ale musisz zebrać dupę w troki i przytulić swoją żonę. – Uśmiecham się. – Bonnie się tobą zaopiekuje.

– Tak – odpowiada po pewnym czasie. – Masz rację. Dzięki.

– Nie ma problemu. I jeszcze jedno. Jeśli jutro będziesz potrzebował trochę wolnego czasu, weź go sobie.

Spogląda na mnie poważnie.

– Kurwa, nie ma takiej możliwości, Smoky. Dostali to, czego chcieli. Będę ścigał tych skurwysynów, dopóki ich nie złapiemy lub nie zabijemy.

– Uśmiecha się i tym razem jest to przerażający uśmiech. – Myślę, że czegoś takiego się jednak nie spodziewali.

– I bardzo dobrze – odpowiadam.

[19] Łac. *Requiescat in pace* – niech spoczywa w spokoju. Skrót wykorzystywany również do angielskiej wersji powiedzenia: Rest in Peace (przyp. tłum.).

Droga powrotna do domu wydaje się bardzo samotna. Keenan i Shantz są tam, gdzie powinni być – z Bonnie, więc naprawdę jestem sama. Zapadł już zmrok i autostrady mają w sobie tę charakterystyczną pustkę. Były takie chwile w moim życiu, kiedy cieszyłam się z tej izolacji. Dzisiejsza jest wypełniona gniewnymi myślami, zaciskaniem palców na kierownicy i wyobrażaniem sobie, że to szyja Kuby Juniora. Księżyc świeci pełnym blaskiem i gdzieś w głębi duszy wiem, że jego poświata jest piękna. Dzisiaj jednak przypomina mi chwile, gdy widziałam kałuże krwi w blasku księżyca – czarne, lśniące i ostateczne.

Wspominam widok krwi przez całą podróż do domu. Wjeżdżam na podjazd, gdy zaczyna dzwonić mój telefon.

– Mówi James.

Prostuję się na siedzeniu. W jego głosie jest nuta, której nigdy przedtem nie słyszałam.

– James? Co się dzieje?

– Ci... ci *skurwiele!* – Jego głos drży.

Rozpruwacz Junior.

– Opowiedz mi, co się stało, James.

Słyszę jego ciężki oddech.

– Jakieś dwadzieścia minut temu przyjechałem do domu mamy. Zamierzałem zapukać do drzwi, kiedy zauważyłem przyklejoną do nich kopertę. Otworzyłem ją. – Oddycha głęboko. – W środku był list i... i...

– Co?

– Pierścionek. Pierścionek Rosy.

Rosa była siostrą Jamesa, tą, która umarła. Tą, której grób miał odwiedzić jutro wraz z matką. Ponure zrozumienie zaczyna powoli

budzić się w głębokim zakamarku mojego umysłu.

– Co było w liście, James?

– Tylko jeden wers. „Rosa, już nie R.I.P.”

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Ten pierścionek w kopercie, Smoky. Pochowaliśmy ją w nim. Rozumiesz? – W głosie Jamesa czai się desperacja.

Zrozumienie puka do drzwi mojej świadomości. Nie odpowiadam.

– Zadzwoiłem na cmentarz, do ochroniarzy. Poszli i to zweryfikowali.

– Co zweryfikowali, James? – Wydaje mi się, że wiem, ale pytam, bo pragnę się mylić. Zrozumienie dobija się już na całego.

James znów oddycha głęboko. Kiedy się odzywa, głos mu się załamuje.

– Nie ma jej, Smoky. Rosa zniknęła. Ci skurwiele wykopali ją z grobu.

Opieram czoło o kierownicę. Zrozumienie przestało robić hałas.

– Och, James...

– Wiesz, ile Rosa miała lat, kiedy ta kanalia ją zamordowała, Smoky? Dwadzieścia. Dwadzieścia lat. Była mądra, dobra, piękna, a on zabijał ją przez trzy dni. Tak mi powiedzieli. Trzy dni. Wiesz, kiedy moja matka w końcu przestała płakać z tego powodu? *Nigdy!* – krzyczy.

Siadam wyprostowana, nadal nie otwierając oczu. Wiem już, co takiego niespodziewanego słyszę w głosie Jamesa. Rozpacz. Rozpacz i bezradność.

– Nie wiem, co powiedzieć. Czy chcesz... czy mam do ciebie przyjechać? Co chcesz teraz zrobić? – Moje słowa odzwierciedlają to, co czuję w środku. Bezsilność.

Długie milczenie, a potem przerywany oddech.

– Nie. Mama jest na górze, skulona w łóżku. Szlocha i rwie włosy z głowy. Muszę do niej iść, muszę... – Przerywa. – Robią dokładnie to, co zapowiedzieli.

Czuję się wypruta ze wszystkiego.

– Tak. – Opowiadam mu o Elainie.

– *Skurwysyn!* – wykrzykuje. Jego próby opanowania się są niemal namacalne. – Pieprzony gnój. – Znów zapada cisza. – Poradzę sobie. Nie przyjeżdżaj. Mam wrażenie, że dzisiaj w nocy odbierzesz jeszcze jeden telefon.

Czuję ściskanie w dołku. Morderca powiedział, że każde z nas coś straci. Nadal pozostał jeszcze Leo.

– Chcę dorwać tę kanalię, Smoky. Cholernie chcę go dorwać.

Słyszałam te słowa, wypowiedziane w różny sposób, już dwa razy dzisiejszego dnia. To, że znów dźwięczą mi w uszach, napawa mnie rozpaczą i gniewem. Udaje mi się opanować emocje w głosie.

– Ja też, James. Idź, pomóż swojej mamie. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował.

– Nie będę.

Tyle w temacie rozpaczy i bezradności.

James odkłada słuchawkę, a ja siedzę w samochodzie, na podjeździe, spoglądając na księżyc. Przez chwilę, tylko jedną chwilę, wypełnia mnie jedno z tych egoistycznych, egocentrycznych uczuć, które dręczą ludzi na stanowiskach, gdzie decyduje się o życiu lub śmierci. Jestem odpowiedzialna za tych ludzi i mam wrażenie, że ich zawiodłam, ale teraz nie martwię się o ich dobro. Pragnę jedynie, żebym nie musiała być za nie odpowiedzialna.

Chwytam kierownicę i skręcam ją mocno.

– *Jesteś* za to odpowiedzialna – szepczę i samolubne uczucia odchodzą, zastąpione rozpaloną do białości nienawiścią.

Robię więc coś, co nie jest mi obce: wrzeszczę wewnątrz samochodu i walę w kierownicę, wyjąc do pieprzonego księżycyca.

Terapia w stylu Smoky.

Wchodzę do domu i wybieram numer Leo. Telefon dzwoni i dzwoni.

– Do diabła, Leo, odbierz wreszcie! – warczę.

I Leo odbiera. Jego głos jest pełen zmęczenia i pustki, aż robi mi się ciężko na duszy.

– Halo?

– Leo! Gdzie jesteś?

– U weterynarza z moim psem, Smoky.

Normalność jego odpowiedzi wzbudza we mnie nadzieję, niestety tylko na sekundę.

– Ktoś obciął mu wszystkie nogi. Musiałem go uspić. – Zastygam, gapiąc się w przestrzeń, ogłuszona. – Kto mógł zrobić coś takiego, Smoky? – Coś w nim pęka. Niemal słyszę ten dźwięk: czysty, wyraźny odgłos porcelany rozbijającej się o cegły. – Wróciłem do domu i znalazłem go w dużym pokoju. Próbował... próbował... – Rozpacz sprawia, że brzmi, jakby się dławiał. Wreszcie znajduje słowa. – Próbował się do mnie przyczołgać. Wszędzie było pełno krwi, a on wydawał z siebie te okropne dźwięki, jak... jak małe dziecko. I patrzył na mnie tymi swoimi oczami i czułem się jak... wyglądał, jakby myślał, że coś przeszkrobał. Że zrobił coś złego. Jakby chciał mnie spytać: „Co złego zrobiłem? Poprawię się, tylko proszę, powiedz mi. Widzisz? Jestem dobrym pieskiem”.

Łzy spływają mi po twarzy.

– Kto mógł zrobić coś takiego?

Gdyby dobrze się zastanowił, zrozumiałby kto. Myślę, że tak naprawdę chce powiedzieć, iż na świecie nie powinien istnieć nikt, kto byłby zdolny do takiego czynu.

– Kuba Junior i jego koleżka, Leo. Właśnie oni.

Słyszę, jak wciąga głośno powietrze.

– *Co takiego?* – jęczy z potwornym bólem.

Czuję, że zaczyna powoli składać to sobie do kupy.

– To, co napisali w e-mailu...

– Dokładnie. – Tak, Leo, myślę. Oni istnieją i to, co zrobili twojemu psu, jest dla nich *drobnostką*.

Zapada długa, okropna cisza. Wyobrażam sobie myśli Leo. „Mój pies był torturowany z powodu tego, kim jestem”. Poczucie winy wybuchła we mnie całą siłą, destrukcyjne i okropne. Leo chrząka z boleścią.

– Kto jeszcze, Smoky?

Oddycham głęboko i opowiadam mu o Elaine i Jamesie, pomijając szczegóły choroby Elainy. Leo milczy, kiedy kończę. Czekam, aż się odezwie.

– Poradzę sobie – mówi wreszcie. Wiem, że kłamię, ale chce mi dać do zrozumienia, że wszystko do niego dotarło.

Powtarzam znów formułkę, którą zaczynam naprawdę nienawidzić.

– Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował.

– Dobra.

Rozłączam się i stoję przez chwilę w kuchni, przykładając dłoń do czoła. Nie potrafię pozbyć się z myśli tego obrazu: błagalne spojrzenie tych oczu. *Co złego zrobiłem?* A odpowiedź jest okropna, tym bardziej że pies nigdy nie pozna prawdy.

Nic. Nie zrobiłeś nic złego.

– Naprawdę się rozkręcają – mówi Callie.

– Wiem. Chciałam tylko, żebyś wiedziała. Uważaj na siebie.

– I wzajemnie, kochaneczko.

– Nie martw się o mnie.

Odkładam słuchawkę i podchodzę do stołu kuchennego. Siadam i ukrywam twarz w dłoniach. To był bodaj najgorszy dzień w moim długim życiu. Czuję się, jakby ktoś mnie pobił. Jestem smutna i wyprana z sił. I bardzo samotna.

Callie ma swoją córkę. Alan ma Elainę. A ja? Kogo ja mam?

Płaczę. Czuję się przez to słaba i głupia, ale robię to, ponieważ nie mogę się powstrzymać. Szlocham tak długo, że w końcu zaczynam

odczuwać gniew. Wycieram twarz dłońmi, odpychając od siebie słabość.

– Skończ już z tym uzalaniem się nad sobą – warczę do samej siebie. – Wszystko to niestety twoja wina. Nie pozwoliłaś im być przy tobie, kiedy cierpiałaś, więc jeśli teraz chcesz kogoś oskarżać, wiń siebie.

Czuję rosnący we mnie gniew i uczepiam się go z nadzieją. Osusza moje łzy. Kuba Junior i jego koleżka zadarli z członkami mojej rodziny. Weszli z butami w ich życie i zadali im cios w najbardziej czuły punkt.

– Już nie żyjecie – mówię do pustego domu. I uśmiecham się. Wygląda na to, że po tym całym czasie nadal jestem wariatką, która wygłasza przemowy motywacyjne w powietrze.

To jest to. Nowa wersja mnie. I tak już pozostanie. Nadal mam w sobie smoczyce, nadal potrafię dostrzec mroczny pociąg i nadal umiem korzystać z broni. Nie jestem jednak zbudowana z prostych linii i pewności siebie. Jestem poobijana i powykrzywiana, zwichrowana. Mam również nową cechę: kruchość. To bardzo obce uczucie i nie lubię go, ale taka jest moja nowa prawda.

Wchodzę po schodach na górę i ruszam w kierunku sypialni. Mam wrażenie, że ciągnę za sobą kulę i ciężkie łańcuchy. Jestem potwornie zmęczona, wyczerpana emocjonalnie.

Mijam mały domowy gabinet, który przysposobił dla nas Matt, i coś sprawia, że zatrzymuję się i zaglądam do niego. Widzę mój komputer, pokryty kurzem i nieużywany już od wielu miesięcy. Zastanawiam się.

Siadam przed ekranem i włączam maszynę. Czy nadal mam połączenie z Internetem? Nie pamiętam, jak było opłacane. Potem jednak otwieram przeglądarkę i widzę, że nadal jest aktywna. Odchylam się na krześle i spoglądam na ikonę programu e-mailowego. Zastanawiam się.

Klikam na nią i program się ładuje. Po chwili wahania wybieram polecenie „odbierz wiadomości”. Zaczynają spływać dziesiątki listów i spamu, ignorowane od wielu miesięcy. Jest tam również to, co spodziewałam się zobaczyć. Najnowszy list, wysłany zaledwie godzinę temu, zatytułowany *Ile kosztuje ta psina w oknie?*

Nienawiść do niego działa niczym zastrzyk energii.

Otwieram e-mail i czytam.

Najdroższa Smoky,

Jestem pewien, że do tej pory zdołałaś się już przekonać, iż dotrzymuję słowa. Callie Thorne

musiała spotkać się ze swoją córką, żona Alana Washingtona zastanawia się teraz, czy umrze, biedny Leo zmaga się z przedwczesną śmiercią najlepszego przyjaciela człowieka, a jeśli chodzi o Jamesa... cóż, kiedy piszę ten list, spoglądam na Rosie. Wygląda niezbyt dobrze, ale zdziwiłabyś się, jak wydajne są współcześnie stosowane płyny balsamujące. Nie ma już oczu, lecz jej włosy nadal prezentują się prześlicznie. Proszę, przekaż to ode mnie Jamesowi, dobrze?

Myślę, że zemsta jest najefektywniejszym sposobem zaostżenia miecza. Zgodzisz się ze mną? Pomyśl tylko. Jeżeli jeszcze tego nie zrobiłaś, jestem pewien, że teraz się to stanie. Jak bardzo wszyscy musicie pragnąć mojej krwi! Może niektórzy z Was będą nawet o mnie śnić. O tym, jak błagam o litość, oczywiście nadaremnie. O tym, jak decydujecie się wpakować mi kulkę w łeb zamiast wpakować mnie do więzienia.

Jednak ta moneta ma dwie strony. Zamierzam podnieść stawkę. Chcę postawić sprawę bardzo jasno, na wypadek gdyby istniały jeszcze jakieś wątpliwości: nic, co uważacie za cenne, nie jest bezpieczne.

Wykorzystajcie w pościgu za mną wszystkie swoje umiejętności, ponieważ tak długo, jak pozostanę na wolności, prześlizgując się w cieniach lasu na obrzeżach cywilizacji, będę brał, brał i brał to, co należy do Was. To, czego już dotknąłem i co Wam odebrałem, wyda się Wam wtedy drobnostką.

Każdego tygodnia, którego nie uda się Wam mnie pochwycić, zabiorę każdemu z Was jedną rzecz. Odbiorę Callie Thorne jej nowo odnalezioną córkę i wnuka. Odbiorę Alanowi żonę. Zabiję matkę Jamesa. I tak dalej, i tak dalej, dopóki każde z nich nie zacznie żyć tak jak Ty, Smoky. Dopóki wszystko, co kochają, nie zniknie z ich życia, dopóki ich domostwa nie opustoszeją, dopóki nie pozostanie im już tylko jedno: potworna świadomość, że wszystko to stało się z powodu tego, kim są i co robią.

Mam nadzieję, że wiesz, iż nie rzucam słów na wiatr. Ufam, że owa wiecznie obecna „lufa pistoletu przy skroni” doda Wam wszystkim ostatecznego impetu, którego potrzebujecie, żeby wprowadzić się w stan skoncentrowanej gotowości. Chcę, żebyście wszyscy stali się doskonale naostrzoną bronią. Pragnę, żeby Wasze oczy stały się oczami zabójcy.

A teraz idźcie już i zaczynajcie się starać. Macie tydzień. W tym czasie wszystko, co kochacie, jest bezpieczne. Potem zacznę pożerać Wasze światy, a Wasze dusze zaczną umierać.

Czy czujesz się podekscytowana? Bo ja tak. Powodzenia.

Z piekła,

Kuba Jr.

PS. Agentko Thorne, być może zastanawiasz się, czy rzeczywiście coś Ci odebrałem? Być może w głębi duszy uważasz, że przez pomyłkę wyświadczyłem Ci przysługę. W pewien sposób jest to możliwe. Zastanów się jednak nad tym głębiej. Być może po prostu przypomniałem Ci o tym, co straciłaś na zawsze. Już się domyśliłaś? Co takiego straciłaś?

Spoglądam na te słowa przez długi, długi czas, siedząc w moim opustoszałym domu. Nie czuję smutku ani gniewu. Zamiast tego

wypełnia mnie to, co od początku chcieli we mnie obudzić mordercy.

Pewność.

Prędzej umrę, zanim pozwolę komukolwiek w mojej małej rodzinie skończyć jak ja: rozmawiając z samym sobą i płacząc w samotności.

Jest poranek następnego dnia. Zapoznałam zespół ze zredagowaną wersją e-maila od Kuby Juniora. Spoglądam na nich, oceniam moją małą armię.

Wszyscy wyglądają okropnie, ale jednocześnie napędza ich gniew. Nikogo nie interesuje rozmowa o tym, co się stało. Chcą wyruszyć w pościg. Czekają na moje wskazówki, chcą, żebym im przewodziła.

To zabawne, myślę. Łatwo jest na siebie wziąć odpowiedzialność, ale ciężko się potem jej pozbyć. Zaledwie tydzień temu rozmyślałam o palnięciu sobie w łeb. Teraz wszyscy chcą, żebym powiedziała im, co robić.

– Cóż, jedna rzecz jest pewna – zaczynam.

– Jaka mianowicie? – pyta Alan.

– To, że Kuba Junior i jego koleżka są totalnymi dupkami.

Zapada cisza, a po chwili wszyscy wybuchają śmiechem. Wszyscy poza Jamesem. Część napięcia znika.

Tylko część.

– Posłuchajcie. Jest jeden zero dla nich, bezsprzecznie. Ale popełnili duży błąd. Chcieli, żebyśmy zapragnęli ich złapać, i ich życzenie się spełniło. Nie wiedzą jednak, co to dla nich oznacza. – Przerywam, oceniając reakcję zespołu na moje słowa. – Sądzą, że mają nad nami przewagę. I co w tym nowego? Wszyscy mordercy zawsze tak myślą. Ale my mamy odciski linii papilarnych jednego z nich i wiemy również, że jest ich dwóch. Skracamy dystans między nimi a nami. W porządku? – Kiwiają głowami. – To dobrze. W takim razie przejdźmy do meritum. Callie, powtórz jeszcze raz, co doktor Child powiedział na temat profilu naszych morderców. Nie słuchałam zbyt uważnie za pierwszym razem.

Doktor Kenneth Child jest jednym z naszych nowych kryminologów. Szanuję jego opinię. Poleciałam Callie, żeby dostarczyła mu wszelkich informacji o Kubie Juniorze i poprosiła go o pilną konsultację.

– Kazał przekazać, że przeczytał list i ma kilka uwag, ale chce poczekać z ostateczną opinią do czasu, aż zobaczy, co jest w paczce. W tej, która ma przybyć dwudziestego. – Wzrusza ramionami. – Wydawał się pod tym względem dość nieprzejeđnany.

Odpuszczam. Doktor Child nigdy mnie nie lekceważył. Muszę w tej sprawie zaufać jego instynktowi. Spoglądam na Alana i Leo.

– Na jakim etapie jesteśmy z nakazem wydania listy subskrybentów strony Annie?

– Powinniśmy go mieć za godzinę – mówi Leo.

– Doskonale. Trzymajcie rękę na pulsie. – Pstrykam palcami. – Mamy kogoś z brygady antyterrorystycznej LAPD?

Alan kiwa głową.

– Tak. Przywiozą ze sobą Sniffera[20].

Jest to przenośne urządzenie do detekcji bomb. Wykorzystuje system spektrometrii ruchliwości jonów[21]. Dzięki niemu maszyna „wyczuwa” ślady zjonizowanych substancji charakterystycznych dla materiałów wybuchowych.

Odbyliśmy sporo dyskusji na temat tego, jak przygotować się na dwudziestego. Zastępca dyrektora Jones chciał sprowadzić tu brygadę SWAT[22], na wypadek gdyby Kuba Junior lub jego wspólnik postanowili dostarczyć paczkę osobiście. Sprzeciwiłam się temu.

– To nie jest ich metoda działania – powiedziałam. – Nigdy tak nie postępowali i to się nie zmieni. Spodziewam się, że będzie to coś prostego. Zwykły kurier.

Jones zgodził się, chociaż nie bez protestów i dopiero gdy zauważyłam, że sprowadzenie SWAT najpewniej ściągnie tu również media. Zgodziliśmy się jednak w jednej kwestii: obecności kogoś z sekcji minersko-pirotechnicznej. Niewykorzystanie tego środka ostrożności byłoby skrajną głupotą.

– Wciąż coś mnie niepokoi w aktach Annie – mówi Alan. Zerka na Jamesa. – Dobrze by było usłyszeć inną opinię na ten temat.

– Pomóż mu, James.

James kiwa głową. Nie odezwał się od rana ani słowem.

– Jest jeszcze jedno pytanie, które wymaga odpowiedzi, kochaneczko – mruczy Callie. – Skąd oni biorą wszystkie te informacje? Fakt, znaleźliśmy podsłuch w gabinecie doktora Hillsteda, ale dane ze szpitala, moja córka?

– To nie takie trudne – wcina się Leo. Spoglądamy na niego. – Informacje nie są aż tak bezpieczne, jak wszyscy sądzą. Dane medyczne Elainy? – Wzrusza ramionami. – Wystarczy biały fartuch, odpowiednie zachowanie i można wejść niemal do każdego pomieszczenia w szpitalu. Dodając do tego umiejętności komputerowe, spokojnie da się włamać do serwerów szpitalnych. Informacje można w dzisiejszych czasach kupić, ukraść lub zhakować. – Ponownie wzrusza ramionami. – Zdziwilibyście się, jakie to łatwe. Widziałem to na własne oczy, kiedy pracowałem w wydziale cyberprzestępczości. Dobrzy hakerzy lub złodzieje tożsamości potrafią zdobyć wszelkiego rodzaju dane osobiste. Rzeczy, na które nawet byście nie wpadli. – Patrzy na Callie. – Daj mi tydzień i bez problemów znajdę wszystko na twój temat, od zdolności kredytowej po aktualnie zażywane leki. – Rozgląda się. – To wszystko, co do tej pory zgromadził? Wiem, że to niepokojące, ale naprawdę nietrudno zdobyć te informacje.

Wpatruję się w niego przez chwilę, przyswajając sobie te nowiny. Wszyscy to robimy. Wreszcie kiwam głową.

– Dzięki, Leo. No dobrze, czy wszyscy wiedzą, czym mają się zająć? – Rozglądam się dookoła. – Doskonale.

W tym momencie otwierają się drzwi do biura. Spoglądam w ich kierunku, żeby zobaczyć, kto przyszedł, i natychmiast ogarnia mnie niepokój.

W progu stoi Marilyn Gale, wyraźnie zaniepokojona. Obok niej widzę umundurowanego policjanta, który trzyma paczkę.

[20] Ang. ‘wąchacz’. Mówi się tak również na psy policyjne wyszkolone do wyszukiwania narkotyków (przyp. tłum.).

[21] Podstawą tej techniki jest pomiar ruchliwości zjonizowanych cząsteczek w gazie buforowym pod wpływem pola elektrycznego. Można w ten sposób wykrywać nie tylko materiały wybuchowe, ale także narkotyki i bojowe środki toksyczne (przyp. tłum.).

[22] Ang. Special Weapons And Tactics, Specjalne Wyposażenie i Taktyka. Jest to wyspecjalizowana jednostka policji stworzona do przeprowadzania działań wysoce niebezpiecznych (przyp. tłum.).

– Przyszła godzinę temu – mówi Marilyn. – Wysłana do agentki Barrett, ale na mój adres. Uznałam... – Przerywa, lecz wszyscy rozumiemy. Kto inny miałby wysłać cokolwiek dla mnie na adres Marilyn?

Jesteśmy z powrotem w biurze. Wszyscy tłoczą się wokół biurka, spoglądając na paczkę i od czasu do czasu rzucając ukradkowe spojrzenia na Marilyn. Callie dostrzega te ostatnie i jej irytacja chwilowo tłumi niepokój związany z przesyłką.

– Och, na litość boską – mówi. – To moja córka, Marilyn Gale. Marilyn, poznaj Jamesa, Alana i Leo, podrzędnych funkcjonariuszy.

Marilyn wyszczerza zęby w uśmiechu na te słowa.

– Hej – mówi.

– Przejąłeś pakunek? – pytam policjanta, sierżanta Oldfielda.

– Nie, proszę pani. – Jest dobrze zbudowanym i pewnym siebie facetem. Widać, że bywał w różnych sytuacjach, czuje się komfortowo w swojej roli policjanta i nie peszę go ani ja, ani ogólnie FBI. – Zostaliśmy przydzieleni do pilnowania rezydencji oraz oczywiście pani Gale, gdy będzie wychodziła z domu. – Wskazuje kciukiem na Marilyn. – To ona przyszła do nas z paczką, podzieliła się swoimi obawami i poprosiła, żebyśmy przywieźli ją tutaj.

Zerkam na Marilyn.

– Nie otwierałaś jej, prawda?

– Nie. – Poważnieje. – Uznałam, że nie powinnam. W końcu zaliczyłam dopiero pierwszy rok kryminologii. – Widzę, że Alan i Leo wymieniają spojrzenia. – Ale nawet gdybym nie studiowała tego kierunku, wystarczy pooglądać telewizję, by wiedzieć, że nie należy grzebać

w ewentualnych dowodach.

– To bardzo dobrze, Marilyn. – Kolejne słowa dobieram ostrożnie. Nie chcę jej zbyt wystraszyć, lecz z drugiej strony pewne rzeczy muszą zostać powiedziane. – Ale to nie jest jedyny powód. Co, jeśli przestępca zdecydowałby się zrobić coś szalonego? Na przykład gdyby wysłał bombę?

Patrzy na mnie wielkimi oczami i nieco blednie.

– Och... ja... Chryste! W ogóle mi to nie przyszło do głowy... – Blednie jeszcze bardziej. Założę się, że myśli o swoim dziecku.

Callie opiera dłoń na jej ramieniu. W jej oczach widzę gniew i niepokój.

– Nie masz się już czym martwić, kochaneczko. Paczka została prześwietlona przez ochronę, zanim wpuścili cię do budynku, prawda?

– Tak.

– Robią to właśnie po to, żeby wychwycić tego typu rzeczy.

Marilyn szybko odzyskuje rumieńce.

No dobrze, w takim razie co my tutaj mamy, zastanawiam się. To coś nowego i ekscytującego. I być może niezbyt miłego dla oczu.

– Callie, może zabierzesz Marilyn na lunch?

Rozumie mnie. Wie, że zamierzam otworzyć przesyłkę, w której może znajdować się coś, czego Marilyn nie powinna widzieć.

– Dobry pomysł. Chodź, kochaneczko. – Chwyta córkę za rękę i prowadzi ją do wyjścia. – A tak przy okazji, gdzie jest mały Steven?

– Moja mama się nim opiekuje. Jesteś pewna, że możesz teraz wyjść z pracy?

– Oczywiście, że może. – Uśmiecham się do Marilyn, chociaż w głębi duszy wcale nie jest mi do śmiechu. – Bardzo ci dziękuję, że dostarczyłaś nam ten pakunek. Jeżeli coś podobnego zdarzy się jeszcze raz, nie ruszaj przesyłki, tylko zadzwoń do nas.

Znów patrzy na mnie oczami rozszerzonymi ze strachu. Kiwa głową, a Callie pospiesznie ją wyprowadza.

– Czy mogę zostać? – pyta sierżant Oldfield. – Chciałbym zobaczyć, co jest w środku. – Wzrusza ramionami. – Zrozumieć, z kim mamy do czynienia.

– Jasne, pod warunkiem że wpiszesz na listę obowiązków przechwytywanie wszelkich paczek. – Spoglądam na niego. – To nie nagana, ale prośba na przyszłość.

– Zrobione, proszę pani. – Kiwa głową.

Otwieram szufladę i wyciągam z niej lateksowe rękawiczki. Zakładam je i koncentruję się na pakunku. Jest to urzędowa koperta rozmiaru A4 z adresem wypisanym drukowanymi literami o znajomym charakterze pisma: DLA AGENTKI SMOKY BARRETT. W kopercie jest coś, co ma grubość około centymetra, może trochę więcej. Przekręcam paczkę na drugą stronę. Nie jest zaklejona, ma tylko ćwieczek przewleczony przez dziurkę. Wszyscy czekają w milczeniu. Powinnam chyba już otworzyć tę kopertę.

Na wierzchu jak zwykle znajduję list. Przeglądam pozostałą zawartość paczki. Mrużę oczy podejrzliwie, widząc kilka stron wydrukowanych zdjęć. Na każdym widnieje kobieta, naga od pasa w górę, ubrana w majteczki. Niektóre z kobiet są przywiązane do łóżka. W każdym przypadku na ich głowach tkwią kaptury. W kopercie jest coś jeszcze. CD. Czuję bolesny ścisk serca.

Przenoszę uwagę na list. Co tym razem? – myślę otepiała.

Witam, agentko Barrett!

Zdaję sobie sprawę, że przesyłanie paczki za pośrednictwem panny Gale może wydać się nieco okreźną drogą, ale miało to służyć jednemu celowi: podkreśleniu po raz kolejny tego, co powiedziałem już wcześniej. Żadna z bliskich wam osób nie jest bezpieczna, jeżeli postanowię do nich dotrzeć i... dotknąć ich życia.

Nie, to wszystko jest dla Ciebie, agentko Barrett. Proszę o cierpliwość, a wszystko wyjaśnię. Ma to podstawy filozoficzne, historię, którą musisz zrozumieć, jeśli chcesz w pełni pojąć zawartość tej przesyłki.

Czy wiesz, jakie jest najczęściej wyszukiwane słowo w Internecie? Seks. Mając to na uwadze, czy wiesz, co jest drugim w kolejności najpopularniejszym słowem wyszukiwanym w sieci? Gwałt.

Miliony ludzi codziennie używają sieci, z całą jej zawartością, a mimo to dwie najbardziej pożądane rzeczy to seks i gwałt.

Co to oznacza? Można by argumentować, że biorąc pod uwagę demografię Internetu, milion mężczyzn siedzi w tej chwili w domu, rozmyślając o gwałcie. Wszyscy z mokrymi od potu dłońmi i namiotem w spodniach. Nie jest to drobiazg, nie sądzisz?

A teraz pozwolę sobie poprowadzić Cię inną, choć związaną z tematem, ścieżką. W Internecie pojawił się nowy rodzaj witryn sieciowych, które mnożą się nawet w tej chwili. Są to strony umożliwiające mężczyznom dzielenie się swoją nienawiścią do kobiet. Weźmy na przykład jedną z nich, pod jakże stosownym adresem „revengeonthebitch.com”^[23]. Na owej stronie porzuceni mężczyźni publikują kompromitujące zdjęcia swoich byłych dziewczyn lub żon. Nagie zdjęcia. Seksualne zdjęcia. Wszystko to w jednym celu: upokorzenia i zawstydzenia

tych kobiet. Pod każdą z fotografii pozostali użytkownicy mogą pozostawiać swoje opinie. Pierwszy załącznik to jeden z przykładów. Polecam przynajmniej pobieżną lekturę.

Odnajduję wspomniany załącznik. Na górze widnieje zdjęcie uśmiechniętej brunetki w wieku dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Jest naga i rozłożyła nogi do kamery. Podpis pod fotografią oznajmia: „Moja głupia, zdradzająca mnie dziewczyna. Oblesna pieprzona zdzira”. Pod spodem seria komentarzy. Czytam kilka pierwszych:

CALIFORNIADUDE: CO ZA PIERDOLONA ZDZIRA! POWINIENEŚ SIĘ CIESZYĆ, ŻE KTOŚ INNY RUCHA TĘ OBLESNĄ CIPEŃ!

JAKE 28: POWINIENEŚ PODAĆ JEJ PO CICHU JAKIEŚ GHB I PRZEKAZAĆ JĄ MOJEJ DRUŻYNIE, ŻEBYŚMY WYPIERDOLILI JĄ W DUPEŃ! DZIWKI!

RIZZO: PIĞUŁKI GWAŁTU GÓRĄ!

DANNYBOY: JA BYM JĄ WYRUCHAŁ.

TNINCH: NIEZŁA PICZKA. SZKODA, ŻE TAKA Z NIEJ PIZDA.

HUNGNHARD: ZRÓB TO, CO JA! WEPCHNIJ JEJ FIUTA DO GĘBY I KAŻ, ŻEBY SIĘ ZAMKNEŁA!

Odkładam wydruk. Wystarczająco się już naczytałam. Ta bezmyślna nienawiść wzbudza we mnie mdłości.

– Rany! – gwizdże Leo. – To naprawdę cholernie przerażające.

Wracam do listu.

Odkrywcze, nieprawdaż? Zatem co mamy w naszym kociołku? Podsumujmy: seks, gwałt, nienawiść do kobiet traktowana jako rozrywka. Wymieszajmy to wszystko i co otrzymamy?

Środowisko doskonale sprzyjające poznaniu pokrewnych umysłów. Umysłów takich jak mój, agentko Barrett.

To prawda, większość z owych umysłów jest infantylna, niewarta zachodu. Jeżeli jednak ktoś, tak jak ja, pragnie szukać, zaczepiać, drażnić, hołubić, przypochlebiać się... zawsze można znaleźć kilka osób gotowych przejść na ciemną stronę. Zazwyczaj brakuje im jedynie odrobiny zachęty. Mentora, jeśli wolisz.

Czuję ściskanie w żołądku. Część mnie zdaje sobie sprawę, do czego to wszystko zmierza.

Ufam, że wystarczająco przygotowałem Cię do pełnego zrozumienia sprawy. A teraz wróćmy do zdjęć, dobrze? Prawdopodobnie już się im pobieżnie przyjrzałaś. Zrób to jeszcze raz, tym razem dokładniej.

Przyglądam się zdjęciom. Przedstawiają razem pięć różnych kobiet. Wpatruję się uważnie w fotografie.

– Co o tym sądzisz? – pytam Alana. – Czy łóżko i krzesło na każdym ze zdjęć nie wyglądają tak samo?

Alan studiuje wydruki.

– Tak. – Mruży oczy, a potem rozkłada zdjęcia na moim biurku, jedno przy drugim. Wskazuje na dywan na jednym z nich. – Popatrz na to.

Faktycznie. Widać na nim plamę.

– I tutaj – pokazuje na inne zdjęcie.

Ta sama plama.

– Cholera – mówi Leo. – Inne kobiety, ten sam gość.

– Ale to nie jest Rozpruwacz, prawda? – James w końcu przerywa milczenie. – Rozpruwacz nie jest tym człowiekiem. Może chodzi o aktualnego towarzysza Juniora?

Nikt się nie odzywa. Wracam do lektury.

Jesteś bardzo inteligentna, agentko Barrett. Z pewnością po ponownym obejrzeniu tych zdjęć zrozumiałaś, że wszystkie te młode panienki pojawiają się w identycznym otoczeniu. Przyczyna tego jest bardzo prosta: wszystkie pięć zostały zabite przez tego samego mężczyznę!

Przeklinam. W głębi duszy wiedziałam, ale teraz morderca to potwierdził. Wszystkie te kobiety były martwe.

Być może Ty lub któryś z Twoich współpracowników wydedukowaliście również resztę: że człowiek, który pozbawił życia owe kobiety, nie jest mną. Jeżeli to odgadliście, pozwólcie, że przyklasnę Wam jako pierwszy.

Znalazłem tego utalentowanego młodego autora owych fotografii w rozległym, mrocznym środowisku, na dzikich, niezmiernych równinach World Wide Webu. Rozpoznałem jego głód, jego nienawiść i przejście na ciemną stronę nie zabrało mu dużo czasu. Szybko porzucił ostatnie, nieważne związki ze światłem i rzucił się w objęcia ciemności.

Oczywiście może to być jedynie mistyfikacja, prawda? Obejrzyj CD, które przesłałem w paczce do Ciebie, a po zakończeniu możesz zadzwonić do agenta Jenkinsa z nowojorskiego oddziału FBI. Zapytaj go o Ronniego Barnes'a.

Ach, tak przy okazji, jeżeli czujesz nowo rozbudzoną nadzieję, że Barnes dostarczy Ci upragnionych wskazówek, z przykrością muszę Cię powiadomić o tym, iż pana Barnes'a nie ma już z nami. Obejrzyj CD. Zrozumiesz.

A teraz przejdźmy do meritum, jako że czas zakończyć ten list. Zasadnicza sprawa pozostaje

ta sama: ścigajcie mnie dalej. Róbcie to dobrze i pamiętajcie: Ronnie Barnes był tylko jednym z wielu ludzi ze szczególnym apetytem. A ja zawsze szukam kolejnych pokrewnych umysłów.

Z piekła,
Kuba Jr.

– Jezu Chryste – mówi Alan z obrzydzeniem.

– Interesujące – zamyśla się James. – On jest jak żyjący wirus komputerowy. To właśnie nam demonstruje: że może się powielać w innych ludziach.

– To prawda – wtrąca się Leo. – I nadal podwyższa poprzeczkę. Chce nam pokazać, że nie przestanie, dopóki go nie złapiemy.

Jestem zbyt zmęczona i przejęta, żeby odpowiedzieć. Wręczam Leo dysk.

– Włącz go.

Przesuwamy się, by stanąć za jego plecami, kiedy wkłada CD do odtwarzacza w komputerze i otwiera folder. Widzimy nader znajomą ikonkę filmu wideo. Leo spogląda na mnie.

– Na co czekasz?

Klika dwukrotnie i wkrótce rozpoczyna się odtwarzanie. Widzimy kobietę przywiązaną do krzesła – tym razem całkiem nagą. Jej twarz nie jest zakryta kapturem. To brunetka, ładna dwudziestokilkuletnia dziewczyna, przerażona do granic szaleństwa.

Podchodzi do niej mężczyzna. Szczerzy zęby w uśmiechu. Jest nagi i – jak zauważam z obrzydzeniem – ma pełną erekcję. Podniecony przerażeniem, jakie wzbudza. Zakładam, że to Ronnie Barnes.

– Wygląda jak typowy nerd – zauważa Oldfield.

Niezbyt miłe określenie, ale to prawda. Ronnie Barnes wygląda jak chłopak, który dopiero zakończył okres dojrzewania. Ma trądzik, zapadniętą klatkę piersiową i okulary z grubymi soczewkami. To typ faceta, który zawsze jest wyszydzany przez powierzchowne kobiety i który masturbuje się, myśląc o nich, mimo że nienawidzi ich za to, co o nim mówią. Pogardza nimi za to, że wzbudzają w mężczyznach pożądanie, i tym bardziej gardzi sobą za to, że on sam też ich pragnie. Wiem to wszystko nie dlatego, że Barnes jest wychudły i ma trądzik, ale dlatego, że trzyma w ręku nóż i ma z tego powodu erekcję.

Spogląda w stronę czegoś, czego nie widzimy, gdzieś poza kadrem.

– Chcesz, żebym to zrobił teraz? – pyta. Nie słyszę odpowiedzi, ale Barnes kiwa głową i oblizuje usta, wyraźnie podekscytowany. – W porządku.

– Z kim on rozmawia? – zastanawia się Alan.

– Możesz zgadywać dwa razy – odpowiadam.

Barnes pochyła się i wygląda, jakby zbierał się w sobie. To, co następnie robi, jest tak zdecydowane i brutalne, że wszyscy cofamy się zszokowani.

– *Pieprzona pizda!* – wrzeszczy. Unosi nóż myśliwski i opuszcza go prosto w dół, z całą brutalnością, na jaką go stać. Wydaje się, że całe ostrze znika w ciele dziewczyny. Barnes nie wyciąga go, lecz *wyrywa*, z wściekłością, bezlitośnie. Unosi nóż nad głowę i znów wbija go w kobietę.

Wkłada w to całą swoją siłę; na szyi występują mu żyły z wysiłku.

I znowu.

To nie jest metodyczne działanie Kuby Juniora, lecz niekontrolowany, bezmyślny atak szaleńca.

I znowu.

– *Pizda!* – wrzeszczy Barnes, a potem już tylko bezładnie krzyczy.

– *Skurwysyn!* – mówi Leo. Zrywa się i biegnie do najbliższego kosza, do którego wymiotuje.

Żadne z nas nie ma mu tego za złe.

Tak szybko, jak wszystko się zaczęło, nadchodzi koniec. Kobieta ląduje na plecach, niemal nie do rozpoznania jako istota ludzka. Barnes klęczy, pochylając się nad nią, z rozłożonymi ramionami, zamkniętymi oczami, umazany krwią i potem. Oddycha spazmatycznie z rozkoszy. Wzwód zniknął.

Znów spogląda w bok, a na jego twarzy maluje się uwielbienie.

– Mogę to teraz powiedzieć? – Patrzy prosto w kamerę i uśmiecha się. Nie ma w nim nic ludzkiego, nic normalnego. – To dla ciebie, Smoky.

– O nie... – jęczy Leo.

Milczę. Coś we mnie schowało się za mur. Oglądam dalej.

Barnes zerka w bok.

– Dobrze mi poszło? Tak jak chciałeś? – Jego mina się zmienia. Najpierw widzę zaskoczenie, potem strach. – Co ty robisz?

Kiedy rozlega się wystrzał i kula rozpryskuje jego mózg, podskakuję

bezwiednie i zrywam się z krzesła, przewracając je na podłogę.

– *Kurwa mać!* – wykrzykuje równie zaskoczony Alan.

Pochyliam się i chwytam drżącymi rękoma brzeg biurka. Wiem, co zaraz nastąpi. Musi. On nie przepuściłby tej okazji. I rzeczywiście, nie rozczarowuje mnie. W kadrze pojawia się zakapturzona twarz, oczy lśniące od radosnego uśmiechu, którego nie widać. Unosi kciuki w górę w wyrazie triumfu.

Film dobiega końca.

Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Milczymy. Leo wyciera usta. Sierżant Oldfield sięgnął bezwiednie po broń. To odruch.

Mój umysł jest niczym pustynia, po której toczą się kłębki szarłatów niesione przez wiatr.

Zbieram się w sobie – niemal dosłownie rzecz biorąc.

Kiedy się odzywam, mój głos jest pełen żaru. Ostry i płomienny.

– Wracamy do pracy.

Wszyscy spoglądają na mnie, jakbym oszalała.

– No już! – warczę. – Weźcie się w garść! To tylko kolejna pieprzona próba rozproszenia naszej uwagi. Próbuje się z nami bawić. Ogarnijcie się i wracajcie do pracy! Ja zadzwonię do tego agenta, Jenkinsa. – Mówię to wszystko zdecydowanie, chociaż cała się trzęsę.

Po minucie moje słowa wreszcie do nich docierają. Zaczynają się rozkręcać. Biorę słuchawkę, dzwonię do centrali i proszę o połączenie z nowojorskim oddziałem FBI – wszystko to jak automat. W głowie mi się kręci. Kiedy odzywa się recepcjonistka, pytam o agenta Jenkinsa. No i proszę, co za niespodzianka. On też jest szefem węzła koordynacyjnego NCAVC.

Telefon dzwoni kilka razy, a potem słyszę:

– Agent specjalny Bob Jenkins.

– Witaj, Bob. Mówi Smoky Barrett z węzła koordynacyjnego NCAVC w Los Angeles. – Zaskakuje mnie normalność mojego tonu. *Cześć, jak się masz? Właśnie oglądałam patroszenie młodej kobiety. A co u ciebie?*

– Witam, agentko Barrett. Wiem, kim pani jest. – Jest wyraźnie zaintrygowany. Ja też bym była na jego miejscu. – Co się dzieje?

Siadam i oddycham głęboko. Rytm mojego serca zaczyna powoli wracać do normy.

– Co możesz mi powiedzieć o Ronniem Barnesie?

– O Barnesie? – Wydaje się zaskoczony. – Rany, to stara sprawa, sprzed jakichś sześciu miesięcy. Zabił i rozplatał pięć kobiet. Naprawdę *rozplatał*. Szczerze mówiąc, to był totalny szczur. Ktoś wyczuł fetor zgnilizny i poinformował o tym policję. Gliniarze weszli do jego mieszkania, znaleźli jedną z pięciu zabitych kobiet, a obok Barnes'a z dziurą w głowie. Samobójstwo. Sprawa zamknięta.

– Mam dla ciebie nowinę, Bob. To nie było samobójstwo.

Długie milczenie.

– Mów dalej.

Streszczam mu sprawę Kuby Juniora i opowiadam o przesyłce, którą właśnie dostaliśmy. I o filmie. Kiedy kończę, Jenkins milczy przez dłuższą chwilę.

– Myślę, że siedzę w tym wszystkim przynajmniej tak długo jak ty, Smoky. Nigdy nie trafiłaś na nic podobnego?

– Nie.

– Ja też nie. – Wzdycha. Rozpoznaję to westchnięcie. Jest oznaką pogodzenia się z faktem, że potwory nadal mutują i za każdym razem zmieniają się w coś gorszego. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Możesz wysłać mi kopię akt sprawy Barnes'a? Wątpię, żebym cokolwiek tam znalazła. Mój morderca jest bardzo, bardzo ostrożny, ale...

– Jasne. Coś jeszcze?

– Tylko jedna rzecz, z ciekawości. Kiedy zginął Barnes?

– Chwileczkę. – Słyszę, że wystukuje coś na klawiaturze. – Zobaczmy... ciało znaleziono dwudziestego pierwszego listopada... Na podstawie stopnia rozkładu i innych czynników koroner ocenił, że zgon nastąpił dziewiętnastego.

Czuję się, jakby ktoś wyssał mi powietrze z płuc. Straciłam czucie w dłoni trzymającej słuchawkę.

– Agentko Barrett, jesteś tam jeszcze?

– Tak. Dziękuję za pomoc, Bob. Będę czekała na dokumenty. – Mój własny głos dociera do mnie jakby z daleka. Jest mechaniczny, ale Jenkins tego nie zauważa.

– Wyślę je jutro pocztą kurierską.

Kończę rozmowę i wpatruję się w telefon.

Dziewiętnasty listopada.

Nie mogę w to uwierzyć.

Gdy Ronnie Barnes mordował tamtą dziewczynę, Joseph Sands niszczył moje życie. Tej samej nocy. Nie tego samego dnia w innym roku czy dziesięcioleciu. Dokładnie tej samej *nocy*.

Czy to zbieg okoliczności? A może miało to jakieś znaczenie, którego jeszcze nie dostrzegałam?

[23] Ang. Zemsta na suce (przyp. tłum.).

Reszta dnia mija jak we śnie. Callie wróciła z lunchu, Marilyn czuje się dobrze. Sierżant Oldfield deklaruje, że za nic w świecie nie pozwoli, żeby Kuba Junior zrobił jej to, co Barnes tamtej kobiecie z nagrania wideo. Wszystko jest przygotowane na przybycie przesyłki od Rozpruwacza następnego dnia. Kontynuujemy swoją pracę.

Kiedy jednak zmierzam do domu Alana i Elainy, czuję się roztrzęsiona. Wciąż powracam myślami do zbieżności obu dat. Mam wrażenie, jakby ktoś wrzucił mnie w pętlę czasową, teraz, gdy wiem, że kiedy Ronnie Barnes uśmiechał się do kamery, ja wrzeszczałam, a Matt umierał. I że gdy Barnes wbijał nóż w tę nieszczęsną kobietę, Joseph Sands ciął nożem moją twarz.

Jak się okazuje, Kuba Junior już od dawna wtedy pracował.

I wiedział o *mnie*.

To właśnie chyba najbardziej mnie złości. Od kiedy o mnie myślał? Czy zamierza być moim kolejnym Josephem Sandsem?

Boję się. Przyznaję przed samą sobą, że jestem przerażona.

– *Obyś zdechł, bydlaku!* – krzyczę, waląc dłonią w kierownicę na tyle mocno, żeby zdrętwiała. Cała dygoczę.

– Teraz już lepiej – mruczę ponuro mimo wstrząsających mną dreszczy. – Trzymaj się tego uczucia.

Więc karmię swój gniew, nakręcam się, jestem coraz bardziej i bardziej wściekła na niego za to, że przez niego się boję.

Nie przegania to strachu całkowicie, ale na razie wystarczy.

Zgodziłam się na wczorajsze zaproszenie na obiad u Alana i Elainy. Potrzebowałam odrobiny normalności i Elaina jak zwykle nie zawiodła. Wyglądała dużo lepiej, prawie jak dawna ona. Rozśmieszyła mnie kilkakrotnie, a co ważniejsze, kilka razy wywołała uśmiech na twarzy Bonnie. Widziałam dobrze, że mała się w niej zakochuje, i doskonale ją rozumiałam.

Elaina szykuje teraz Bonnie na powrót do mojego domu, a w tym czasie Alan i ja siedzimy w salonie i czekamy pogrążeni w kojącym milczeniu.

- Wygląda na to, że dobrze sobie radzi – mówię.
- Zdecydowanie lepiej. – Alan kiwa głową. – Bonnie jej pomogła.
- Cieszę się.

Bonnie wbiega do salonu w podskokach, kończąc naszą rozmowę. Tuż za nią wchodzi Elaina.

- Gotowa, kochanie?

Mała uśmiecha się i kiwa głową. Wstaję, wyściskuję Alana i Elaine, którą dodatkowo całuję w policzek.

- Alan powiedział ci, że jutro musimy zacząć wcześniej rano?
- Tak, powiedział.
- Czy mogę przywieźć Bonnie o siódmej?

Elaina uśmiecha się i mierzwi czuprynę Bonnie. Mała spogląda na nią wzrokiem pełnym uwielbienia.

- Oczywiście, że tak. – Przyklęka. – Uściskaj mnie, słodziaku.
- Wymieniają uściski i uśmiechy, a potem ruszamy do wyjścia.

- Kładź się do łóżka, kochanie – proszę Bonnie. – Zaraz do ciebie

przyjdę.

Kiwa głową i wbiega po schodach na górę. Mój telefon ożywa.

– Tu Leo.

– Co się dzieje?

– Dostaliśmy z Alanem nakaz wydania listy subskrybentów strony Annie King – mówi. – Nie miałem szansy powiedzieć ci tego wcześniej, zanim nie wyjechałaś. Skontaktowałem się z firmą, która była bardzo pomocna.

– Dostałeś listę?

– Przeglądam ją od czterech godzin. Właśnie na coś wpadłem.

– Mów – proszę z nadzieją.

– Okazuje się, że twoja przyjaciółka miała sporą listę członków. Prawie tysiąc. Pomyślałem, że warto by było ustawić parametry wyszukiwania na nazwiska, które łączą się jakoś z całym scenariuszem zbrodni Kuby Rozpruwacza. No wiesz, Londyn, piekło i takie tam.

– I?

– I znalazłem kogoś prawie od razu. Frederick Abberline. Nazwisko inspektora, który zasłynął głównie ze ścigania swojego starego kumpla, Kuby w tamtych czasach.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

– Bo jeszcze nie skończyłem. Pomyśl tylko. To zbyt oczywiste. Nie podałoby prawdziwego adresu ot tak, ale mimo wszystko go sprawdziłem. To skrzynka pocztowa.

– Cholera – mruczę.

– Tak czy siak, to jakiś trop – odpowiada. – Poza tym sprawdzam to również pod innym kątem. Kiedykolwiek ludzie używają karty kredytowej w Internecie, zapisywany jest ich numer IP.

– To znaczy... co?

– Wszystko, co istnieje w sieci, czy jest to domena kropka com, czy połączenie telefoniczne, zawsze ma przydzielony numer. To właśnie jest numer IP, czyli numer protokołu przesyłu informacji w Internecie. Za każdym razem, kiedy poruszasz się w sieci, otrzymujesz tożsamość internetową, czyli stajesz się numerem IP.

– Czyli kiedy ktoś używa karty kredytowej, płacąc za coś w Internecie, zostaje zapisany jego numer?

– Tak.

– I gdzie to nas może doprowadzić?

– To problematyczna kwestia. Istnieją dwa sposoby, w jaki numer IP może być związany z danym połączeniem internetowym. Pierwszy jest dla nas korzystny, drugi nie za bardzo. Numery IP są własnością firmy zapewniającej ci dostęp do sieci. W większości przypadków przy każdym połączeniu, bez względu na sposób, zostaje ci przydzielony inny numer IP. Nie ma w tym żadnej ciągłości.

– Rozumiem, że to ten niezbyt korzystny dla nas sposób?

– Owszem. Ten drugi rodzaj jest stałym połączeniem. Twój IP zostaje przydzielony klientowi na stałe przez dostawcę. Nigdy się nie zmienia. I jeśli właśnie z tym mamy do czynienia, to dla nas dobrze, ponieważ ten numer można wykorzystać do odnalezienia danej osoby.

– Hmm... – zastanawiam się. – Może się mylę, ale myślę, że nasz morderca jest na coś takiego za sprytny.

– Prawdopodobnie masz rację – odpowiada Leo. – Ale może nie. Tak czy inaczej, nie zaszkodzi sprawdzić. Dostawca Internetu, z którego usług korzystał, powinien mieć logi wskazujące, kiedy dany numer IP został użyty. Dzięki temu będzie można ustalić lokalizację, przynajmniej ogólnie, a może nawet da się znaleźć dokładny adres.

– To dobrze, Leo. Znakomita robota. Skoncentruj się na tym i nie odpuszczaj.

– Tak zrobię.

Wierzę mu. Słyszę podniecenie w jego głosie i wątpię, żeby Leo zmrużył tej nocy oko. Zwęszył zapach krwi. Dla myśliwego to odurzająca i nieodparta woń.

Idę do łóżka, do Bonnie, żeby się przespać.

Mam sen. Dziwny sen, zupełnie niezwiązany z pozostałymi. Jest niczym prawdziwe wspomnienie.

– Dusza jak diament...

To coś, co powiedział mi kiedyś Matt w gniewie. Prowadziłam wtedy śledztwo, które pochłonęło praktycznie cały mój czas na trzy lub cztery miesiące. Niemal nie widywałam Matta ani Alexy. Przez pierwsze trzy miesiące jakoś to znosił, wspierał mnie i nic nie mówił. Pewnej nocy jednak wróciłam do domu i zastałam go siedzącego w pokoju po ciemku.

– Tak dalej być nie może – powiedział. Słyszałam jad w jego głosie.

Byłam całkiem osłupiała. Myślałam, że wszystko jest w porządku. Ale to właśnie był sposób Matta na życie. Zawsze zachowywał stoicyzm w stosunku do czegoś, co tak naprawdę go denerwowało, aż wreszcie dręczący go problem osiągał temperaturę wrzenia i eksplodował. Zawsze był to bardzo niespodziewany moment, ponieważ tak to właśnie wyglądało: z bezwietrznej pogody prosto w rozszałały huragan.

– O czym ty mówisz?

– O czym mówię? Chryste, Smoky! – Jego głos drżał z gniewu i napięcia. – Mówię o twojej nieobecności w domu. Jeden miesiąc, w porządku. Dwa miesiące, niezbyt fajnie, ale niech będzie. Trzy miesiące, nie ma, kurwa, mowy. Dostyc tego! Nigdy cię tu nie ma, a jeśli nawet jesteś, w ogóle nie nawiązujesz kontaktu ze mną ani z Alexą, jesteś wiecznie poirytowana, warczysz na nas... o tym właśnie mówię.

Nigdy nie umiałam dobrze sobie radzić z bezpośrednimi atakami. Czasem żartobliwie kładę to na karb mojej irlandzkiej krwi, ale prawdę mówiąc, moja matka była wcieleniem cierpliwości. Nie, ta cecha charakteru jest moja, całkowicie moja. Gdy tylko ktoś usiłuje mnie zapędzić w kozi róg, natychmiast tracę poczucie dobra i zła. Obchodzi mnie tylko wydostanie się z tej pułapki i walczę o to tak ostro i nieuczciwie, jak tylko mogę. Matt miał swoją wadę: pozwalał gniewowi gotować się w nim aż do wybuchu. Nie pasowało to zbyt dobrze do mojej wady: gdy ktoś przyparł mnie do muru, atakowałam bez wahania lub zastanowienia się nad konsekwencjami. Ta dysharmonia nigdy nie została naprawiona. Była to jedna z niedoskonałości naszego związku. Nadal za nią tęsknię.

Matt zapędził mnie w ślepią uliczkę, bez możliwości ucieczki, a ja zareagowałam jak zwykle, gdy nie widziałam żadnego wyjścia: wymierzyłam cios poniżej pasa.

– Pewnie powinnam powiedzieć rodzicom tych małych dziewczynek, że nie mam czasu złapać człowieka, który to zrobił, co? Wiesz co, Matt? Może zacznę pracować od dziewiątej do piątej. Ale kiedy następna dziewczynka zostanie zamordowana, to ty będziesz oglądał jej zdjęcia, ty pójdziesz porozmawiać z jej rodzicami i to ty spróbujesz znaleźć równowagę między tym wszystkim a należyтым traktowaniem rodziny.

Moje słowa były zimne, okrutne i bardzo niesprawiedliwe. Ale wtedy, w gniewie pomyślałam, że takie właśnie jest okrucieństwo mojej pracy,

i w tamtym momencie nienawidziłam Matta za to, że tego nie rozumiał. Jeżeli będę siedziała w domu z moją rodziną, morderca będzie mógł swobodnie przechadzać się ulicami. Jeżeli całkowicie poświęcę się złapaniu zbrodniarza, moja rodzina w konsekwencji będzie się czuć osamotniona i rozgoryczona. To wieczny akt balansowania, bardzo męczący.

Matt zaczerwienił się.

– Pierdol się, Smoky. – Potrząsnął głową. – Dusza jak diament, to właśnie ty.

– A co to niby ma znaczyć, do cholery? – spytałam rozjuszona.

Skrzywił się.

– To znaczy, że masz piękną duszę, Smoky. Piękną jak diament. A jednocześnie twardą i zimną jak on.

Jego słowa były tak krzywdzące i bezwzględne, że cały gniew nagle ze mnie wyparował. Matt nie uznawał okrucieństwa w naszych rozgrywkach. To była zawsze moja specjalność. Kiedy sama zostałam potraktowana w ten sposób, poczułam się załamana, a przy okazji gdzieś w głębi mojej duszy zakiełkował strach, że być może jednak Matt ma rację. Pamiętam, że wpatrywałam się w niego z rozdziawionymi ustami. Matt spojrzał na mnie z ledwie widocznym cieniem wstydu na twarzy.

– Chrzanię to – powiedział i wbiegł głośno na górę, zostawiając mnie w ciemnościach naszego dużego pokoju, z bolącym sercem.

Oczywiście pogodziliśmy się i jakoś sobie z tym poradziliśmy. Na tym właśnie polega miłość. Udało mi się to zrozumieć dogłębnie. W miłości nie chodzi o romans ani namiętność. Miłość to stan łaski. Doświadcza się go, kiedy człowiek akceptuje prawdę absolutną o drugiej osobie – jej okrutną i boską część – i gdy ta druga osoba akceptuje to wszystko w tobie. Kiedy okazuje się, że oboje nadal pragną dzielić ze sobą życie. Miłość to wiedza o najgorszych cechach tej drugiej osoby i pragnienie jej mimo to, całą swoją duszą. To zrozumienie, że ta druga osoba czuje to samo.

Miłość jest poczuciem bezpieczeństwa i siły. I kiedy dociera się do tego poziomu, romans i namiętność przestają oślepić. Miłość jest niezniszczalna i wieczna.

Wieczna do czasu, gdy ta druga osoba umrze.

Nie budzę się z mego snu z krzykiem. Po prostu otwieram oczy i czuję

łzy na policzkach. Pozwalam im wyschnąć i wsłuchuję się we własny oddech, dopóki sen znów po mnie nie przychodzi.

Wszyscy wyglądają dokładnie tak, jak się czuję. Leo nawet gorzej.

– Nie poszedłeś do domu, prawda? – mówię.

Spogląda na mnie niewyspany i mamrocze coś.

– Sam sobie jesteś winny. Słuchajcie – zwracam się do wszystkich. – Callie i Alan, idziecie ze mną na parking. Leo i James, pracujcie dalej.

Kiwają głowami w odpowiedzi.

– Idziemy.

Pirotechnik wyciąga legitymację służbową.

– Reggie Gantz. – Wygląda na znudzonego dwudziestolatka. Ma bardzo spokojne oczy.

– Agentka specjalna Barrett. Pokaż mi, co masz.

Prowadzi mnie na tyły półciężarówki policyjnej i wyjmuję ze środka laptop oraz coś, co wygląda jak duża kamera.

– Po pierwsze to: przenośny aparat rentgenowski. Pokaże nam zawartość paczki na ekranie. Ponieważ powiedziała pani, że pakunek zostanie dostarczony przez kogoś z zewnątrz, nie musimy się martwić o to, że bomba jest aktywowana za pomocą ruchu. W końcu przestępca nie chciałby, żeby za wcześnie wybuchła.

– To logiczne.

– Po prześwietleniu użyję Sniffera. Zbiorę z powierzchni próbki bawełnianymi gazikami, które potem umieszczę w maszynie i za pomocą spektrometru sprawdzę, czy nie ma śladowych ilości substancji wybuchowych. Te dwie rzeczy powinny wystarczyć do ustalenia, czy w paczce jest bomba, czy nie.

Kiwam głową.

– Nie wiemy dokładnie, kiedy zostanie dostarczona, więc musisz się przygotować na czekanie.

Salutuje dwoma palcami i wraca do samochodu bez jednego słowa. Pan Lakoniczny.

Analizuję wszystko w głowie. Kierowca, który przywiezie przesyłkę, zostanie zatrzymany i sprawdzimy jego odciski palców. Reggie przebada paczkę i kiedy potwierdzi, że nie ma niebezpieczeństwa, Alan, Callie i ja zabierzemy ją do laboratorium kryminalistycznego. Technicy zbadają pakunek pod kątem ewentualnych odcisków palców i użyją komory próżniowej do zebrania wszelkich śladowych dowodów. Sfotografują dokładnie paczkę i dopiero po wszystkim nam ją oddadzą.

Nacisk na przeprowadzenie wszystkiego zgodnie z planem ma swoje dobre i złe strony. Coś, co zajmuje przestępcy kilka minut lub najwyżej godzin, nam może zabrać kilka dni. W dzisiejszych czasach możliwości interpretacji nawet najmniejszych śladów przestępstwa są wręcz zatrważające. Kryminaliści musieliby ubierać się w kombinezony astronautów, aby nie zostawić po sobie ani śladu, a nawet wtedy wiedzielibyśmy, że mieli na sobie skafander kosmiczny.

Brak dowodów również jest informacją. Dzięki temu dowiadujemy się, że przestępca posiada przynajmniej podstawową wiedzę na temat procedur policyjnych i kryminalistycznych. Dzięki temu możemy lepiej zgłębić metodologię i psychikę zabójcy. Czy jest inteligentny (lub inteligentna), opanowany i spokojny, czy też emocjonalny, zagniewany i szalony? Obecność lub brak dowodów zawsze coś nam mówi.

– Hej. – Alan wskazuje przed siebie. – To chyba to.

Widzę zbliżający się do nas samochód dostawczy poczty kurierskiej. Podjeżdża do głównego wejścia i zatrzymuje się. Kierowca – młody chłopak z blond czupryną i meszkowatym zarostem – spogląda na nas ze sporym niepokojem. Nie dziwię się mu. Zapewne nie przywykł do komitetu powitalnego w postaci grupy poważnych i wyglądających nieco groźnie ludzi. Podchodzę do półciężarówki od strony kierowcy i gestem nakazuję mu opuścić szybę.

– FBI. – Wyciągam legitymację służbową. – Czy ma pan przesyłkę na ten adres?

– Eeee... tak. Jest z tyłu. O co chodzi?

– Przesyłka jest dowodem rzeczowym, panie...?

– He? Och, Jed. Jedediah Patterson.

– Panie Patterson, proszę wysiąść z wozu. Ta przesyłka została nadana przez przestępcę, którego ścigamy.

– Naprawdę? – Rozdziawia usta.

– Tak. Musimy pobrać pana odciski palców. Czy może pan wysiąść z wozu?

– Moje odciski palców? Ale dlaczego?

Zmuszam się do zachowania cierpliwości.

– Będziemy szukać odcisków palców na paczce. Musimy wiedzieć, które należą do pana, a nie do kryminalisty.

– Och... – Widać, że zaświeciła mu się żarówka. – Jasne, rozumiem.

– Czy może pan wreszcie wysiąść z samochodu? – Moja cierpliwość kończy się bardzo gwałtownie. Kurier chyba to wyczuwa, ponieważ otwiera drzwi i wysiada.

– Dziękuję, panie Patterson. Proszę pójść z agentem Washingtonem, który pobierze od pana odciski linii papilarnych. – Wskazuję na Alana i widzę, że Jed Patterson spogląda na niego z niepokojem. – Proszę się nie obawiać – mówię rozbawiona. – Wiem, że to ogromny mężczyzna, ale jest niebezpieczny tylko dla złych ludzi.

Kierowca oblizuje usta.

– Skoro pani tak twierdzi. – Nadal patrzy nieprzekonany na Alana, który zabiera go do środka.

Teraz mogę skoncentrować się na przesyłce. Reggie Gantz stoi w pogotowiu obok samochodu dostawczego wraz ze swoimi urządzeniami. Nadal wygląda na znużonego.

– Gotowe? – pyta.

– Zaczynaj.

Podchodzi do tylnych drzwi półciężarówki i otwiera je. Mamy szczęście; w środku są tylko trzy paczki. Gantz natychmiast odnajduje właściwą, ponieważ jest zaadresowana do mnie.

Obserwuję, jak włącza laptopa i uruchamia przenośny aparat rentgenowski. Chwilę później spoglądamy na zawartość przesyłki wyświetloną na ekranie.

– Wygląda jak butelka lub słoik z czymś w środku... może list... i jeszcze coś płaskiego i okrągłego. Może CD. I to wszystko. Muszę teraz odpalić Sniffera i upewnić się, że płyn w butelce nie jest niebezpieczny.

– Czy to prawdopodobne?

– Raczej nie. Niemal wszystkie płynne środki wybuchowe są niestabilne. Pakunek najprawdopodobniej eksplodowałby w czasie transportu. – Wzrusza ramionami. – Ale w naszym wydziale nigdy niczego nie bierzemy za pewnik.

Cieszę się, że Reggie jest z nami, chociaż jednocześnie uważam, że jest szalony, wykonując taką pracę.

– Rób, co trzeba – mówię.

Gantz wyciąga bawełniany gałganek i zaczyna nim wycierać powierzchnię paczki. Potem wkłada go do Sniffera i spektrometr ożywa. Po kilku minutach Reggie spogląda na mnie.

– Wygląda w porządku. Powiedziałbym, że można bezpiecznie otworzyć przesyłkę.

– Dzięki, Reggie.

– Nie ma sprawy. – Ziewa. Potrząsam głową, obserwując, jak wraca do swojego wozu. W naszej robocie można natknąć się na rozmaite osobliwości.

Zostaję sama z pakunkiem. Przyglądam się mu. Nie jest zbyt duży – wystarczający na to, co zawiera: coś o rozmiarze słoika z dżemem, list i CD. Prawdopodobnie CD. Chcę zajrzeć do środka. Płonę z niecierpliwości.

Podchodzę do szoferki. Alan wraca właśnie z Jedem, którego opuszki palców są teraz czarne od tuszu. Macham w kierunku Alana.

– Paczka jest czysta. Zabieramy ją do laboratorium.

– Serio? – rzuca ironicznie Callie i wszyscy parszczą śmiechem.

Gene Sykes jest szefem laboratorium kryminalistycznego. Kiedy widzi nas za drzwiami, na jego twarzy pojawia się wyraz rezygnacji.

– Hej, Smoky. Ile mam na to czasu?

Uśmiecham się szeroko.

– Daj spokój, Gene. Mój urlop nie był aż tak długi.

– Ach. Czyli na wczoraj, tak?

– Owszem.

Wzdycha.

– Szczegóły poproszę.

– Paczka dostarczona za pośrednictwem kuriera, zdecydowanie od

naszego przestępcy. Sprawdzona przez pirotechnika, a więc zewnętrzna część pakunku została wytarta. Mamy też odciski palców dostawcy, w celu eliminacji.

– Wiesz, co jest w środku?

– Technik zrobił prześwietlenie i wygląda na to, że w paczce jest jakiś słoik, list oraz być może CD. Nie jesteśmy niczego pewni na sto procent, ponieważ nie otworzyliśmy pudełka.

– Skąd wiesz, że to przesyłka od waszej Bestii?

– Ponieważ powiedział nam, że ją prześle.

– To bardzo miłe z jego strony. – Zastanawia się nad informacjami. – Rozumiem, że robiłaś oględziny innego miejsca zbrodni związanego z tym mordercą?

– Tak.

– Czy coś znaleźliście?

Informuję go o odciskach palców znalezionych na ramie łóżka Annie.

Gene drapie się w głowę, coraz bardziej się zamyślając.

– Musisz to dla mnie naprawdę dobrze zbadać, Gene, i to najszybciej jak potrafisz.

– Jasne. Zajmę się tym warstwa po warstwie. Usunę pudełko, wyciągnę jego zawartość i przeanalizuję każdy element z osobna. Powiedziałaś, że morderca jest ostrożny, więc wątpię, żebyśmy znaleźli jakieś widoczne lub warstwowe ślady linii papilarnych, ale czasem przestępcy nas zaskakują.

Istnieją trzy rodzaje śladów daktyloskopijnych: warstwowe, widoczne i niewidoczne. Dwie pierwsze kategorie są naszymi ulubionymi. Warstwowe odciski palców powstają wtedy, gdy przestępca pozostawia ślad na miękkim podłożu, takim jak воск, kit czy mydło. Widoczne odciski palców powstają, gdy przestępca uprzednio miał kontakt z widoczną gołym okiem substancją, jak na przykład krwią, a potem dotknął innej powierzchni. Taki odcisk widoczny jest gołym okiem. Najczęstszymi śladami daktyloskopijnymi są te niewidoczne, czyli ukryte – takie, których trzeba szukać i które stają się widoczne tylko po wykorzystaniu specjalnych metod wizualizacji. Czasem identyfikacja takich odcisków graniczy z artystem.

Gene jest naszym artystą. Jeżeli gdzieś tam w paczce jest ślad, on na pewno go znajdzie.

– Oczywiście nie muszę wspominać, że jeśli w środku jest płyta kompaktowa, muszę zobaczyć jej zawartość, zanim zrobisz cokolwiek, co mogłoby ją uszkodzić.

Wizualizacja niewidocznych odcisków palców wymaga czasem zastosowania różnych chemikaliów lub wysokiej temperatury. Oba te czynniki mogłyby uszkodzić CD i sprawić, że informacja na nim zawarta byłaby nie do odczytania.

Gene raczy mnie wzrokiem urażonej diwy.

– Błagam, Smoky! Do kogo te teksty?

– Przepraszam. – Uśmiecham się i wręczam mu dwie pozostałe plastikowe torebki na dowody. W każdej z nich znajduje się korespondencja od Kuby Juniora. – Po wszystkim sprawdź również te tutaj. Są od tego samego przestępcy.

Gene krzywi się z niezadowoleniem.

– Coś jeszcze? – pyta sarkastycznie.

– Będziesz miał niewątpliwą przyjemność skorzystać z mojej asysty i ekspertyzy, kochaneczku – mówi Callie. Gene spogląda na nią ponuro.

– Mamy napięty harmonogram, Gene. Bestia poinformowała nas, że zamierza zabić znowu.

Mężczyzna poważnieje.

– W porządku.

Kiedy wracam do biura, Alan rozmawia z kimś przez telefon. Mówi bardzo szybko, coś ewidentnie go podekscytowało. W ręku trzyma akta sprawy Annie.

– Muszę to potwierdzić, Jenny. Chcę być stuprocentowo pewny. Rozumiem. – Stuka stopą niecierpliwie, czekając. – Naprawdę? W porządku, dzięki. – Odkłada słuchawkę, zrywa się z fotela i podchodzi do mnie. – Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że coś mnie niepokoi?

– Tak.

– Chodziło o listę rzeczy zabranych z mieszkania Annie. – Otwiera teczkę, odnajduje właściwą stronę i pokazuje palcem. – Rachunek za inspekcję w sprawie dezynsekcji w jej mieszkaniu, pięć dni przed jej zamordowaniem.

– I co z tego?

– I to z tego, że większość budynków takich jak ten, w którym

mieszkała, przeprowadza dezynsekcję wszędzie za jednym zamachem.

– To jeszcze niczego nie oznacza, ale mów dalej.

– Wiem. Sam też pewnie bym to przeoczył, ale widziałem oryginalny rachunek, kiedy byliśmy w mieszkaniu, i coś mi w nim nie pasowało. Dręczy mnie to od tamtej pory.

– Alan, konkrety.

– Przepraszam... chodziło o notatkę na rachunku. – Chwyta notes z biurka i odczytuje: „*Wydruk za choj.*”. Co to znaczy, do kurwy nędzy? A potem facet podpisuje się jako *Jered Torstem Mącimow*.

– Dziwne nazwisko.

– To anagramy, prawda? – mówi James.

Alan spogląda na niego zaskoczony.

– Dokładnie. Skąd... nieważne. – Patrzy na mnie i pokazuje mi notatnik. Widzisz: „*Wydruk za choj.*”? Jeżeli przestawisz litery, dostaniesz: „*Zdychaj, kurwo*”.

Czuję bolesny ucisk w żołądku.

– A *Jered Torstem Mącimow* utworzy... – pokazuje mi znów notatnik.

Jestem twoim mordercą.

– Ostateczna zniewaga – mruczy James. – Morderca mówi Annie, że ta umrze z jego ręki. Mówi jej to w twarz, a ona nie ma o tym pojęcia.

Spodziewam się wewnętrznego wybuchu gniewu, ale tymczasem czuję jedynie pustkę. Zaczynam się uodparniać na ich gierki. Spoglądam na Alana.

– To naprawdę imponująca robota.

Wzrusza ramionami.

– Zawsze miałem smykałkę do anagramów. I do niedających spokoju szczegółów.

– Dobra, dobra, jesteś wspaniała – mówi James. – Pytanie tylko, co to znaczy i jak możemy wykorzystać tę informację.

– Może ty mi to powiesz, dupku? – odpowiada Alan.

James zupełnie nie reaguje na zaczepkę. Kiwa głową, zamyślony.

– Nie sądzę, żeby odwiedził ją, by się popisać, tylko żeby wszystko sprawdzić. Chciał się upewnić, że zna plan mieszkania Annie.

– Albo zweryfikować uzyskane informacje – wtrącam. – Mógł odwiedzić mieszkanie już wcześniej i chciał sprawdzić, czy nic się nie zmieniło.

– Obczajał lokal – mówi Alan. – To ma sens w przypadku tych gości. Są

sprytni i ostrożni. Planują.

– Może to ich *modus operandi*[\[24\]](#). – Czuję rosnące podniecenie. – Jeżeli uda się nam znaleźć zawczasu cokolwiek na temat ich kolejnej ofiary, być może damy radę przyskrzynić tego, który pójdzie na rekonesans. – Spoglądam na Leo. – A jak tam z twoimi zadaniami?

Krzywi się.

– Obawiam się, że nie mam żadnych dobrych wiadomości. Numer IP nie był stały. Dałem radę dotrzeć do oryginalnego punktu użytkowania, ale okazało się, że to ślepy zaułek.

– Jak to?

– Mordercy skorzystali z kafejki internetowej. W takich miejscach można używać z Internetu całkiem anonimowo.

– Cholera! Coś jeszcze? Cokolwiek?

– Nie.

– Cóż. Od tej chwili skoncentrujcie się jeszcze bardziej na swoich zadaniach.

Dzwoni telefon, Alan odbiera, mówi coś i odkłada słuchawkę.

– Laboratorium jest już gotowe – informuje mnie.

Zjeżdżam windą cztery piętra w dół. Kiedy wchodzę do laboratorium, Gene trajkocze coś do speszzonej Callie.

– Uważaj – mówię do niej. – Uszy ci odpadną od jego gadania.

Gene spogląda na mnie.

– Opowiadałem właśnie agentce Thorne o najnowszych postępach w dziedzinie identyfikacji mitochondrialnego DNA.

– Szalenie ekscytujący temat – stwierdza Callie oschle.

Gene krzywi się.

– Och, przestań – mówi. – Przecież wiem, że rozumiesz, Callie. Byłaś jedną z moich najlepszych stażystek.

Callie uśmiecha się i puszcza do mnie oczko.

Unoszę kawę w toaście.

– Ja zawsze cię chwaliłam, Gene. No dobra, co dla mnie masz?

Gene obdarza Callie ostatnim pochmurnym spojrzeniem. W odpowiedzi ta pokazuje mu język. Gene spogląda na mnie z westchnięciem.

– Żadnych oczywistych dowodów fizycznych, czyli odcisków palców, włókien, włosów, naskórka. Nic. Ale to, co znalazłem, jest bardzo, bardzo interesujące. Przybliży nam sylwetkę przestępcy, chociaż ten jest tego nieświadomy.

Ożywiam się.

– To znaczy?

– Wszystko w swoim czasie, Smoky. Żeby zrozumieć, musisz najpierw przeczytać list. – Przekazuje mi go. – Czytaj.

Nie lubię enigmatycznych ludzi, ale Gene jest jednym z najlepszych kryminologów w całym kraju, a może nawet na świecie. Callie kiwa głową.

– Warto poczekać, kochaneczko.

Koncentruję się na liście.

Witam, agentko Barrett!

Nie mogę się doczekać, by się dowiedzieć, jak Ci się podobała opowieść o Ronniem Barnesie? Niestety nie był najmądrzejszym chłopcem, ale doskonale się nadał do dowiedzenia mojej racji. Wiem, że się zastanawiasz, ilu jeszcze Ronniem żyje sobie na wolności? Obawiam się, że pozostawienie Cię z domysłami dostarcza mi dużo większej satysfakcji.

Tak przy okazji, widziałem Cię na strzelnicy po powrocie z San Francisco. Muszę powiedzieć, że byłem naprawdę PODEKSCYTOWANY! To takie satysfakcjonujące, gdy własne plany tak doskonale się ziszczają. Teraz moja oponentka jest uzbrojona i w pełni sprawna. Krew od razu zaczęła żywiej krążyć w moich żyłach! Czy czujesz to samo? To mocne bicie serca? To nagłe wyostwienie zmysłów?

– Bestia cię śledzi, kochaneczko.

– Widzę. Musimy się tym zająć.

Wyglądasz inaczej, agentko Barrett. Bardziej niebezpiecznie. Nie ukrywasz już blizn, których wcześniej tak się wstydziałaś.

To dobrze. Teraz możemy w końcu darować sobie obchodzenie się z Tobą jak z jajkiem. Dzięki temu nasza gra zrobi się naprawdę interesująca!

W paczce umieściłem kilka rzeczy dla Ciebie. Jedna z nich, a mianowicie zawartość słoika, wymaga pewnych wyjaśnień, byś w pełni zrozumiała sprawę.

Porozmawiajmy o Annie Chapman, znanej również jako Ciemna Annie. Coś ci to przypomina, agentko Barrett? Powinno. Była to druga ofiara mojego przodka.

Biedna, skrzywdzona Annie Chapman. Nie zawsze była brudną dziwką, wiesz? Czekwała do śmierci męża, żeby zacząć rozkładać swoje kurewskie nogi dla pieniędzy. Niezwykle obraźliwe.

Kiedy mój przodek ją zabił, usunął ropień na skórze społeczeństwa.

Została zabita jako druga, ale to ona stała się źródłem pamiątek drogiego Kuby Rozpruwacza. Usunął jej macicę, górną część pochwy i dwie trzecie pęcherza moczowego.

Oczywiście pojawiło się na ten temat wiele przeróżnych teorii – i naturalnie wszystkie były błędne. Nikt nie potrafił zrozumieć wielkiego planu mojego przodka. Zamierzam podzielić się z Tobą jego wizją, więc słuchaj uważnie.

Kuba Rozpruwacz wiedział, że jego linia rodu, zarówno z przeszłości, jak i w przyszłości, jest niezwyklej natury. Pochodzimy od archaicznych drapieżników, pierwszych łowców. Jesteśmy ponad bydlętem zwanym rodzajem ludzkim. Kuba Rozpruwacz zdawał sobie sprawę, że przekazanie swojej wiedzy i mocy przyszłym pokoleniom – wyjaśnienie naszej świętej misji – jest jego obowiązkiem.

Dlatego kolekcjonował wiele pamiątek. Zabierał dziwkom część ich ciała i utrwał je, zabezpieczał przed rozkładem. Zarządził, aby owe pamiątki były przekazywane z pokolenia na pokolenie jako wspomnienie tego, co zapoczątkował.

Obiecałem Ci wcześniej, że dowiodę moich roszczeń, agentko Barrett. Jako że zawsze dotrzymuję słowa, przekazuję Ci niniejszym jedną z owych cennych pamiątek po Kubie Rozpruwaczu. Jest to zakonserwowana macica Annie Chapman.

Wzbudza podziw, prawda? Przeprowadź Swoje testy, a kiedy już skończysz, myślę, że trudniej Ci będzie spać spokojnie, wiedząc, że potomek Bestii – jego Cień – jest teraz gdzieś tam, na wolności.

– Czy to prawda, Gene? Czy w słoiku jest ludzka macica?

Uśmiecha się tajemniczo.

– O tym za chwilę. Najpierw przeczytaj list do końca.

Cień Bestii. Chociaż jest tylko jeden prawdziwy Rozpruwacz, spotkałaś się z wieloma jego naśladowcami, prawda, agentko specjalna Barrett? Z tymi, którzy żyją pośród cieni i w nich zabijają. Mój przodek urodził się pośród cieni. Odziedziczył ciemność.

Kochał cienie, a one... cóż, one również go kochały. Był ich najcudowniejszym dzieckiem.

Odbiegam jednak od tematu.

Załączyłem kolejny dysk dla Ciebie. Kontynuując misję mojego przodka, oczyściłem ziemię z jeszcze jednej dziwki. Pozbyłem się następnego wrzodu na skórze cywilizacji ludzkiej.

– Cholera – mówię.

Miłego oglądania. Jestem dosyć dumny z mojego dzieła.

To wszystko na razie, agentko Barrett. Bądź pewna, że jeszcze się odezwę, być może w bardziej profesjonalny sposób. Siedem dni. Tik-tak, tik-tak.

Z piekła,

Kuba Jr.

Odkładam list i spoglądam na Gene'a.

– Mów.

Pociera dłonie o siebie.

– Po przeczytaniu tego listu w pierwszej kolejności zająłem się oczywiście słoikiem. Przeprowadziłem kilka podstawowych testów i właśnie w ten sposób zdobyłem bardzo ważną informację.

– Jaką mianowicie?

Zawiesza głos dla efektu.

– W słoiku nie ma ludzkiej tkanki, Smoky. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że jest krowia.

Przez chwilę z powodu szoku nie mogę wykrztusić ani słowa.

– Cholera jasna! – wypluwam nagle.

Gene szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Dokładnie. Nasz chłopaczek sądzi, że otrzymał coś w spadku po Kubie Rozpruwaczu, ale się myli. Wszystko, co ma, to kawałek zakonserwowanego krowiego mięsa. Zbudował na tym cały swój system wiary i nie zdaje sobie sprawy, że to kłamstwo.

Myślę intensywnie.

– To wszystko bzdury. Bzdury, które ktoś mu wmówił. Nie jest żadnym potomkiem Rozpruwacza. Jest...

– Po prostu kolejnym zabójcą – kończy za mnie Callie, strzygąc brwiami. – Nieźle, co? Żadnych fizycznych śladów, które pomogłyby nam zidentyfikować naszych chłopców, ale za to definitywnie strategiczna charakterystyka.

– Doskonała robota. Możesz wszystko oznaczyć i sporządzić raport? – pytam Gene'a.

– Oczywiście. Zrobię to dziś wieczorem.

– Wspaniale. – Spoglądam na Callie. – Musimy przekazać to reszcie zespołu. – Ruszamy w stronę wyjścia.

– Ekhm... agentko Barrett?

Odwracam się i widzę, że Gene wyciąga coś w moim kierunku, trzymając to dłonią odzianą w rękawiczkę.

O cholera.

W całym tym podnieceniu zapomniałam o tym przez chwilę. Płyta kompaktowa. Cała radość we mnie opada.

Muszę teraz obejrzeć nagranie z kolejnego morderstwa.

[24] Łac. 'sposób działania' – charakterystyczny sposób zachowania się, w tym przypadku przestępcy (przyp. tłum).

Jesteśmy z powrotem w biurze.

– Mam dobre i złe wieści – mówię.

– Jakie są te dobre? – pyta Alan.

Opowiadam im o treści listu, na końcu dodając informację na temat tego, co Gene znalazł w słoiku. Oczywiście Leo i Alana robią się okrągłe ze zdziwienia. James wpatruje się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń i niemal słyszę myśli wirujące w jego głowie.

– W takim razie ktoś musiał mu to wszystko wmówić – zaczyna. – Albo uważali, że to prawda, albo chcieli, żeby on w to uwierzył.

– Może to jego fantazja – sugeruje Leo. – Dlaczego musi być w to koniecznie wplątana inna osoba?

– Ponieważ poziom urojeń, pod wpływem których musiałby być, gdyby sam stworzył tę konfabulację, uniemożliwiłby mu tak dobre planowanie i kompetentną organizację. Pomyśl o tym.

– Zgadzam się z tobą, kochaneczku. – Callie kiwa głową. – Stworzenie systemu wiary, a potem zapomnienie, że to twój własny wytwór... nie sądzę, żeby w takim stanie psychicznym mógł tak dobrze funkcjonować. Byłby zbyt psychotyczny.

Zastanawiam się nad tym.

– To duży przełom – stwierdzam. – Kolejny ślad. Teraz wiemy, że nie szukamy tylko jego, ale również osoby, która zbudowała w nim to przekonanie. – Spoglądam na Alana. – Zadzwoń po doktora Childa i prześlij mu to. Sprawdź w jego domu, jeżeli już wyszedł z pracy. Powiedz mu, że muszę się z nim spotkać jutro rano. Tym razem profil mordercy naprawdę bardzo by się przydał.

– Jasne.

– Zaczyna popełniać błędy – mówię. – Jak ta cała sprawa. Poza tym wygadał się, że mnie śledzi.

Alan patrzy na mnie zaniepokojony.

– Co takiego?

– Wszystko jest w liście. Po powrocie z San Francisco pojechałam na strzelnicę. Morderca napisał, że mnie tam widział. Złe posunięcie z jego strony.

– Musisz być bardzo ostrożna, kochaneczko.

– Nie ma obawy, Callie. – Uśmiecham się. – Zamierzam odezwać się do mojego starego dobrego kumpla, byłego agenta służb specjalnych, i poprosić go, żeby mnie obserwował.

Callie kiwa głową.

– Będzie za tobą jeździł i w ten sposób zdoła dostrzec kogokolwiek, kto również będzie cię śledził.

– Dokładnie. Mój przyjaciel jest bardzo dobry. Przy okazji poszuka ewentualnych urządzeń podsłuchowych w moim samochodzie i w domu. Jeżeli coś znajdzie, powiem mu, żeby niczego nie ruszał. W ten sposób będziemy wiedzieli, gdzie znajduje się podsłuch, a morderca nie będzie miał o tym pojęcia.

– Zauważyłaś, że mówisz „on” zamiast „oni”? – pyta James.

Spoglądam na niego zaskoczona. Nie, nie zauważyłam.

– To pewnie dlatego, że w moim przekonaniu w tej parze jest dominujący „on”. Jest Kuba Rozpruwacz Junior, a ten drugi to przypadkowy towarzysz. Czuję to. Spójrz na Ronniego Barnes. Jack wykorzystał go i pozbył się jak śmiecia. Powiedział to w swoim liście: szuka innych morderców, których mógłby sobie przysposobić.

– To narzuca pytanie o przestępcę numer dwa z mieszkania Annie – mówi James. – Czy nadal żyje? A może jest już martwy, podobnie jak Barnes?

– Nie wiemy tego na pewno... ale myślę, że nadal żyje.

– Zgadza się – wtrąca się Alan. – Pomyślcie tylko. Zabijając Annie, rozpoczął coś, co planował od dłuższego czasu. Nie będzie chciał nagle zwalniać tempa w środku całego procesu tylko po to, żeby wytrenować nowego kolegę od zabijania.

Patrzę na nich wszystkich.

– Zmniejszamy dystans.

James spogląda na mnie.

– Wystarczy tego poklepywania się po plecach. Jakie są złe wiadomości?

Pokazuję im płytę kompaktową.

– Przysłał nam również to. Zabił kogoś jeszcze.

W biurze robi się cicho. Leo wstaje i wyciąga rękę po CD.

– Miejmy to już z głowy.

– W porządku. – Oddaję mu kompakt.

Jego laptop jest już włączony. Wkłada CD do odtwarzacza i po chwili wideo samo się włącza.

Zaczyna się od ujęcia tytułowego – białe litery na czarnym tle: *Niniejsza śmierć jest sponsorowana przez <http://ciemnowłosazdzira.com>.*

– Zanotuj to – proszę Leo.

Na ekranie pojawia się skrupowana, szarpiąca się kobieta. Jest naga i przywiązana do łóżka, podobnie jak Annie. Na oko nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat. Wygląda bardzo naturalnie, to znaczy nie ma powiększonych piersi (chyba że zafundowała sobie implanty w rozmiarze B, w co szczerze wątpię). Nadal ma idealne ciało młodej dziewczyny, niezniekształcone po ciąży. Jej włosy są długie, gęste i ciemne. Kolejna brunetka – najwyraźniej takie woli. W jej oczach widać wszystkie emocje: panikę, przerażenie, rozpacz – wszystko to jest wręcz nieznośnie intensywne.

Kuba Junior pojawia się w kadrze, ubrany w ten sam kostium, który miał na sobie podczas zabójstwa Annie. Macha do kamery i znów mam wrażenie, że się uśmiecha. Ten uśmiech jest przeznaczony dla nas. Bestia syci się tym, że popełnia zbrodnię praktycznie na naszych oczach, jednocześnie nie zdradzając swojej tożsamości. Znika z kadru i chwilę później rozlegają się dźwięki muzyki. Hałaśliwe, niemal ogłuszające.

I wish they all could be California giiirls...^[25]

Morderca podchodzi do kobiety, przechyla głowę na boki, przyglądając się jej. Potem wyciąga broń – tym razem nie nóż, lecz pałkę. Zaczyna tańczyć i podskakiwać w rytm melodii, wywijając kijem. Bestia wygrywająca swoje zło przy akompaniamencie piosenki. Kilka razy udaje, że bierze zamach, żeby jeszcze bardziej przerazić biedną dziewczynę, która obserwuje go wytrzeszczonymi oczami. Jej twarz

nabiega krwią, kiedy usiłuje krzyczeć coś przez knebel.

I znów, jak w przypadku filmu z Annie, rozpoczyna się montaż scen. Morderca robi wszystko z pewną siebie brutalnością. Bez wahania. Nie ma w tym nic klinicznego, solidnego, fachowego. Kiedy szykuje się do uderzenia, unosi kij nad głowę i odchyła się do tyłu. Kiedy uderza, wkłada w to energię całego ciała. Morderca nie łamie kości; jestem pewna, że *miażdży je* na papkę. Za każdym razem, gdy kobieta mdleje, Bestia przerywa i policzkuje ją, dopóki nie odzyska przytomności. Chce, żeby była świadoma, co się z nią dzieje – żeby czuła każdą minutę tego procesu.

Wreszcie odkłada pałkę i wdrapuje się na dziewczynę. Rozpoczyna się gwałt. Jest brutalny, zaprojektowany z myślą o maksymalnym ruchu. Morderca chce jeszcze bardziej skruszyć kości ofiary, żeby jego pieprzenie sprawiło jej najgorszy możliwy ból. I znów za każdym razem, kiedy kobieta traci przytomność, on ją cuci. To musiało być dla niej niczym budzenie się raz po raz w środku koszmaru, myślę.

Gwałt kończy się i w rękę Bestii pojawia się skalpel. Pokazuje go kobiecie. Chwyta ją za brodę i każe jej spojrzeć na ostrze, zrozumieć je. Jej oczy podążają za skalpelem, gdy morderca przesuwa go w dół na jej brzuch. Obserwuję, jak odchodzi od zmysłów, kiedy zaczyna ją kroić, nadal żywą. Zerkam na Leo. Jest zielony na twarzy z przerażenia, ale jakoś się trzyma. Zahartował się, stał się osobą, którą nie można już przestać być.

Kiedy już kobieta nie żyje i jest całkiem wypatroszona, Kuba Junior wstaje i patrzy na swoją ofiarę przez długi, długi czas. Kobieta wygląda, jakby ktoś zmusił ją do połknięcia bomby, a potem zdetonował ją w jej brzuchu. Bestia spogląda w obiektyw i unosi kciuk w górę. Na tym wideo się kończy.

– Uważasz, że jesteś taki dowcipny – mruczę do siebie, rozwścieczona.
– Śmieję się, śmieję, skurwysynu.

Brzmi to bezsilnie i tak też się czuję.

Oczywiście część mnie zdaje sobie sprawę, że Bestia tak *naprawdę* nigdy się nie uśmiecha. Nie ma w nim wesołości.

Wszyscy milczą, przyswajając w myślach to, co zobaczyli. Szufladkują informacje. Radzą sobie z problemem.

– Sprawdź ten adres internetowy, Leo. Dowiedzmy się, kim była ta

kobieta.

– Już się robi – odpowiada cicho. – Jak... jak ktokolwiek może robić coś takiego? – To rzeczywiste pytanie. Chłopak świdruje mnie wzrokiem, błagając o odpowiedź. Zastanawiam się przez chwilę nad odpowiednim doborem słów.

– Mogą to robić, ponieważ to uwielbiają. To ich akt seksualny. Potrzebują tego bardziej, niż jakikolwiek narkoman na głodzie potrzebuje działki. Są różne powody, dla których ludzie stają się właśnie tacy, ale zasadniczo po prostu kochają to, co robią. Z pasją. – Spoglądam na Jamesa. – Co to było za określenie, które dla nich wymyśliłeś?

– Seksualni mięsożercy.

– No właśnie.

Leo wzdryga się.

– Nie tak sobie to wszystko wyobrażałem.

– Wiem, uwierz mi. Wszyscy sądzą, że ściganie seryjnych morderców, gwałcicieli dzieci i innych potworów jest ekscytujące. Tymczasem to wcale nie jest pasjonujące, lecz wyczerpujące. Trawi cię od środka. Nie budzisz się, myśląc: „O rany, nie mogę się doczekać, kiedy złapię tego gościa!”. Zamiast tego wstajesz, spoglądasz na swoje odbicie w lustrze i starasz się nie czuć wyrzutów sumienia dlatego, że jeszcze go nie pochwyliłeś. Usiłujesz nie myśleć o tym, że morderca może właśnie zabijać następną osobę, ponieważ ty jeszcze go nie dorwałeś. – Odchyłam się w fotelu i potrząsam głową. – W tym wszystkim nie chodzi o ekscytację, tylko o poczucie odpowiedzialności za śmierć innych ludzi.

Patrzy na mnie przez długą chwilę, a potem robi to, co pomaga mu najbardziej w momentach, gdy staje twarzą w twarz z horrorem: odwraca się do swojego komputera i zabiera się do pracy. Po minucie ma już to, czego potrzebowałam.

– Znalazłem adres właściciela strony *czarnowłosazdzira.com*. To mieszkanie na Woodland Hills.

– Nazwisko?

– Niestety nie ma. Mieszkanie jest zarejestrowane na firmę. Prawdopodobnie jednoosobową.

– Alan. Zadzwoń na komisariat w tamtym rejonie. Powiedz, żeby sprawdzili dla nas adres. Jeżeli okaże się, że ofiara tam jest, niech zabezpieczą miejsce zbrodni i skontaktują się z nami. Nikt nie może

wejść ani wyjść.

– Nie ma sprawy.

– To wcale nie było oczywiste na filmie – mówi James. – Przynajmniej nie dla mnie.

Marszczę brwi, spoglądając na niego.

– Co nie było oczywiste?

– Że było ich dwóch, a nie tylko jeden.

Patrzę na niego zaskoczona, a potem kiwam głową. Ma rację. Sam fakt, że musiałam zapytać, co miał na myśli, świadczy o tym, że jego obserwacja była trafna. Jeżeli Kuba Junior miał kompana, to ten tym razem nam się nie pokazał.

– Ale byli tam obaj – ciągnie James. – Czuję to.

I znów kiwam głową. Mroczny pociąg turkocze po szynach *tak-to-to, tak-to-to* i gwizdże *ciu-ciuuuuu!* Oboje z Jamesem nadal siedzimy na jego pokładzie.

Spoglądam na Leo.

– Chcę zerknąć na zawartość tej strony internetowej.

Callie wygląda na skrepowaną, a przynajmniej dobrze udaje.

– Nigdy nie sądziłam, że dostanę rozkaz oglądania pornoli, Smoky. Tymczasem to już drugi raz.

– Pewnie zazwyczaj robisz to tylko w domu, co?

– Bardzo zabawne.

To próba wisielczego humoru, ale nic nam z tego nie wychodzi. Obrazy morderstwa są nadal zbyt żywe w naszych myślach.

– Proszę bardzo – mówi Leo.

Przysuwamy fotele bliżej. Na ekranie komputera Leo widnieje witryna ofiary utrzymana w odcieniach brązu. Widzę zdjęcie kobiety, którą Kuba Junior unicestwił na naszych oczach. Jest ubrana wyłącznie w majtki, zwrócona pupą w naszą stronę, wypięta w klasycznie prowokującej pozie. Spogląda przez ramię, uśmiechając się lekko i kiwając palcem przyzywająco. Wygląda jak ktoś, kto zajmuje się pornografią profesjonalnie, ale jednocześnie jest ładna, żywa i ludzka. Nie zasłużyła sobie na to, co przed chwilą widzieliśmy.

JESTEM CIEMNOWŁOSĄ ZDZIRĄ, głosi logo na górze ekranu. Po prawej stronie zdjęcia umieszczono dodatkowe, mniejsze fotografie i chociaż graficzne szczegóły są tu jedynie sugerowane, ogólne przesłanie

jest jasne. To nie jest strona pełna roznegliżowanych kociaków w erotycznych pozach. Znajdują się tu strategicznie cenzurowane zdjęcia seksu oralnego, analnego, seksu z kobietami i seksu grupowego. Potwierdza to

komentarz zapisany mniejszą czcionką: *Uwielbiam ssać kutasa i połykać spermę, żyję dla seksu grupowego, kocham, kiedy ktoś pieprzy mnie w tyłek, i absolutnie PRZEPADAM za lizaniem CIPEK!*

– Wszechstronna młoda kobieta – zauważa Callie.

– Jeszcze jak. – Potrząsam głową.

Z pozostałych grafik dowiadujemy się, że dziewczyna robi „pokazy na żywo przed kamerą” oraz że urządza „sex party dla fanów”. Oczywiście tylko dla subskrybentów.

Leo pokazuje nam kolejne dwie strony podobnych zachęt, prowadzące do docelowej strony, na której można się zapisać.

– Co teraz? – pytam. – Nie zamierzam zapłacić własną kartą za coś takiego.

– Nie sądzę, żeby było to konieczne – odpowiada Leo. – Mam przeczucie.

Klika na link *Wejścia dla członków*. Na ekranie wyskakuje okienko z prośbą o podanie loginu i hasła.

– Założę się, że użył tych samych danych co na stronie twojej przyjaciółki. Nazwą użytkownika był *jackjest*, a hasłem *zpiekła*. – Mówiąc to, jednocześnie wpisuje dane i klika „OK”. Na ekranie pojawia się przywitanie: „*Witam na mojej podniecającej stronie tylko dla członków!*”. – Voilà!

Przewija stronę w dół. Jest to zasadniczo menu z różnymi ofertami dla subskrybentów. Są tam rzeczy takie jak: *fotografie osobiste, moje wideoklipy, moje nagrania na żywo, moje znajome amatorki*. Mój wzrok przyciąga link do *zdjęć z sex party dla członków*.

– Zastanawiam się...

– Nad czym, kochaneczko? – pyta Callie.

– Członkowie na seksprywatkach... myślę, że być może nie oparł się tej sposobności, aby odbyć z nią stosunek, wiedząc, że wkrótce ją zabije. To coś, co do niego pasuje.

– Niewątpliwie zwiększyłyby to przyjemność z wyczekiwania i poczucie

władzy.

To wspólna cecha wszystkich seryjnych morderców. Obserwowanie, śledzenie, planowanie – wszystko to może być dla nich równie upajające, co sam finał.

– Sądzę, że to z dużym prawdopodobieństwem prawda – mówi James.
– Moglibyśmy załadować wszystkie zdjęcia, wyodrębnić tylko mężczyzn i przepuścić je przez jakiś program służący do rozpoznawania twarzy. – Wzrusza ramionami. – Nie są wprawdzie zbyt dokładne, ale warto spróbować.

Ludzie, którzy sądzą, że praca w organach ochrony prawa jest ekscytująca, nie rozumieją tego, co naprawdę robimy. Wolelibyśmy zająć się samym pościgiem, a tymczasem musimy być metodyczni. Zarzucamy wędkę i sieci niczym rybacy. Nie jedną, lecz wiele z nich, raz po raz. Odciski palców to jedna sieć. Nakaz udostępnienia listy subskrybentów to druga. Oprogramowanie do rozpoznawania twarzy to kolejna. I tak dalej, i tak dalej. Zarzucamy sieci i wyciągamy je, najczęściej puste. Nie obchodzi nas, co złapiemy: rekina czy płótkę. Nie ma to znaczenia tak długo, aż doprowadzi nas do mordercy. Jest to wyścig żółwi, mierzony w centymetrach, nie w metrach.

– Zrób to razem z Leo. – Podchodzę do Alana. – Dodzwoniłeś się na policję?

– Owszem. Zamierzam spotkać się z patrolem na miejscu.

– A co z doktorem Childem? Skontaktowałeś się z nim?

– Tak. Na początku był trochę gburowaty, ale wystarczyło, że streściłem mu to, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy. Szybko się zainteresował. Chce, żeby przesłać mu kurierem kopię raportu, jeszcze dziś wieczorem. Powiedział, że będzie gotowy na konsultację z tobą jutro rano.

– Doskonale. Callie, zdobądź raport of Gene'a i upewnij się, że jego kopia dotrze do Childa.

Callie idzie po swój telefon, a Alan rusza do wyjścia. Zaczynam grzebać w szufladzie swojego biurka, aż wreszcie znajduję notes z telefonami. Przeglądam go w poszukiwaniu numeru, którego teraz potrzebuję.

Tommy Aguilera. Były agent służb specjalnych, pracujący obecnie jako konsultant dla firm ochroniarskich. Poznaliśmy się podczas śledztwa

dotyczącego syna jednego z senatorów – chłopaka, który rozsmakował się w gwałcie i zabijaniu. Tommy koniec końców musiał go zastrzelić i w politycznej nagonce, która się po wszystkim rozpętała, moje zeznanie było jedyną rzeczą, dzięki której nie stracił pracy. Tommy powiedział, że jeśli kiedykolwiek będę czegokolwiek potrzebowała, mam się z nim skontaktować. Położył nacisk na „kiedykolwiek” i „czegokolwiek”.

Wybieram numer, wspominając go. Tommy jest bardzo, ale to bardzo poważnym facetem. Zawsze ma pokerową twarz. Mówi cicho, lecz w jego głosie nie ma łagodności charakterystycznej dla człowieka nieśmiałego – to bardziej spokój węża przekonanego o swoich możliwościach ataku.

Odbiera po czterech dzwonekach.

– Mówi Tommy. – Jego głos jest dokładnie taki, jak zapamiętałam.

– Hej, Tommy. Tu Smoky Barrett.

Przerwa.

– Hej, Smoky. Jak się masz?

Wiem, że Tommy stara się być uprzejmy. To nie znaczy, że nie obchodzi go moje samopoczucie. Po prostu zazwyczaj nie wdaje się w towarzyskie pogawędki.

– Potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie, Tommy.

– Powiedz, co mam zrobić.

Wyjaśniam mu wszystko, opowiadając o Rozpruwaczu Juniorze, o tym, że był w moim domu i że najwyraźniej mnie śledzi.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tropi cię elektronicznie.

– To jedna rzecz. Jeżeli tak jest, chcę o tym wiedzieć, ale tak, żeby on się nie zorientował, że wiem.

Tommy milczy przez chwilę.

– Rozumiem – mówi wreszcie. – Chcesz, żebym posiedział ci trochę na ogonie?

– Dokładnie.

– Kiedy?

– Najpierw chcę, żebyś sprawdził mój samochód i dom pod kątem podsłuchu i tym podobnych urządzeń. Potem chcę, żebyś stał się przez jakiś czas moim cieniem. To może być okazją do schwytania mordercy. Być może jest to jego jedyny błąd. – Waham się przez moment. – Do diabła z tym. Powinieneś wiedzieć. Jest ich dwóch.

– Działają razem?

– Tak.

– Kiedy mam zacząć? – Bez wahania, tak jak go zapamiętałam.

– Powinam wrócić do domu około dwudziestej trzeciej. Możesz się tam ze mną spotkać?

– Oczywiście. Do zobaczenia na miejscu. Nie martw się o ewentualne spóźnienie. Poczekam.

– Dziękuję, Tommy. Naprawdę doceniam twoją pomoc.

– Jestem ci to winien, Smoky. Do zobaczenia dziś w nocy.

Rozłączam się, zamyślona. Tommy zdecydowanie jest bardzo zasadniczy.

Patrzę na Callie, która kończy konwersację przez telefon.

– I co?

– Udało mi się złapać Gene'a, kochaneczko. Właśnie organizuje wysyłkę kopii raportu do doktora Childa.

– Ile czasu potrzebujesz na przygotowanie zestawu do badania miejsca zbrodni, Callie?

Unosi brwi zaskoczona.

– Zależy od tego, czy Gene ma już jakiś pod ręką... Pół godziny?

– Idź do niego i sprawdź. Przygotuj wszystko. Jeżeli okaże się, że mamy nowe miejsce zbrodni, chcę, żebyś sprawdziła je najpierw z Gene'em, zanim wpuszczymy tam policyjnych techników. To będzie nasza pierwsza okazja, by zobaczyć wszystko na świeżo.

– Nie ma sprawy, kochaneczko. – Callie wybiega z biura.

I nagle doznaję typowego dla mnie olśnienia. Nie powinam się dziwić. Wpadłam w rytm, prę do przodu, jestem skupiona i wszystkie zmysły mam wyostrzone na maksa.

– Leo, James, posłuchajcie – zaczynam, podekscytowana. – Za każdym razem, gdy zabijali, zapisywali się na listę subskrybentów odpowiednich stron internetowych, prawda?

– No tak.

– I za każdym razem wybierali ten sam login i hasło. Więc...

Widzę, jak oczy Leo robią się wielkie.

– Racja! Więc jest szansa, że zdążyli już wybrać następną ofiarę i zapisali się na jej stronę, być może również używając tych samych danych. A jeśli nie tych samych, to w podobnym stylu. Aluzja do Rozpruwacza.

Uśmiecham się szeroko.

– Dokładnie. Nie sądzę, żeby istniało zbyt wiele firm, które pobierają opłaty za korzystanie z usług internetowych dla dorosłych.

– I masz rację. Jest ich mniej niż tuzin.

– Musimy się skontaktować z nimi wszystkimi, James. Ty i Leo. Niech przeszukają swoje bazy danych pod kątem tej kombinacji loginu i hasła oraz jego odmian. A potem musimy dopasować je do strony internetowej. Mówię tu o wyrywaniu ludzi ze snu.

James spogląda na mnie z niechętnym podziwem.

– Kompetentne. Bardzo kompetentne.

– Dlatego jestem szefem i zarabiam kupę szmalu.

Brak komentarza z jego strony jest równoznaczny z komplementem.

Rozmawiam z Alanem przez komórkę.

– Mamy miejsce zbrodni, Smoky – mówi.

– Kto jest detektywem prowadzącym z ramienia LAPD?

– Barry Franklin. Chce z tobą porozmawiać.

– Dawaj go.

Następuje przerwa, po której słyszę niezadowolony głos Barry'ego.

– Smoky, co z tym zabranianiem nam wstępu na scenę zbrodni?

– To nie tak, Barry. Zupełnie nie tak. Po prostu to nasza pierwsza możliwość zobaczenia miejsca zbrodni popełnionej przez tego konkretnego przestępcę na świeżo. Wiesz, jak to jest.

Znów chwila ciszy i głębokie westchnięcie.

– Jasne. Czy przynajmniej ja mogę tam wejść? Wiesz, że niczego nie spieprzę.

– Pewnie, że tak. Możesz oddać telefon Alanowi?

– Oczywiście.

– I co, możemy się rozejrzeć po scenie zbrodni jako pierwsi? – pyta Alan.

– Tak. Wyjeżdżamy z Callie i Gene'em za pięć minut. Do zobaczenia na miejscu.

– Mamy też nazwisko, Smoky. Charlotte Ross.

– Dzięki. – Rozłączam się.

Charlotte Ross. Rozwiązała? Owszem. Wątpliwej moralności? Być może. Żadna z tych cech nie usprawiedliwia jednak kary w postaci tortur,

gwałtu i śmierci.

[25] Ang. „Chciałbym, żeby wszystkie były kalifornijskimi dziewczynami”, fragment tekstu piosenki zespołu The Beach Boys pt. *California Girls* (przyp. tłum.).

Godziny szczytu kończą się koło dwudziestej, więc dość szybko docieramy pod wskazany adres w Woodland Hills. Jest to mały jednopoziomowy domek, niezbyt prestiżowy, ale ładny i pasujący do okolicy.

Parkuję i wszyscy wysiadamy z samochodu, ruszając do drzwi wejściowych, gdzie czeka już na nas Alan.

– Gdzie jest Barry? – pytam.

– Nadal w środku. – Alan wskazuje kciukiem na drzwi.

– Zdążyłeś się już rozejrzeć?

– Nie. Wiedziałem, że będziesz chciała wszystko zobaczyć jako pierwsza.

Zna mnie dobrze. Lata pracy razem budują ten rodzaj symbiozy.

Wsadzam głowę za drzwi i wołam Barry’ego. Wyłania się z jakiegoś pokoju i rusza w moim kierunku, wychodząc na ganek.

– Dzięki Bogu. – Wkłada ręce do kieszeni płaszcza. – Potrzebowałem wymówki, żeby wyjść stamtąd na papierosa. – Wyciąga paczkę i zapala. Zaciąga się głęboko i wypuszcza kłęb dymu z błogą miną. – Chcesz się poczęstować?

– Nie, dziękuję. – Ze zdumieniem stwierdzam, że mówię to szczerze. Potrzeba palenia wyparowała ze mnie gdzieś pomiędzy chwilą, gdy dowiedziałam się o moim udziale w śmierci Alexy, a tym, gdy znów wzięłam mój pistolet do ręki.

Cieszę się, że Barry jest detektywem prowadzącym przydzielonym przez LAPD. Mamy szczęście. Znam tego człowieka od niemal dziesięciu lat. Jest niskim, pulchnym, łysiejącym facetem, który nosi okulary i ma jedną z najbrzydszych twarzy na świecie. W jakiś sposób jednak pomimo

wszystkich tych wad Barry zawsze umawia się z pięknymi, młodszymi od siebie kobietami. Po prostu coś w nim jest: człowiek ma wrażenie, że Barry jest dużo większy niż jego ciało. Poza tym jest niesłychanie pewny siebie, ale bez arogancji. Dla wielu kobiet ta kombinacja wiary w siebie oraz dobrego serca okazuje się nie do odparcia. Przy okazji Barry jest również genialnym detektywem wydziału zabójstw. Naprawdę bardzo utalentowanym. Gdyby pracował w FBI, natychmiast ściągnęłabym go do mojego zespołu.

– Nie możesz się doczekać inspekcji sceny? – pyta.

– Najpierw podaj mi podstawowe informacje. Zanim wejdę do środka.

Kiwa głową i zaczyna wyliczać z głowy. Nie używa żadnych notatników. Nie musi – ma fotograficzną pamięć.

– Ofiarą jest dwudziestoczteroletnia Charlotte Ross. Została znaleziona przywiązana do łóżka, już nieżywa. Rozcięta od mostka do miednicy. Narządy wewnętrzne zostały najwyraźniej usunięte, zapakowane w torebki i ułożone obok ciała. Ofiara jest ogromnie posiniaczona na ramionach w okolicy łokci oraz na nogach w okolicy kolan. Wyglądają na połamane. Wydaje się, że przestępca czymś ją pobił.

– Owszem, pałką.

– Skąd wiesz? – Patrzy na mnie zdziwiony.

– Wysłał mi film z nagraniem morderstwa. To druga kobieta, o której wiemy, potraktowana przez niego w podobny sposób.

– Nie mamy oficjalnego czasu zgonu, ale zgaduję, że minęły przynajmniej trzy dni. Jest dość „dojrzała”.

– To by się zgadzało z generalnym planem.

Zaciąga się znowu i spogląda na mnie z dozą szacunku.

– O co tu biega, Smoky?

– A o co zawsze biega, Barry? O psychola, który syci się bólem i cierpieniem innych. – Pocieram oczy. Jestem zmęczona. – Ten morderca bierze na cel kobiety, które prowadzą własne strony dla dorosłych w Internecie. Jest... – Waham się. – To wszystko musi na razie zostać między nami, Barry. Nie jestem gotowa na pójście z tym do prasy.

– Nie ma problemu.

– Po pierwsze, „on” jest „nimi”. Jest ich dwóch, ale naszym zdaniem jeden z nich jest pomysłodawcą i dominującym partnerem. Poza tym

mają obsesję na punkcie mojego zespołu. Pierwszą ofiarą była moja przyjaciółka z czasów szkoły średniej. Moja najlepsza przyjaciółka, o czym mordercy wiedzieli.

Barry krzywi się z niepokojem.

– O cholera, Smoky.

– To, co opisałeś, wygląda jak ich *modus operandi*. Zabili moją przyjaciółkę, podrzynając jej gardło. To akurat różni się od obecnej zbrodni, jednak usunięcie narządów wewnętrznych to zdecydowanie ich specjalność. Morderca, który naszym zdaniem jest dominującym partnerem, twierdzi, że jest potomkiem Kuby Rozpruwacza.

Na twarzy Barry'ego pojawia się wyraz obrzydzenia.

– Gówno prawda.

Potakuję.

– Zdecydowanie. Mamy na to dowody.

– Jak chcesz się do tego zabrać?

– Najpierw chcę obejrzeć scenę zbrodni sama. Potem Gene i Callie zrobią dla mnie wstępną analizę kryminalistyczną. Po wszystkim twoi technicy mogą wejść i zająć się szczegółowym badaniem i zbieraniem dowodów, byle tylko zrobili to szybko. Będę również potrzebowała kopii ich raportu z wynikami.

– Rozumiem. – Wychodzi na ulicę, żeby zgasić niedopałek. Nie chce zanieczyścić miejsca przestępstwa. Wraca do mnie i wskazuje na drzwi.

– Chcesz ją teraz zobaczyć?

– Tak. – Spoglądam na Alana, Gene'a i Callie. – Alan, wracaj do domu, do swojej żony. Nie ma powodu, żebyś tu sterczał.

Waha się, ale koniec końców kiwa głową na zgodę.

– Dzięki. – Odwraca się i odchodzi.

– Callie, będę tam może dwadzieścia do trzydziestu minut. Jak skończę, możecie się zająć oględzinami.

– Nie ma problemu, kochaneczko. Rób swoją robotę.

Staję przy drzwiach na chwilę, wsłuchując się w swoje myśli. Po chwili zaczynam rozpoznawać ten odgłos: *tak-to-to, tak-to-to, tak-to-to*. Czuję ogarniający mnie chłód i wokół mnie otwiera się nagle ogromne, bezwietrzne pole. Słyszę mroczny pociąg i jestem gotowa, żeby go zobaczyć. Muszę go jedynie znów odnaleźć i dowiedzieć się, jakimi torami przejechał przez to miejsce.

Wchodzę do środka. Mieszkanie nie jest eleganckie, ale panuje tu czystość i zauważalna jest prostota wyposażenia. Wygląda jak dom kogoś, kto dawniej za bardzo się starał, lecz wreszcie postanowił zapomnieć o pretensjonalności. To trochę smutne. Rozczarowanie nie było jeszcze sposobem na życie, choć ten dzień już nadchodził.

A właściwie już nadszedł, myślę.

Odór śmierci przenika całe pomieszczenie niczym okleina rozkładu i zaniedbania wewnątrz mieszkania. Nie wyczuwam żadnych perfum, tylko smród morderstwa, żywy i realny. Gdyby dusze miały swój zapach, tak właśnie cuchnęłaby dusza Rozpruwacza Juniora.

Spoglądam w prawo od dużego pokoju i widzę kuchnię. Szklane rozsuwane drzwi prowadzą na patio na tyłach domu, w chłodną ciemność nocy. Podchodzę i przyglądam się zamkowi. Jest standardowy, tani, ale nikt się tu nie włamał.

– Pewnie znów zapukałeś do drzwi, co? – mruczę do siebie. – Ty i twój koleżka. Czy ukrył się z boku, kiedy ty stałeś przed wizjerem? Gotowy do zaatakowania jej w najmniej spodziewanym momencie?

Przychodzi mi do głowy, że zaplanowanie ataku na Annie na godzinę siódmą wieczorem być może zostało podyktowane czymś więcej niż tylko brawurą. To czas, kiedy ludzie wracają do domu, właśnie do niego przybyli lub uspokajają się po niedawnym powrocie – zmieniają się i nie chcą nic wiedzieć o świecie zewnętrznym.

– Czy tutaj też postąpiłeś tak samo? Przyszedłeś tu sobie tak po prostu, spacerkiem, cały w uśmiechach i zapukałeś do drzwi? Czy któryś z was trzymał ręce w kieszeni, w geście beztroski?

To właśnie wyczuwam, bardzo mocno. *Czu-czu, czu-czu, czu-czu.*

Ich arogancję.

Jest wczesny wieczór, kiedy parkują przed domem dziwki. Czemu nie? W końcu w postojach przy krawężniku nie ma nic dziwnego. Wsiadają z samochodu, rozglądają się. Panuje tu spokój, jeśli nie całkowita cisza. Ulica jest pusta, ale nie pogrążona w kompletnym bezruchu. Zapada zmierzch i można wyczuć życie, ruch skryty za ścianami domów. Mrówki w swoich mrowiskach.

Mordercy podchodzą do drzwi jej domu. Wiedzą, że jest w środku. Wiedzą o niej wszystko. Jeszcze jedno spojrzenie na ulicę, by upewnić się, że nikt im się nie przygląda. Morderca puka do drzwi. Po chwili kobieta

otwiera...

I co potem? Rozglądam się po korytarzu. Nie widzę żadnej porzuconej poczty, żadnych śladów szamotaniny. Czuję jednak znowu tę ich arogancję.

Zrobili najprostszą rzecz pod słońcem – po prostu popchnęli ją do środka i weszli, zamykając za sobą drzwi. Wiedzieli, że ich nie powstrzyma. Większość z nas nie zareaguje natychmiastowym atakiem. Zamiast tego ludzie szukają przyczyny, zastanawiają się, dlaczego coś się dzieje. I właśnie ten moment wahania i zdumienia myśliwy wykorzystuje, by zyskać przewagę.

Być może kobieta zareagowała szybko. Może otworzyła usta, żeby krzyknąć, gdy drzwi się jeszcze nie zamknęły. Ale mordercy byli przygotowani na taką okoliczność. Tylko w jaki sposób? Zagrozili jej nożem? Nie. Tym razem nie było tu dziecka, które mogli wykorzystać jako argument przetargowy. Musieli uciec się do bardziej bezpośredniej groźby. Pistolet? Tak. Nic tak nie ucisza, jak widok czarnego tunelu lufy pistoletu.

– Zamknij się albo umrzesz – powiedział jeden z nich. Jego głos z pewnością był spokojny i zasadniczy. Jeszcze bardziej by to ją przeraziło i uwiarygodniło ich groźbę. Kobieta wyczułaby, że ma przed sobą kogoś, kto nie zawaha się przed strzałem i kogo nie wzruszą jego skutki.

Ruszam w kierunku sypialni. Odór jest tu dużo silniejszy. Rozpoznaję to miejsce z filmu wideo. Pokój urządony jest w odcieniach różu – gustownie i po kobiecemu. Opowiada o młodości. O beztrudnej radości.

W samym środku tej łagodności znajduje się ta straszna rzecz.

Ona. Martwa i rozkładająca się, nadal przywiązana do łóżka.

Umarła z otwartymi oczami. Jej nogi są szeroko rozłożone. Wiem, że mordercy celowo zostawili ją w takiej pozycji. Żeby się przed nami pochwalić: *Miałem ją, mówią. Ona jest nikim. Bezwartościową kurwą. Była NASZA.*

Widzę zestaw torebek na łóżku. Podczas gdy ciało kobiety jest odzwierciedleniem przemocy, chaosu i deprawacji, torebki stanowią diametralny kontrast. Są ułożone jedna obok drugiej w bardzo porządnym sposobie, dokładnie w linii prostej. To również rodzaj przechwałki: *Widzicie, jacy jesteśmy uzdolnieni?* A może mówią językiem, który tylko

oni rozumieją? Może wypisują krwawe piktogramy, a my nie potrafimy ich odszyfrować?

Tchnie to wszystko metodycznym rytuałem. Jest to coś, co zrobiłby Kuba Rozpruwacz, więc jego cienie postępują tak samo. Jestem zaintrygowana stopniem koncentracji morderców. Byli zainteresowani kobietą – tylko i wyłącznie. Nie dotknęli ani nie zniszczyli niczego innego w tym pokoju. Ich potrzeba posiadania nie rozciągała się na całe otoczenie. Ofiara im wystarczyła.

Wchodzę do pokoju i rozglądam się. Jest tu mnóstwo książek, z oślimi uszami i poustawianych bez ładu i składu. To nie są wypełniacze przestrzeni – kobieta dużo czytała. Pochylam się i spoglądam na tytuły. Uderza mnie mieszanina smutku, ironii i gorzkiego humoru. Widzę powieści kryminalne oparte na prawdziwych wydarzeniach, wiele z nich traktuje o seryjnych mordercach.

– *Helter Skelter*^[26] – mruczę pod nosem.

Odwracam się do łóżka i mrużę oczy, dostrzegając skłębione ubranie kobiety na podłodze. Podchodzę bliżej, pochylam się i przyglądam uważnie, bez dotykania. Ramiączko biustonosza jest rozdarte, podobnie jak majtki. Kobieta nie zdjęła ich z siebie sama. Zostały usunięte siłą.

Wstaję i spoglądam na martwą twarz zastygłą w grymasie wiecznego krzyku.

– Broniłaś się przed nimi, Charlotto? – pytam. – Kiedy kazali ci się rozebrać, powiedziałaś im, żeby poszli sobie do diabła?

Kobieta stoi obok łóżka, ubrana jedynie w bieliznę. Dygocze z napędzanego adrenaliną strachu. Jeden z morderców celuje w nią z broni.

– *Wszystko – mówi. – Zdejmuj wszystko. Natychmiast.*

Kobieta patrzy na niego, a potem na jego towarzysza. W przeciwieństwie do Annie rozumie, zanim jeszcze przywiążą ją do łóżka.

Te puste spojrzenia.

Charlotte rozumie.

– *PIERDOLCIE SIĘ!* – krzyczy, rzucając się na nich, wymachując pięściami i kopiąc. – *POMOCY! POMOCY!*

Znów patrzę na jej ciało i dostrzegam siniaki wokół oczu. Czy nabili je przed czy po przywiązaniu jej do łóżka? Nigdy nie dowiem się na pewno.

Uznaję, że stało się to przed przywiązaniem. Tak naprawdę nie ma to znaczenia, ale czuję się trochę lepiej, myśląc, że tak właśnie mogło być.

Morderca jest wściekły, że ta maciora dotknęła go swoimi kurewskimi rękami. Przez chwilę czuje również strach. Te krzyki muszą się skończyć. Uderza ją pięścią w brzuch tak, że kobieta traci oddech i zgina się wpół.

– Przytrzymaj jej ręce za plecami – nakazuje swojemu „cieniowi” głosem ociekającym wściekłością.

Kobieta krztusi się i dusi. Drugi morderca chwytą ją za łokcie i wykręca jej ręce do tyłu.

– Musisz się nauczyć posłuszeństwa, dziwko – mówi ten z bronią. Zamachuje się otwartą dłońią i wymierza jej siarczysty policzek. I jeszcze jeden. I następny. Głowa kobiety odskakuje po każdym ciosie. Morderca zdiera z niej stanik z brutalną siłą właściwą jedynie szaleńcom. Robi to samo z majtkami kobiety. Charlotte znów usiłuje krzyczeć, ale morderca uderza ją w splot słoneczny i okrasza ten cios paroma kolejnymi razami w twarz. Kobieta jest naga, ogłuszona, w uszach jej dzwoni, a z oczu płyną łzy. Myśli są czerwoną mgłą, kolana uginają się pod nią, kiedy usiłuje stanąć prosto.

Znów staje się łatwa do kontrolowania.

To uspokaja mordercę.

Zapewne do tej pory założyłby jej już knebel. Spoglądam na ręce i nogi, zauważam kajdanki. Zwracam uwagę na lewą dłoń. Podchodzę bliżej do zagłówka i nachylam się. Charlotte miała sztuczne paznokcie, ale ten z palca wskazującego został oderwany. Sprawdzam pozostałe paznokcie. Wszystkie są na miejscu. Przygryzam wargę w zamyśleniu.

Coś przychodzi mi do głowy. Cofam się na ganek.

– Masz latarkę? – pytam Barry’ego.

– Jasne. – Wręcza mi mały reflektorek.

Wracam do sypialni Charlotte, przyklękam obok łóżka i oświetlam przestrzeń pod spodem.

Widzę go.

Samotny paznokieć leżący na dywanie, tuż obok zagłówka. Mrużę oczy i dostrzegam coś, co wygląda jak kropla krwi, na samym czubku.

Wstaję i spoglądam na Charlotte z nagłym smutkiem. Zakradł się niczym cicha fala cierpienia. Wszystko z powodu tego jednego paznokcia. Ostatnia próba oporu, środkowy palec z za grobu.

Inni mogliby uznać to za wypadek, ale ja chcę widzieć inne rozwiązanie. Wspominam wszystkie te książki o seryjnych mordercach, które Charlotte uwielbiała czytać, jej fascynację tajemnicą, kryminalistyką i morderstwem. Widzę młodą dziewczynę o duszy wojowniczej, która wiedziała, że umrze.

– Przypnij tę dziwkę do łóżka – rozkazuje ten z pistoletem.

Drugi morderca pcha otumanioną dziewczynę na łóżko, chwytając ją za nadgarstki i...

– Auuu! Pieprzona CIPA! – wrzeszczy. – Ta głupia krowa mnie zadrapała!

– Więc przypnij ją już, do kurwy nędzy!

Znów uderza ją pięścią w brzuch, a potem siłą przyciska jeden nadgarstek do zagłówka i zatrzaskuje kajdanki. Robi to samo z drugim.

A może zrobiła to, gdy przypinał jej nogi? Może zajęło jej to nieco więcej czasu? Może było to coś, na czym mogła się skoncentrować w obliczu przerażenia, tortur i gwałtu? Tak, to całkiem możliwe. Widzę to.

Wszystko jest bólem, strachem i czerwoną mgłą. Zamierzają ją zabić. Kobieta to rozumie. Czytała o tym. Ale właśnie dlatego wie również o DNA. Zdaje sobie sprawę, co ma pod paznokciem.

Naciska na niego opuszkami kciuka, podważa coraz mocniej i mocniej, modląc się, żeby mordercy tego nie zauważyli, aż wreszcie...

Pstryk. Paznokcie odpada bezboleśnie. Kobieta nie słyszy, jak upada na dywan, ale gdzieś tam, w głębi duszy jej mała cząstka smuci się tym rozstaniem. W pewnym sensie ten paznokieć przeżyje to wszystko. W przeciwieństwie do niej.

Patrzy na mężczyznę z pistoletem, który uśmiecha się do niej.

Kobieta zamyka oczy i zaczyna płakać, myśląc o paznokciu.

Wie, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Prostuję się i mam wrażenie, jakby właśnie powiał zimny wiatr. Spoglądam na Charlotte.

– Znalazłam go – szepczę do niej. – Dokładnie tam, gdzie go dla mnie zostawiłaś.

– Co za chora, porąbana historia – mamrocze Barry. – Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

– To chyba dobrze, Barry? – Zerkam na niego.

Patrzy na mnie zaskoczony, a potem uśmiecha się krzywo.

– Fakt.

Callie i Gene szykują się, by wejść do środka. Powiedziałam wszystkim o paznokciu.

– Szybko się uwiną, więc w międzyczasie możesz spokojnie ściągnąć tu swoich ludzi z laboratorium kryminalistycznego, Barry. Zapędź ich do roboty i wyślij mi raport. Proszę. Przyrzekam, że się zrewanżuję. Jestem pewna, że ci goście są stąd. Jeżeli będzie to możliwe, zaproszę cię na ostatnie polowanie.

Potrząsa głową.

– Doceniam to, Smoky, ale nie przejmuj się tym. To jedna z tych spraw, gdy człowiek nie zważa na to, kto złapie przestępców, dopóki nie zostaną schwytani.

– W takim razie może ustalimy, że będziemy się dzielić na bieżąco informacjami?

– Taki układ mi pasuje.

– Co dokładnie chcesz, żebyśmy tam zrobili?

Gene spogląda na mnie z irytacją wypisaną na twarzy oraz mieszaniną podniecenia i złości w oczach. Cieszy się, że pracuje w terenie – po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, ale jednocześnie jest wkurzony, że to miejsce przestępstwa nie należy do niego w całości. Nie może go sobie „przywłaszczyć”.

– Chcę wszelkich rzucających się w oczy dowodów, które pomogłyby mi zbliżyć się do schwytania tego gościa. Laboratorium kryminalistyczne LAPD jest kompetentne. Mogą odwalić za was całą brudną robotę. Wy obejrzyjcie wszystko pod kątem czegokolwiek, co mogłoby nam pomóc już teraz.

– Mamy zabrać paznokiec? – pyta Callie.

Zastygam.

– Dostaniemy wyniki analizy DNA szybciej niż policja?

– Tak.

– W takim razie bierzemy paznokiec. Ale będziecie musieli zostać na miejscu do czasu przybycia techników z LAPD i wprowadzić go do rejestru ewidencyjnego. Lepiej, żebyśmy nie spieprzyli sprawy sądowej z powodu zakłócenia ciągłości dowodowej.

Gene zerka na Callie.

– Wolisz aparat czy światło UV?

– Wezmę aparat.

Callie będzie fotografowała miejsce przestępstwa, a w szczególności wszystko, co zdecydują się ruszyć lub zabrać ze sceny zbrodni. Gene wykorzysta przenośny emiter fal ultrafioletowych – mniejszą wersję aparatu, który Callie użyła w mieszkaniu Annie – aby odszukać włosy, ślady krwi, spermy i innych płynów ustrojowych.

– Idziemy.

Wchodzą do środka, a ja za nimi. Tym razem to ja jestem ignorowana. Callie i Gene rozpoczynają swój własny taniec. Przypominają mi Jamesa i mnie samą.

Callie pociąga nosem.

– Co o tym sądzisz, kochaneczku? Trzy dni po śmierci?

– Tak bym to oceniał.

Callie robi kilka zdjęć ofiary oraz zapakowanych w torebki narządów wewnętrznych.

Gene podchodzi do nich i przesuwa latarką UV nad nimi i dookoła.

– Nie ma śladów linii papilarnych. – Spogląda na mnie. – Oczywiście to pobieżna, a nie ostateczna obserwacja.

Przenoszą uwagę na ofiarę. Callie robi jeszcze parę zdjęć. Gene pochyla się nad Charlotte, badając jej prawą rękę.

– Widzisz ten brakujący paznokieć? – mówi do Callie, która natychmiast fotografuje dłoń.

– Paznokieć jest na dywanie, między łóżkiem a ścianą – podpowiadam.

Callie przykuca i wykonuje kilka zdjęć.

– Wygląda, jakby rzeczywiście były na nim ślady krwi i tkanek, Gene. – Znowu klika parę razy.

Gene przykłada i oświetla obszar pod łóżkiem latarką UV.

– Dużo tu pyłu – mówi. – Nie chcę niczego zaburzyć, interesuje mnie tylko ten paznokieć... – Wręcza Callie latarkę, sięga do kieszeni i wyjmuje małą pęsetę i torebkę dowodową. Obserwuję go, jak wyciąga się, usiłując nie dotykać dywanu podczas podnoszenia paznokcia. Po chwili wstaje, trzymając w dłoni zamkniętą torebkę. – Może wyizolujemy z tego jakieś DNA.

– Jak długo? – pytam.

– Dwadzieścia cztery godziny. – Gene wzrusza ramionami. Chcę zaprotestować, ale ucisza mnie machnięciem. – To i tak kosmicznie szybko, Smoky. Dwadzieścia cztery godziny i kropka.

Wzdycham.

– W porządku.

Gene przejmuje z powrotem emiter fal ultrafioletowych i przeciąga nim nad Charlotte, rozpoczynając od głowy i przesuwając się w dół, po szyi, otwartym torsie i nogach.

– Nie widzę żadnych oczywistych śladów ejakulatu na ciele. Krew oczywiście jest wszędzie. Nie można wyciągnąć żadnych wniosków wyłącznie na podstawie obserwacji gołym okiem.

Callie robi kolejne zdjęcia.

– Myślę, że najlepszym i najszybszym dowodem będzie DNA na paznokciu – mówi Gene do mnie. – Ponieważ wygląda na to, że rozegrała się tu jakaś walka, powiem technikom z laboratorium policyjnego, by zachowali szczególną ostrożność podczas zbierania dowodów, zwłaszcza jeśli chodzi o stanik i majtki.

– To wszystko?

– Na razie, kochaneczko – odpowiada Callie. – Ale paznokieć ma duży potencjał, nie sądzisz?

– Tak. Oczywiście, że tak. – Zerkam na zegarek. Jest już niemal dwudziesta trzecia. – Muszę wracać. Miałam się spotkać w domu ze specjalistą do spraw ochrony, Callie. Zostańcie tutaj i zaczekajcie na ludzi z kryminalistyki. Gene, *proszę*, zabierz się od razu za to DNA.

– Najszybciej, jak będę mógł. – Spogląda na Charlotte.

Kobieta nadal krzyczy.

[26] Tytuł utworu Beatlesów (nazwa zjeżdźalni w parku rozrywki), zinterpretowanego przez Charlesa Mansona jako zapowiedź ogólnej zagłady i upadku cywilizacji. Piosenka ta miała być dla niego przesłaniem prowadzącym w 1969 roku do masowego mordu dokonanego na żonie i przyjaciółach Romana Polańskiego (przyp. tłum.).

– Jak ona się czuje? – pytam. Mój głos wydaje się wyczerpany, nawet mnie samej.

– W porządku. Obudziła się po południu i pooglądałyśmy trochę telewizję. Pomogła mi przygotować obiad. Zwykle rzeczy. Teraz śpi.

– Elaina... – Waham się.

– Może zostać u nas na noc, Smoky. I tak zamierzałam to zasugerować. Poza tym wydajesz się pólżywa, a nie ma żadnego powodu, żeby ją teraz budzić.

Stara dobra empatia. Czuję się winna, lecz niewystarczająco, by odrzucić jej ofertę.

– Dzięki. Jestem zmęczona, ale obiecuję, że nie wejdzie mi to w nawyk. I zadzwonię do niej rano.

– Zdrzemnij się trochę, Smoky.

Czy w tych samych okolicznościach zostawiłabym Alexę z Elainą? Zastanawiam się nad tym, jadąc do domu. Odpycham od siebie tę myśl. Wrzucam do szuflady, zamykam na klucz i sprzedaję dom, w którym znajduje się szuflada.

Przybywam do domu nieco po dwudziestej trzeciej. Boże, to był istny maraton.

Tommy już na mnie czeka. Jego punktualność wcale mnie nie dziwi – to w jego przypadku nie jest wyuczona cecha, lecz część jego osobowości.

Wysiada z samochodu, kiedy podjeżdżam. Podchodzi do mnie, gestem nakazując, żebym opuściła szybę.

– Wjedź do garażu – mówi. – Mogą cię obserwować. Gdy już będziesz w środku, nie odzywaj się, dopóki nie sprawdzę, czy nie ma tam podsłuchu.

– Jasne.

Otwieram drzwi do garażu za pomocą pilota i parkuję w środku. Tommy pojawia się po chwili, z plecakiem na ramieniu. Wyłączam silnik i wysiadam.

Przyglądam się w milczeniu, jak przeszukuje pomieszczenie w celu ujawnienia ewentualnych aparatów podsłuchowych. Używa do tego wyrafinowanego sprzętu, który potrafi wykrywać częstotliwości aż do czterech gigaherców. Nie spieszy się, sprawdza wszystko metodycznie, całkowicie koncentrując się na zadaniu. Zabiera mu to niemal dziesięć minut. Po skończeniu bierze się za bardziej bezpośrednią inspekcję: nie wystarczy użyć wykrywacza, trzeba również poszukać urządzeń inwigilacyjnych tradycyjną metodą.

Opieram się o ścianę i obserwuję Tommy'ego przy pracy. Nie widziałam go od wielu lat. Wygląda świetnie, jak zwykle. Tommy ma w sobie latynoską krew i jest przystojny właśnie w tym stylu. Ma czarne falujące włosy, głębokie ciemne oczy, a na lewej skroni małą niedoskonałość: bliznę, której obecność w jakiś sposób tylko dodaje mu seksapilu. Nie ma ani surowej urody, ani nie jest lalusiowaty. Sytuuje się gdzieś pomiędzy i bardzo mu z tym do twarzy. Jest męskim odpowiednikiem Callie. Nie przejawia tylko tego samego entuzjazmu do życia co ona – czuje się wygodnie w ciszy i bezruchu. Kiedy siedzi, słuchając cię, nigdy się nie wierci, nie bawi się palcami ani nie wybija rytmu stopami. Nie dlatego, że jest spięty – wręcz przeciwnie, wydaje się zawsze zrelaksowany, pewny siebie. Po prostu nie ma potrzeby bycia w ciągłym ruchu. Wszystko koncentruje się w jego wzroku – zawsze czujnym, skupionym, pełnym zainteresowania. Podejrzewam, że to pozostałość po pracy w służbach specjalnych. Spokój i zdolność obserwacji są niezbędne w tej profesji.

Tommy nie jest zbyt rozmowny. Wiem, że nigdy się nie ożenił. Nie mam pojęcia, czy miał wiele kochanek, czy tylko parę, i z jakiego powodu odszedł ze służb specjalnych. Z tego, co słyszałam, to raczej służby pozbyły się jego. Kiedy sprawdzałam jego przeszłość, nic nie znalazłam, a nie chciałam kopać zbyt głęboko, żeby nie wyjść na wścibską osobę. Wiem to, co muszę wiedzieć: że Tommy jest dobry w tym, co robi; ma siostrę, którą kocha, i matkę, którą wspiera. To podstawowe rzeczy, bardzo pogładowe – rzeczy, które wiele mówią o charakterze danej

osoby. Zastanawiam się jednak nad nieodkrytymi stronami Tommy'ego. Nie mogę się temu oprzeć.

Dźwięk jego głosu wytrąca mnie z zamyślenia.

– Nie znalazłem żadnych pluskiew. Zresztą wątpię, żeby jakieś tu były. Na pewno nie zakładali, że spędzasz w garażu dużo czasu.

– I mieli rację.

– To samochód, który zwykle prowadzisz?

– Owszem.

Podchodzi do wozu od tyłu i zagląda pod spód. Obserwuję, jak wczółguje się coraz głębiej i głębiej.

– Znalazłem. Wysokiej klasy urządzenie z systemem śledzenia GPS. Bardzo profesjonalne. – Wydostaje się spod mojego samochodu. – Z takim czymś i przy odpowiednim oprogramowaniu mogą cię śledzić za pomocą laptopa. Zakładam, że chcesz to na razie zostawić tam, gdzie jest.

– Nie chcę, by zdali sobie sprawę, że wiem o tej pluskwie. Kiedy będziesz mnie obserwował, może uda ci się któregoś z nich dostrzec.

– Rozumiem. Powiedziałaś, że byli w twoim domu?

– Tak. Zmieniłam po tym zamki.

– Ale to oznacza, że mogli zainstalować pluskwy kiedykolwiek wcześniej. Chcesz, żebym ich poszukał? To może zająć kilka godzin.

– Jeżeli tu są, chcę o tym wiedzieć, ale na razie zostaw je na miejscu.

Tommy bierze swoją torbę.

– W takim razie prowadź do środka i zaraz zabieram się do pracy.

Na samym początku Tommy sprawdził mój telefon. Przeszukuje teraz systematycznie wszystkie pokoje, a ja dzwonię po kolei do członków mojego zespołu.

– Na jakim etapie jesteście z tropieniem naszych zestawów login-hasło, James?

– Zajmie nam to całą noc. Sprawdzamy właścicieli różnych firm.

– Zostań przy tym.

James rozłącza się bez odpowiedzi. Nadal jest dupkiem.

Callie siedzi w laboratorium z Gene'em, który zgodnie z obietnicą pracuje nad DNA.

– Wydzwania po ludziach, którzy mają u niego dług, i prosi o pomoc,

Smoky. Wyciąga ich z łóżek. Nasz Gene jest bardzo zdeterminowany.

– Dziwisz się?

– Nie. Nie obchodzi mnie, czym ta dziewczyna zajmowała się za życia, kochaneczko. Była młoda. Z czasem mogła się zmienić, wybrać inną profesję. Morderca odebrał jej tę możliwość.

– Wiem, Callie. I właśnie dlatego musimy go dorwać. Pracuj dalej, ale jeśli będziesz miała okazję, zdrzemnij się trochę.

– Ty też, Smoky.

Do Alana dzwonię na samym końcu i informuję go o tym, że Bonnie została na noc w jego domu.

– Jasne, nie ma problemu. – Przerywa na chwilę. – W przyszłym tygodniu Elaina zaczyna chemioterapię.

Gula w gardle pojawia się tak często, że powoli się zaprzyjaźniamy.

– Wszystko będzie dobrze, Alan.

– Szklanka w połowie pełna, co?

– Dokładnie.

– Dobranocka. – Rozłącza się, zostawiając mnie w zawieszaniu.

Nadal słyszę, jak Tommy chodzi po domu. Jest tu cicho i pusto. Zdażyłam się już stęsknić za Bonnie. Okoliczności, w jakich się tu pojawiła, były okropne i gdybym mogła je zmienić, zrobiłabym to. Prawda jednak jest taka, że za nią tęsknię. Jej nieobecność rezonuje we mnie głośnym echem.

Zdaję sobie sprawę, że bardziej niż zwykle chcę zamknąć to śledztwo i to nie tylko ze standardowych powodów. Chcę oczyścić ulice z Rozpruwacza Juniora i jego szaleństw, ale pragnę również wreszcie zacząć tworzyć dom dla Bonnie. Myślę o przyszłości i pragnę jej. To coś, czego nie czułam od dnia, gdy zabiłam Josepha Sandsa.

Tommy nadal chodzi po domu. Włączam telewizor w dużym pokoju i sadowię się na kanapie, szykując się na długie czekanie.

Mam dwanaście lat i jest lato. Piękne lato. Mój tata nadal żyje, a ja nie mam pojęcia, że zanim skończę dwadzieścia jeden lat, jego już nie będzie na tym świecie. Jesteśmy na plaży Zuma^[27], siedzimy na gorącym piasku. Czuję chłodne kropelki oceanu wysychające na mojej skórze, słony smak na ustach. Jestem młoda, bawię się na plaży, a mój tata mnie kocha.

To idealny moment.

Ojciec patrzy w niebo. Kiedy przyłapuje moje spojrzenie, uśmiecha się i potrząsa głową.

– O co chodzi, tatusiu?

– Myślałem właśnie o różnych rodzajach słońc, kochanie. Każde miejsce ma swoje słońce, wiesz o tym?

– Naprawdę?

– O tak. W Kansas mamy pszeniczne słońce, w Bangor w stanie Maine słońce wygląda zza szarych chmur, rozświetlając szare niebo. Jest też słońce Florydy, coś w rodzaju lepkiego złota. – Spogląda na mnie. – Moim ulubionym słońcem jest to kalifornijskie: suche, upalne słońce na tle błękitnego bezchmurnego nieba. Jak dzisiaj. Takie słońce mówi nam, że wszystko się dopiero zaczyna, że wydarzy się coś ekscytującego. – Patrzy ku niebu, zamyka oczy i pozwala swojemu ukochanemu słońcu ogrzać jego twarz. Rześka morska bryza tarłosi mu włosy. To był pierwszy raz, kiedy pomyślałam, że mój tata jest piękny.

Nie rozumiałam wszystkiego, co wtedy mówił, ale to nie miało znaczenia. Wiedziałam, że dzieli się ze mną czymś osobistym, ponieważ mnie kocha.

Kiedykolwiek myślę o swoim ojcu – o jego istocie – wspominam właśnie ten moment.

Mój tata był niezwykłym człowiekiem. Mama umarła, gdy miałam dziesięć lat. Chociaż tata często się potykał, nigdy nie upadł. Nigdy nie zostawił mnie samej sobie, pograżając się tymczasem w żałobie. W tę jedną rzecz nigdy nie musiałam wątpić – w to, że tata mnie kochał, bez względu na to, co się działo.

Budzę się pod czyimś dotykiem i zrywam się z kanapy, otwierając oczy i jednocześnie wyciągając broń. Dopiero po kilku minutach udaje mi się zarejestrować, że to Tommy. Nie wygląda na zaniepokojonego. Po prostu stoi spokojnie, z rękoma wzdłuż ciała. Opuszczam broń.

– Przepraszam – mówi.

– Nie, to ja przepraszam, Tommy.

– Skończyłem przeszukiwanie domu. Znalazłem tylko podsłuch w twoim telefonie. To prawdopodobnie dlatego, że mieszkasz sama. Telefon jest jedyną rzeczą wartą podsłuchiwania, chyba że mówisz do samej siebie.

– Podobnie jak komórka i samochód?

– Tak. Proponuję następujące rozwiązanie: prześpię się tutaj, na kanapie. Jutro rano, kiedy wyjedziesz do pracy, będę ci siedział na ogonie.

– Jesteś pewien, Tommy? Chcesz tu zostać?

– Jesteś teraz moją klientką, Smoky. Moim zadaniem jest ochrona ciebie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Skłamałabym, mówiąc, że mi się to nie podoba. Dzięki.

– Nie ma problemu. Jestem ci to winien.

Patrzę na niego przez długą chwilę.

– Wiesz, Tommy, tak naprawdę nic mi nie jesteś winien. Po prostu robiłam to, co do mnie należy. Wątpię, abyś uważał, że każda osoba, którą chronięś, jeszcze pracując w służbach specjalnych, jest ci winna przysługę.

– Nie. – Spogląda na mnie. – Choć *oni* tak właśnie uważali, ponieważ chodziło o ich własne życie. Ty zostałam przy mnie w najgorszych chwilach. Bez względu na twoją opinię na ten temat, jestem ci winien przysługę i tyle. – Milczy przez moment. – Żałuję tylko, że nie było mnie tutaj, kiedy pojawił się Sands.

Uśmiecham się do niego.

– Ja też.

Kiwa głową.

– Ale teraz tu jestem, dla ciebie. Połóż się, Smoky, wypocznij. Nie musisz się o nic martwić. – Patrzy na mnie wzrokiem, w którym nagle widzę lód i skałę. Zmrożony granit. – Ktokolwiek chce się do ciebie zbliżyć, będzie musiał zmierzyć się ze mną.

Obserwuję Tommy'ego wnikliwie i myślę o śnie o moim ojcu, o wszystkim, co się wydarzyło. Wszystkim, co mogło się wydarzyć. Zaglądam w jego głębokie ciemne oczy. Spoglądam na jego przystojną twarz. Czuję tęsknotę.

– Co się dzieje? – pyta łagodnie.

Nie odpowiadam. Zamiast tego ku własnemu zaskoczeniu pochylam się i całuję go w usta. Tommy sztywnieje i odpycha mnie od siebie.

– Hej... – zaczyna.

Wbijam wzrok w podłogę. Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Czy jestem aż tak odrażająca, Tommy?

Zapada cisza. Tommy ujmuję mnie za brodę i podnosi moją głowę. Nie chcę widzieć jego miny – jego odrazy.

– Spójrz na mnie – żąda.

Robię to i moje oczy stają się wielkie jak spodki. W spojrzeniu Tommy’ego nie ma odrazy, tylko łagodność wymieszana z gniewem.

– Nie jesteś odrażająca, Smoky. Zawsze uważałem cię za cholernie seksowną kobietę. I nadal tak jest. Rozumiem, że w tej chwili chcesz bliskości. Nie wiem tylko, czy to by nas gdzieś doprowadziło.

Patrzę na niego, czując absolutną szczerłość jego słów.

– Czy przestałbyś mnie szanować, gdybym ci powiedziała, że nic mnie to nie obchodzi? – pytam zaciekawiona.

– Nie. – Potrząsa głową. – Ale to akurat żaden problem.

– W takim razie... co?

Rozkłada ręce.

– To, czy ty przestałabyś szanować mnie.

Jego słowa sprawiają, że zastygam. Nagle czuję się dobrze. Pochylam się ku niemu.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Tommy. Ufam ci. Nie obchodzi mnie, gdzie nas to doprowadzi, jeżeli w ogóle doprowadzi. – Dotykam dłonią jego twarzy. – Jestem samotna, to prawda. Zostałam skrzywdzona, to również prawda. Ale nie o to chodzi. Po prostu chciałabym, żeby pragnął mnie jakiś mężczyzna. To wszystko. Myślisz, że to niewłaściwe?

Przygląda mi się uważnie, nie okazując żadnych emocji. Potem sięga ku mnie i ujmuję moją twarz w dłonie, przyciska usta do moich ust. Są miękkie i twarde jednocześnie. Jego język wślizguje się do środka i reaguję niemal natychmiast. Całe moje ciało wygina się, napierając na niego. Czuję jego twardą męskość przez materiał spodni. Tommy odsuwa się. Oczy ma w półprzymknięte z rozkoszy. Wygląda cholernie seksownie.

– Możemy iść na górę? – pyta.

Gdyby nie zapytał – gdyby zwyczajnie uznał, że możemy to zrobić w łóżku, które dzieliłam tylko z Mattem – odpowiedziałabym „nie”. Część mnie nadal chce to zrobić.

– Tak, proszę – mówię.

Tommy bierze mnie na ręce jednym płynnym ruchem i niesie mnie, jakbym nic nie ważyła. Wtulam twarz w jego szyję i wdycham zapach mężczyzny. Moja tęsknota staje się silniejsza. Brakowało mi tego –

zapachu mężczyzny. Pragnę czuć czyjaś skórę na mojej skórze. Nie chcę być sama.

Chcę poczuć się piękna.

Wchodzimy do sypialni i Tommy delikatnie kładzie mnie na łóżku. Zaczyna się rozbierać, a ja przyglądam się mu – i daję słowo, że warto. Reaguję całym ciałem. Tommy jest dobrze zbudowany, ale nie przesadnie umięśniony. Ma sylwetkę tancerza i owłosioną – ale nie do przesady – pierś, co według mnie jest seksowne. Kiedy ściąga spodnie i bokserki, wzdycham głośno. Nie z powodu widoku jego penisa – chociaż z całą pewnością nie da się go przeoczyć. Wzdycham na widok mężczyzny, nagiego mężczyzny, stojącego przede mną. Znowu. Czuję wzrastającą we mnie energię, niczym bezkształtną falę pędzącą ku mojemu wewnętrznemu brzegowi.

Tommy podchodzi do mnie, siada i zaczyna rozpinać mi bluzkę. Wątpliwości powracają.

– Tommy, ja... moje blizny. Są nie tylko na twarzy.

– Ciii... – Nadal mnie rozbiera. Ma mocne dłonie, w niektórych miejscach pokryte odciskami, w innych znów miękką skórą. Delikatne i szorstkie, tak jak on sam.

Rozpina moją koszulę i sadza mnie, żeby ją ściągnąć, a potem zdejmuje mi stanik. Kładzie mnie na łóżku i przygląda mi się. Kiedy widzę jego minę, cały strach ulatuje ze mnie. Nie ma tam odrazy lub współczucia. Wszystko, co widzę, to zachwyt, jaki mężczyźni czasem okazują, gdy staniesz przed nimi całkiem naga. To spojrzenie w stylu „Naprawdę? To wszystko dla mnie?”.

Pochyla się i całuje mnie znowu. Czuję jego pierś na mojej i moje sutki twardnieją, zmieniając się w pulsujące supernowe odczuć. Tommy całuje mnie w brodę, a potem przesuwa się w dół na szyję i dalej.

Kiedy bierze jedną z moich brodawek w usta, wyginam się w łuk i krzyczę. O Boże, myślę. Czy to właśnie dzieje się z człowiekiem po tylu miesiącach bez seksu? Chwytam go za głowę i zaczynam coś mówić bez ładu i składu. Czuję narastające pragnienie. Tommy nadal całuje mnie, zajmując się to jedną, to drugą piersią, sprawiając, że jęczę i wzdycham. Jednocześnie rozpina mi spodnie. Przysiada na kolanach, żeby je ze mnie ściągnąć wraz z majtkami, a potem przerywa na chwilę, spoglądając na mnie ze spodniami w jednej ręce. Oczy ma zamglone,

częściowo ocienioną twarz, a jego spojrzenie jest czystym pożądaniem.

I oto jestem, myślę. Naga przed bardziej niż przystojnym mężczyzną, który cholernie mnie pragnie, bez względu na blizny. Łzy napływają mi do oczu.

Tommy wydaje się zaniepokojony.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Uśmiecham się do niego.

– O tak. – Łzy spływają mi po policzkach. – To ze szczęścia. Sprawiliś, że znów poczułam się seksowna.

– Jesteś seksowna. Boże, Smoky. – Przesuwa palcem po bliznach na mojej twarzy, a później zjeżdża w dół, dotykając tych na piersi i na brzuchu. – Uważasz, że jesteś z ich powodu brzydka? – Potrząsa głową.

– Dla mnie one pokazują charakter. Siłę, pragnienie przetrwania i niezłomność. Świadczą o tym, że jesteś wojowniczką, że będziesz walczyła o swoje życie na śmierć. – Ujmuje moją twarz. – To nie skaza, Smoky, tylko dowód na to, co zawsze w tobie było.

Wyciągam ku niemu ramiona.

– Więc chodź tu i pokaż mi, że tak właśnie czujesz. Pokazuj mi przez całą noc.

I Tommy to robi. Zajmuje się mną godzinami, które stają się dla mnie mieszanką ciemności i raj. Opływają mnie, przenikają różnorakie emocje, wymieszane z reakcją zmysłów. Jestem nienasycona i wciąż domagam się więcej, a Tommy daje i daje, aż do samego końca, kiedy świat najpierw kurczy się do małej kropki, a potem eksploduje w niemal oślepiającym wybuchu fajerwerków, który sprawia, że krzyczę z rozkoszy na całe gardło.

„Szyby się trzęsą”, tak o tym mówił Matt.

Najcudowniejszym bólem na świecie jest brak poczucia winy. Ponieważ wiem, że Matt na mnie patrzy i jest szczęśliwy – szepcze mi do ucha: „Żyj dalej, odnajdź się wśród żywych”.

Kiedy zasypiam, zdaję sobie sprawę, że tym razem z całą pewnością nie będę o niczym śniła. Koszmary jeszcze się nie skończyły, ale czuję, że przeszłość i terażniejszość zaczynają się ze sobą powoli dogadywać. Terażniejszość zwykła nienawidzić przeszłości, która z kolei była wrogiem przyszłości. Być może wkrótce przeszłość stanie się tylko zwykłą przeszłością.

Zapadam w sen, który tym razem jest nie wycofaniem się, lecz pocieszeniem.

[27] Jedna z największych i najpopularniejszych plaż w okręgu Los Angeles, znana z białych piasków, doskonałych warunków do surfowania i czystej wody (przyp. tłum.).

Kiedy budzę się nad ranem, czuję się zaspokojona i obolała. Jakby udało mi się ugasić pragnienie. Tommy'ego nie ma w sypialni, ale gdy nastawiam uszu, słyszę go na dole. Przeciagam się, czując wszystkie mięśnie, a potem wyskakuję z łóżka.

Biorę prysznic, żałując, że muszę zmyć z siebie zapach Tommy'ego, lecz po wszystkim czuję się świeżo. Wspaniały seks potrafi w ten sposób oddziaływać na człowieka. Zupełnie jak dobry bieg w maratonie. Prysznic zawsze jest najprzyjemniejszy, jeśli człowiek najpierw porządnie się spoci.

Sycę się przez chwilę tym uczuciem, a później ubieram się i schodzę na dół. Zastaję Tommy'ego w kuchni.

Wygląda tak samo jak przed pójściem ze mną do łóżka. Na jego garniturze nie ma ani jednej fałdki, a sam Tommy jest czujny i rozbudzony. Zaparzył kawę i podaje mi pełny kubek.

– Dzięki.

– Zamierzasz wkrótce jechać do pracy?

– Za jakieś pół godziny. Najpierw muszę zadzwonić.

– Daj mi znać. – Przygląda mi się przez chwilę z kamienną twarzą, a potem nagle na jego obliczu pojawia się lekki uśmiezek.

Unoszę pytająco brwi.

– O co chodzi?

– Po prostu wspominałem zeszłą noc.

Zaglądam mu w oczy.

– Było wspaniale – mówię cicho.

– Owszem. – Przekrzywia głowę na bok. – Wiesz, że nigdy mnie nie spytałaś, czy się z kimś widuję?

– Uznałam, że w takim przypadku ostatnia noc w ogóle by się nie wydarzyła. Czyżbym się myliła?

– Nie.

Upijam nieco kawy.

– Posłuchaj, Tommy, chcę ci coś powiedzieć w związku z tą nocą. Coś nawiązującego do tego, co powiedziałaś: że nie jesteś pewien, czy to nas gdzieś doprowadzi. Chcę ci powiedzieć, że mówiłam szczerze: jeżeli nic więcej się nie zdarzy, to naprawdę nie ma sprawy. Ale...

– Ale jeżeli się zdarzy, to też będzie w porządku – kończy za mnie. – To chciałaś powiedzieć?

– Tak.

– To dobrze. Bo ja czuję się tak samo. – Wyciąga rękę i gładzi mnie po włosach. Poddaję się przez chwilę jego dotykowi. – Mówię poważnie, Smoky. Jesteś niesamowitą kobietą. Zawsze tak uważałem.

– Dzięki. – Uśmiecham się. – W takim razie jak to nazwiemy? Jednonocny romans z potencjałem?

Opuszcza dłoń i zaczyna się śmiać.

– Podoba mi się to określenie. Powiedz, kiedy będziesz gotowa do wyjścia.

Kiwam głową i oddalam się. Czuję się naprawdę dobrze i – co ważniejsze – komfortowo. Jakkolwiek się to skończy, żadne z nas nie będzie żałowało zeszłej nocy. Dzięki Bogu.

Wracam na górę, niosąc kawę, jakby była eliksirem życia. Zważywszy na obecne godziny pracy, nie jest to takie znów dalekie od prawdy. Minęło dopiero wpół do dziewiątej, ale jestem pewna, że Elaina jest rannym ptaszkiem. Wybieram numer.

– Halo? – odbiera Elaina.

– Hej, mówi Smoky. Przepraszam za ostatnią noc. Jak ona się czuje?

– Wydaje się szczęśliwa. Nadal nie mówi, ale uśmiecha się często.

– A jak tam w nocy?

Milczenie.

– Krzyczała we śnie. Obudziłam ją i przytuliłam. Potem było już w porządku.

– Jezu, przepraszam cię, Elaina. – Czuję winę typową dla rodzica. Podczas gdy ja wyłam do księżycy, Bonnie krzyczała na swoją przeszłość. – Nie masz pojęcia, jak bardzo ci jestem za to wszystko

wdzięczna.

– Ona jest skrzywdzonym dzieckiem, które potrzebuje pomocy, Smoky. W moim domu to nigdy nie stanowiło problemu i nigdy nie będzie. – Mówi tak po prostu, z głębi serca. – Chcesz z nią porozmawiać?

Moje serce przyspiesza na ułamek sekundy, kiedy zdaję sobie sprawę, że bardzo, ale to bardzo chcę.

– Proszę.

– Zaczekaj chwileczkę.

Minutę później znów słyszę Elaine w słuchawce.

– Jest tutaj. Przekażę jej teraz telefon.

Słyszę stłumione szuranie, a potem cichy oddech Bonnie.

– Hej, kochanie – zaczynam. – Wiem, że nie możesz mi odpowiedzieć, więc po prostu będę do ciebie mówiła. Naprawdę bardzo mi przykro, że nie wróciłam po ciebie zeszłej nocy. Musiałam pracować do bardzo późna. Kiedy dzisiaj rano obudziłam się bez ciebie... – Przerywam. Słyszę jej cichy oddech. – Tęsknię za tobą, Bonnie.

Milczenie, a potem znów seria szurań i stuków.

– Zaczekaj, Smoky – słyszę Elaine, jak mówi nie do słuchawki. – Chcesz coś powiedzieć do Smoky, skarbie? – Znów cisza. – Dobrze, przekażę. – Wraca do rozmowy ze mną. – Uśmiechnęła się do mnie promiennie, przytuliła samą siebie i wskazała na telefon.

Serce ściska mi się ze wzruszenia. Nie potrzebuję tłumacza do tego gestu.

– Powiedz jej, że właśnie zrobiłam to samo co ona. Muszę już kończyć, ale wieczorem po nią przyjadę. Żadnego więcej nocowania, chyba że nie będę mogła nic na to poradzić. A przynajmniej przez jakiś czas.

– Będziemy czekać.

Po skończeniu rozmowy siedzę przez chwilę, wpatrując się w pustkę. Jestem świadoma wszystkich emocji, które mną owładnęły – tych oczywistych i tych bardziej subtelnych. Żywię mocne uczucia do Bonnie. Opiekuńczość, czułość i kielkującą miłość. Prawdziwe, gorące uczucia. Oprócz nich jednak jest we mnie dużo więcej emocji, szepczących do mnie niczym uschłe liście opadające z drzew albo zwierzątko skradające się cicho na miękkich cienistych łapach. Jedną z emocji jest irytacja – że nie potrafię tak po prostu cieszyć się nocą spędzoną z Tommym. To dyskretne uczucie, ale ma swoją siłę. Jest zaborcze niczym bardzo małe

dziecko, które nie chce się niczym dzielić. Czy ja nie zasługuję na trochę szczęścia, trochę czasu dla siebie? – szepcze mi do ucha nadąsane.

Jest również głos poczucia winy – gładki niczym oliwa i węże. Zadaje tylko jedno pytanie, które uderza swą mocą: Jak śmiesz być szczęśliwa, kiedy ona nie jest?

Rozpoznaję te głosy i przeszywa mnie dreszcz. Słyszałam je już wcześniej, kiedy byłam mamą Alexy. Rodzicielstwo nie jest pojedynczą melodią, sztuką w jednym akcie. Jest skomplikowane, składa się zarówno z miłości, jak i gniewu, z bezinteresowności i egoizmu. Są chwile, gdy piękno twojego dziecka zapiera ci dech w piersi. Są i takie, gdy pragnęłabyś, żeby choć przez chwilę w ogóle nie było żadnego dziecka.

Czuję to wszystko, ponieważ staję się mamą Bonnie. Rozbudza to nowe poczucie winy. Jak śmiesz ją kochać?

Nie pamiętasz już?

Miłość przynosi śmierć.

Zamiast przygnębienia ten głos wzbudza we mnie gniew. Śmiem, odpowiadam. Ponieważ *muszę*. To właśnie jest bycie rodzicem. Miłość pomaga ci poradzić sobie z większością, obowiązek dopełnia reszty.

Chcę, żeby Bonnie była bezpieczna i miała dom. To rzeczywiste uczucie.

Wyzywam głosy na pojedynek. Nie odpowiadają.

To dobrze.

Czas jechać do pracy.

Drzwi do biura otwierają się gwałtownie i do środka wchodzi Callie w okularach słonecznych i z kubkiem kawy w dłoni.

– Nie próbujcie na razie ze mną rozmawiać – warczy. – Mam jeszcze za mało kofeiny we krwi.

Pociągam lekko nosem, wdychając aromat napoju. Callie zawsze ma najlepszą kawę.

– Mmmm... – mruczę. – Co to jest? Orzech laskowy?

Callie odsuwa się, przystawiając kubek bliżej do piersi.

– To jest moje – rzuca półgębkiem.

Podchodzę do mojej torebki i wyciągam z niej paczkę małych

czekoladowych pączków. Widzę, jak brwi Callie podjeżdżają do góry. Macham ciastkami.

– O, zobacz, Callie. Pyszne czekoladowe pączki. Mniem, mniem, jakie dobre.

Po jej minie widzę, że emocje ścierają się w niej z siłą konfliktu nuklearnego.

– No dobra. – Krzywi się. Chwyta kubek stojący na moim biurku i wypełnia go do połowy swoją kawą. – A teraz dawaj mi dwa pączki.

Wyciągam ciastka z opakowania i podsuwam je Callie, która w zamian podstawia mi kawę. Chwyta pączki, a ja kubek. Wymiana zakładników została dokonana. Callie siada przy swoim biurku, pochłaniając pączki, gdy ja tymczasem raczę się kawą.

Niebo w gębie.

Callie nadal konsumuje, ale czuję na sobie jej spojrzenie – uważne i przenikliwe, mimo że oczy ma zasłonięte ciemnymi szklami.

– O co chodzi?

– To ja się pytam – mruczy, odgryzając kolejny kawałek pączka.

Chryste, myślę. Czy ten stary mit jest prawdą? O tym, że widać po człowieku, iż zaczął uprawiać seks?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Nadal obserwuje mnie zza okularów słonecznych. Uśmiecha się jak Kot z Cheshire.

– Naturalnie, kochaneczko.

Postanawiam ją zignorować.

Leo, Alan i James przybywają niemal w tym samym czasie. Leo wygląda, jakby przejechał po nim czołg. James wygląda tak jak zwykle.

– Zbierzmy się razem – mówię. – Czas na zebranie koordynacyjne. Leo i James, jak stoimy z poszukiwaniem właściciela loginu i hasła?

Leo przeczesuje włosy palcami.

– Dotarliśmy do wszystkich firm i żadna nie odmówiła współpracy. – Sprawdza godzinę na zegarku. – Ostatnią rozmowę odbyłem trzydzieści minut temu. W ciągu godziny powinniśmy mieć wyniki.

– Powiedz mi, gdy tylko coś będziesz miał. Callie, jak się ma sprawa z DNA?

– Gene naprawdę pogonił kilku ludzi, kochaneczko. Powiedział mi, że będzie miał wyniki pod koniec dnia. To oznacza, że jeśli mamy DNA,

a przestępca figuruje w kartotece, dowiemy się, kim jest, jeszcze przed kolacją.

Wszyscy zamyślają się w milczeniu nad pomysłem, że moglibyśmy zobaczyć twarz jednej z tych bestii przed wieczorem. Czy uda się nam zaaresztować jednego z nich lub obu, zanim dzień dobiegnie końca?

– To by dopiero było – mruczy Alan.

– Jeszcze jak – przytakuję. – W międzyczasie, kiedy doktor Child może się ze mną spotkać?

– Kiedykolwiek, ale po dziesiątej – mówi Callie.

– Świetnie. Callie i Alan, skontaktujcie się z Barrym i dowiedzcie się, na jakim etapie są ich technicy kryminalni z analizą miejsca zabójstwa Charlotte Ross.

– Nie ma sprawy, kochaneczko.

– Ja tymczasem porozmawiam z Childem. – Spoglądam na każdego po kolei. – Jesteśmy oficjalnie w trakcie pościgu, ludzie. Prędkość oraz impet są najważniejsze. – Zerkam na zegarek i wstaję. – Do roboty.

Najwyższa pora zarzucić kolejną sieć.

Pukam do drzwi doktora Childa i dopiero wtedy je otwieram. Siedzi za biurkiem, czytając gruby plik dokumentów. Patrzy na mnie, kiedy wystawiam głowę zza drzwi, i uśmiecha się.

– Smoky, cieszę się, że cię widzę. Wejdz, wejdz proszę. – Wskazuje na krzesła ustawione przed biurkiem. – Proszę, usiądź. Potrzebuję chwili, żeby zajrzeć do notatek. Fascynująca sprawa.

Siadam i obserwuję go, gdy przegląda dokumenty rozłożone przed sobą. Doktor Child dobiega sześćdziesiątki, ma siwe włosy, brodę i nosi okulary. Wygląda, jakby już dawno skończył sześćdziesiąt lat. Wydaje się zawsze zmęczony, a w jego oczach widać udrękę, która nigdy nie znika, nawet gdy się śmieje. Doktor Child zagląda w umysły seryjnych zabójców od niemal trzydziestu lat. Ciekawe, czy ja też będę tak wyglądać za jakieś dwadzieścia lat?

Jest jedynym człowiekiem, któremu ufam bardziej niż Jamesowi i samej sobie pod względem użytecznych obserwacji na temat tego, co nakreśla bestie.

Kiwa głową do siebie i spogląda na mnie, odchylając się w fotelu.

– Ty i ja współpracowaliśmy już przedtem, Smoky. Dlatego wiesz, że

mam tendencję do paplania. Podejrzewam, że tak też będzie podczas tej rozmowy. Masz coś przeciwko temu?

– Nic a nic, panie doktorze. Proszę.

Child styka opuszki palców i podpira nimi brodę.

– Zamierzam odnieść się do sprawy, jakbyśmy mieli do czynienia z jednym osobnikiem. Osobowość Kuby Juniora jest dominująca, a zatem najważniejsza z nich. Zgodzisz się ze mną?

Kiwam głową.

– Doskonale. Mamy tu do czynienia z dwiema możliwościami. Pierwsza, moim zdaniem dość nieprawdopodobna, jest taka, że nasz morderca tylko udaje; że jego przekonanie o pochodzeniu w prostej linii od Kuby Rozpruwacza jest jedynie częścią przedstawienia, zaaranżowanego po to, żeby podsunąć wam fałszywy trop. Myślę, że to rozwiązanie jest wysoce paranoiczne i nieproduktywne. Druga możliwość wiąże się z debatą nad tym, co jest ważniejsze: geny czy wychowanie. To swego rodzaju długoterminowe pranie mózgu. Ktoś musiałby spędzić naprawdę sporo czasu, wmawiając naszemu „Kubie Juniorowi”, że jest tym, za kogo się uważa. Według mnie musiałoby się to rozpocząć w bardzo młodym wieku, żeby odnieść zamierzone skutki. Prawdopodobnie zrobił to jeden z jego rodziców, a może oboje. Większość seryjnych zabójców ma podobną historię. Zazwyczaj dowiadujemy się o przypadkach molestowania lub znęcania się od najmłodszych lat. Może to być przemoc fizyczna, seksualna lub często jedna i druga. W rezultacie jej podmiot zaczyna odczuwać wściekłość, której nie potrafi okazać swojemu prześladowcy, zazwyczaj większemu i silniejszemu. Jest to osoba, którą inni darzą zaufaniem emocjonalnym i która posiada autorytet. Prześladowca niemal zawsze jest jednym z rodziców. Ofiara kocha tę osobę i jest przekonana, że jej działania muszą być czymś podyktowane, spowodowane złym postępowaniem ze strony ofiary. Wściekłość jednak musi znaleźć jakieś ujście. Z braku bezpośredniego celu emocja ta przejawia się niemal zawsze na te same trzy sposoby. Pierwszym jest przemoc wobec samego siebie, jak na przykład chroniczne moczenie nocne. Druga to przemoc wobec otoczenia, jak na przykład podpalanie na małą skalę. Wreszcie możemy mieć do czynienia z eskalacją okrucieństwa skierowanego przeciwko żywym istotom. W dzieciństwie zazwyczaj objawia się to znęcaniem i zabijaniem małych

zwierząt. Kiedy taki skrzywiony psychicznie człowiek dorasta, dochodzi do logicznego wniosku, że powinien przerzucić się na krzywdzenie innych istot ludzkich. Wszystko to oczywiście jest szalonym uproszczeniem sprawy. Ludzie nie są robotami i nie ma dwóch jednakowych umysłów. Nie wszyscy seryjni zabójcy moczą się w nocy, podpalają różne rzeczy i znęcają się nad zwierzętami. Nie zawsze też są ofiarami przemocy rodziców. Jednak z doświadczenia wiem, że tendencje, które obserwujemy, sprawiają, iż owo uogólnienie jest mniej lub bardziej trafne.

Nachyla się ku mnie, wpatrując mi się w oczy.

– Są oczywiście wyjątki. Rzadkie, niemniej jednak istnieją. Są niejako argumentem przetargowym dla zwolenników teorii wpływu genów na osobowość. Niektórzy mordercy pochodzą z dobrych domów i zostali wychowani przez porządną ludzi. Diabelskie nasienie. To, co robią, nie ma żadnego widocznego powodu ani wyjaśnienia. – Potrząsa głową. – Dlaczego zawsze musimy wybierać jedno albo drugie? Ja osobiście zawsze uważałem, że zarówno geny, jak i wychowanie kształtują naszą osobowość. Wielu ludzi się ze mną zgodzi. Oczywiście wychowanie, tak jak wspomniałem, jest przeważającą i dającą się zaobserwować przyczyną. – Stuka w plik papierów przed sobą. – W tym przypadku mamy wiele zmiennych. Morderca twierdzi, że nie był wykorzystywany seksualnie ani że nikt się nad nim nie znęcał. Píše, że nie podpalał ani nie torturował małych zwierzątek. To może być nieprawdą. Nasz morderca wypiera się tego wszystkiego, ale jeśli nie, mamy do czynienia z czymś nowym. To seryjny zabójca stworzony od zera. Ktoś, kto był indoktrynowany tak bardzo i przez tak długo, że wmawiany mu system wierzeń stał się dla niego oczywistością. Jeżeli to prawda, mamy do czynienia z bardzo, ale to bardzo niebezpiecznym mężczyzną. Nie posiada on psyche zranionej znęcaniem się psychicznym lub fizycznym. Nie ma kompleksu niższości zazwyczaj związanego z historią przemocy. Taki człowiek byłby w stanie działać w niesłychanie racjonalny sposób. Nie miałby najmniejszych problemów z zasymilowaniem się ze społeczeństwem. Mógłby nawet zostać do tego wytrenowany. Kuba Junior robiłby to, co robi, z przekonaniem, że to jego przeznaczenie. Coś, do czego został stworzony. Nie uznawałby tych rzeczy za złe, ponieważ od kiedy zaczął rozumieć słowo mówione, wpajano mu coś zupełnie

przeciwne.

Doktor Child przerywa, mierząc mnie wzrokiem.

– Nasz morderca zafiksował się na tobie, bo potrzebuje tego do sfinalizowania swojej fantazji. Sam przecież powiedział, że Kuba Rozpruwacz musi być ścigany, najlepiej przez doskonałego detektywa. Wybrał ciebie do tej roli. Doprawdy sprytna decyzja.

Pochyla się znowu i stuka w raport.

– Prawda o zawartości słoika, który ci wysłał, fakt, że te wnętrzości były krowie, a nie ludzkie, jak sam sądzi, może okazać się twoją najskuteczniejszą bronią. To symbol wszystkiego, w co wierzy morderca. Zawsze uznawał to za prawdę. Gdyby się dowiedział, że ów symbol jest kłamstwem i zawsze nim był... to mogłoby nim poważnie wstrząsnąć. Cały jego misternie skonstruowany świat mógłby nagle zacząć się walić.

– Rozpiera się w fotelu. – Dotychczas był bardzo sprytny, dobrze zorganizowany i niezmiernie precyzyjny. Gdyby miał się dowiedzieć o zawartości słoika, mógłby się zmienić. Oczywiście istnieje inne prawdopodobieństwo, którego nie możemy zignorować. Morderca może równie dobrze odrzucić tę prawdę, uznać, że to kłamstwo wymyślone w celu wytrącenia go z równowagi. W takim scenariuszu obarczyłby winą osobę, która przekazała mu owo „kłamstwo”. Najprawdopodobniej poczułby gwałtowną potrzebę zranienia tego człowieka. Oba scenariusze są użyteczne, prawda?

Kiwam głową, zgadzając się z nim.

– Pamiętaj o tym, że każdy z nich niesie potencjalne niebezpieczeństwa. Jeśli to, na czym morderca zbudował całe swoje życie, nagle zostanie usunięte, może zacząć myśleć o samobójstwie. Jednak w tym przypadku mogę niemal zagwarantować, że morderca nie chciałby umrzeć samotnie.

Rozumiem, co doktor Child ma na myśli. Rozjuszony Kuba Junior, pozbawiony nadziei, mógłby się zmienić w kamikadze. Doktor Child sugeruje, żebyśmy przygotowali się na taką możliwość.

– A co z Ronniem Barnesem? – pytam.

Kiwa głową, spoglądając na sufit.

– Ach tak. Młody człowiek, którego nasz morderca jakoby znalazł w Internecie i osobiście go „przysposobił”. Bardzo interesujące, chociaż nie bez precedensu. Zabijanie zespołowe nie jest tak rzadkie, jak

mogłoby się komuś wydawać. Charles Manson może i był najśłynniejszym przywódcą grupy morderców, ale z pewnością nie pierwszym i nie ostatnim.

– Oczywiście – odpowiadam. – Potrafię wymienić z głowy przynajmniej dwadzieścia tego typu spraw.

– Naturalnie było ich dużo więcej, ale właśnie o to mi chodziło. Około piętnastu procent ofiar seryjnych morderców to rezultat pracy zespołowej. I chociaż ten zespół jest dość szczególny, jego postępowanie generalnie pasuje do scenariusza. Zespoły zazwyczaj składają się z dwóch osobników, chociaż czasem jest ich więcej. Zawsze mamy do czynienia z dominującą osobą, która emanuje szczególną energią i ma specyficzne fantazje. On lub ona inspiruje pozostałych i dodaje im odwagi do realizacji swoich „marzeń”. Wszyscy członkowie zespołu muszą posiadać cechy psychopatyczne, lecz w niektórych przypadkach uznaje się, że bez owej centralnej postaci inni mogliby nigdy nie zdecydować się na ten dodatkowy krok w kierunku popełnienia rzeczywistego morderstwa.

Uśmiecha się z pełnym znużenia cynizmem.

– Oczywiście to jeszcze nie oznacza, że ci ludzie byli ofiarami. Częstokroć podległe jednostki po aresztowaniu twierdzą, że były mimowolnymi współsprawcami. Na szczęście dowody bardzo rzadko przemawiają na ich korzyść.

– Gang Rozpruwaczy – mówię.

Doktor Child uśmiecha się do mnie.

– Doskonały przykład. I w dodatku dość aktualny.

Nawiązałam oczywiście do tak zwanych Rozpruwaczy z Chicago, grupy seryjnych zabójców z lat osiemdziesiątych. Psychol o nazwisku Robin Gecht przewodził trzyosobowej grupie mężczyzn o podobnych upodobaniach. Zanim zostali złapani, zdążyli zgwałcić, pobić, poddać torturom i udusić siedemnaście kobiet. Gang Gechta obcinał swoim ofiarom jedną lub obie piersi, które później wykorzystywał w celach seksualnych i... spożywczych.

– Gecht nigdy nie zabił żadnej z ofiar *osobiście*, prawda? – pytam.

– Racja. Był jednak siłą napędową stojącą za wszystkimi morderstwami. Bardzo charyzmatyczny człowiek.

– Podobnie, ale nie tak samo. – Popadam w zadumę.

– Wyjaśnij mi to. – Doktor Child przechyla głowę z zainteresowaniem.

– Takie mam przeczucie co do Kuby Juniora. Jasne, jest dominującą osobowością. To on decyduje, co robić, jednak w większości przypadków zabójstw grupowych między mordercami istnieje bliski związek. Każdy z nich ofiaruje coś tym pozostałym. Może są pokręceni, ale są *zespołem*. Kuba poświęcił Barnes'a tylko po to, żeby nas zmylić. – Potrząsam głową.

– Myślę, że jego „uczniowie” są wykalkulowanym sposobem na osiągnięcie celu. Nie sądzę, żeby Bestia ich potrzebowała, pod względem emocjonalnym, do spełnienia swoich fantazji.

Doktor Child składa palce i zamyśla się. Wzdycha ciężko.

– Cóż, to by pasowało do jego podwójnej wiktymologii.

– Ma pan na myśli to, że jego drugim typem ofiar jesteśmy my?

– Owszem. To z całą pewnością czyni go dużo bardziej niebezpiecznym. To człowiek z planem, jak to mówią. W takim scenariuszu pan Barnes i jakikolwiek inny współnik byłiby wyłącznie marionetkami. Plastikowymi pionkami na szachownicy. Nie najgorzej, ale też niezbyt dobrze. Mniejsze zaangażowanie emocjonalne oznacza mniejszą szansę na potknięcie się.

Cudownie, myślę.

– W jaki sposób potencjalnie znajduje swoich przyszłych towarzyszy? – pytam. – Oczywiście w pana opinii.

– Cóż, to jasne, że Internet zapewnia mu zarówno dostęp, jak i anonimowość – mówi doktor Child z nutką nostalgii. – To nieustająca ironia: wynalazki, które zmieniają świat, potrafią być wykorzystane do wielkich, dobrych rzeczy lub do czynienia wielkiego zła. Z jednej strony Internet sprawił, że zniknęły granice polityczne. Rosjanie wysyłali e-maile, jeszcze zanim upadła żelazna kurtyna. Ludzie z przeróżnych miejsc na całym świecie mogą się ze sobą porozumieć w mgnieniu oka. Amerykanie i Eskimosi mogą się przekonać, że wcale się tak bardzo od siebie nie różnią. Z drugiej strony Internet zapewnił niemal całkowitą swobodę Kubom Rozpruwaczom naszego świata. Witryny dotyczące gwałtu, pedofilii, poświęcone prezentowaniu fotograficznej groteski, jak na przykład egzekucji czy krwawych rezultatów wypadków samochodowych. – Spogląda na mnie. – Odpowiadając na twoje pytanie i bazując na dowodach, jakich do tej pory dostarczył nam nasz morderca, szukałby on nawróconych w mniej popularnych obszarach sieci,

a zwłaszcza tam, gdzie mógłby najpierw obserwować kandydata. Musiałby mieć początkowo możliwość pozostania biernym widzem, poszukującym konkretnych skłonności. Tak jak wszyscy manipulanci, wyszukałby kluczowych tematów rozmowy, takich, w których mógłby okazać się autorytetem, a więc takich, które by mu pochlebiały. Tak czy owak – doktor Child pochyła się ku mnie – musiałby się spotkać z nimi twarzą w twarz. Zwykły e-mail lub rozmowa na czacie nie wystarczyłyby. Z przeróżnych powodów. Jednym z nich jest po prostu bezpieczeństwo. Znacznie łatwiej jest udawać osobowość internetową. Nasz Rozpruwacz to hazardzista, ale przygotowuje się przed podjęciem ryzyka. Chce się upewnić, że osoba, z którą rozmawiał, naprawdę jest tym, za kogo się podaje.

– Dlaczego? – pytam.

– Przede wszystkim dlatego, że to przysłowiowe obosieczne ostrze. Ludzie, z którymi nawiązał dialog, byliby równie podejrzliwi co do jego tożsamości. Co ważniejsze jednak, nie przypuszczam, aby potrafił skłonić ich do *odegrania* jego fantazji, nie wchodząc z nimi w żadną bezpośrednią interakcję. Nie. Na jego miejscu nie spieszyłbym się. Rozejrzałbym się uważnie i sporządził listę kandydatów. Następnie zweryfikowałbym w jakiś sposób ich tożsamość. Dopiero wtedy nawiązałbym kontakt internetowy, a wreszcie umówiłbym się na spotkanie twarzą w twarz. Od tej chwili sama możesz wybrać dowolną metodę naginania woli. Być może zaczyna od drobiazgów: „Chodźmy podglądać studentki w internecie. Pobijmy prostytutkę, ale nie zabijajmy jej. A teraz zamordujmy kota, tylko pamiętajmy o spoglądaniu mu w oczy, kiedy będzie umierał”. Takie stopniowanie pozwoliłoby mu złamać wszelkie resztki moralności, za którą mogliby się chować jego czeladnicy w celu regulacji swojego zachowania, żeby poczuć się bardziej jak ludzie. Kiedy człowiek wstępuje jedną nogą do piekła, dlaczego miałyby nie wejść i drugą? W końcu nie zapominajmy, że dla nich piekło jest prawdziwym rajem.

– Jak długo trwałoby takie przysposobienie? Uwarunkowanie danej osoby tak, by przekroczyła tę niebezpieczną granicę?

Spogląda na mnie.

– Chcesz wiedzieć, ilu protegowanych mógł wykreować nasz morderca, tak?

– Dokładnie.

Doktor Child rozkłada ręce.

– Tego nie wiemy. Takie rzeczy zależą od zbyt wielu czynników. Jak długo się już tym zajmuje? Z jakiej grupy ludzi czerpie swoich kandydatów? Jeśli na przykład miałby wybierać wśród gwałcicieli, którzy niedawno zostali zwolnieni warunkowo... Cóż, od gwałtu do morderstwa nie jest tak znów daleko.

Patrzę w jego zmęczone oczy, rozważając jego słowa. Ile lat? Ile nawróconych na wiarę Bestii? Nie wiemy. Nie możemy tego wiedzieć.

– Jest jedna rzecz, która mnie w nim niepokoi, doktorze. Wspomniał pan, że nasz Rozpruwacz jest ryzykantem. Cały proces kreowania „uczniów” jest niebezpiecznym posunięciem. Każdy z owych protegowanych mógłby stanowić ryzyko ujawnienia jego tożsamości. – Potrząsam głową. – Wygląda to na sprzeczność. Z jednej strony jest sprytny. Bardzo sprytny i bardzo ostrożny. Z drugiej podejmuje ogromne ryzyko. Nie rozumiem tego.

Doktor Child uśmiecha się.

– Nie przyszło ci do głowy najprostsze wyjaśnienie tej antynomii?

– A mianowicie? – Marszczę brwi.

– To, że jest niepoczytalny.

Wpatruję się w niego.

– To wszystko? Niepoczytalność?

– Objaśnię ci to. – Doktor Child poważnieje. – Ale nie trać z oczu tej prostej prawdy. To brzytwa Ockhama w mojej profesji i wiele, naprawdę wiele razy mi pomogła. – Odchyła się w fotelu. – Jeśli chodzi o szczegóły... sądzę, że mamy tu do czynienia z dwoma czynnikami. Jeden pasuje do fantazji, tej chorej interpretacji „instynktu przedłużenia gatunku”, dotyczącej przekazywania pochodni Rozpruwaczy z pokolenia na pokolenie i tym podobne. – Przerywa. – Drugi przemawia do pragnień.

– Pragnień?

– Motoru napędowego seryjnych przestępców. Muszą robić to, co robią. Pragnienie przeważa nad wszelką ostrożnością. – Wzrusza ramionami. – Proces kontaktowania się z innymi, manipulowania nimi, urabiania ich na swoją modłę jest irracjonalny. Poza kilkoma przebłyskami niepoczytalności Kuba Junior nie zachowywał się *nieracjonalnie*. Owe

odstępstwa musiały być zatem powodowane czymś *innym* niż rozsądek, chyba że istnieje logiczne wytłumaczenie, które jeszcze nie przyszło nam do głowy. Pragnienia. Niektóre są zaspokajane czynami i to nasycenie jest często bardziej satysfakcjonujące i ważniejsze od własnego bezpieczeństwa.

– Czyli po prostu są wariatami?

– Tak jak mówiłem.

Zamyślam się.

– Dlaczego Rozpruwacz? Dlaczego taka obsesja na punkcie prostytutek?

– Moim zdaniem jedno wynika z drugiego. Myślę, że to one są przyczyną stworzenia Rozpruwacza, a nie odwrotnie. Ktokolwiek wyprodukował tę doskonale opracowaną trawestację... – Wzrusza ramionami. – Cóż, powiedzmy sobie szczerze, miał problem z kobietami. Być może to wynik molestowania lub bycia jego świadkiem. O ironio, motywy kierujące naszym współczesnym Rozpruwaczem są prawdopodobnie bardzo podobne do motywów napędzających oryginalną Bestię. Nienawiść do kobiet zmieszana z seksualnością i tłumionym pożądaniem. Czyli nic nowego.

– Zatem znowu: Kuba Junior jest wariatem. A ktokolwiek go zindoktrynował, był *jeszcze większym* wariatem.

– Tak.

Spoglądam w bok, zamyślona. Przewidywalny i nieprzewidywalny. Wiedziony zarówno rozsądkiem, jak i niepoczytalnością. Doskonale. Mimo wszystko miałam wrażenie, że poznałam go nieco lepiej.

– Dziękuję, doktorze. Jak zwykle bardzo mi pan pomógł.

Patrzy na mnie swoimi smutnymi, zmęczonymi oczami.

– To mój zawód, agentko Barrett. Upewnię się, że dostała pani mój raport. I bardzo proszę zachować ostrożność wobec tego człowieka. To coś nowego i chociaż z klinicznego punktu widzenia jest ciekawym przypadkiem... – Przerywa i zagląda mi w oczy. – W rzeczywistości „nowość” to po prostu inne określenie niebezpieczeństwa.

Czuję, jak smoczyca w moim łonie porusza się butnie na te słowa.

– Niech mi będzie wolno przedstawić inny punkt widzenia, z mojej strony płotu, doktorze. Jak on to robi i dlaczego? To rzeczywiście może być nowe. Ale to, co robi? – Potrząsam głową ponuro. – Morderstwo to

morderstwo.

– Najnowsze informacje proszę.

Jestem w biurze zastępcy dyrektora Jonesa. Wezwał mnie, żebym zdała mu relację z postępów w śledztwie. Przerywa mi, kiedy docieram do Tommy'ego Aguilery.

– Zaraz, Aguilera? Jest teraz cywilem, nieprawdaż?

– Jest dobry, sir. Naprawdę cholernie dobry. – Nie masz pojęcia jak, myślę sobie.

– Wiem, że jest dobry. Nie w tym rzecz. – Ma kwaśną minę, jakby zjadł cytrynę. – Opuścę ci tym razem, Smoky, ale na przyszłość, jeśli postanowisz wprowadzić w śledztwo ludzi z zewnątrz, musisz to najpierw uzgodnić ze mną.

– Tak jest, sir.

– Mów dalej.

Kończę moją opowieść i streszczam mu rozmowę z doktorem Childem. Jones rozmyśla przez chwilę, a potem składa dłonie jak do modlitwy i opiera je o biurko.

– Niech się upewnię, że wszystko zapamiętałem. Morderca zabił dwie kobiety. Za każdym razem wysyła ci wideo z popełnionej zbrodni. Ma współnika. Jest zafiksowany na tobie do tego stopnia, że zakradł się do twojego domu i założył podsłuchy w twoim samochodzie i telefonie. Rozpoczął personalne ataki na pozostałych członków twojej ekipy i zagroził kolejnymi. Próbuje się kontaktować z innymi potencjalnymi seryjnymi zabójcami, oprócz tego, z którym obecnie współpracuje. Nie jest tym, kim myśli, że jest. Czy dobrze wszystko zrozumiałem?

– Tak, sir.

– Macie odciski palców i prawdopodobnie DNA. Znacie jego *modus*

operandi, a najgorętszym tropem, jakim w tej chwili dysponujecie, jest poszukiwanie innych stron internetowych, na których morderca mógł się zalogować, jeżeli w ogóle to zrobił. To wszystko?

– Dość dobre podsumowanie, sir. Chcę zaatakować go z dwóch dodatkowych stron i potrzebuję pana pozwolenia.

– Co takiego?

– Chcę poinformować media.

Spogląda na mnie podejrzliwie. Zazwyczaj nie pałamy sympatią do dziennikarzy. Rozmawiamy z nimi, gdy jesteśmy do tego zmuszeni lub gdy czasem sądzimy, że byłoby to dla nas użyteczne. Czuję, że w tym przypadku właśnie tak jest. Muszę tylko przekonać Jonesa.

– Dlaczego?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, chodzi o bezpieczeństwo. Koniec końców, chociaż zaczynamy coraz lepiej go poznawać, nie potrafimy przewidzieć, kiedy go złapiemy. Musimy ostrzec potencjalne ofiary. Najwyższy czas na to.

Kiwa niechętnie głową na zgodę.

– A co z drugim powodem?

– Doktor Child powiedział, że gdyby morderca dowiedział się o prawdziwej zawartości słoika, wstrząsnęłoby to nim, i to bardzo. Być może nawet doprowadziłoby go do skrajnego załamania. Musimy to zrobić, sir. Do tej pory był opanowanym, zimnym strategiem. Mamy tę jedną informację, której on nie posiada. To skuteczna broń. Chcę jej użyć.

– Może przez to wybuchnąć, Smoky. I nie mówię o całej tej jego dotychczasowej chorej zabawie. Mam na myśli w pełni uzbrojony pocisk zmierzający w twoim kierunku.

– Owszem, sir, to możliwe. I wtedy będziemy mogli go złapać.

Jones spogląda na mnie nieodgadzionym wzrokiem. Wstaje i podchodzi do okna. Staje do mnie plecami.

– Jego obsesja na twoim punkcie... – Odwraca się. – Chcę, żebyś była bardzo, bardzo ostrożna. Ja – waha się – nie chcę powtórki z Josepha Sandsa. Nigdy więcej.

Zapominam języka w gębie, tak silne emocje emanują z zastępcy dyrektora Jonesa.

– Znałem cię od chwili, gdy zaczęłaś pracować w FBI, Smoky. Byłaś wtedy młoda, pełna entuzjazmu i wciąż cholernie niedoświadczona. Nie

jest mi obojętne, co się z tobą stanie. Rozumiesz?

Widzę ból w jego oczach.

– Tak, sir. Będę ostrożna.

Ból znika, odepchnięty gdzieś w bok. Jones pozwolił mi go zobaczyć – chciał, żebym wiedziała o jego istnieniu. Wiem, że to być może jedyny raz, gdy odsłonił przede mną duszę, i jestem wzruszona oraz wdzięczna.

– Co z drugą stroną?

– Jeżeli zlokalizujemy potencjalną ofiarę, zamierzam zastawić pułapkę na mordercę. I będę musiała działać szybko.

– Kiedy już do tego dojdzie, chcę, żebyś najpierw omówiła to ze mną.

– Tak jest, sir.

Gdy wracam do biura, Leo macha w moim kierunku kartką papieru.

– Skończyli wyszukiwanie – mówi. – Mamy jedno nazwisko z tą samą kombinacją loginu i hasła.

Dziwne, myślę. Dlaczego nie zmienili kombinacji?

– Podaj mi szczegóły.

Spogląda na wydruk.

– Kobieta nazywa się Leona Waters. Prowadzi prywatną stronę pod nazwą – zerka na mnie i uśmiecha się ze zmęczeniem – Cassidy Cumdrinker^[28]. Mieszka w okolicach Santa Monica.

– Masz jej adres?

– Wydrukowałem go. – Wręcza mi kartkę.

– Co chcesz teraz zrobić, kochaneczko?

– Barry się odzywał?

– Znaleźli kolejny rachunek od firmy dezynsekcyjnej – huczy Alan. – Takie same bzdury jak poprzednim razem.

– Czyli to zdecydowanie *modus operandi*?

– Na to wygląda.

– Coś jeszcze?

– Nie. Ich technicy nadal pracują nad dowodami.

– Dobra, słuchajcie. Callie i ja pojedziemy zobaczyć się z panią Waters. Chcę sprawdzić kilka rzeczy, rozejrzeć się po okolicy. Potem obmyślimy plan. Alan, bądź w kontakcie z Barrym i sprawdź, na jakim Gene jest etapie z analizą DNA. Jeżeli coś się zmieni, zadzwoń.

– Zrozumiano.

– A co my mamy robić w międzyczasie? – pyta James.

– Pooglądajcie nieprzyzwoite obrazki. – Wskazuję na zdjęcia z seksprywatki, które wciąż są analizowane za pomocą programu do rozpoznawania twarzy. Strzelam palcami. – Callie. Nadal masz kontakty w Channel 4?

– Bradley? – Uśmiecha się do mnie w zdecydowanie mało dystyngowany sposób. – Cóż... nie sypiamy już ze sobą, ale w dalszym ciągu rozmawiamy.

– Świetnie. Skontaktuj się z nim. Podamy informację o mordercy w mediach. Chcę, żeby Bradley przyjechał tu jak najszybciej. Chcę, żeby powiedzieli o wszystkim w wieczornych wiadomościach.

– Tak szybko? – Unosi brwi.

Wyłuszczam jej moje argumenty. Zastanawia się nad nimi przez chwilę, kiwając głową.

– To zachwieje jego pewnością siebie, a to akurat plus. – Spogląda na mnie zamyślona. – Oczywiście może wtedy wziąć sobie na cel ciebie.

– I tak już to zrobił. W ten sposób przynajmniej będziemy na niego przygotowani

– Zaraz zadzwonię do Bradleya.

W biurze wrze jak w ulu, ale ja chwilowo nie jestem potrzebna. Wykorzystuję ten czas do przejrzenia poczty elektronicznej. Kazałam wszystkim sprawdzać e-maile co pół godziny, ale sama nie zajrzałam na swoje konto przez kilka godzin.

Widzę coś, co sprawia, że prostuję się na krześle. Tytuł e-maila brzmi: *Pozdrowienia od Ciemnowłosej Dziwki!*

Klikam na wiadomość. Na samej górze widnieją nader znajome mi słowa:

Witam, agentko Barrett!

Myślę, że już zdążyłaś się zapoznać z moim najnowszym dziełem. Mała Charlotte Ross. Mój Boże, co z niej była za dziwka! Rozkładała nogi przed każdym, mężczyzną i kobietą. Samotnie lub w grupach. To ciekawe, że byłem jedynym człowiekiem, dla którego nie chciała ich rozewrzeć z własnej woli, nie sądzisz?

Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Kolejna dziwka zniknęła z tego świata, a Ty – Ty nadal nie zbliżyłaś się do rozwiązania. Czy to Cię zniechęca, agentko Barrett? A może czujesz się zdeklasowana?

Tak przy okazji, możesz usunąć urządzenie naprowadzające ze swojego samochodu i podsłuch z telefonu.

– Cholera – mruczę.

Uważasz, że z kim masz do czynienia, agentko Barrett? Podziwiam wysiłki, ale naprawdę sądziłaś, że uda Ci się złapać mnie w ten sposób? Wiedziałem, że koniec końców znajdziesz obie pluskwy. Możesz odesłać pana Aguilere albo go Sobie zatrzymać. Tak czy owak, nie pomoże Ci to w złapaniu mnie.

Jestem już w drodze. Podążam śladami mojego przodka, wypełniając jego świętą misję i kolekcjonując własne pamiątki, które będę mógł przekazać kolejnym pokoleniom.

Pisząc ten list, spoglądam na moją następną ofiarę. Jest niczym słodka brzoskwinia, ale piękno przecież jest powierzchowne. Spójrzmy na Ciebie, agentko Barrett. Twoje ciało jest pokryte bliznami, lecz w głębi duszy tkwi piękno urodzonej myśliwej. Moja przyszła ofiara jest atrakcyjna na zewnątrz. Ale w środku?

To tylko kolejna dziwka.

Mam jeszcze dla Ciebie kilka innych niespodzianek.

Odezwę się wkrótce, a póki co, pracuj, pracuj, pracuj!

Wiem, że to zrobisz.

Z piekła,

Kuba Jr.

Jego samozadowolenie strasznie mnie wkurza. Cóż, ja też mam dla ciebie wiadomość, psycholu. Nowinę, która zetrze ten pewny siebie uśmiezek z twojej twarzy.

– Dodzwoniłam się do Bradleya, kochaneczko! – woła Callie.

Zamykam skrzynkę elektroniczną.

– I co?

Uśmiecha się.

– Prawie posikał się w gacie ze szczęścia. Będzie tu za pół godziny.

– Doskonale. Powiem ludziom z recepcji, żeby wysłali go do pokoju konferencyjnego na drugim piętrze.

Zgodnie z obietnicą Bradley Cummings pojawia się dwadzieścia pięć minut później. Wygląda tak samo jak podczas naszego ostatniego spotkania: wyraziste, przystojne rysy twarzy, nienaganny garnitur, wysoki, raczej bezwstydy. Callie uraczyła mnie wieloma opowieściami o szalonym dzikim seksie, który uprawiali. Określiła go jako „dość

zadowolającego”.

Ograniczył się do minimum: on i kamerzysta.

– Dziękuję za przybycie, Brad.

– Callie streściła mi wszystko przez telefon. Żaden szanujący się dziennikarz wiadomości by czegoś takiego nie przepuścił. Jak chcesz to rozegrać?

– Podam ci wszystkie szczegóły przed nagraniem. Potem będziesz mógł zrobić sesję pytań i odpowiedzi przed kamerą, żeby sprzedać całą historię.

– To brzmi nieźle.

– Jeden warunek, Brad. Musisz to wstawić w wiadomości wieczorne.

– Zaufaj mi, nie będzie z tym najmniejszego problemu.

– Świetnie. Poza tym jest jeszcze jedno: chcę się upewnić, że specyficzna część informacji zostanie przekazana przeze mnie. Zrozumiesz, kiedy zobaczysz. Pamiętaj, tylko ja mam to powiedzieć, absolutnie nikt inny.

Spogląda na mnie niepewnie.

– To nie jest żaden szemrany interes, co, Smoky? Ta historia?

– Jeżeli pytasz, czy cię wykorzystuję, to owszem, robię to. Ale – unoszę palec w górę – każdy szczegół jest prawdziwy. Przekażesz widzom prawdę, a przy okazji zrobisz jeszcze dwie rzeczy: ostrzeżesz potencjalne ofiary i dasz mi szansę, abym mogła wkurzyć mordercę. Dlatego właśnie ja muszę to powiedzieć. Pomyśl o tym człowieku jak o granacie, Brad. Zamierzam wyciągnąć jego zawleczkę. – Wzruszam ramionami. – Ktokolwiek wyciąga zawleczkę z granatu, ryzykuje znalezienie się w zasięgu wybuchu.

Zagląda mi w oczy, szukając kłamstwa.

– W porządku. Ufam ci. Opowiadaj.

Przez kolejne dwadzieścia minut opisuję mu to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich pięciu dni. Brad jest profesjonalistą; robi notatki i od czasu do czasu zadaje pytania. Kiedy opowieść dobiega końca, odchyła się na oparcie krzesła.

– Rany, to rzeczywiście... coś – mówi. – Zakładam, że to, co chcesz powiedzieć osobiście, dotyczy zawartości słoika?

– Dokładnie. I dlatego bardzo ważne jest, żebym to właśnie ja go wkurzyła. Zapewne zafiksuje się na kimkolwiek, kto dostarczy mu

takich nowin.

– Rozumiem – mówi zamyślony. – W takim razie do dzieła.

Przed kamerą Brad jest świetny. Zadaje wnikliwe i zasadnicze pytania, nie sprawiając jednak wrażenia, że mnie atakuje. W końcu dociera do tego najważniejszego.

– Agentko specjalna Barrett. Powiedziała pani, że ma dla nas ważną informację dotyczącą zawartości słoika, który wysłał pani przestępca. Czy może pani opowiedzieć nam nieco więcej?

– Oczywiście, Brad. Otworzyliśmy słoik i przeanalizowaliśmy jego zawartość. Okazało się, że fragmenty tkanek, które tam znaleźliśmy, nie są ludzkie, lecz bydlęce.

– Co to oznacza?

Odwracam się i spoglądam prosto w oko kamery.

– To oznacza, że ten człowiek nie jest tym, za kogo się podaje. Nie jest potomkiem Kuby Rozpruwacza, chociaż najprawdopodobniej w to wierzy. Wątpię, aby miał świadomość, co tak naprawdę znajdowało się w słoiku. – Potrząsam głową. – To doprawdy smutne. Ten człowiek żyje w kłamstwie i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Dziękuję, agentko Barrett.

Brad odjeżdża bardziej niż zadowolony. Obiecuje wyemitować historię w wiadomościach o osiemnastej i dwudziestej trzeciej. Jest tak niecierpliwy, że ledwie udaje mu się powstrzymać od wybiegnięcia z budynku pędem.

– Nieźle poszło – zauważa Callie. – Zapomniałam, jak przystojny jest ten facet. Może powinnam do niego zadzwonić.

– Jeżeli się na to zdecydujesz, tym razem nie chcę słyszeć o szczegółach.

– To nie zabawa. – Milknie na chwilę. – Będzie wściekły, kochaneczko. Kuba Junior, znaczy się. To może go popchnąć za krawędź przepaści.

Uśmiecham się do niej ponuro.

– Mam taką nadzieję. A teraz pora odwiedzić panią Waters.

Jedziemy służbowym wozem, ponieważ chcę mieć pewność, że nikt nie będzie nas śledził, bezpośrednio lub pośrednio. Chociaż samochody należące do członków mojego zespołu zostały sprawdzone pod kątem

urządzeń podsłuchowych i naprowadzających, zawsze istniała możliwość, że morderca wie, jak wyglądają.

W drodze na spotkanie z Leoną Waters dzwonię do Tommy'ego Aguilery i opowiadam mu o e-mailu.

– Jeden z nich musiał tam być zeszłej nocy albo dzisiaj rano. To oznacza, że są dobrze poinformowani o ludziach, których znasz. Jak na przykład o mnie – komentuje.

– No tak. Cóż, wygląda na to, że sprawa skończona, Tommy. Zadzwoń do ciebie później, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Porozmawiamy o usunięciu pluskwy i urządzenia naprowadzającego.

– Nie musisz się fatygować.

– Dlaczego?

– Bo i tak zamierzam cię pilnować, Smoky. Powiedziałem ci wczoraj w nocy, że jesteś moją szefową. Moja praca skończy się dopiero wtedy, gdy go złapiesz, a ja upewnię się, że jesteś bezpieczna.

Chcę zaprotestować, ale szczerze mówiąc w głębi duszy pragnęłam, żeby powiedział coś takiego.

– Nadal będę cię obserwował, Smoky.

Z powodu wypadku na autostradzie podróż zajmuje nam więcej czasu, niż powinna. Półciężarówka wjechała w barierę. Chociaż wypadek sam w sobie nie był poważny, jak zwykle przyciągnął zbyt wielu gapiów. Kiedy przybywamy

na miejsce, jest już prawie druga po południu. Leona Waters mieszka w przyjemnym apartamentowcu zbudowanym w niezbyt miłej okolicy. Santa Monica jest dość nieprzewidywalna. W wielu miejscach zasiedlają ją ludzie z klasy średniej lub wyższej, ale sporo terenów podupadło, podobnie jak reszta LA. To nieustanna historia tego miasta, sprawiająca, że ludzie wyprowadzają się coraz dalej, usiłując uciec przed szerzącym się rakiem, który jednak zawsze jakimś sposobem ich dopada.

Parkujemy i ruszamy w kierunku wejścia. Drzwi są zabezpieczone i wymagają od rezydentów użycia kodu. W recepcji siedzi ochroniarz. Pukam w szybę, żeby zwrócić jego uwagę. Spogląda na mnie z wystudiowaną miną pełną znudzonej irytacji, ale gdy przytykam legitymację służbową do szyby, zrywa się z fotela jak katapultowany i podbiega do drzwi, by nas wpuścić.

Widzi blizny na mojej twarzy i przez moment wpatruje się w nie bez zahamowań. Potem przenosi wzrok na Callie, przesuwał go po jej ciele i zatrzymując się na dostrzegalnie dłuższą chwilę na jej biuście.

– O co chodzi, proszę pani?

– O rozmowę...?

– Ricky – podpowiada usłużnie, oblizując usta. Prostuje się nieco. Ricky wygląda na faceta pod pięćdziesiątkę – kogoś, kto był kiedyś w dobrej kondycji, ale teraz się zapuścił. Jego zmęczona twarz jest pełna zmarszczek. Nie jest to człowiek zadowolony z życia.

– Chcemy porozmawiać z jedną z rezydentek. Nic wielkiego.

– Czy potrzebuje pani jakiejś pomocy? W kwestii tej rezydentki?

– Obawiam się, że obowiązuje nas klauzula poufności, Ricky. Oczywiście rozumiesz to, prawda?

Kiwa głową, usiłując sprawiać wrażenie kogoś ważnego.

– O tak, proszę pani. Jasne, że rozumiem. Winda znajduje się tam. Proszę mi powiedzieć, jeżeli będę mógł w czymś pomóc. – Znów zerka na biust Callie.

– Oczywiście, dziękuję. – Nie ma mowy, myślę sobie.

– Odrażający prymityw – komentuje Callie, kiedy ruszamy windą na trzecie piętro.

– Jeszcze jak.

Wysiadamy. Strzałki kierują nas do apartamentu numer 314. Pukam do drzwi, które po chwili otwierają się.

Stojąca za nimi kobieta i ja wpatrujemy się w siebie. Obie zaniemówiłyśmy z wrażenia.

– Masz jakąś siostrę, o której nic nie wiem, kochaneczko?

Nie mam, ale to rozsądne pytanie, zważywszy na okoliczności. Leona Waters i ja mogłybyśmy być spokrewnione. Jesteśmy niemal tego samego wzrostu, zbudowane w podobny sposób, z okrągłościami koncentrującymi się na biodrach, a nie na biuście. Mamy takie same długie czarne gęste włosy i dość podobne rysy twarzy. Ten sam rozmiar nosa, inny kolor oczu i oczywiście Leona Waters nie ma blizn. Jestem zaskoczona, ale jednocześnie czuję mdlący niepokój. Myślę, że to dość oczywiste, dlaczego Kuba Junior wybrał sobie na cel tę kobietę.

– Leona Waters? – pytam.

Kobieta spogląda to na mnie, to na Callie.

– Tak...

Pokazuję jej legitymację.

– Agentka specjalna Smoky Barrett, FBI.

– Czy mam jakieś kłopoty? – Marszczy brwi.

– Nie, proszę pani. Jestem szefem jednostki do zwalczania brutalnych przestępstw. Ścigamy człowieka, który zgwałcił, torturował i zamordował przynajmniej dwie kobiety. Sądzymy, że planuje uczynić panią swoją następną ofiarą. – Nie bawię się w dyplomację. Celuję w wywołanie maksymalnego szoku.

Kobieta otwiera usta, a jej oczy robią się okrągłe ze zdumienia.

– Czy to jakiś głupi żart?

– Nie, proszę pani. Chciałabym, żeby tak było, ale niestety nie jest. Czy możemy wejść do środka?

Po chwili kobieta zbiera się w sobie i cofa się do wewnątrz.

Kiedy wchodzimy do mieszkania, uderza mnie jego gustowny wystrój – subtelne piękno, bardzo kobiece akcenty. Zdecydowanie jest to mieszkanie kobiety.

Leona Waters zaprasza nas na kanapę, sama zaś siada na wyściełanym fotelu.

– Czy to wszystko dzieje się naprawdę? – pyta. – Twierdzi pani, że gdzieś tam jest jakiś szaleniec, który chce mnie zabić?

– To bardzo niebezpieczny człowiek. Zamordował już dwie kobiety. Bierze sobie na cel administratorki amatorskich stron internetowych dla dorosłych. Torturuje swoje ofiary, gwałci je i zabija. Po wszystkim oszpeca ich ciała. Uważa się za potomka Kuby Rozpruwacza.

Streszczam jej problem szybko, bezwzględnie, żeby wybić jej z głowy wszelkie wahanie. Wydaje się, że mój plan działa: kobieta robi się nagle bardzo blada.

– Dlaczego uważa pani, że wybrał mnie?

– Realizuje specyficzny plan. Zapisuje się na stronę internetową jako subskrybent. Zrobił to z poprzednimi ofiarami. Używa tej samej kombinacji nazwy użytkownika i hasła, która wiąże go z tematyką Rozpruwacza. Znaleźliśmy taką kombinację na liście subskrybentów pani witryny. – Wskazuję na siebie. – Ten człowiek mnie nienawidzi, pani Waters. Ma obsesję na moim punkcie. Czy nie dostrzega pani podobieństw między nami?

Kobieta waha się. Lustruje mnie od stóp do głów.

– Tak, oczywiście, że dostrzegam. – Milknie. – Czy on... czy on to pani zrobił? – Wskazuje na moje blizny.

– Nie on. Ktoś inny.

– Nie chcę być nieuprzejma, ale to nie budzi mojego zaufania.

Uśmiecham się lekko, by pojęła, że wcale mnie nie obraziła.

– To zrozumiałe. Niemniej jednak człowiek, który to zrobił, zaskoczył mnie, gdy byłam zupełnie nieprzygotowana. Tego właśnie usiłujemy uniknąć w tym przypadku. Morderca nie zdaje sobie sprawy, że zasadziliśmy się na niego.

Widzę, że kobieta zaczyna rozumieć.

– Ach tak, czyli chce pani zastawić na niego pułapkę, prawda?

– Dokładnie.

– A ja mam być przynętą?

– Niezupełnie. Jest pani przynętą w tym sensie, że morderca sądzi, iż pani tu będzie. Ja jednak zamierzam podstawić za panią jedną z agentek. Nie chcę ryzykować zdrowia i życia żadnego cywila. Chciałabym, żeby udostępniła nam pani swoje mieszkanie. Oczywiście będzie musiała je pani na jakiś czas opuścić.

W jej oczach pojawia się emocja, której nie potrafię odczytać. Wstaje i odchodzi w dalszą część pokoju. Przez chwilę stoi zwrócona do nas plecami. Kiedy się odwraca, na jej twarzy maluje się determinacja.

– Czy wie pani, ile mam lat? – pyta.

– Em... nie.

– Dwadzieścia dziewięć. – Wskazuje na siebie dłońmi. – Nieźle jak na dwudziestodziewięciolatkę, co nie?

– Rzeczywiście, całkiem nieźle.

– Wyszłam za mąż w wieku osiemnastu lat za pierwszego faceta, z którym uprawiałam seks. Myślałam, że był miłością mojego życia, najwspanialszym mężczyzną na świecie. Zrobiłabym dla niego absolutnie wszystko. I przez jakiś czas tak było. Ale potem Książę z Bajki się zmienił i przez kolejne siedem lat mnie bił. O nie, nigdy niczego mi nie złamał, nigdy

nie zostawiał śladów na mojej twarzy. Był na to zbyt sprytny. Wiedział jednak, jak sprawiać mi ból, i mieszał to z dużą dawką poniżenia. – Patrzy mi prosto w oczy. – Czy wie pani, jak to jest uprawiać seks

z takim człowiekiem? To gwałt. Nie ma znaczenia, czy to twój mąż, czy nie. Sprawia, że seks z nim jest gwałtem. – Potrząsa głową i spogląda w bok. – Dużo czasu minęło, zanim dorosłam. Siedem lat. Przez pierwsze sześć nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go zostawić. Po prostu nigdy o tym nie pomyślałam. Przekonał mnie, że to, co robi, jest moją winą. Albo jego prawem.

– Co spowodowało zmianę? – pyta Callie.

Wiemy doskonale, że nie powinnyśmy jej pytać o to, do czego zmierza i co to ma wspólnego z obecną sytuacją. Cokolwiek mówi, musi to powiedzieć, a żeby dostać to, czego chcemy, musimy po prostu jej wysłuchać.

Leona Waters wzrusza ramionami, w jej oczach pojawia się siła.

– Jak już mówiłam, dorosłam. Wiedziałam, że jest sprytny w wyzywaniu się na mnie. Porozmawiałam z kilkoma gliniarzami. Powiedzieli mi, że udowodnienie mu tego będzie drogą przez mękę. – Uśmiecha się. – Więc zamontowałam ukrytą kamerę i nagrałam wszystko. Po raz ostatni pozwoliłam mu się pobić, skrzywdzić, poniżyć. Oddałam taśmę policji i wniosłam oskarżenie. Jego obrońca usiłował kontrować oskarżeniem o prowokację, ale... – Wzrusza ramionami. – Sędzia pozwolił wciągnąć nagranie wideo do ewidencji. Mój mąż poszedł do więzienia, a ja sprzedałam wszystko, co mieliśmy, i przeniosłam się do LA. – Ogarnia dłonią mieszkanie. – To wszystko jest moje. Wiem, że pewnie nie pochwalacie tego, w jaki sposób zarabiam na życie, lecz nie dbam o to. To jest moje, a ja wyzwoliłam się od niego. – Siada na krześle i spogląda na nas. – Sedno sprawy jest takie: obiecałam sobie, że żaden mężczyzna nigdy więcej nie będzie mnie w ten sposób kontrolował. Nigdy. Więc jeżeli chcecie wykorzystać moje mieszkanie jako pułapkę na tego psychola, zgadzam się na współpracę, ale pod jednym warunkiem. Nie chcę opuszczać mojego domu. – Odchyła się na oparciu i zakłada ręce na piersi. Jest zdecydowana i nie zamierza odpuścić.

Przyglądam się Leonie Waters przez długi czas. Znosi moje badawcze spojrzenie bez zmrużenia powieką. Nie podoba mi się to. Wcale mi się nie podoba. Widzę jednak wyraźnie, że nie da się przekonać. Rozkładam ręce w geście kapitulacji.

– W porządku, pani Waters. Jeżeli mój szef się na to zgodzi, zrobimy to tak, jak pani tego chce.

– Proszę mi mówić po imieniu, agentko Barrett. – Nachyliła się ku nam, podniecona i wojownicza. – Jaki jest szczegółowy plan?

Jestem umiarkowanie podekscytowana. Leona nie miała żadnych wizyt z firmy dezynsekcyjnej. To oznacza, że jeszcze nikt nie dokonał rozpoznania. Mogło to nastąpić w każdej chwili. Dzisiaj, jutro. Jestem przekonana, że dojdzie do tego wkrótce.

Smoczyca rzuca się we mnie niespokojnie. Węszy krew.

Odbyłam rozmowę z zastępcą dyrektora Jonesem, powiedziałam mu, czego potrzebuję. Po dłuższej chwili przeklinania wreszcie się zgodził. Callie i ja nadal jesteśmy w salonie Leony, tym razem sączymy kawę, którą nam zaoferowała. Czekamy na pojawienie się dwóch agentów i dwóch oficerów SWAT z wydziału LAPD. Będą się tu pojawiać w różnych odstępach czasu. Nie chcemy zaniepokoić morderców, na wypadek gdyby któryś z nich obserwował mieszkanie.

Leona poszła do swojego gabinetu, twierdząc, że musi odpowiedzieć na kilka e-mailów.

– Wiesz, nie podoba mi się to, czym się zajmuje, ale lubię Leonę Waters – mówi Callie. – To twardzielka.

Uśmiecham się do niej krzywo.

– Ja też ją lubię. Wolałabym, żeby nie upierała się tak z pozostaniem w domu, ale muszę jej oddać sprawiedliwość. Jest dzielna i twarda.

Callie upija nieco kawy z filiżanki.

– Jak sądzisz, jakie mamy szanse?

– Nie wiem, Callie. Jestem pewna, że to właściwy trop. Spójrz tylko na nią. – Krzywię się z odrazą. – Pewnie wybrał ją, żeby poczuć się, jakby gwałcił i zabijał mnie.

– To okropne, kochaneczko. Człowiek mógłby się niemal nawrócić na całą tę wiarę w sobowtóry.

Dzwoni mój telefon.

– Słucham?

– Chciałem ci tylko przekazać najnowsze wieści – mruczy mi w ucho baryton Alana. – Gene powiedział, że analiza DNA potrwa dłużej, niż sądził. Dostarczy nam jakichś informacji do dwudziestej drugiej lub coś koło tego.

– Mamy chyba dobry trop. – Opowiadam mu o Leonie Waters i naszym

aktualnym planie.

– To potencjalnie dobre wiadomości – odpowiada. – Może uda się nam złapać tych skurwieli.

– Trzymaj za to kciuki. Będę was informować. – Rozłączam się i sprawdzam zegarek. – Cholera, późno się zrobiło. – Spoglądam na Callie. – Już prawie osiemnasta.

– Czas na wieczorne wiadomości.

– Czas na wkurzenie tego psychola.

[28] Ang. 'połykaczka spermy' (przyp. tłum.).

Brad jest bardzo przystojny i poważny, kiedy przedstawia swój raport specjalny.

– Wielu z państwa pamięta agentkę specjalną Smoky Barrett z wydarzeń, które rozegrały się w zeszłym roku. Seryjny morderca, którego wtedy ściagała, niejaki Joseph Sands, odebrał jej całą rodzinę podczas jednego brutalnego wieczoru. Agentka Barrett zdołała ująć z życiem, ale jej twarz pozostała na zawsze oszpecona, zaś jej rodzina zginęła. Pomimo tych osobistych tragedii agentka Barrett wróciła do pracy. W tej chwili ściaga człowieka znanego jedynie jako Kuba Junior. Twierdzi on, że jest potomkiem w pierwszej linii Kuby Rozpruwacza...

Brad wyłuszcza podstawy całej historii bez żadnych upiększeń. Nie potrzebuje dodatkowej oprawy – prawda jest wystarczająco potworna. Moja twarz pojawia się w kamerach pod koniec raportu, kiedy mówię o szokującym odkryciu prawdziwej zawartości słoika. Spoglądam na swoje oblicze bez emocji. Zaczynam przyzwyczajać się do swoich blizn, chociaż wątpię, żeby widzowie zareagowali na nie tak samo.

– FBI pragnie ostrzec inne kobiety parające się tą profesją, aby podjęły szczególne środki ostrożności. – Przechodzi przez listę, którą mu podaliśmy. Spogląda dramatycznie w kamerę. – Zachowajcie czujność i bądźcie ostrożne. Wasze życie może być zagrożone.

Raport dobiega końca.

– Odwalił kawał dobrej roboty – mówi Callie. – Ty też, kochaneczko.

– Chcesz go wyprowadzić z równowagi, prawda? – odzywa się głos za moimi plecami. Byłyśmy tak pochłonięte oglądaniem, że nie zauważyłyśmy pojawienia się Leony, która wyszła ze swojego biura.

– Owszem.

Uśmiecha się do mnie z podziwem.

– Niezłe z ciebie ziółko, agentko Barrett. Gdybym ja przeszła przez to, co ty... – Potrząsa głową.

– No nie wiem, Leona. Przeszłaś przez nieco inną wersję tego samego i też się jakoś pozbierałaś.

Słyszymy pukanie do drzwi i natychmiast milkniemy. Leona sztywnieje.

– Zostań tu – mówię cicho, wyciągając broń. – Kto tam? – pytam, podchodząc do drzwi.

– Agentka specjalna Barrett? Agenci Decker i McCullough w towarzystwie dwóch oficerów SWAT.

Spoglądam przez judasza i rozpoznaję Deckera.

– Chwileczkę. – Otwieram drzwi i gestem zapraszam ich do środka.

Zgodnie z moimi instrukcjami wszyscy są po cywilnemu. Z pewnym rozbawieniem zauważam, że mają na sobie ten sam podstawowy zestaw: dżinsy i bluzy wciągane przez głowę. Nawet w cywilu noszą swego rodzaju „uniform”. Żaden z nich jednak nie zostałby rozpoznany na pierwszy rzut oka jako członek organów ochrony prawa.

– Wszyscy jesteście zapoznani ze sprawą? – pytam, gdy znajdują się już w dużym pokoju.

Odpowiada mi chórek: „Tak, proszę pani”.

– Doskonale. Zamierzamy zastawić pułapkę, panowie. Mordercy zabili już dwukrotnie. Są sprytni, bardzo sprytni. Działają z dużą precyzją, bez wahania i z ogromnym zapałem. Znamy ich obecne *modus operandi* z analizy zabójstw poprzednich ofiar. Jeden z nich udaje się na rekonesans, podszywając się pod inspektora z firmy dezynsekcyjnej. I na to właśnie liczymy w tej chwili. Nie lekceważcie tych przestępców, panowie. Jeżeli którykolwiek z nich, lub obaj, wyciągnie nóż, to nie po to, aby kogoś zastraszyć. Użyją tej broni. Którykolwiek z nich się tutaj pojawi, musimy go złapać żywcem, żeby mógł nas doprowadzić do drugiego zabójcy. – Wskazuję na Leonę Waters. – To jest pani Waters. Jesteśmy przekonani, że mordercy upatrzyli ją sobie jako kolejną ofiarę.

Widzę, jak funkcjonariusze spoglądają na Leonę badawczo, oceniająco. Jeden z oficerów SWAT lustruje ją nieprofesjonalnym, niecenzuralnym spojrzeniem. Jestem z tego powodu jednocześnie przerażona i wściekła. Staję przed nim i dżgam go palcem w pierś, wystarczająco mocno, żeby

zostawić siniaka.

– Oczekuję, że każdy z was będzie działał na najwyższym poziomie profesjonalizmu. Powinniście wiedzieć, że poprosiłam panią Waters o schronienie się w bezpiecznym miejscu na czas tej operacji. Pani Waters jednak odmówiła i sama zaoferowała pomoc w przeprowadzeniu tej akcji. – Nachyliłam się ku SWAT-owcowi, żeby dobrze zobaczył, jak cholernie jestem na niego wkurzona. – Jeżeli tej kobiecie coś się stanie dlatego, że myślisz fiutem, rozszarpie cię żywcem na pieprzone strzępy – szepczę. – Zrozumiano?

Przepraszające spojrzenie oficera wydaje się szczere. Na jego szczęście. Kiwa głową.

– Jaki jest plan, proszę pani? – Pytanie agenta Deckera przywołuje nas do zasadniczej kwestii.

Tłumię swój gniew.

– Zamierzam przeprowadzić to jak najprościej. Jeden człowiek na dachu, jeden na zewnątrz windy, dwóch tutaj ze mną i agentką Thorne. Człowiek patrolujący z dachu powiadomi nas o przybyciu kogokolwiek z ulicy. Człowiek przy windzie będzie mógł potwierdzić, czy ta sama osoba wysiadła na tym piętrze. Agenci zaczajeni w mieszkaniu zajmą się aresztowaniem. Macie wszystkie niezbędne urządzenia? – pytam Deckera.

– Tak, proszę pani. Słuchawki i mikrofony krtaniowe oraz broń.

– Włączając w to karabin snajperski dla człowieka na dachu – dodaje jeden z oficerów SWAT.

Kiwam głową.

– Świetnie. Chcę jeszcze raz podkreślić, że nie możemy zwracać na siebie uwagi. Mamy powody sądzić, że jeden lub obaj podejrzani mnie śledzili. Jeżeli którykolwiek z nich zacznie coś podejrzewać, uciekną. – Spoglądam na nich po kolei. – Jakies pytania?

Wszyscy odpowiadają przecząco.

– W takim razie zajmijcie pozycje. Bądźcie czujni, ale przygotujcie się na długie czekanie.

To właśnie, jak sądzę, jest wyznacznikiem mojej pracy. Powoduje, że moje życie jest zawiadywane przez czynniki zewnętrzne, które sprawiają, że pędzę w kierunku nowego tropu. Nie widzę w tym nic zabawnego. Nienawidzę być do *czegokolwiek* zmuszana, a jednak wybrałam profesję, która właśnie to robi, w sposób nader regularny. Kiedy ściga się zabójcę, harmonogram bierze w łeb. Zasady są proste: im dłużej złoczyńca pozostaje na wolności, tym większa liczba ofiar śmiertelnych. Człowiek musi pracować, dopóki go nie dorwie.

Dlatego teraz siedzę w mieszkaniu kobiety, która utrzymuje się z pokazywania swoich seksualnych przygód w Internecie, i zamierzam czekać tak długo, jak to konieczne, w nadziei, że pojawi się tu wreszcie Kuba Junior lub jego współnik.

Spoglądam na Callie, która siedzi na kanapie z nogami na stoliku kawowym, oglądając wraz z Leoną talk-show w telewizji i zajadając popcorn. To jedna z cech Callie, które w niej kocham i podziwiam. Potrafi żyć chwilą, być całkiem odprężona, a mimo wszystko umie w ułamku sekundy wskoczyć do akcji niczym strzał z bata. To talent, którego nigdy nie posiadałam.

Zerkam na zegarek. Jest wpół do dziesiątej wieczorem. Sprawdzam stan rzeczy, kontaktując się ze SWAT-owcem na dachu, którego znam jako Boba.

– Jakieś anomalie, Bob?

– Jeszcze nie, proszę pani – trzeszczy w słuchawce jego głos.

Nastawiam ucha, podsłuchując rozmowę Callie i Leony.

– Pozwól, że cię o coś zapytam, kochaneczko. Co zrobisz, kiedy postanowisz, że w twoim życiu powinien znów pojawić się mężczyzna?

– Co przez to rozumiesz?

– Chodzi mi o to, czy zmienisz swój styl życia.

Leona zastanawia się nad tym.

– To zależy. Wielu ludzi poznaje się w niemonogamicznych sytuacjach. Prawdopodobieństwo nie jest duże, ale tak czy siak to się zdarza. Przypuszczam, że jeśli nie uda mi się trafić na coś takiego, będę musiała poczekać z szukaniem faceta aż do czasu, kiedy zdecyduję się zakończyć karierę. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie będę stawiała swojego życia na głowie dla żadnego mężczyzny. Nigdy.

– To jednak dość interesujący problem do rozważenia, nie sądzisz?

– Myślę, że wszystko zależy od mojego stylu życia. To nie ulega wątpliwości.

Przestaję słuchać. Callie zawsze była niemal przesadnie ciekawa tego, co powoduje ludzi. To kolejna jej cecha charakteru.

I tak wygląda nasz harmonogram. Tak to się odbywa. I nie tylko tutaj. W biurze wszyscy nadal pracują. Dzielimy między sobą ciężar odpowiedzialności – i to samo będzie z poczuciem winy, jeżeli Bestia zabije kogoś, jeszcze zanim zdołamy ją złapać.

W słuchawce rozlega się trzeszczenie i głos Boba, odciągając mnie od rozmyślań i nudy.

– Mężczyzna, około metra osiemdziesięciu wzrostu, z ciemnymi włosami, wchodzi właśnie do budynku. Ubrany jest w jakiś uniform, ale nie jestem w stanie go rozpoznać.

– Odbiór – włącza się Dylan, który stoi przy windzie.

Spoglądam po kolei na Callie, agenta Deckera i McCullougha. Kiwiają głowami, dając mi do zrozumienia, że słyszeli. Mijają kolejne sekundy.

– Mężczyzna pasujący do rysopisu właśnie wysiadł z windy i zmierza w kierunku mieszkania – mówi Dylan. – Potwierdzam, że jest ubrany w uniform. Powtarzam, mężczyzna jest ubrany w uniform firmy dezynsekcyjnej.

– Odbiór – odpowiadam. Serce wali mi jak młotem. Smoczyca kręci się, podekscytowana. – Zostań na miejscu i blokuj ewentualną drogę ucieczki, Dylan.

– Odbiór.

– Bob, poinformuję cię, jeżeli przejdzie obok nas. Mogę cię poprosić o wykonanie strzału.

– Odbiór. Broń odbezpieczona, czekam na rozkazy.

Spoglądam na Leonę.

– To on.

Kiwa głową. Wygląda na podekscytowaną, nakręconą. Zauważam, że nie okazuje strachu.

Słyszymy pukanie do drzwi. Kiwam ręką na Leonę, która podchodzi do drzwi i wygląda przez judasza – ostatnia kontrola. Odwraca się do mnie i potrząsa głową. Nie zna go. Kiwam głową w milczeniu.

– Kto tam? – pyta.

– Eksterminatorzy ABC, proszę pani. Przepraszam za późną godzinę odwiedzin, ale właściciel budynku wezwał nas w ramach sytuacji kryzysowej. Jakies problemy ze szczurami. Muszę sprawdzić pani mieszkanie. Zajmie mi to tylko kilka minut.

– Emm... w porządku. Proszę chwilę poczekać.

Patrzy na mnie, a ja gestem nakazuję jej wejść do łazienki. Wyciągam broń, podobnie jak Callie, Decker i McCullough. Unoszę dłoń i odliczam na palcach do trzech. Jeden... dwa... na trzy otwieram gwałtownie drzwi.

– FBI! – krzyczę. – RĘCE DO GÓRY!

Mój pistolet znajduje się jakieś pół metra od jego twarzy. Jestem w stanie przyjrzeć się dokładnie jego oczom i dostrzec pustkę, jaką sobie w nich wyobrażałam.

Mężczyzna rzuca na ziemię notatnik, który miał w ręku, i podnosi rękę nad głowę.

– Nie strzelać! – krzyczy. Wydaje się zaskoczony, jak każdy człowiek, który nagle zobaczyłby lufę pistoletu wycelowaną w swoją twarz, ale coś mi tu nie pasuje: w jego oczach nie ma ani krzty zaskoczenia. Są zajęte pracą. Mężczyzna rozgląda się, zastanawia, ocenia swoje szanse.

– Nie waż się ruszyć – mówię. – Ręce za głowę i na kolana!

Wpatruje się we mnie i oblizuje usta.

– Jak sobie życzysz... Smoky.

Mam zaledwie ułamek sekundy na to, by zaniepokoić się tym, że użył mojego imienia. Morderca porusza się niczym huragan. Najpierw robi krok w bok, a potem rzuca się prosto na mnie. Jego ręce zmierzają w przeciwnych kierunkach: jedna odpycha broń na bok, druga uderza mnie płasko w twarz. I nagle lecę do tyłu, widzę gwiazdy przed oczami

i ułamek sekundy mija.

Łąduję na plecach na podłodze i z trudem gramolę się na nogi. Udało mi się jakoś nie wypuścić pistoletu.

Morderca nadal jest w ruchu, jak mistrz jakiejś superskutecznej sztuki walki. Jest silny i sieje zniszczenie. Atakuje kolejne osoby. Wszystkie jego ciosy i kopniaki są gwałtowne i brutalne – niezbyt efektowne, ale za to niesłychanie efektywne. Przyglądam się, jak agent Decker obrywa łokciem w szczękę, z lekko nieprzytomnym zainteresowaniem obserwuję, jak dwa jego zęby nie tyle wypadają, ile *wystrzeliwiają* mu z ust niczym pociski. Potem słyszę zimny głos Callie:

– Rusz się tylko, skurwysynu, a jesteś martwy.

Wszystko to, co do tej pory było w ruchu, nagle zastyga, niczym zawieszona w czasie. Callie trzyma broń przytkniętą do czoła mężczyzny. Jego oczy rozglądają się z wściekłością, ale chwilę potem agent McCullough i Dylan, który postanowił przyłączyć się do zabawy, przygważdżają go do ziemi masą swoich ciał.

Zauważam, że krwawię i że kręci mi się w głowie. Bardzo.

– Kochaneczko, dobrze się czujesz?

Wstaję chwiejnie.

– Tak, dobrze... – W tym momencie się przewracam. Nie tracę przytomności, po prostu siadam z hukiem na tyłku.

Morderca wrzeszczy na mnie:

– Ty głupia *kurwo!* Bezużyteczna krowo! Uważasz, że to cokolwiek znaczy? To nic nie znaczy! Nic! I tak...

– Jezu *Chryste!* – krzyczę. – *Zamknij się* albo postrzelę cię w nogę. Dylan, McCullough, załóżcie mu kajdanki i knebel.

Dylan uśmiecha się do mnie, ale zakłada facetowi kajdanki i wywleka go na korytarz, żeby go przeszukać i odczytać mu jego prawa.

– Jak się czujesz? – pyta zaniepokojona Callie.

Potrząsam głową, testując samą siebie.

– Już nie kręci mi się w głowie. Chyba wszystko w porządku. Jak wygląda moja twarz?

– Nieźle rozkwaślił ci usta, kochaneczko. Wyglądasz jak laska pokroju: „zamiast kolagenu stosuję bliskie spotkania trzeciego stopnia twarzy ze ścianą”.

Zrywam się nagle na równe nogi, zaniepokojona.

– Decker!

– Jestem tutaj. Wszystko w porządku.

Stoi, podpierając się o ścianę, z zakrwawioną chusteczką przyłożoną do ust.

– Wow. Chyba musisz pójść z tym do lekarza.

– Raczej do dentysty – mamrocze. – Skurwiel wybił mi dwa zęby.

– Callie.

Sięga po telefon.

– Już dzwonię po karetkę, kochaneczko.

Drzwi do łazienki Leony uchylają się nieco.

– Czy mogę już wyjść? – pyta drżącym głosem. – Wszyscy cali i zdrowi?

Rozglądam się po jej dużym pokoju, spoglądam na Deckera z krwawiącymi ustami oraz na strzaskany stolik kawowy i w tym momencie to do mnie dociera. Adrenalina wręcz eksploduje we mnie.

– MAMY GO! – wrzeszczę na całe gardło.

Callie i Decker podskakują z zaskoczenia i patrzą na mnie jak na idiotkę. Callie szczyrzy zęby w uśmiechu, Decker też usiłuje to zrobić.

– Wszystko w porządku – mówię, zerkając w kierunku drzwi wyjściowych. – Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Wyłamuję kostki w dłoniach. Moje wargi pulsują bólem.

Ale smoczyca we mnie rzuca się, ryczy i zgrzyta zębami.

Nakarm mnie, syczy. Pozwól mi zmiążdżyć mu wszystkie kości.

Oblizuję górną wargę i czuję smak własnej krwi. To powinno ją na razie usatysfakcjonować.

Jestem znów w kwaterze FBI z Callie. Zostawiliśmy policjanta z Leoną, a naszego podejrzanego zabrano na posterunek policji na Wilshire, gdzie zostanie umieszczony w areszcie. Wracam do biura, żeby spotkać się z Alanem i zaplanować naszą strategię przesłuchania. Wciskam właśnie guzik przywołujący windę, kiedy zaczyna dzwonić moja komórka.

– Smoky!

Natychmiast czuję niepokój. To Elaina. Wydaje się przerażona.

– Co się dzieje, Elaino?

– Jacyś trzech mężczyźni zakradają się do domu. Są w ogrodzie na tyłach. Wyglądają na młodych ludzi.

Dreszcz grozy przeszywa mnie niczym zimna błyskawica. Myślę o Ronniem Barnesie. Czy to ma jakiś związek? Czy Kuba Junior stworzył sobie małą armię psycholi? A może popadam w paranoję?

Paranoję? Z Kubą Juniorem? Nie ma takiej możliwości.

Myślę o tym, co powiedziałam Alanowi: że Elainie nie grozi żadne fizyczne niebezpieczeństwo. Robi mi się niedobrze na myśl o możliwych konsekwencjach tej pomyłki.

Zapominam o windzie i zaczynam wbiegać na górę po schodach. Callie jest tuż za mną.

– Elaino, co z agentami stojącymi od frontu?

Milczenie.

– Widzę ich samochód, ale ich samych nigdzie nie ma.

– Masz w domu broń? Pistolet?

– Tak. Na górze, w szafie.

– Wyjmij go i zabarykadujcie się w łazience. Zabieram Alana i będziemy u ciebie może za piętnaście minut.

– Boję się, Smoky.

Zamykam na moment oczy, nie przerywając biegu.

– Zadzwoń na policję, wyjmij z szafy broń. Niedługo u ciebie będziemy, Elaino.

Rozłączam się, nienawidząc się za to. To jednak niezawodny sposób, żeby zmusić ją do działania. Chwilę później wpadam przez drzwi do biura. Wyraz mojej twarzy przyciąga uwagę całego zespołu.

– Alan! Elaina ma gości! – Wskazuję na Leo i Jamesa. – Wy dwaj zostajecie tutaj. James, porozum się z policją w sprawie podejrzanego, którego mają dla nas wsadzić do aresztu. Callie i Alan, idziemy! Ruszać się!

Alan już jest w biegu. Na jego twarzy maluje się mnóstwo pytań, a w oczach widzę przerażenie. Mimo to mówi spokojnie, kiedy zbiegamy po schodach na parking.

– Ilu? – pyta.

– Trzech. Czają się w pobliżu domu. Powiedziałam jej, żeby zadzwoniła na policję, wyciągnęła z szafy broń i zabarykadowała się w łazience.

– Gdzie, do kurwy nędzy, są agenci, którzy mieli pilnować Bonnie?

– Nie wiem.

Przebiegamy przez recepcję, trzaskamy drzwiami wyjściowymi, zbiegamy po schodach. Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie, powtarzam w myślach niczym mantrę bez końca. Jakaś część mnie zdaje sobie sprawę, że powinnam być bardziej przerażona, ale w tej chwili wszystko koncentruje się na ruchu do przodu. Nie mam czasu na czucie ani na głębokie przemyślenia. Callie nie odzywa się ani słowem. Podąża za mną bez zbędnych pytań.

I wtedy to się dzieje.

– Giń, *pizdo!*

Jesteśmy na parkingu i młody mężczyzna, który wykrzyknął te słowa, biegnie w moim kierunku z nożem w uniesionej dłoni. Ma wykrzywioną maniakalnie twarz, jego oczy wypełnia głód. Czas zwalnia. Metr osiemdziesiąt dwa, myślę analitycznie. Biegnie, nóż w uniesionej dłoni, to znaczy, że zada mi cios za jakieś pół sekundy...

Zrobiłam mu dziurę w głowie, zanim zdążyłam dokończyć tę myśl. Wyciągnęłam pistolet z kabury i strzeliłam zbyt szybko na świadome działanie. Włączył się mój instynkt – decydujące uderzenie pioruna.

Głowa nieznanego wybucha i czas resetuje się do normalnej prędkości. Odsuwam się na bok, kiedy mężczyzna pochyła się do przodu i jego ciało uderza o chodnik z tępym łomotem, rozpryskując dookoła fragmenty szarej materii mózgu. Nóż wyfruwa z jego martwej dłoni.

– *Ożeż ty, kurwa!* – krzyczy Alan.

Zauważam, że ani on, ani Callie nie zdążyli jeszcze wyciągnąć broni. Nie winię ich za to. Jesteśmy związani w szczególny sposób – mój stalowy czarny ptak i ja.

Moje myśli biegną w tym samym przyspieszonym tempie.

– Callie, ty prowadzisz. Jedziemy!

Widzę zmierzającego w naszym kierunku Tommy'ego, lecz nie zatrzymuję się.

– Wszystko w porządku – wykrzykuję. – Ale w domu Alana są podejrzani ludzie!

Tommy nie zwalnia, nie kiwa głową, nie robi nic poza zmianą kierunku. Teraz biegnie w stronę swojego samochodu. Ach, ten trening służb specjalnych, myślę. Natychmiastowa reakcja, brak wahania, szybka decyzja i wykonanie.

Docieramy do samochodu Callie i ładujemy się do niego na wyścigi. Dwie sekundy później rusza z parkingu z piskiem opon.

– Kto to był, do cholery? – pyta Alan.

– Bracia krwi Ronniego Barnes'a, kochaneczku – mruczy Callie, wyręczając mnie w odpowiedzi. Rozgląda się czujnie, bojowo, wystrzelając z parkingu na drogę.

Alan nie odpowiada. Widzę zrozumienie malujące się na jego twarzy, a potem strach.

– O nie... – szepcze.

Nic nie mówię. Nie muszę. Wiem, że powtarza w głowie tę samą mantrę co ja: Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie.

Jestem pewna, że w jego myślach mantra przemienia się w modlitwę.

Alan dzwoni do Elainy.

– Kochanie, jesteśmy w drodze. Zadzwońiłaś po policję?... Co? Cholera! Zostań na miejscu, kochanie! Dokładnie tam, gdzie jesteś. – Zasłania dłonią mikrofon. – Włamali się do domu. Elaina słyszy ich kroki wewnątrz. – Zaczyna znów mówić do swojej żony: – Posłuchaj, skarbie. Nie rozmawiaj już ze mną. Nie chcę, żeby cię usłyszeli. Nie rozłączaj się, połóż gdzieś telefon i wyceluj broń w drzwi. Jeżeli nie usłyszysz mnie, Smoky lub Callie, strzelaj do każdego, kto będzie usiłował wejść do środka.

Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie...

Jesteśmy na ulicy Alana. Z piskiem hamulców Callie zatrzymuje się na podjeździe i wyskakujemy z wozu. Alan odłożył telefon i wyciągnął broń. Wszyscy wyciągnęliśmy broń. Rozglądam się i dostrzegam samochód Keenana. Podbiegam do niego i to, co widzę, napełnia mnie gniewem i smutkiem. Obaj z Shantzem nie żyją. Ktoś strzelił im prosto między oczy.

Najpierw zemsta, potem żałoba, myślę.

Odbiegam od ich samochodu, kierując się do wejścia do domu. Wskazuję na drzwi.

– Wyważyli je – szepczę. – O ile to możliwe, musimy ich złapać żywcem. Słyszysz, Alan?

Spogląda na mnie przez chwilę zimnym spojrzeniem zabójcy. Potem kiwa niechętnie głową.

Wchodzimy do środka w pełnym pogotowiu, rozglądając się, szukając śladów włamywaczy. Callie, Alan i ja patrzymy na siebie i potrząsamy głowami. Nikogo nie ma na dole. Zatrzymujemy się, słysząc hałasy na

górze. Wskazuję na sufit.

Zakradamy się na piętro. Serce wali mi jak młotem. Słyszę oddech Alana i widzę pot na jego czole, chociaż w domu jest chłodno. Jesteśmy niemal na górze, kiedy dobiega nas krzyk Elainy.

– *Alan!* – Jej głos jest pełen przerażenia. Słyszę *BUM-BUM-BUM* wystrzałów z pistoletu.

– *FBI!* – krzyczę. Wbiegamy na górę, już nie zachowując ciszy. – *Rzucić broń i na pieprzone kolana!*

BUM-BUM-BUM! Znowu strzały i teraz widzę, skąd dochodzą. Młody mężczyzna z ciemnymi włosami wygląda, jakby dostał płasawicy, a Elaina robi w nim kolejne dziury. Jest w szoku, idzie na całego, strzela, dopóki nie wyczerpuje się magazynek.

Dwóch pozostałych włamywaczy odwraca się w naszym kierunku. Jeden ma pistolet, drugi nóż. Wydają się przez chwilę zaskoczeni, a potem na ich twarzach pojawia się nienawiść.

– *To ona!* – krzyczy ten z pistoletem. – *To ta pizda Smoky!*

Unosi broń do strzału, podczas gdy drugi z nich rzuca się na mnie z nożem. Wszystko znów zaczyna się poruszać jak w zwolnionym tempie.

Widzę, jak Alan i Callie strzelają do napastnika z bronią, i ze swego rodzaju obojętną aprobatą obserwuję, jak w jego głowie i piersi otwierają się wielkie ziejące dziury bryzgające krwią. Widzę, jak naciska spust, upadając do tyłu. Nożownik nadal pędzi w moim kierunku, zupełnie jak w scenie z parkingu, tyle że tym razem strzelam, mierząc w dłoń trzymającą nóż. Chcę go wziąć żywcem. Patrzę, jak dwa z jego palców znikają, jego oczy robią się ogromne i uciekają do tyłu, kiedy szok uderza go z siłą młota pneumatycznego. Napastnik opada na kolana, jego usta układają się w literę O. Wymiotuje, a potem upada na twarz, nieprzytomny, lecz nadal dygoczący.

– *Elaina!* – krzyczy Alan.

– *Tutaj!* – odpowiada histerycznie. – *Wszystko z nami w porządku! Wszystko w porządku! Wszystko w porządku!*

Oboje z Alanem biegniemy do łazienki.

Kiedy widzę Elainę i Bonnie ukryte w wannie, całe i zdrowe, z ulgi uginają się pode mną kolana. Elaina płacze, nadal trzymając pistolet w obu dłoniach, z dzikim spojrzeniem. Bonnie siedzi na jednym końcu wanny, obejmując nogi ramionami i kiwając się w przód i w tył. Oboje

z Alanem zderzamy się ze sobą, usiłując jednocześnie wejść do środka.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – pytam gorączkowo, chwytając głowę Bonnie i szukając jakichkolwiek śladów ran. Alan robi to samo z Elainą. Bonnie zaczyna szlochać i zarzuca mi ręce na szyję. Elaina robi to samo z Alanem.

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu. – Jego głos odbija się echem od ścian łazienki. To chaos ulgi.

– Callie! – krzyczę za drzwiami. – Żadnej z nich nic się nie stało. Nikomu nic się nie stało.

Żadnej odpowiedzi.

– Callie?

Powraca wspomnienie, trzask pioruna. Pistolet napastnika wypala...

– O nie... – szepczę. Sádzam Bonnie na podłodze, wyciągam broń i ostrożnie wychodzę z łazienki.

Widzę ją.

Nagle otacza mnie dzwon ciszy – bezruchu uformowanego z szoku.

Callie leży na podeście schodów, na dywanie, z rozsypanymi włosami i zamkniętymi oczami.

Na jej piersi rozlewa się czerwona plama.

– 911, Alan... – szepczę, a potem powtarzam, krzyżąc: – *911! 911!*
Dzwoń po pieprzone 911!

Jestem w samochodzie Tommy'ego. Pędzimy do szpitala. Cała się trzęsę niekontrolowanie.

Nie jestem w stanie logicznie myśleć. Przeważenie przeszywa mnie raz po raz potężnymi zastrzykami adrenaliny.

Alan został w domu z Elainą i Bonnie. Musiał się też upewnić, że nasz jedyny żywy podejrzany zostanie aresztowany. Nie powiedział do mnie ani słowa, ale nie musiał. Widziałam wszystko w jego oczach.

Słowa Tommy'ego przedzierają się przez mgłę paniki.

– Widziałem jej ranę, Smoky. Znam się na tym. Nie jestem ci w stanie powiedzieć, czy z tego wyjdzie, ale jedno, co wiem, to że nie był to stu procentowo śmiertelny postrzał. – Spogląda na mnie. – Słyszysz, co do ciebie mówię?

– *Tak, do cholery! Słyszę cię!* – wrzeszczę w odpowiedzi, sama nie wiem dlaczego. Nie jestem zła na Tommy'ego.

– Nie ma sprawy, pokrzycz sobie, Smoky. Rób, co musisz – odpowiada stoickim tonem. Z jakiegoś powodu cholernie mnie to wkurza.

– Wcielenie spokoju, chłodu i stoicyzmu, co? – Nie mogę się powstrzymać. Wypełnia mnie trucizna, gorzka, drażniąca, obezwładniająca, domagająca się uwolnienia. – Uważasz, że bycie pieprzonym robotem czyni z ciebie kogoś specjalnego?

Brak odpowiedzi.

– Chyba jednak nie jesteś supermanem! Wywalili cię przecież ze służb specjalnych, co nie? Pieprzony nieudacznik! – Tommy nawet nie mruga powieką. Zaczynam się na niego wydzierać. – *Nienawidzę cię, kurwa! Słyszysz? Nic dla mnie nie znaczysz! Moja przyjaciółka umiera, a ty traktujesz to jak nic wielkiego, więc nic dla mnie nie znaczysz*

i nienawidzę cię i... – Mój głos zmienia się w jęk. Cała trucizna się ze mnie wylała i powrócił stary dobry przyjaciel, ból.

Odkręcam panicznie szybę i wymiotuję na ulicę. Głowę przeszywa mi ostry ból.

Odchylam się na oparcie, wypruta z wszelkich emocji. Tommy sięga do schowka na rękawiczki.

– Znajdziesz tam chusteczki jednorazowe.

Biorę kilka i wycieram twarz.

Jedziemy dalej.

– Przepraszam – mówię cichutko jakieś półtora kilometra później.

Spogląda na mnie i uśmiecha się łagodnie.

– Nie przejmuj się tym w tej chwili.

Kiedy zaczynam płakać, kładzie dłoń na moim kolanie i trzyma ją tam przez całą drogę do szpitala.

Kaplica przyszpitalna jest pogrążona w ciszy. Mam ją tylko dla siebie. Callie ma operację i niczego jeszcze nie wiemy. Przyjechali tu wszyscy: Leo, James, Alan, Elaina i Bonnie. Zastępca dyrektora Jones jest w drodze.

Modlę się na kolanach.

Nigdy nie wierzyłam w Boga dosłownie, tak jak większość ludzi – już raczej w coś tam wyżej, we wszechmocną istotę rządzącą wszechświatem.

Wierzę, że coś takiego istnieje. Coś, co nie jest nami zbyt zainteresowane, ale od czasu do czasu lubi sprawdzić, co się z nami dzieje. Skontrolować życie mrówek.

Kłękam i składam dłonie razem, ponieważ być może to jedna z tych chwil.

Jestem pokryta krwią i fragmentami mózgu – objawami przemocy.

Ale pochylam głowę i modlę się, nie przerywając, mamrocząc rozpaczliwie pod nosem.

– No dobra, więc Matt został mi odebrany, moja córka też i moja najlepsza przyjaciółka. Zostałam pocięta i potwornie oszpecona i mam koszmary nocne, przez które budzę się z krzykiem. Spędziłam sześć miesięcy w nieustannym cierpieniu, pragnąc umrzeć. Bonnie nie mówi z powodu niewyobraźalnego koszmaru, jaki zafundował jej pewien psychol. Ach, i jeszcze Elaina, jedna z najlepszych osób, jakie znam, kobieta, którą szczerze kocham, ma raka. – Przerywam i ocieram łzę z oka, potrząsając głową. – Ze wszystkim tym mogłam sobie jakoś poradzić. Zajęło mi to sporo czasu, lecz pracuję nad tym. – Kolejna łza spływa mi po policzku. Zaciskam pięści tak mocno, że zaczynają mnie

boleć. – Ale to? Nie. Nie ma mowy. To za wiele. Nie Callie. Więc zawrzyjmy umowę. Gotowy? – Słyszę w moim głosie niedolę i błaganie. – Spraw, żeby przeżyła, a ja dam ci wszystko, co chcesz. Cokolwiek. Możesz mnie oślepić, okaleczyć, spowodować, że zachoruję na raka, puścić z dymem mój dom, doprowadzić do tego, że wywalą mnie z FBI zhańbioną. Możesz zrobić ze mnie wariatkę. Zabij mnie, ale spraw, żeby przeżyła. Proszę.

Głos mi się załamuje, a ja wraz z nim. Coś we mnie pęka. Ból sprawia, że pochylam się do przodu i muszę wysunąć rękę, żeby nie upaść plackiem na podłogę. Na czworakach patrzę, jak łzy opadają deszczem na posadzkę kaplicy.

– Chcesz, żebym się czołgała? – szepczę. – Chcesz, żeby ktoś, żeby dziesięć potworów znów mnie zgwałciło i pocięło? W porządku. Tylko niech Callie to przeżyje.

Nie słyszę odpowiedzi, ani nawet jej cienia. Nie przejmuję się tym jednak zbyt. Nie spodziewałam się jej. Musiałam tylko to wszystko powiedzieć. Nazwijcie to rozmową z Bogiem, błaganem Allaha lub wizualizacją celu. Czułam, że muszę zawrzeć umowę z wszechświatem, by ocalić Callie. Musiałam pokazać, że jestem gotowa oddać wszystko, absolutnie wszystko, aby ocalić moją przyjaciółkę.

Na wszelki wypadek – gdyby miało to sprawić jakąś różnicę.

Wracam z kaplicy do poczekalni. Spędziłam sporo czasu, usiłując doprowadzić się do jako takiego porządku, ale nadal czuję się roztrzęsiona, zszokowana i załamana. Wiem, że powinnam zająć się teraz moimi ludźmi. To moja funkcja, moja praca, coś, co powinien robić lider.

– Wiemy już coś? – pytam i jestem dumna z siebie, bo w moim głosie nie słychać zdenerwowania.

– Jeszcze nie – odpowiada poważnie Alan.

Spoglądam na wszystkich po kolei. James jest ponury, Leo przechadza się nerwowo po poczekalni, a Alan wygląda na całkowicie bezradnego. Tylko Elaina i Bonnie wydają się spokojne, co mnie zdumiewa. Koniec końców to one przeszły niedawno przez koszmar. Nigdy nie wiadomo, skąd ludzie czerpią siłę w danej sytuacji, dopóki się ona nie zdarza.

Czuję zapach płynu do sterylizacji, typową woń tego miejsca. Słyszę

ciche odgłosy szurania i pikanie – dźwięki zawsze wypełniające pomieszczenia szpitalne. Jest strasznie cicho – jak w bibliotece, w której wszyscy czytelnicy wykrwawili się na śmierć.

Podchodzę do Bonnie i siadam obok niej.

– Jak się czujesz, kochanie?

Kiwa głową, a potem potrząsa nią. Dopiero po minucie udaje mi się rozszyfrować przekaz. *Tak, czuję się dobrze, i nie, nie musisz się o mnie martwić.* To właśnie mówi mi Bonnie.

– To dobrze – mruczę.

Drzwi poczekalni otwierają się gwałtownie i do środka wpada zastępca dyrektora Jones. Wygląda na oszalałego.

– Gdzie ona jest? Co z nią? Co się stało?

Wstaję i podchodzę do niego, stukając butami po szpitalnych płytkach podłogowych. Klik-klak, klik-klak, wsłuchuję się w dźwięk odrętwiałą częścią siebie.

– Operują ją, sir.

Przygląda mi się przez długą chwilę.

– Jaki jest jej stan?

– Kula trafiła ją w górną część klatki piersiowej. Nie ma otworu wylotowego. Callie straciła sporo krwi i natychmiast zabrali ją na salę operacyjną. To wszystko, co wiemy. – Oszczędne, myślę. Czyste, chirurgiczne, wydajne informacje. Tłumię gotujący się we mnie wulkan paniki i skowytu...

Jones spogląda na mnie i jego twarz robi się purpurowa. Jestem przerażona poziomem gniewu w jego oczach. Jest to coś, czego nigdy nie kojarzyłam z tym człowiekiem. Buzujące we mnie szaleństwo chwilowo przycicha.

– Jak długo już ją operują? – pyta ostro.

– Dwie godziny.

Jones odwraca się ode mnie gwałtownie i zaczyna się nerwowo przechadzać po pomieszczeniu. Wreszcie wraca do mnie i dźga palcem powietrze w moim kierunku.

– Posłuchaj mnie, Smoky. Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Mam dwóch martwych agentów, a kolejny walczy o życie. Od tej chwili żadnemu, ale to absolutnie żadnemu z was nie wolno być samemu. Jeśli oznacza to, że musicie chwilowo ugościć kogoś na kanapie, dopóki sprawa się nie

skończy, to trudno. Nie wolno wam wybrać się do toalety ani nawet wytrzeć nosa bez towarzystwa drugiej osoby. Rozumiemy się?

– Tak jest, sir.

– Żadnych więcej ofiar, słyszysz, Smoky? *Koniec z tym!*

Przyjmuję na siebie atak jego gniewu, uginam się pod burzą jego emocji. To jego wersja mnie z samochodu Tommy'ego. Musi uwolnić swoje emocje co do Josepha Sandsa. To oznaka, że Jones się nami przejmuje. Rozumiem go.

Wreszcie sztorm mija i emocje opadają. Jones przykładą dłoń do czoła. Rozpoznaję tę krótką walkę. Ja sama odbyłam ją zaledwie przed chwilą. Jones jest naszym szefem. Nadszedł czas, żeby spełnić swoją powinność.

– Przegrupujmy się, skoro i tak musimy tu czekać. Najświeższe wieści poproszę.

Opowiadam mu o aresztowaniu połowy tandemu Kuby Juniora. Wspominam o telefonie od Elainy i informuję go o napastniku, którego zastrzeliłam na parkingu przed kwaterą FBI. Podaję też, co wydarzyło się w domu Alana.

– Gdzie jest ten gość, którego postrzeliłaś w rękę?

– Tutaj – odpowiadam. – Również na sali operacyjnej. Próbują przyszyć mu odstrzelone palce.

– Pieprzyć go – warczy Jones.

Kątem oka widzę, że Bonnie kiwa głową na zgodę. Napełnia mnie to niepokojem.

– Pozostali trzej? – pyta Jones. – Zmarli?

– Owszem.

– Kto?

Ma na myśli, kto ich zabił. W którymś momencie będziemy się musieli tym zająć. Odnotować każdą wystrzeloną kulę.

– Ja zabiłam faceta na parkingu. Elaina zastrzeliła jednego z włamywaczy w jej domu. Alan i Callie zastrzelili drugiego, który był w posiadaniu broni palnej.

Zastępca dyrektora Jones spogląda na Elaineę i jego oczy łagodnieją.

– Przykro mi – mówi. Przykro mi, że ty, cywil, musiałaś zabić człowieka. To właśnie chce jej przekazać. Elaina rozumie.

– Dziękuję.

– I sądzimy, że wszyscy są protegowanymi Kuby Juniora?

– Nie ma co do tego zbyt wielu wątpliwości, sir.

– A co z podejrzanym, którego aresztowaliście w mieszkaniu dzisiaj wieczorem? On też jest jednym z nich? Na pewno?

– Nie możemy mieć stuprocentowej pewności, dopóki któryś z nich lub dowody tego nie potwierdzą, ale... owszem, to pasuje.

Jones kiwa głową z aprobatą.

– To dobrze. Naprawdę dobrze. – Milczy przez chwilę, zastanawiając się nad wszystkim. Patrzy na nas po kolei. Kiedy znów się odzywa, jego głos jest znacznie łagodniejszy. – Posłuchajcie. Wszyscy zaczekamy tu razem, żeby zobaczyć, czy Callie z tego wyjdzie w jednym kawałku. Musimy mieć nadzieję, że tak. Po wszystkim, bez względu na jej stan, wracamy do pracy. Najpierw gniew, potem smutek.

Nie słyszę żadnych protestów. Widzę jedynie ponure postanowienie w oczach całego zespołu. Jones też to dostrzega, ponieważ kiwa głową.

– W porządku.

W porządeczku, w porząsiu. Czuję, jak mały bąbel hysterii powoli wynurza się zza murów chroniących moją wewnętrzną siłę. Czuję się słabo i muszę usiąść.

Dzwoni czyjś telefon. Wszyscy sprawdzają kieszenie, a potem widzę, jak Tommy przykładła swoją komórkę do ucha. Niemal o nim zapomniałam. Jest człowiekiem z zewnątrz i odsunął się od naszej grupy, szykując się na długie oczekiwanie.

– Aguilera. – Marszczy brwi. – Kto mówi?

Widzę, jak na jego twarzy pojawia się nagle przerażający spokój. Nie ma w tym ani krzty relaksu. Absolutnie. Wiem, że Tommy chce zabić człowieka, który z nim w tej chwili rozmawia. Zerka na mnie szybko. – Chwileczkę.

Podchodzi do mnie, wyciągając telefon.

– To on.

Zrywam się z krzesła, a wraz ze mną reszta zespołu. Bąbelki hysterii zniknęły, zastąpione jasnym rozbłyskiem zaskoczenia.

– Co takiego? Masz na myśli Kubę Juniora? – Mój głos w pełni oddaje poziom mojego niedowierzania.

– Owszem. Chce z tobą porozmawiać.

Przychodzi mi do głowy niezliczona ilość różnorodnych myśli. To całkowita zmiana w jego rutynie. Nie ma to zupełnie sensu.

– Jest jakaś szansa na namierzenie telefonu? – pytam Tommy’ego jako miejscowego eksperta do spraw elektronicznej inwigilacji.

– Jeśli nie rozpoczęliśmy procesu przed odebraniem tego połączenia, to nie.

Przez chwilę czuję się zagubiona.

Jones wzdycha ciężko.

– Porozmawiaj z nim, Smoky. To jedyna rzecz, którą możesz zrobić.

Wyciągam rękę i biorę od Tommy’ego komórkę. Oddycham głęboko, żeby się uspokoić, i przykładam ją do ucha.

– Smoky przy telefonie.

– Agentko specjalna Barrett! Jak się miewasz? – Używa jakiegoś sprzętu, który zmienia brzmienie jego głosu. Mam wrażenie, że rozmawiam z robotem.

– Czego chcesz?

– Pomyślałem, że ten jeden raz powinniśmy porozmawiać, jeśli nie twarzą w twarz, to przynajmniej przez telefon. E-maile i listy są bardzo bezosobowe, nie sądzisz?

– Myślę, że wszystko to jest bardzo osobistą sprawą, Kubo. Poza tym jesteś pieprzonym kłamcą.

Chichocze, co na skutek zniekształcenia głosu brzmi koszmarnie.

– Mówisz o moich małych posłannikach, tak? Cóż... to prawda. Ale nie chodzi tu o kłamanie. Po prostu się znudziłem. Moje małe gierki z tobą i twoimi ludźmi satysfakcjonują mnie pod wieloma względami na równi z moją pracą na dziwkach.

Chcę go skrzywdzić. Chcę zrobić coś, co sprawi, że przestanie tak arogancko się chełpić.

– Hej, Kuba, widziałeś moje małe wystąpienie w wiadomościach wieczornych?

Długie milczenie. Kiedy znów się odzywa, czuję coś w rodzaju zjadliwej satysfakcji. Zauważam bowiem, że z jego głosu nagle zniknęło samozadowolenie.

– Tak, Smoky, widziałem twoje kłamstwa.

Wybucham śmiechem, krótkim, gwałtownym, szczekliwym.

– Kłamstwa? A po jakiego diabła miałabym kłamać? Po prostu nie chcesz przyznać, że to prawda, skurwielu! Nie ma żadnego „dziedzictwa”, żadnej macicy Annie Chapman, żadnej świętej misji.

Jesteś zwykłym kłamcą, Kubo. Całe twoje życie jest kłamstwem! Chryste, nie potrafisz nawet podążać za *modus operandi* prawdziwego Rozpruwacza! On zabijał *prostytutki*, Juniorze, a nie gliniarzy. Ty wyraźnie nie możesz się zdecydować, co wolałbyś bardziej. Rozpruwacz przynajmniej wybrał sobie rodzaj ofiary i do końca się tego trzymał! Co, nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy? Nie chcesz dostrzec, jaki jesteś żaloszny?

Słyszę jego oddech, szybki, gniewny. Urządzenie modyfikujące głos zmienia jego brzmienie na iście dziwaczne.

– Nadal tam jesteś, *Kubus*?

Kolejna przerwa.

– Niezły chwyt, Smoky. Brawa dla ciebie. Wielkie brawa. Dlaczego miałabyś kłamać? Z najprostszego powodu pod słońcem: żeby wyprowadzić mnie z równowagi. – Przerywa, a ja niemal czuję jego wściekłość. – Nigdy nie powiedziałem, że *jestem* Rozpruwaczem, głupia suko. Powiedziałem, że jestem jego potomkiem w prostej linii. Ale ja wyewoluowałem. Jestem ponad nim. Dlaczego poluję na ciebie i twoich ludzi tak samo jak na dziwki? Ponieważ jestem w tym *światny*. Ponieważ *mam na to ochotę*. Z tego samego powodu, z jakiego bawi mnie przysposabianie moich małych akolitów. Ponieważ *mogę* to zrobić.

Przez chwilę, tylko przez chwilę jestem bliska rzucenia mu w twarz informacji, że schwytałam jego koleżkę. Udaje mi się jednak powstrzymać.

– Nie. Ponieważ jesteś popieprzony, Kubusiu. Wyewoluowałaś? Nie sądzę. Oryginalny Rozpruwacz nigdy nie został pojmany. Ale ja zamierzam cię złapać. Możesz na to liczyć.

Zapada długa cisza. Kiedy znów się odzywa, z jego głosu znika gniew. Jest spokojny, odzyskał panowanie nad sobą.

– Skoro już jesteśmy przy dziwkach, jak się miewa mała Bonnie?

Trudno mi nad sobą panować. Chcę skłonić go do dalszej rozmowy. Decyduję się na inną taktykę. Ściszam głos i staram się, żeby zabrzmiał spokojnie, rozsądnie.

– Kuba, może przestaniemy udawać? Oboje wiemy, kogo tak naprawdę chcesz. Mylę się?

Milczy.

– A któż to taki, agentko Barrett?

– Ja. Chcesz mnie.

Jones przesuwa dłonią po gardle.

– Nie! – szepcze. – Do cholery, Smoky!

Ignoruję go.

– Mam rację?

Słyszę śmiech.

– Smoky, Smoky, Smoky... – mówi protekcyjnym tonem. – Ja chcę wszystkiego, moja droga. Chcę dziwek, chcę ciebie i każdej osoby, którą kochasz. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, jak się miewa droga Callie? Przeżyje?

Wściekłość zaczyna we mnie wrzeć, gotowa do wybuchu.

– Pierdol się!

– Masz jeden dzień. – Ignoruje mój gniew. Zbыва go. – A potem następna kurwa straci życie. Och, i oczywiście twoi ludzie mogą się również spodziewać kolejnych atrakcji.

Czuję, że zamierza skończyć rozmowę.

– Zaczekaj.

– Nie, nie sądzę. Ten jeden raz nie mogłem się powstrzymać, ale to niepewna metoda komunikacji. Dla mnie, oczywiście. Nie spodziewaj się powtórki. Następnym razem, kiedy usłyszysz mój głos, spotkamy się osobiście i będziesz krzyczała. – Chwila milczenia. – Jeszcze jedna rzecz: jeśli agentka Thorne jednak umrze, powinnaś pomyśleć o kremacji ciała. Inaczej poczuję pokusę, żeby ją wykopać i... pobawić się nią, tak jak to zrobiłem ze słodką Rosą.

Rozłącza się. Jego ostatnie słowa są niczym tępa piła tnąca moje kości.

– Co się z tobą, kurwa, dzieje? – pyta James. Gniew w jego głosie całkowicie i absolutnie mnie zaskakuje. Spoglądam na niego i ze zdumieniem dostrzegam potworną wściekłość w jego oczach. Cały dygocze, wstrząsany falami gniewu.

– O czym ty mówisz? – pytam z niedowierzaniem.

– Musiałaś się, kurwa, z nim podrażnić, prawda? Nie mogłaś się powstrzymać. – Jego słowa są przesiąknięte jadem. – Ma nas wszystkich na celowniku, a ty musiałaś wkurwić go jeszcze bardziej, nakręcić go. Zawsze tak robisz. Pierdolisz frazesy, że jesteśmy niepokonani, a tym mordercom mówisz dokładnie to samo. Wszystko to gówno warte. – Rozkręca się. Wypluwa z siebie słowa coraz szybciej, bez oporów.

A ja mogę się tylko na niego gapić.

– Co, nie pamiętasz już? Nie pamiętasz, jak wystąpiłaś w telewizji, kiedy usiłowaliśmy schwytać Josepha Sandsa? Jak mówiłaś, że jest żalonym impotentem, jak go drażniłaś z nadzieją, że połknie przynętę? – Przerzywa, patrząc na mnie rozpalonym wzrokiem. Krzywi się, odsłaniając w gniewie zęby. – No i zrobił to, prawda? Połknął przynętę i zamordował twoją rodzinę. Ciebie też prawie zabił, a teraz ten psychol zamierza zrobić wszystko, żeby nas powybić. A ty *nie potrafisz wyciągnąć wniosków!* Keenan i Shantz nie żyją. Jeszcze nie rozumiałaś? Czy Callie też musi umrzeć, żebyś wreszcie to pojęła? – Nachyla się ku mnie. – Że czasem, kiedy udajesz twardzielkę, inni ludzie giną? – Milknie, a ja mam wrażenie, jakby w ostatniej chwili rozluźnił gumkę recepturkę, napiętą do granic wytrzymałości. Poluzował ją, zanim ta się przerwała. Taka cisza przed burzą. – Czy to, że pozwoliłaś zginąć swojemu mężowi i córce, nie nauczyło cię niczego? – kończy w absolutnej ciszy.

Opada mi szczęka na dźwięk tych słów. Mam ochotę go spoliczkować – nie lekko, tylko z całej siły, tak żeby poluzować mu zęby i rozkrwawić nos. Chcę tego tak bardzo, że niemal czuję smak tego pragnienia, jak krew w ustach. Powstrzymują mnie dwie rzeczy. Jedną jest niemal natychmiastowy przebłysk wstydu w jego oczach. Drugą jest Bonnie. Stoi obok Jamesa, pociągając mocno za jego rękę.

– Co... o co chodzi? – pyta. Wydaje się równie otumaniony jak ja.

Bonnie gestem nakazuje mu przyklęknąć obok niej. Obserwuję, jak to robi. Cała się trzęsę z emocji.

Bonnie mnie wyręcza. Uderza go całą dłonią i chociaż ma tylko dziesięć lat i jest drobna jak na swój wiek, odgłos uderzenia brzmi niczym trzaśnięcie bicia.

Oczy Jamesa robią się okrągłe ze zdumienia. Otwiera usta i zatacza się do tyłu, siadając na podłodze. Obserwuję to z rozdziawionymi ustami. Bonnie spogląda na mnie przelotnie, kiwa głową i wraca na miejsce obok Elainy.

Wszyscy milczą. Czuję ich bezruch i konsternację. James wstaje powoli, z dłonią przyłożoną do policzka. W jego oczach widzę wstyd, cierpienie i zdumienie.

Chcę coś powiedzieć, ale zanim jestem w stanie to zrobić, dzieją się

dwie rzeczy. Do poczekalni wbiega córka Callie i jednocześnie pojawia się bardzo spocony, zmęczony chirurg. Przez chwilę nie wiem, do którego z nich zwrócić się najpierw, lecz Marilyn rozwiązuje za mnie ten problem, podchodząc do lekarza.

– Po pierwsze i najważniejsze, agentka Thorne żyje – mówi zmęczonym głosem.

– Dzięki Bogu! – wykrzykuje Elaina.

Chcę opaść na kolana z ulgi, ale nie robię tego. Chirurg unosi dłoń, uciszając nas.

– Kula przeszła bardzo blisko serca. Na szczęście została w jednym kawałku, choć trochę sobie pokrzyżyła w ciele. Zatrzymała się w pobliżu lewego ramienia, lecz niestety przedtem przeszła koło kręgosłupa.

Nagle zdaje się, że temperatura w poczekalni spada o dziesięć stopni. *Kręgosłup*. To straszne słowo.

– Rdzeń kręgowy na szczęście nie został przerwany, ale mamy do czynienia z dużym posiniaczeniem i opuchlizną. Był również dość spory krwotok wewnętrzny.

– A krótko mówiąc, doktorze? – pyta Jones.

– Krótko mówiąc, agentka Thorne straciła dużo krwi i doznała poważnych obrażeń. Nadal jest w stanie krytycznym. Wydaje się stabilna, ale jeszcze nie wyszła na prostą. – Przerywa, jakby szukał odpowiednich słów. – Wciąż istnieje niebezpieczeństwo, że umrze. To mało prawdopodobne, lecz nie możemy jeszcze tego wykluczyć.

– A jeśli chodzi o opuchliznę rdzenia...? – Marilyn zadaje pytanie, którego wszyscy się obawiamy.

– Przypuszczam, że wszystko będzie dobrze. Opuchlizna powinna zejść bez konsekwencji w postaci trwałych uszkodzeń lub paraliżu. – Wzdycha. – Oczywiście nie możemy być pewni w stu procentach. Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że nastąpi najgorsze, a więc paraliż.

Marilyn zasłania usta dłonią. Jest półprzytomna z przerażenia.

– Dziękuję, panie doktorze – mówię.

Chirurg spogląda na nas wszystkich zmęczonym wzrokiem i wychodzi.

– O nie, o Boże... – jęczy Marilyn. – Nie teraz. Nie wtedy, gdy wreszcie ją poznałam. Ja...

I leją się łzy. Podchodzę do niej i przytulam ją mocno, kiedy zaczyna niepowstrzymanie szlochać.

Moje oczy są suche. Jestem zbyt pochłonięta zginaniem się. Zginaniem, ale nie załamywaniem się.

Jesteśmy z powrotem w biurze, umęczeni i poobijani. Elaina i Bonnie są u mnie w domu, ponieważ mieszkanie Alana stało się miejscem przestępstwa. Marilyn została w szpitalu, czekając na dalsze informacje o stanie Callie. Nie przejęła się naszym odejściem.

– Dorwicie go. – To wszystko, co powiedziała.

James stoi przy oknie. Nie chce mi spojrzeć w oczy. Mam ochotę wczłgać się do jakiejś dziury i spać przez cały rok. Ale nie mogę tego zrobić.

– Wiesz, co robi z nami stres, James? – pytam z zamyśleniem.

Milczy, lecz czekam cierpliwie na jego reakcję.

– Co? – pyta wreszcie, nadal wyglądając przez okno.

– Stres tworzy pęknięcia. Na początku są małe, ale rozprzestrzeniają się, robią się większe i wreszcie to coś poddane stresowi rozpada się na drobne kawałki. – Staram się, żeby mój głos był spokojny, bez śladu oskarżenia. – Czy tego właśnie chcesz, James? Chcesz, żebym rozpadła się na drobne kawałki? Żebym się złamała i... upadła?

Odwraca głowę na te słowa.

– Co? Nie, ja... – mówi zduszonym głosem. – Ja po prostu... z Callie...

– Zaciska pięści, rozluźnia je i oddycha głęboko, uspokajając się. Spogląda mi w oczy. – Nie boję się o siebie, Smoky. Boję się o Callie. Rozumiesz?

– Oczywiście, że tak – odpowiadam łagodnie. – Ja też bałam się o moją rodzinę. Każdego dnia. Miałam koszmary o tym, że coś im się stało... dokładnie o tym, co zdarzyło się *w rzeczywistości*. – Wzruszam ramionami. – Matt jednak powiedział mi kiedyś prawdę. Że robię to, co kocham. I miał rację. Nienawidzę ścigać tych skurwysynów, ale

uwielbiam ich *łapać*, wiesz?

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, a potem kiwa głową.

– Zastanawiałam się dokładnie nad tym, co powiedziałaś w szpitalu, na długo, zanim to zrobiłeś. Cierpiałam z tego powodu. Czy Sands wziął nas sobie na cel i zabił moją rodzinę, ponieważ go sprowokowałam? Przez bardzo długi czas sądziłam, że odpowiedź brzmi: tak. Potem jednak zdałam sobie sprawę, że to gówno prawda. Sands wziął nas na cel dlatego, że ja ścigałam jego. Ponieważ robię to, co robię. Zamierzał uczynić nas swoimi ofiarami tak czy owak, bez względu na to, czy nadawałam na niego w telewizji, czy nie. Rozumiesz?

Nie odpowiada.

– Chodzi o to, James, że nie ma znaczenia, co powiem albo co przemilczę względem Kuby Juniora. On i tak wziął nas sobie na cel i koniec. Staliśmy się jego zwierzyną łowną. Chcesz poznać rodzaj jego ofiar? – Zakreśliłam ręką szeroki okrąg. – Wszyscy są tutaj.

Spogląda na mnie przez bardzo długi czas. Kiedy wreszcie decyduje się na odpowiedź, zamyka raz oczy i kiwa głową.

Uśmiecham się.

– Przeprosiny przyjęte – mruczę.

James ucieka wzrokiem w bok i chrząka. Wszyscy siedzą cicho, obserwując nas z napięciem. Zupełnie jakbyśmy stali z Jamesem na rozgrzanej patelni, a oni czekali, kiedy zaczniemy strzelać tłuszczem, przysmażać się i zwęgląć. Doskonała maszyna, jaką jest mój zespół, zaciera swój silnik – jest bliska przegrzania, wybuchu. Wiem, że prawdziwym źródłem gniewu jest Kuba Junior. Boję się jednak, że zaczniemy wyładowywać swą wściekłość na swoich kolegach. Zawsze uważałam się za coś w rodzaju wału korbowego, wokół którego kręcą się wszystkie trybiki. Jeżeli ja jestem wałem korbowym, Callie jest ruchem – istotą tego, co sprawia, że koła poruszają się po jakimkolwiek terenie, nieważne jak trudnym i niebezpiecznym. Jej kpiny i żarty, droczenie się i niezmożony humor chronią nas przed popadnięciem w szaleństwo. Jej brak jest niczym próżnia, a my jesteśmy bliscy wypełnienia tej przestrzeni za pomocą rzucenia się sobie do gardeł.

– Wiesz, co było pierwszą rzeczą, jaką usłyszałam od Callie? – pytam bez żadnego wstępu. – Powiedziała: „Dzięki Bogu! Jednak nie jesteś knypkiem”. – Uśmiecham się na to wspomnienie. – Podobno dowiedziała

się, że mam metr pięćdziesiąt w kapeluszu, i nie mogła sobie wyobrazić, jak wysoka jestem w rzeczywistości. Ciągle myślała o mnie jako o karlicy.

Alan śmieje się na te słowa i jest to cichy, smutny śmiech.

– Wiesz, co powiedziała, kiedy zobaczyła mnie? „O mój Boże, gigantyczny czarnuch!”

– Niemożliwe! – wykrzykuję.

– Daję słowo.

Milkniemy, gdy odzywa się telefon Alana. Obserwujemy go, kiedy rozmawia.

– Tak. Naprawdę? Dziękuję, Gene. – Rozłącza się i spogląda na mnie. – Odciski palców naszego podejrzanego pasują do odcisków zdjętych z łóżka w mieszkaniu Annie. Mamy również DNA do porównania...

– Jakim cudem? – pytam.

– Rozciął sobie wargę w trakcie szamotaniny z wami. Barry zaoferował mu chusteczkę, żeby się wyczyścił.

– Spryciarz. – Uśmiecham się ponuro.

Alan pochyla się, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

– To jeden z naszych morderców, Smoky. Na pewno. Sto procent. Nawet jeśli nie możemy tego jeszcze udowodnić, jesteśmy wystarczająco blisko. Co teraz?

Wszyscy patrzą na mnie z tym samym pytaniem w oczach. Co chcesz teraz zrobić? Odpowiedź jest prosta.

Zabijemy go?, pyta smoczyca.

W pewnym sensie, odpowiadam w myślach.

– Jedno z nas odbędzie przesłuchanie życia i złamie tego skurwiela. Rozłoży go na czynniki pierwsze, Alan.

Stoimy z Barrym w pokoju obserwacyjnym, spoglądając przez lustro weneckie na Roberta Streeta. Siedzi przy stole, skuty kajdankami w nadgarstkach i kostkach.

Nie ma w nim nic charakterystycznego, co w pewnym sensie jest zaskakujące: ciemne włosy i twarz o twardych, grubo ciosanych rysach. Jego oczy płoną głodem, chociaż postawa świadczy o tym, że wydaje się zrelaksowany. Wpatruje się w lustrzaną szybę, jakby nas widział.

– Wyluzowany gość – mówi Alan. – Wiemy już o nim cokolwiek?

– Niewiele – odpowiada Barry. – Nazywa się Robert Street, ma trzydzieści osiem lat, kawaler, bezdzietny. Pracuje jako instruktor sztuk walki w Valley. – Zerka na mnie, kiwnięciem głowy wskazując na moje spuchnięte usta. – To akurat już wiesz.

– Zdobyłeś jego adres?

– Tak. Mieszka w apartamencie w Burbank. Z odciskami palców pasującymi do tych znalezionych w mieszkaniu twojej przyjaciółki będziemy w stanie uzyskać nakaz. Ktoś już nad tym pracuje.

– Kto będzie prowadził przesłuchanie? – pyta Alan. – Powiedziałaś „jedno z nas”, więc kto? Ty czy ja?

– Ty. Bez wątplenia. – Nie muszę się nad tym zastanawiać. Alan jest najlepszy w te klocki, a człowiek siedzący w pokoju przesłuchań to nasz klucz do odnalezienia prawdziwego Kuby Juniora. Do zakończenia całej tej sprawy.

Alan patrzy na mnie i kiwa głową, przenosząc wzrok na Roberta Streeta. Obserwuje go przez chwilę. Barry i ja czekamy cierpliwie; wiemy, że Alan stopniowo przestaje zauważać naszą obecność. Koncentruje się wyłącznie na zadaniu, studiując Streeta niczym

myśliwy, który poznaje swoją ofiarę.

Szykuje się, żeby rozłupać go niczym skorupkę orzecha włoskiego.

Musimy złamać Streeta, z wielu różnych powodów. Prawda jest taka, że jeszcze go nie mamy – niezupełnie. Obecność jego odcisków palców w mieszkaniu Annie może mieć alternatywne wytłumaczenie. Dobry obrońca może argumentować, że znalazły się tam, kiedy Street przesunął łóżko, dokonując inspekcji sanitarnej. I chociaż oczywiście sam w sobie jego czyn byłby oszustwem, a zatem powinien doczekać się kary, nie wystarczy, aby oskarżyć Streeta o morderstwo. Mamy jego DNA, ale wciąż brakuje nam wyników analizy. Co, jeśli materiał genetyczny znaleziony pod paznokciem Charlotte Ross nie pochodzi od Roberta Streeta?

Najważniejsze jednak jest to, żeby doprowadził nas do Kuby Juniora.

Alan spogląda na Barry'ego.

– Możesz mnie wpuścić?

Barry zabiera go na zewnątrz i po chwili obserwuję, jak Alan wchodzi do pokoju przesłuchań. Robert Street patrzy na niego badawczo, przechyla głowę i uśmiecha się.

– Rany – mówi zjadliwie. – Zgaduję, że jesteś tym złym gliniarzem, co?

Alan kroczy niespiesznie, jakby miał mnóstwo czasu. Przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko Streeta. Poprawia krawat, uśmiecha się. Wiem, że wszystkie jego ruchy są zaplanowane. Nie tylko to, ale również ich tempo, podobieństwo do zachowania Streeta, tembr głosu Alana, kiedy zaczyna wreszcie mówić. To wszystko przedstawienie jednego aktora.

– Panie Street, nazywam się Alan Washington.

– Wiem, kim jesteś. Jak się czuje żona?

Alan uśmiecha się, potrząsa głową i grozi przestępcy palcem.

– Sprytne – mówi. – Usiłujesz mnie zdenerwować i rozgniewać od samego początku.

Street ziewa w przesadnym geście znudzenia.

– Gdzie jest ta cipa Barrett? – pyta.

– Na pewno gdzieś tu jest – odpowiada Alan. – Nieźle jej przyłożyłeś w tamtym mieszkaniu.

Komentarz wywołuje u Streeta nieprzyjemny uśmiech.

– Miło mi słyszeć.

Alan wzrusza ramionami.

– Hej, tak między nami, czasem sam mam ochotę jej przylać.

Street przygląda mu się zwężonymi podejrzliwie oczami.

– Naprawdę? – pyta powątpiewająco.

– Nic na to nie poradzę. Stara szkoła, rozumiesz. Wychowano mnie w przekonaniu, że kobiety mają swoje miejsce. – Uśmiecha się szeroko. – Pode mną, a nie nade mną, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. – Chichocze. – Mojej żonie też musiałem od czasu do czasu przyłożyć, żeby nie zapomniała, gdzie jej miejsce.

Alan przyciągnął całą uwagę Streeta. Bestia spogląda na niego z fascynacją, pożądliwością, która walczy ze zwątpieniem. Chce, żeby Alan rzeczywiście tak myślał, i jego potrzeba powoli przeważa nad nieufnością.

Dni gumowych pałek oraz „złego i dobrego gliniarza” już dawno odeszły w zapomnienie. Przesłuchiwanie i wywiad to teraz osobny dział nauki, wymagający zdolności aktorskich oraz niezwykłej umiejętności obserwacji. Pierwszy etap zawsze jest taki sam: należy nawiązać nić porozumienia z podejrzanym. Jeżeli Street lubiłby łowić okonie, Alan natychmiast stałby się entuzjastą wędkarstwa sportowego. Gdyby miał świra na punkcie pistoletów, Alan rozkochałby go w sobie swą znajomością broni palnej. Ponieważ Street lubi krzywdzić kobiety, w tej chwili Alan również to lubi. To taktyka, która doskonale działa. Widziałam to na przykładzie najbardziej zatwardziałych kryminalistów, a nawet gliniarzy, którzy znają tę technikę, ponieważ sami się w niej specjalizują. To zwykła ludzka natura – coś nieodpartego i nieuniknionego.

– Co by na to powiedziało FBI? – pyta Street.

Alan pochyla się z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

– Moja żona wie doskonale, że powinna trzymać gębę na kłódkę.

Street kiwa głową, wyraźnie pod wrażeniem.

– W każdym razie nieźle poobijałeś Smoky – ciągnie Alan. – I kilku innych agentów. Powiedzieli, że używałeś jakichś skomplikowanych ciosów z zakresu sztuk walki. Jesteś instruktorem, tak?

– Owszem.

– Jakiego stylu uczysz?

– Wing chun. To odmiana kung-fu.

– Serio? Jak Bruce Lee, co? – Alan uśmiecha się. – Ja mam czarny pas w karate.

Street lustruje Alana od stóp do głów, oceniając jego rozmiar.

– Dobry jesteś? Podchodzisz poważnie do karate, czy to tylko dla popisów?

– Mamy sparingi dwa razy w tygodniu, codziennie ćwiczę moje kata i tak od dziesięciu lat.

Spoglądam na Barry’ego.

– Alan nie ma pojęcia, czym różni się cios karate od kopnięcia z półobrotu.

Street kiwa głową – taki mały gest uznania między dwoma mężczyznami. Alan nawiązuje nić porozumienia.

– To dobrze. Musisz się utrzymywać w formie. Taki wielki chłop jak ty może stanowić zabójczą broń.

Alan unosi otwartą dłoń, jakby mówił: „Hej, staram się, jak mogę”.

– Daję radę. A co z tobą? Kiedy zacząłeś przygodę z kung-fu?

Street milknie, zastanawiając się. Robi dokładnie to, czego chce Alan.

– Nie pamiętam dokładnie, ale miałem pięć lub sześć lat. Mieszkaliśmy wtedy w San Francisco.

Alan gwizdże.

– Szmat czasu. Jak długo przeciętnie zajmuje człowiekowi nauka od zera do osiągnięcia kompetencji w kung-fu?

Street zastanawia się.

– Trudno powiedzieć. Zależy od osoby, ale generalnie cztery do pięciu lat.

Alan używa nieszkodliwych pytań, żeby ustalić linię odniesienia. Wykorzystuje technikę zwaną programowaniem neurolingwistycznym. Opiera się ona na zadawaniu podmiotowi dwóch rodzajów pytań. Pierwsze przywołują wspomnienia, drugie wymagają użycia procesu kognitywnego. Alan obserwuje mowę ciała Streeta w trakcie wywiadu i zapamiętuje zmiany w zachowaniu wywołane aktywnym procesem myślowym, w przeciwieństwie do wspomniania. Wszystko zawiera się głównie w spojrzeniu i klasycznych manieryzmach Streeta. Gdy Alan poprosił go o opisanie autentycznego wspomnienia – kiedy zaczął praktykować kung-fu – Street spojrział podświadomie w prawo. Gdy zadał mu pytanie wymagające zastanowienia się – ile czasu powinno

komuś zająć osiągnięcie dobrego poziomu w kung-fu – Street spojrział w dół i w lewo. Teraz Alan wie, że jeśli zada Streetowi „pytanie wspomnieniowe”, a ten w odpowiedzi spojrzy w dół i w lewo, to najprawdopodobniej kłamie, ponieważ wymyśla odpowiedź, a nie przypomina sobie fakty.

– Cztery do pięciu lat to całkiem nieźle. – Alan macha ręką ukrytą za oparciem krzesła. To nasz umówiony sygnał. Reaguję, stukając w lustro weneckie. Alan krzywi się.

– Przepraszam na sekundkę.

Street nie odpowiada. Alan wstaje i wychodzi. Chwilę później jest już z nami w pokoju obserwacyjnym.

– Może zachowuje się na luzie, ale nie ma zielonego pojęcia o mowie ciała ani o technikach przesłuchania – mówi. – Przejadę się po nim jak walcem drogowym.

– Ostrożnie – upominam go. – Chcemy, żeby skierował nas w stronę Kuby Juniora. Nie wiesz jeszcze, jak bardzo jest lojalny.

Alan spogląda na mnie i potrząsa głową.

– To nie ma znaczenia. – Przenosi wzrok na Barry’ego. – Masz te akta?

– Tutaj. – Barry wręcza mu teczkę wypełnioną przeróżnymi papierami. Wszystkie z nich zawierają informacje niezwiązane z zatrzymanym albo są wręcz puste. Na okładce widnieje wydrukowane nazwisko: ROBERT STREET.

Akta są oczywiście podpuchą. Alan zamierza zmienić ton i tempo przesłuchania. Zacznie konfrontację. W naszym społeczeństwie te czki z aktami kojarzone są z ważnymi informacjami i to, że ta konkretna jest wypełniona dokumentami, zasugeruje Streetowi, że mamy wiele dowodów przeciwko niemu. Alan zamierza zastosować metodę pozytywnej konfrontacji. To punkt zwrotny w tego typu przesłuchaniach i może być dość dramatyczny. Niektórzy podejrzani tak się denerwują, że tracą przytomność w takiej chwili.

Alan obserwuje Streeta przez kilka chwil i rusza do wyjścia. Wkrótce widzimy, jak wchodzi do pokoju przesłuchań. Udaje, że przegląda dokumenty. Zamyka akta i trzyma teczkę tak, żeby Street dostrzegł swoje nazwisko na okładce. Tym razem Alan nie siada. Rozstawia nogi na szerokość ramion. Wszystko w nim wskazuje na to, że dominuje w tej sytuacji, kontroluje ją, jest pewny siebie. Oczywiście to szczególnie

opracowana metoda.

– Panie Street, sprawy wyglądają tak: wiemy, że jest pan wmieszany w morderstwo Annie King i Charlotte Ross. Obawiam się, że mamy na to niepodważalne dowody. Odciski palców znalezione w mieszkaniu Annie King pasują do pana odcisków palców. W tej chwili porównujemy pana DNA z materiałem genetycznym pobranym z miejsca morderstwa Charlotte Ross i założę się, że wyniki będą pozytywne. Mamy również *modus operandi*, którego używał pan przed popełnieniem samego aktu przestępczego. To oraz sygnowane rachunki, które pozostawił pan, podając się za inspektora dezynsekcyjnego. Nasi grafolodzy z pewnością będą w stanie powiązać je z pana osobą. Innymi słowy, wpadł pan. Ja osobiście chcę się dowiedzieć, czy jest pan skłonny porozmawiać ze mną o sprawie?

Street spogląda na górującego nad nim Alana, pewnego siebie i mocnego – symbol samca alfa. Jego oczy powiększają się nieco i widzę, że zaczyna oddychać szybciej. Potem mruży oczy, uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Byłbym skłonny, gdybym tylko wiedział, o czym pan mówi. – Uśmiecha się szerzej niczym Kot z Cheshire. Myśli, że nadal ma asa w rękawie. Sądzi, że nie mamy pojęcia, iż jest ich dwóch.

Alan wpatruje się w niego w milczeniu. Nagle gwałtownie odwraca się bokiem, jednym ruchem podnosi stolik do przesłuchań i odsuwa go pod odległą ścianę. Następnie chwyta krzesło i stawia je tuż przed Streetem. Siada.

Jest zagrożeniem.

– Co pan robi? – pyta Street z odrobiną nerwowości w głosie. Na jego czole wykwitła pot.

Alan udaje zdziwionego.

– Chcę się tylko upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałem, panie Street.

Znów przegląda dokumenty z fałszywych akt, marszczy brwi, potrząsa głową. Odgrywa swoją rolę. Odkłada teczkę na podłogę obok krzesła i przysuwa się bliżej do Streeta, naruszając jego przestrzeń osobistą. Obserwuję go, jak ustawia jedno kolano między kolanami Streeta, stwarzając podświadomą groźbę dla męskości podejrzanego. Zabójca przełyka gwałtownie. Pot na jego czole staje się wyraźniejszy. On sam

jednak nie zdaje sobie sprawy z tych reakcji fizjologicznych. Wie tylko, że Alan wypełnił jego świat, i to sprawia, że czuje się bardzo niepewnie.

– Widzi pan, nie zgadza nam się jeden szczegół.

Street znów przetyka głośno.

– Słucham?

Alan kiwa głową.

– Nie zgadza się nam jeden szczegół – powtarza, nachylając się ku Streetowi i przez to przysuwając się jeszcze bliżej mężczyzny, wsuwając kolano głębiej między jego nogi. – Widzi pan, wiemy, że nie działał pan sam.

Oczy Streeta robią się wielkie jak spodki. Zaczyna oddychać szybciej i beka, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Słucham?

– Ma pan współnika. Zdołaliśmy to wydedukować z filmu dokumentującego morderstwo Annie King. Różnica we wzroście. Wiemy także, że to ten drugi jest prawdziwym Kubą Juniorem, nie pan.

Street wygląda jak ryba złapana na haczyk. Otwiera i zamyka usta, jakby łapczywie starał się połknąć powietrze. Wpatruje się w Alana, znów beka, a jego dłonie zakrywają krocze w ochronnym geście. Wszystko to jest nieświadomym działaniem. Street nie zdaje sobie sprawy ze swoich reakcji. Alan pochyla się jeszcze bardziej.

– Wiesz, kim on jest, Robercie? – pyta.

– Nie! – Wzrok wędruje w lewy dolny róg. Kłamstwo.

– Cóż, Robercie... myślę, że jednak wiesz, Robercie. Robercie, jestem przekonany, że go znasz i wiesz, gdzie możemy go znaleźć. Czy mam rację, Robercie? – Alan używa powtórzeń jego imienia, by stworzyć wrażenie oskarżenia i jednocześnie poczucie, że Street nie może niczego przed nim ukryć. Zupełnie jakby ktoś cały czas powtarzał: „Hej, ty... TY” i tak w kółko.

Street wpatruje się w Alana, cały spocony.

– Nie.

– Wiesz, czego nie rozumiem? Dlaczego go chronisz. – Alan zbliża się jeszcze bardziej i pociera w zamyśleniu brodę. – Może... – Pstryka palcami. – Wiesz, kiedy dwóch facetów zabija wspólnie, często też się pieprzą. A przynajmniej ten dominujący pieprzy tego drugiego. Z wami też tak jest? Dlatego próbujesz go chronić? Bo lubisz łapać, kiedy on

rzuca piłkę?

Street wybałusza na niego oczy. Dygocze z wściekłości.

– Nie jestem żadnym pieprzonym pedziem!

Alan ponownie się nachyla tak, że niemal stykają się nosami. Street drży. Znów mu się odbija.

– Ta mała powiedziała co innego. Bonnie, pamiętasz ją? Powiedziała, że jeden z was połykał pałkę tego drugiego, jakby brał udział w konkursie jedzenia kiełbasek.

Street wpada niemal w apopleksję.

– Ta *mała dziwka* kłamie!

– Mamy cię – mówi Barry.

Alan nie odpuszcza.

– Jesteś pewien? Powiedziała, że jeden z was ssał kutasa drugiego, jakby chciał przeciągnąć piłkę golfową przez szlauch. Opisała nam to w szczegółach. Takich, których dziecko w jej wieku nie umiałoby wymyślić.

– Ona *kłamie!* Pewnie wie dużo o ssaniu kutasa, bo jej matka była kurwą! Nigdy się nie dotykaliśmy... – Przerywa, zdając sobie sprawę, co się stało. Co powiedział.

– Czyli *byłeś* tam – stwierdza Alan.

Street czerwienieje na twarzy. Po jego policzkach spływają łzy, ale nie sędzę, żeby był tego świadomy.

– Pieprzyć to! Tak, byłem tam! Pomogłem zabić tę pizdę! I co z tego? Nigdy go nie złapiecie. Ucieknie wam, zobaczycie. Jest dla was za *sprytny!*

– No i mamy przyznanie się do winy jednego z nich – konstatują.

Barry potakuje.

– Właśnie wykupił bilet w jedną stronę do komory gazowej.

Alan odsuwa się od Streeta, bardzo nieznacznie. Trzyma kolano tam, gdzie przedtem, w geście podświadomej groźby. Street rozpada się na naszych oczach.

– Wiesz, Robercie, w tej chwili nasi agenci są w drodze do twojego mieszkania. I założę się, Robercie, że znajdą tam coś, co pomoże nam dowiedzieć się, kim jest twój współnik. Mam rację, Robercie?

Oczy Streeta wędrują w prawo. Wspomnienie.

– Nie! – wykrzykuje. – Nic tam nie znajdziecie! Pierdol się! I przestań

bez przerwy powtarzać moje pieprzone imię!

– Widziałaś to? – mruczy podekscytowany Barry.

Owszem. Widziałam. Poczułam niesamowity dreszcz podniecenia, gdy to zobaczyłam.

Kiedy Street powiedział „nie”, zerknął w dół i w lewo.

Kłamał.

W jego mieszkaniu jest coś, czego nie chce, żebyśmy znaleźli.

Stoimy w mieszkaniu Streeta. Barry i ja obserwowaliśmy, jak Alan cał po cał rozkłada mordercę na czynniki pierwsze. Nie był w stanie zmusić go do ujawnienia tożsamości Kuby Juniora, ale podejrzany wypowiadał się praktycznie ze wszystkiego poza tym jednym. Opowiedział nam, jak Bestia się z nim skontaktowała, jak wybierali swoje ofiary i tak dalej. Na końcu podpisał zeznanie, przesiąknięty potem, załamany i rozbity. Alan wyszedł z pokoju przesłuchań jako zwycięzca-niszczyciel.

Smoczyca była zadowolona.

Dzwoni mój telefon.

– Barrett.

– Mówi Gene, Smoky. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć o DNA Streeta. Pasuje do materiału, który znaleźliśmy pod paznokciem Charlotte Ross.

– Dzięki, Gene. To doskonałe wieści.

– Czy Callie się wygrzebie? – pyta po dłuższym milczeniu.

– Tak myślę. Musimy poczekać, żeby się o tym przekonać.

Wzdycha.

– Nie będę ci już zawracał głowy.

– Na razie.

– Całe mieszkanie jest czyste – mówi Alan.

Rozglądam się. Ma rację: mieszkanie Streeta jest nie tyle czyste, ile wypucowane na wysoki połysk. To dom człowieka z obsesją na punkcie czystości. Na ścianach nie ma żadnych fotografii właściciela ani jego rodziny. Żadnych reprodukcji czy oryginalnych obrazów. Sofa jest funkcjonalna, podobnie jak stół kawowy. Odbiornik telewizyjny jest

bardzo mały.

– Spartańskie warunki – zauważam.

Wchodzimy do sypialni. Podobnie jak duży pokój jest wysprzątana z kliniczną precyzją. Pościel jest wygładzona i wyrównana, wszystkie rogi są pozaginane pod kątem prostym, jak w wojsku. Na małym biurku przy ścianie stoi komputer.

A potem nagle to widzę: jedyną rzecz, która wydaje się nie na miejscu, która tu nie pasuje. Mały medalion, ułożony precyzyjnie obok podręcznika uniwersyteckiego. Pochyliam się i przyglądam uważniej. To zdecydowanie kobiecy medalion, złoty i na złotym łańcuszku. Otwieram go i w środku znajduję miniaturowe zdjęcie uderzająco pięknej starszej kobiety. Czyjaś matka, myślę.

– Ładna – mówi Alan.

Kiwam głową. Odkładam medalion i otwieram podręcznik. To książka do podstawowego kursu języka angielskiego. W środku mieści się inskrypcja: *ta książka jest własnością Renee Parker. Może nie wygląda zbyt okazale, ale tak naprawdę jest MAGICZNA – ha, ha! :) To mój zaczarowany latający dywan, więc nie dotykajcie go, cycogłowy!*

Poniżej widnieje podpis i data.

– To sprzed jakichś... dwudziestu pięciu lat?

Kiwam głową. Serce przyspiesza mi w piersi. To jest to. Klucz.

To pomoże nam zobaczyć jego twarz.

Dotykam książki, przesuwając palcami po inskrypcji.

Być może rzeczywiście okaże się magiczna.

Stoję i słucham podekscytowanego Alana. Mam wrażenie, że wszystko porusza się coraz szybciej i szybciej, niczym podgrzane cząsteczki, powoli, lecz nieuchronnie osiągające temperaturę wrzenia.

– Trafiliśmy na coś pod nazwiskiem Renee Parker w bazie danych VICAP-u[29]. Coś naprawdę wyjątkowego.

VICAP to federalny program ścigania szczególnie brutalnych przestępstw, zainicjowany w roku 1957 przez jednego z detektywów policji Los Angeles. Zaczął naprawdę działać dopiero w 1985, kiedy został uruchomiony w centrum NCAVC w Akademii FBI w Quantico. Sama koncepcja była genialna: to ogólnokrajowa baza danych zaprojektowana z myślą o gromadzeniu, segregowaniu i analizowaniu przestępstw brutalnych, ze szczególnym uwzględnieniem morderstw. Każdy członek partycypujących w programie organów ochrony prawa, bez względu na stopień, może zgłosić tam wszelkie informacje dotyczące zamkniętych i niewyjaśnionych spraw. Ta góra danych umożliwia wyszukiwanie związków między brutalnymi aktami w skali ogólnokrajowej.

Alan mówi o dokumentach, które trzyma w ręku.

– To stara sprawa, sprzed dwudziestu pięciu lat. Striptizerka z San Francisco została znaleziona martwa w bocznej uliczce, i zgadnij co? Ktoś usunął niektóre z jej narządów wewnętrznych.

Zmęczenie znika w mgnieniu oka. Czuję się, jakbym przed chwilą wciągnęła nosem kofeinę.

– To musi być on. Musi.

– Owszem. Jest jeszcze lepiej. Mieli wtedy podejrzanego, ale nie mogli znaleźć wystarczająco wielu dowodów, żeby go postawić przed sądem.

Podskakuje.

– Leo, zostaniesz tutaj jako nasz kontakt i koordynator. James i Alan, lecimy do San Francisco. Natychmiast.

– Nie musisz mi tego powtarzać dwa razy – mówi Alan, kiedy ruszamy do wyjścia, pełni nowej energii napędzanej adrenaliną, podnieceniem i odrobiną wściekłości.

Wychodzimy przed budynek i widzimy Tommy’ego siedzącego w samochodzie, nieruchomo i czujnie.

– Zaczekajcie chwilkę – mówię do Alana i Jamesa. Podchodzę do samochodu. Tommy opuszcza szybę.

– Co się dzieje?

Opowiadam mu o znalezisku VICAP-u.

– Wybieramy się w tej chwili do San Fran.

– Co chcesz, żebym zrobił?

Uśmiecham się i dotykam dłonią jego policzka. Przelotnie.

– Prześpij się trochę.

– Dobry pomysł – odpowiada lakonicznie. Typowy Tommy. Odwracam się z zamiarem odejścia. – Smoky – zatrzymuje mnie. Spoglądam na niego. – Bądź ostrożna.

Zanim podnosi szybę i odjeżdża, przez chwilę widzę niepokój w jego oczach.

Z jakiegoś powodu przychodzi mi do głowy Sally Field na rozdaniu Oscarów.

– Lubi mnie. Naprawdę mnie lubi^[30] – mruczę falsetem.

Histeryczne bąbelki.

[29] Ang. Violent Criminal Apprehension Program (przyp. tłum.).

[30] Sally Field zasłynęła z tego, że odbierając pierwszego Oscara, podniosła ręce do góry i krzyknęła: „Lubicie mnie. Naprawdę mnie lubicie!” (przyp. tłum.).

To nowy sen. Przeszłość i przyszłość zlały się w jedno.

Śpię w moim pokoju, kiedy nagle słyszę hałas; odgłosy piłowania i wilgotne cmokanie. Wstaję z szybko bijącym sercem i chwytam pistolet ze stolika nocnego.

Wybiegam przez drzwi z odbezpieczoną bronią. Dłonie trzęsą mi się na myśl o intruzie w moim domu.

Hałasy dobiegają z dużego pokoju. Do wilgotnego cmokania doszły teraz syczące chichoty.

Gdy wchodzę, jest tam. Nie widzę jego twarzy, ponieważ zakrywają ją bandaże. Widać tylko jego usta – wielkie, spuchnięte, czerwone. Jego czarne oczy są martwe, pozbawione wszelkich uczuć, niczym kawałki zwęglonej skóry.

– Widzisz? – pyta syczącym szeptem.

Nie wiem, na co wskazuje palcem. Jest ukryte za oparciem kanapy. Zaczynam jednak czuć absolutną pewność, że cokolwiek tam jest, nie chcę tego zobaczyć.

Ale muszę.

Podchodzę bliżej i bliżej.

– Widzisz? – szepcze.

I rzeczywiście widzę.

Leży na kanapie. Morderca rozkroił ją od mostka do krocza, odsłaniając narządy wewnętrzne. Jej włosy są pozlepiane ziemią cmentarną. Jeden z pokrytych grubą warstwą brudu palców celuje we mnie.

– Twoja wina... – skrzeczy.

Jest Alexą, a potem Charlotte Ross, a na końcu Annie.

– Dlaczego pozwoliłaś mu mnie zabić? – pyta twarz Annie, a jej palec celuje we mnie oskarżycielsko.

Mężczyzna z obandażowaną twarzą chichocze.

– Widzisz? – szepcze. – Ich brudne palce wskazują na ciebie. Na zawsze.

– Dlaczego? – pyta ona.

– Widzisz? – szepcze morderca.

Budzę się gwałtownie. Kabina odrzutowca jest wyciszona i pogrążona w półmroku. James i Alan drzemią.

Wyglądam za okno na zimną ciemną noc i drzę. Brudne palce. Nie muszę doszukiwać się tu żadnego symbolicznego znaczenia.

Zawsze będę je czuła, wytykające mnie zza grobu: palce tych, których nie ocaliłam.

Zadzwoiłam z samolotu do Jenny Chang z policji San Francisco. Czeka na nas, kiedy lądujemy.

– Nie jestem już twoją przyjaciółką – mówi, stukając znacząco w zegarek.

– Przepraszam, Jenny. Wszystko się naprawdę popieprzyło. – Opowiadam jej o Callie. Jenny zaciska usta w wąską gniewną kreskę.

– Żadnych nowych wiadomości o jej stanie? – pyta.

– Nie – wyręcza mnie w odpowiedzi James.

– Chryste... – Spogląda w bok.

Unoszę walizkę.

– Mamy za to niezłe wyniki z wyszukiwania w VICAP-ie.

Natychmiast budzi się w niej detektyw.

– Mów – żąda, ożywiona i zainteresowana.

Streszczam jej sprawę.

– Dwadzieścia pięć lat temu. Zaczęłam służbę w wieku dwudziestu dwóch lat. To całkowicie przede mną. Kto prowadził dochodzenie?

– Detektyw Rawlings – mówi Alan.

Jenny zatrzymuje się w pół kroku i patrzy na niego.

– Rawlings? Jesteś tego pewien?

– Owszem. A dlaczego?

Potrząsa głową.

– Ponieważ może właśnie się wam poszczęściło. Rawlings jest

partaczem pierwszej wody. Zawsze był, z tego, co słyszałam. Ciągle chodzi zalany i liczy dni do emerytury.

– A w jaki sposób może to być dla nas korzystne? – pytam.

– Ponieważ z dużym prawdopodobieństwem coś wtedy przeoczył. Coś, czego wy byście nie przepuścili.

Już na posterunku, Jenny stuka ołówkiem w blat biurka, czekając na połączenie.

– Rawlings? Mówi Jenny Chang. Tak. Wiem, która jest godzina. – Krzywi się. – Nie moja wina, że jesteś pijany.

Spoglądam na nią prosząco. Musi tu ściągnąć tego faceta, a nie obrazić go tak, że rzuci słuchawką. Jenny zamyka oczy. Pewnie liczy do dziesięciu.

– Słuchaj, Don. Przykro mi. Ja też zostałam wyrwana z łóżka i jestem marudna. Szefowa węzła koordynacyjnego NCAVC w LA przyleciała tutaj w sprawie starego śledztwa, które prowadziłeś. Dotyczącego... – zerka do notatnika – Renee Parker. – Na jej twarzy pojawia się zdziwienie. – Jasne. Okej. Do zobaczenia wkrótce. – Odkłada słuchawkę zamyślona.

– O co chodzi? – pytam.

– Gdy tylko wypowiedziałam jej nazwisko, przestał narzekać i powiedział, że zaraz tu będzie.

– Najwyraźniej ta sprawa coś dla niego znaczyła.

Don Rawlings pojawia się na posterunku pół godziny później. Na pierwszy rzut oka widać, że Jenny miała co do niego rację w stu procentach. Ma około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu, wydęty brzuch, kaprawe oczka i rumianą twarz miłośnika alkoholu. Wygląda, jakby przedwcześnie się postarzał.

Wstaję i ściskam jego dłoń.

– Dziękuję za przybycie, detektywie Rawlings. Agentka specjalna Smoky Barrett, szefowa węzła koordynacyjnego NCAVC w Los Angeles. To James Giron i Alan Washington, członkowie mojej ekipy.

Mruży oczy i przygląda mi się.

– Znam cię. To do twojego domu włamał się ten morderca. – Krzywi się. – Koszmar każdego gliniarza.

Dostrzegam teczkę w jego dłoni.

– Co to? – pytam.

Rzuca dokumenty na biurko i siada na krześle.

– To kopia akt sprawy Renee Parker. Trzymałem je w domu przez te wszystkie lata. Czasem studiuję je nad ranem, gdy nie mogę zasnąć.

Kiedy Rawlings mówi o Renee Parker, jego oblicze ulega metamorfozie. Oczy stają się czujne, twarz smutnieje. Miałam rację – ta sprawa coś dla niego znaczyła.

– Niech mi pan o tym opowie, detektywie.

Wpatruje się w dal, w pustkę bez horyzontu.

– Potrzebujemy małego wprowadzenia, agentko Barrett. Detektyw Chang na pewno już pani powiedziała, że jestem zapijaczonym partaczem. I ma rację, ale nie zawsze tak było. Kiedyś, dawno, dawno temu byłem taki, jak ona teraz. Najlepszy detektyw wydziału zabójstw w naszym mieście. Pierwsza klasa. – Spogląda na Jenny z uśmiechem. – Nie wiedziałaś o tym, co?

Jenny unosi brew.

– Nie miałam pojęcia.

– Wiem. Nie zrozumcie mnie źle. Kiedy zaczynałem służbę, byłem jeszcze szczeniakiem i do tego pierwszorzędnym palantem. Rasistą i homofobem, w dodatku z dość wybuchowym charakterkiem. Używałem pięści często i nie zawsze wtedy, gdy było to uzasadnione. Przestałem być rasistą tego dnia, kiedy czarny policjant ocalił mi życie. Złoczyńca zaszedł mnie z tyłu, a ten gliniarz odepchnął mnie na bok i jednocześnie zastrzelił ptaszka. Szybko się zaprzyjaźniliśmy i pozostaliśmy sobie bliscy aż do dnia jego śmierci. Zginął na posterunku.

Smutek i pustka w jego oczach pogłębiają się jeszcze bardziej.

– Homofobem przestałem być po roku pracy w wydziale zabójstw. Śmierć potrafi tak wpływać na ludzi. Uczy nas perspektywicznego spojrzenia. Poznałem pewnego młodego człowieka, który był... cóż, dość otwarty w kwestii swojej homoseksualności. Obsługiwał bufet-furgonetkę w pobliżu komendy i bardzo szybko wyczuł moją nienawiść. Cholerny gnojek nie przestawał mnie drażnić i robić różne rzeczy, bylebym tylko poczuł się nieswojo. – Uśmiecha się słabo, lecz zaraz potem smutnieje. – Boże, doprowadzał mnie do szału. No i pewnego dnia grupka koleśki pobiła tego młodego człowieka na śmierć, ponieważ był

homoseksualistą. I wyobraźcie sobie, że to właśnie mnie dostała się jego sprawa. – Uśmiecha się sardonicznie. – Niezła karma, co? Podczas śledztwa pojąłem dwie rzeczy i nigdy więcej nie nienawidziłem gejów. Widziałem matkę tego chłopaka, która wyła i wyrywała sobie włosy z głowy... której dusza umarła na moich oczach. Wiedziałem, że jej cały świat się skończył, ponieważ jej syn umarł. Potem poszedłem na jego pogrzeb, szukając potencjalnych podejrzanych. Wiecie, co tam zobaczyłem? Około dwustu osób. Uwierzycie? Nie sądzę, żebym przez całe moje życie dorobił się dwustu znajomych, a już na pewno nie takich, którzy przyszliby na mój pogrzeb. – Potrząsa głową z niedowierzaniem. – A nie byli to tylko i wyłącznie ludzie z tej samej wspólnoty, którzy przyszli dlatego, że chłopak był gejem. Nie, to byli ludzie, których życie zmieniło się dzięki niemu. Okazało się, że chłopak był wolontariuszem w wielu miejscach: hospicjach, centrach rehabilitacyjnych dla narkomanów, w poradni kryzysowej. Ten młody człowiek był świętym. Był dobry. I jedynym powodem, dla którego nie żył, był jego homoseksualizm. – Zaciska pięść. – To było złe, niewłaściwe i nie mogłem dłużej być częścią takiego światopoglądu. Nigdy więcej. – Macha ręką. – W każdym razie... no tak. Więc nadal byłem nowy w wydziale zabójstw i w ogóle nowy w robocie. Ale nigdy więcej nie używałem ani nawet nie pomyślałem słów takich jak *pedzio* czy *czarnuch*. Byłem inny, oddany, życie było piękne. Pięć lat później byłem już trzy lata po najlepszej passie i zaczynałem coraz szybciej ześlizgiwać się w dół. Polubiłem alkohol, zdradzałem żonę. Dużo myślałem o włożeniu sobie lufy do gęby. Wszystko przez te cholerne martwe dzieciaki. – W jego spojrzeniu pojawia się ten cień udręczenia, który znam aż za dobrze. Widziałam to spojrzenie w lustrze. – Ktoś zabijał dzieci. Maluchy, a nawet noworodki. Wykradał je, dusił i porzucał na chodniku albo na ulicy. Po sześciu ofiarach, kiedy nadal nie miałem podejrzanego, poczułem, że coś we mnie umiera. – Spogląda na mnie. – Pani zna to uczucie. Założę się, że tak, skoro robi pani to, co robi.

Kiwam głową.

– Wyobraźcie sobie, że zawiedliście szóstkę małych dzieci. Że nie tylko nie złapaliście skurwiela, który je zabijał, ale nawet nie macie nikogo podejrzanego. Załamalem się.

Rok temu spojrzalabym na Rawlingsa i musiałabym stłumić

prychnięcie pogardy. Uznałabym go za słabeusza, kogoś, kto wini przeszłość za chwilę obecną, kto wykorzystuje dawne wydarzenia jako wymówkę. Teraz nie potrafię mu wprawdzie do końca wybaczyć, że się poddał, ale nie czuję do niego pogardy. Czasem ciężar naszej pracy jest zbyt przytłaczający. W tej chwili nie czuję wyższości, tylko współczucie.

– Potrafię sobie to wyobrazić – mówię, patrząc na niego. Myślę, że czuje szczerość w moich słowach. Kontynuuje swoją opowieść.

– Naprawdę chrzaniłem wszystkie sprawy wokół siebie i nic mnie to nie obchodziło. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby nie myśleć o tych martwych dzieciakach. Alkohol, seks, wszystko. Ale one nadal wracały w moich snach. A potem poznałem Renee Parker. – Na jego twarzy pojawia się szczery uśmiech, należący do młodego Dona Rawlingsa. – Wpadłem na nią, kiedy zabito jej chłopaka. Był drobnym dealerem i wkurzył niewłaściwego człowieka. Ona była striptizerką, która dopiero zaczęła się szprycować. Człowiek widzi takich ludzi przez cały czas i szybko uczy się spisywać ich na straty. Renee była jednak inna. Gdzieś tam pod powierzchnią buzowało w niej życie. – Spogląda na mnie. – Wiem, co sobie myślicie. Gliniarz, striptizerka, koniec historii. Ale wcale tak nie było. Pewnie, że miała niezłe ciało, lecz nie myślałem o niej nigdy w ten sposób. Zobaczyłem ją i pomyślałem, że być może to moja szansa na dobry uczynek. Zadośćuczynienie za te dzieci. Opowiedziała mi swoją historię. Pojechała do Los Angeles, żeby zostać aktorką, skończyła, tańcząc na rurze, żeby związać koniec z końcem. Poznała szumowinę. Powiedział jej: „Hej, spróbuj trochę tego, nie uzależnisz się”. Nic nowego. Ale ona sama była niezwykła. Miała w oczach ten rodzaj desperacji, jakby nadal balansowała na skraju przepaści i jeszcze nie zaczęła spadać. Więc chwyciłem ją. Zabrałem ją na odwyk. Po służbie chodziłem ją odwiedzać. Trzymałem ją, kiedy wymiotowała. Mówiłem do niej, dodawałem odwagi. Czasem rozmawialiśmy przez całą noc. I wiecie co? Była moją pierwszą przyjaciółką. Kobieta przyjaciółką. – Zerka na mnie. – Rozumie pani, o co mi chodzi? Byłem typem męskiego szowinisty. Kobiety są do poślubienia i do pieprzenia. Rozumie pani?

– Tak, znałam kilku takich typów w swoim czasie – odpowiadam.

– Ja też taki byłem. Ale ta dwudziestojednoletnia dziewczyna stała się moim przyjacielem. Nie chciałem się z nią pieprzyć i nie chciałem jej

poślubić. Chciałem tylko, żeby było jej lepiej w życiu. To wszystko, czego pragnąłem. – Przygryza wargę. – Rozumiecie, byłem dobrym detektywem. Nigdy nie brałem w łapę, zawsze łapałem przestępców. Nigdy nie uderzyłem kobiety, miałem zasady, wiedziałem, co jest dobre, a co złe. Ale nigdy nie byłem porządnym człowiekiem. Rozumie pani różnicę?

– Owszem.

– To, co robiłem dla Renee, było porządne. Dobre. Bezinteresowne. – Przeczesuje dłonią włosy. – Udało się jej przejść przez odwyk. Naprawdę z tego wyszła. Była jedną z nielicznych, którym miało się udać w życiu. Pożyczyłem jej trochę pieniędzy, żeby wynajęła sobie mieszkanie. Zaczęła pracować. Kilka miesięcy później rozpoczęła nawet naukę. Chodziła na kurs aktorski. Powiedziała, że nawet jeśli nigdy nie uda jej się zostać aktorką, zawsze może pracować jako kelnerka, ale w tej chwili nie była jeszcze gotowa zrezygnować ze swojego marzenia. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, chodziliśmy do kina, zawsze jako przyjaciele. Nigdy nie chciałem niczego więcej. Po raz pierwszy w życiu bardziej liczyło się dla mnie posiadanie przyjaciółki niż dupci do przelecenia. Najlepsze zaś było to, że przestałem myśleć o dzieciach. Skończyłem z piciem, pogodziłem się z żoną.

Milknie, a ja wiem, co zaraz nastąpi. Słyszę, jak nadciąga niczym upiorny pociąg. Znam zakończenie tej historii. Renee Parker, pełna życia, ocalona od samej siebie, zostaje zamordowana w okropny sposób. Do tej pory nie wiedziałam tylko, co to oznaczało dla ludzi, którym była bliska.

Dla Dona Rawlingsa był to moment, w którym całe życie nagle zawróciło o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęło przyspieszać w stronę ciemności. Martwe dzieci powróciły i już nigdy nie miały go opuścić.

– O czwartej nad ranem zadzwonili do mnie. Nie wiedziałem, kto to, dopóki nie przyjechałem na miejsce zbrodni. – Jego oczy wyglądają niczym duchy spowite mgłą: zagubione, udręczone, pełne cierpienia i skazane na wieczną tułaczkę. – Nieźle ją poprzypalał. Koroner powiedział, że miała prawie pięćset osobnych śladów po żarze papierosa. Pięćset! Żadne z nich śmiertelne. – Jego dłoń drży na blacie biurka. – Torturował ją i zgwałcił, ale najgorsze było to, co zrobił później. Rozciął ją, wyciągnął niektóre narządy i porzucił je obok jej ciała. Tak po prostu,

na betonie, żeby zgniły razem z nią. Trudno jest mi przypominać sobie tamto uczucie. Jak zareagowałem, kiedy ją tam zobaczyłem. Może po prostu nie chcę tego pamiętać. Wiem tylko, że jeden z mundurowych spojrzał na nią i powiedział: „O tak, znam ją. To striptizerka. Kiedyś pracowała w dzielnicy Tenderloin. Świetne cycki”. I dla niego to było wszystko, całe wyjaśnienie, jakiego potrzebował. Spojrzał na Renee, przypomniał sobie jej cycki i zaszufładował ją. Nie była człowiekiem, mądrą dziewczyną, która wychodziła na prostą, tylko striptizerką. – Przesuwa palcem po nierówności blatu. – Musieli mnie od niego odciągnąć. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Uwierzysz, że ten gnojek wiele lat później wyciągnął akta sprawy i w rubryce „zawód” napisał: *striptizerka /prawd. prostytutka?* Wysłał nawet tę poprawkę do VICAP-u.

Jestem zbulwersowana i chyba widać to na mojej twarzy, ponieważ Rawlings spogląda na mnie i kiwa głową.

– Uwierz w to. – Wzdycha. – W każdym razie nie rozpowiadałem o moich byłych związkach z nią, więc mogłem pozostać detektywem prowadzącym w jej sprawie. Chciałem złapać tego gościa. Musiałem go dorwać. Ale morderca był niezły w te klocki. Żadnych odcisków palców, absolutnie nic. W tamtych czasach nie mieliśmy jeszcze analizy DNA, więc... – Wzrusza ramionami. – Poszedłem szukać tam, gdzie zawsze się szuka, kiedy brakuje nam fizycznych dowodów.

– Zacząłeś się dowiadywać, kto ją znał i kto kręcił się w jej pobliżu? – domyślam się.

– Dokładnie. Renee chodziła do szkoły wieczorowej. Okazało się, że poznała tam jakiegoś faceta. Spotykała się z nim od tygodnia lub dwóch. Przystojny dzieciak o nazwisku Peter Connolly. Ale od początku coś mi się w nim nie podobało. Było coś w sposobie, w jaki rozmawiał ze mną podczas wywiadu. Zupełnie jakby stroił sobie ze mnie żarty. Jakby wiedział, że coś właśnie uchodzi mu na sucho. Więc poszedłem za impulsem i pokazałem jego zdjęcie w klubie nocnym, w którym Renee kiedyś pracowała. Oczywiście znaleźli się ludzie, którzy go pamiętali. Ich zeznania co do czasu, gdy go widzieli w klubie, zgadzały się z harmonogramem pracy Renee. Potem zrobiło się jeszcze ciekawiej. Okazało się, że Peter ma problem z używkami. Był nawet na odwyku. Potrafisz zgadnąć? W tym samym miejscu i czasie, gdy Renee

przechodziła odwyk. Teraz już byłem w pełni zaalarmowany. Kiedy dowiedziałem się, że Connolly zapisał się do wieczorówki zaledwie tydzień po Renee, wiedziałem. Wiedziałem, że musi być moim mordercą.

Milknie na długą chwilę.

– Zgaduję, dokąd to wszystko prowadzi, Don – mówię łagodnie. – Brak dowodów, prawda? Nie mogłeś go powiązać z miejscem przestępstwa. To prawda, pojawiał się w klubie nocnym, był w centrum rehabilitacyjnym i w szkole wieczorowej, ale wszystko to można było wytłumaczyć.

Rawlings kiwa głową żałośnie.

– Dokładnie. Wystarczyło, żeby dostać nakaz rewizji jego mieszkania, ale nic tam nie znaleźliśmy. Absolutnie nic. Cała jego przeszłość była bez skazy. – Spogląda na mnie z frustracją. – Nie mogłem dowieść tego, co wiedziałem. Poza tym nie było kolejnych morderstw, żadnych innych scen przestępstwa. Czas uciekał, Connolly się przeprowadził. Ja zacząłem znów mieć koszmary. Niekiedy o dzieciach, ale przez większość czasu o Renee.

Nikt z nas już nie czuje się lepszy od Dona Rawlingsa. Wiemy, że każdy człowiek ma swój punkt krytyczny, kiedy nie jest w stanie dłużej się zginać bez złamania. Rawlings nie wydaje się już nam żalony czy słaby. Rozpoznajemy w nim to, kim jest w rzeczywistości: ofiarą.

Ktokolwiek powiedział „czas leczy rany”, na pewno nie był gliniarzem.

– Jesteśmy tutaj dlatego, że VICAP wskazał na podobne *modus operandi* naszego mordercy i tego z twojego śledztwa – przerywam ciszę. – Zabił znowu. – Pochylam się. – Po wysłuchaniu twojej historii jestem przekonana, że twój i mój morderca to jedna i ta sama osoba.

Przygląda mi się uważnie jak ktoś, kto stracił już ufność i nadzieję.

– Poszło wam lepiej niż mnie?

– Nie w kwestii dowodów fizycznych, ale znaleźliśmy coś, co w połączeniu z twoim podejrzanym sprzed dwudziestu pięciu lat może rozwiązać tę sprawę.

– Co mianowicie?

Opowiadam mu o Kubie Juniorze i o zawartości słoika. Cynizm zaczyna zniknąć z twarzy Rawlingsa zastąpiony podnieceniem.

– Więc mówisz, że ten gość został zindoktrynowany i wierzy, że jest prapraprawnikiem Kuby Rozpruwacza, czy coś w tym stylu, i że zaczął w młodym wieku?

– Dokładnie to chcę powiedzieć.

Rawlings odchyła się na oparcie krzesła z zaskoczoną miną.

– O kurczę... nigdy nie miałem powodu, żeby sprawdzić jego mamę. Ojciec zmarł dawno temu... – Don wygląda na wstrząśniętego. Zbiera się w sobie i stuka w plik dokumentów, który ze sobą przyniósł. – Wszystkie informacje są tutaj. Kim jest jego matka i gdzie mieszkała dwadzieścia pięć lat temu.

– W takim razie tam się wybieramy – mówię.

– Sądzi pani... – Oddycha głęboko i zbiera się w sobie. – Wiem, że w tej chwili nie bardzo się do czegokolwiek nadaję. Jestem starym pijakiem. Ale jeśli pozwolicie mi pójść ze sobą na spotkanie z jego matką, obiecuję, że nie spieprzę sprawy.

Nigdy nie słyszałam takiej pokory w głosie jak teraz.

– Nie wyobrażam sobie tego inaczej, Don – mówię. – Czas, żebyś wreszcie doprowadził śledztwo do końca.

Miasto Concord znajduje się na północ od Berkeley, w rejonie zatoki San Francisco. Jedziemy tam na spotkanie z matką Petera Connolly'ego, kobietą o imieniu Patricia. Kopia prawa jazdy w aktach wskazuje, że ma teraz sześćdziesiąt cztery lata. Postanowiliśmy pojawić się w jej domu niezapowiedziani. Woleliśmy nie uprzedzać jej o przybyciu ani o podejrzeniach. Zdarzało się już, że matki wysyłały swoich synów na jatki. Czy tak było w tym przypadku – kto wie?

Jestem w swoim żywiole. Docieramy niemal do końca polowania. To chwila, kiedy – czuję to przez skórę – zaczynamy naprowadzać celownik na naszą zwierzynę. Wszystkie zmysły mam wyostrzone niemal do bólu i czuję się, jakbym zbiegała stromo w dół nad przepaścią, mając pod sobą tylko naciągniętą strunę pianina. Jestem pewna siebie, stąпам śmiało, nie boję się upadku.

Spoglądam na Dona Rawlingsa i widzę w jego oczach iskierkę tego samego uczucia, chociaż być może zmieszaną z desperacją. Dla niego ceną klęski będzie nie tylko rozczarowanie. Może być fatalna. Mimo to wydaje się nagle odmłodzić. Wzrok ma wyostrzony i skoncentrowany. Niemal widać, jaki był kiedyś jako natchniony glina.

Wszyscy w naszym zawodzie jesteśmy ćpunami. Poruszamy się wśród krwi, rozkładu i smrodu śmierci. Rzucamy się w nocy przytłoczeni koszmarami z powodu horrorów, których ludzki umysł nie potrafi do końca zaakceptować i zrozumieć. Wyżywamy się za to na samych sobie, na naszych

przyjaciółach i rodzinach. Potem jednak zaczynamy się zbliżać do końca sprawy, do sedna, i jest to haj nieporównywalny z czymkolwiek innym. Pomaga nam zapomnieć o smrodzie, o krwi, o koszmarach i horrorach.

I kiedy wszystko to zostaje za nami, jesteśmy gotowi na kolejne polowanie.

Oczywiście wszystko może się skończyć źle. Czasem nie udaje się złapać mordercy. Smród pozostaje, lecz bez nagrody, która zmywa wszelkie okropieństwa. Nawet wtedy jednak większość z nas pracuje dalej. Jesteśmy skłonni podjąć to ryzyko.

Jest to zawód, w którym człowiek pracuje na skraju przepaści. Ma duży odsetek samobójstw. Podobnie jak w każdej innej profesji, niepowodzenie wiąże się z ogromnym ciężarem odpowiedzialności.

Myślę o tym wszystkim, ale nic mnie to nie obchodzi. W tej chwili moje blizny nie mają znaczenia. Ponieważ jestem w swoim żywiole.

Zawsze byłam zafascynowana powieściami i filmami o seryjnych zabójcach. Pisarze i reżyserzy często wydają się przywiązani do pomysłu, że muszą pozostawić swoim bohaterom wyraźny ślad – logiczną matrycę dedukcji i wskazówek prowadzących do jaskini potwora w oślepiającym blasku reflektorów olśnienia.

Czasem tak właśnie się dzieje, ale w większości przypadków nie. Pamiętam śledztwo, które doprowadzało nas do rozpaczki. Morderca zabijał dzieci i po trzech miesiącach nadal nie mieliśmy pojęcia, kto to. Nawet jednego solidnego tropu. Pewnego poranka zadzwonił ktoś z LAPD. Morderca sam zgłosił się na komendę. Sprawa zamknięta.

W przypadku Kuby Juniora wykorzystaliśmy pełną gamę fizycznych dowodów i przeprowadziliśmy poszukiwania ezoterycznych adresów IP. Bestia maskowała się, zakładała podsłuchy i urządzenia naprowadzające, werbowała sprzymierzeńców, była genialna.

Koniec końców rozwiązanie tej sprawy sprowadzi się prawdopodobnie tylko do dwóch czynników: kawałka krowiego mięsa i nierozwiązanej sprawy sprzed dwudziestu pięciu lat, pokrywającej się kurzem w bazie VICAP-u.

Przez lata nauczyłam się polegać wyłącznie na jednej prawdzie, która dostarcza mi wszelkiego porządku, jakiego potrzebuję. Złapany oznacza złapany – a złapany to plus. Koniec kropka.

Dzwoni komórka Alana.

– Tak – odbiera. Zamyka oczy i przez chwilę czuję obawę, lecz potem otwiera je i widzę w nich ulgę. – Dzięki, Leo. Doceniam, że zadzwoniłeś.
– Rozłącza się. – Callie jeszcze się nie obudziła, ale jej stan zmienił się

z krytycznego na stabilny. Nadal jest na OIOM-ie, lecz chirurg powiedział Leo, że śmierć nie wchodzi już w rachubę, chyba że wydarzy się coś bardzo niespodziewanego.

– Callie się wyliże. Jest zbyt uparta – mówię.

James nie komentuje i znów zapada cisza. Jedziemy dalej.

– Jesteśmy – mruczy Jenny.

Dom jest stary i podniszczony. Ogród na froncie jest zaniedbany, ale niezupełnie martwy. Całe miejsce sprawia podobne wrażenie: umiera, lecz jeszcze nie do końca odeszło z tego świata. Wsiadamy i podchodzimy do drzwi. Otwierają się, zanim mamy szansę zapukać.

Patricia Connolly wydaje się stara i zmęczona. Mimo to jej oczy są żywe i czujne.

Pełne strachu.

– Musicie być z policji – mówi.

– Tak, proszę pani – odpowiadam. – A także z FBI. – Pokazuję jej moją legitymację służbową, a potem przedstawiam siebie i pozostałych. – Czy możemy wejść do środka, pani Connolly?

Marszczy brwi, patrząc na mnie z urazą.

– Możecie, jeśli nie będziecie mnie nazywać panią Connolly.

Ukrywam zaskoczenie.

– Oczywiście, proszę pani. Jak wolałaby pani, abyśmy się do niej zwracali?

– Panną Connolly. To moje nazwisko, a nie mojego męża, niech szczerze w piekle. – Otwiera szeroko drzwi. – Proszę wejść.

W środku dom jest czysty i wysprzątan, ale bezosobowy. Zupełnie jakby właścicielka dbała o niego wyłącznie z przyzwyczajenia. Wydaje się niemal dwuwymiarowy.

Patricia Connolly prowadzi nas do dużego pokoju i zaprasza do zajęcia miejsc.

– Czy chcą się państwo czegoś napić? – pyta. – Mam tylko wodę i kawę, ale z chęcią zaserwuję jedno i drugie.

Spoglądam na cały zespół. Wszyscy potrząsają odmownie głowami.

– Nie, dziękujemy, panno Connolly.

Kiwa głową i patrzy na swoje dłonie.

– W takim razie może powiecie mi, dlaczego tu jesteście?

Nie spuszcza wzroku z dłoni, wyraźnie nie potrafiąc spojrzeć mi

w oczy. Decyduję się pójść za instynktem.

– Może *pani* powie mi, dlaczego tu jestem, panno Connolly?

Unosi gwałtownie głowę i widzę, że miałam rację. Jej wzrok lśni poczuciem winy. Nie jest jednak jeszcze gotowa na rozmowę.

– Nie mam pojęcia.

– *Kłamstwo* – mówię, zaskoczona ostrością własnego głosu. Alan zerka na mnie zdziwiony.

Nic na to nie poradzę. Skończyło się pierdolenie kotka za pomocą młotka. Jestem wypełniona po brzegi gniewem i za chwilę wszystko się ze mnie wyleje. Pochylam się do przodu, spoglądając jej w oczy, i celuję w nią palcem.

– Jesteśmy tutaj z powodu pani syna, panno Connolly. Jesteśmy tutaj z powodu mojej przyjaciółki, zgwałconej i wypatroszonej jak sarna. Z powodu jej córki, która spędziła trzy dni przywiązana do trupa swojej matki – mówię coraz głośniejszym głosem. – Jesteśmy tu z powodu człowieka, który torturuje kobiety. Z powodu agentki, kolejnej mojej przyjaciółki, która leży w szpitalu, być może okaleczona na całe życie. Jesteśmy...

Kobieta zrywa się z krzesła i przykłada dłoń do głowy.

– *Przestań!* – skrzeczy, pochylając głowę do przodu. – Proszę... przestań. – Opada na siedzenie równie szybko, jak się zerwała, przygnębiona. Zupełnie jak balon, który opada na ziemię.

Wzdycha głęboko, jakby nagle uwolniła coś znacznie starszego niż emocje towarzyszące tej chwili.

– Myślicie, że wiecie, dlaczego tu jesteście. – Spogląda na mnie. – Ale to nieprawda. Myślicie, że jesteście tu z powodu tych nieszczęsnych kobiet. – Przenosi wzrok na Dona Rawlingsa. – Albo z powodu tej biednej dziewczyny sprzed dwudziestu kilku lat. One wszystkie są częścią problemu, który jest dużo starszy niż ostatnie kilka przypadków.

Mogłabym jej przerwać, poinformować o krowiej tkance w słoiku i o Kubie Juniorze, ale coś mi mówi, żebym pozwoliła jej opowiadać w jej własnym tempie.

– To zabawne, jak czasem umykają nam najważniejsze cechy w ludziach. Nawet w tych, których kochamy. To dość niesprawiedliwe. Jeżeli człowiek nosi w sobie okrucieństwo, jak ktoś, kto zmieni się z czasem w człowieka, który bije swoją żonę albo gorzej, powinny być jakieś znaki ostrzegawcze, coś, co można by było dostrzec. Nie sądzi

pani?

– Wiele razy myślałam dokładnie o tym samym, proszę pani – odpowiadam. – Zwłaszcza w moim zawodzie.

– Przypuszczam, że faktycznie to pani nie ominęło. – Przygląda mi się uważnie. – W takim razie wie pani również, że życie nie działa w ten sposób. Zupełnie nie. W rzeczywistości wielokrotnie dzieje się zupełnie odwrotnie. Najszeptniejsi ludzie potrafią mieć najpiękniejsze serce, a piękniś potrafi okazać się mordercą. – Wzrusza ramionami. – Powierzchność nie jest wskaźnikiem. Absolutnie nie. Oczywiście kiedy człowiek jest młody, nie martwi się podobnymi sprawami. Poznałam mojego męża Keitha, gdy miałam osiemnaście lat, a on dwadzieścia pięć. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam, i naprawdę nie przesadzam. Metr osiemdziesiąt trzy, ciemne włosy, twarz aktora. Kiedy zdjął koszulę... cóż, powiedzmy, że jego ciało doskonale pasowało do kompletu. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Gdy zaczął się mną interesować, zafascynowałam się nim od pierwszej chwili. Jak wielu młodych ludzi, byłam przekonana, że moje życie jest nudne. On był przystojny i ekscytujący. Dokładnie to, co przepisał lekarz. – Przerywa, spoglądając po nas wszystkich. – Działo się to w Teksasie, tak gwoli wyjaśnienia. Nie jestem rodowitą Kalifornijką. – Zerka w bok. – Teksas. Płaski, upalny i nudny. Keith zalecał się do mnie, chociaż jego starań nie można nazwać maratonem. Już raczej sprintem. Trzymałam go na dystans tylko na tyle długo, żeby zrozumiał, iż nie jestem całkowicie uległa. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że przejrzał mnie na wylot, jakbym była zrobiona ze szkła. Zawsze wiedział, że mnie posiadał. Zalecał się do mnie i robił wszystkie te rzeczy tylko dlatego, że go to bawiło. Mógł mnie chwycić, powiedzieć, żebym natychmiast z nim poszła, a ja bym się zgodziła. Wiedział to, ale i tak wziął mnie na kilka przepisowych randek. Był dobry w tym, co robił. Świetnie udawał, że nie jest potworem. Był doskonałym dżentelmenem, romantycznym zupełnie jak bohaterowie filmów i książek. Uprzejmy, romantyczny, przystojny... myślałam, że znalazłam mojego idealnego mężczyznę. Tego jedyne, na którego każda kobieta sądzi, że zasługuje, i którego jest pewna, że w końcu spotka na swojej drodze. – Jej głos i spojrzenie są wypełnione goryczą. – Musicie zrozumieć, że moje życie rodzinne było trudne. Mój tata szybko tracił cierpliwość. Nie chodzi o to, że bił moją mamę

codziennie albo co tydzień, ale zdarzało się to mniej więcej raz w miesiącu. Obserwowałam go, jak policzkował ją albo uderzał pięścią. Od kiedy pamiętam, zawsze tak było. Mnie nigdy nie uderzył, ale gdy podrosłam, zrozumiałam, że to nie dlatego, iż nie chciał. Wiedział, że jeśli mnie dotknie, będzie to z powodów innych niż przemoc. – Spogląda na mnie. – Rozumie pani?

Niestety, rozumiem.

– Tak – odpowiadam.

– Myślę, że Keith to również rozumiał. Jestem tego pewna. Którejś nocy, mniej więcej miesiąc po spotkaniu, poprosił mnie o rękę. – Wzdycha, wspominając tę chwilę. – Wybrał do tego idealny wieczór. Była pełnia, powietrze było chłodne, ale nie zimne. Piękna noc, a on przyniósł mi różę i powiedział mi, że wyjeżdża do Kalifornii. Chciał, żebym z nim pojechała i wyszła za niego za męża. Powiedział, że wie, iż muszę uciec od swojego taty, że mnie kocha i że to nasza szansa. Oczywiście zgodziłam się.

Zamyka oczy i milknie na kilka chwil. Wydaje mi się, że stara się przypomnieć sobie punkt, w którym wszystko poszło źle i runęło ku ciemności, na zawsze.

– Wyjechaliśmy cztery dni później, w tajemnicy. Nie pożegnałam się z rodzicami. Spakowałam mój skromny dobytek i wymknęłam się z domu w środku nocy. Nigdy nie zobaczyłam już żadnego z nich. To były wspaniałe czasy. Czułam się wolna. Jakby życie wreszcie toczyło się zgodnie z moimi planami. Miałam przystojnego mężczyznę, który chciał mnie poślubić, wydostałam się ze ślepego zaułka, w którym się urodziłam, byłam młoda i miałam przed sobą przyszłość. – Jej głos staje się monotony. – Dotarcie do Kalifornii zajęło nam pięć dni. Pobraliśmy się dwa dni później. A noc poślubna była chwilą, kiedy dowiedziałam się, że przyszłość, ku której zmierzałam, była piekłem.

Jej twarz nie wyraża żadnych emocji.

– To zupełnie jak przeciwieństwo Halloween. Zamiast człowieka noszącego maskę potwora Keith był potworem noszącym maskę człowieka. – Wzdryga się. – Byłam dziewczicą, kiedy go poślubiłam. Pozostał słodki do chwili, gdy przeniósł mnie przez próg taniego pokoju hotelowego. Kiedy drzwi się za nami zamknęły, maska opadła. Nigdy nie zapomnę tego uśmiechu. Podobnie mógł uśmiechać się Hitler, gdy

myślał o Żydach umierających w jednym z tych okropnych obozów. Keith uśmiechnął się, a potem uderzył mnie na odlew w twarz. Mocno. Zatoczyłam się, z nosa pociekła mi krew. Wylądowałam twarzą na łóżku. Widziałam gwiazdy, ale nadal usiłowałam się przekonać, że tylko śnię. – Zaciska usta ponuro. – Ale to nie był sen. Może koszmar, tak. „Ustalmy sobie kilka rzeczy”, powiedział, zdzierając ze mnie ubranie. „Jesteś moją własnością. Rozplódówką. To wszystko, co dla mnie znaczysz”. Myślę, że przeraził mnie przede wszystkim jego głos. Był spokojny, pozbawiony emocji, całkiem... normalny. Nie pasował do jego czynów. Zupełnie nie. Pchnął mnie na kolana i... można powiedzieć, że odbył ze mną stosunek. Nie. Nie obchodzi mnie to, że byliśmy mężem i żoną. Zgwałcił mnie. Zakneblował mi usta, żeby uciszyć moje krzyki, kiedy mnie gwałcił. Przez cały czas mówił do mnie tym swoim spokojnym, gawędziarskim tonem: „Spędzimy tutaj kilka dni, w ciągu których nauczę cię, gdzie jest twoje miejsce, rozplódówko. Nauczysz się robić to, co każę, bez wahania i bez zbędnych pytań. Karą za nieposłuszeństwo, niezależnie jak małe, będzie ból, więcej bólu, niż jesteś w stanie znieść”.

Milczy przez długi czas, a my czekamy bez słowa, respektując jej zamyślenie. Nie czuję, że muszę ją pospieszać. Nie ma wątpliwości, że Patricia prowadzi nas dokładnie do informacji, które powinniśmy zdobyć.

Kiedy znów zaczyna mówić, jej głos zmienia się niemal w szept.

– Trzy dni pracował nad złamaniem mnie. Ciął mnie. Przypalał papierosami. Bił. Pod koniec byłam zdolna zrobić wszystko, co kazał, niezależnie jak obrzydliwe i upokarzające by to było. – Krzywi się z pogardą do samej siebie. – A potem odsłonił ostatnie kłamstwo. Zabrał mnie z tamtego hotelu do tego domu. – Kiwa głową. – Dokładnie tak. Miał ten dom od samego początku. Nie mieszkał w Teksasie. Pojechał tam na polowanie. Polowanie na kobietę, która urodzi mu dziecko.

– Petera – domyślam się.

– Tak. Mojego słodkiego chłopczyka. – Słowo „słodki” wypowiada z gorzką ironią. – Keith związywał mnie na noc, żebym nie uciekła. Bił mnie, wykorzystywał seksualnie, zmuszał do robienia różnych rzeczy. Potem zaszłam w ciążę. To był jedyny okres spokoju. W czasie ciąży nie tknął mnie palcem. Byłam dla niego ważna, ponieważ nosiłam jego dziecko. – Przykłada dłoń do czoła. – Pamiętam, że dziękowałam Bogu,

że to nie dziewczynka. Na pewno zabiłby ją po urodzeniu. Teraz wiem, że posiadanie syna było równie koszmarne, na swój sposób.

Znów zamyka usta, wyraźnie zbierając się w sobie.

– Oczywiście zmusił mnie do urodzenia dziecka w domu. Sam odebrał poród. Dał mi potem szmatę, żebym sprzątnęła, podczas gdy sam zachwycał się i gruchał do małego Petera. Kiedy się umyłam i trochę przespałam, wręczył mi Petera i wtedy właśnie postawił mi ultimatum. – Pociera dłonie w nieświadomym geście zdenerwowania. – Powiedział mi, że da mi wybór. Może mnie zabić w tej chwili i sam wychować Petera albo mogę zostać i pomóc mu wychować małego. Powiedział, że jeśli zostanę, nigdy więcej nie podniesie na mnie ręki. Będzie nawet sypiał w osobnym łóżku. Jeżeli jednak obiecuję, że zostanę, a potem ucieknę... powiedział, że mnie dopadnie i będę umierała całymi tygodniami. – Zaciska ręce razem, aż do białości. – Uwierzyłam mu. Powinnam powiedzieć „tak”, a potem zabić siebie i Petera, ale wciąż miałam nadzieję. Nadal myślałam, że coś się zmieni. – Jej oczy, twarz, usta są uosobieniem goryczy. – Zgodziłam się więc. I Keith dotrzymał słowa. Nigdy więcej mnie nie uderzył. Spał w swoim własnym pokoju, a ja w moim. Oczywiście trzymał Petera u siebie. Żeby upewnić się, że go nie wykradną którejs nocy. Był pod tym względem bardzo chytry i ostrożny. Peter zaczął dorastać i zanim skończył pięć lat, niemal uwierzyłam, że wszystko uległo poprawie. Życie było w porządku. Normalne. Może nie cudowne, ale znośne. Byłam strasznie naiwną dziewczyną. Wkrótce wszystko zaczęło się pogarszać i chociaż Keith nie molestował mnie więcej, to, co zaczął robić, było dużo, dużo gorsze. – Przerywa i uśmiecha się do mnie słabo. – Przepraszam, ale muszę się napić kawy, zanim będę kontynuować opowieść. Jesteście państwo pewni, że nikt nie chce niczego do picia?

Mam wrażenie, że dzięki temu poczułaby się bardziej komfortowo.

– Bardzo chętnie napiję się z panią kawy – mówię z uśmiechem.

Jenny i Don również proszą o kawę, zaś Alan o szklankę wody. Tylko James się wstrzymuje.

– Wierzysz w to wszystko? – szepcze Alan do mnie, gdy Patricia jest w kuchni.

– Raczej tak – odpowiadam po chwili i spoglądam na niego. – Tak, wierzę.

Patricia wraca z napojami na tacy i rozdaje je nam. Siada z powrotem i patrzy na Alana.

– Słyszałam, co pan powiedział.

Alan wygląda na zaskoczonego i zmieszanego. Jedno i drugie to dla niego rzadkość.

– Bardzo przepraszam, panno Connolly. Nie chciałem pani obrazić.

Uśmiecha się do niego.

– Nie obraził mnie pan, panie Washington. Jedno, co wynosi się z życia spędzonego ze złym człowiekiem, to zdolność dostrzegania dobrych ludzi. Pan jest dobrym człowiekiem. Poza tym to było uczciwe pytanie. – Przekręca się na krześle tak, że siedzi teraz bokiem do nas wszystkich. – Agentko Barrett, czy może pani rozpiąć suwak mojej sukienki? Do połowy. To powinno wystarczyć.

Marszczę brwi i wstaję niepewnie.

– Wszystko w porządku. Proszę to zrobić.

Rozpinam suwak i muszę na chwilę zamknąć oczy po tym, co zobaczyłam.

– Niezły widok, co? – mówi Patricia. – Dalej, rozepnij go, niech zobaczą.

Odślonięty fragment pleców Patricii jest zbitką starych blizn i szram. Część mnie jest przerażona, ta druga, kliniczna, zauważa zaś, że blizny powstały w różny sposób i w różnych momentach. Najprawdopodobniej w ciągu wielu lat. Niektóre z nich są okrągłymi bliznami po przypalaniu papierosami. Inne są długimi cienkimi szramami. Zgaduję, że wiele z nich powstało po biczowaniu. Wszyscy patrzą, nikt nie przygląda się zbyt długo. To dowód na prawdziwość jej historii; jej trzeci wymiar. Widok jest naprawdę okropny. Zapinam z powrotem suwak.

Milczenie, które panuje w pokoju po tej demonstracji, jest pełne powagi i bardzo niezręczne. Wreszcie przerywa je Alan.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się pani stało – mówi. – I przepraszam, że kwestionowałem prawdziwość pani historii.

Patricia Connolly uśmiecha się do niego i przez chwilę w jej uśmiechu przeblyskuje tamta dziewczyna, którą kiedyś była.

– Doceniam pana uprzejmość, panie Washington. – Układa dłonie na udach i przez moment zbiera się w sobie.

– Musicie zrozumieć, że przez dłuższy czas nie wiedziałam, co robił.

A kiedy się wreszcie dowiedziałam, było już za późno. Keith zaczął spędzać całe godziny w nocy, zamykając się na klucz w piwnicy razem z Peterem. Na początku Peter wracał stamtąd, wyglądając, jakby płakał. Po roku zaczął wychodzić z tych sesji uśmiechnięty. Po kolejnym roku przestał okazywać jakiegokolwiek emocje. Miał tylko to spojrzenie, pełne arogancji. Gdy skończył dziesięć lat, grubiańskość zniknęła z jego wzroku. Wydawał się jak każdy normalny dziesięcioletek. Był mądry, zabawny, potrafił człowieka rozśmieszyć. – Potrząsa głową. – Oczywiście wszystko to w retrospekcji wydaje się oczywiste. W trakcie jednak nie rejestrowałam zmian, jakie przechodził. Tkwiły gdzieś tam w zakamarku mojego umysłu i powoli gniły. Przez wszystkie te lata Keith dotrzymywał danego słowa. Nie dotknął mnie, nie starał się ze mną przespać. Zupełnie jakbym przestała dla niego istnieć. I byłoby to w porządku, z wyjątkiem... z wyjątkiem...

Emocje ogarniają ją z siłą i gwałtownością letniej burzy. Po policzkach spływają jej łzy.

– Z wyjątkiem tego, że byłam samolubna, tak bardzo, bardzo samolubna. Keith zostawił mnie samą sobie, to prawda. Ale to dlatego, że był zajęty Peterem. A ja nigdy tego nie kwestionowałam, nie dopytywałam się, nie usiłowałam się wtrącać. Po prostu oddałam mu mojego syna. – Jej głos znów jest pełen pogardy do samej siebie. – Co ze mnie była za matka?

Burza mija. Patricia ociera łzy z oczu wierzchem dłoni.

– Kiedy patrzę wstecz, wiem, że dostrzegałam zmiany w moim synu. Widziałam, że uśmiecha się jak jego ojciec, dokładnie tak samo jak wtedy, w tamtym pokoju hotelowym, w naszą noc poślubną. Wyczuwałam w nim ten chłód. – Milczy przez długą chwilę, a potem wzdycha. – To stało się, kiedy Peter miał piętnaście lat. – Spogląda przed siebie nieobecny wzrokiem. – Przez tyle lat nie byłam bita ani gwałcona. Całe lata mogłam poświęcić na to, zajrzeć w głąb siebie, pomyśleć bez zakłócania spokoju. W pewnym sensie czułam się jak uwięziona w wieży, ale ta izolacja sprawiła, że zaczęłam odnajdywać siebie. Więc podjęłam decyzję, a potem zaczęłam planować. Byłam zdeterminowana. Przyszedł czas, abym uwolniła siebie i mojego syna. W którymś momencie smutek we mnie zaczął się zmieniać w gniew. Zaczęłam planować zabójstwo Keitha.

Na jej twarzy nie widać teraz żadnych emocji.

– Postanowiłam przeprowadzić to jak najprościej. Zamierzałam zaprosić go do mojego łóżka. Coś, czego na pewno by się nie spodziewał. Zamierzałam pozwolić mu robić ze mną to, co mu się podoba, a po wszystkim użyć noża schowanego pod poduszką. Zamierzałam go zabić, a potem wynieść się z moim synem z tego miejsca, wrócić do domu w Teksasie. Zacząć żyć prawdziwym życiem. – Spogląda na mnie zasmucona. – Przypuszczam, że niektórzy ludzie są dobrzy w zabijaniu, a inni nie. A może po prostu Keith tak bardzo w tym celował. Nie wiedziałam o tym w tamtej chwili, ale wkrótce miałam się o tym przekonać.

Zaczyna się bawić cienkim złotym łańcuszkiem, który nosi na szyi.

– Był zaskoczony, to prawda. Powiedziałam mu, że brakuje mi go w łóżku. Dostrzegłam w jego oczach pożądanie, buzujące niczym dziki ogień. Przygotowałam się na to, że będzie brutalny, bo tylko w ten sposób mógł się poczuć zaspokojony. Niemal zerwał ze mnie ubranie, kiedy zabrał mnie do sypialni. – Nadal dotyka palcami łańcuszka. – Pozwoliłam mu się mną zajmować przez bardzo długi czas. Było to tak okropne, jak pamiętałam, ale cóż znaczy kilka godzin męki, jeżeli miałam szansę zakończyć to na zawsze? – Kiwa głową. – Chciałam, żeby się zmęczył. Zanim skończył, jedno oko miałam podbite, rozciętą i spuchniętą wargę oraz zakrwawiony nos. Keith stoczył swoje spocone ciało ze mnie, odwrócił się na plecy i zamknął oczy, wzdychając z satysfakcją. – Otwiera szeroko oczy, relacjonując następne wydarzenia. – Kto by się spodziewał, że istota ludzka potrafi się poruszać z taką szybkością? A może to dlatego, że Keith nie był tak naprawdę człowiekiem. Gdy tylko zamknął oczy, wsunęłam rękę pod poduszkę i wyciągnęłam nóż. Daję słowo, że nie minęła więcej niż sekunda, zanim zamachnęłam się, by ugodzić go w krtani. – Znów potrząsa głową z niedowierzaniem. – Chwycił mnie za nadgarstek, kiedy nóż był może cal od jego gardła. Chwycił mnie i powstrzymał. Zawsze był bardzo silny. Silniejszy niż ktokolwiek. Trzymał mnie za nadgarstek i uśmiechnął się w ten okropny sposób. Potrząsnął głową. „Zły pomysł, Patricio”, powiedział. „Obawiam się, że przyszedł na ciebie czas”. – Jej dłonie trzęsą się lekko. – Tak bardzo się bałam. Zabrał mi nóż i pobił mnie. Bił mnie mocno, długo, wszędzie. Wybił mi kilka zębów, złamał mi nos

i szczękę. Byłam ledwie przytomna. Kiedy traciłam świadomość, nachylił się do mnie i wyszeptał mi do ucha: „Przygotuj się teraz na śmierć, rozplódówko”. A potem zapadła ciemność.

Milknie na długą chwilę. Jestem zahipnotyzowana ruchem jej złotego łańcuszka, którym wciąż się bawi.

– Obudziłam się w szpitalu. Strasznie bolało, ale nie obchodziło mnie to, ponieważ wiedziałam jedno: jeżeli nadal żyłam, to oznaczało, że Keith jest martwy. Spojrzałam w bok i zobaczyłam Petera siedzącego przy moim łóżku. Kiedy dostrzegł, że już nie śpię, chwycił mnie za rękę i siedzieliśmy tak przez godzinę, nic nie mówiąc. Potem szeryf powiedział mi, co się wydarzyło. – Do oczu napływają jej łzy. – To był Peter. Usłyszał moje krzyki. Wpadł do pokoju w momencie, gdy Keith szykował się do poderżnięcia mi gardła. Zabił go. Peter zabił swojego ojca, żeby mnie ocalić.

Obejmuje się ramionami, wyraźnie zagubiona.

– Czy macie pojęcie, jakie emocje budzą się w człowieku, kiedy przechodzi się przez coś takiego? Po tych wszystkich latach, po wszystkim, czego doświadczyłam? Ulga była niemal nieznośna. A do tego jeszcze ta świadomość, że mój syn był *moim* synem. Że koniec końców wybrał mnie, a nie ojca. – Łzy spływają jej po policzkach. – Byłam pewna, że straciłam Petera na zawsze. Przepraszam na chwilę.

Wstaje i podchodzi do półki, na której stoi pudełko z chusteczkami. Bierze je ze sobą i wraca na krzesło. Wyciąga chusteczkę, żeby wytrzeć oczy.

– Bardzo przepraszam.

– Nie ma za co – mówię szczerze. To, przez co przeszła ta kobieta, jest niewyobrażalne. Niektórzy być może potępiali ją za to, że przez tak wiele lat pokornie znosiła to wykorzystywanie, że nie była wystarczająco silna. Mam nadzieję, że jestem nieco mądrzejsza niż ci ludzie.

Patricia ociera oczy chusteczką i zbiera się w sobie.

– Rany wreszcie się zagoiły i wróciliśmy do domu. To były dobre czasy. Peter był taki kochający. Obiady przestały być godziną milczenia. Staliśmy się... – Przerywa na chwilę. – Staliśmy się rodziną. – Smutnieje. Gorycz i ponury cień powracają na jej twarz niczym maska. – Nie trwało to długo. – Znow sięga do łańcuszka i zaczyna się nim bawić. – Peter nadal chodził co noc do piwnicy. Spędzał tam całe godziny. Nigdy

nie pozwolił mi tam wejść i nie wiedziałam, co tam robi, ale byłam przerażona. Było to coś, co robił ze swoim ojcem, i gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Mijały miesiące, a ja martwiłam się tą piwnicą, ale nie zrobiłam z tym absolutnie nic. Ja się... jak się określa ignorowanie prawdy, kiedy człowiek nie chce, żeby to była prawda?

– Sądzę, że ma pani na myśli wyparcie albo zaprzeczenie – podpowiada James.

– Dokładnie. Wypierałam się tej prawdy. Możecie mnie za to winić? Keith, mój długoletni żywy koszmar, wreszcie nie żył. Odzyskałam syna. Życie było dobre. – Pociera dłonią czoło. – Przypuszczam jednak, że coś we mnie się zahartowało po tych wszystkich przejściach. Minęło zbyt wiele czasu, zbyt wiele nocy, gdy nie mogłam pozbyć się myśli o tej przeklętej piwnicy. Pewnego dnia, kiedy Peter był w szkole, postanowiłam, że przyszedł czas sprawdzić, co tam jest. Keith zawsze trzymał klucz do piwnicy ukryty pod lampą w sypialni. Myślał, że tego nie wiem, ale ja wiedziałam. Tego dnia poszłam tam i wzięłam klucz, a potem zeszłam do piwnicy i otworzyłam drzwi. Stałam przez długi czas na schodach, spoglądając w ciemność. Zmagałam się ze sobą samą. Wreszcie zapaliłam światło i zeszłam na dół.

Przerywa, tym razem na bardzo, bardzo długo, i boję się, że zatraciła się we wspomnieniu tamtej chwili. Zamierzam właśnie dotknąć jej ramienia, kiedy odzywa się znowu.

– Zaczekałam, aż Peter wróci ze szkoły. Zaraz gdy przekroczył próg, powiedziałam mu, że poszłam do piwnicy. Wyznałam mu, co tam znalazłam. Powiedziałam, że ocalił mi życie i uwolnił mnie, i że jest moim synem. Dlatego nikomu nic nie powiem. Ale nie może już dłużej mieszkać pod moim dachem. Na początku nie byłam pewna, czy mi uwierzy. O tym, że nikomu nie powiem, znaczy się. – Uśmiecha się speszona. – Przypuszczam, że w głębi duszy chyba jednak mnie kochał. Nie wiem, czy dlatego że byłam jego matką, czy dlatego że czuł potrzebę bliskości, czegoś, co przypominałoby mu, że nadal jest istotą ludzką. Cokolwiek to było, nie odezwał się prawie ani słowem. Spakował się, zabrał kilka rzeczy z piwnicy, pocałował mnie w policzek i powiedział, że mnie kocha i że rozumie. A potem wyszedł i od tamtej chwili go nie widziałam. Minęło niemal trzydzieści lat.

Znów płacze. Spogląda na Dona Rawlingsa.

– Kiedy usłyszałam o morderstwie tamtej biednej dziewczyny i dowiedziałam się, że Peter jest podejrzanym, wiedziałam, że musiał to zrobić. To pasowało, rozumiecie? Pasowało do tego, co znalazłam w piwnicy. – Wykręca nerwowo dłonie. – Wiem, że powinnam coś wtedy powiedzieć. Powinnam pójść na policję, ale ja... Peter ocalił mi życie. Był moim synem. Wiedziałam, że to go nie usprawiedliwia, ale wtedy moja decyzja wydała mi się w jakiś sposób słuszną. Teraz... – Wzdycha z potwornym zmęczeniem. – Teraz jestem stara. Zmęczona. Zmęczona bólem, tajemnicami i koszmarami.

– Co zobaczyłaś w piwnicy, Patricio? – pytam.

Patrzy mi w oczy, nadal bawiąc się złotym łańcuszkiem.

– Sami to sprawdźcie. Nie otwierałam tych drzwi przez niemal trzydzieści lat. Przyszedł czas, żeby znów to zrobić.

Zrywa łańcuszek, którym się bawiła, i widzę, że wisiał na nim duży klucz. Wręcza mi go.

– Proszę bardzo. Otwórz te drzwi. Czas wpuścić do środka trochę światła słonecznego.

Wierzę w to, co powiedziała Patricia; nikt nie przekroczył progu tego pomieszczenia przez wiele, wiele lat. Zamek opiera się kluczowi. Prawdopodobnie nie był otwierany przez trzydzieści lat. Alan pracuje nad nim – raz skoncentrowany, to znów klnąc niczym górnik.

– Ach... – W końcu słyszymy kliknięcie zamka. – Udało się.

Prostuje się i otwiera drzwi na oścież. Widzę przed sobą drewniane schody prowadzące w ciemność. Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy pewne pytanie.

– Patricio, jesteśmy w Kalifornii. Ten dom nie został zbudowany z piwnicą. Czy Keith ją tu zrobił?

– Jego dziadek. – Wskazuje na lewo od drzwi. – Widzicie przebarwienie na ścianie, o tutaj? Keith powiedział, że kiedyś drzwi były ukryte za fałszywą półką na zawiasach. Nie wiem, dlaczego w ogóle ją zdjął. – Patricia stoi z tyłu, z dala od drzwi wiodących do piwnicy. Boi się. – Schody prowadzą na korytarz. Piwnica nie znajduje się bezpośrednio pod domem. Keith powiedział, że jego dziadek zrobił to celowo. Ze względu na trzęsienia ziemi.

– Schodziła pani tutaj po trzęsieniu ziemi w dziewięćdziesiątym pierwszym? – pyta Jenny.

– Nie byłam tu od tamtego dnia. Włącznik światła jest na ścianie po prawej. Bądźcie ostrożni. – Wraca szybko do dużego pokoju. Nie biegiem, ale prawie.

Jenny spogląda na mnie zaniepokojona.

– To niezbyt dobrze, Smoky. Istnieje powód, dla którego nie mamy piwnic w Kalifornii. Ten powód to „wydarzenia sejsmiczne”. W środku może nie być bezpiecznie.

Zastanawiam się nad jej słowami, ale tylko przez minutę.

– Nie mogę czekać, Jenny. Muszę zobaczyć, co jest w tej piwnicy.

Patrzy na mnie przez chwilę, a potem kiwa głową.

– Ja też. – Uśmiecha się słabo. – Ale ty idziesz pierwsza.

Schodzę w dół, a za mną reszta zespołu. Stukanie butów o drewno staje się coraz bardziej stłumione, im głębiej schodzimy. Przypuszczam, że to z powodu ziemi nad nami. Naturalne tłumienie dźwięków. Jest chłodno. Chłodno, cicho i samotnie.

Tak jak powiedziała Patricia, na dole schodów znajdujemy wejście do wąskiego betonowego korytarza. Ma długość mniej więcej sześciu metrów. Na drugim końcu dostrzegam cień drzwi. Docieram do nich po kilku krokach i widzę włącznik światła. Używam go i wchodzimy do środka.

– Rany – mówi James. – Spójrzcie tylko na to.

Znajdujemy się w rozległym pomieszczeniu, mającym około pięćdziesięciu metrów kwadratowych powierzchni. Nie ma w nim nic ozdobnego: zwykłe ściany z betonu, proste oświetlenie i funkcjonalne meble. To, czego widok skomentował James, jest na ścianie po lewej.

Podchodzę bliżej, zdumiona. Ściana jest cała pokryta profesjonalnymi diagramami przedstawiającymi ludzkie ciało. Wszystko w rozmiarach jeden do jeden, precyzyjnie oznaczone, poczynając od powierzchni ciała. Następnie widzę rysunek ciała z usuniętą skórą, ukazujący muskulaturę. Kolejne diagramy demonstrują szczegółowo narządy wewnętrzne.

Przysuwam się bliżej i wtedy zauważam przeciwległą ścianę, dotychczas schowaną w cieniu. To, co się na niej znajduje, sprawia, że przeszywa mnie dreszcz.

– Słuchajcie – mówię. – Popatrzcie na to.

Ściana została pomalowana na biało, aby podkreślić czarny napis:

Przykazania Rozpruwacza:

1. Większość ludzkości to bydło. Jesteś potomkiem starożytnych drapieżników, pierwotnych myśliwych. Nigdy nie pozwól moralności bydła powstrzymać cię od wypełniania twojej misji.
2. Zabicie dziwki nigdy nie jest grzechem. To potomstwo diabła i ropień na skórze cywilizacji.
3. Kiedy zabijasz dziwkę i wyszedłeś spośród cieni, zabij ją w najokrutniejszy możliwy sposób, jako lekcję dla pozostałych dziwek.

4. Nie czuj się winny, radując się morderstwem dziwek. Pochodzisz ze starożytnej linii i jesteś mięsożercą. Pragnienie krwi jest naturalne.
5. Wszystkie kobiety mają w sobie skłonność do bycia dziwkami. Spólkuj z kobietą jedynie w celu spłodzenia potomstwa. Nie pozwól im, aby zaćmiły ci umysł lub serce. Kobiety są rozplodówkami, niczym więcej.
6. Nasze nauki mogą być przekazywane jedynie synowi, NIGDY córce.
7. Każdy Rozpruwacz musi odnaleźć swojego własnego Abberline'a. Musicie być ścigani, jeśli chcecie utrzymać swoje zmysły wyostrzone, a swoje umiejętności na najwyższym poziomie.
8. Dopóki nie znajdziecie swojego Abberline'a, musicie czynić swe dzieło, ukrywając je przed oczami innych.
9. Śmierć jest lepsza od uwięzienia.
10. Potomkowie Bestii z Cienia są nieustraszeni. Zaspokajają swoje potrzeby bez wahania i bez skrupułów. Zawsze starajcie się być tego przykładem. Szukajcie wykalkulowanego ryzyka, które sprawi, że krew zagra wam w żyłach.
11. Nigdy nie zapominajcie, że jesteście Jego potomkami – Bestii z Cienia.

– O cholera! – szepcze Don.

Jestem skłonna się z nim zgodzić.

W pomieszczeniu są trzy rzędy półek.

– Więcej anatomii i różnego rodzaju teksty o Kubie Rozpruwaczu. – Don przygląda się im bliżej, ściąga coś z półki i otwiera. – Tak myślałem. – Spogląda na mnie. – Dzienniki. – Przerzuca kolejne kartki, zatrzymując się na jednej. Wyciąga zapiski w moim kierunku.

Są tam przyczepione taśmą samoprzylepną czarno-białe fotografie, na kilku stronach. Przedstawiają młodą kobietę przywiązaną do stołu i zakneblowaną. Ściany na zdjęciach wyglądają jak ściany tego pomieszczenia. Przerywam na chwilę i obchodzę półki.

– Alan – mówię i gdy podchodzi do mnie, wskazuję stół naprzeciwko nas, a potem fotografię.

– Cholera. – Jego twarz ściąga się w gniewie. – To dokładnie tam.

Serie zdjęć dokumentują gwałt, tortury oraz patroszenie młodej kobiety. Wszystkie zrobione pod kątem „poglądowym”. Okropieństwo! Zupełnie jakby zamaskowany mężczyzna widoczny na nich prowadził seminarium z cierpienia i deprawacji.

– Chryste – mówię. – Ile ich tu jest?

– Zgaduję, że blisko setka.

Przerzucam kolejne zdjęcia, docierając do zapisków.

Peter demonstruje swoją przynależność do linii, nawet w wieku ośmiu lat. Obserwował, jak zabijałem dziwkę, robił zdjęcia i zadawał inteligentne pytania w czasie trwania całego procesu. Był szczególnie zainteresowany mechaniką patroszenia. Z radością odnotowałem, że jego problem z wymiotowaniem, który zniknął rok temu, nadal nie powraca.

Przechodzę do kolejnego fragmentu.

Tym razem zabrałem ze sobą Petera na polowanie. Nie miał szkoły następnego dnia, a ja czułem, że bardziej osobiste zaangażowanie go w cały proces jest dość ważne. Koniec końców ma dziesięć lat. Byłem bardzo zadowolony. Peter ma talent.

Tak na marginesie – był zażenowany, kiedy rozebrałem dziwkę, i zauważył, że jego penis stwardniał. Wyjaśniłem mu mechanizm erekcji i zmusiłem dziwkę do sprawienia mu rozkoszy ręką. Peter był zafascynowany i wydawał się odczuwać przyjemność. Po wszystkim podziękował mi.

I więcej:

Peter zapytał mnie dzisiaj, ile miałem lat, kiedy zabiłem pierwszą dziwkę. Z wahaniem opowiedziałem mu całą prawdę o tym. Jest tak wypełniony mocą naszej linii, że obawiałem się wyjawić mu słabość mojego ojca. Martwiłem się, że Peter może zacząć wątpić w szlachetność naszej krwi. Koniec końców powiedziałem mu jednak wszystko: jak mój ojciec ukrywał przede mną sekrety naszej linii; jak odkryłem prawdę dzięki własnym badaniom naszej genealogii; o tchórzliwych zaprzeczeniach ojca, gdy doprowadziłem do konfrontacji i pokazałem mu moje badania; o tym, jak on i moja matka usiłowali wmówić mi, że jestem szalony. Nie musiałem się obawiać o Petera. Spojrzenie pełne uwielbienia, jakim obdarzył mnie po zakończeniu mojej opowieści o wytrwałości, o poszukiwaniu prawdy i o zemście, której dokonałem na ojcu, było czymś, co będę nosił w sercu na zawsze.

– Chryste – mruczy Alan. – Dokładnie tak, jak powiedziała Patricia: zaczął deprawować dzieciaka od najmłodszych lat.

– Chłopak nie miał najmniejszej szansy – zauważa James. – Ale to nie ma teraz znaczenia. Minęło zbyt wiele czasu. Nie da się go już uratować.

Nie odzywam się. Moje uszy wypełnia ryk i kręci mi się w głowie. Przez moje ciało przebiega jeden szok elektryczny po drugim. Przerzucam dziennik na ostatnią stronę. Podpis, który tam widnieje, sprawia, że mój umysł zaczyna wirować z przerażenia, wściekłości, niedowierzania, wstydu i poczucia zdrady.

Może to tylko zbieg okoliczności, myślę.

Ale wiem, że to nieprawda.

Znów spoglądam na przykazania wypisane na ścianie, odczytując ponownie punkt siódmy: *7. Każdy Rozpruwacz musi odnaleźć swojego własnego Abberline'a. Musicie być ścigani, jeśli chcecie utrzymać swoje zmysły wyostrzone i swoje umiejętności na najwyższym poziomie.*

– Smoky? – Głos Alana jest ostry i pełen niepokoju. – Co się dzieje?

Nie mówię nic, tylko wręczam mu dziennik, wskazując na podpis.
Keith Hillstead.

Hillstead.

Syn Peter.

Wiedziałam, kim jest Kuba Junior. I Kuba Junior znał mnie.

Potwory noszące maskę człowieka, odgrywające swoją rolę do perfekcji.

Peter Hillstead oszukał wszystkich, włączając w to mnie. Co gorsza, był ze mną w chwilach mojej największej bezbronności.

Jest jednak coś znacznie bardziej przerażającego, coś, co sprawia, że zbiera mi się na wymioty, kiedy zdaję sobie z tego sprawę. Peter Hillstead nie tylko mnie oszukał, wykorzystał i naruszył moją prywatność – Peter Hillstead również mi *pomógł*. To prawda, że z egoistycznych pobudek, ale mimo wszystko... Myśl, że czuję się lepiej częściowo dzięki niemu, sprawia, że mam ochotę wrzeszczeć, wymiotować i stać pod prysznicem przez cały rok.

– Wiem, kim on jest – odpowiadam na pytanie Alana.

Zapada pełna zaskoczenia cisza, a potem paplanina głosów. Alan ucisza ich wszystkich.

– O czym ty mówisz?

Wskazuję na podpis na ostatniej stronie dziennika.

– Keith Hillstead. Jego syn ma na imię Peter. Mój psychoanalityk nazywa się Peter Hillstead.

Alan patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– To może być zbieg okoliczności, Smoky.

– Nie. Upewnię się na sto procent, kiedy zobaczę zdjęcia Keitha i Petera Hillsteada, ale wiek się zgadza.

– Cholera jasna – mamrocze James.

– Chodźcie. – Ruszam w kierunku schodów.

Patricia nadal jest w dużym pokoju.

– Panno Connolly, czy ma pani jakieś zdjęcia Keitha Hillsteada? I pani syna?

Przekrzywia głowę i spogląda mi w oczy.

– Znalazła pani coś, prawda?

– Tak, proszę pani, ale jeżeli będę mogła zobaczyć zdjęcia Keitha i Petera, zyskam pewność.

Podnosi się z krzesła.

– Po odejściu Petera okazało się, że zabrał wszystkie swoje zdjęcia. Mam za to jedną fotografię Keitha, pogrzebaną na dnie szuflady. Trzymam ją tam, żeby pamiętać, jak wygląda zło wcielone. Proszę chwilę poczekać.

Idzie do sypialni i wraca z fotografią rozmiarów 20 na 25 centymetrów.

– Proszę. – Wręcza mi ją. – Przystojny jak sam diabeł. Co w zasadzie ma sens, skoro on i diabeł byli takimi dobrymi przyjaciółmi.

Kiedy spoglądam na zdjęcie, czuję zimny dreszcz. Wszelkie wątpliwości znikają. Widzę te elektryzująco błękitne oczy, tak samo szokujące i piękne na tym zdjęciu, jak w rzeczywistości są oczy Petera.

– Wyglądają prawie jak bliźniacy. – Kiwam do Jamesa. – Teraz jestem pewna. Peter Hillstead jest synem Keitha Hillsteda.

– Więc chcesz powiedzieć, że wiesz, kim on jest? Człowiek, który zabił Renee?

Pytanie zadaje Don Rawlings. Z jego oczu wзира nadzieja, chociaż próbuje z nią walczyć, poskromić ją, jak człowiek usiłujący złapać wschodzące słońce na lasso. Mimo rozszalałych emocji udaje mi się do niego uśmiechnąć.

– Tak jest.

Na moich oczach nagle młodnieje o dziesięć lat. Jego oczy stają się bardziej przejrzyste, a mina zdeterminowana.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Chcę, żebyś razem z Jenny dokonał szczegółowych oględzin tej piwnicy i całego domu. Jeżeli zdołamy znaleźć odciski palców pasujące do Petera... – Nie muszę dalej tłumaczyć. Rozumieją. Wiemy, kim jest Kuba Junior, ale wiedza i udowodnienie faktów przed sądem to dwie różne rzeczy.

– Możesz na nas liczyć – odpowiada Jenny. – Gdzie się teraz wybieracie?

– Z powrotem do Los Angeles, żeby złapać tego skurwiela.

Czuję, jak ktoś dotyka mojego ramienia. W całym tym podnieceniu

niemal zapomniałam, że Patricia Connolly nadal tu jest.

– Proszę mi coś obiecać, agentko Barrett.

– Jeżeli będę mogła, panno Connolly.

– Wiem, że Peter jest teraz złym człowiekiem. Prawdopodobnie został skazany na ten los w momencie, gdy jego ojciec po raz pierwszy zaprowadził go do tej piwnicy. Ale jeżeli musi pani go zabić... proszę mi obiecać, że zrobi to pani szybko.

Spoglądam na Patricję i widzę, kim mogłam się stać, gdybym nadal siedziała w swojej sypialni, wpatrując się w odbicie moich blizn; gdybym się nie zabiła, stałabym się taka jak ona – byłabym duchem stworzonym z dymu, przywiązany do życia łańcuchami wspomnień o cierpieniu.

– Jeżeli do tego dojdzie, Patricio, postaram się.

Dotyka mojego ramienia – ta szara kobieta, a potem siada z powrotem na krześle. Wyobrażam sobie, że pewnego dnia znajdą ją martwą, siedzącą tutaj, jakby zasnęła i nigdy się nie obudziła.

– Możesz nas podwieźć na lotnisko, Jenny?

– Jasne.

Spoglądam na Jamesa i Alana.

– Zakończmy tę sprawę.

Rozmawiam przez telefon z Leo, kiedy już jesteśmy w powietrzu, w połowie drogi do LA.

– Mówisz poważnie? – pyta.

Właśnie skończyłam mu opowiadać, co znaleźliśmy w domu w Concord.

– Obawiam się, że tak. Musisz zacząć organizować nakaz rewizji, zarówno biura, jak i jego domu. Załatw to, a kiedy przyjedziemy, wyjaśnię wszystkie szczegóły.

– W porządku.

– Wyciągnij skądś zdjęcie Hillsteda. Potem chcę, żebyś porównał fotografie z seksprywatki z jego podobizną. I tylko z jego.

– Już się robi.

– Doskonale. Przekaż wszystkim, co się dzieje. Muszę zadzwonić do zastępcy dyrektora Jonesa. Powinniśmy być z powrotem w LA za godzinę z kawalkiem.

– Do zobaczenia za godzinę, szefowo.

Rozłączam się i dzwonię na recepcję. Łączą mnie z Shirley.

– Muszę z nim natychmiast porozmawiać, Shirley. Gdziekolwiek jest, cokolwiek robi. To ważne.

Nie dyskutuje ani nie dopytuje się. Shirley wie, że nie wszczynam alarmu bez powodu. W ciągu pół minuty słyszę głos zastępcy dyrektora Jonesa.

– Co się dzieje? – pyta.

Opowiadam mu całą historię. O wizycie w Concord. O Keicie Hillsteadzie. O piwnicy i tym, co w niej znaleźliśmy. Wreszcie o rewelacji na temat Petera.

Zapada pełna zdumienia cisza. A potem muszę odsunąć telefon od

ucha, kiedy Jones zaczyna krzyczeć, wściekać się i przeklinać.

– Czyli nasz główny psychoterapeuta przydzielony agentom FBI w Los Angeles, zajmujący się nimi od ponad dziesięciolecia, jest seryjnym mordercą? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

– Tak, sir. To właśnie panu mówię.

Cisza, a potem:

– Przedstaw mi swój plan. – Wściekanie zakończone. Czas na konkrety.

– Wydział kryminalny SFPD zajmuje się oględzinami i zabezpieczaniem sceny zbrodni w Concord. Mam nadzieję, że w domu znajdziemy odciski palców Petera. Jeszcze lepiej, liczę, że będą również w piwnicy.

– Odciski palców? Po trzydziestu latach?

– Oczywiście. Był taki przypadek, kiedy zdjęto linie papilarne z porowatego papieru po czterdziestu latach. Poza tym Leo załatwia nakaz rewizji biura i domu, który wypełnię po przyjeździe do LA. Kiedy będziemy mieli w rękę nakaz, wpakujemy się tam z siłą wodospadu.

– Co chcesz zrobić z Hillsteadem?

Rozumiem jego pytanie. Nie mamy dowodów niezbędnych do aresztowania go, nie wspominając o uznaniu go za winnego.

– Zatrzymamy go na czas rewizji. Między jego domem, biurem i San Francisco powinniśmy znaleźć coś, co pozwoli nam formalnie go aresztować.

– Przynieś mi nakaz, kiedy już tu dotrzesz. Przejrzę go osobiście.

– Tak jest, sir.

Rozłącza się, a ja spoglądam na Jamesa i Alana.

– Mamy zielone światło. Teraz trzeba już tylko, żeby ten cholerny samolot leciał szybciej.

Po wylądowaniu wyskakujemy z samolotu biegiem. Dziesięć minut później prujemy szosą 405. Znów dzwonię do Leo.

– Jesteśmy w samochodzie, w drodze do biura. Masz podstawy nakazu?

– Musisz tylko wypełnić kilka szczegółów i wydrukować dokument.

– Doskonale.

Moja komórka dzwoni, gdy zmierzamy w stronę wejścia do kwatery FBI.

– Mówi agentka Barrett.

– Witaj, agentko Barrett. – Tym razem jego głos jest czysty i niezniekształcony.

Uciszam wszystkich.

– Witaj, doktorze Hillstead.

– Brawo dla ciebie, Smoky. Naprawdę, brawo. Muszę powiedzieć, że zastanawiałem się, czy Renee Parker kiedyś powróci, żeby mnie prześladować. W jej przypadku złamałem jedno z przykazań. Nie znalazłem cię jeszcze wtedy, ale mimo to objawiłem moje dzieło publiczności. Nie mogłem się *powstrzymać*. Pomyślałem, że po dwudziestu pięciu latach... no cóż. Najlepsze plany i tak dalej. A poza tym podarowanie Streetowi medalionu i książki, cóż... błagał mnie o *cokolwiek*. I naprawdę zasługiwał na jakąś nagrodę. Był takim dobrym uczniem. Bardzo entuzjastycznym. – Chichocze. – Oczywiście zastanawiałem się, czy przypadkiem nie obarczyć go winą za jej morderstwo, ale jest, jak jest. Cóż zrobić.

Głos jest ten sam, ale jego ton i sposób wypowiedzi jest zupełnie inny. Przemawia teraz z pewną chorą frywolnością i poprawnością akcentu, której nigdy nie słyszałam podczas wizyt w jego biurze.

– Wiesz? – pytam.

– Oczywiście, że wiem. Przecież przed chwilą powiedziałem, że zastanawiałem się nad kwestią Renee, nieprawdaż? Nie byłoby to zbyt rozsądne z mojej strony, gdybym nie przygotował się na taką ewentualność. Oczywiście to zmienia naszą grę na dobre.

– W jaki sposób mianowicie?

– No cóż, teraz wiesz, kim jestem. Znasz moją tożsamość. To oznacza mój koniec. Ja i moi krewni zawsze egzystowaliśmy pośród cieni, agentko Barrett. Nie pociąga nas światło i nie pragniemy go. Wielka szkoda. Czy wiesz, przez jak wiele lat musiałem siedzieć i wysłuchiwać, jak wszyscy moi klienci jęczą i narzekają, podczas gdy ja szukałem mojego Abberline'a? To oznaczało nieskończone godziny udawania, że się nimi przejmuję. Gorzej, musiałem naprawdę pomagać tym słabym, złamanym robakom po to tylko, abym mógł kontynuować swoje poszukiwania. – Wzdycha. – I wreszcie cię odnalazłem. Być może byłem *zbyt* dobry w dążeniu do celu.

– To nie musi się tak skończyć, doktorze Hillstead. Mogę pana

przywieźć do FBI.

Chichocze.

– Nie sędzę, Smoky. Za chwilę o tym porozmawiamy. Najpierw jednak chcę ci coś wyznać. Pamiętasz tamtą noc z Josephem Sandsem, moja droga?

Jestem spokojna. Jego słowa nie wywołują u mnie gniewu.

– Wiesz dobrze, że tak, Peter.

– Czy kiedykolwiek czytałaś akta sprawy? Mam na myśli, w całości. Włączając w to notatki dotyczące jego wejścia do twojego domu?

– Czytałam akta, wyłączając oczywiście raport balistyki, który usunęłam. Dlaczego pytasz?

Milczenie. Wyobrażam sobie, że się uśmiecha.

– Pamiętasz, czy były jakiegokolwiek ślady włamania?

Zamierzam właśnie powiedzieć mu, że nudzi mnie ta konwersacja i że chcę wiedzieć, gdzie teraz jest. Coś mnie jednak powstrzymuje. Zastanawiam się nad tym, co powiedział, i usiłuję przypomnieć sobie to, co przeczytałam. Pamiętam.

– Nie było żadnych śladów włamania.

– Tak jest. Czy chciałabyś dowiedzieć się dlaczego?

Nie odpowiadam.

Myślę o Ronniem Barnesie, o datach. Barnes zginął dziewiętnastego, a Sands zabił moją rodzinę również dziewiętnastego.

– Z najbardziej oczywistego powodu, Smoky. Miał klucz. Po co się włamywać, skoro można po prostu wejść przez drzwi? – Śmieje się. – Wolno ci zgadywać tylko raz, skąd dostał ów klucz. – Przerywa. – Oczywiście *ode mnie*, najdroższa Smoky. Ode mnie.

Widzę odzwierciedlenie mojej reakcji w oczach Alana i Jamesa. Alan odsuwa się bardzo, bardzo ostrożnie. Nie jestem zaskoczona. Zaniemówiłam z nagłej żądzy morderstwa, która zastąpiła krew krążącą w moich żyłach.

Moja głowa wypełniona jest rykiem strzałów z pistoletu. Oczy mi płoną i czuję wściekłość – tę samą, którą czułam, będąc przywiązana do łóżka, kiedy Joseph Sands krzywdził i zabijał mojego Matta.

Mojego Matta i moją Alexę. Dwie miłości mojego życia. Blizny, które oszpeciły moje ciało i twarz, które poraniły moje serce i niemal trwale okaleczyły moją duszę. Miesiące koszmarów sennych, budzenia się

z krzykiem, oceanu łez. Pogrzeby i nagrobki, zapach ziemi cmentarnej. Papierosy, rozpacz i dobroć obcych.

Ta bestia, uśmiechająca się po drugiej stronie linii telefonicznej, pozostawiła po sobie dziedzictwo zniszczenia. Don Rawlings. Ja. Bonnie. Zrównał z ziemią nasze nadzieje, zmiażdżył je w dłoniach jak chleb, karmiąc okruczami potwory, które czają się w ciemnościach. Żywił się naszym cierpieniem niczym hiena cmentarna przy grobie.

Nie jest wcieleniem całego zła na tym świecie. Wiem to dobrze. Ale w tej chwili jest źródłem zła w moim życiu. Jest moim gwałtem, krzykami Matta, zaskoczonym spojrzeniem, kiedy kula wystrzelona z mojej broni zabijała Alexę. Jest martwymi dziećmi w snach Dona Rawlingsa, końcem życia mojej przyjaciółki z dzieciństwa, Callie leżącą w szpitalu i poszarzałym wyczerpaniem własnej matki, która więdnie niczym postarzała róża.

– Gdzie jesteś? – szepczę.

Niemal słyszę jego uśmiech.

– Widzę, że trafiłem we wrażliwy punkt, co? To dobrze. – Przerywa na chwilę. – To był twój ostatni test, Smoky. Jeżeli potrafiłaś przeżyć Sandsa, to rzeczywiście byłaś moim Abberline'em. – Jego głos jest prawie łagodny.

Tęskny.

– Gdzie jesteś? – powtarzam.

Śmieje się.

– Powiem ci, gdzie jestem, ale najpierw muszę ci kogoś przedstawić. Przywitaj się z agentką Barrett.

Słyszę, jak przekazuje komuś słuchawkę.

– S...Smoky?

Podskakuję, jakby raził mnie prąd z akumulatora.

Elaina. Wszystko działo się tak szybko, więc Keenan i Shantz nie zostali jeszcze zastąpieni. Przeklinam samą siebie. *Idiotka, idiotka, idiotka!*

– Mam ją tutaj ze sobą, Smoky. I jeszcze kogoś, znacznie mniejszego. Kogoś, kto nie może rozmawiać przez telefon, ponieważ... cóż, chwilowo nie umie wydobyć z siebie głosu. – Śmieje się. – Nie masz wrażenia *déjà vu*?

Tonę. Jestem otoczona powietrzem, ale nie mogę oddychać. Czas

porusza się zgodnie z uderzeniami mojego serca – jedno powolne łupnięcie za drugim. To nie strach, to przerażenie. Zabijające duszę, skręcające flaki, histeryczne, bulgoczące bez ładu i składu przerażenie. Jestem zdziwiona spokojem we własnym głosie, kiedy się odzywam.

– Gdzie jesteś, Peter? Po prostu mi powiedz. Przyjadę do ciebie. – Nie proszę go, żeby ich nie krzywdził. I tak bym mu nie zaufała.

– Kilka zasad dla ciebie, Smoky. Jestem w moim domu. Elaina jest naga i przywiązana do mojego łóżka. Małą Bonnie trzymam w ramionach. Coś ci to przypomina? Jeżeli nie znajdziesz się tu za dwadzieścia pięć minut, zabiję Elainę i Bonnie przeżyje coś nader znajomego. Jeżeli zobaczą jakiegokolwiek policjanta lub oficerów SWAT, albo nawet jeśli będę miał podejrzenie, że są w pobliżu, zabiję je obie. Możesz przywieźć swój zespół, ale poza tym jednym wyjątkiem wszystko rozgrywa się między tobą a mną. Rozumiesz?

– Tak.

– Doskonale. Zaczynamy odliczanie.

Rozłącza się.

– Co się dzieje, do diabła? – pyta Alan.

Nie odpowiadam. Spoglądam na Alana. Wpatruje się we mnie intensywnie – zmartwiony i gotowy do akcji. Alan zawsze jest gotowy. Zwłaszcza jeśli chodzi o bycie przyjacielem. Czuję własny oddech: wdech i wydech, wdech i wydech.

Ogarnia mnie ogromny, oderwany od rzeczywistości spokój. Jestem na plaży, sama, z muszelką przyłożoną do ucha. Słyszę ten dziwny cichy muszelkowy szum. Czy to szok? Ciekawe.

Nie sędzę. Naprawdę nie sędzę. To Hillstead, który dostaje to, czego chciał od samego początku.

Mnie jako jego. Gotową zabić bez zastanowienia, bez żalu ani dylematów moralnych. Gotową porównać morderstwo do czynności wyrywania chwastów.

Kładę dłonie na ramionach Alana.

– Posłuchaj mnie, Alan. Zamierzam ci coś powiedzieć i chcę, żebyś był na to przygotowany. Musisz zachować spokój. Zamierzam wszystkim się zająć.

Nic nie mówi. Widzę wszystko w jego wzroku – zaniepokojenie,

początek zrozumienia.

– Hillstead ma Elaine i Bonnie – mówię.

Moje dłonie nadal spoczywają na jego ramionach. Czuję sztywniejące mięśnie, dreszcz przechodzący całe jego ciało. Alan nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Ma je obie i chce mnie. Jedziemy tam, gdzie je przetrzymuje. Kiedy już tam dotrzemy, to cokolwiek się stanie, musimy sprawić, żeby on umarł, a one obie przeżyły. – Zaciskam kurczowo palce na jego ramionach. – Rozumiesz mnie? Zajmę się tym.

Spogląda na mnie przez długą chwilę. James milczy, czekając.

– Będzie chciał się zabić i zabrać cię ze sobą – mówi Alan.

Kiwam głową.

– Wiem. Po prostu będę musiała być szybsza od niego.

Alan chwyta moje dłonie i trzyma je przez chwilę. Boże, ma naprawdę ogromne, mocne dłonie, ale mimo to jego dotyk jest taki delikatny.

– Bądź szybsza, Smoky. – Głos mu się załamuje.

Puszcza moje ręce i odsuwa się. Wyciąga broń, sprawdza magazynek i zaczyna iść w stronę samochodu.

– Jedziemy – mówi.

Zgina się, lecz nie łamie.

Ale będziemy łamać?, pyta smoczyca. *Połamamy mu kości?*

Pytanie jest typowo retoryczne. Nie odpowiadam.

Już w drodze dzwonię do Tommy'ego.

– Nadal za mną jeździsz? – pytam.

– Tak.

– Sytuacja uległa zmianie. – Streszczam mu najnowsze wieści.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Chcę, żebyś pojechał do jego domu i zaczekał tam na mnie. Jeżeli zobaczysz, że wychodzi sam, będzie to oznaczało, że się nam wymknął.

– I?

– I jeśli to się zdarzy, chcę, żebyś go zabił.

Długie milczenie.

– Nie ma sprawy – odpowiada zwykłym głosem.

– Dzięki, Tommy.

– Hej, Smoky, nie daj się zastrzelić. – Przerywa. – Nadal chcę

sprawdzić, gdzie nas to doprowadzi. – Rozłącza się.

Wjeżdżamy na podjazd. Wszystko wygląda normalnie. Jest sympatycznie i cicho – typowy podmiejski obrazek. Wyłączam silnik i w tym momencie dzwoni telefon.

– Barrett.

– Dotarłaś tu przed czasem, Smoky. Jestem z ciebie taki dumny! A teraz pozwól, że poinformuję cię, jak rozegra się cała sprawa. Wejdiesz przez drzwi frontowe. Twój przyjaciele zostaną na zewnątrz. Jeżeli zdarzy się cokolwiek innego, zabiję Elaine i małą Bonnie. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– W takim razie wchodź. Zapraszam!

Rozłącza się. Wyciągam broń, sprawdzam ją, pozwalam jej ułożyć się w mojej dłoni. Czarny, gładki, stalowy ptak śmierci. Niemal słyszę jego śpiew.

– Wchodzę. Wy macie zostać na zewnątrz. Takie podał zasady.

– Nie chcę słuchać tych pierdół – mówi Alan. Desperacja nadaje jego głosowi ostre brzmienie.

Spoglądam na niego. Naprawdę na niego spoglądam.

– Zajmę się tym, Alan.

Pozwalam mu zobaczyć smoczyce, usłyszeć ją. Unoszę broń.

– Nie spudłuję.

Patrzy na pistolet, oblizuje usta. Jego twarz jest ponura i jednocześnie pełna nadziei. Widać na niej walkę wściekłości i strachu. Przełyka ślinę i kiwa głową. Zerkam na Jamesa. On również potakuje.

Co jeszcze można powiedzieć? Odwracam się od nich i ruszam, z bronią przy boku, w stronę drzwi wejściowych domu Hillsteada. Kładę dłoń na klamce i przekręcam ją. Serce wali mi w piersi niczym młot, krew pulsuje szaleńczo w żyłach. Boję się i jednocześnie odczuwam radość. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi.

– Wejdz na górę, moja droga Smoky – słyszę Hillsteada. Jego głos dobiega mnie z piętra.

Powoli wchodzę po schodach. Kark mam mokry od potu. Docieram na górę.

– Tutaj, agentko Barrett.

Wchodzę do sypialni z uniesioną bronią. To, co widzę, wywołuje przewidywaną reakcję: sprawia, że zastygam ze strachu.

Elaina jest przywiązana do łóżka. Naga, ze związanymi rękami i nogami. Czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła na widok nacięć na jej skórze. Hillstead już zaczął. Wyrzeźbił grę w kółko i krzyżyk na jej brzuchu. Rozciął skórę nad jej piersiami. Patrzę jej w oczy i z ulgą przyjmuję to, co w nich dostrzegam: Elaina jest przerażona, ale nadal się nie poddaje. To oznacza, że Hillstead nie zabrał się jeszcze za nią porządnie. Nie złamał jej.

Peter siedzi w nogach łóżka, na miękkim fotelu. Na kolanach trzyma Bonnie, przykładając nóż do jej tętnicy szyjnej. Bonnie również spogląda butnie, ale w jej oczach jest jeszcze coś, czego nie widzę w spojrzeniu Elainy. Gdyby mogła zabić tego człowieka, który zamordował jej matkę, zrobiłaby to.

– Déjà vu, nieprawdaż, agentko Barrett? Zauważyłaś zapewne, że jeszcze nie tknąłem twarzy Elainy. – Chichocze rozbawiony. – Pomyślałem, że wprowadzę tu różne elementy twojego własnego cierpienia i psychozy. Mamy więc zniszczenie czegoś cudownego. Jest to temat, z którym wciąż się borykasz. Mamy również blizny i oszpecenie. I wreszcie, być może jako najlepszy punkt, mamy twoją córkę, Alexę, żywą tarczę.

Podnoszę w górę broń, ale Hillstead przesuwając głowę Bonnie, zasłaniając ją swoją. Czubek noża wbija się mocniej w skórę i na jej gardle pojawia się kropla krwi.

– Zaraz, zaraz, bez pośpiechu – mówi. – Mam dla ciebie fotel. Usiądź sobie. Odpocznij, jak to powiadają. – Wychyla twarz zza głowy Bonnie i uśmiecha się. – Będzie zupełnie jak za starych dobrych czasów.

Zmiażdż mu kości!, żąda smoczyca.

Cicho, mówię jej. Muszę się skoncentrować.

Rozglądam się i widzę fotel, o którym wspomniał. Oczywiście stoi dokładnie naprzeciwko niego. Dokładnie tak, jak za starych dobrych czasów. Podchodzę i siadam.

– Planujesz dalszą analizę mojej osobowości, Peter? – pytam.

Wybuch śmiechem i potrząsa głową.

– Skończyliśmy już z tym, oboje. Nie mam już więcej opinii na twój temat do zaoferowania.

– W takim razie czego chcesz?

Jego oczy błyszczą. To obrzydliwy widok w kontekście całej sytuacji.

– Chcę z tobą porozmawiać, Smoky. A potem chcę zobaczyć, co się stanie.

Spoglądam na jego kolana. Mogłabym je przestrzelić w ciągu ułamka sekundy. Broń w górę, *bam-bam*, zakończone strzałem w głowę. Wdech, wydech, trzy razy nacisnąć spust, żegnaj Peter.

Zaczynam się poruszać jeszcze przed zakończeniem myśli. Lufa pistoletu unosi się w górę i *wiem*, że celuję dokładnie w wybrane miejsce. Czuję to w środku. Wiem podświadomie, ile kilogramów nacisku będzie potrzebne do zwolnienia spustu. Wiem, ile centymetrów muszę przesunąć lufę po pierwszym strzale, żeby trafić w drugie kolano. To wszystko jest *instynktowne* – podświadoma kalkulacja na zaawansowanym poziomie.

Tylko że nie jest.

Ponieważ dłoń, która trzyma broń... *drży*.

A potem już nie drży, tylko się *trzęsie*.

Zamykam oczy i opuszczam rękę. Peter wybucha głośnym śmiechem.

– Smoky! Być może wypowiedziałem się zbyt pochopnie! Być może mamy jeszcze przed sobą coś do omówienia. Ostatnia sesja terapeutyczna.

Czuję narastającą we mnie panikę. Jest niczym leniwa ciemna fala na pogrążonej w mroku plaży. Spoglądam na Bonnie i z zaskoczeniem widzę, że wpatruje mi się prosto w oczy. Dostrzegam w nich zaufanie.

Mrugam. Jej twarz zamazuje się. Mrugam jeszcze raz. Bonnie zmienia się w Alexę.

Rozgniewane oczy. Ani krzty ufności.

Alexa wie lepiej, prawda?

Moje uszy wypełnia ciche dzwonienie.

Dzwonienie? Nie... podnoszę głowę i nasłuchuję. To głos. Zbyt odległy i cichy, żeby go zrozumieć.

– Smoky? Jesteś z nami?

Głos Hillsteda sprawia, że przed moje oczy powraca widok twarzy Bonnie.

Ze zdumieniem zdaję sobie sprawę, że tracę zmysły. Tu i teraz, właśnie wtedy, gdy jestem najbardziej potrzebna.

Dobry Boże.

Chrząkam głośno i zmuszam się do odpowiedzi.

– Ty... powiedziałaś, że chcesz porozmawiać. Więc mów. – Nie brzmi to przekonująco, ale przynajmniej rozsądnie.

Jestem skąpana we własnym pocie.

Peter milknie.

– Sądzisz, że żałuję znalezienia się w tej sytuacji? – zaczyna. – Jeżeli tak, to się mylisz. Mój ojciec nauczył mnie utrzymywać standardy. Jednym z jego ulubionych powiedzeń było: „Nieważne, jak długo żyjesz, ważne, jak dobrze zabijałeś, gdy byłeś żywy”. – Mruży oczy, przyglądając mi się z uwagą. – Rozumiesz? Życie zgodne z moim dziedzictwem, podążanie za przykładem Bestii z Cienia nie polega wyłącznie na zabijaniu dziwek i drażnieniu się z FBI. Chodzi o swego rodzaju... *klasę*. O charakter morderstwa, nie tylko sam jego akt. – W jego głosie wyczuwam dumę. – Zadajemy wam rany najlepszej klasy srebrem i pijemy waszą krew z kryształowych kielichów od najlepszych projektantów. Dusimy was za pomocą jedwabiu, odziani w garnitury od Armaniego. – Spogląda na mnie zza Bonnie. – Każdy głupi potrafi zabić. Moi przodkowie i ja sam? My tworzymy *historię*. Stajemy się nieśmiertelni.

Graj na zwłokę, myślę. Ponieważ znów słyszę ten słaby głos w głowie i wiem – *wiem* – że to, co mówi ów głos, jest ważne.

– Nie masz żadnych dzieci – stwierdzam – To wszystko kończy się na tobie. Tyle w kwestii nieśmiertelności.

Wzrusza ramionami.

– Nasze geny znów pojawią się na tej ziemi. Kto powiedział, że Bestia nie zasiała swojego nasienia w innych miejscach? Kto powiedział, że ja tego nie zrobiłem? – Uśmiecha się. – Nie jestem pierwszy i bez wątpienia nie ostatni. Nasza rasa przetrwa.

Przychodzi mi do głowy jedna przerażająca myśl. Czy to możliwe, że *nie chcę* ocalić Bonnie? Że w głębi duszy myślę, iż ocalenie jej byłoby niesprawiedliwe wobec Alexy?

Dłoń drży mi na kolanach, palce zaciskają się spazmatycznie na rękojęści. Marszczę brwi i patrzę na Hillsteda.

– Rasa? Jaka rasa?

– Pierwszych myśliwych. Drapieżników, którzy chodzą na dwóch

nogach.

– Ach tak. To gówno prawda.

Wstrzymuję oddech, kiedy jego palce zaciskają się mocniej na nożu przytkniętym do szyi Bonnie. Potem jednak rozluźniają się i Peter chichocze.

– Najważniejsze w tym wszystkim, moja droga Smoky, jest to: nie ma znaczenia, że mnie złapałaś. Koniec końców pozostałem wierny idei. To wszystko, co się liczy. Byłem dużo wierniejszy niż mój ojciec, który nigdy nie odnalazł swojego Abberline'a. A moi akolici? – Sprawia wrażenie ptaka puszącego piórka. Jest pełen samozadowolenia. – *To* zdecydowanie coś nowego. – Spogląda na mnie znowu. – Poza tym mam dla ciebie propozycję lub dwie. Taka mała porcja zabawy na sam koniec.

Po raz pierwszy, od kiedy moja dłoń trzymająca pistolet zaczęła się trząść, głos w mojej głowie milknie. Zaczynam się czuć nieswojo.

– Jaką propozycję?

– Niektóre blizny pozostają na całe życie, Smoky. Ja chcę pozostawić mój ślad na tobie. W zamian za to coś ci ofiaruję.

– O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz?

– Gdybym ci powiedział, żebyś się zastrzeliła, a ja w zamian wypuszczę Bonnie i Elaine, uwierzyłabyś mi?

– Oczywiście, że nie.

– No tak, ale... gdybym ci powiedział, żebyś wzięła nóż, pocięła swoją twarz w zamian za wypuszczenie Elainy...?

Mój niepokój wzrasta. Zaczynam się znów pocić.

– Aaaach... widzisz? To właśnie najlepsza rzecz w grze o takie stawki, Smoky. *Musiłałabyś* o tym pomyśleć, prawda? – Śmieje się. – *Musiłałabyś* rozważyć nadarzającą się okazję. Jeżeli nic nie zrobisz, będziesz kontynuować to, co teraz mamy, być może uda ci się je wyciągnąć z tej sytuacji, ale może obie umrą. Jeżeli się potniesz, istnieje możliwość, że jednak skłamałem i nadal nic się nie zmieni, ale wtedy będziesz się musiała jedynie pokaleczyć. Co gorsza, oczywiście dla ciebie, istnieje *możliwość*, że mówię prawdę. Można przecież z dość dużym prawdopodobieństwem założyć, że przehandlowałbym życie Elainy w zamian za przyjemność obserwowania, jak się samookaleczasz, prawda? Zwłaszcza że wciąż mam tę słodką dziewczynkę jako tarczę.

Nadal nie odpowiadam. Niepokój zmienił się w mdłości, tłuste

rozdrażnienie żołądka. Hillstead nie jest w błędzie. Pomyślałabym o tym. Sprawił, że stawka stała się potworna, ale w dalszym ciągu znośna. Jak w każdej rozgrywce hazardowej mogłabym ją zakończyć, lecz gdybym wygrała, nagroda... byłaby warta ryzyka?

Prawdopodobnie tak.

Nie, nie, nie!, krzyczy smoczyca. *Zmiażdż mu kości!*

Zamknij się, odpowiadam jej.

Drugi głos nadal milczy. Jest tam wciąż, przyczajony, po prostu się nie odzywa. Czekaj.

– Zamierzasz mi to zaoferować, Peter?

– Oczywiście, że tak. Między poduszką i podłokietnikiem fotela jest nóż.

Kładę pistolet na kolanach i sięgam za poduszkę, macając palcami. Wyczuwam zimną stal. Szukam dalej, dopóki nie trafiam na rękojeść, łapię ją i wyciągam nóż.

– Spójrz na niego.

Spełniam polecenie. To nóż myśliwski. Stworzony do rozcinania ciała.

– Blizny – mruży Hillstead. – Pamiątki. Zupełnie jak... pierścienie drzew oznaczające miniony czas. – Wychyła jedno oko zza Bonnie i wbija we mnie wzrok. Widzę, jak się porusza, prawie czuję dotyk tego spojrzenia na skórze, niczym miękkie dłonie przesuwające się po moich bliznach. Ze swego rodzaju miłością. – Chcę zostawić na tobie swój ślad, mój inspektorze Abberline. Chcę, żebyś mnie widziała, kiedy spojrzysz w lustro. Na zawsze.

– A co jeśli to zrobię?

– Wtedy pozwolę ci użyć tego noża do rozcięcia więzów Elainy. Cokolwiek się wydarzy, wyjdzie z tego żywa i zdrowa.

Elaina usiłuje powiedzieć coś poprzez knebel. Spoglądam na nią. Potrząsa głową. *Nie*, mówią jej oczy. *Nie, nie, nie...*

Patrzę na nóż. Myślę o swojej twarzy – mapie cierpienia, którą się stała. Oznacza utratę wszystkiego. O tym właśnie przypominają mi moje blizny. Może Bestia chce, aby ta szrama była pamiątką ocalenia Elainy? A może będzie to po prostu kolejna blizna. Może wszyscy tutaj zginiemy i zostanę pochowana z nową, niezaleczoną raną.

Może przystawię sobie pistolet do głowy i pociągnę za spust? Czy zadrżałaby mi ręka, gdybym strzelała do samej siebie?

Świat dookoła mnie wiruje. Bonnie staje się Alexą, Alexa staje się Bonnie, ocean szaleje w mojej głowie. Czuję się jednocześnie spokojna i przerażona.

Tracę zmysły, o tak. Nie ma co do tego wątpliwości.

Uciekam przed spojrzeniem Elainy.

– Gdzie? – pytam.

Spoglądające na mnie oko rozszerza się. Widzę, jak jego kącik marszczy się. Bestia się uśmiecha.

– Prosta prośba, moja kochana Smoky. Zatrzymamy tę stronę twojej twarzy bez blizn. Lubię o tobie myśleć jako o pięknej z jednego profilu i bestii z drugiego. Jedna prosta linia spod oka do kącika tych pięknych ust.

– A jeśli to zrobię, będę mogła uwolnić Elaine?

– Tak jak powiedziałem. – Wzrusza ramionami. – Mogę oczywiście kłamać.

Waham się, a potem unoszę nóż. Nigdy nie miałam żadnych wątpliwości. Skąd to opóźnienie?

Nie czekaj, zrób to dziś!, chichocze we mnie zwariowana część mnie. *Potnij się teraz, a my dorzucimy za darmo piecyk Easy-Bake!*

Przytykam czubek noża do skóry pod okiem. Czuję chłód stali. Zabawne, myślę. Nic nie jest tak zimne, tak nieczułe jak ostrze noża przytknięte do twojej skóry. Nóż jest najlepszym żołnierzem. Wykona każdy rozkaz i nie obchodzi go, jak się to skończy, tak długo, jak będzie mógł *kroić*.

– Upewnij się, że zrobisz głębokie nacięcie – mówi Hillstead. – Chcę zobaczyć kość, kiedy skończysz.

Joseph Sands chciał, żebym dotknęła jego twarzy. Peter Hillstead chce, żebym dotknęła swojej. A ja robię to, rozcinaam swój policzek, głęboko, zdecydowanie. Ból jest potworny. Ostrze jest niczym brzytwa, rozcina mnie do kości, nie muszę nawet specjalnie naciskać. Powstająca rana jest długa, pełna krwi, która spływa po mojej twarzy. Czerwone strumyki ściekają mi na usta. Smakuję to wspaniałe wino.

Smoczyca krzyczy.

Hillstead jest niczym zahipnotyzowany. Jego widoczne oko jest ogromne, spogląda na mnie zachłannie, karmi jego potrzeby.

Daję mu chwilę na podziwianie, a potem celuję nożem w jego kierunku.

– Więc? Mogę uwolnić Elaine?

Jego oko jest nadal okrągłe i wielkie. Krew cieknie mi po brodzie. Podąża za nią wzrokiem.

– Takie piękne... – wzdycha.

Kap, kap, kap. Jest zahipnotyzowany strumykiem mojej krwi.

– Peter. – Spojrzenie jego oka odrywa się niechętnie od mojej krwi. – Mogę rozciąć więzy Elaine i ją uwolnić?

Kurze łapki w kącie oka. Znów się uśmiecha.

– Cóż... – Cofa się za Bonnie. – Nie. Nie sądzę. Nie.

Wypełnia mnie jednocześnie rozpacz i wzdarda.

– Jesteś taki żałośnie przewidywalny – mówię. – Gdybyś chciał się zachować oryginalnie, wypuściłbyś Elaine zamiast robić to, czego się spodziewałam.

Wzrusza ramionami.

– Nie mogę zadowolić wszystkich.

– Ale nadal możesz zadowolić mnie.

– Jak?

– Umierając, Peter. Umierając.

Śmiałe słowa, myślę, ale nadal boję się mojej broni.

Bestia wybucha śmiechem.

– Uczciwe postawienie sprawy, Smoky. Teraz wreszcie będziemy mogli się zabrać do rzeczy. – Jedną ręką chwyta szyję Bonnie, w drugiej trzyma nóż, wciąż przytknięty do jej gardła. – Dałaś mi to, czego chciałem. Czas wszystko zakończyć.

Upuszczam nóż. Peter śledzi jego upadek na podłogę. Ja również, zahipnotyzowana lśnieniem stali i gęstą gładzią mojej krwi na ostrzu.

Mrużę oczy i przekrzywiam głowę. Głos w mojej głowie powrócił, tym razem głośniejszy.

Nie patrzę na Bestię, wypowiadając kolejne słowa.

– Zatem jak ma się to zakończyć, Peter?

– Oczywiście w jedyny możliwy sposób, Smoky. W ten czy w inny.

Spoglądam na niego. Egzystuję na dwóch poziomach. Część mnie patrzy na Hillsteda, słucha go i reaguje. Druga zaś nasłuchuje, nasłuchuje z napięciem jego głosu.

– Co to znaczy „w ten czy w inny sposób”?

Oko wyglądające zza Bonnie mruży się.

– Zamierzam poderznąć gardło Bonnie, Smoky. Policzę do dziesięciu, a potem poderznę jej gardło od ucha do ucha. Namaluję jej na szyi mokry, szeroki, ciekący uśmiech. Chyba że oczywiście zdołasz mnie najpierw zabić. – Macha końcem noża. – Cokolwiek się stanie, koniec końców jestem pewien, że mnie zastrzelisz i umrę. Zatem „w ten sposób”? Zastrzelisz mnie, *zanim* policzę do dziesięciu, i Bonnie przeżyje. „Czy w inny”? – Zerka na moją broń. – Będziemy mieli powtórkę z rozrywki z Alexą. Bonnie umrze, stracisz kolejną córkę. Oczywiście zabijesz mnie, ale... za późno. Za późno.

I w tej chwili słyszę głos.

Mamusiu.

– Wszystko, co musisz zrobić, moja kochana Smoky... – Jego głowa wyłania się zza Bonnie. Widzę szeroki uśmiech na jego twarzy. – Pozwolić mi pomóc ci ten ostatni raz.

Posłuchaj mnie, mamusiu. Potrafisz to zrobić. Wszystko będzie dobrze.

Czuję się pusta w środku. Zastygam, całkowicie.

– Pierdol się.

– Nie sądzę. – Uśmiecha się jeszcze szerzej. – Nie bądź głupia, Smoky. Zamierzam dać ci dziesięć sekund, a potem ją zabiję. Wezmę nóż i poderznę jej śliczne gardziołko. Jesteś jej jedyną szansą, oczywiście jeżeli zdecydujesz się podjąć ryzyko. Istnieje naturalnie możliwość, że spudłujesz i zabijesz Bonnie, tak jak to zrobiłaś z Alexą. Możesz zamordować kolejne dziecko za pomocą swojej broni.

Krew ścieka mi po brodzie. Spojrzenie oczu Bonnie wypełnia mój umysł.

Ale to Alexa wypełnia moją duszę.

Wszystko, co było w niej piękne, powraca do mnie jednocześnie. Każdy moment, gdy się uśmiechała, kiedy ją przytulałam, wachałam jej włosy. Każda łza, którą ocierałam, każdy anielski pocałunek, którym mnie obdarzyła. Wspomnienia o niej zaczęły do mnie ostatnio powracać, to prawda. Te jednak są tysiącokrotnie żywsze, milion razy mocniejsze.

Stracone bezpowrotnie. Na zawsze.

– Nie no, *naprawdę*, agentko Barrett. Zaczynam odliczanie.

Unoszę się w bezkresnym oceanie łez.

Znów to pytanie: czy zadrzy mi ręką, jeżeli przytknę lufę pistoletu do mojej skroni? Mogłabym to zakończyć w ten sposób. Prosto. Szybko.

Koniec wszelkich wspomnień. Pragnę tego ponad wszystko – nie znać swojej przeszłości.

– Byłaś moim Abberline'em, Smoky. Powinnaś się cieszyć. Jesteś najlepsza z najlepszych. Nikt nigdy nie złapał żadnego z nas, przez całe pokolenia, cofając się aż do mojego przodka. Wielkie brawa z powodu twojego wybiegu z zawartością słoika. To oczywiście kłamstwo, ale przyznam, że mnie nim rozgniewałaś. A pochwycenie Roberta... cóż, był zbyt nieudolny, więc tego akurat nie mogę nazwać genialnym posunięciem z twojej strony. Ale bez wątpienia jesteś utalentowana, moja Smoky. Tak bardzo utalentowana.

Ledwie go słyszę. Zagłusza go ryk w moich uszach, grożący zatopieniem całego świata. To ja. Walę pięściami w samą siebie, aż zaczynają krwawić. To ja, krzycząca przez całą wieczność. To ja, wyjąca, zdruzgotana, umierająca i...

Mamusiu!

Ryk znika.

Zapada cisza.

Widzę ją kątem oka, ale nie mogę na nią patrzeć. Nie.

Jestem zbyt zawstydzona, zbyt winna.

Nie przejmuj się, mamusiu. Wszystko jest w porządku. Musisz pamiętać jedną ważną rzecz.

Co? To, że cię zawiodłam? Że cię zabiłam? Że ja przeżyłam, a ty nie? Że – najgorsze ze wszystkiego – życie toczy się dalej?

Wstyd wypełnia mnie całą, wciska się w każdy zakamarek mojej duszy, rozdziera mnie.

To ból, absolutny i nieskończony.

I oto jesteśmy, myślę. Ostateczność. Miejsce, gdzie przegrywam na dobre. Odchodzimy w mrok.

Zaczynam tracić przytomność.

Zanim jednak to następuje, Alexa się uśmiecha.

Jest niczym płonące słońce. Żłota kula światła.

Nie, mamusiu. Pamiętaj miłość.

Zupełnie jakby ktoś włączył pauzę. Cały ból, wstyd nagle zawisają w nicości.

Panuje bezruch.

Mija chwila, a ja przyglądam się temu, jak przemija. *Bum*, mówi moje

serce, a potem kończy *bam*. Jedno uderzenie.

Tuż przede mną stoi Alexa. Nie jest zamazana, nie jest cieniem ani krótkim wspomnieniem ze snu.

Moja piękna Alexa, cała lśni i migocze.

– Hej, mamusiu – mówi.

– Hej, kochanie – szepczę.

Wiem, że tak naprawdę jej tu nie ma. Wiem również, że stoi tu przede mną na tyle rzeczywista, na ile może być.

– Musisz wybrać, mamusiu – mówi łagodnie. – Raz na zawsze.

– Co masz przez to na myśli, kochanie?

Nachyla się do mnie i chwyta moje dłonie. Jej łagodność i dobroć omywają mnie falą. Jest tak piękna, że aż krzywię się z bólu.

– Musisz wybrać *życie*, mamusiu.

Prawda zazwyczaj pojawia się bez fanfar. Spada jednak na nas w jednej chwili i zmienia wszystko na zawsze. Prawdziwa prawda jest zawsze prosta.

Moja prawda nie jest inna.

Wybór między życiem i śmiercią jest wyborem między Alexą i Hillsteadem.

Między Mattem i Sandsem.

Alexa uśmiecha się, kiwa głową... i znika.

I nagle, tak po prostu, między jednym a drugim uderzeniem serca, jestem uzdrowiona. Wraz z tą objawioną prawdą znika moje szaleństwo.

Czas znów rusza.

Hillstead nadal coś gada, ale nie słyszę, co mówi. Czuję się, jakbym była uwięziona w komorze milczenia. W świecie, gdzie wszystko inne porusza się w normalnym tempie, ale moje własne myśli są ospałe, powolne, jakby ćwiczyły tai-chi w basenie.

Bonnie nie spuściła ze mnie wzroku od chwili, gdy weszłam do tego pokoju. Jej oczy są pełne przerażenia i ufności. Spoglądam na nią teraz – gdy znów odzyskałam zmysły. Naprawdę ją widzę.

Jest piękna, mamusiu.

– To prawda, kochanie – mruczę pod nosem.

Hillstead mruży oczy. Tym razem go słyszę.

– Do kogo mówisz, moja droga Smoky? Zwariowałaś już do reszty? Lepiej zbierz się w sobie. Jeszcze tylko trzy sekundy, zanim mała Bonnie

zacznie uśmiechać się spod brody.

Ten strzał, który muszę wykonać, żeby ją ocalić, będzie bardzo trudny. Widzę zaledwie ćwierć głowy Hillsteada. Reszta jest ukryta za Bonnie.

Kalkulator powoli rozpędza się w moich myślach, najpierw powoli, lecz wkrótce nabierając prędkości.

Smoczyca wyczuwa, że nadszedł jej czas, i mruczy zadowolona.

Słyszę głos Alexy, docierający do mnie w rytmie obracania się trybików. Jest niczym wiatr szarpiący deszczem. *Nie martw się, mamusiu. Po prostu poczuj to. Masz to w sobie, musisz tylko sobie zaufać.*

– Nie wiem, Alexa – odpowiadam. – Pięć centymetrów, trzy centymetry. Po prostu nie wiem. Mogę ją zabić.

Czuję, jak jej duch obejmuje mnie w pasie od tyłu. Jedną ręką sięga w górę i dotyka mojego serca. *Jest tutaj, mamusiu. Przestałaś temu ufać, ale Bonnie cię teraz potrzebuje. I naprawdę nie przeszkadza mi, że jej potrzebujesz. Spytałaś mnie o to w swoim śnie, ale obudziłaś się, zanim mogłam ci odpowiedzieć. Kochaj ją, mamusiu. Naprawdę nie ma sprawy. W moim umyśle pojawia się twarz Alexy; brązowe oczy Matta, zalotny uśmiech i dołki w policzkach. Nie boję się teraz na nią spojrzeć. Dłonie odsuwają się ode mnie i czuję, że Alexa powoli odchodzi. Przedtem jednak szepcze jeszcze jedno: *Nie rozumiesz tego, mamusiu? Nie jesteś doskonała. Kieruj się swoimi uczuciami, a wtedy będziesz postępowała najlepiej, jak potrafisz. I to wszystko, co będziesz kiedykolwiek musiała komuś ofiarować.**

Smoczyca syczy, wirowanie przechodzi w krzyk, narastający we mnie niczym stado płonących kolibrów, zmieniający się w jastrzębia, potem w orła i...

Dłoń przestaje mi drżeć.

Unoszę broń i pociągam za spust, nie namyślając się.

Nie słyszę strzału. Wszystko odbieram wzrokiem. Widzę, jak twarz Bonnie odskakuje w tył, gdy głowa Hillsteada eksploduje, a nóż wypada z jego dłoni. I wiem, że zabiłam ich oboje.

Czuję rodzący się we mnie krzyk, chwytam głowę w dłonie, ale wtedy Bonnie rusza w moim kierunku, podskakując na związanych stopach.

Odwraca w moją stronę lewy policzek i widzę Hillsteada na ziemi, z dziurą po kuli w oczodole. I wtedy rozumiem.

Strzeliłam. Było blisko, kula drasnęła policzek Bonnie, lecz koniec końców znalazła swój prawdziwy cel. Bonnie żyła. Bestia zginęła.

Trzęsącą dłonią zabezpieczam pistolet w kaburze. James i Alan wbiegają po schodach. Tommy jest tuż za nimi. Alan płacze, rozwiązując Elaine. Otula ją kocem, podczas gdy James i Tommy dopytują się, czy jestem ranna. Nie odpowiadam.

Spoglądam na Bestię, martwą, leżącą na podłodze. Na człowieka, który umożliwił Sandsowi wejście do mojego domu, który był ostatecznie odpowiedzialny za śmierć mojej rodziny i blizny na mojej twarzy. Myślę o pokłosiu zniszczenia, które pozostawiły po sobie jego czyny.

Koniec końców udowodnił swój własny punkt widzenia.

Śmierć jest zawsze tylko o krok od ciebie.

Z drugiej strony, życie również. Życie i wszyscy jego bohaterowie.

Callie poprosiła, żeby było przy tym troje ludzi: ja, Marilyn i Elaina. Bonnie oczywiście też jest z nami, z braku innej możliwości, ale Callie nie wydaje się to przeszkadzać.

Obudziła się dwa dni po śmierci Petera Hillsteada. Od tego czasu minęły kolejne dwa i dzisiaj jej lekarz miał zbadać jej odruchy oraz czucie. Callie robi wszystko, co może, żeby zamaskować swoje przerażenie, lecz ja je widzę.

Wygląda okropnie. Jest blada, zmęczona, ale żyje.

A teraz dowiemy się, czy będzie mogła znów chodzić.

Doktor trzyma w ręku jeden z tych instrumentów, które wszyscy widzieli, ale nikt nie umie ich nazwać – coś jak kręcąca się ostroga na patyku. Zamierza przesunąć jej ostrymi zakończeniami po podszwach Callie. Spogląda na nią.

– Gotowa?

Elaina ściska dłoń Callie z jednej strony, ja z drugiej. Marilyn stoi na lewo od Elainy. Bonnie obserwuje to wszystko z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Połaskocz mnie, kochaneczku.

Lekarz przesuwając ostrogę po podszwie lewej stopy. Spogląda na Callie.

– Czujesz coś?

Jej oczy robią się okrągłe z przerażenia.

– Nie – odpowiada cicho.

– Nie panikujmy – lekarz stara się ją pokrzepić. Widzę, że to nie działa, ponieważ Callie zaciska panicznie palce na mojej dłoni. – Spróbujmy drugą stopę. – Znów przesuwając ostrogę po podszwie. Czekamy...

A potem nagle widzimy drgnięcie. Duży palec u stopy porusza się. Callie wstrzymuje oddech.

– Czulaś to? – pyta lekarz.

– Nie jestem pewna...

– Nic nie szkodzi. Duży palec się poruszył, a to doskonały znak. Spróbujmy jeszcze raz. – Przesuwa ostrogą po podeszwie jej stopy. Tym razem duży palec drga natychmiast.

– Ja... poczułam! Poczulałam to! – wykrzykuje Callie. – Nie mocno, ale poczułam.

– To bardzo, bardzo dobrze, Callie – mówi łagodnie doktor. – A teraz chciałbym, żebyś zrobiła coś innego. Chcę, żebyś spróbowała poruszyć dużym palcem u stopy. Tym, który drgnął.

Dłonie Callie się pocą i czują drżenie napiętych mięśni.

– Dalej – zachęca ją łagodnie Elaina. – Spróbuj. Uda ci się.

Callie wpatruje się w swój duży palec z koncentracją tak intensywną, że nawet biegacz olimpijski nie mógłby jej dorównać. Wyczuwam jej wysiłek umysłowy. Jest niemal namacalny.

Duży palec się porusza.

– Tym razem naprawdę coś czułam! – wykrzykuje podekscytowana Callie. – Coś jak... połączenie. Czy to ma jakiś sens?

Doktor uśmiecha się promiennie. Żadne z nas nie pozwoliło sobie jeszcze w pełni odetchnąć z ulgą, ale przynajmniej widzimy teraz światło w tunelu. Musimy usłyszeć te słowa z jego ust.

– Tak, to zdecydowanie ma sens i stanowi świetną prognozę. Istnieje jedynie pięć procent szans, że doświadczysz jakiegoś upośledzenia. Nie będzie to jednak nic, z czym nie poradzi sobie fizjoterapia. Nie chcę, żebyś się tym martwiła, nawet jeśli to nastąpi. W takim przypadku po prostu będziemy musieli ponownie wyszkolić twoje ciało, by zaakceptowało

sygnały przebiegające między twoim mózgiem i nogami. – Przerywa. – Jestem jednak przekonany, że nie będziesz sparaliżowana.

Callie odchyła głowę na poduszkę i zamyka oczy, a cały pokój wypełnia się chórem podziękowań Bogu. To niczym huragan ulgi.

I nagle wszyscy milkniemy.

Ponieważ słyszymy wycie.

To głos kogoś, kto uwalnia z siebie coś okaleczającego, potwornego,

ogromnego, lament z głębi istoty. Wszyscy odwracamy się, żeby zobaczyć, skąd dochodzi ten głos.

Bonnie. Mała Bonnie stoi oparta o drzwi do pokoju Callie. Jest czerwona na twarzy, łzy praktycznie tryskają jej z oczu. Zasłania usta pięścią, jakby usiłowała powstrzymać wulkan załości przed nieuniknionym wybuchem.

Jestem wstrząśnięta. Wręcz brakuje mi słów. Czuję się, jakby ktoś rozkroił mi serce na połowę ostrą brzytwą.

Z nas wszystkich to Bonnie najbardziej martwiła się o Callie i cała ta niespodziewana sytuacja sprawia, że jej smutek jest tym bardziej przytłaczający. Gdyby Callie została kaleką na resztę życia, w oczach Bonnie Bestia by wygrała. Teraz płacze nad swoją matką, nade mną, nad Elainą, nad Callie i samą sobą.

Głos Callie przecina jej lament niczym miękka strzała.

– Chodź tu do mnie, kochaneczko – mówi z łagodnością, która sprawia, że uginają się pode mną kolana.

Bonnie podbiega do niej, chwytając Callie za rękę, zamyka oczy i płacze, przytykając twarz do dłoni Callie, pocierając policzkiem o kłykcie. Dziękuje niebiosom za to, że Callie żyje, a jednocześnie płacze nad swoim własnym światem.

Callie mruczy coś do niej, bez słów. Reszta z nas milczy.

Nie potrafilibyśmy wykrztusić z siebie słowa, nawet gdybyśmy chcieli.

Callie poprosiła o krótką rozmowę ze mną sam na sam.

– Rozumiem, że w zasadzie *wszyscy* wiedzą już o mnie i Marilyn, co? – pyta po chwili milczenia.

– W zasadzie. – Uśmiecham się szeroko.

Wzdycha, ale nie jest niezadowolona.

– No cóż. – Milknie na moment. – Kocha mnie, wiesz?

– Wiem.

– Ale nie dlatego prosiłam cię, żebyś została tu ze mną.

– Nie? W takim razie dlaczego?

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła, a... cóż, nie jestem jeszcze gotowa zrobić tego z Marilyn. Może nigdy nie będę.

Spoglądam na nią zdziwiona.

– Co takiego?

Callie kiwa na mnie ręką, żebym podeszła bliżej. Przysiadam na brzegu łóżka.

– Przysuń się jeszcze trochę.

Robię to. Callie chwyta mnie delikatnie za ramiona i przyciąga do siebie, aż wreszcie się obejmujemy.

Zaczynam rozumieć dopiero po chwili, a kiedy już do mnie dociera, o co chodzi, zamykam oczy i przytulam ją mocno.

Callie płacze. W milczeniu, bez słów, ale całą sobą, całym swoim jestestwem.

Więc ja przytulam ją i pozwalam się jej wypłakać. Nie czuję smutku.

To nie są łzy tego rodzaju.

Jest siedemnasta i w biurze został tylko James i ja. To jedna z tych nielicznych chwil, kiedy potwory zostały wsadzone do nory, przynajmniej na razie. Możemy skończyć pracę o czasie i zamierzam w pełni to wykorzystać.

Obserwuję, jak drukarka wypływa mój raport. Gdy wysunie się z niej ostatnia strona, ta jedna kartka papieru będzie stanowiła oficjalny koniec sprawy Kuby Rozpruwacza Juniora. Koniec krwawej jatki, cierpienia i zakończonego zbyt wcześnie życia.

Tylko że niezupełnie. To, co zrobił, to, jak jego czyny wpłynęły na nas i na naszych bliskich, będzie odbijało się echem w naszym życiu jeszcze przez wiele lat. Bestia zadała nam cios mieczem o szerokim ostrzu, tnącym głęboko, bez litości. Zabliźniona tkanka może być pozbawiona uczucia, ale nadal będzie widoczna i czasem, tuż przed wschodem słońca, będzie świerzbiła niczym amputowana kończyna.

Jak Keenan i Shantz. Ta kończyna nie świerzbi, tylko boli.

– To moje notatki. – Głos Jamesa mnie zaskakuje. Rzuca papiery na biurko.

– Dzięki. Już prawie skończyłam.

Stoi obok, przyglądając się drukarce. To kolejna rzadka chwila, gdy James i ja dzielimy komfortową ciszę.

– Czyli pewnie nigdy się nie dowiemy – mówi.

– Pewnie nie.

Oboje jechaliśmy razem w mrocznym pociągu i oboje dzielimy te same wątpliwości. Nie musimy ich ubierać w słowa.

Czy przed ojcem Petera Hillsteda był ktoś jeszcze? Czy istniał zabójczy dziadek lub pradziadek? Gdyby można było cofnąć się w czasie

do dni, w których nie istniała prawdziwa kryminalistyka, i gdyby można było porównać informacje z komputerowych baz danych z tamtymi wydarzeniami, czy wyruszylibyśmy na wycieczkę przez ocean i znaleźlibyśmy się na oświetlonych latarniami gazowymi brukowanych ulicach? Czy uciekalibyśmy przed mężczyzną bez twarzy, trzymającym w dłoni lśniący skalpel i noszącym cylinder?

Czy udałoby się nam wreszcie zobaczyć oblicze legendarnego mordercy?

Prawdopodobnie nie.

Ale nigdy się tego nie dowiemy na pewno.

I to właśnie ta zdolność do zostawienia takich pytań bez odpowiedzi, do odwrócenia się od nich raz na zawsze sprawia, że pozostajemy przy zdrowych zmysłach.

Ostatnia strona wypada na tackę drukarki.

Epilog

Pochowałam Annie obok Matta i Alexy. W ten sposób Bonnie i ja możemy odwiedzać nasze rodziny razem.

Jest piękny dzień. Kalifornijskie słońce, to, które mój tata kochał najbardziej, ukazuje się nam w pełnej krasie, chłodzone jedynie przez delikatną bryzę, która zapobiega przegrzaniu.

Trawa na cmentarzu nie została jeszcze skoszona w tym tygodniu i kołysze się miękko, soczysta, puszysta murawa zieleni. Spoglądam w dal cmentarza na ciągnące się rzędy nagrobków i wyobrażam sobie, że to dno oceanu pokryte wodorostami i rzędami statków widm.

Widzę innych ludzi, samotnych lub w grupach, młodych i starych. Odwiedzają swoje żony, mężów, synów, córki, braci i siostry. Niektórzy z nich zmarli w spokoju, inni w tragicznych okolicznościach. Niektórzy umierali w otoczeniu swoich bliskich, inni samotnie.

Niektóre groby nie są w ogóle odwiedzane. Starzeją się i pękają z powodu zaniedbania.

Chociaż cmentarz jest wypełniony wspomnieniami o śmierci i nawiedzany przez duchy, jest również miejscem spokoju. A zwłaszcza w tak idealnym dniu.

Bonnie postanowiła posadzić kwiatki na grobie Annie. Kończy, wstaje i otrzepuje ziemię z dłoni.

– Skończyłaś, kochanie? – pytam.

Spogląda na mnie, kiwa głową i uśmiecha się.

Elaina zaczęła chemioterapię. Alan nadal przychodzi do pracy. Zaakceptowałam, że obie rzeczy są poza moją kontrolą. Mogę tylko kochać moich przyjaciół i być z nimi, kiedy będą mnie potrzebować.

James ponownie pogrzebał ciało swojej siostry. Leo kupił nowego psa,

szczeniaka labradora, o którym ciągle nawija. Callie zdrowieje, robi się coraz bardziej gderliwa z powodu swojego aresztu szpitalnego. To dobry znak. Jej córka wciąż ją odwiedza i Callie wygląda na niechętnie pogodzoną z myślą o tym, że dochrapała się tytułu babci. W gruncie rzeczy wcale jej to nie przeszkadza.

Tommy i ja spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Bonnie go lubi. Nie spieszymy się. Zobaczymy, gdzie nas to doprowadzi.

Okazuje się, że Peter Hillstead był odpowiedzialny za śmierć przynajmniej dwunastu kobiet w ciągu kilku lat. W większości były to morderstwa doskonałe – tak naprawdę wiemy o nich tylko z jego dzienników. Prowadził szczegółowe zapiski, tak jak jego ojciec, i podobnie jak on ukrywał swoje ofiary, wybierając kobiety, za którymi nikt by nie tęsknił, i niszcząc ich zwłoki, kiedy już z nimi skończył. Nie pozostawił żadnych dowodów, tylko cienie. Nadal nie mamy pojęcia, z jakimi jeszcze potworami korespondował i jakich zachęcał – oprócz tych kilku, o których już wiemy. Nie jesteśmy nawet pewni, czy byli jeszcze inni. Nauczyłam się akceptować, że to również jest poza moją kontrolą. Jeżeli kiedykolwiek wyczołgają się ze swoich nor, będę czekała, żeby ich rozgnieść jak robale.

Okazuje się, że Robert Street znał Hillsteda przez ponad trzy lata. Uczestniczył jednak tylko w dwóch ostatnich morderstwach. Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Hillstead nie żyje. Zniknął z powierzchni ziemi, a Street niedługo zajmie należne sobie miejsce w celi śmierci.

Hillstead wykorzystywał swoją pozycję autoryzowanego psychoterapeuty, żeby uzyskać dostęp do danych personalnych, dzięki czemu mógł dotrzeć do córki Callie. Biuro przeprowadziło szczegółowe badania jej przeszłości i Marilyn nie umknęła ich uwadze.

Hillstead wydawał się czasem niemal wszechmocny w swojej zdolności do odnajdywania wszelkich informacji o nas wszystkich. Koniec końców okazało się, że był po prostu sprytny.

Ale my byliśmy sprytniejsi i jest to coś, co sprawia, że jestem z siebie bardzo zadowolona, w dziwnie ponury sposób. Rozpoznaję niebezpieczeństwo tego uczucia. Mroczny pociąg jest moją własną arogancją, która może zepchnąć mnie z grani, jeśli nie będę uważała. Póki co, pozwalam jej kwitnąć. Przecież smoczyce są bardzo dumnymi

stworzeniami.

Hillsteadowie wprowadzili specjalistów od tworzenia profili zabójców we wściekłą panikę. To coś nowego, niespotykanego u seryjnych zabójców, itede, itepe.

Nie sądzę, żeby Hillstead różnił się tak bardzo od pozostałych morderców, których ściagałam i których schwytałam. Popełnił błąd, tak jak wszyscy pozostali. Jakkolwiek „idealny” mógł się wydawać, to Renee Parker – jego pierwsza ofiara – sięgnęła zza grobu i pociągnęła go ze sobą do trumny. I to daje mi wręcz niesamowitą satysfakcję.

Prawdziwe duchy tego świata są właśnie tym: konsekwencją naszych własnych czynów. Myślałam o tym wielokrotnie od czasu zakończenia sprawy Bestii z Cienia. To ślady zmian, które pozostawiamy, poruszając się po linii czasu.

Konsekwencje. Mogą nas ścigać, a nawet skrzywdzić. Mogą również nas wynieść i stać się źródłem pocieszenia w środku najciemniejszej nocy. Nie wszystkie duchy wyją i zawodzą. Niektóre po prostu się uśmiechają.

Bonnie nadal nie mówi. Nie krzyczy już co noc we śnie, ale nie zawsze drzemie spokojnie. Jest pięknym dzieckiem, mądrym, troskliwym, hojnie obdarzającym miłością. Jest również artystką malarką. Potrafi tworzyć rzeczy piękne i mroczne, a ja rozpoznaję w nich substytut niewypowiedzianych słów.

Ustaliłyśmy swoją własną rutynę. Nie jesteśmy do końca matką i córką. Jeszcze nie. Robimy jednak postępy i nie jestem już przerażona. Cieszę się, że mam Pierwszą Zasadę Mamy, i jestem gotowa pójść tam, gdzie mnie ona zaprowadzi.

Duchy Matta i Alexy odwiedzają mnie w snach i są dla mnie ukojeniem. Nie mam już koszmarów nocnych.

– Gotowa?

Bonnie chwyta mnie za rękę w ramach odpowiedzi.

Jest niemową, a ja jestem poraniona, ale dzień jest przepiękny, a przyszłość nie wydaje się już potworna. Mam Bonnie, a ona ma mnie i z tego rodzi się miłość.

A z miłości – życie.

Opuszczamy cmentarz, trzymając się za ręce, obserwowane przez nasze duchy.

Czuję, że się uśmiechają.

KONIEC

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla Diane O'Connell za pomoc redakcyjną i nieustające wsparcie; dla Frederiki Friedman za nieocenioną pomoc; dla Lizy i Havisa Dawsonów za niestrudzoną pracę w moim imieniu, włączając w to pomoc redakcyjną i tysiąc innych spraw; dla Billa Massey'a, mojego redaktora z Bantam Books; dla Nicka Sayersa, mojego redaktora w Hodder, dla Chandler Crawford za jej fantastyczną i zawsze idealną reprezentację mojej osoby; dla mojej żony, rodziny i przyjaciół za wspieranie mej żądy pisania. Wreszcie specjalne podziękowania dla Stephena Kinga za jego książkę pt. *Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika*, która wszystko zmieniła i pomogła mi przechylić szalę z myśli o pisaniu na uczyński.

Smoky Barrett
powróci w kolejnym tomie

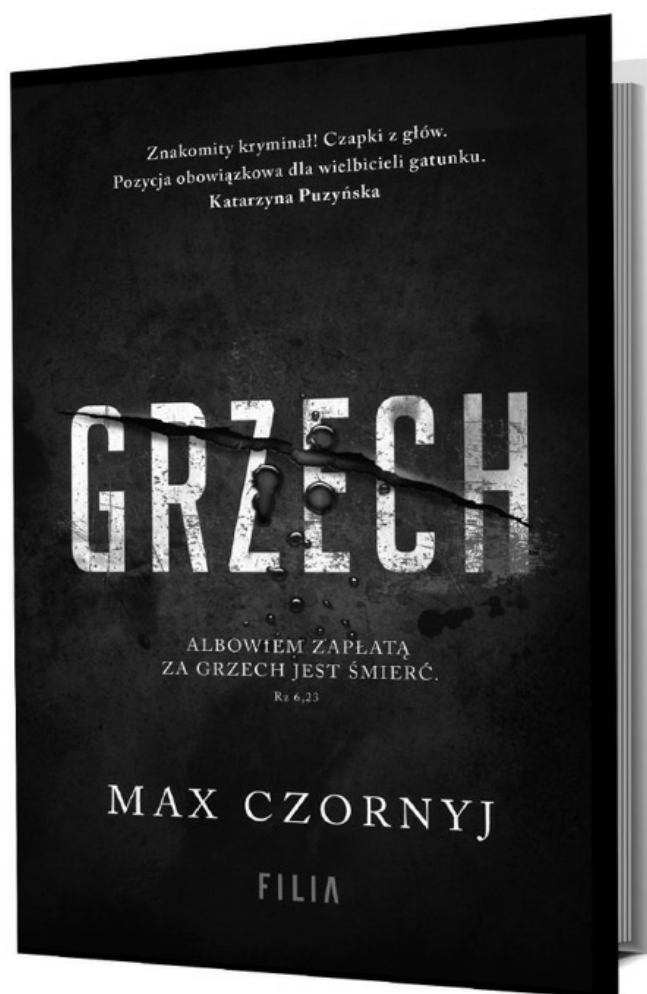
CODY McFADYEN

OBLICZE ŚMIERCI

Premiera już
na początku 2018 roku!



mroznastrona.pl



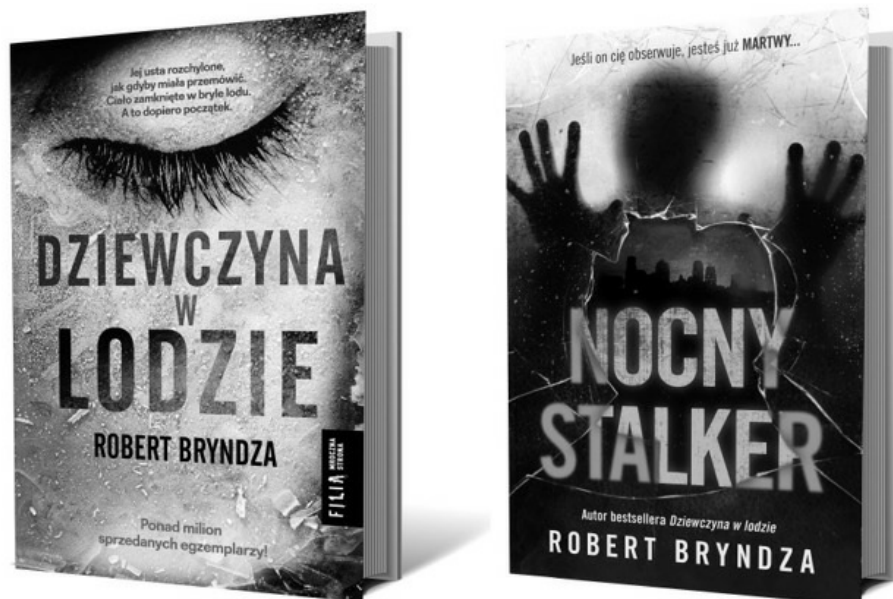
Znakomity kryminał! Czapki z głów.
Pozycja obowiązkowa dla wielbicieli gatunku.
Katarzyna Puzyńska

FILIA MROCNASTRONA
STRONA

mrocznastrona.pl

ROBERT BRYNDZA

Autor światowego bestsellera „Dziewczyna w lodzie”



Jeśli on cię obserwuje, jesteś już martwy...

DZIEWCZYNA W LODZIE
oraz
NOCNY STALKER

Seria kryminałów z Eriką Foster.

FILIA MROCNNA
STRONA

mrocznastrona.pl

Spis treści

Okladka

Karta tytułowa

Dedykacja

I. SNY I CIENIE

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

II. SNY I KONSEKWENCJE

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

Epilog

Podziękowania

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Shadow Man*

Copyright © 2006 by Cody McFadyen
Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © BLACKDAY/Shutterstock

Redakcja i korekta:
Mirośław Ruszkiewicz
Mirośław Krzyszkowski

Skład i łamanie:
MELES-DESIGN

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-363-1

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl
Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk